

Karen Robards

Cienie Dawnych Lat

1

- Odejdź ode mnie! Jezu, niech mi ktoś pomoże! - krzyczała Tara Mitchell, oglądając się przez ramię. Biegła przez pogrążony w mroku dom; mężczyzna podążał za nią krok w krok, widziała jego niewyraźną sylwetkę.

Szczupła, opalona blondynka, lat siedemnaście. Niebieskie dżinsy, podkoszulek, długie włosy - w sumie niczym nie różniła się od przeciętnej amerykańskiej nastolatki. I gdyby nie wykrzywiona strachem twarz, zapewne przewyższałaby urodą wiele rówieśniczek.

- Lauren! Becky! Gdzie jesteście? - Okrzyk zabrzmiał piskliwie, odbił się echem od ścian i drząc zawisł w powietrzu.

Jeśli pominąć mruknięcie napastnika, odpowiedziała jej głucha cisza. Mężczyzna był coraz bliżej, odległość między nim a uciekającą dziewczyną zmniejszała się z każdą chwilą, a nóż lśnił groźnie w blasku księżyca, sączącym się przez firanki. Tara dopadła drzwi prowadzących na taras i z całej siły szarpnęła za klamkę. Na próżno. Były zamknięte na klucz.

- Pomocy! - Z rozpaczą obejrzała się za siebie, rozpaczliwie drapiąc paznokciami framugę. - Niech mi ktoś pomoże!

Drzwi nie ustąpiły ani o milimetr. Tara dała za wygraną i odwróciła się w stronę złoczyńcy. Jej twarz w półmroku miała zszarzały odcień. Na jasnym rękawie podkoszulka z wolna rozkwitła ciemna plama.

Czyżby krew? Dziewczyna przywarła plecami do drzwi, z trwogą wlepiając wzrok w napastnika.

Mężczyzna zwolnił kroku i nieustępliwie osaczał ofiarę. Przyspieszony oddech dziewczyny nabrał chrapliwych tonów, Tara zrozumiała, że jest bez szans. Nie licząc zaryglowanego wyjścia na taras, jedyna droga ucieczki prowadziła przez rozsuwane drzwi, którymi przed chwilą wbiegła do pokoju. Stały otwarte na oścież i wpuszczały do środka nieco światła, na którego tle widniał zarys sprzętów i zwalistej sylwetki bandyty.

Zastąpił jej drogę. Było już pewne, że dziewczyna nie ma najmniej szych szans na ucieczkę. Mężczyzna też zdawał sobie z tego sprawę i wyraźnie delektował się swoją przewagą. Wymamrotał coś pod nosem, a nóż zakołysał się w przód i w tył, nie pozostawiając wątpliwości co do zamiarów jego właściciela.

W ciągu kilku następnych uderzeń serca jej strach stał się prawie namacalny. Naraz nie wytrzymała. Z krzykiem rzuciła się ku drzwiom, usiłując wyminąć napastnika. Lecz on okazał się szybszy: w mgnieniu oka zagroził drogę dziewczynie, chwycił ją i odwrócił ku sobie jednym szarpnięciem. Wrzask przerażenia i rozpacz ponownie rozdarł powietrze.

Wzniesiony nóż płynnym ruchem opadł w dół...

Joe Franconi siedział na kanapie wyprostowany jak struna, ponieważ przed sekundą coś po raz trzeci brutalnie wyrwało go z drzemki. Poczul, jak oblewa się zimnym potem.

- A nie mówiłem, że ci odbija? - Usłyszał z tyłu kąśliwy głos Briana Sawyera.

Trzydziestopięcioletni Brian miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, był przystojny, jasnowłosy i z całą pewnością nie żył. Mając w pamięci to ostatnie, Joe zignorował jego uwagę, skupiając się na słowach reporterki, której twarz pojawiła się na ekranie telewizora. Przemoc, nawet inscenizowana, przestała go interesować. Telewizja żerowała na niej ile wlezie, lecz dla faceta jego pokroju, który naoglądał się w życiu bandytyzmu za wszystkie czasy, zbrodnia bynajmniej nie zasługiwała na miano rozrywki ani niczego, co by się kojarzyło z tą dziedziną.

A więc dlaczego to oglądał? Dobre pytanie.

Czyżby z powodu reporterki? Dwudziesto paroletni, szczupły, powabny rudzielec o wielkich, brązowych oczach i rzeczowym sposobie bycia. Ładnie zarysowane kości policzkowe, porcelanowa skóra, wydatne usta. Fakt, była niczego sobie. W dawnym życiu Joe nigdy nie przejawiał zainteresowania gadającą głową, choćby nie wiem jak atrakcyjną i teraz też doszedł do wniosku, że jego obojętność wobec przedstawicielki mediów pozostała niezmienna.

Zdecydowanie nie chodziło o dziennikarkę. Było jednak coś ... coś ...

Joe zmarszczył brwi i skupił się na jej słowach.

- Wkrótce minie piętnaście lat od dnia, kiedy w tym domu brutalnie zamordowano Tarę Mitchell - ciągnęła kobieta. Ekran wypełniła biała rezydencja sprzed wojny secesyjnej, niegdyś imponująca, dziś mocno zaniedbana i chyląca się ku upadkowi. Trzy piętra i przestronna weranda wsparta na żłobionych

kolumnach, nad którymi zwieszały się ciężkie, omszałe konary dębów przystrojone soczystą zielenią młodych liści. Był początek maja, więc ten reportaż zrobiono niedawno, ewentualnie ubiegłej wiosny. Tak czy inaczej, widok domu wzbudził w nim nieokreślony niepokój i Joe, usiłując dociec jego przyczyn, wlepił spojrzenie w ekran. Cienie, które stały się dlań nieodłącznym aspektem rzeczywistości, raz po raz przesłaniały wizję, rozpraszając go i domagając się uwagi. Zignorował je; wychodziło mu to coraz lepiej, podobnie jak ignorowanie Briana.

- Rebecca Iverson i Lauren Schultz znikły bez śladu mówiła dalej ruda. - Przed chwilą obejrżeli państwo hipotetyczną rekonstrukcję ostatnich chwil życia Tary, odtworzonych na podstawie zgromadzonych dowodów. Wcześniej tego wieczoru rodzice Lauren zabrali dziewczęta na kolację z okazji siedemnastych urodzin córki, które przypadały następnego dnia. Szesnastoletnia Becky i Tara miały nocować u Lauren. Rodzice tej ostatniej przywieźli je do domu około kwadrans po dwudziestej drugiej, po czym udali się do babci Lauren, mieszkającej w domu oddalonym o niespełna kilometr. Wrócili dwadzieścia minut przed północą. Andrea Schultz, matka Lauren, opowie nam o tym, co zastali.

Na ekranie pojawiła się kobieta po pięćdziesiątce, o krótkich, jasnych włosach, wyblakłych, niebieskich oczach i twarzy naznaczonej upływem czasu, cierpieniem bądź jednym i drugim. Siedziała na kanapie w kolorze starego złota, ustawionej w elegancko urządzonej salkonie. Obok niej przysiadł mężczyzna mniej więcej w tym samym wieku. Siwe włosy i pokaźny brzuch nadawały mu wygląd szacownego obywatela. Trzymał kobietę za rękę.

Pani Schultz odezwała się prosto do kamery.

- Zajeżdżając pod dom, zobaczyliśmy, że pali się tylko światło w łazience na dole, ale nie dostrzeżliśmy w tym nic dziwnego. Przyszło nam do głowy, że wbrew naszym przewidywaniom dziewczęta po prostu położyły się wcześniej spać. Weszliśmy do środka kuchennymi drzwiami. Mike ... mój mąż ... poszedł schować mleko i pączki, które kupiliśmy na śniadanie, a ja skierowałam się na korytarz. Gdy zapaliłam światło ... - zadrżał jej głos - ... zobaczyłam ślady krwi na podłodze. Niedużo, zaledwie parę kropel wielkości dwudziesto pięciocentówek; prowadziły w stronę salonu. Pomyślałam sobie, że jedna z dziewcząt musiała się skaleczyć. Zaczęłam wołać Lauren, po czym weszłam do salonu i zapaliłam światło. Tara leżała na kanapie. Była martwa.

Pani Schultz zająknęła się, po czym urwała i spuściła głowę, a jej oczy wypełniły się łzami. Mężczyzna (Goe domyślił się, że to jej mąż) otoczył ją ramieniem. Następnie z ekranu ponownie wyjrzała chłodna twarz dziennikarki, kontynuującej swoją opowieść.

- Tarę pchnięto nożem dwadzieścia siedem razy, z taką siłą, że nóż przebił tapicerkę kanapy przynajmniej w kilkunastu miejscach. Część włosów została wyrwana z głowy wraz ze skórą, a twarz była zmasakrowana w stopniu, który prawie uniemożliwił identyfikację zwłok.

- O w mordę - bąknął w nagłym olśnieniu Joe. Zrozumiał, co nie dawało mu spokoju. Rano widział zdjęcie domu, w którym popełniono zbrodnię; znajdowało się w przeglądanych przez niego aktach. Aktach tej właśnie sprawy. Szczegóły głęboko zapadły mu w pamięć.

- Pomyślałem, że chciałbyś to zobaczyć. - W głosie Briana pobrzmiwało zadowolenie. - Gdybym nie rzucił ci pilota na kolana, spałbyś jak suseł. Nie musisz dziękować.

Joe mimowolnie opuścił wzrok. Rzeczywiście, pilot tkwił między jego udami, gdzie zapewne wylądował podczas nagłej pobudki. Czyżby zasnął z nim na kolanach? Za cholerę nie mógł sobie tego przypomnieć.

- Dave! - wrzasnął, z natężeniem wlepiając spojrzenie w ekran. Refleksje nad własną poczytalnością stanowiły najkrótszą drogę do obłędu, oczywiście przy założeniu, że jeszcze był przy zdrowych zmysłach.

- Chodź no tu, ale migiem!

W programie nastąpiła przerwa na reklamy.

- Rany, Joe, trochę ciszej, dobra? Obudzisz małego - odpowiedział Dave O'Neil, stając w drzwiach łączących kuchnię z salonem.

Jego rozwlekły, południowy sposób mówienia skutecznie pozbawił uwagę zamierzonego nacisku. O piątej był w kościele na niedzielnym nabożeństwie (w prawie wszystkich miejscowych kościołach odprawiano mszę o tej porze), ale już dawno zdążył się przebrać i zamiast marynarki i krawata miał na sobie fartuch w niebieską kratkę. Zakasał rękawy białej koszuli, a w rękę trzymał szpikulec do mięsa. Był raczej tęgi, miał trzydzieści dwa lata, około metra siedemdziesięciu wzrostu i przydługie, ciemnobrązowe włosy, które zaczesywał na jedną stronę bezskutecznie usiłując przykryć łysinę. Na jego czole perliły się krople potu, a krągłe policzki i czubek zadartego nosa poróżniewały wyraźnie, nasuwając przypuszczenie, że właśnie dokonywał inspekcji kurczaka, który od dłuższego czasu dogorywał w piekarniku bez większych widoków na rychły finisz.

Za sprawą niefortunnego triumfu hormonów nad zdrowym rozsądkiem Dave wpadł w sidła despotycznej rozwódki, która niedawno wprowadziła się do jego domu (gdzie w tej chwili obaj przebywali) wraz z trójką rozbisurmanionych smarkaczy. Na szczęście dwoje z nich jeszcze nie wróciło, bo ojciec zabrał je do siebie na weekend. Trzecia, najmłodsza latorośl zasnęła tuż po przyjeździe Joego, który zgodnie z umową zjawił się o siódmej na kolację. Obecnie dochodził kwadrans po ósmej, a posiłek wciąż nie był gotowy. Amy Martinez, ukochana Dave' a i matka wyżej wspomnianej dziewczyny, przed dwudziestoma minutami pobiegła kupić brakujące drobiazgi, pozostawiając go na posterunku. Wie żeby Dave stracił kontrolę nad sytuacją, wręcz przeciwnie, odkąd się poznali, Joe nigdy nie widział, by tamten stracił kontrolę nad czymkolwiek. Gdy pięć miesięcy wcześniej Joe został komendantem policji na maleńkiej wyspie Pawleys w Karolinie Południowej, Dave miał pod sobą dwunastoosobowy oddział. Początkowo wywarł na swym nowym przełożonym wrażenie wolno myślącego, nieruchawego niezguły, Joe postanowił jednak utrzymać dotychczasowy porządek rzeczy, uciekając się tylko do drobnych zmian, bez względu na to, jak tutejsze obyczaje działały mu na nerwy. Prawdę mówiąc, za bardzo zależało mu na tej pracy, by się zamęć, niedawno zaś stwierdził, że wszechobecna nie tylko na komendzie, ale i na całej wyspie południowa mentalność działa nań wręcz kojąco. Na dodatek bardzo polubił Oavel a, który nie szczędził starań, by ułatwić szefowi funkcjonowanie w środowisku równie obcym co życie na Marsie.

- Zapomniałem o małym. - Na wspomnienie wieczornych harców dwulatka Joe poczuł wyrzuty sumienia. Wskazał na telewizor i dodał ściszym głosem: - Posłuchaj.

Na ekranie znów pojawiła się rudowłosa dziennikarka.

Stała przed domem, gdzie popełniono zbrodnię, czyli (o ile Joego pamięć nie myliła) Old Taylor Place. Sprawa, której dotyczył program, stanowiła jedyne niewyjaśnione morderstwo w historii wyspy i z tego powodu przykuła jego uwagę. Baczenie oglądał skąpane w słońcu otoczenie: przerośnięte, białe-różowe oleandry wokół werandy i kępę strzelistej turówki po lewej stronie dziennikarki, cały czas rejestrując cichy szmer oceanu, ów wieczny akompaniament życia na wyspie Pawleys.

- Policja przeprowadziła dochodzenie - mówiła rudowłosa -lecz nigdy nie wpadła na trop mordercy. W miarę upływu lat ginęły dowody, wspomnienia świadków zacierają się coraz bardziej, a detektywi musieli się zająć innymi, bieżącymi sprawami. Jednakże rodziny dziewcząt nie zapomniały. Wciąż czekają, aż sprawiedliwości stanie się zadość. Niektórzy mówią, że czekają na to również same dziewczęta. Podobno ich duchy nadal blakają się w miejscu, gdzie ostatni raz widziano trzy nastolatki żywe, czyli w tej oto okazałej posiadłości w sercu wyspy Pawleys.

Ekran wypełniła panorama wyspy z lotu ptaka. Ujęto w niej wszystkie szczegóły, które czyniły Pawleys idealną

miniaturą raju: szafirową przestrzeń oceanu, plaże z piaskiem białym jak śnieg, szybujące mewy i czaple płynące po bezchmurnym, lazurowym niebie, a także soczystą zieleń niemalże tropikalnej roślinności, małe, pastelowe bungalowy skupione pośrodku wyspy jak posypka na torcie oraz nieco okazalsze, kilkukondygnacyjne letnie domki położone wzdłuż linii brzegowej, pamiętające czasy sprzed epoki klimatyzacji, a w wielu wypadkach także wojny secesyjnej. Wkrótce po przyjeździe Joe ochrzcił to miejsce mianem zakątka zapomnianego przez czas: według niego to określenie pasowało jak ulał.

A na dowód tego, co tutejsze życie robiło z człowiekiem, ów stan rzeczy budził w nim coraz mniejsze zdziwienie.

Ruda rozgadała się na całego.

- Rodzina Schultzów sprzedała nieruchomości dwa lata po śmierci Tary i zaginięciu Lauren oraz Becky. Od tamtej pory w domu mieszkały cztery rodziny, lecz żadna z nich nie zagrzała długo miejsca. Żadna też nie pozostała tu dłużej niż pół roku. Od trzech lat posiadłość jest wystawiona na sprzedaż, ale dotąd nie pojawił się żaden chętny. Dlaczego? Ponieważ okoliczni mieszkańcy twierdzą, że dom jest nawiedzany przez ducha Tary Mitchell. I choć ciała pozostałych nigdy nie zostały odnalezione, a rodziny wciąż żyją nikłą nadzieją na powrót dziewcząt, podobno straszą tu również duchy Lauren Schultz i Rebeki Iverson. Kamera pokazała wnętrze białej kuchni. Przy stole ustawionym pośrodku pomieszczenia siedziała para czterdziestolatków wraz z dwójką nastoletnich dzieci. Wszyscy czworo intensywnie wpatrywali się w obiektyw.

Ruda stanęła przy nich i dalej mówiła do kamery.

- Są ze mną Paul i Susan Cook oraz ich dzieci, dwunastoletni Ben i czternastoletnia Elizabeth. Cztery lata temu państwo Cook kupili Old Taylor Place i byli ostatnią rodziną, która w nim mieszkała. - Dziennikarka zwróciła się do Cooków. - Spędziliście tam zaledwie sześć tygodni, prawda? Czy możecie nam zdradzić, co zdecydowało o przeprowadzce?

- Stało się to za sprawą Elizabeth - powiedział Paul Cook.

Kamera pokazała dziewczynkę: była drobna i ujmująca raczej niż ładna: ciemne włosy, piegowaty nos i aparat na zębach. Włosy związała w kucyk nisko nad karkiem. Miała na sobie białą bluzkę zapinaną na guziki.

- Nocą przychodziły do mojego pokoju - oznajmiła cichym głosem Elizabeth. - Teraz wiem, że to były one, tamte trzy dziewczęta. Ale wtedy nie miałam pojęcia, co się dzieje. Widzi pani, spałam, po czym ni stąd, ni zowąd się budziłam, w sypialni było strasznie zimno i czułam, że nie jestem sama. Początkowo słyszałam tylko kroki, jakby ktoś chodził po pokoju. I... czasem szafa się otwierała i zamykała, nawet gdy zamykałam ją starannie przed snem. Parę razy usłyszałam, jak chichoczą. Kiedyś mi się wydawało, że jedna z nich przysiadła na łóżku. Materac ugiął się lekko i zakółsał, a do tego ta ... obecność. - Elizabeth zadrżała. - Mówiłam o tym mamie, ale powtarzała, że pewnie miałam zły sen. Kazała mi tylko zamknąć oczy i spać dalej. Wreszcie ... wreszcie je zobaczyłam. Był środek nocy. Usłyszałam ich głosy, otworzyłam oczy i zobaczyłam, że stoją przy łóżku i na mnie patrzą. Widziałam zarys ich postaci. Były bardzo blade i miały czarne plamy zamiast twarzy.

Urwała i zaczerpnęła tchu; kamera odjechała do tyłu i widzowie mogli zobaczyć, jak matka ujmuje dziewczynkę za rękę•

- Elizabeth bała się od pierwszej nocy - uzupełniła kobieta. Susan Cook, atrakcyjna brunetka, drobna jak córka, miała krótkie, postrzępione włosy i błękitne oczy; była ubrana w niebieską bluzkę. - Dochodziło do tego, że kładłam się z nią razem i czekałam, aż zaśnie. Przenieśliśmy się na wyspę Pawleys z Ohio i nie mieliśmy pojęcia o wydarzeniach, które rozegrały się w tym domu. Dowiedzieliśmy się później, że pokój Elizabeth należał dawniej do Lauren Schultz. Ale na początku nic o tym nie wiedziałam i gdy moja córka zaczęła opowiadać te historie o duchach, uznałam, że ponosi ją wyobraźnia. Dokładnie pamiętam naszą ostatnią noc. Około drugiej nad ranem usłyszałam przeraźliwy krzyk Elizabeth. Paul i Ben pojechali na biwak, byliśmy same. Zerwałam się z łóżka i pobiegłam do jej pokoju, żeby sprawdzić, co się stało. Rozhisteryzowana leżała w łóżku. Myślałam, że coś jej się przyśniło i położyłam się obok, próbując ją uspokoić. Wtedy się zaczęło.

- Co takiego? - zapytała ruda.

- Łóżko się zatrzęsło - odpowiedziała pani Cook. Wraz z córką wciąż ścisnęły się za ręce, aż im kostki zbiały. - Elizabeth i ja leżałyśmy obok siebie, a ono dygotało jak w czasie trzęsienia ziemi, tak strasznie, że lustro nad komodą stuknęło o ścianę. Nagle łóżko uniosło się nad podłogą. Zaczęło lewitować.

- Potem usłyszałyśmy, jak krzyczy - dodała Elizabeth.

- Kto? - spytała ruda.

- Tara Mitchell - odpowiedziała dziewczynka. Wstrząsnął nią dreszcz. - Wiem, że to była ona. To znaczy, teraz już wiem. To brzmiało tak, jakby ktoś ją mordował, tu i teraz.

Jej matka potrząsnęła głową.

- Nie wiemy, czy to była Tara Mitchell. Nie wiemy, kto krzyczał. Nie mamy żadnej pewności: Wiemy tylko, że to brzmiało jak krzyk młodej dziewczyny. I dosłownie mroziło krew w żyłach. I... i zdawało się, dobiegać z pierwszego piętra, spod podłogi sypialni Elizabeth.

- Tam, gdzie zamordowano Tarę Mitchell - dodała Elizabeth. Poblądła na twarzy i spojrzała wytrzeszczonymi oczami na matkę, która mocniej ścisnęła jej palce.

- Zadzwoniliśmy na policję - podjęła pani Cook. - Przyjechali, przeszukali dom, ale nic nie znaleźli. Oni pierwsi opowiedzieli nam o tamtych wydarzeniach. Podobno nie tylko my doświadczyłyśmy owych dziwnych zjawisk. Wychodzi na to, że doświadczył ich każdy, kto zamieszkał w domu po Schultzach. I wszyscy słyszeli krzyki.

Umilkła, biorąc głęboki oddech.

- Tak czy siak, to przesądziło sprawę - wtrącił pan Cook. - Żona z córką oznajmiły, że nie spędzą tam ani jednej nocy dłużej. Musieliśmy się wyprowadzić. Nie chciały nawet zostać na wyspie i musieliśmy się przenieść do Charlestonu. Po dłuższym czasie udało nam się sprzedać dom, ale sporo na tym straciliśmy.

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadczyła pani Cook. - Nie było mowy, żebyśmy tam zostali. W życiu się tak nie bałam. To miejsce jest nawiedzone. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Na ekranie ponownie zjawiła się rudowłosa.

- Jak słyszeliście, państwo Cook nie są jedynymi świadkami nieco dziwnych wydarzeń w Old Taylor Place.

Kamera objęła szerszą perspektywę, dzięki czemu telewidzowie mogli zobaczyć, że dziennikarka znów stoi na zewnątrz, na tle białego, oszalanego budynku. Obok niej tkwił przyszczaty nastolatek w czapce baseballowej i zielonym podkoszulku z reklamą firmy ogrodniczej.

- Jest ze mną Thomas Bell, który pracuje w firmie pielęgnującej trawniki. - Podstawiła mikrofon chłopakowi

pod nos. - Tom, czy mógłbyś nam opowiedzieć, co ci się przytrafiło?

Nastąpiło zbliżenie i widać było, że chłopiec nerwowo przetyka ślinę.

- No, to było w sierpniu zeszłego roku, w czwartek. Pracowałem do późna, bo chciałem oblać wszystkie trawniki, żeby w piątek wcześniej iść do domu. Dotarłem na miejsce, hm, około dziewiątej wieczorem.

Właśnie zaczynało się ściemniać. To porządny kawał terenu, z mnóstwem drzew, ale uwinąłem się w jakieś czterdzieści pięć minut. Kiedy skończyłem, było już prawie całkiem ciemno, ale jeszcze co nieco widziałem i gdy przechodziłem koło garażu, zobaczyłem, że ktoś idzie w moją stronę.

Kamera odjechała w tył i okazało się, że biała ściana jest frontem wolno stojącego garażu na trzy samochody. Sprawiał wrażenie starego i zrujnowanego, a automatyczne drzwi wyglądały tak, jakby miały lada chwila upaść.

- Najpierw widziałem tylko sylwetkę. W domu nikogo nie było, stał pusty, odkąd zacząłem kosić tutaj trawę, więc zdziwiłem się, kto tu może łązić. - Kamera ukazała wąski podjazd, wijący się wśród sosen w stronę ulicy. - Wtedy zobaczyłem, że to dziewczyna. Miała długie blond włosy i była ubrana w niebieskie dżinsy i jasny podkoszulek. Szła w moim kierunku jak gdyby nigdy nic. Myślałem, że chce coś powiedzieć i na wszelki wypadek wyłączyłem spryskiwacz. Była już wtedy bardzo blisko, dokładnie tam, obok tamtej sosny.

Wskazała na strzeliste drzewko, rosnące w odległości niespełna dziesięciu metrów od garażu.

- Patrzyła prosto na mnie, dając słowo. I nagle ... znikła. Dosłownie rozpułyła się w powietrzu. - Przełknęła ślinę. - To było strasznie dziwne.

- Co wtedy zrobiłeś, Tom? - spytała ruda.

Chłopak uśmiechnął się głupawo i wbił ręce w kieszenie.

- Wrzasnąłem, rzuciłem spryskiwacz i dałem dyla, jakby się paliło. Przysięgłem, że moja noga więcej tutaj nie postanie. I dotrzymałem słowa, aż do dzisiaj. Harvey ... nasz szef ... musiał kogoś przysłać po moje rzeczy.

- Myślisz, że co widziałeś, Tom?

- Nie ma żadnego "myślenie" - odpowiedział. - Niech się ze mnie śmieją ... niektórzy z kumpli uznali to za przedni kawał... ale ja wiem, że widziałem ducha. I to tak wyraźnie, jak teraz widzę panią.

Nastąpiło ponowne zbliżenie twarzy dziennikarki i rudowłosa odezwała się prosto do kamery.

- Pokazaliśmy Tomowi sześć zdjęć młodych, długowłosych blondynek, kilka z nich mieszka obecnie w pobliżu Gld Taylor Place. Byliśmy ciekawi, czy rozpozna w którejś widzianą przez siebie osobę. - Kamera raz jeszcze odjechała w tył, obejmując chłopca i dziennikarkę. Wciąż stali przed garażem i Tom Bell trzymał przed sobą fotografię. - Czy na tym zdjęciu znajduje się dziewczyna, którą widziałeś, Tom?

- Tak, proszę pani - padła odpowiedź.

- Jesteś pewien?

- Jak dwa razy dwa cztery, proszę pani.

- Rozumiem - odpowiedziała reporterka z lekkim uśmiechem. Nastąpiło zbliżenie fotografii i ekran wypełniła uśmiechnięta twarz nastoletniej blondynki. Joe również pamiętał to zdjęcie. Poczł lekkie ukłucie litości, a może smutku, bo dziewczyna beztrudko uśmiechała się do obiektywu, nieświadoma potwornych okoliczności, w jakich wkrótce zakończy się jej krótkie życie.

- To zdjęcie Tary Mitchell- powiedziała zza kadru rudowłosa. - Zrobiono je tydzień przed śmiercią.

Trzasnęły drzwi kuchenne. Joe i Dave jednocześnie podskoczyli na swoich miejscach i obejrżeli się do tyłu.

- Wróciłam! - zawołała Amy, z hałasem odstawiając siatkę z zakupami.

- Już do ciebie idę, skarbie - odkrzyknął Dave. Zadzwoił telefon. Jeden z aparatów stał na stoliku obok kanapy i Joe skrzywił się mimowolnie, kiedy piskliwy dźwięk na chwilę zagłuszył słowa płynące z telewizora.

- Czy ktoś może odebrać? - wrzasnęła Amy. - Mam zajęte ręce.

- Ja odbiorę. - Dave sięgnął po słuchawkę. - Halo? Joe usilnie próbował skupić się na programie.

Reporterka dalej stała przed domem, ale już bez chłopaka.

- Dziś wieczorem w programie "Na tropie tajemnic" spróbujemy rozwikłać zagadkę śmierci Tary i tajemniczego zaginięcia jej koleżanek - oznajmiła.

- To do ciebie, Joe. Burmistrz. - Dave podał mu słuchawkę.

Joe stłumił irytację.

- Cześć, Vince - powiedział.

Rzeczony Vince naprawdę nazywał się Vincent Capra i podobnie jak Joe był dawnym policjantem z Jersey, który znalazł wytchnienie na spieczonym przez słońce skrawku łądu o nazwie wyspa Pawleys.

Siedem lat wcześniej, jako pięćdziesięcioletni przeszedł na emeryturę i przeniósł się wraz z żoną Ann do swojego letniego domku na wyspie. Lecz niespokojny duch rdzennego mieszkańca Jersey odmówił asymilacji. Organicznie niezdolny do przyjęcia tutejszej filozofii pod hasłem "co możesz zrobić dziś, zrób jutro", Vince dokupił kilka domków na wynajem, podburzył (choć to może za duże słowo) tubylców do walki z siecią hoteli, która próbowała zmonopolizować lokalny rynek turystyczny, wybudował własny nadmorski pensjonat i wreszcie został burmistrzem. Gdy po katastrofie, która wstrząsnęła jego życiem, Joe potrzebował ustronnego miejsca, aby wylizać rany, kilku chłopaków z wydziału postanowiło zadzwonić do Vince'a. Reszta, jak to się mówi, była historią.

- Oglądasz telewizję? - ryknął mu do ucha Vince. Joe zauważył mimochodem, że mimo upływu lat burmistrz nie zatracił akcentu z Jersey.

- Aha - odmruknął, nie odrywając wzroku od telewizora.

- Kanał ósmy? Ten główny program kryminalny?

-No.

- Śledztwo utknęło w martwym punkcie - mówiła dalej ruda. - Zastosowanie najnowszych technik kryminalistycznych również nie przyniosło spodziewanych rezultatów. Sprawa pozostała nierozwiązana.

- To o nas - oświadczył z oburzeniem Vince. - Ona gada o nas! Stoi przed Old Taylor Place. - Tak, wiem.

- Kurde, to nie do wiary.

- Ale nasi wierni widzowie wiedzą - ciągnęła ruda - że "Na tropie tajemnic" nigdy nie daje za wygraną. Dziś posuniemy się dalej niż policja, przekroczymy granice nauki i spróbujemy dowiedzieć się prawdy z ust samych ofiar. - Wzięła głęboki oddech, wyraźnie przejęta tym, co zaraz powie. - Poprosiliśmy Leonorę James, słynne medium, aby spojrzała w zaświaty i spróbowała nawiązać kontakt z Tarą, Lauren i Becky. Dziś o dwudziestej pierwszej na kanale ósmym Leonora James przeprowadzi transmitowany na żywo seans spirytystyczny w domu, gdzie zamordowano Tarę i ostatnio widziano przy życiu Lauren oraz Becky.

- Czy to aby zgodne z prawem? - dopytywał się Vince.

- Nie muszą mieć pozwolenia?

- Bo ja wiem - odparł Joe. - To ty jesteś burmistrzem.

- Czy to znaczy, że powinienem wszystko wiedzieć? - I dodał stłumionym głosem, chyba do Ann: - Zadzwoń do Lonnie Meltzer, dobrze? (Lonnie Meltzer była miejscowym prawnikiem). Sprawdź, czy nie potrzebują zezwolenia.

- Jest to pierwszy przypadek w historii telewizji, kiedy seans spirytystyczny zostanie przeprowadzony na żywo celem ustalenia tożsamości mordercy - podjęła ruda. - Widzowie przed telewizorami będą mieli okazję dowiedzieć się wszystkiego z pierwszej ręki. Dziś o dwudziestej pierwszej, pół godziny po zakończeniu tego programu, zapraszamy wszystkich przed telewizory na spotkanie z Leonorą James, która wykorzysta swoje umiejętności celem rozwikłania zagadki tajemniczej zbrodni. - Na twarzy dziennikarki pojawił się pełen napięcia uśmiech. - Mówiła do was Nicole Sullivan. Do zobaczenia o dwudziestej pierwszej w specjalnym wydaniu "Na tropie tajemnic".

Nastąpiła przerwa na reklamy.

- Psiakrew - zaklął Vince. - Nie potrzeba nam takiego rozgłosu. Cholerne potrójne morderstwo! I to w przededniu sezonu! Ciekaw jestem, czy ona to z kimkolwiek uzgodniła. Czy w ogóle ktoś o tym wszystkim wiedział?

Joe pomyślał, że nie chciałby być w skórze tej osoby.

- Skoro będą nadawać na żywo od dziewiątej - zauważył logicznie, ignorując grad pytań burmistrza - to pewnie są już na wyspie.

Dochodziło wpół do dziewiątej.

- Święta Maryjo i Józefie - stęknął Vince. - Na co komu te bzdety? Spotkajmy się tam za dziesięć minut.

- Dobrze.

Joe odłożył słuchawkę i wstał z kanapy. Zapomniany pilot spadł z łoskotem na podłogę. Pomny swego innego, większego problemu Joe schylił się, aby podnieść pilota, i odkładając go na miejsce, zerknął chyłkiem przez ramię. Ani śladu Briana. To dobry znak. Bardzo dobry. Mimowolnie zawiesił wzrok na swoim odbiciu w lustrze zawieszonym nad kanapą. Trzydzieści sześć lat, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, gęste, czarne, kędzierzawe włosy. Był chudy, szczuplejszy niż kiedykolwiek, a spodnie w dawnym rozmiarze wisały na nim jak worek. Mimo umięśnionej, barczywej sylwetki, pod sfatygowaną koszulką wyraźnie odznaczały się obojczyki. Twarz pozostała niezmienną: krzaczaste brwi nad piwnymi oczami, długi, prosty nos, usta ani wąskie, ani zbyt wydatne. Był nawet opalony, ale to zasługa wiecznie przygrzewającego na wyspie słońca. Opalenizna skutecznie maskowała dwie pozarpane blizny tuż nad lewą skronią. Może tylko rysy trochę się wyostrzyły, a oczy zaparły się głębiej

w czaszkę i skryły w cieniu. Wyglądał jak starsza, stwardniała wersja siebie, która zapadła mu w pamięć. Wyglądał jak ktoś, kto czuje się prześladowany.

Cóż, pomyślał z lekkim grymasem. Ostatecznie wcale nie było to takie znowu dalekie od prawdy.

- Czy nasza popularność medialna jest burmistrzowi nie na rękę? - spytał Dave, wyrывая go z niewesołych rozmyślań.

- Sądzi, że źle wpłynie na interesy. Chodź, musimy tam jechać. - Joe odwrócił się od lustra i ruszył ku drzwiom. - Czy ktoś o tym wiedział?

- Ja nie. - Dave również skierował się do wyjścia.

- Kolacja za pięć minut - oznajmiła Amy, stając na progu pomiędzy kuchnią a salonem.

Ta mocno opalona i umiarkowanie atrakcyjna szczupła blondynka o podejrzenie dużym biuście zdecydowanie miała już swoje lata. Ubrana była w kuse szorty, zawiązaną w talii koszulę w błękitną kratkę oraz białe klapki na wysokich obcasach. Jednym spojrzeniem oceniła sytuację i podparła się pięściami pod boki. Wycelowała w obu mężczyzn ostre spojrzenie starannie umalowanych niebieskich oczu. Biorąc pod uwagę fakt, że próbowali wymknąć się z domu, skrzętnie omijając kuchnię, w której tkwiła aż do tej chwili, Joe w sumie nie miał Amy za złe tego, że się zirytowała.

- Chyba nie zamierzacie teraz wyjść, co? - spytała podejrzliwie.

Dave przystanął w pół kroku i rzucił jej przestraszone spojrzenie.

- Praca - usprawiedliwił się lekko zduszonym głosem.

- Nagły wypadek - pospieszył mu na odsiecz Joe. Pod świdrującym spojrzeniem kobiety Dave zastygł jak zajęty zdybany przez psa. Joe pchnął go w stronę drzwi i naciśnął klamkę.

- Ale co z kolacją? - spytała Amy.

- Zaraz wrócimy - obiecał desperacko Dave, podczas gdy Joe wypychał go na betonowy taras. - Góra pół godziny. Zmniejsz tylko ogień.

Trzasnęły zamykane drzwi. Gdzieś z głębi domu dał się słyszeć płacz dziecka.

- Jeszcze czego! - wrzasnęła. - Ty ...

Dave skulił się pod gradem obelg, które doleciały aż na ulicę. Zmrok jeszcze nie zapadł i niektórzy sąsiedzi z jego schludnego, ładnego osiedla rustykalnych domków powstałych tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej wciąż przebywali na zewnątrz. Dzieci biegające w ogródkach i polewające się wodą z gumowych pistoletów nie zwróciły uwagi na niecenzuralne pogroźki Amy, ale starsze małżeństwo na leżakach po drugiej stronie ulicy miało dosyć niepewne miny, a kobieta wioząca dziecko na rowerze obrzuciła Dave'a zdegustowanym spojrzeniem.

- Rany Julek - sapnął, kiedy jego własne frontowe drzwi zatrzasnęły się wreszcie z hukiem, zagłuszając tyrańcę, i dotarli do terenówki Joego, zaparkowanej przy ulicy. Pomachał bez przekonania sąsiadom na leżakach i uśmiechnął się przepaszająco do rowerzystki, po czym z nieszczęśliwą miną obszedł samochód. Wymienili spojrzenia i Dave się skrzywił, jakby połknął cytrynę. - Kobiety. Co z nimi począć?

- I dodał ponuro: - Da mi popalić, mam to jak w banku.

Joe miał ochotę powiedzieć swemu Numerowi Dwa, jak jego zdaniem powinien rozwiązać swoje problemy uczuciowe, lecz przypomniał sobie w porę, że udzielanie rad to nie jego specjalność. Przede wszystkim nie miał na to energii, a po drugie, po co się mieszać. Dave to duży chłópiec i sam się z tego wygrzebie.

Albo i nie.

Tak czy inaczej, dopóki problemy domowe nie rzutują na pracę tamtego, Joe nie powinien się nimi interesować.

Nagle zauważył, co wciąż ma na sobie jego zastępca.

- Zdejmij ten cholerny fartuch, dobrze? - warknął, otwierając drzwi. - I wsiadaj. Mamy robotę.

Dave spojrzał po sobie, po czym zaczerwienił się i przez chwilę gmerał za plecami, by wreszcie zedrzeć fartuch. Zmiał go w rękę i wśliznął się do samochodu. Joe już siedział za kierownicą. Włączył silnik i utkwiał ponuro

spojrzenie za szybą. Z chwilą gdy Dave zasiadł na fotelu, Joe wrzucił bieg i ruszywszy z miejsca, skierował się na zachód.

Dave rzucił fartuch przez ramię i sięgnął po pas. Oczywiście nie miał zielonego pojęcia, że wzgardzony kawałek materiału wylądował tuż obok Briana, który z szerokim uśmiechem sadowił się na tylnym siedzeniu.

2

- Złe wieści, Nick. Mama mówi, że nie da rady - rzuciła zdawkowo Livvy, tak jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

Nicole Sullivan, która właśnie wpadła jak burza do matczynej chatki na wyspie Pawleys, stanęła jak wryta i z niedowierzaniem utkwiała wzrok w starszej siostrze. Livvy siedziała przy prostokątnym stole w tradycyjnie zaśmieconej kuchni i wyjadała lody czekoladowe z bakaliami prosto z pudełka. U sufitu leniwie obracał się stary wiatrak, którego rytmiczny furkot stanowił tło dla huczącego telewizora. Pochodząca z lat sześćdziesiątych kuchnia utrzymana była w tonacji złota i awokado, z blatami z laminatów oraz linoleum na podłodze. Fluorescencyjne świetlówki w osłonach z mrożonego szkła miały czysto funkcjonalne walory, a ich blask trudno by nazwać korzystnym. Innymi słowy, mało kto wyglądał w kuchni atrakcyjnie, jednakże wygląd siostry przyprawił Nicky o niemały wstrząs. Zwykle opalona i pociągła twarz Livvy była blada i okrągła jak księżyc 'w pełni. Staranny paż w jednolitym odcieniu blond ustąpił miejsca niechlujnemu koczowskiemu na czubku głowy, (Nicky nie wierzyła własnym oczom) na kilometr straszącemu odrostami, a niegdyś drobne, sterczące piersi wprost rozpychały jaskraworóżową tunikę ciężową. Stół zasłaniał resztę, ale Nicky zrozumiała, że matka bynajmniej nie przesadziła, mówiąc, że Livvy (będąca w siódmym miesiącu ciąży i w trakcie rozwodu z draniem, który ją porzucił dla innej kobiety) wygląda, delikatnie rzecz ujmując, nie najlepiej.

- Jak to: nie da rady? - Nicky ruszyła w stronę pokoju mamy, czyli jedynej sypialni na parterze. Siostrą zajmie się później. Kwestia matki wymagała natomiast natychmiastowej interwencji. - Musi. Wystąpi na żywo za dwadzieścia pięć minut.

- Nicky, chwala Bogu, że jesteś!

Z sąsiedniego pokoju wyszła Karen Wise, jedna z niezliczonych asystentek reżysera programu "Na tropie tajemnic". Pewnie prowadziła tam desperackie rozmowy telefoniczne w stylu "co mam robić?"; z powodu jednego z tych telefonów Nicky musiała przed chwilą zawrócić z drogi do Old Taylor Place i przyjechać na złamanie karku do domu matki. Karen miała dwadzieścia dwa lata, krótko przycięte czarne włosy, których ułożenie wymagało minimum wysiłku, prawie czarne oczy, gładką oliwkową skórę oraz drobną, smukłą sylwetkę nadającą jej wygląd nastolatki. Wraz z Mariem Gardą (włosy i makijaż) została oddelegowana do Twybee Cottage (wszystkie stare domy na wyspie Pawleys nosiły jakieś nazwy, dom matki Nicky nazywał się właśnie Twybee Cottage) w celu przygotowania do występu gościnnie występującej gwiazdy i odtransportowania jej na plan.

- Mówi, że się rozmyśliła. Uparła się i ani rusz. Nic z tego:

- Nie ma mowy - oznajmiła Nicky, idąc dalej. Słowa "trudna" i "matka" były w tym wypadku synonimami. Na szczęście jednak w miarę upływu lat (konkretnie dwudziestu dziewięciu) Nicky nauczyła się brać byka za rogi.

- Nicole! Skarbie! Prześlicznie wyglądasz!

Na dźwięk kroków Nicky wujek Ham wybiegł z pokoju i z szerokim uśmiechem rozłożył ręce, chcąc zatrzymać ją w przedpokoju pod pretekstem powitania. Miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, był zgarbiony i szczupły, jeśli nie liczyć lekko zaokrąglonego brzuszka. Zagorzały wielbiciel filtrów przeciwsłonecznych (przy jasnej cerze to podstawa, wielokrotnie przypominał Nicky) w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat mógł się poszczycić skórą jasną i gładką jak u niemowlaka. Miał przerzedzone rudawe włosy, piwne oczy, orli nos oraz wydatne, rybie usta (których szczerze nienawidził) i lekko cofniętą szczękę (której nienawidził jeszcze bardziej). Jak na lokalne warunki przejawiał wyjątkową dbałość o strój: dziś nosił przewiewne bermudy i koszulkę polo w odcieniu trawiastej zieleni, starannie włożoną w spodnie. Dzięki temu Nicky zrozumiała, że matka jeszcze do niedawna przynajmniej planowała wziąć udział w programie, mającym wspomóc cokolwiek niepewną karierę telewizyjną córki.

- Z drogi, wujku Ham - oświadczyła niezłomnie, przeciskając się obok brata matki, inaczej znanego jako Hamilton Harrison James III, który właśnie próbował ją zamknąć w niedźwiedzim uścisku. Jej słowa wyraźnie odebrały mu pewność siebie. - Wiem, że tam jest.

- Ależ Nicky, ona mówi, że nie da rady ...

Nie zważając na protesty wuja, Nicky dopadła drzwi do sypialni matki i otworzyła je na oścież. Był to duży pokój utrzymany w przyjemnej kremowo-turkusowej tonacji, z wielkim łóżkiem ustawionym pod ścianą po lewej stronie oraz dużym oknem z widokiem na ocean. Nicky od progu skierowała tam wzrok.

Jedwabne, turkusowe zasłony były już zaciągnięte na wieczór i tworzyły marmeladowe tło dla jej pulchnej, ognistowłosej matki, która siedziała na jednym z dwóch kremowych, aksamitnych foteli, oddychając do papierowej torebki, podtrzymywanej przez Johna Cartera Nasha, wieloletniego partnera wuja Hama.

- Mamo! - Nicky popatrzyła na oboje ze złością. Nie żeby wuj John zasługiwał na takie spojrzenie.

Rzeczywiste źródło problemu nie pozostawiało najmniej szczypliwości.

- Nicky! - Matka i wuj John podskoczyli jak na kłopot, opuścili torebkę i spojrzeli nerwowo na nowo przybyłą. - Twoja matka nie da rady. Tylko popatrz: na samą myśl o występie jest tak zestresowana, że zaczyna się hiperwentylować - powiedział John.

Był rówieśnikiem Hama, lecz stanowił jego skrajne przeciwieństwo: krótko ostrzyżony, czerstwy blondyn opalony na heban, o twarzy pokrytej głębokimi zmarszczkami mimicznymi i muskularnym ciele maniaka fitnessu. On również ubrany był jak do wyjścia, w elegancką czarną koszulę i płócienne spodnie khaki.

- Musi - odparła bezlitośnie Nicky, świdrując matkę nieprzejednanym spojrzeniem.

Matka, czyli Leonora James, sławne medium i niegdyś gwiazda efemerycznego programu telewizyjnego, autorka niezliczonych książek o kontaktach z "drugą stroną", ceniona konsultantka policji oraz prywatnych klientów, otrzymująca co miesiąc dziesiątki listów od fanów, rozpaczliwie pomachała wypielęgnowanymi dłońmi.

- Ach, Nicky! Ja chyba ... chyba mam blokadę! - jęknęła, trzepocząc kąpiącymi od tuszu rzęsami.

- Że co? - Nicky popatrzyła na nią w osłupieniu. A to dobre. Żeby nie powiedzieć odkrywczym! Ale nie miała czasu, by docenić pomysłowość matki. Czas płynął nieubłaganie i w grę wchodziła jej kariera.

Złowroźnie przymrużyła oczy. - To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Nie ma czegoś takiego jak blokada i ty dobrze o tym wiesz! A jeśli nawet jest, nic mnie to nie obchodzi. Masz być na planie za ... - zerknęła na zegarek - ... dwadzieścia dwie minuty. Weź się w garść. Musimy jechać.

I bez ceregieli ujęła matkę za łokieć.

- Ty nic nie rozumiesz - broniła się Leonora, nie ruszając się z fotela ani o milimetr. Wuj John, wciąż trzymając

papierową torebkę, z bezsilnym okrzykiem cofnął się o krok. Nicky ujrzała kątem oka, że wuj Ham od progu śledzi sytuację. Za nim tkwili z zatroskanymi minami Karen i Mario, którzy też nadstawiali uszu.

No ładnie, pomyślała Nicky. Musiała zmierzyć się z matką w obecności takiego audytorium.

- Ależ rozumiem - zapewniła pozornie łagodnym tonem i usiłując nie wypaść z roli kochającej córki, dalekią ciągnęła matkę za łokieć, bez większego rezultatu zresztą. - Masz tremę. Przejdzie ci, jak tylko staniesz przed kamerami, zobaczysz.

Zgodnie z przewidywaniami Nicky obrażona Leonora wcisnęła się głębiej w fotel.

- Nie mam tremy. W życiu jej nie miałam. Powtarzam ci, to blokada.

Nicky stłumiła obraźliwe słowo. Znała legendarny upór matki, toteż obecna sytuacja wcale nie powinna jej dziwić. Było jasne, że Leonora naprawdę szykowała się do występu: włożyła fioletowy, połyskliwy kaftan i obwiesiła się złotą biżuterią, a krwistoczerwona szminka na ustach i smoliste kreski na powiekach zapewne zyskałyby uznanie nawet Kelly Osbourne. Ale nie wiedzieć czemu zmieniła zdanie i mimo heroicznego wysiłków córki tkwiła w fotelu jak przyklejona. Nicky nie miała nawet czasu, aby sobie robić wyrzuty: co też jej przyszło do głowy, żeby mieszać pracę z życiem osobistym. Tak jakby nie wiedziała, czym to grozi. Ale ...

- Mamo, posłuchaj. - Wzięła głęboki wdech, siłując się na spokój. Nie zacisnęła palców na ramieniu matki, nie zgrzytnęła zębami. Nie zdołała jednak ukryć złości. - Jeśli nie przyjdiesz, telewizja ci nie zapłaci. Jeśli ci nie zapłaci, nie będziesz mogła otworzyć z wujkiem restauracji. Pamiętasz, jak ci na tym zależało? Pamiętasz, jak zadzwoniłaś, żebym ci załatwiła fuchę? Co więcej, jeśli nie przyjdiesz, ja prawdopodobnie stracę robotę, bo sama wyskoczyłam z propozycją, żeby cię zaprosić. Wrócę na wyspę Pawleys, zamieszkamy razem i będziemy żyć z oszczędności dopóty, dopóki się nie wyczerpią. W końcu bank zarekwiruje dom, skończymy na bruku i będziemy głodować.

Dwie pary identycznych brązowych oczu spojrzały na siebie wyczekująco.

- Nie przesadzaj, Nicky. Zawsze miałaś skłonności do przesady - oznajmiła wreszcie matka.

I kto to mówił? Primadonna od siedmiu boleści, absolutny pępek świata! Nicky o mało nie przewróciła oczami, co (jak wiedziała z doświadczenia) raczej nie skłoniłoby matki do współpracy, a wywołałoby kolejny atak hysterii.

- Musimy już iść, mamo - powtórzyła, po raz kolejny ciągnąc ją za rękaw.

- Przecież ci mówię, że nie dam rady.

Wbrew swym zapewnieniom Leonora dała się jednak dźwignąć z fotela, artystyczny image skrywał bowiem na wskroś pragmatyczną duszę. Minęło osiem lat, odkąd jej program zdjęto z wizji. Była wówczas u szczytu sławy, obecnie niestety dawno już przygasłej. Zważywszy na katastrofalną sytuację na giełdzie oraz marne tantiemy, które skurczyły się do paru tysięcy rocznie, rozpaczliwie potrzebowała gotówki. Na szczęście dla Nicky nawet medium musi mieć co włożyć do garnka - i opłacić rachunki.

- Odkąd zobaczyłam, jak Harry (Harry Stuyvescent był jej trzecim mężem; zapewne siedział teraz przed telewizorem w garażu i obojętny na zamieszanie oglądał kanał sportowy) idzie do mnie cały zakrwawiony, nie miałam ani jednej wizji.

Rzeczony "wizje" stanowiły jeden z darów (bądź przekleństw, w zależności jak na to spojrzeć) ludzi obdarzonych zdolnościami paranormalnymi. Nicky pamiętała, jak matka zadzwoniła do niej w Wielkanoc cała we łzach, że jej ukochany Harry ani chybi skona niedługo w straszliwych okolicznościach, ponieważ "ujrzała" go całego we krwi.

Rzeczywiście, "zobaczyła" też swego pierwszego męża, Neala Sullivana, ojca Nicky i Livvy, leżącego w łóżku, przemoczonego do nitki. Było to tydzień przed tym, jak utonął w wypadku na łodzi. "Zobaczyła" też swego drugiego męża, Charliego Hilla, który zamiast udać się na zapowiadaną delegację do Nowego Jorku, bawił na wyspach Bahama w towarzystwie sekretarki i przypłacił eskapadę rozwodem. Cóż, gdy chodzi o małżonków, wspomniane wizje istotnie przemawiały na korzyść zdolności Leonory, ale ...

- Harry dwa dni później oberwał w głowę piłką golfową, mamo. - Nicky zreflektowała się, że mówi przez zaciśnięte zęby. Bezskutecznie usiłowała rozluźnić szczęki. - Nic mu się nie stało. Ot, trochę krwi z tyciej ranki. Nawet obyło się bez szwów. Wrócił z pola o własnych siłach, przyłożył mokrą ścierekę i po kłopotcie. Sama mi o tym opowiadałaś. Pamiętasz, jaką sprawiło ci to ulgę? "A, to stąd ta wizja", powiedziałaś.

- Ale przez co musiałam przejść! - jęknęła Leonora. - Nie masz pojęcia, jak wpływają na mnie te obrazy. Zawsze byłaś taka niewrażliwa, Nicky. Gdybym nie była przy twoich narodzinach, i gdybyś nie wyglądała zupełnie jak ja, uznałabym cię za podrzutka.

Dobrze znana litania z dzieciństwa uderzyła w czułą strunę.

- Nie mam na to czasu - mruknęła ze złością Nicky, ciągnąc matkę w stronę drzwi.

Leonara, cięższa od córki o dobre sto kilo, mogła bez trudu zaprzeć się nogami w podłogę i nie zrobiłaby ani kroku dalej. Fakt, że z udawanym ociąganiem dała się ruszyć z miejsca, potwierdził tylko to, co Nicky podejrzewała od samego początku. Matka ani na chwilę nie zrezygnowała z udziału w programie. Chciała tylko za wszelką cenę skupić na sobie uwagę otoczenia. Innymi słowy, był to jedynie kolejny numer na arenie życia Leonory James.

- Dar nie przychodzi na zawołanie - protestowała, kiedy wuj Ham, Karen i Mario ustępowali im z drogi. Korytarz był długi i wąski, ze ścianami pomalowanymi na biało i drewnianą podłogą. Nicky w asyście Johna i Leonory przeleciała przez niego jak tajfun. Pozostali musieli prawie biec, by dotrzymać im kroku, w wyniku czego cała grupa wpadła do kuchni jak wystrzelona z procy.

- Wiem, mamo.

Goniąc resztkami cierpliwości, Nicky przezornie trzymała matkę za rękę i na wstępie spiorunowała wzrokiem Livvy, która zastygła z łyżką w połowie drogi do ust. Jeszcze tego brakowało, żeby siostra palnęła coś głupiego i pogorszyła sprawę.

- Kontakt następuje, kiedy ma nastąpić. Muszę to poczuć. A ... a tak się składa, że dziś ... nic nie czuję - oświadczyła Leonora.

Tym razem Nicky nie mogła się powstrzymać i przewróciła oczami niemal bez udziału świadomości. Na szczęście matka niczego nie zauważyła.

- Zawsze możesz poudawać - warknęła przez zęby. Ciszę przerwał syczący odgłos: to Livvy ze świstem wciągnęła powietrze.

- Ale walnęłaś - powiedziała.

Nicky nie musiała wcale patrzeć na matkę, by zrozumieć, że siostra trafiła w sedno: Leonora nadęła się w jednej chwili. Nicky poczuła, że przeholowała.

- Ja ... nigdy ... nie ... udaję - rzuciła jadowitym tonem Leonora.

- Oho - wtrąciła niemal wesoło Livvy.

- Zajmij się lodami. - Nicky nie wytrzymała, rzucając siostrze miazdzące spojrzenie.

Żałowała pochopnie wypowiedzianych słów. Zdarzało się bowiem, że producenci dawnego programu matki uciekali się do stosowania "efektów specjalnych" na użytek widzów. Dla Leonory nadal był to drażliwy temat.

- Nie muszę udawać. To byłoby poniżej mojej godności.

Tylko szarlatani udają.

- Wiem, mam. Przepraszam cię. Wiesz, że nie to miałam na myśli.

Tłumacząc się gęsto, wypchnęła matkę za drzwi, które zatrzasnęły się z hukiem, na wąski ganek biegnący wzdłuż tylnej ściany domu. Twybee Cottage znajdował się tuż przy plaży i podobnie jak wszystkie domki tego rodzaju na wyspie Pawleys stał tyłem do ulicy, zwrócony frontem w kierunku wydm i oceanu. Na zewnątrz panował już gęsty mrok i woda przybrała postać migotliwego pasa czerni, widocznego pomiędzy mirtowym żywopłotem a rogami domu. Szmer fal ginął wśród skrzeku rzekotek, cykania świerszczy i odgłosów innych stworzeń, które rozpoczęły już nocne harce. Na atramentowym niebie dryfował nisko blady dysk księżycy, a jego blask wydobywał z ciemności srebrzysty zarys żwirowej ścieżki. Wieczór na wyspie był przyjemnie ciepły, jak zwykle po niezbyt upalnym dniu, lecz nagły powiew bryzy od oceanu przyniósł zapach soli i zapowiedź nieuchronnych opadów. Wiatr zaszeleścił wśród liści olbrzymiej magnolii zacieniającej ganek i podjazd, a następnie rozwiął rude włosy Nicky. Skóra na jej twarzy i karku zwilgotniała od potu, chłodny podmuch sprawił jej wielką ulgę. Machinalnie uniosła głowę. Jestem w domu, przemknęło jej przez myśl. Pod wieloma względami ukochała to miejsce najbar dziej na świecie. Przebywając z dala od wyspy, często zapominała, jak głęboko w jej duszy tkwią zapachy i odgłosy dzieciństwa.

- A co miałaś na myśli, Nicole?

Kiedy matka zwracała się do niej tym imieniem - i takim tonem - Nicky wiedziała, że jest w niełasce. Tym razem czuła, że w pełni na nią zasłużyła. Podważenie talentów paranormalnych Leonory działało na tę ostatnią jak płachta na byka. Nicky dobrze o tym wiedziała.

Na swoje usprawiedliwienie mogła tylko powiedzieć, że stres zmącił jej umysł. Na szczęście wynajęta hon-da accord stała tuż pod gankiem. Nicky otworzyła drzwi po stronie pasażera, uprzedzając kolejny potok oskarżeń.

- Po prostu rób to, co zawsze i nie martw się o rezultat. Niech się dzieje, co chce. Jeśli nawiązesz kontakt, świetnie. Jeśli nie ... cóż, bywa i tak.

Leonora zastygła bez ruchu i spojrzała na córkę ze złością.

- Chcesz powiedzieć, że mam przez godzinę snuć się po pustym domu, powtarzając: linie, nic", "tutaj też nic" i "nic z tego, koledzy, duchy mają dziś ciekawsze rzeczy aniżeli pogaduszki z Leonorą"?

Nicky już zdążyła zapomnieć, że matka celuje w ironii.

- Daj spokój, mam. - I pociągnęła ją za rękaw.

- Myślisz, że chcę wyjść na idiotkę w programie na żywo?

- Nie wyjdiesz na idiotkę w programie na żywo. - Siłąc się na łagodną perswazję, Nicky upchnęła Leonorę na siedzeniu pasażera, a nawet się schyliła, aby umieścić jej nogi na dywaniku. - Jeśli, powtarzam, jeśli dziś wieczorem nic się nie wydarzy, wyjdiesz na medium, które bezskutecznie próbowało nawiązać kontakt z zaświatami. - Nicky wołała nie myśleć o seansie spirytystycznym na żywo, w którym nie pojawia się ani jeden duch. Polecą głowy, jak nic. A ściślej rzecz biorąc jedna, czyli jej. - Powiedz mi, ile przeprowadziłaś seansów? Założę się, że mogłabyś to zrobić nawet we śnie. Zawsze ci się udaje.

- Pewnie całe setki - odrzekła ponuro Leonora. Córka zapięła jej pas, powodowana nie tyle troskliwością, ile lękiem, że rodzicielka postanowi w ostatniej chwili czmychnąć z powrotem do domu. - Ludzie zawsze się domagają seansów. Nie zdają sobie sprawy, że kontakt z tymi, którzy przeszli już na drugą stronę, wcale tego nie wymaga. Seanse służą właściwie wyłącznie rozrywce. Przynajmniej te w ogólnie przyjętej formie, czyli grupka osób siedząca przy stole z zamkniętymi oczami i trzymająca się za ręce. - Ze wzgardą pociągnęła nosem. - Ja mam inne metody.

- Wiem. Po prostu rób, co do ciebie należy, i o nic się nie martw.

Zatrzasnąwszy drzwiczki po stronie pasażera, Nicky popędziła na drugą stronę, tak aby Leonora nie zdążyła pomyśleć, że teoretycznie może jeszcze wysiąść. Już sięgała do klamki, kiedy nagły huk drzwi wejściowych kazał jej podnieść wzrok. Karen z komórką przyciśniętą do ucha zbiegła po schodach z Mariem depczącym jej po piętach i skierowała się w stronę wynajętego niebieskiego neona, zaparkowanego przed garażem. W przelocie uniosła kciuk: Nicky odpowiedziała jej tym samym, wiedząc że gdyby matka to zobaczyła, ów gest drogo by ich kosztował. Kolejny łoskot obwieścił pojawienie się wuja Hama i wuja Johna, którzy również zbiegli po schodach. Nicky domyśliła się, że zmierzają w stronę własnego auta, przypuszczalnie zaparkowanego jak zwykle za podłużnym garażem na trzy samochody, usytuowanym pomiędzy domem a ulicą. Zamieniony w coś w rodzaju biura bądź warsztatu Harry'ego, garaż dawno stracił swoje pierwotne przeznaczenie. Drzwi trzasnęły po raz trzeci i na ganku pojawiła się Livvy. Wystarczył jeden rzut oka, by Nicky zrozumiała, że stół okazał się litościwy. Piersi to jeszcze nic.

Brzuch siostry był tak wielki, jakby biedaczka połknęła piłkę plażową. I to w całości.

- Nick! Nicky! Ja też chcę jechać, zaczekajcie! - zawołała Livvy, rozpaczliwie machając ręką. Puściła się biegiem, hałaśliwie człapiąc kłapkami po drewnianej podłodze wewnątrz.

Wiedzioną impulsem, by puścić wołanie siostry mimo uszu, Nicky poczuła nagły przypływ wyrzutów sumienia (diabli nadal) i ponownie uniosła wzrok, patrząc jak Livvy, wciśnięta w białe, elastyczne szorty, których przed

ciężą nie włożyłaby za nic w świecie, właściwie stacza się po schodkach. Niegdyś powszechnie uważana za najładniejszą dziewczynę na wyspie, idealna córka mająca idealnego męża i życie jak z bajki, Olivia zdążyła zakosztować gorzkiego smaku porażki. I choć w tych okolicznościach obecność siostry była Nicky niespecjalnie na rękę, nie miała serca jej zostawić.

- Ruchy! - warknęła pod adresem Livvy, widząc kątem oka, jak neon mija ich na podjeździe na pełnym gazie. Okruchy żwiru nie zdążyły jeszcze opaść w ślad za odjeżdżającym pojazdem, kiedy uwagę Nicky zwrócili wuj Ham i wuj John, którzy stanęli po obu stronach hondy, wskoczyli na tylne siedzenie i zatrzasnęli drzwiczki.

Tak po prostu, jak gdyby nigdy nic. Oślupiała Nicky zastygła z ręką w połowie drogi do klamki.

Życie na wyspie: istny cyrk. Jakim cudem mogła o tym zapomnieć? Wieczny zgiełk i zamieszanie były powodem, jednym z wielu zresztą, dla których obecnie rzadko gościła w domu. W przeciwieństwie do najbliższych nade wszystko ceniła sobie w życiu ład i zdrowy rozsądek.

- Chwileczkę - zaproponowała, siadając za kierownicą i spoglądając przez ramię na nieproszonych pasażerów. Darzyła obu wielką sympatią, wołała jednak w miarę możliwości ograniczyć stopień wszechogarniającego chaosu. Leonora sama w sobie stwarzała więcej zamętu aniżeli rozpędzony huragan. Do tego jeszcze Nicky miała na głowie siostrę ... - Livvy jedzie z nami. Nie ma miejsca. Szczęk otwieranych drzwi kazał jej umilknąć w pół słowa.

- Jakoś się ściśniemy - oznajmił wuj Ham, niezwłocznie wprowadzając zamiar w czyn.

Livvy usiadła na zwolnionym miejscu i zatrzasnęła drzwi. Biorąc pod uwagę jej masę, cała trójka siedziała z tyłu upakowana jak sardynki w puszcze, ale wyraźnie zadowolona. Zresztą nie było czasu na kłótnie. Za osiemnaście minut powinni się znaleźć na wizji.

Nicky wyraziła w duchu nadzieję, że ktoś już czuwa nad wszystkim na miejscu.

- Gdzie Marissa? - spytała, uruchamiając silnik. Matka miała swoje przyzwyczajenia i nie znosiła żadnych odstępstw od normy. Jak głosiło rodzinne porzekadło: "Jeśli Leonora nie jest zadowolona, nikt nie jest zadowolony".

- Wyszła - odparła lodowatym tonem marna. Zważywszy, że Marissa była jej długoletnią asystentką i wierną przyjaciółką, która zawsze dbała o ustalony porządek rzeczy, ów ton dobitnie świadczył, że ostatni atak gwiazdorstwa Leonory nie został przez nią potraktowany z należytą powagą.

- Pojechała do Old Taylor Place, żeby wszystko przygotować - wyjaśnił wuj Ham. - My mieliśmy przywieźć Leonorę.

Dobra robota, chłopaki, miała na końcu języka Nicky, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Ze swoją pozą królowej wszechświata matka stanowiła nie lada wyzwanie nie tylko dla wuja Hama, ale i dla większości ludzi.

- Pasy.

Nicky karkołomnie zawróciła na podjeździe, omal nie potracając męża swojej matki, który w tej samej chwili wyłonił się z garażu, najpewniej zwabiony zamieszaniem. Blask padający od drzwi oświetlał zarys jego wysokiej, barczystej sylwetki oraz gęstą czuprynę siwych włosów. Miał sześćdziesiąt siedem lat i był najładniejszym człowiekiem, jakiego знаła Nicky. Zapewne właśnie to pozwoliło mu przetrwać sześćdziesięcioletnie małżeństwo z Leonorą bez większego uszczerbku dla równowagi psychicznej.

Pomachała mu przez szybę. A gdy przedni zderzak hondy o parę centymetrów mijał granatową nogawkę jego spodni, Harry uśmiechnął się tylko i też pokiwał jej ręką. Potem straciła go z oczu i wcisnęła pedał gazu, aż okruchy żwiru uderzyły gradem w zamknięte okna.

- Ojej - stęknął wuj John, łapiąc z tyłu za jej fotel.

- Mogłabyś troszkę zwolnić, Nicky.

Zastosowała się do jego prośby, po czym skręciła na Atlantic Avenue, prosty i mało uczęszczany odcinek drogi, który znała jak własną kieszeń, w związku z czym ponownie dodała gazu. Uznała to za absolutnie konieczne. Czowała się spocona, rozgorączkowana i była równie gotowa, by stanąć przed kamerą, jak Livvy. Matkę zaś należało upudrować, udobruchać i wprowadzić w odpowiedni nastrój. I...

Zdjęta desperacją postanowiła uciąć niewesołe rozmowy do czasu, gdy dotrą na miejsce.

- Jeździ zupełnie jak ty - oznajmił z wyraźną naganą wuj John pod adresem wuja Hama. - I jak Leonora.

To przez te rude włosy. Jestem pewien, że przestawiają wam coś w mózgu. Postrzeleńcy, ot co.

- Akurat - odburknął wuj Ham. Nicky zgrzytnęła zębami. Jak większość par z długim stażem, ci dwaj lubili sobie docinać. Ona zaś wyjątkowo nie była w nastroju, by tego wysłuchiwać.

- W dodatku jesteście lekkomyślni - ciągnął niezrażony wuj John.

Nicky skręciła w lewo w South Causeway Road. Reflektory przecięły mrok, omiatając pas trawy wysokiej po kolana, kępę palm karłowatych oraz parę świecących oczu, należących do szopa albo oposa. Old Taylor Place stał na wzniesieniu tuż nad Salt Marsh Creek, zwrócony, fasadą w głąb łądu. Od Twybee Cottage dzieliło go może dziesięć minut jazdy, jeśli przestrzegać ograniczenia prędkości, czego naturalnie Nicky nie miała zamiaru robić. Seans bez duchów to pestka w porównaniu z programem na żywo, w którym prowadząca (czyli ona) i gwiazda (czyli jej matka) nie raczyły zjawić się na czas. Na samą myśl Nicky zdrząła i odruchowo docisnęła pedał gazu. Za oknami przelatywały osiedla nowszych, tańszych domków, słoczonych pośrodku wyspy z dala od absurdalnie drogich gruntów wzdłuż linii brzegowej. W większości paliły się światła, nadając im wygląd miniaturowej wioski bożonarodzeniowej.

_ Rude włosy narzucają określone skłonności genetyczne - oświadczył wuj John. - Na przykład mniejszą odporność na ból. Pokazywałem ci wyniki tych badań. I... _ Te badania to stek bzdur - uciął z irytacją wuj Ham. - Rude włosy oznaczają jedynie, że jesteśmy rudzi. Przynajmniej nasz kolor włosów jest naturalny. - Sugerujesz, że mój nie jest?

_ Sugeruję, że to "letni blond" Clairola.

_ Pudełko nie było moje i dobrze o tym wiesz. Tymczasem Livvy wciąż zmagala się z pasem bezpieczeństwa.

_ Uch, nie chce się zapiać. - Głośno wypuściła powietrze, jakby od dłuższej chwili wstrzymywała oddech. Rozpięty pas wrócił na swoje miejsce. - Nie pasuje. Jestem krową ... wielorybem. Chcę umrzeć. Uderzona autentyczną rozpaczą w głosie siostry, Nicky łypnęła na nią w lusterku wstecznym.

_ Na miłość boską, Liv - powiedziała. - Jesteś w siódmym miesiącu. Trudno, żebyś mieściła się w rozmiar trzydzieści osiem.

_ Ta ... ta suka nosi chyba trzydzieści cztery - zawyla Livvy.

Wszyscy obecni wiedzieli, że "ta suka" to kobieta, do której odszedł mąż Livvy.

_ Jesteś od niej ładniejsza - zapewnił wuj Ham, otaczając siostrzenicę opiekuńczym ramieniem. - Nawet mimo ...

Urwał, najwyraźniej zdając sobie sprawę z niestosowności tego, co zamierzał powiedzieć. Livvy, rozdęta, prze-wrażliwiona i nabuzowana wskutek działania hormonów, nie miała naj mniej szych problemów z uzupełnieniem dal-szego ciągu zdania.

- Nawet mimo takiej tuszy? - spytała głosem na granicy hysterii.

- Jakiej tuszy? - zawołali lojalnym chórem obaj wujowie oraz Nicky.

- Mojej! - Livvy wybuchnęła głośnym płaczem. - Jestem wielka jak cholerna stodoła, a wy dobrze o tym wiecie!

Z mroku wychynął znak stopu. Nicky w porę dostrzegła nadjeżdżający z boku samochód i zahamowała. Honda zatrzymała się z piskiem opon.

- Mamy szukać duchów, a nie dołączyć do ich grona - zauważył po chwili wuj John, usiłując przekrzyczeć łkanie Livvy. Ignorując jego, siostrę oraz wszystko prócz konieczności punktualnego dotarcia na miejsce, Nicky przepuściła samochód i skręciła w lewo. Jeszcze tylko kawałek. ..

- Doprawdy nie wiem, dlaczego dałam ci się na to na-mówić - jęknęła dramatycznie Leonora, wyraźnie obojętna na dobiegający z tyłu harmider. - Jeśli nie nawiążę kontaktu, nie ma mowy o seansie. Pocierała dłońmi ramiona, jakby chciała się rozgrzać.

Nicky wiedziała z doświadczenia, że to zły znak i poczuła pierwsze prawdziwe ukłucie niepokoju. Może przyczyna matczynego oporu tkwiła znacznie głębiej, niż początkowo myślała. Może stanie przed kamerą jak słup i ...

- Dasz radę, mamó. Masz dar, pamiętasz? - Tłumiąc przyptływ paniki, Nicole usiłowała nadać głosowi krzepiący ton, co bynajmniej nie było łatwe: siostra właśnie przechodziła na tylnym siedzeniu załamanie nerwowe, wujowie klócili się, który z nich doprowadził ją do tego stanu, a matka sprawiała wrażenie, jakby przy okazji kolejnego znaku stop chciała rozpiąć pas i uciec gdzie pieprz rośnie.

Nicky przezornie postanowiła, że zatrzyma się jedynie w razie absolutnej konieczności. Po pierwsze, były po-twornie spóźnione. Po drugie, jako wielokrotny świadek matczynych hysterii wiedziała, że Leonara nie cofnie się przed niczym.

Oby rzeczywiście chodziło tylko o histerię. Z chwilą gdy matka znajdzie się przed kamerą, będzie po

sprawie. Nicky na wylot znała jej zagrywki i w duchu robiła sobie wyrzuty. Co też jej strzeliło do głowy, żeby angażować Leonorę w projekt, od którego mogła zależeć jej kariera zawodowa. Lecz oglądalność "Na tropie tajemnic" leciała na łeb na szyję, producenci rozpaczliwie szukali sposobów na poprawienie majowych statystyk i tak się pechowo złożyło, że matka zadzwoniła do Nicky z prośbą o wykorzystanie swoich wpływów ("Jakich wpływów?", miała ochotę prychnąć Nicky, sama o krok od zwolnienia jako jedna z trójki najmniej cenionych reporterów) w celu zdobycia dla niej niedużej, dobrze płatnej fuchy na małym ekranie. W przypiływie chwilowego zaćmienia umysłu Nicole uznała ów splot okoliczności za istny dar losu.

Teraz zrozumiała, że własnoręcznie podcięła kruchą gałąź, na której przyszło jej przycupnąć.

Za późno.

- Nicky. Od dawna nie miałam żadnych wieści od Dorothy. Od wieków mnie nie odwiedziła - wyznała szepcąc Leonora. Jej ściszony ton przykuł uwagę Nicky skuteczniej, niż gdyby podniosła głos. Rzuciła matce niespokojne spojrzenie. Dorothy, duch przewodnik Leonory, odkąd Nicky sięgała pamięcią, była obecna w życiu matki na równi z jej własnymi dziećmi i bratem.

- Mówisz prawdę, mamo?

- Trzy palce na sercu.

Boże jedyny. Trzy palce na sercu, magiczne zaklęcie z dzieciństwa. Zaklęcie, którego żadna z nich trzech nie ważyła się złamać. Trzy palce na sercu to poważna sprawa. Wedle niepisanej umowy mówiący te słowa nie plamił się kłamstwem.

- Nie panikuj - rzuciła głośno Nicky, bardziej do siebie niż do matki. Czuła, że z każdą chwilą coraz bardziej

traci grunt pod nogami. Rzecz jasna Leonora ani myślała się zastosować do tej prośby. Z całej siły wbiła paznokcie w dłonie i zwiesiwszy głowę, poczęła dyszeć jak zziębnięty pies.

Pełna najgorszych przeczuć Nicky wyrzucała sobie

w duchu, że nie przyleciała wcześniej z Chicago, pokładając przesadną wiarę w obietnice przedstawicieli linii lotniczych, które miały ją przetransportować na czas. Powinno być przewidzieć opóźnienie spowodowane złą pogodą,

w wyniku którego musiała wraz z ekipą wynająć samochody w Atlancie. I tak zjawiła się na wyspie niespełna dwie godziny temu, w samą porę by obejrzeć (nagrane wcześniej) prelude wieczornego programu.

O dziewiątej. Na żywo. Albo i nie. Nicky zadrżała.

- Leonoro, zaraz zaczniesz się hiperwentylować. - Pomimo aktywnego udziału w żartej dyskusji, która toczyła się na tylnym siedzeniu, wuj John jak zwykle trzymał rękę na pulsie i wychyliwszy się do przodu, podał spanikowanej gwiazdzie papierową torebkę. O ile nie była to ta sama, którą przysuwał w domu do nosa i ust Leonory, z całą pewnością wziął ze sobą jej siostrę bliźniaczkę.

- Pamiętaj - pouczył. - Przyłóż ją do nosa i ust i staraj się normalnie oddychać. Tak jak ci pokazywałem. Leonora wyrwała mu torebkę i przycisnąwszy ją do ust, zaczęła oddychać.

- Wdech. Wydech. Wdech. Wydech ... - instruował John.

- Boże, ludzie nie mogą mnie zobaczyć w takim stanie

- zawodziła Livvy. - Wyglądam jak Moby Dick. Wiem, że sama chciałam jechać, ale ... Nick, musisz mnie odwieźć do domu.

Nicky była gotowa się założyć, że praca w serwisie informacyjnym na żywo to nic w porównaniu z tym, przez co musiała teraz przechodzić.

- Livvy ... - Kiedy samochód pokonał wzniesienie i oczom wszystkich ukazał się Old Taylor Place, gwałtownie urwała.

Widoczny po lewej stronie zachodni skrawek wyspy przypominał bagnistą dżunglę. Trzciny tłoczyły się opodal drogi, a w blasku księżyca połyskiwała woda strumienia. Pagórek, na którym zbudowano dom, tkwił w cieniu gęstego baldachimu dębów, sosen i cyprysów. W przeciwieństwie do niskich, ładnych, pastelowych bungalów pośrodku wyspy, zamieszkałych przez okrągły rok, domostwa wzdłuż Salt Marsh Creek były kolosami, które pamiętały ubiegłe stulecie. W chwili obecnej większość z nich jeszcze świeciła pustką w oczekiwaniu na letnich lokatorów. Innymi słowy, jeśli nie liczyć światła bijącego od reflektorów hondy, cała posesja powinna przypominać wnętrze jaskini.

Ale nie przypominała. Old Taylor Place był oświetlony jak pomnik Waszyngtona. Patrząc z zewnątrz, człowiek odnosił wrażenie, że lampy palą się we wszystkich oknach. Podjazd, na którym stało sześć samochodów, oświetlony był halogenowym światłem.

Widząc, że wszystko zdaje się przebiegać zgodnie z planem, Nicky odczuła pewną ulgę, przynajmniej do

czasu, aż jej spojrzenie padło na dwa wozy policyjne, ustawione tuż przed wejściem.

Właśnie spoglądała na nie, marszcząc brwi, gdy naraz rozdzwonił się telefon leżący w przegródce między siedzeniami.

- Słucham? - rzuciła do słuchawki, posyłając krzepiący uśmiech matce, która opuściwszy na kolana papierową torebkę próbowała oddychać o własnych siłach.

- Nie uwierzysz, Nicky - szepnęła Karen. - Każą nam się wynosić.

3

Zanim zdążyli dojechać do Old Taylor Place, Brian zniknął i Joe odczuł pewną - nie znaczną - ulgę. Minęły już prawie dwa lata i zaczynał (nie bez obawy) myśleć, że Brian stał się integralną częścią jego życia.

W którego zawitości wolał się w chwili obecnej nie zagłębiać.

- Nie mają pozwolenia. Kazałem im związać manatki. Vince powitał Joego i Dave' a na werandzie; pobrzękiwał kluczami w kieszeni, a w jego chytrych, czarnych oczkach lśniło zadowolenie. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, ponad metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i prawie tyle samo wszerz, a masywny tułów dosłownie przytłaczał nieproporcjonalnie krótkie nogi. Miał gęstą czuprynę szpakowatych włosów, zawadiackie rysy i wprost kipiał wojowniczą energią. Mimo lat spędzonych w spowalniającym działaniem klimacie wyspy nie zatracił wigoru i nerwowość równie obcej mieszkańcom Karoliny Południowej jak ku-
dzu ludziom z północy. Przyszedł pod krawatem, w eleganckiej marynarce i spodniach, tak jakby (wzorem przykładowego katolika, którym był) wracał prosto z mszy bądź właśnie wybierał się do kościoła. Upodobanie tubylców do niezobowiązującej odzieży było mu zupełnie obce.

Z tego właśnie powodu przed spotkaniem z burmistrzem Joe przezornie wciągnął koszulę od munduru, któ

ra na wszelki wypadek zawsze woził w bagażniku. Zresztą nawet ją lubił: była szara, z krótkimi rękawami i srebrną odznaką przypiętą do kieszeni na piersi. Czuł się w niej jak nie przymierzając Andy Griffith*.

- A jest im potrzebne? - spytał bez większego zainteresowania Joe.

Po drodze do Old Taylor Place przyszło mu do głowy, że jeśli ktoś istotnie spartaczył śledztwo sprzed piętnastu lat, to nie jego zmartwienie. Miał w nosie, czy program zostanie pokazany czy nie, po prostu lojalnie stał po stronie Vince'a. Tak wydawało się łatwiej. Dawniej często zawracał sobie głowę bzdurami, które wcale nie były tego warte, ale koniec z tym. Pozostawił tę część swojej osobowości w Jersey, wraz z całą masą innych spraw.

- Chwileczkę, jestem tu burmistrzem. Skoro ja twierdzę, że potrzebują pozwolenia, to tak właśnie jest. - Vince głośniejszym głosem zabrzęczał kluczami.

Joe zrozumiał, że nikt z doradców nie miał zielonego pojęcia, czy podobna sytuacja wymagała pozwolenia, czy nie.

- Aha - skwitował.

Niebo zasnęła atramentowa czerń; nie licząc rzęsiste oświetlonego budynku, cała okolica pogrążona była w ci-
szy i mroku. Od oceanu wiał lekki wietrzyk, niosąc zapach soli oraz mglisty aromat kwiatów.

Frontowe drzwi Old Taylor Place stały otworem; przez zasuniętą moskitierę wi-
dać było fragment przestronnego holu, kręte schody oraz wejście do salonu. Wysokie sufity oraz ściany wyłożone w trzech czwartych ciemną boazerią potęgowały owo nie-
co ponure wrażenie. Nie licząc paru składanych krzesel i sprzętu ekipy telewizyjnej, wewnątrz było puste. W rogu salonu ustawiono reflektor, zasłaniając go przejrzystym, białym parawanem, który miał zapewne łagodzić inten-

* Andy Griffith (ur. 1926) - aktor amerykański. Wsławił się rolą seryfa w serialu "The Andy Griffith Show".

sywność blasku. Opodal światła stała grupka dyskutujących z przejęciem osób. Wnosząc z ich ubrań (w większości czarnych i raczej oficjalnych), Joe domyślił się, że ma przed sobą przyjezdnych, stał jednak zbyt daleko, by usłyszeć, o czym tak zawzięcie konferują.

Tak czy inaczej, stawał jeden do dziesięciu, że nie są zbyt zadowoleni z decyzji burmistrza.

- Uwaga, idzie - mruknął pod nosem Dave.

Młoda, krótkowłosa brunetka odłączyła się od pozostałych i przeszła do holu. Marszcząc brwi, perorowała coś do słuchawki. Biała bluzka i czarna spódnica podkreślały jej patykowatą sylwetkę. Joe zauważył mimochodem, że jest niczego sobie, chociaż raczej nie w jego typie. Po chwili skierowała się w ich stronę.

- Idź zobaczyć, co oni tam knują, O'Neil. - Vince równie nie odrywał wzroku od dziewczyny. Łypnął na Dave' a, po czym wskazał brodą drzwi. - Lepiej niech się stąd zabrają.

Dave kiwnął głową i ruszył ku wejściu. Brunetka, która wciąż trąkotała do słuchawki, dotarła do drzwi w tej samej chwili co on. Jak na dzentelmena przystało, Dave przytrzymał jej moskitierę. Dziewczyna wyszła na ganek, obrzucając go z ukosa pogardliwym spojrzeniem.

Zero wdzięczności.

Pospieszne kroki na schodach kazały Joemu odwrócić głowę. Rudowłosa dziennikarka pędziła na górę, przeskakując po dwa stopnie na raz. W ślad za nią, na przełaj przez zarośnięty trawnik, podążała zbieranina barwnych postaci, podświetlona od tyłu trzema skierowanymi na budynek halogenami, ustawionymi w odległości dziesięciu metrów od domu. Wydłużone cienie nowo przybyłych sięgały aż do kępy oleandrów otaczających werandę. Joe zobaczył rudowłosą jak reporterka matronę, przyodzianą w powłóczyste, fioletowe szaty, która wpierała się ciężko o ramię niskiego, muskularnego blondyna. Tuż za nimi szedł drugi, szczuplejszy mężczyzna, trzymając pod rękę zdyszana trzydziestolatkę w zaawansowanej ciąży. Najbliżej jednak znajdowała się dziennikarka i Joe pospiesznie przeniósł na nią wzrok. Chuda jak ołówek (wydawała się jeszcze szczuplejsza niż na ekranie telewizora), w obcisłym czarnym kostiumie i z nogami aż do nieba, pędziła, głośno postukując wysokimi obcasami. Z chwilą gdy znalazła się w świetle lamp, ciemne z pozoru włosy odzyskały ognistą barwę, na którą Joe zwrócił uwagę wcześniej. Wtedy jednak sprawiły wrażenie gładkich i lśniących jak na reklamie szamponu, obecnie zaś były nieco potargane i z jednej strony założone za ucho, a grzywka beładnie opadała na czoło. Na policzkach rudowłosej wykwitł purpurowy rumieniec, wargi zaciśnięte były w wąską kreskę. Na widok intruzów jeszcze bardziej zasznurowała usta i rzuciła coś do przyciśniętej do ucha słuchawki. Musiała poczuć na sobie jego wzrok, gdyż raptownie uniosła głowę i zderzyli się spojrzeniami. Joe odnotował z pewnym rozbawieniem, że ta kobieta z całą pewnością jest w jego typie (ciekawe, w czym nie była?), chociaż wyraźnie miała ochotę komuś przylać. Pytanie tylko, komu. Wcale by się nie dziwił, gdyby padło właśnie na niego.

Podeszła bliżej i zatrzasnęła kłapkę komórki. Bliźniaczy odgłos po lewej stronie kazał Joemu odwrócić głowę. Brunetka znajdowała się w odległości jakichś dziesięciu kroków i zmierzała w ich stronę z zamkniętym telefonem w dłoni.

Było jasne, że ze sobą rozmawiały i Joe wiedział nawet, o czym.

Na szczęście dla Vince'a w Old Taylor Place nie prowadzono tego wieczoru rankingu popularności.

- Nicky. - Brunetka z ulgą powitała dziennikarkę, a następnie minęła Joego i Vince'a, posyłając im w przelocie jadowite spojrzenie.

- Panuję nad sytuacją. - Nicky wrzuciła telefon do torebki. - Burmistrz Capra? - spytała ostro.

- We własnej osobie - odparł buńczucznie Vince. Utkwiła w nim świdrujący wzrok i jej oczy zwęziły się w ciasne szparki.

Tak jest, upomniał się w duchu Joe. To sprawa Vince'a. I jego problem. Dalej, Vince, pomyślał i ukradkiem zrobił krok do tyłu.

Jeżeli mógł uchodzić za znawcę charakterów (a dawniej się za takiego uważał), konfrontacja tych dwojga będzie przypominała starcie tytanów.

- Nicole Sullivan - przedstawiła się szorstko dziennikarka. Podała Vinceowi rękę. Burmistrz chcąc nie chcąc uściśniętą wyciągniętą dłoń. Ta kobieta wyraźnie przywykła stawiać na swoim. - "Na tropie tajemnic". Rozumiem, że chodzi o kwestię pozwolenia na realizację programu?

- Owszem, proszę pani - powiedział Vince, obierając strategię katagorycznej uprzejmości. - A właściwie to nie, proszę pani, nie ma żadnej kwestii. Żadnych kamer. Nie macie pozwolenia i już.

Nicky uśmiechnęła się lekko, a raczej Gak stwierdził Joe ze swej pozycji bezstronnego obserwatora) obnażyła zęby. Zęby też miała niczego sobie.

- Ależ my nie potrzebujemy żadnego pozwolenia. Potrzebna nam jedynie zgoda właściciela domu, którą mamy na piśmie. Życzy pan sobie rzucić okiem? - Zdjęła torebkę z ramienia.

- Nie, proszę pani, nie życzę. Nie macie pozwolenia na filmowanie, koniec, kropka. W świetle powyższego muszę poprosić was o opuszczenie terenu. - Vince szedł w zaparte.

Nie zważając na jego słowa, dziennikarka poszperała w torebce.

- Proszę - Zamaszycie podała mu jakiś świstek. - Maemy zgodę na piśmie. Proszę mi wierzyć, nic więcej nie jest potrzebne. Sprawdziliśmy.

Capra niechętnie sięgnął po kartkę.

- Cześć, Vince. - Blondyn eskortujący matronę pokonał wreszcie schody i ruszył w kierunku burmistrza.

Vince, który znał wszystkich mieszkańców wyspy (podczas gdy Joe poznał głównie swoich współpracowników, ich rodziny, radę miasta oraz kilku miejscowych opryszków), ze zdziwieniem podniósł wzrok i zmarszczył brw;

- John, pani Stuyvescent - przywitał się zdawkowo. - Bardzo mi przykro, ale niestety muszę was poprosić, żebyście opuścili to miejsce.

- Nikt się stąd nie ruszy - rzuciła przez zęby Nicky, po czym wyrwała papier burmistrzowi i wcisnęła go z powrotem do torebki. - Nadajemy na żywo za ... - spojrzała na zegarek - ... Boże, dokładnie za osiem minut.

- Bez pozwolenia ... - zaczął Vince, z wyrazem fałszywego ubolewania na twarzy.

- Wsadź pan je sobie gdzieś. - Spojrzenie Nicky dośownie miało iskry. - Wcale go nie potrzebujemy.

- Niewiele brakowało, mała.

W pełną napięcia ciszę wdarł się czyjś karcący głos i z domu wyłoniły się trzy osoby. Drobny, żylasty mężczyzna o wyglądzie Latynosa, wysoka, krótko ostrzyżona Murzynka i krucha blondyneczka z kucykiem aż do pasa i w butach na koturnach. Otoczywszy dziennikarkę, wyjęli odpowiednio szczotkę do włosów, szminek oraz wielki, różowy puszek do pudru. Blondyneczka niosła na ramieniu wielką, przezroczystą torbę podróżną, wypełnioną po brzegi kosmetykami; Joe obserwował z pewnym zaciekawieniem, jak cała trójka płąsa wokół Nicky niczym hiperaktywne dobre wróżki, które miały za zadanie przemienić Kopciuszka w królową.

- Wiem - odpowiedziała dziennikarka. - Musiałam ...

- Siedź cicho i zrób dzióbek.

Nicky zrobiła dzióbek. Joe patrzył zafascynowany, jak za pomocą szminek i konturówki ponętny zarys warg,

który miał okazję podziwiać w telewizji, postłuszenie objaśnia się w całej okazałości.

- Chwileczkę - Vince podniósł głos, aby przekrzyczeć wrzawę. Joe odnotował z zainteresowaniem, że twarz burmistrza przybrała odcień purpury. - Możecie sobie dać spokój, bo nie będzie żadnego filmowania. Wybijcie to sobie z głowy.

Wszyscy sprawiali wrażenie głuchych na jego słowa.

Nie zważając na zabiegi Latynosa usiłującego doprowadzić do ładu jej fryzurę, Nicky wciągnęła do kręgu panią Stuyvescent. Matrona z wyraźnym ociąganiem puściła rękę Johna, mamrocząc coś, co brzmiało z grubsza jak "Nicky, tylko nie to".

- Chyba potrzeba tu trochę pudru - oznajmił Nicky.

- L.. przydałoby się poprawić szminek, prawda?

- O tak, zdecydowanie.

Pani Stuyvescent została zaatakowana różowym puszką i dobre wróżki z werwą rzuciły się, by poprawiać jej makijaż.

- Program odwołany - oznajmił głośno Vince, bez większego skutku zresztą. - Odwołany, słyszycie mnie?

- Na twoim miejscu bym się nie mieszał, Vince - wtrącił John, podobnie jak reszta skupiony na zabiegach makijażystów. - To wielki powrót Leonory. Nie zatrzymasz lawiny. Zresztą po co miałbyś to robić?

Leonora? Leonora James? Joe uświadomił sobie z nagłą jasnością, że pani Stuyvescent, która na jego oczach ulegała metamorfozie, musi być owym słynnym medium, mającym uświetnić program na żywo w kanale ósmym, wyznaczony punktualnie na godzinę dwudziestą pierwszą.

- Nie chcemy, żeby cały kraj postrzegał nas przez przyrząd potrójnego morderstwa, zwłaszcza o krok od sezonu - burknął Vince. - Przysporzy nam to niepotrzebny rozgłos.

- Nie ma czegoś takiego jak niepotrzebny rozgłos - przytomnie zauważył John.

- Wstrzymać oddech! - Ostrzeżenie padło z ust dobrych wrózek, które rozpyliły chmurę lakieru do włosów, celując puszką z aerozolem w dwie kobiety stojące w epicentrum całego zamieszania. Ku przerażeniu Joeego śmiertelnie chmura dotarła również do niego; niechcący zaczerpnął tchu, zachłystnął się i zaczął kaszleć, cofając się na osłep.

- Przes... tańcie. - Vince też rozkaszał się na całego i machnął ręką, próbując rozwiać opary. - Cholera, ile razy mam powtarzać, że nie będzie żadnego filmowania!

- Tere-fere - mruknął John.

Vince poczerwieniał jeszcze bardziej i spiorunował go wzrokiem.

- Wybijcie to sobie z głowy!

Równie dobrze mógł gadać do ściany. Otwarto moskitierę i na werandę wyszła pulchna, siwowłosa sześćdziesięcioletka. Gdy energicznym krokiem zmierzała w stronę zgromadzonych, Joe zauważył, że ma na sobie powiewną spódnicę do kostek oraz jasnoróżowy sweter, który nadawał jej krzepiący, babciny wygląd. W ślad za nią podążał Dave: ostrożnie przytrzymał drzwi, żeby nie trzasnęły.

- Marisa! Chwała niebiosom! - powitała nowo przybyłą Nicky.

Joe rzucił koledze pytające spojrzenie spod uniesionych brwi, ale Dave z głupią miną wzruszył tylko

ramionami., Joe zrozumiał, że jemu też się nie poszczęściło. Vince, który spoglądając na Dave'a, musiał dojść do identycznego wniosku, głośno zazgrzytał zębami.

- Wszystko gotowe - oznajmiła z lekkim uśmiechem Marisa. Następnie przeniosła wzrok na Leonorę i jej głos nabrał wigoru. - No dobrze, pora podłączyć cię do sprzętu. Mam dobre przeczucia.

- Nie macie pozwolenia! - ryknął Vince. Z czerwona, nabrzmiała twarzą i wybałuszonymi oczami wyglądał jak balon, który lada chwila pęknie z wielkim hukiem.

Jeśli nie liczyć kilku przelotnych, obojętnych spojrzeń, członkowie ekipy nie zaszczycili go uwagą, bez reszty skupieni na Leonorze, a dokładniej jej fryzurze, maki-jażu i fałdach powłóczyściej szaty. Marisa wzięła przyjaciółkę pod ramię. Leonora desperacko chwyciła córkę za rękę.

- Nie dam rady - stęknęła.

- Ależ wręcz przeciwnie - odparła kojącym tonem Marisa pod adresem Nicky, która miała cokolwiek niepewną minę - Trema ją zjada, ot co.

- Nie czuję wibracji - Leonora potoczyła dokoła błędnym wzrokiem. - Naprawdę nikt nie może tego zrozumieć? - Rozchyliła wargi i zaczęła dyszeć. - Jestem zablokowana. Zablokowana.

- Leonoro. Trzymaj. - John wysunął się naprzód, wyjął z kieszeni papierową torebkę śniadaniową, strzepnął ją i wcisnął kobiecie do ręki. Leonora najpierw spojrzała na nią pytająco, a następnie przystawiła do nosa i ust, ani na chwilę nie puszczając przy tym ramienia córki.

- Postaraj się - poprosiła spokojnie Nicky, tak jakby zachowanie matki w niczym nie odbiegało od normy. Gdyby nie opuszczone po bokach zaciśnięte pięści, Joe byłby skłonny uwierzyć, że istotnie zachowała zimną krew.

Odpowiedź Leonory zabrzmiała niewyraźnie spod papierowej torebki, która na przemian rozdymała się i kurczyła za sprawą głębokich oddechów. Marisa pociągnęła przyjaciółkę za rękę. Leonora ani drgnęła.

- Pamiętasz, jak znalazłaś dziewczynkę, która zgubiła się w lesie? - podjęła kojącym tonem Nicky. -

Pamiętasz, jak dzięki tobie ocalono rozbitków? To wyłącznie twoja zasługa. Udział w programie to dla ciebie bułka z masłem. Zrobisz to z palcem w nosie.

Leonora zadrzała i potrząsnęła głową.

- W porządku, sami się o to prosicie - zagroził głośno Vince.

- Czy mogłabym gdzieś usiąść? - Trzydziestoletnia blondynka z zatrważająco wielkim brzuchem podeszła bliżej, niebezpiecznie kolebiąc się na boki i hałasując kłapkami. Ubrana w obcisłe szorty i jaskraworóżowy namiot opierała się ciężko na ramieniu drugiego, dla odmiany rudowłosego jegomościa. Była spocona jak mysz i ciężko chwyciła powietrze ustami. Miała rozplomioną twarz i przekrwione białka, jakby cierpiała na wyjątkowo do-kuczliwą alergię.

- Dobrze się czujesz? - spytała Nicky, po raz pierwszy okazując niepokój. .

- Tak - odrzekła tamta i przycisnęła rękę do brzucha. - Jak na słońce.

Nagle zadrzały jej usta, a oczy wypełniły się łzami.

Przycisnęła obie ręce do twarzy i Joe uświadomił sobie ze zgrozą, że wybuchnęła płaczem.

Po raz pierwszy tego wieczoru poczuł przyptyw autentycznej paniki. Płaczące kobiety w ciąży poważnie naruszały jego poczucie bezpieczeństwa. I gdyby nie był już przyparty do barierki, z całą pewnością wzięłby nogi za pas, ale niestety, utknął jak w potrzasku. Stojący obok Dave i Vince sprawiali wrażenie równie przestraszonych jak on.

- Nie płacz, Liv - poprosiła Nicky, niezdarnie klepiąc tamtą po ramieniu. - Nie jest tego wart.

- Wiem - zaszlochała przez palce ciężarna kobieta.

- A-ale n-nic na to nie poradzę. .

- Wszystko przez te hormony - wtrąciła zdumiewająco opanowanym głosem Leonora, opuszczając papierową torebkę. - W ciąży zachowywałam się identycznie.

- Trzy minuty! - zawołał ktoś z wewnątrz.

- Nie martw się, Nicky, ja zajmę się Livvy - powiedział rudzielec i pociągnął płaczącą za rękę.

- Nie ruszać się - zaśpiewały chórem dobre wróżki. Rozległ się syk i z puszki wydobyła się kolejna chmura toksycznych oparów lakieru do włosów.

- Będę musiał... - zaczął Vince i urwał, zdjęty ponownym atakiem kaszlu.

Dave zawtórował mu lojalnie. Joe, który nauczony przykrym doświadczeniem zdążył wstrzymać oddech, uśmiechnął się mimowolnie. Stał z założonymi rękami i opierając się wygodniej o barierkę stwierdził, że po raz pierwszy od dłuższego czasu wprost wyśmienicie się bawi.

- Nicky ... - stęknęła przez ramię Leonora, kiedy Mari-sie udało się wreszcie z pomocą Johna ruszyć ją z miejsca.

- Dasz radę - oznajmiła z mocą rudowłosa reporterka.

- Będzie tak jak zawsze, zobaczysz. Karen, pomożesz mi? - Brunetka kiwnęła głową i podążyła za gwiazdą i jej świtą. Nicky zawołała po chwili ostrzejszym tonem: - Niech nie wchodzi do domu, dopóki nie zaczniemy. Mamy od początku śledzić jej reakcje. I zabierzcie tę papierową torebkę, do cholery!

- Dwie minuty, Nicky. Musimy ci podłączyć mikrofon - dobiegło z holu niecierpliwe wołanie mężczyzny. Joe

zerknął do środka i zauważył kamerę, którą właśnie ustawiano tak, by sfilmować każdego, kto wejdzie do domu.

- Już idę! - odrzyknęła Nicky, niezwłocznie wprowadzając słowa w czyn. I machnąwszy włosami, wyprostowana jak struna, na niebotycznie długich nogach zawróciła w kierunku drzwi. Jeden zero dla gości.

- Widzicie, do czego prowadzi nadmiar uprzejmości? Mają nas gdzieś. - Kipiąc ze złości, Vince odprowadził dziennikarkę wzrokiem, po czym tylną z ukosa na Joego: - Jesteś cholernym szefem policji. Zrób coś. Skoro nie da rady po dobroci, trudno. Aresztuj ich.

Joe spojrzął na burmistrza z niedowierzaniem.

- Zartujesz?

- Nie, wcale nie żartuję. Myślisz, że za co ci płacę? Rób, co do ciebie należy.

- Psiakrew - mruknął Joe, podchwytną spojrzenie Dave' a. Numer Dwa miał równie niepewną minę jak on, ale do diabła, jak rozkaz, to rozkaz. Z Dave' em depczącym mu po piętach i Vince' em zamykającym pochod niechętnie ruszył w kierunku Nicky, stojącej tuż przy drzwiach w samym środku grupki zaafekowanych dźwiękowców. Widoczna nieopodal Leonora znów oddychała do papierowej torebki.

- Raz, dwa, trzy, raz ... - Nicky sprawdzała mikrofon, który właśnie przymocowano jej do klapy kostiumu.

- Super. Jesteśmy gotowi - krzyknął kamerzysta.

- Niezupełnie - oznajmił Joe swoim najbardziej urzędowym tonem.

Nicky obejrzała się przez ramię i włosy odfrunęły jej z twarzy, śląc dokoła rubinowe refleksy. Była prześliczna. Jaka szkoda, że za chwilę doszczętnie pograży się w jej oczach.

- Tak jak powiedział burmistrz, nie ma pozwolenia, nie ma kręcenia. Jestem zmuszony wyprowadzić was z terenu posesji. Jeśli odmówicie, nie pozostanie mi nic innego jak wsadzić was do aresztu.

Nicky z sykiem wciągnęła powietrze ustami i Joe prawie usłyszał trzask podpalanego lontu. Wielkie, brązowe oczy miały błyskawice. Naraz bez ostrzeżenia zrobiła dwa wielkie kroki wprzód i stanęła tuż przed jego nosem.

- Dostyc - powiedziała. - Mam tego powyżej uszu. Jeszcze ciebie tu brakuje. Zjeżdżaj.

Joe zamrugnął ze zdziwieniem, ale nie ruszył się z miejsca. Vince miał rację: bądź co bądź jest szefem tutejszej policji. A Vince, jako burmistrz, był jego bezpośrednim przełożonym. Skoro zaś przełożony życzy sobie usunąć stąd tych ludzi, Joe musi osobiście o to zadbać. Przeszło mu przez myśl, że pozycja biernego obserwatora sprawiała mu jednak większą frajdę.

- Panno Sullivan ... - zaczął. Za późno. Nicky obróciła się na pięcie i ruszyła ku wejściu.

To by było na tyle, jeśli chodzi o rzeczową argumentację. Westchnął w duchu.

- Hej, ty tam - zwrócił się podniesionym głosem do kamerzysty. - Wyłącz to. Macie się stąd zabierać.

Nicky zawróciła w pół kroku i podeszła bliżej, wściekle stukając obcasami.

- Nie sądzę ..

Skrzyżował ręce na piersi i odpowiedział jej nieustępliwym spojrzeniem.

- Nie pozostawia mi pani wyjścia.

- Czyżby?

- Mam panią aresztować? Czy tego pani chce?

Zacisnęła usta, a jej oczy przybrały wygląd dwóch miotaczy ognia. Rany, naprawdę była wkurzona. Joe prawie poczuł, jak mu się jeżą włoski na karku.

- Słuchaj no, ty - warknęła. - Za około dziewięćdziesięciu sekund rozpoczynamy program na żywo. Od tej chwili każdy, kto spróbuje nam w tym przeszkodzić ... - Jej spojrzenie ześlizgnęło się na Vince' a i Dave' a, stojących dwa kroki z tyłu, po czym raz jeszcze spoczęło na Joe - ... musi się liczyć z konsekwencjami prawnymi. I to nie małymi. Zrozumiano?

- Jedna minuta - zabrzmiał ostrzegawczy głos z wnętrza.

- Dobra - odrzyknęła Nicky. Zmrużone oczy rozbłyły i choć czubek jej głowy znajdował się mniej więcej na wysokości ust Joego, widać było, że nie ma żartów. - Słyszałaś, co powiedziałam, Barneyu Fife*? Za minutę wcho-

* Barney Pife - jeden z bohaterów serialu "The Andy Griffith Show", odgrywany przez Dona Knotts'a.

Pomocnik szeryfa, postać komiczna.

dzimy na wizję. Masz wybór: albo mnie aresztujesz na oczach milionów widzów, albo spadaj. I dla podkreślenia ostatnich słów dźgnęła powietrze smukłym palcem, który zawisł przed nosem Joego jak błędy wykrzyknik.

Odrzucając wzrok od palca, Joe musiał przyznać, że Nicky zdobyła kolejny punkt. W dodatku też miała serią łowe skojarzenia.

- Wszyscy na miejsca. Nicky! - Brunetka dawała dzieńnikarce rozpaczliwe znaki ręką.

- Już idę - odpowiedziała, zerkając przez ramię, po czym znów utkwiła w nim wzrok. - Rób jak uważasz - wycedziła przez zęby. Zaciśnęła pięści i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

Joe uznał, że tak oto wygląda kobieta na skraju wytrzymałości nerwowej. Wystarczy jeden nieostrożny ruch i...

O nie, on się na to nie odważy. Nie na oczach widzów, zastygłych w oczekiwaniu przed telewizorami. Wykluczone.

Wyczytała odpowiedź w jego oczach. Ostatnie ostrzegawcze spojrzenie (które objęło również Vince' a i Dave'a) - i już jej nie było.

- Dasz się tak łatwo zastraszyć? - burknął pod nosem Vince. - Przestań się cackać i do roboty.

- Dziesięć, dziewięć, osiem ... - Kobieta stojąca za kamerzystą rozpoczęła odliczanie.

- Vince, nie warto tego robić, wierz mi - powiedział Joe, łapiąc za ramię burmistrza, który dobitnie wyraził spojrzeniem swoją opinię na jego temat, ale posłusznie dał się odciągnąć na bok. - Przecież nie będziemy się wygłupiać w programie na żywo.

- ... cztery, trzy, dwa, jeden ...

Vince z wahaniem ogarnął sytuację.

- A niech to diabli - rzucił z rozgorzyczeniem.

- Witamy w programie "Na tropie tajemnic" - powiedziała do kamery Nicky i Joe zrozumiał, że są na wizji.

W ciągu zaledwie paru sekund dziennikarka zmieniła się nie do poznania: wyglądała na spokojną, wręcz zrelaksowaną, a nawet uśmiechała się do widzów. - Dziękujemy, że zechcieliście nam towarzyszyć w specjalnym wydaniu na żywo. Nazywam się Nicole Sullivan ...

4

- W korytarzu nic ... w salonie nic ... w jadalni też nic - wyliczała Leonora.

Zgodnie z przewidywaniami Nicky, na wizji matka zmieniła się w wytrawną profesjonalistkę. Bądź co bądź telewizja to dla niej nie pierwszorzędna, a w branży działała od szesnastego roku życia. Jedyne osoba, która znała ją tak dobrze jak, powiedzmy, młodsza córka, dostrzegłaby nerwowy błysk w oku, napięte rysy oraz niepewne ruchy. Błędem czy nie, Leonora naprawdę nie była dziś w formie. Ale robiła, co mogła, spacerując po domu coraz szybszym krokiem oznaczającym coraz większe zniecierpliwienie wskutek braku jakiegokolwiek aktywności metafizycznej. Kamera pokazała magnetometr, standardowe urządzenie do pomiaru pola magnetycznego, czyli wykrywania obecności duchów. Niestety, wskaźniki temperatury powietrza we wszystkich pomieszczeniach nie wykraczały poza dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza: żadnych lodowatych zakątków. Nicky porzuciła pomysł, że z uwagi na brak klimatyzacji nie mogą nawet liczyć na spadek temperatury wywołany przez dogodnie umieszczony wentylator. Jadą na żywca, czy im się to podoba, czy nie.

Według planu Leonora miała pod czujnym okiem kamery kolejno sprawdzić wszystkie pomieszczenia, wchodząc w komitwę z duchami, jakie napotka po drodze.

Tymczasem mieli dotąd za sobą dwadzieścia dwie minuty całkowitego pogwałcenia założeń programu na żywo. W szęście tylko nic, nic, nic. I znowu nic.

Akt drugi Wielkiego Nic: seans spirytystyczny bez duchów.

Po prostu koszmar.

- Wchodzimy do biblioteki - zaraportowała cicho Nicky, kiedy jej matka skierowała się do niewielkiego pomieszczenia obok jadalni.

Mimo lampy zamocowanej wysoko w kącie specjalnie na użytek programu puste półki i okna zasłonięte okiennicami robiły nadzwyczaj przygnębiające wrażenie. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu, a jeden róg kasetonowego sufitu zdobiła pajęczyna. Podobnie jak w pozostałych pomieszczeniach unosił się tu lekki zapach pleśni, tak jakby do tego pokoju od dawna nie docierało światło i świeże powietrze. Nicky uznała, że gdyby była duchem, chętnie by się tu zadomowiła.

Patrzyła, jak Leonora krąży po bibliotece, dotykając półki nad kominkiem, parapetu oraz wyłożonej boazerią ściany. Za swoimi plecami wyczuwała obecność Karen i reszty ekipy, którzy stali ze wstrzymanym oddechem poza zasięgiem kamery. Gdyby siłą woli mogli wywołać ducha, zmaterializowałby się przed

nimi w mgnieniu oka. Byli jednak równie bezradni jak sama Nicky.

- Nic. Tutaj też nic - oznajmiła wreszcie zdławionym głosem Leonora. Napotkawszy spojrzenie córki, utkwiała wzrok w jej oczach. Nicky wiedziała, co się święci. Jeśli, jak wszystko na to wskazuje, program okaże się niewypałem, gromy spadną na jej głowę nie tylko w pracy. Matka będzie równie bezlitosna. I wszyscy całą winę zwałą na mnie, pomyślała z rozgoryczeniem. Dlaczego, ach dlaczego tego nie przewidziałam?

Ponieważ za bardzo zależało jej na zrobieniu tego programu. A dlaczego tak jej na tym zależało? Ponieważ wiedziała, że badawcze oczy CBS kierują się prosto na nią. Stacja szukała współprowadzącej do wiadomości porannych, pochłanianych wraz ze śniadaniem przez większość Amerykanów.

Przyszłość "Na tropie tajemnic" wisiała na włosku, wiadomości poranne zaś stanowiły fuchę, za którą żeńska część znanych osobowości telewizyjnych sprzedaby swoje wybielane laserowo zęby. Nicky została poproszona o przysłanie taśmy z nagraniem, a następnie zaproszono ją do Nowego Jorku na rozmowę kwalifikacyjną. Wszystko szło jak po maśle.

Ale nie dostała tej posady. Podobno ci z CBS brali ją pod uwagę, niemniej jednak szukali dalej.

Zorientowana w sytuacji koleżanka zdradziła jej w tajemnicy, że mimo dobrego wrażenia, jakie zrobiła, CBS miało wobec niej pewne zastrzeżenia: partnerka Troya Haydena, przystojnego elegancika w garniturku, w mniemaniu szefostwa powinna być energiczną, opaloną blondyneczką, a nie wysokim, czasem nieco zbyt powściągliwym rudzielcem o alabastrowej skórze. Zwykle pracowała jako reporterka, począwszy od kanału 32 w Charlestonie, gdzie zdobywała pierwsze szlify, do "Na tropie tajemnic" w A ... E, w związku z czym nie miała doświadczenia w przekazach na żywo.

No cóż, teraz miała. I wyglądało na to, że nie wyjdzie jej to na zdrowie.

Po tym wszystkim nie tylko nie dostanie wymarzonej pracy, ale i straci obecną. Jeśli nawet jej nie wyrzucą, "Na tropie tajemnic" prawdopodobnie zejdzie z anteny. A Nicky zapisze się w kronikach telewizji jako reporterka, która zarzuciła program.

Jeżeli CBS w ogóle jeszcze zechce z nią rozmawiać, to tylko dlatego, że Nicky stanie się dla "Na tropie tajemnic" tym, czym była góra lodowa dla "Titanica".

-Leonora James, która Gak zapewne większość z was wie) jest również moją matką, ma ogromne doświadczenie w dziedzinie odbierania zjawisk paranormalnych. W swoim dawnym, nieodżałowanym przez fanów programie "W zaświatach" umożliwiła setkom rodzin kontakt ze zmarłymi bliskimi. Rozmawiała z Marilyn Monroe, Elvisem, Johnem Ritterem ...

Korzystając z okazji, że uwaga kamerzysty skupiła się na Nicky, Leonora rzuciła córce kolejne złowróżbne spojrzenie i szeleszcząc powłóczyście szatą, dostojnie przeszła do holu. Operator podążył w ślad za nią.

- ... zbadała dosłownie setki nawiedzonych miejsc - ciągnęła Nicky - w tym Teatr Forda w Waszyngtonie, gdzie podobno nadal snuje się duch mordercy Abrahama Lincolna ...

W grupce stłoczonej przy frontowych drzwiach poza zasięgiem kamery Nicky dostrzegła kilku gapiów śledzących akcję (a raczej jej brak): paru techników, kobietę w minispódniczce (chyba z lokalnej gazety), najeżonego burmistrza o wyglądzie buldoga oraz jego koleżkę, łysięjącego karła, którego wzięta za policjanta. Barney Fife, wysoki, śniady i posępny, stał z tyłu, z założonymi rękami, wygodnie oparty o ścianę. Obserwował ją z ironicznym grymasem na twarzy: chyba nie wzbudziła jego sympatii. Pewnie miał zamiar ją przymknąć tuż po zakończeniu programu, co jednakże stanowiło najmniejsze z obecnych zmartwień. Na twarzach obserwatorów malowały się troska, znudzenie bądź sceptycyzm. Na żadnej z nich nie widniał choćby cień zainteresowania.

Usłyszała w myślach szum spuszczonej wody i oczami wyobraźni zobaczyła, jak jej kariera znika w odpływie kanalizacji.

Stąpając w ślad za Leonorą wśród płątaniny kabli, uświadomiła sobie z przynębeniem, że w tym domu zawsze czuła się nieswojo. W dzieciństwie była tu kilkakrotnie z rodzicami na spotkaniach towarzyskich u ludzi, którzy następnie sprzedali dom Schultzom. Wówczas przypisywała swój dyskomfort poczuciu niższości: podczas gdy Livvy i jej matka brylowały wśród zgromadzonych, ona, rudy, piegowaty chudzielec, zawsze pozostawała mi. ubocznie. Teraz przyszło jej do głowy, że sprawcą owego niepokoju już wtedy był sam budynek. W jego wnętrzach dawało się odczuć pewne napięcie, za sprawą którego oblewała się zimnym potem.

A może popełnione tu morderstwo potraktowała zbyt osobiście? Wprawdzie nie znała ofiar ani ich rodzin: Leonora powtórnie wyszła za męża i przeprowadziła się do Atlanty kilka lat przed wprowadzeniem się Schultzów. Jednakże Tara Mitchell i pozostałe dziewczęta były mniej więcej w wieku Livvy, a Leonora i jej córki zawsze uważały wyspę za swój prawdziwy dom, toteż zbrodnia stała się tematem wielu rozmów w ich rodzinie. I choć szczegóły strasznych opowieści wyblakły i zatarty się z czasem, Nicky na

zawsze zachowała je w pamięci. Kiedy realizatorzy "Na tropie tajemnic" zaczęli się rozglądać za nowym, ekscytującym materiałem, od razu pomyślała o Gld Taylor Place.

Reszta, jak to się mówi, była historią.

No i proszę: to, co miało przynieść jej laury, okaże się gwoździem do jej zawodowej trumny. Patrząc na minę Karen i ukradkowe spojrzenia wymieniane przez członków ekipy, pomna własnych doświadczeń z tego, co dzieje się za kulisami programu, czuła przez skórę, że nastroje w reżyserce w Chicago nie wróżą nic dobrego.

- Nic się nie dzieje! - darli się pewnie tamci prosto do ucha Karen. - Zrób coś! Ratuj sytuację!

Potrzebujemy akcji!

Żołądek skurczył jej się na samą myśl.

Jeden duch. Boże, ześlij nam chociaż jednego ducha.

Kacper, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebujemy?!

Starania mamy nigdy dotąd nie były tak bezowocne.

Zazwyczaj duchy dosłownie przepychały się łokciami, żeby do niej przemówić. Ale nie dzisiaj. G Boże, dlaczego właśnie nie dzisiaj? Czy to nie ironia, że zdolności Leonory zawodzą właśnie w chwili, kiedy kariera jej córki stoi pod wielkim znakiem zapytania?

- Leonora wchodzi do kuchni - poinformowała ściszo-nym głosem Nicky.

Miała nadzieję, że jej narastająca panika nie zostanie za-uważona. Szukali duchów w kuchni? Żenada. W życiu nie spodziewała się takiej klęski; była pewna, że tłum duchów napotkanych w tym domu wystarczy na całą godzinę pro-h'Tamu albo i dłużej. Szczęściem zainstalowała czujniki w całym domu, na wypadek gdyby czasami nieprzewidywalne wędrowniki medium miały jednak przynieść jakiś skutek.

Leonora przeszła przez kuchnię, szurając po kafelkach złotymi pantoflami na płaskiej podeszwie.

Podążając za matką, Nicky zauważyła, że jest tu nieco chłodniej niż w pozostałej części domu, zapewne z uwagi na kolor pomieszczenia: wszystkie sprzęty, podłoga i meble utrzymane były w tonacji bieli.

Jedyny akcent kolorystyczny stanowiła tapeta w kąciu śniadaniowym - ze wzorkiem przedstawiającym spletaną winorośl usianą wielkimi pąkami róży stulistnej, które w pierwszym momencie nasuwały Nicky skojarzenie z plamami rozprysniętej krwi.

Zadrżała, po czym popatrzyła z nadzieją na czujnik temperatury. Nadal uparcie wskazywał dwadzieścia dwa stopnie.

Cholera.

Leonora skierowała się w stronę tylnego wyjścia, po czym ni stąd, ni zowąd stanęła jak wryta, splatając ręce na wysokości brzucha. Przez chwilę Gedną z najdłuższych chwil w życiu Nicky) stała w całkowitym bezruchu. Na jej twarzy odmalowało się wielkie napięcie.

Reporterka wstrzymała oddech.

- Wyczuwam ogromny niepokój - przemówiła wreszcie Leonora. - Strach ... ból... w tym pomieszczeniu stało się coś strasznego. - Umilkła, wlepiając przed siebie nie-widzące spojrzenie.

Wywołaj duchy. Błagam!

- Wciąż czają się tu silne emocje - podjęła ze szklistym wzrokiem. - Zdumienie ... niedowierzenie ... strach. Nie-opisany strach. Otacza mnie z każdej strony. Ktoś tu panicznie bał się o swoje życie.

Potrząsnęła głową, jakby chcąc odzyskać jasność myślenia. Wreszcie ruszyła z miejsca. Gdy pozornie bez celu krążyła po kuchni, kamera sunęła za nią bezszelestnie. Znajdowali się w przestronnym, prostokątnym pomieszczeniu z "wyspą" pośrodku oraz ośmiokątnym kącikiem śniadaniowym w rogu. Rozsuwane drzwi, będące znakiem rozpoznawczym domu, znajdowały się tuż na wprost wejścia do kuchni i prowadziły na patio. Niegdyś śnieżnobiałe, obecnie pożółkłe ze starości firanki zasłaniały widok na zewnątrz. Nicky zastanawiała się mimochodem, czy są pozostałością po Schultzach.

Czy też podobnie jak sam dom były świadkami tragedii, która się tu rozegrała?

Uważała się za weterankę w kwestii zjawisk paranormalnych, ale ostatnia myśl przyprawiła ją o ciarki.

- Był ... był tu ktoś jeszcze. Ukrywał się. - Głos Leonory odbił się głuchym echem wśród ścian.

Podeszła do rozsuwanych drzwi, szeleszcząc długim kafetanem. Złote pantofle zaszurały o podłogę. Poza tym w kuchni panowała niezmacona cisza: wszyscy, łącznie z Nicky, z natężeniem wpatrywali się w medium. Marisa trzymała się nieco na uboczu z dyktafonem, na którym nagrywała sesję, aby w razie potrzeby później wszystko sprawdzić i w miarę możliwości z",:~ryfikować. Nie, żeby nie miała zaufania do cudzego sprzętu (jak wielokrotnie tłumaczyła córce), ale zdarzały się cięcia w nagraniach. Dla-tego wolała mieć swój niezależny zapis każdego seansu.

- Wyczuwam obecność tego człowieka. Czeka, serce wali mu mocno w piersi. Bum-bum, bum-bum ... - Leonora przycisnęła rękę do piersi, wystukując rytm palcami. - Denerwuje się, jest pełen napięcia, ciężko

oddycha. Naśłuchuje.

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz matki i Nicky zrozumiała, że Leonora wreszcie się rozkręciła.

Reporterka dyskretnie odetchnęła z ulgą.

- Kto się ukrywa? - spytała cicho. - Kobieta czy mężczyzna?

Leonora zawahała się, a następnie pokręciła głową.

- Trudno powiedzieć - odparła rozkojarzonym tonem.

- Nie widzę. Wyczuwam tylko czyjąś obecność.

Nicky skinęła ze zrozumieniem głową. Leonora przyłknęła oczy. Reflektory nadawały jej twarzy niemal trupi wygląd. Gdyby nie płomiennorude włosy i jaskrawy makijaż, sama wyglądałaby jak duch. Fioletowy odcień szaty i połyskująca biżuteria przydawały jej egzotyki, która musiała robić na widzach piorunujące wrażenie.

Leonora James była w telewizji równie intrygującą osobowością jak w życiu.

- Wesół, beztroska ... takie uczucia towarzyszą drugiej osobie. Potem pojawia się ... strach. - Leonora raptownie otworzyła oczy. - Zaskoczenie i strach.

Ruszyła przed siebie, lekko marszcząc brwi, stanęła przed rzędem szafek i otworzyła jedno z drzwiczek.

Była to dość wysoka, wąska skrytka bez półek. Pewnie schowek na miotły, domyśliła się Nicky.

- Tutaj - oznajmiła Leonora. Jej głos zabrzmiał ciszej, jakby dobiegał z oddali. - Tamten człowiek był tutaj.

Czekał. Ukrywał się. Wyczuwam fale gniewu i nienawiści. Przyszedł czynić zło. Wyczuwam zło ... zło ...

Zerknęła przez ramię, po czym stanęła plecami do otwartego schowka. Z wahaniem zrobiła krok w kierunku środka pomieszczenia, następnie drugi i trzeci.

- Boi się ... bardzo się boi ... - mruknęła, ponownie splatając ręce na brzuchu i patrząc w przestrzeń.

Zrobiła kolejny chwiejny krok naprzód. - Emocje są tak silne, że ... - Przystanęła, gwałtownie wciągając powietrze ustami. - To tutaj dziewczyna ... zaskoczył ją ... odwróciła się i zobaczyła mężczyznę, tak, to był ciemnowłosy mężczyzna ... doskoczył do niej, krzyknęła, a potem ... uniół nóż i ... ach! - Chwyła się za ramię tuż pod barkiem. - Niech mi ktoś pomoże! Zabije mnie! Nie ... nie ...

Ostatnie słowa, wykrzywane głosem zupełnie niepożądanym do głosu Leonory, ucichły równie nagle jak się pojawiły. Ponownie przyłknęła oczy i nisko opuściła głowę. Widząc to, Nicky zadrżała. Przywykła do oglądania matki przy pracy, ale bywało, że ten widok wciąż mroził jej krew w żyłach. Tak jak teraz, kiedy wiedziała, że Leonora sięga głęboko w przeszłość, przeżywając grozę tamtych wydarzeń, jak gdyby rozgrywały się w tej chwili. Miała tylko nadzieję, że widzowie są równie przejęci jak ona sama.

- Tara. Wyraźnie słyszę jej imię: Tara. - Jasnowidząca gwałtownie uniosła głowę, mrugając powiekami.

Rozchyliła usta i wzięła głęboki oddech. - Najpierw zaatakowano ją w kuchni. Człowiek przycajony w schowku wyskoczył nagle i dopadł ją z nienacką. Broniła się, zranił ją nożem ... - Przykucnęła, aby dotknąć idealnie gładkiej powierzchni białych kafelków. Nicky prawie poczuła pod palcami ich chłód. - Tu znajdowała się kałuża krwi. Tak dużo krwi ... Czuję ... jest ciepła, lepka ...

Głos medium ponownie zabrzmiał jak z oddali i Nicky wiedziała, że matka znów cofa się w przeszłość.

- Możesz porozmawiać z Tarą? Czy może ci zdradzić, kto to był? - zapytała szeptem. No po prostu bomba. Oto Leonora James u szczytu swoich możliwości. Widzowie przed telewizorami pewnie nie odrywają oczu od ekranów.

- Nie. - Matka wstała i rozejrzała się dokoła błędnym wzrokiem osoby, do której dotarło, gdzie się właściwie znajduje. - Jej tu nie ma. Nikogo tutaj nie ma. Musimy iść na górę.

Słyszając za sobą lekki szmer, Nicky obejrzała się przez ramię. Operator pospiesznie wycofywał kamerę, próbując jednocześnie nie uronić nic ważnego. Nazywał się Gordon Davies. Był niski i przysadzisty, miał około czterdziestu lat, grube rysy oraz ciemne, gęste włosy, które związywał nad karkiem w koński ogon. Pracowali razem od sierpnia i Nicky uważała go zarówno za swojego powiernika, jak i profesjonalistę w każdym calu. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego skupienia; był skoncentrowany nie tylko na pracy, ale i na słowach Leonory. Za jego plecami tłoczyła się spora grupka obserwatorów. Nicky zauważyła Livvy, wuja Hama i wuja Johna, Schultzów, którzy poprosili o możliwość uczestniczenia w nagraniu, Maria, Tinę i Cassandę, czyli charakteryzatorów, oraz Karen. Stał tam nawet burmistrz, glina z perkatym nosem oraz Barney Fife. Wszyscy wyglądali teraz na przejętych do głębi.

Tak! Pokazując im na migi, żeby się odsunęli, Nicky o mało nie uniosła pięści w geście triumfu. Precz z nudą, niech żyją Ghostbusters!

Nie patrząc na obecnych (i całe szczęście, gdyż rozstąpili się przed nią z gracją stada krów na lodowisku), Leonora wyszła z kuchni i ruszyła ku schodom wznoszącym się na końcu przestronnego holu. Szybkim, pewnym krokiem posuwała się naprzód, nie zwracając uwagi na świętą depcząca jej po piętach. Nicky podejrzewała, że w ogóle nie zdaje sobie sprawy z jej obecności.

- Idziemy na piętro - poinformowała widzów, idąc za Leonorą po schodach.

Gdy matka była w transie, nagły słowotok przeplatał się z długimi okresami ciszy. A że cisza nie wypada dobrze na wizji, zadanie Nicky polegało na wypełnieniu luk, co bywało trudnym i nader absorbującym zajęciem. - Dom ma trzy kondygnacje: pokoje dzienne znajdowały się na parterze, rodzina spała na pierwszym piętrze, a dawne pomieszczenia dla służby mieściły się na poddaszu.

Bob Gaines, drugi kamerzysta, szykował się do filmowania na piętrze. Był to trzydziestoparolatek średniej budowy i wzrostu, o krótko ostrzyżonych brązowych włosach i otwartej, przyjaznej twarzy pasującej do jego usposobienia. Nicky odczekała, aż rozbliśnie lampka na jego kamerze: kiedy Leonora dotarła na piętro, przygotował się do zbliżenia jej twarzy.

- Medium jest obecnie w korytarzu na piętrze - podjęła Nicky. - Mamy tu pięć pokoi sypialnych oraz dwie łazienki. Leonora idzie w kierunku okien wychodzących na trawnik. Jeśli pamiętacie ujęcia fasady oraz zdjęcia z okresu, kiedy zginęła Tara Mitchell, w tej części ogrodu znajdowała się malownicza kępa dereni, oleandrów i lagerstremii indyjskich. W dole za podwórzem biegnie ulica, a zaraz po drugiej stronie płynie Salt Marsh Creek, strumień służący miejscowym flisakom jako połączenie z Oceanem Atlantyckim. Nocą jego pograżone w mroku wody niosą odgłosy różnych stworzeń, które wieczorem budzą się do życia ... - umilkła i biorąc głęboki oddech, pokonała ostatni stopień.

Kamera objęła hol, równie przestronny i zaniedbany jak ten na dole. Adamaszkowa tapeta w odcieniu kości słoniowej w wielu miejscach płatami odchodziła od ściany, a kilka plam na suficie świadczyło o dziurawym dachu.

- Leonora dotarła na koniec holu. - Nicky niemal zrównała się z matką. - Po lewej stronie znajduje się główna sypialnia, którą zajmowali niegdyś Andrea i Mike Schultzowie, rodzice Lauren. Po prawej stronie widzimy dawny pokój ich córki. Jak pamiętacie z wcześniejszego programu, Elizabeth i Susan Cook opowiadały o dziwnych wydarzeniach, do których doszło właśnie tutaj ... Najwyraźniej coś ciągnie Leonorę w tamtą stronę. Wchodzi do sypialni Lauren.

Nicky podążyła za matką (oraz Marisą i kamerą) do środka. Był to pokój narożny, duży, jak na tradycyjną sypialnię przystało, z trzema otwieranymi na zewnątrz oknami, z których dwa wychodziły na trawnik, a jedno na boczne podwórze. Podłogę wyłożono parkietem, a obite panelami drzwi garderoby dzieliły jedną ścianę na dwie części. Poza oknami pomieszczenie nie wyróżniało się niczym szczególnym. Ściany były pomalowane na jasny lawendowy kolor, z białą obwódką pod sufitem. W oknach wisiały długie aż do ziemi białe firanki. Ich fałdy lekko falowały.

Jak to, falowały? Przecież okna są zamknięte i teoretycznie w pokoju nie powinno być żadnej cyrkulacji powietrza. Lecz Nicky z całą pewnością czuła na stopach jakiś powiew. Zimny powiew.

Spojrzała z nadzieją na czujnik, który potwierdził jej przypuszczenia: temperatura w pokoju Lauren wynosiła równo dwadzieścia stopni. Kiedy ściszone tonem zwróciła na to uwagę widzów, Leonora przystanęła na środku pomieszczenia i zamknęła oczy.

- Łóżko stało tu, przy ścianie. - Otworzyła oczy i zrobiła krok naprzód, wskazując na ścianę zewnętrzną między oknami. To podwójne łóżko, z sięgającą podłogi narzutą w różowe paski. W rogu stoi krzesło, a właściwie fotel, z różową tapicerką w kwiatowy deseń, a na nim leży ... - wahała się przez chwilę - ... pluszowy piesek. Jest długi, biały ... to jamnik. ... i cały zapisany. Widnieje na nim pełno podpisów*. Tutaj znajdowała się toaleta. - Pokazała ścianę obok garderoby. - Jest biała, w ... w rustykalnym, francuskim stylu. Po obu stronach stoją dwie lampki, mają białe podstawy i różowe abażury z frędzelkami. Nad toaletką wisi lustro. Owalne, w złoczonej ramie. - Drwała i głęboko wciągnęła powietrze w płuca. - Ktoś jest

* Jeden ze zwyczajów amerykańskich: na pamiątkę ważnego wydarzenia (np. ukończenie szkoły, wieczór panieński itp.) kupuje się specjalnego pieska, na którym przyjaciele składają podpisy.

w pokoju. To chyba dziewczyna. Chy ... chyba widzę w lustrze zarys jej odbicia.

Leonor obróciła się na pięcie, jakby chciała przyłapać kogoś, kto stał tuż za jej plecami.

- Jest tu kto? - zawołała cicho. Nicky wiedziała, że matka nie zwraca się do żyjącej osoby. - Taro! Taro, jesteś tu?

Cisza.

- Lauren? Becky? - Głos medium zyskał chrapliwe brzmienie i Nicky zrozumiała, że matka raz jeszcze przeniosła się do innego wymiaru. Leonora zmarszczyła brwi, a na jej twarzy malował się wyraz wytężonego skupienia.

- Tak, widzę cię - oznajmiła, jakby mówiła do osoby znajdującej się na wyiągnięcie ręki. I dodała ostrzejszym tonem: - Kim jesteś?

Spoglądała w kierunku miejsca, gdzie wedle jej słów niegdyś znajdowało się łóżko.

Nicky odruchowo zwróciła wzrok w tamtą stronę, chociaż jej oczy wszędzie napotykały tylko pustkę. Ale ... chłodny powiew na kostkach zrobił się lodowaty.

Czujnik temperatury wskazywał teraz osiemnaście stopni. Magnetometr również objawiał niepodważalne oznaki aktywności. Nie chcąc wyrywać matki z transu, na migi dała znak kamerzyście, żeby pokazał urządzenia. Według zegara cyfrowego na kamerze kończył im się czas: zostało tylko sześć minut. Biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenia, wcale się nie dziwi, jeśli trzy martwe dziewczęta zmaterializują się przed nimi dokładnie trzydzieści sekund po zakończeniu programu."

No cóż. Kompletnie nie miała na to wpływu. Jak słusznie zauważył wuj John, rozpędzona Leonora przypominała lawinę. Zadaniem Nicky było to zjawisko maksymalnie uatrakcyjnić i dostosować do potrzeb widzów.

- Nie podoba ci się, że tu jesteśmy? - Głos Leonory stał się ledwie słyszalny. - Rozumiem. Próbujemy ci pomóc.

Możesz powiedzieć, jak masz na imię? - Uniosła brwi, po czym zerknęła na córkę. - Tara. To Tara. Mówi, że szuka koleżanek, Lauren i Becky. Czy one też są w domu, razem z tobą?

Ostatnie pytanie było wyraźnie skierowane do niewidzialnej dziewczyny. Leonora kiwnęła głową, jakby słuchała czyjeś odpowiedzi.

Nicky złapała się na tym, że mimowolnie wstrzymuje oddech. Tak często oglądała matczyne kontakty z duchami, że dawno zatraciły dla niej swą niezwykłość. Rozmowy ze zmarłymi przychodziły Leonorze równie naturalnie jak innym matkom pieczenie ciasteczek. Dziś jednak połączenie przytłaczającej pustki sypialni, głębokiego głosu medium oraz świadomości potwornej zbrodni, jaką popełniono w tym domu, przyprawiło ją o dreszcz grozy.

Chwała Bogu. Skoro nawet ona sama dała się ponieść nastrojowi, program musiał być naprawdę niezły.

_ Nie możesz ich znaleźć? Myślisz, że są w kuchni?

Leonora umilkła, nasłuchując uważnie. - Tak, wiem, dziś są urodziny Lauren ... sądzisz, że nie chcą się podzielić z tobą tortem? - Ponownie zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. - Zaczekaj, Taro. Nie odchodź! Proszę, chcemy z tobą porozmawiać. Nie ma ich w kuchni, Taro, one ...

Urwała w pół zdania, a następnie odwróciła się, jakby doprowadzała kogoś wzrokiem. Stojąca pomiędzy drzwiami a matką Nicky poczuła na twarzy powiew lodowatego powietrza. Otworzyła szeroko oczy i odruchowo zrobiła krok w tył, unosząc rękę do policzka.

Straszne.

Skóra wydawała się normalna w dotyku, sucha i ciepła.

Ale serce waliło jej w piersi jak młotem.

_ Odeszła - powiedziała z rozczarowaniem Leonora, kierując wzrok na córkę. - Tara. Była tu, a teraz jej nie ma. Wydaje mi się ... wydaje mi się, że pokazuje wydarzenia poprzedzające swoją śmierć. Myślę, że tamtego wieczoru z jakiegoś powodu odłączyła się od koleżanek, po czym przysłała do pokoju Lauren, myśląc, że je tu znajdzie. Nie zastawszy nikogo, zeszła do kuchni i...

Nie dokończyła zdania. Powietrze rozdarł mrozący krew w żyłach, przeraźliwy krzyk kobiety.

5

Tuż po nim nastąpiły jeszcze dwa, w krótkich, zatrważających odstępach czasu. Dobiegały spod podłogi i zawiły w powietrzu jak lodowata mgła. Lekko stłumione, dołatywały z pewnej, acz niebył wielkiej odległości. Głos z całą pewnością należał do kobiety zdjętej mrozącą krew w żyłach zgrozą, przerażeniem zwierzęcia, które nieoczekiwanie pada ofiarą drapieżnika. Równie zaskoczona jak pozostali Nicky gwałtownie zaczerpnęła tchu i dostała gęśniej skórki. Odruchowo wbiła wzrok w podłogę, ponieważ to właśnie stamtąd zdawały się dochodzić przerażające krzyki. Kiedy ich echo wybrzmiewało w powietrzu, czas jakby stanął w miejscu.

- Co u licha? - mruknął Bob Gaines.

Nicky zerknęła na kamerzystę ze zdziwieniem. Skoro nawet on zapomniał się na tyle, by głośno skomentować sytuację, krzyki musiały być naprawdę straszne. Zazwyczaj Bob i Gordon byli równie milczący jak ich sprzęt. Do tego stopnia stanowili jedność z kamerą, że wszyscy łącznie z Nicky zapominali o ich obecności. Teraz jednak on też patrzył pod nogi, równie wstrząśnięty jak pozostali.

Nicky podchwyciła swoje odbicie w obiektywie kamery, która pozostawiona samej sobie zachwiała się niebezpiecznie. Uświadomiła sobie, że stoi z otwartymi ustami i oczami wytrzeszczonymi jak spodki.

Nieprofesjonalna to mało powiedziane. Wyglądała na zszokowaną i kompletnie wyprowadzoną z równowagi. Co gorsza język stanął jej kołkiem i milczała jak zaklęta. W całym pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszyscy, łącznie z grupką obserwatorów na korytarzu, zamarli jak zahipnotyzowani.

Tymczasem program teoretycznie trwał w najlepsze i z ekranów wiało największym prze-kleństwem telewizji na żywo, a mianowicie głuchą ciszą.

Ostatnia myśl podziałała na Nicky jak zimny prysznic.

Bez względu na źródło przeraźliwych wrzasków, jej zadaniem było obrócić je na korzyść programu.

Później będzie się martwić o szczegóły. Syknęła, żeby zwrócić na siebie uwagę Boba (który natychmiast chwycił kamerę i ustawił ostrość), po czym konspiracyjnym tonem zwróciła się do widzów:

- Stało się, proszę państwa. Wy również słyszeliście te głosy. Nie mam pojęcia, kto krzychał ani dlaczego, lecz jeśli wziąć pod uwagę to, czego się dzisiaj dowiedzieliśmy i to, czego byliśmy tutaj świadkami, wnioski nasuwają się same. Krzyki, które usłyszeliśmy przed chwilą, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa te same, które pamiętnej nocy usłyszały Elizabeth i Susan Cook, skulone na łóżku w tym właśnie pokoju. Słyszeli je również przypadkowo przechodnie, gdy wieczorami zapuszczali się zbyt blisko Old Taylor Place. Myślę, że to krzyki przerażonej dziewczyny. Ta dziewczyna zginęła w pokoju tuż pod nami, zasztyletowana na śmierć. Myślę, że to krzyki Tary Mitchell ...

Sześćdziesiąt osiem sekund do końca. Byle tylko nie stwarzać wrażenia, że próbuje na siłę zapełnić gadką pozostały czas. Zresztą szkoda byłoby popsuć wrażenie. Krzyki okazały się wymarzonym grand finale, a przy tym zaprzeczeniem jej wcześniejszych, jak się okazało, zgoła nieuzasadnionych obaw. Musiała przyznać sama przed sobą, że program wypadł fantastycznie.

Nicky zwróciła się w stronę matki. Leonora stała nieruchomo ze złączonymi dłońmi i spuszczonego wzrokiem, mocno zaciskając usta. Od chwili gdy podobnie jak wszyscy odruchowo spojrzęła na podłogę, nie ruszyła się z miejsca choćby o milimetr. Nicky zrozumiała, że matka też nie otrząsnęła się jeszcze z szoku. Stopniowo odzyskując jasność myślenia, dziennikarka stwierdziła, że wcale nie jest pewna, czy chce zgłębiać przyczyny owych przerażających i jakże nieoczekiwanych odgłosów. Niemniej jednak musiała mieć na uwadze najstarsze przykazanie branży rozrywkowej: przedstawienie musi trwać.

- Dziękujemy, że zgodziłaś się zostać naszym przewodnikiem w wyprawie na granice życia i śmierci, Leonoro. Zabrałaś nas w podróż, jaka przypada w udziale niewielu osobom. To było fascynujące, pouczające, a przy tym mrożące krew w żyłach doświadczenie. Jestem pewna, że nasi widzowie podzielają moje zdanie.

Kiedy zaczęła mówić, Leonora uniosła wzrok. Miała nieprzeniknioną minę i nieco błędny wzrok, przez co Nicky odniosła wrażenie, że matka wciąż błądzi myślami gdzieś w zaświatach. Po chwili jednak zamrugęła i utkwiała w córce świdrujące spojrzenie.

Nicky dobrze je znała i poczuła nagły ucisk w żołądku. Leonora nie była zadowolona. W jej głowie ewidentnie kiełkowało podejrzenie, iż niedawne krzyki nie miały z duchami nic wspólnego. Były tak głośne, tak przeraźliwe i na wskroś ludzkie. I do tego zadziwiająco we właściwym momencie. Nicky, rzecz jasna, nie miała absolutnej pewności, czuła jednak, że istoty z zaświatów nie dbają o rankingi i rekordy oglądalności i nie daryłyby się na zawołanie. Czyżby ktoś (nie daj Bóg któryś z członków ekipy) rzeczywiście postanowił uwieńczyć program zasłużonym finałem? Musiała przyznać, że to niewykluczone. Miała tylko nadzieję, że matka zechce wziąć pod uwagę okoliczności (program na żywo!) i zachowa się odpowiednio do sytuacji.

Czy aby na pewno?

- Jeszcze raz dziękuję, Leonoro - dorzuciła pospiesznie, ujmując oburącz jej dłoń. Była wiotka i lodowata, w przeciwieństwie do oczu, które niemalże miały być skawice.

Nie ulegało wątpliwości, że matka jest wściekła.

- Cieszę się, że mogłam pomóc - odpowiedziała lekko sztywnym tonem. Następnie zacisnęła dłoń w pięść i wyrwała rękę z uścisku córki.

Oho.

Nie przestając się uśmiechać, Nicky odeszła na bok i dała znak Bobowi, żeby filmował tylko ją. Cokolwiek rozdrażniło Leonorę (a Nicky miała niemal absolutną pewność, że wie, w czym rzecz), będzie czas, aby to przedyskutować dokładnie za dwadzieścia siedem sekund, a ściślej rzecz biorąc, kiedy zejdą z wizji.

- Po raz kolejny zrobiliśmy krok naprzód w sprawie, która wciąż pozostaje zagadką dla policji.

Sprawdzimy, czy uzyskane dziś przez nasze medium rewelacje rzucają nowe światło na tajemnicę śmierci Tary Mitchell i będziemy was o tym informować w następnych programach. Mówiła Nicole Sullivan.

Dziękujemy, że zechcieliście nam towarzyszyć w specjalnym wydaniu programu "Na tropie tajemnic".

Minęła chwila, podczas której dalej z determinacją uśmiechała się do kamery, po czym czerwone światelko oznaczające, że są na wizji, litościwie zgasło, kończąc jej męczarnie. Bob wyjął z ucha słuchawkę i posłał Nicky krzepiący uśmiech. Na monitorze pojawiły się napisy. Nicky zerknęła na czujniki: odczyt. powrócił do normalności, co mogło oznaczać, że duchy już sobie poszły. Od strony grupki

obserwatorów dobiegły oklaski; podziękowała za nie uśmiechem, który zamarł jej na ustach w momencie, gdy napotkała spojrzeniem wzrok matki.

Wybuch był nieunikniony. Chwała Bogu znajdowali się poza anteną.

- Bomba, Nicky! - zawołał ktoś; chyba Mario, który przez całe nagranie stał na korytarzu, a teraz chyba znalazł się pośród osób napływających do pokoju. Lecz Nicky, zbyt pochłonięta tym, co miało zaraz nieuchronnie nastąpić, tylko zbyła komplement machnięciem ręki.

Leonora dalej świdrowała ją wzrokiem, a potem rozchyliła usta i...

- Muszę przyznać, że ani razu się pani nie pomyliła - odezwała się Andrea Schultz, ratując z opresji Nicky, do tego stopnia skupioną na matce, że nie zwróciła uwagi na otaczający ich wianuszek osób. Bardzo drobna, ubrana w dżinsy i haftowaną kamizelkę narzuconą na jasnozielony podkoszulek, pani Schultz wyglądała na znacznie więcej aniżeli swoje pięćdziesiąt pięć lat. Błyszczące w pobliżej twarzy oczy zaszkliły się od łez. Ujęła rękę medium. - Opis pokoju Lauren ... wszystko się zgadza! Skąd pani wiedziała? I ta krew w kuchni ... Tam naprawdę była krew, dokładnie w miejscu, które pani wskazała. Leonora przeniosła spojrzenie na panią Schultz. Ludziom, którzy utracili kogoś bliskiego i zwracali się do niej o pomoc, zawsze okazywała współczucie, bez względu na przeżywane w danej chwili emocje.

- Bardzo mi przykro z powodu pani córki. - Ucisnęła dłoń pani Schultz. - Żałuję, że nie mogłam zrobić nic więcej.

- Proszę ... proszę nam powiedzieć jeszcze jedno. - Mike Schultz stał tuż za plecami żony. W granatowym garniturze, białej koszuli i krawacie w prążki wyglądał trochę nie na miejscu. Na podstawie wcześniejszych kontaktów z państwem Schultz Nicky zaczęła go traktować jako swoistą opokę, dzięki której Andrea przetrwała najtrudniejsze lata. Teraz jednak był przygarbiony, tak jakby to, co usłyszał, dodało mu lat, czyniąc starca z krzepkiego mężczyzny w sile wieku. - Gdzie jest nasza córka? Widziała pani Tarę ... a co z Lauren? Gdzie Lauren?

Mówił głosem nabrzmiałym od bólu i Nicky poczuła nagły ucisk w gardle. Zbyt często zapomniała, że za wydarzeniami przedstawianymi w jej programie kryli się prawdziwi ludzie i ich dramaty.

Leonora potrząsnęła głową.

- Nie jestem w stanie tego panu powiedzieć. Przykro mi. Nie było mi dane nic więcej zobaczyć.

- O Boże ... - Mężczyzna poczerwieniał i lzy stanęły mu w oczach. Odwrócił się gwałtownie, kryjąc twarz w rękach. - Przepraszamy. Mike ... - Andrea pospieszyła za mężem i objęła go, szepcząc mu coś do ucha. Oboje ruszyli w kierunku drzwi.

Marisa, która dotąd trzymała się nieco na uboczu, była świadkiem ostatniej wymiany zdań.

- Mogę ... ? - rzuciła pytająco pod adresem Leonory.

Ta kiwnęła głową i asystentka pospieszyła za państwem Schultz. Nicky wiedziała z doświadczenia, że pewnie zaproponuje im prywatną, darmową sesję w późniejszym czasie. Kiedy minie już "blokada medium".

- To było ekstra - westchnęła Tina, odpinając mikrofon z klapy Nicky, która odniosła wrażenie, że gdyby nie ciężkie koturny, koleżanka chyba zaczęłaby podskakiwać. - Twoja mama rządzi! - zwróciła się entuzjastycznie do Leonory. - Jest pani po prostu fantastyczna - oznajmiła, zdejmując jej mikrofon. - Czy mogłybyśmy się kiedyś umówić na seans? Moja babcia umarła w zeszłym roku i...

Tina również należała do ekipy Nicky i bez względu na okoliczności nigdy nie traciła pogody ducha, choćby atmosfera była nie wiadomo jak napięta. Lecz jeden rzut oka na matkę utwierdził Nicky w przekonaniu, że koleżanka wybrała niewłaściwy moment.

- Może przy innej okazji - wtrąciła pospiesznie, ujmując Leonorę pod ramię. Ta nie wyszarpnęła ręki, lecz wydać było, że chociaż pali się do wyjścia, gest córki bynajmniej nie przypadł jej do gustu. Pochłonięta humorami matki Nicky przynajmniej nie musiała się zastanawiać nad źródłem lodowatego powiewu, który w czasie programu owiał jej twarz. - Musimy się stąd związać, zanim Barney Fife i spółka - kiwnęła głową w stronę dwóch policjantów, którzy chyłkiem wśliznęli się do pokoju - naprawdę spróbują nas aresztować.

- Mają prawo? - Tina zmarszczyła brwi i obrzuciła obu mężczyzn podejrzliwym spojrzeniem.

Ciągnąc matkę ku drzwiom, Nicky tylko wzruszyła ramionami.

- Nie wiem jak ty, ale ja wolę ich o to nie pytać. Światła przygasły i temperatura w pomieszczeniu spadła o dobre kilka stopni. Nicky zamrugała i rozejrzała się odruchowo, by zaraz sobie uświadomić, że nie kryje się w tym nic niezwykłego: po prostu zgaszono reflektory. Ekipa związała się jak w ukropie; w przeciągu niespełna pół godziny w domu nie pozostanie żaden ślad ich bytności.

- Niezłe przedstawienie - powiedział czyjś oschły głos i Nicky zobaczyła przed sobą Barneya Fife' a. Teraz, kiedy przyjrzała mu się lepiej w normalnym oświetleniu, wydał jej się nawet przystojny: czarne,

kręcone włosy, śniada twarz o ładnie rzeźbionych rysach, umięśniona, szczupła sylwetka. Cokolwiek by o nim powiedziała, odpowiadał powszechnym kryteriom atrakcyjności i jej kobiecy radar zareagował zgodnie z przewidywaniami. Na szczęście kretyńska koszula i mina narowistego gliniarza z prowincji pomogły nadać sytuacji odpowiednią perspektywę. Tak, gdyby Nicky miała go teraz opisać, na pewno użyłaby sformułowań typu "wysoki", "mroczny" i "wredny". Charakterystyczny błysk w oku i sardoniczny uśmiezek mówiły jasno, że on w "takie bajki" nie wierzy. - Aż mnie ciarki przeszły.

- Dzięki. - Postanowiła się przemóc i zignorować oczywistą ironię w jego głosie. Kij ci w oko, chciała powiedzieć, ale miała ważniejsze sprawy na głowie niż głupawy glina. Na przykład własną matkę, którą wytrwale popychała ku drzwiom. Czuliła, jak Leonora stawia opór; wiedziała, że gdyby teraz odważyła się na nią spojrzeć, na pewno zobaczyłaby, że matka jest nadęta jak purchawka.

Gdyby ją zapytał o zdanie, uprzedziłaby lojalnie, że Leonora nie ma teraz nastroju do rozmów z półgłówkami. Zwłaszcza jeśli chodziło o półgłówek jego typu.

Barney Pife odprowadził je spojrzeniem.

- Nie będziecie tu kręcić żadnych nowych programów, co? Bo jeżeli tak, na waszym miejscu postarałbym się jednak o pozwolenie.

- Jutro nas tu nie będzie, więc proszę się nie martwić. - Nicky powstrzymała się od dalszych kąśliwych uwag, byle jak najszybciej wyprowadzić matkę z pokoju. Zaciągnęła ją na korytarz i prawie popchnęła ku klatce schodowej.

- Co to miało znaczyć? - syknęła po chwili Leonora i Nicky wiedziała, że bynajmniej nie ma na myśli nieznośnego gliny. Z ulgą przyjęła fakt, że znajdowały się już na schodach, w przyzwoitej odległości od innych. Zaciśnęła palce na gładkiej, dębowej poręczy, widząc kątem oka purpurowe plamy na policzkach matki, jej zaciśnięte usta i wściekłe spojrzenie. Leonora przystanąła w pół drogi na parter (wyprzedzała Nicky o jeden stopień) i ze złością popatrzyła na córkę. - Jak śmiałaś przemycić te wrzaski? Przecież postawiłam sprawę jasno. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że nie udaję.

Szczęśliwym trafem, czując co się święci, Nicky zdążyła już obmyślić strategię. Istniała tylko jedna odpowiedź, która mogła ostudzić złość Leonory. .

- Na jakiej podstawie uważasz, że to był trik? - odparła, popychając ją kolanem. U stóp schodów zgromadził się spory tłumek i wszyscy utkwili oczy w Gakże by inaczej Leonorze. Nicky uśmiechnęła się jak gdyby nigdy nic i ściszyła głos. - O ile mi wiadomo, nikt niczego nie przemycił. Nie były udawane. Świadoma audytorium Leonora przywołała uśmiech na twarz i z królewską gracją ruszyła dalej po schodach. Lecz nic nie wskazywało na poprawę sytuacji. Nicky widziała, że matka dosłownie wychodzi ze skóry.

- Bzdura - warknęła półgłosem.

- Właśnie, że nie - odparowała równie dyskretnie Nicky.

Dźwięk okłasków odwrócił ich uwagę: to tłum oczekujących zaczął bić brawo. Była to jedna z nielicznych okazji, kiedy obecność wielbicieli matki sprawiła Nicky niewymowną ulgę. Grunt, że Leonora zamknęła usta i w spokoju pokonała resztę schodów.

- Pani James, muszę powiedzieć, że jestem pani największą fanką. - Z szeregu wystąpiła kobieta w krótkiej spódnicy. - Nazywam się Marsha Browning i pracuję dla "Głosu Wybrzeża". Docieramy do czytelników z wyspy Pawleys, Litchfield i Murrels Inlet. To było po prostu niesamowite. Czy da się pani namówić na wywiad?

- Będę zaszczycona. - Leonora z wdziękiem ucisnęła dłoń dziennikarki.

- Proszę zadzwonić do asystentki pani James i umówić się na spotkanie. Dam pani numer - wtrąciła Nicky. Nauczona kilkuletnim doświadczeniem umiała bez trudu spławiać intruzów.

Podczas gdy matka odbierała wyrazy uznania, Nicky z ulgą dostrzegła nadejście Livvy, podtrzymywanej z obu stron przez wuja Hama i wuja Johna. Siostra miała bladą, obrzmiałą twarz i sprawiała wrażenie, jakby każdy krok kosztował ją masę wysiłku, ale przynajmniej przestała płakać.

Wymieniły spojrzenia, rozumiejąc się bez słów. W okresie dojrzewania skrajnie się od siebie różniły: nieśmiała, spokojna Nicky zawsze była w cieniu przebojowej, atrakcyjnej Olivii. Nawet kiedy dorosły i każde kolejne urodziny zdawały się zmniejszać dzielącą je różnicę trzech lat, zachowywały wzajemny dystans. Właściwie nie łączyło ich nic prócz genów. Livvy wyszła za męża zaraz po college'u, poślubiła Bena Hollisa ze znanej charlestońskiej rodziny (co w okolicy zakrawało na niemałe wyróżnienie), po czym spędziła ostatnich dziesięć lat w Charlestonie, niespełna sto kilometrów od miejsca, w którym dorastała. Brylowała w tamtejszym towarzystwie tak jak niegdyś w szkole, idealna żona męża, który rozkręcał rodzinny interes, a także zajmował się całą masą niepojętych dla Nicky spraw, takich jak na przykład stanie na czele Ligi Juniorów. Tymczasem kariera jej samej rozwijała się w zawrotnym tempie. Już w

czasie studiów zaczęła pracę w telewizji i przeprowadzała się z miejsca na miejsce, trafiając do coraz większych stacji, by wreszcie wylądować w Chicago jako prezenterka w "Na tropie tajemnic". Było to w sierpniu zeszłego roku. Wówczas uważała to za swój wielki sukces, ale wobec piętrzących się przed nią trudności wkrótce miała zweryfikować ów pogląd. Widywała Livvy może dwa razy do roku, a przez resztę czasu komunikowały się za pośrednictwem matki. Bywało jednak, że znajdowały wspólny język, zwłaszcza gdy rzecz dotyczyła właśnie Leonory i gdy w grę wchodziła ich obopólna korzyść.

Na przykład teraz. Livvy chciała wrócić do domu, a Nicky nade wszystko pragnęła mieć z głowy Leonorę. Nie było mowy o konflikcie interesów.

Nicky minimalnie uniosła głos i zwróciła się do siostry ponad głowami zgromadzonych.

- Ach, Liv! Źle się czujesz?

Wszystkie oczy skierowały się na Olivię, co ze względu na obecne samopoczucie siostry nieszczerze przy padło jej do gustu. Lecz mimo to ani na chwilę nie wypadła z roli.

- Głowa mnie boli - oznajmiła płaczącym głosem, który niezmiennie zapewniał jej uwagę matki i niezawodnie działał na nerwy siostrze. Ale dziś, kiedy Leonora skierowała na córkę zatroskane spojrzenie, Nicky w duchu

pogratulowała siostrze talentu aktorskiego. - Chcę do domu. Zaraz.

- Powinnaś z nią jechać, mamó - szepnęła Leonora do ucha. Ona sama musiała jeszcze zostać w Old Taylor Place i dopilnować paru spraw, jednakże pozbycie się matki stanowiło w chwili obecnej rzecz najważniejszą. - Potrzebuje cię.

- Tak, tak, już jadę. - Nie mając już w perspektywie udziału w programie telewizyjnym, Leonora mogła bez reszty skupić się na potrzebach starszej córki. Wymieniwszy jeszcze kilka uśmiechów i uścisków dłoni, podeszła do zbolętej Livvy.

- Weźcie mój samochód! - zawołała za nią Nicky. Pozbawiona obiektu zainteresowania grupka wielbicieli rozproszyła się na boki. - Kluczyki są w stacyjce. Ja jeszcze chwilę zostanę, ktoś mnie podrzuci.

Wuj John skinął w odpowiedzi ręką. Nicky patrzyła z ulgą, jak cała czwórka zmierza zwartą gromadką do drzwi. Naraz Leonora obejrzała się przez ramię i rzuciła młodszej córce złowróżbne spojrzenie.

- Nicole - powiedziała z naciskiem. - Dowiedz się. Nicky westchnęła. Mogła przewidzieć, że tak łatwo się nie wywinie.

- Dobrze - obiecała.

- A potem masz przyjechać prosto do domu i wszystko mi opowiedzieć.

- Dobrze - powtórzyła z rezygnacją Nicky.

Wyglądało na to, że może się pożegnać z sielską atmosferą pokoju hotelowego w Charlestonie, dwoma wielkimi łózkami i błogim wieczorem spędzonym samotnie przed telewizorem. Cóż, i tak się nie łudziła, że będzie jej to dane. Ostatnio widziała matkę i siostrę podczas krótkiej wizyty na Boże Narodzenie, toteż meldując się w hotelu, czuła przez skórę, że przyjdzie jej spędzić noc gdzie indziej. Matka nigdy by jej nie darowała, gdyby zatrzymała się poza domem. Zresztą jedna noc w rodzinnym oku cyklonu chyba jej nie zabije.

Jeśli okaże się jednak, że ktoś z zespołu zaaranżował te krzyki, Leonora jej tego nie daruje.

Jakby czytając w myślach córki (a kto ją tam wie?), Leonora obrzuciła Nicky na pożegnanie ostrzegawczym spojrzeniem i pozwoliła się wyprowadzić za drzwi.

- Wychodzi na to, że jeszcze nie straciliśmy roboty - oznajmił wesoło Gordon. Stał za nią i zręcznie nawijał na ramię kilometry pomarańczowego kabla. - Słyszałem dobre wieści.

- Tak? - ucieszyła się Nicky.

- Zakończenie, że. mucha nie siada!

- No. - Entuzjazm Nicky trochę osłabł. Zniżyła głos:

po co ktoś postronny ma się dowiedzieć, że wystrzałowy finał budzi jakiegokolwiek wątpliwości. - Te krzyki. ... byłeś na dole, prawda? Nie widziałeś, żeby ktoś krzyczał?

Gordon potrząsnął głową. Następnie przystanął na progu jadalni i zmarszczył brwi.

- Przecież to był duch, nie?

Nicky zmarszczyła nos.

- Sama nie wiem. Chciałabym w to wierzyć. Ale to brzmiało tak. ... realnie.

- Wiem tylko, że cały czas stałem tu, w holu, i nie widziałem, żeby ktoś krzyczał. Ale słyszałem dobrze, o tak. I mało nie wyskoczyłem ze skóry, mówię ci.

Nicky skrzywiła się lekko.

- Aż tak?

- Słuchaj, ostatni raz byłem tak przerażony, kiedy moja była żona przyłapała mnie z opiekunką do dzieci.

Nicky parsknęła śmiechem, a Gordon wyszczerzył zęby i dalej zwił kabeł. Nieco podniesiona na duchu poszła do kuchni, gdzie sądząc po odgłosach, spodziewała się zastać pozostałych członków ekipy. Może jednak te wrzaski wcale nie były udawane, w końcu przecież nie tylko ona przestraszyła się nie na żarty. Może po złych doświadczeniach ze swoim programem Leonora najzwyczajniej w świecie stała się przewrażliwiona. Poza tym dziś wieczorem zdecydowanie nie była sobą. Może zawiodła ją intuicja? Po drodze Nicky minęła grupkę osób, które właśnie szły na dół: Tinę, Marisę, państwa Schultz, Barneya Pife' a i jego pomagiera. Na widok ostatnich dwóch skrzywiła się w duchu i przyspieszyła kroku, aby uniknąć nie milej konfrontacji.

Przedstawienie skończone. Pora brać nogi za pas. Kiedy weszła do kuchni, Cassandra i Mario pakowali sprzęt, popijając swój ulubiony sok żurawinowy, a Bob rozkładał na blacie obok zlewozmywaka fragmenty częściowo rozmontowanej kamery. Przerwali rozmowę i powitali Nicky wykrzyknikami oraz różnymi wyrazami uznania.

- Słuchajcie, mam do was pytanie - powiedziała, kiedy ucichły okrzyki.

Oparła się plecami o "wyspę" na środku, starając się nie myśleć o plamie krwi, która piętnaście lat temu znajdowała się zaledwie piętnaście centymetrów od jej prawej strony. Tu zamordowano Tarę Mitchell ... Zadrżała wewnętrznie i odruchowo zawiesiła wzrok na jaskrawych różach tapety, próbując odsunąć od siebie drastyczne skojarzenia. Koniec końców tamte wydarzenia i wzmianki o duchach stanowiły zasadniczy powód, dla którego tu przyjechali. To idiotyczne, że przejmuje się tym akurat teraz.

- Czy te wrzaski to radosna twórczość kogoś z naszej ekipy?

Minęła sekunda. Trzy pary oczu wpatrzyły się w nią z nieklamany zduśmieniem.

~ Ależ skąd - odparł wreszcie Bob, który zamął nad zaślepką obiektywu. - Tego nie było w scenariuszu. Poza

tym w plenerze nie miałobyśmy technicznych możliwości, żeby to spreparować.

- Nie mówię o technicznych możliwościach. - Nicky skrzyżowała ręce na piersi i zmierzyła go badawczym spojrzeniem. - Pytam tylko, czy ktoś wrzeszczał.

Bob zmarszczył brwi.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Nicky popatrzyła na Cassandrę, która potrząsnęła głową, niewinnie wytrzeszczając czekoladowe oczy.

- Kochana, gdybym umiała tak profesjonalnie wrzeszczeć, wybrałabym karierę w horrorach - oznajmiła, popijając tyk soku żurawinowego. - Mało nie umarłam ze strachu.

- Ja myślałem, że to duch. - Mario zatrzasnął kuferek z kosmetykami. - Miałem ... jak wy to mówicie ... siarki, czy coś. - Zadygotał teatralnie.

- Ciarki - poprawiła go Cassandra.

- Chcesz powiedzieć, że to nie miało nic wspólnego z duchami? - spytał Bob i zmarszczka na jego czole pogłębiła się jeszcze bardziej. Podobnie jak Nicky ogromnie cenił fakty i myśl o ewentualnym oszustwie wyraźnie nie dawała mu spokoju.

- Chcę powiedzieć, że nic nie wiem - odpowiedziała ostrożnie Nicky. - Próbuję się upewnić. Nie wierz niczemu bez zastrzeżeń, pamiętajcie?

- Pierwsze słyszę. - Mario, który stosunkowo niedawno przybył do Stanów z Gwatemali i nieustannie szlifował swoją angielszczyznę, okazał żywe zainteresowanie. - Macie to na jednej ze swoich mpnet?

- Nie - uświadomiła go Cassandra. - To jakiś cytat, czy coś w tym stylu * .

- Aha. - Mario kiwnął głową. Widać było, że skrzętnie notuje powiedzonko w pamięci.

* Nawiązanie do słynnych słów Ronalda Reagana, "trust but verify".

Znam ich na tyle dobrze, by wiedzieć z całą pewnością, że nie mijają się z prawdą, pomyślała Nicky, przenosząc wzrok z jednego na drugie. Ci troje nie kłamali.

- Gdzie Karen? - Nicky wzięła pod uwagę kolejną potencjalną podejrzaną.

- Dostała pilny telefon i wyszła do ogrodu - oznajmił Gordon. Wszedł do kuchni, ciągnąc za sobą wózek kamerowy, i wskazał kciukiem rozsuwane drzwi. - Chyba chodziło o coś ważnego. Odniosłem wrażenie, że rozmawia z Jego Wysokością we własnej osobie.

Jego Wysokość nazywał się Sid Levin i był producentem "Na tropie tajemnic".

- Tak? - W głosie Nicky zabrzmiał lekki niepokój. Od Sida Levina zależała jej praca, ba, cała kariera. - Co mówił?

Gordon wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem? Musisz spytać Karen.

- Spytam. - Nicky ruszyła w stronę drzwi. Uczyniła to tym gorliwiej, że na progu kuchni stanęli Barney Pife i ten drugi, mały glina.

- Potrzebujecie pomocy, żeby zwinąć interes? - zapytał pierwszy.

Z jedną ręką na klamce obejrzała się przez ramię i natknęła jego spojrzenie. Gordon rzucił coś w odpowiedzi, ale nie dosłyszała jego słów. Dostyc nerwów i zmartwień jak na jeden dzień, pomyślała, starannie zamykając za sobą drzwi. Czowała się emocjonalnie i fizycznie wyciśnięta, skonana i wyczerpana do cna. Nie miała siły, aby po raz kolejny stawić czoło denerwującym lokalnym stróżom prawa.

Dla odmiany ktoś może ją raz w tym wyręczyć.

Na zewnątrz otoczyły ją ciemności i słodkawe nocne powietrze. Przez chwilę stała nieruchomo na niewielkim dziedzińcu, chłonąc z zamkniętymi oczami odurzający aromat kwiatów, trawy i oceanu, czując lekki posmak soli na języku i miły powiew wiatru na twarzy. Było ciepło, jeszcze cieplej niż w domu, lecz bryza łagodziła upał. W tej części wyspy szum oceanu wydawał się przytłumienny i dolatywał jakby z oddali, stanowiąc tło dla nocnych ptaków zamieszkujących okolicę Salt Marsh Creek. Ich śpiewne nawoływania, w połączeniu z cykaniem owadów i szelestem liści wysoko na drzewach, tworzyły niepokojący czarowny chór, od zawsze obecny w jej sercu i pamięci.

Nocna muzyka wyspy Pawleys. Mimo tylu lat nieobecności Nicky nigdy, przenigdy jej nie zapomniała. Wyspa snuła swoją pieśń, nasuwając myśli o duchach, ale nie tych, które mogły nawiedzać Old Taylor Place ani tych, które według starych legend od zawsze zamieszkiwały okolicę, ale jej własnych, duchach przeszłości Nicole Sullivan.

Nie teraz, nie dziś, prosiła, gdy nieproszone poczęły wyłaniać się z zakamarków jej umysłu. Ojciec ... łódź ... wir lodowatej wody ...

Nie. Nie chce tego wspominać. Jutro o tej porze będzie już w swoim bezpiecznym mieszkanku w Chicago. Misja wypełniona.

Rozkoszowała się tą myślą, czując jak napięcie ramion i karku zaczyna powoli ustępować. Udało się dokonać tego, co początkowo wydawało się niemożliwe: zapewnili widzom dwadzieścia minut (nieważne, że cały program trwał godzinę) zapierającego dech w piersi widowiska na żywo.

Uwaga, nadchodzę, CBS!

Z tą myślą Nicky otworzyła oczy i rozejrzała się za Karen.

Zobaczyła ją niemal natychmiast. Błady krążek księżyca rozbłysnął mocniej na niebie i w jego blasku dostrzegła szczupłą sylwetkę Karen, oddalającą się z wolna atramentową wstęgą podjazdu. Nie widziała dokładnie, lecz sądząc po jej zachowaniu, Karen wciąż rozmawiała przez telefon: szła wolnym krokiem, pozornie bez celu, myślami wyraźnie błędząc gdzie indziej, byle tylko nie stać w miejscu. Na pewno nie kierowała się w stronę samochodu, zaparkowanego wraz z innymi za zakrętem.

Najpierw zapytam ją o krzyki, a potem poproszę, żeby mnie podwoziła, postanowiła Nicky i ruszyła jej śladem.

Na myśl o tym, co może usłyszeć, ponownie ogarnęło ją napięcie.

Oby tylko wieści z Chicago okazały się pomyślne.

Z chwilą gdy znalazła się z dala od ciepłych prostokątów światła padających z okien Old Taylor Place, otoczył ją niespodziewany mrok. Najpierw masywne zarysy garażu po prawej stronie, a następnie trio okazałych dębów,

które trzymały warę tuż obok, skutecznie zasłoniły księżyc. Odgłosy nocy przybrały na sile, jakby odległość od domu dodała im animuszu. Powiał wiatr i Nicky zadrżała w cienkim kostiumie. Widziała przed sobą niewyraźną postać Karen, która zbliżała się do zakrętu; prawie krzyknęła, żeby tamta na nią poczekała, po czym przypomniała sobie, że przecież Karen rozmawia przez telefon, może nawet z Jego Wysokością, i powstrzymała się w ostatniej chwili. Jeszcze tego brakowało, żeby ją usłyszał w tle. To by dopiero świadczyło o braku profesjonalizmu.

Przyspieszyła kroku, aby dogonić po cichu koleżankę i uśmiechnęła się mimowolnie: szefostwo na pewno zacieńra ręce, program okazał się sukcesem. Karen wysłuchuje eraz pochwał. Ona sama pewnie też odbierze telefon z gratulacjami, jak tylko wygrzebie komórkę z torebki i ją włączy.

Po prostu to niemożliwe (no, powiedzmy, że prawie niemożliwe), żeby czekała ją przykra niespodzianka. Idąc spieszenie za Karen, Nicky powzięła w myślach sołenne postanowienie: nawet jeśli okaże się, że krzyki nie miały nic wspólnego z duchami, ona nie piśnie o tym ani słówkiem - ani matce, ani pozostałym członkom ekipy, nikomu. A gdy (i jeśli) ustali winowajcę - o ile takowy w ogóle istniał - uświadomi mu niewłaściwość takiego postępowania i zobowiąże go do pełnej dyskrecji. Tym sposobem za jednym zamachem udobrucha matkę i nie narazi na szwank własnej kariery.

Przedstawienie skończone, niech spoczywa w pokoju.

Będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli program zapisze się w annałach telewizji dokładnie tak, jak odebrali go widzowie, czyli zwieńczony przerażającymi krzykami niewiadomego pochodzenia.

Docierając do zakrętu, Nicky uświadomiła sobie, że straciła Karen z oczu. Marszcząc brwi, zwolniła kroku i wyteńczyła wzrok. Tuż przed nią, na lewo, w miejscu gdzie podjazd zakręcał w kierunku ulicy, rozrastała się kępa wysokich, pokrzywionych sosen z gałęziami aż do ziemi. Jeden z sękatych dębów po drugiej stronie zdawał się sięgać konarami w tamtym kierunku, tworząc ponad chodnikiem sklepienie na wysokości około sześciu metrów. Gęsty cień rzucany przez drzewa jakby pochłaniał dosłownie wszystko, łącznie z nikłym połyskiem asfaltu.

I samą Karen.

Nie, chwileczkę: zblakany promień księżyca wydobyl z ciemności metaliczny odblask, który mógł dawać tylko jej telefon. Na pewno była blisko, zdumiewająco blisko. Może przystanęła, aby zakończyć rozmowę, i pogrążona w myślach Nicky nie zauważyła, że prawie ją dogoniła.

Z ulgą pospieszyła w tamtą stronę. Gdy wkroczyła w cień drzew, ciemność spowiła ją jak całun, uniemożliwiając zobaczenie czegokolwiek. Wiedziała, że to rozkoły, sany baldachim dębowych liści nad głową zasłania całe niebo, mimo to poczuła się nieswojo i zadrzała na wietrze, który wirował dokoła i owiewał jej twarz, unosząc włosy na karku.

Odetchnęła głęboko, wciągając w płuca delikatny aromat sosen. Swojskie odgłosy ptaków, owadów i szeleszczących liści jakby nieco osłabły; pod drzewami panowała taka cisza, że Nicky słyszała delikatny stukot własnych obcasów, coraz cichszy w miarę jak z wahaniem zwalniała kroku ...

Karen musiała być tuż przed nią. Dlaczego nie słyszc jej głosu?

A niech się dzieje, co chce.

- Karen? - zawołała. Uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że serce wali jej w piersi jak młotem, a oddech stał się płytki i przyspieszony. Dlaczego? Nie miała pojęcia. Ale ... - Karen?

Cisza.

Gdzieś w oddali, od strony bagien, rozległo się głucho wycie psa.

Przestraszona Nicky stanęła jak wryta.

- Karen? - spróbowała raz jeszcze, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to jakoś bez przekonania. Serce kołatało jej w piersi, po plecach przebiegły ciarki. Nagły chłód przejął ją dreszczem od czubka głowy aż po pięty. Ani słowa koleżanki, zniknął nawet odblask komórki. Nocne odgłosy przeszły w dziwny, jednolity pomruk, który zadudnił jej w uszach. Zewsząd napierał mrok, złowroźny i namacalny, ni stąd, ni zowąd zaludniony czyhającymi wokół okropieństwami. Ogarnęło ją przemożne wrażenie, że ktoś ... coś ... obserwuje ją z ukrycia ...

Poczuła na twarzy powiew lodowatego powietrza. Doznanie wypisz, wymaluj przypominało to z sypialni Lauren i przywodziło na myśl dotyk zimnych, martwych palców.

Na ułamek sekundy zastygła w bezruchu, wstrzymując oddech. Następnie odwróciła się i ruszyła biegiem.

W samą porę. Kiedy gnała przed siebie, ślizgając się na wysokich obcasach, czuła za plecami szmer, ruch, czyjąś obecność, podążające w ślad za nią. I zrozumiała z przerażeniem, że ktoś albo coś ją goni. Słyszała tupot, przyspieszony oddech, szelest odzieży. Odważyła się spojrzeć, rzez ramię, zdrętwiała na myśl o tym, co może zobaczyć, ale jej oczy napotkały tylko ciemność. Lecz instynkt podpowiadał, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Było coraz bliżej.

Serce zadudniło jej w uszach. Kolana osłabły, a płuca domagały się powietrza, ale strach nie pozwolił jej nabrać tchu. Tuż przed nią, poza strefą cienia, jaśniał osrebrzony księżycem świat, żywy i krzepiący obietnicą bezpieczeństwa. Nicky jednak wciąż tkwiła w okowach styksowego mroku, który nie kwapił się wypuścić jej z objęć, przemieniając stopy wołów i nasuwając wrażenie, że brnie w atramentowych odmętach, jakby poruszała się w zwolnionym tempie, niczym uwięziona w koszmarnym śnie ...

Ciszę rozdarł krzyk, nabrzmiały strachem i ostrym jak nóż.

Nicky poczuła, że coś podcina jej nogi. Upadła.

6

Wydawało jej się, że godzinami tkwi zawieszona w przestrzeni, chociaż wszystko trwało niespełna ułamek sekundy. Świat zamarł dokoła niej. Zmysły Nicky nagle się wyostriły i subtelny dotąd aromat sosen z niespotykaną mocą uderzył ją w nozdrza. Odgłosy nocy również przybrały na sile, tak jakby ptaki, owady i wiatr wybrały na swe crescendo akurat tę chwilę. Nicky ujrzała tuż przed sobą nie przeniklioną czerń chodnika, przy czym mogła odróżnić każdy, choćby najdrobniejszy kryształek nawierzchni. Czuła krew tętniącą w żyłach, zrobiło jej się sucho w ustach i gardle, słyszała przyspieszone bicie własnego serca. Przede wszystkim zaś towarzyszyło jej przemożne poczucie zagrożenia, świadomość zła, które czaiło

się opodal i podchodziło coraz bliżej ...

Upadła, boleśnie szorując kolanami i dłońmi o chropawy asfalt. A potem wydała żalosny, zduszony okrzyk, kiedy coś ciężkiego zważyło jej się na plecy, pozbawiając ją tchu i dławiąc krzyk niemalże w chwili, gdy wydobywał się z gardła.

Ku swemu przerażeniu zrozumiała, że jest w pułapce.

Potwór z koszmaru wreszcie dopadł swoją ofiarę.

Umrę, pomyślała z dotkliwą jasnością. Potem uderzyła czołem o chodnik i ogarnęła ją mrok.

Palenie ma sporo minusów, uznał w duchu Joe, wychodząc na patio na papierosa. Jest kosztowne, politycznie niepoprawne, a w dodatku szkodliwe dla zdrowia. Bywało jednak, jak niejednokrotnie miał okazję się przekonać, użyteczne. Zyskał przynajmniej pretekst, aby wyjść na zewnątrz śladem Nicky Sullivan.

W spojrzeniu, które rzuciła mu na odchodne, kryła się niebudząca wątpliwości mieszanina niechęci i pogardy. Nie był przyzwyczajony do tego rodzaju komunikatów, wzrok kobiet częściej mówił "zapraszam" aniżeli "spadaj". Joe odkrył jednak, że "spadaj" zdecydowanie miało swój urok, skłoniło go bowiem do wyjścia na dwór dla pogłębienia znajomości z autorką tego przekazu.

Ale jej tam nie było.

Może to i dobrze, stwierdził, stając na skraju patio i głębokoci zaciągając się marlboro light. Piękne rudzielce, które pały do niego żywą niechęcią, mogły stanowić zupełnie nową kategorię kobiet, jednakże zgłębianie owego zjawiska u źródeł to zgoła absurdalny pomysł.

Po pierwsze, nie był z kobietą (w tym mowa o pocałunku, randce czy choćby czysto towarzyskiej wymianie zdań), odkąd jego życie wywróciło się do góry nogami, dlatego warto by zacząć stopniowo, powiedzmy nawiązując znajomość z osobą, która darzy go choćby cieniem sympatii i mieszka w pobliżu. Obcowanie z kobietami w dużej mierze przypomina jazdę na rowerze: z chwilą gdy opanujesz tę trudną sztukę, w gruncie rzeczy nigdy jej nie zapominasz. Dawne kontakty Joego z kobietami, w czasach gdy uchodził za podrywacza, sprowadzały się jednak do nieskomplikowanej zasady "kochaj, a potem rzuć", którą doprowadził do swoistej perfekcji. Parę lat i kilka bolesnych przeżyć później sprawiło, że teraz był zupełnie innym człowiekiem, wrażliwym i niepewnym świata oraz własnego w nim miejsca.

Doświadczył skrajnych emocji, które pozostawiły mu dotkliwy niesmak. Odkrycie, że posiada jednak głębsze

uczucia, nauczyło go czegoś jeszcze, a mianowicie tego, że nawet tak zatwardziałe serce jak jego można złamać.

Od chwili kiedy rany zaczęły się zblizniać, gorąco pragnął tylko jednego: znaleźć dla siebie spokojną przystań. I wreszcie osiągnął swój cel. Zaznał w życiu dość zawirowań, ryzyka i niebezpieczeństw. A jeśli nawet, jak nskarżono go dawno temu, kiedyś łaknął ekstremalnych przeżyć, zerwał z tym raz na zawsze.

To nasuwało punkt drugi: Nicky Sullivan zainteresowała go bardziej niż jakakolwiek inna kobieta od chwili, kiedy odkrył z niesmakiem, że jego życie ma jednak dalszy ciąg. Była ruda, co w jego mniemaniu zawsze uchodziło za plus. Jeśli do tego dołożył bardzo zgrabną figurę i piękną twarz, wygrywała w przedbiegach. Co więcej, popatrzyła na niego ze złością, podniosła głos i dosadnie wyraziła swoje zdanie. Co tu dużo mówić, był pod głębokim wrażeniem.

Ten jej cały program to po prostu śmiech na sali; Joe obserwował z żywym zainteresowaniem, jak rzekomo wybitne medium Leonora James krążyła po domu, deklamując wszem wobec, że nie wyczuwa obecności żadnych duchów, podczas gdy Brian (który z całą pewnością był martwy) towarzyszył jej krok w krok. Następnie udała, że widzi w sypialni ducha dziewczyny, w chwili gdy Brian dosłownie wymachiwał jej rękami przed nosem, żeby tylko zwróciła nań uwagę. W porządku, możliwe, że wcale go tam nie było, być może istniał tylko w głowie Joego. I pewnie wszystkie programy tego rodzaju to tylko pic na wodę. Da się przeżyć. Najgorsze jednak było to, że Nicky, która świadomie uczestniczyła w nabieraniu wielomilionowej widowni, po programie dalej miała czelność spojglądać na niego z góry.

Tak, pomyślał z goryczą, po raz kolejny zaciągając się papierosem, ta kobieta to prawdziwe wyzwanie. Powabne, seksowne, rudowłose wyzwanie.

I jeśli się dobrze zastanowić (czego nie omieszkał uczynić, korzystając z wolnej chwili), właśnie to było najgorsze. Pónieważ właśnie takie kobiety kiedyś pociągały go najbardziej. Kobiety, dla których w jego obecnym życiu nie było miejsca.

Kolejny wniosek był taki, że skoro zainteresował się Nicky Sullivan, może pora rozejrzeć się po własnym podwórku i przygruchać sobie jakąś miłą dziewczynę z sąsiedztwa z całym dobrodziejstwem inwentarza w postaci, mamy, taty i jabłecznika: słodką, lekko strawną i nieskomplikowaną.

Ma za sobą tyle emocjonalnych wzlotów i upadków, że wystarczy mu do końca życia. Teraz potrzebuje tylko ciszy i spokoju.

Dlatego dopali papierosa i wróci do środka. To, że Nic-ky Sullivan stanowiła wyzwanie, wcale nie musi oznaczać, że on musi podjąć rękawicę.

Nie przejmuj się kłopotami, dopóki nie dadzą ci się we znaki, jak często powtarzała jego przybrana matka. Święte słowa.

Joe zaciągnął się ostatni raz, po czym rzucił niedopałek i zgniótł go obcasem. Popatrzył w niebo, odnotowując mi-mochodem masę ołowianych chmur, które nadciągały od oceanu i zasłaniały nieliczne gwiazdy, i pomyślał, że nad ranem spadnie deszcz. Wreszcie schylił się, żeby podnieść rozdeptanego papierosa.

Wtedy to usłyszał: przeraźliwy krzyk, który ucił nie-malże w tej samej chwili jak ucięty nożem. Joe wyprostował się odruchowo i zmarszczył bFwi, zapominając o nie-dopałku. Odczekał chwilę, nasłuchując i sięgając wzrokiem poza plamy światła padające z okien. Nic. Cisza. I aksamit-na czern nocy.

Pewnie jakieś zwierzę padło ofiarą nocnego drapieźni-ka. No bo cóż to mogło być innego?

Nicky leżała nieruchomo, na przemian odzyskując i tracąc przytomność, niepewna tego, co się stało ani gdzie się znajduje. Ból powoli przywracał jej świadomość. Huczało jej w głowie, piekły podrapane kolana i ręce. Uświa-domiła sobie, że jest cała obolała, a skoro czuła się obolała, to wciąż się znajdowała wśród żywych.

Jak cudownie było móc otworzyć oczy.

Początkowo zobaczyła tylko ciemność. Zamrugła po-wiekami, usiłując odzyskać jasność widzenia i przebić wzrokiem noc. Nie pomogło. Mrok wirował dokoła, ostry ból przewiercał czaszkę. Zakręciło jej się w głowie, poczuła mdłości. Ponownie przymknęła oczy w nadziei, że to po-może jej odzyskać kontrolę nad sytuacją. Szum w uszach był ogłuszający i skutecznie wypierał jakiegokolwiek inne dźwięki. Odetchnęła głęboko, wciągając w nozdrza woń mokrej ziemi, sosen i ... czegoś jeszcze. Czegoś, czego nie umiała określić, chociaż kojarzyła ten zapach. Był ziemisty i świdrujący, tkwił głęboko w jej podświadomości. Znajomy, a zarazem tak obcy i przerażający, że ciarki przeszły jej po plecach.

Zrozumiała, że się boi, i ta świadomość przeraziła ją jeszcze bardziej,

Tylko czego?

Z chwilą gdy w jej głowie zadźwięczało to pytanie, na-płynęły wspomnienia, niosąc ze sobą kolejną falę strachu. Ktoś ją gonił, a potem złapał i ogłuszył.

Tylko kto? Albo co? Pamiętała, że ktoś zaatakował ją od tyłu. Mężczyzna? Nie była pewna, ale tak jej się wydawało. Wprawdzie nie miała okazji przyjrzeć się napastniko-wi, instynkt podpowiadał jej jednak, że to człowiek z krwi i kości.

Gdzie on jest? Czai się gdzieś w pobliżu? Czy obserw-je ją i czeka, aż Nicky odzyska przytomność?

Owładnięta paniką otworzyła raptownie oczy. Rozsą-dek podpowiadał jej, żeby nie ruszać się z miejsca. Serce

zakotało jej w piersi, a mięśnie napięły się do granic wy-trzymałości, w każdej chwili gotowe do ucieczki. Czekaj.

Bezgłośnie zaczerpnęła tchu. Jeśli rzeczywiście był bli-sko, nie może wiedzieć, że odzyskała przytomność. Zanim zrobi cokolwiek, zanim choćby podniesie głowę czy kiw-nie palcem, musi się zorientować w sytuacji i obmyślić plan działania.

Mrok przestał wirować, lecz otaczał ją równie nieprze-nikniony jak przedtem. Prawa dłoń Nicky spoczywała przy twarzy, czuła na palcach ciepło własnego oddechu, ale było tak ciemno, że nic nie widziała. Lewą rękę czuła pod sobą, była lekko zdrętwiała. Nie miała odwagi jej wy-ciągnąć. Dobra wiadomość jest taka, że chyba jej nie zwią-zał. Zła, że wszystko ją bolało.

Leżała na brzuchu na nierównej powierzchni. Coś wrzynało jej się w biodro, a jakieś ostre przedmioty kłuły ją w lewy bark. Głowę miała zwróconą na jedną stronę, pod policzkiem zaś i prawą dłońią czuła coś chłodnego, ostrego i lekko wilgotnego.

Sosnowe igły?

Aby to sprawdzić, ścisnęła je palcami. Tak, igły. Zapach też nie budził wątpliwości.

Nagle wszystko sobie przypomniała i zrozumiała, że leży pod opadającymi nisko gałęziami sosen opodal pod-jazdu Old Taylor Place.

Ale przecież upadła na asfalcie. Jakim cudem znalazła się pod drzewami?

Straciła przytomność, więc nie mogła się tu przyczepić. Ktoś musiał ją przynieść albo zaciągnąć. On musiał ją przynieść albo zaciągnąć. Czy jeszcze tu jest?

Struchlała na samą myśl.

W każdej chwili może zrobić to, po co mnie tu zaciągnął. Zgwałcić ... zabić ...

Uświadomiła sobie, że jej oddech stał się przyspieszony. Czy słysząc to, napastnik odgadnie, że odzyskała przytomność? Nicky spróbowała uspokoić oddech, nasłuchując oznak czyjejś obecności przy sobie. Nie było to łatwe, kiedy w głowie huczało, krew dudniła w uszach, a bicie serca zagłuszało wszystkie inne odgłosy, ale robiła, co mogła. Wreszcie z przerażeniem zrozumiała, że nie jest sama. Gdyby krzyknęła, ktoś w domu mógłby ją usłyszeć.

Jeśli jednak napastnik jest blisko, zdąży w porę zasłonić jej usta.

Nie była nawet pewna, czy zdoła wydobyć okrzyk z wyschniętego gardła. W ustach też jej zaschło.

A jeśli zamiast krzyku wyda tylko zduszony skrzek? Nie, nie będzie krzyczeć. Najlepszym rozwiązaniem jest ucieczka; musi zebrać wszystkie siły, wyskoczyć spod gałęzi i pobiec do domu ile sił w nogach.

A jeżeli nogi odmówią jej posłuszeństwa?

Dzwoniło jej w uszach, serce kołatało w piersi jak szalone. Spróbowała wyteńczyć wzrok i zrobiło jej się niedobrze. Bolały ją nogi, ręce, całe ciało wydawało się posiniaczone, ale nie wiedziała, jak bardzo. Czy da radę biec?

Mogła też leżeć i czekać. Ale na co? Była pewna jak w banku, że wołałaby się tego nigdy nie dowiedzieć.

Naraz dokonała potwornego odkrycia: ponad dzwonieniem w uszach i dudnieniem serca usłyszała coś jeszcze. Czyjś oddech.

Znajdował się blisko, tuż obok niej. Czują jego obecność na prawo, w okolicach biodra. Siedział lub przykucnął, ale nie była tego pewna, gdyż strach nie pozwolił jej odwrócić głowy.

Ale słyszała czyjś oddech.

Słyszała coś jeszcze, dziwny, niezrozumiały odgłos przypominający piłowanie. Nie umiała go z niczym skojarzyć, lecz przyprawił ją o gęsią skórę.

Boże, o Boże ...

Usłyszała szelest gałęzi i coś trąciło ją w biodro. Czyjś oddech, chrapliwy i urywany, rozległ się nieco bliżej. Mężczyzna zwrócił się w jej stronę.

Ukucnął obok i się nachylił ...

Nicky poczuła lodowatą falę paniki i ucisk w żołądku,

a serce podskoczyło jej w piersi aż do gardła.

Tylko się nie ruszaj.

- Nicky - mruknął, głaszcząc ją po włosach.

Krzyk wezbrał w jej piersi i uwiązał w gardle. Ścierpła jej skóra, w głowie się kręciło. Uderzenia serca dudniły w uszach. Czowała, że jeszcze chwila i straci przytomność ...

Jeśli tak się stanie, będzie całkowicie zdana na jego łaskę. Poczuła pod prawą dłoń coś ciepłego i mokrego. Było lepkie jak farba i wydzielalo lekką, charakterystyczną woń. Przenikając między palcami, letnia strużka wpłynęła pod jej rękę i dotarła do tułowia.

Zdumiona Nicky zamarała, po czym odruchowo, komplementnie bez udziału woli, cofnęła dłoń.

I dotknęła czegoś palcami.

W odległości zaledwie kilku centymetrów od niej leżała na ziemi inna dłoń, odwrócona palcami do góry.

Była ciepła, ale bezwładna i nieruchoma ...

- Jesteś przytomna, prawda? - spytał ktoś niskim, przytłumionym głosem.

Boże, nie. Pomocy ...

Bliźniacze światła reflektorów rozgarnęły mrok i przeniknęły przez gałęzie, rzucając na drzewo czarny, skulony cień mężczyzny i na ułamek sekundy oświetlając nieruchomą dłoń oraz resztę bezwładnego ciała. Trwało to zaledwie chwilę, ale wystarczyło, by Nicky zrozumiała.

Karen. Leżała z odwróconą głową, lecz czarne włosy rozwiewały wszelkie wątpliwości. Spoczywała w kałuży krwi, powoli wsiąkającej w brunatną warstwę igliwia. Widok bladej dłoni na szkarłatnym tle uzmysłowił Nicky, że ciecz, którą poczuła pod palcami, była krwią Karen, a zapach, który uderzył ją tuż po przebudzeniu, był metalicznym zapachem krwi. Karen nie żyła, została zamordowana, a ją prawdopodobnie czeka taki sam los.

Ostatnia myśl ścięła jej krew w żyłach. Z gardła Nicky wyrwał się przeraźliwy krzyk. Z sercem bijącym tak, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi, napędzana potężną dawką adrenaliny, dzwignęła się na słabe, pokaleczone kolana i z całej siły pchnęła zaskoczonego napastnika. Tego się nie spodziewał: stracił równowagę i poleciał do tyłu. Nie oglądając się za siebie, Nicky wystrzeliła naprzód jak pocisk,

przedzierając się przez splątane gałęzie w kierunku strefy księżycowego światła poza granicą drzew i samochodu, który z cichym szumem silnika sunął po podjeździe.

- Suka.

Rzucił się za nią i złapał ją za żakiet, ale wyszarpnęła się z nadludzkim wysiłkiem, kopiąc i bijąc pięściami na oślep. Następnie runęła przed siebie i wyskoczyła zza gałęzi w stronę podjazdu, oddalonego o niespełna dwa metry. Poczuła silne uderzenie w biodro, ale nie zważając na ból, uparcie brnęła naprzód. Z przeraźliwym wrzaskiem upadła i poturlała się po asfalcie na spotkanie nadjeżdżającego pojazdu. Kierowca zahamował z piskiem opon i gwałtownie zjechał na bok, próbując ją wyminąć ...

Joe szedł wolnym krokiem po podjeździe, gdy naraz ciszę przerwał straszny krzyk. Donośny jak syrenaalarmowa, z całą pewnością kobiecy, pełen takiej zgrozy, że Joe stanął jak wryty i serce podskoczyło mu do gardła. Ruśzył do drzwi z solennym postanowieniem, że upora się z ekipą telewizyjną i jak najszybciej wróci do domu, gdzie szczęśliwie nie grożą mu żadne pokusy. Ale ów pierwszy zdławiony pisk nie dawał mu spokoju.

To musiało być zwierzę. Nicky jednak wybrała się na samotny spacer po ciemku i jeśli nie obeszła rezydencji

naokoło, by wejść do środka od frontu (co stanowiłoby nie lada wyzwanie, zważywszy na wysokie obcasy reporterki i nierówny, zapuszczony teren posiadłości), wciąż znajdowała się na zewnątrz. Wiedział na pewno, że nie wróciła przez kuchnię, bo wpadliby na siebie. Oczywiście istniała również możliwość, że skierowała się prosto na parking, wskoczyła do samochodu i odjechała.

Mogło się również zdarzyć, że upadła lub ...

Nie miał pojęcia, co się kryło za tym "lub". Lecz mając na uwadze ów pierwszy, zduszony odgłos, Joe na wszelki wypadek postanowił rozejrzeć się po podjeździe.

Zrobiwszy zaledwie kilka kroków, ujrzał zbliżające się ku niemu reflektory. Samochodu jeszcze nie było widać, światła jednak zbliżały się nieubłaganie, oświetlając wysokie sosny na zakręcie i nadając im wygląd monstrualnych drzewek bożonarodzeniowych. Po przeciwnej stronie chodnika dęby sprawiały wrażenie wielkich, powykrcanych dłoni. Ktoś nadjeżdżał od strony ulicy, być może sama Nicky. Szmer silnika zagłuszał stłumione odgłosy nocy.

Joe przystanął ze wzrokiem utkwionym w samochód i doszedł do wniosku, że jeśli na podjeździe działałoby się coś niepokojącego, kierowca na pewno zwróciłby na to uwagę. Nie ma potrzeby iść do samej ulicy. Wsłuchany w szum opon na asfalcie wciągnął w płuca ciepłe, słone powietrze i zastanowił się, co by tu przegryźć na kolację.

Pieczony kurczak u Dave' a był już zapewne wspomnieniem. Jako że minęło wpół do jedenastej i wszystkie przyzwoite restauracje na wyspie były zamknięte na cztery spusty, wybór Joego ograniczał się do samodzielnie przyrządzonej potrawy lub...

Znowu rozległ się przeraźliwy krzyk, przerywając jego rozmyślenia.

Joe puścił się biegiem, gdy naraz ciszę rozdarł kolejny wrzask i ogłuszający pisk opon. Na podjeździe zapanował kompletny chaos. Jakiś samochód stanął w poprzek, celując światłami w mrok; wokół rozszedł się smród spalin oraz palonej gumy. Joe zobaczył, że ktoś leży na asfalcie: była to szczupła, ubrana na czarno kobieta. Leżała na boku, ze zgiętymi w kolanach nogami i rudą aureolą włosów. Nicky.

- Cholera - mruknął, przyspieszając kroku. Przykucnął obok niej. Szepnęła coś, czego nie zrozumiał, po czym spróbowała dźwignąć się na czworaki, żeby wstać. Bujne włosy zasłoniły twarz. Ciężko chwytiała oddech, była bosa. Jej kostium pokryty był ziemią, a także czymś, co wyglądało jak żdzbla trawy albo igliwie. Na nogach i rękach dziennikarki widniały liczne plamy z błota, a może krwi ...

- Nie ruszaj się - poleciał i chwycił ją za ramiona, (Istroźnie ułożył z powrotem na asfalcie. Sprawdził pośpiesznie, czy nie ma żadnych obrażeń. Czuł pod palcami jej rozdygotane ciało, szczupłe, kształtne i ciepłe. Tuż nad prawym biodrem dostrzegł rozdarcie w żakiecie. Spojrzał uważniej. Materiał wokół dziury był mokry i lepki: krew. Cholera. - Zostałaś potrącona przez samochód.

- Nie ... - Nicky uniosła głowę, włosy opadły jej z twarzy. Spróbowała wstać, ale Joe ponownie złapał ją i unieruchomił. Leżała na plecach i patrzyła na niego przerażonym wzrokiem, gwałtownie potrząsając głową. - Karen ...

- Wyskoczyła mi tuż przed maskę - rozległ się kobiecy głos. Właścicielka samochodu wypadła zza kierownicy i nie zamykając drzwi, podbiegła sprawdzić, co się stało. Slukot jej butów na asfalcie zabrzmiał jak huk wystrzałów. - Czy to Nicky? Boże, potrąciłam ją? Nie żyje?

- Żyje - odmruknął Joe, obrzucając ją (była to jasnowłosa charakterzatorka) przelotnym spojrzeniem.

- Karen. - Dłonie Nicky, zimne jak lód, kruche, acz zaskakująco silne, zacisnęły się wokół jego nadgarstków. Na jego twarzy malował się wyraz skrajnej desperacji. - Jest ranna! Musimy jej pomóc!

_ Słucham? - Nie wiedział, o co jej chodzi.

_ Złapał ją! - zawołała, jeszcze raz próbując usiąść.

Z jej oczą biła zgroza, usta drżały. Tak prędko wyrzucała słowa, że prawie nie można było ich zrozumieć. Rozdygotane palce wciąż zaciskały się na nadgarstkach Joego.

_ Już dobrze - uspokajał ją. - Wszystko będzie dobrze. - Jest pod drzewami. Ten mężczyzna ...

_ Nie ruszaj się, dobrze? - Słuchał jednym uchem, pilnując, by niechcący nie zrobiła sobie większej krzywdy. Była wyraźnie osłabiona; obawiał się, że doznała wstrząsu.

_ On też tam jest... zaatakował mnie ... - Wciąż bełkotała, lecz wyraz jej twarzy mówił więcej niż tysiąc słów. Wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Naraz oderwała wzrok od kępy sosen i spojrzała Joemu prosto w oczy. - Głuchy jesteś? Samochód nawet mnie nie dotknął. Pod drzewami jest mężczyzna ... ma Karen ...

Popatrzył na sosny i zmarszczył brwi.

_ Karen? - powtórzyła tępo charakteryzatorka, również kierując wzrok w tamtą stronę. Przykucnęła obok Joego i z troską dotknęła smugi, a może siniaka, na policzku Nicky.

_ Ona tam leży ... pospiesz się, jest ranna. - Histeria w głosie dziennikarki mówiła sama za siebie. Nicky raz po raz próbowała wstać i bezsilnie odpychała jego ręce.

_ Spokojnie. - Joe wzmocnił uścisk. Była wprost niewiarygodnie krucha. - Lepiej się nie ruszaj. Trzeba wezwać karetkę, pomyślał i sięgnął do kieszeni spodni po komórkę.

_ Ucieknie ... - Nicky wykorzystała okazję i znów spróbowała się wyrwać. Joe zapomniał o telefonie i ponownie złapał ją za ręce. Zrozumiała, że jej wysiłki na nic się nie zdadzą, i dała za wygraną. Pokonana leżała na asfalcie z pobladłą twarzą w aureoli płomiennorudych włosów i ciężko chwytała powietrze, spoglądając na niego poćmiąłymi z emocji oczami.

- Karen leży pod sosnami? - Głos charakteryzatorki wyrażał powątpiewanie, ale Joe zaczął wreszcie wierzyć i rozumieć.

Jeżeli Nicky nie miała halucynacji (które często występowały przy rozmaitych urazach głowy), pod zakurzonymi gałęziami sosen istotnie kryło się coś niedobrego.

- Zostań z nią - polecił szorstko charakteryzatorce i wstał.

- Masz broń? - W głosie Nicky ponownie dała się słyszeć histeria. Dziennikarka podniosła się wreszcie do na pół siedzącej pozycji i podparta na łokciu podkuliła kolanami, po czym przycisnęła rękę do skaleczonego biodra. Nie odrywała wzroku od kępy drzew. - On chy ... chyba ma nóż.

- Owszem.

Nigdy nie rozstawał się z pistoletem. Był to sig sauer, gładki, lśniący i czarny, a przy tym lekki i tak mały, że można go było bez trudu ukryć w kieszeni, pod ramieniem lub w małej kaburze na kostce, jak dziś, by nie dobrały się doń pociechy Amy. Joe miał go od tak dawna, że niemal uważał za część ciała. W poprzednim życiu owa niepozornie wyglądająca broń wielokrotnie ratowała mu tyłek. Nie był to egzemplarz służbowy: duży i nieporęczny Glock tkwił w skrytce samochodu zaparkowanego przed domem. Joe niezbyt za nim przepadał. Sig był jego własnością. Nie rozstawał się z nim nawet w tym przedsiönku raj, gdzie (do dziś) nic nie mąciło sielskiej atmosfery. O, przyzwyczajenie. Oprócz papierosów jeden z dwóch nałogów, z którymi nie mógł - nie chciał - zerwać.

Ruszył w ciemność, przezornie podwijając nogawkę odkrywającą broń.

- Szybko, Tina - usłyszał naglący głos reporterki. - Musimy się zamknąć w samochodzie.

Spojrzawszy przez ramię, zobaczył, jak charakteryzatorka ujmuje Nicky za jedno ramię i próbuje dźwignąć ją

z ziemi. A że sama wyglądała przy szczupłej, acz wysokiej koleżance jak chuchro, bynajmniej nie szło im łatwo. Mimo rozpaczliwych wysiłków nogi wyraźnie odmawiały Nicky posłuszeństwa.

Nie powinien był pozwolić jej się ruszyć, w końcu nie wiadomo, czy nic jej się nie stało. Jeśli jednak pod sosnami rzeczywiście znajdowała się ranna kobieta, trzeba jak najszybciej udzielić jej pomocy. Jeżeli zaś w krzakach siedzi jakiś maniak, należy przede wszystkim zapewnić kobiecie bezpieczeństwo.

Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że drań prześliznie się bokiem, albo nie daj Boże, zdoła jakoś odwrócić uwagę Joego. Wówczas Tina i Nicky wpadłyby w ręce złoczyńcy.

Joe opuścił nogawkę, zawrócił do samochodu i jednym zwinnym ruchem zgarnął dziennikarkę z chodnika.

- Co ... ? - Zaskoczona kurczowo przytrzymała się jego ramienia i wytrzeszczyła oczy.

- Na wszelki wypadek - odpowiedział, niosąc ją w kierunku drzwi od strony pasażera.

Zgodnie z jego przewidywaniami ważyła tyle co nic, nie więcej niż pięćdziesiąt parę kilo. Jej włosy wydzielały lekki aromat kwiatowego szamponu. Z tej odległości dostrzegł wielki guz tuż nad jej lewym okiem. Cokolwiek ją uderzyło, cios musiał być potężny.

- Musisz pomóc Karen.

Wyglądało na to, że Nicky zaraz straci panowanie nad sobą. Wbiła palce w jego bark; poczuł przez koszulę ostre półksiężycy paznokci i aż zakręciło mu się w głowie od nieprzyzwoitych skojarzeń; zazgrzytał zębami, zły na siebie.

Potrzebujesz kobiety, Franconi, zakomunikował sobie w duchu, sadzając Nicky w aucie.

- Wsiadaj do środka - polecił Tinie, która płątała mu się pod nogami, jakby nie była pewna, czy rzeczywiście można mu zaufać. Jego słowa musiały ostatecznie ją w tym utwierdzić, gdyż bez szemrania skinęła głową i posłusznie wskoczyła za kierownicę. - Zablokuj drzwi i jedź prosto do domu - rzucił nad głową Nicky, która patrzyła na niego oczami jak spodki. - Stań przed wejściem i trąb, dopóki ktoś nie wyjdzie. Jeśli nikt nie wyjdzie albo gdy zjawi się ktoś, kto wam się nie spodoba, zaczekajcie na mnie w samochodzie. Jasne?

Oczy Tyny stały się niemal tak okrągłe jak oczy Nicky, dziewczyna wyglądała przy tym na równie przestraszoną. I okiwała głową.

- Ruszaj.

Na jedną króciutką chwilę jego oczy spotkały się z oczami Nicky, której rozszerzone źrenice niemal rozpieprzyły tęcza, po czym Joe cofnął się o krok, słysząc jak Tina blokuje drzwi. Następnie samochód (był to Dodge Neon) ruszył podjazdem w stronę domu.

Joe odruchowo sięgnął po broń.

Czując w ręku znajomy ciężar, był przygotowany na każdą ewentualność, lecz jawne przerażenie Nicky kazało mu zachować czujność. Dotarł do granicy wyznaczonej przez czubki rozłożystych, zwichrzonych gałęzi i przystanął, bacznie nasłuchując. Aromat sosn dryfował w powietrzu, unoszony przez wiatr. Joe słyszał dokoła szmery nocy, ale żaden z nich nie wzbudził jego niepokoju. Bez światła reflektorów było ciemno choć oko wykol. Otaczał go niemal gęsty mrok. Joe nie miał przy sobie latarki, ale przypomniał sobie z ulgą o świecącym breloczku do kluczy. Będzie musiał mu wystarczyć. Wygrzebał klucze z kieszeni i przycisnąwszy breloczek, z zadowoleniem ujrział wąski snop światła. Nie było wprawdzie zbyt duże, ale powinno wystarczyć.

Joe ponownie omiół wzrokiem drzewa.

- Policja - warknął swym najbardziej urzędowym tonem. - Wychodzić. I ręce na widoku.

Taa. Uważaj, bo cię posłucha. Tylko na filmach złoczyńcy potulnie wychodzili z ukrycia z rękami w górze. W prawdziwym życiu (przynajmniej w jego prawdziwym życiu) albo zaczęli strzelać, albo wiali gdzie pieprz rośnie.

Mimo to czekał. Wiatr poruszył gałęziami i w odpowiedzi rozległ się tylko cichy szelest. Joe odczekał jeszcze chwilę, a potem westchnął. No jasne. Nie ma tak łatwo.

Z pistoletem w jednej ręce i prowizoryczną latarką w drugiej oświetlił kępę sosn, kolejno wydobywając z mroku chropawe, szarżące pnie, powykręcane ramiona gałęzi oraz kobierzec złocistobrazowych igieł. Pod trzecim drzewem coś przykuło jego uwagę: tuż na granicy gałęzi snop światła wyłonił z ciemności ciemnoczerwoną strugę, która z wolna wypływała spomiędzy sosn i kończyła się na wysokości podjazdu.

Niedobrze.

Serce zabiło mu mocniej, poczuł ucisk w żołądku. Idąc tropem złowieszczej strugi natknął się na białą dłoń, która tkwiła nieruchomo w kałuży krwi.

7

Nicky nie mogła się pozbierać. Widziała wszystkich jak przez mgłę, chociaż matka i wuj John siedzieli razem z nią przy stole, Livvy stała przy lodówce, wujek Ham smażył przy kuchence jajecznicę na boczku, a Harry, który przed chwilą przyszedł po piwo, włączając się tym samym do akcji, znalazł się tuż na wprost niej, by zaraz równowrotnie wycofać się chyłkiem w zacisze salonu. Minęła druga nad ranem. Był poniedziałek, początek nowego tygodnia. Kwadrans po dziesiątej miała się znaleźć w samochodzie do Chicago i o piętnastej wrócić do biura.

Karen nie żyje.

Wiatrak furkotał pod sufitem do wtóru dudnienia w głowie Nicky. Co dziwne, nic tak naprawdę jej nie bolało: ani długa, choć płytka rana od noża tuż nad kością biodrową, ani posiniaczone udo, które dzielnie wytrzymało starcie ze zderzakiem Tyny, ani biedna, rozkołatana głowa, ani podrapane kolana i

dłonie. Pewnie wciąż jeszcze była pod wpływem szoku.

- Wypij czekoladę. - Głos wujka Johna zabrzmiał jak z końca długiego tunelu. - Potrzebujesz cukru.

Nicky skinęła głową i zajrzała do kubka, który stał tuż na wprost niej. Znad gęstej, brunatnej cieczy wzbijała się cienka smuga pary. Wuj Ham, bezsprzecznie najlepszy kucharz na świecie, ozdobił napój kleksem bitej śmietany i posypał wiórkami kokosowymi. Nicky przepadała za jego czekoladą. Teraz zaś na sam widok ogarniały ją mdłości. Nie czuła się jednak na siłach, żeby zaprotestować, dlatego chcąc nie chcąc, uniosła kubek i wypłała mały łyk.

Smakowało jak kreda. Żołądek skurczył się z obrzydzenia i pospiesznie odstawiła kubek, podchwytyjąc za-troskane spojrzenie wuja Johna.

- Nie mogę uwierzyć, że tego nie przewidziałam. Moja rodzona córka - rzuciła posępnie Leonora.

Powtarzała to od chwili, gdy wraz z resztą rodziny po-jechała po Nicky do szpitala, dokąd Dave zawiózł ją prosto z Old Taylor Place. W klinice odkażono i zabandażo-wano jej ranę, stwierdzono lekkie wstrząśnienie mózgu, kazano wypoczywać i wręczono środek uspakajający, którego jeszcze nie zażyła.

Kiedy tam się znajdowała, otrzy-mała telefon potwierdzający jej najgorsze obawy: Karen nie żyła. Od tamtej pory wszystko widziała jak przez mgłę.

Godzinę później przekazano ją pod opiekę rodziny.

W ciągu czterdziestu pięciu minut od powrotu do domu Nicky zdążyła wziąć prysznic (ostrożnie, żeby nie zamoczyć bandaża), próbując nie myśleć o tym, że część wody znikającej w odpływie była zabarwiona

nie tylko jej krwią, ale również krwią Karen. Ta refleksja sprawiła, że Nicky wyskoczyła spod prysznica szybciej, niż zamierzała, wytarła się ręcznikiem, wysuszyła włosy, a następnie wło-żyła cieplejszą piżamę. A że nadal trzęsa się z zimna, na-rzuciła puszysty różowy szlafrok, a na nogi wciągnęła skarpetki. Wszystkie rzeczy należały do Livvy, ponieważ ubranie Nicky zostało zarekwirowane przez policję jako dowód w sprawie, natomiast torby i niemal wszystko, co przywiozła z Chicago, wciąż tkwiły w bagażniku wynaję-tego samochodu. Samochód natomiast stał zaparkowany obok garażu (co uświadomiła sobie po przyjeździe ze szpitala), zanim jednak przypomniała sobie o czystych rzeczach, już zdążyła się namydlić. Łatwiej było po prostu zakraść się do pokoju siostry i pożyczyć, co trzeba. Liv szczęśliwie nie zareagowała, tylko na widok Nicky lekko zmrużyła oczy. Ku zdziwieniu Nicky ubranie starszej sio-stry podziało na nią nad wyraz krzepiąco, jakby cofnęła się do lat dzieciństwa, kiedy naj słodszą formą zemsty na Livvy było "pożyczenie" sobie któregoś z jej ulubionych ciuchów. Jakby na zasadzie swoistej karmy rzeczy siostry były obecnie na Nicky stanowczo za luźne, nie wspominając o wściekłym odcieniu różu, który zdecydowanie gryzł się z jej typem urody. Na szczęście spodnie od piżamy zo-stały wyposażone w pasek, który można było ciasno za-wiązać, a niefortunny kolor stanowił najmniejsze z obec-nych zmartwień.

Jej ręka leżała w kałuży krwi Karen.

Nicky zadrżała, a właśnie ta dłoń odruchowo zacisnęła się w pięść na jej kolanach.

- Pij - ponaglił ją wuj John. - Jesteś przemarznięta.

- Nigdy nie widzisz niczego, co ma związek z naszą rodziną - bezlitośnie wytknęła matce Livvy, podczas gdy Nicky ponownie zamoczyła usta w czekoladzie. - Mogliby nas wystrzelać jak kaczkę, a ty nie miałabyś o tym zielonego pojęcia. Nie wiedziałaś nawet, że Ben gzi się z sekretar-ką. Spójrz prawdzie w oczy: w kwestii własnej rodziny za-nden z ciebie jasnowidz.

- Olivio Jane. - Leonora zeszywniała, świdrując ją urażonym spojrzeniem. - To nieprawda.

- Prawda - burknęła niefrasobliwie Livvy.

- Zapominasz, że widziałam Harry' ego całego we krwi, Charliego siedzącego na plaży, podczas gdy powinien przebywać w Nowym Jorku, i biednego, kochanego Ne-Ha ... sama wiesz, jak ukazał mi się twój ojciec.

- Mówię o więzach krwi, mamo. A nie o ludziach, z którymi nie łączy nas żadne pokrewieństwo. I dobrze wiesz, że mam rację.

- Nawet gdyby matka zobaczyła, co wyprawia twój mąż, co by ci z tego przyszło? - wtrącił mimochodem wuj Ham, zgrabnie wbijając jajka na patelnię. Z głośnym sy-kiem ześlizgiwały się na rozgrzany tłuszcz. Usmażony be-kon odsączał się na papierowych ręcznikach przy kuchen-ce. Kuchnię wypełnił swojski aromat śniadania. Żołądek Nicky wykonał salto.

- Mogłabym go dorwać na gorącym uczynku.

Livvy z rozmachem zatrzasnęła lodówkę i szurając kap-ciami, podeszła do stołu. Kiedy zatelefonowano ze szpitala, podobnie jak reszta rodziny szykowała się do snu. Obecnie miała na sobie to samo ubranie, co przedtem, z tą róż-nicą, że podkoszulek włożyła na lewą stronę, a na stopy wsunęła różowe papucie, najwyraźniej od kompletu ze szlafrokiem, który przywłaszczyła sobie Nicky.

- Przepraszam, że nie byłam w stanie przewidzieć waszych kłopotów. - Leonorze zatrzęsł się podbródek. _ Przecież mówiłam, że jestem zablokowana.

- Ale robisz postępy. Dziś naprawdę świetnie ci poszło - pocieszył ją wujek John.

- To zupełnie coś innego. - Potrząsnęła głową. - Czasem straszne wydarzenia odciskają piętno na otoczeniu. W tym wypadku mieliśmy do czynienia z właśnie takim zjawiskiem. Na szczęście zdołałam to dostrzec, bo naprawdę nie czułam kompletnie nic. Nie było mowy o tradycyjnym kon-. takcie z duchem Tary. Dorothy też się nie pokazała. - Ostatnie słowa wypowiedziała z bezbrzeżnym smutkiem ..

- Proszę, przyłóż to sobie do czoła, bo ci róg rośnie, - Livvy rzuciła coś na stół. Wzrok..zaskoczonej Nicky padł na torebkę mrożonego groszku.

- Och. Dzięki.

Guz nad lewym okiem przybrał rozmiary piłki golfowej. Tak, groszek istotnie mógł się przydać. Podniosła torebkę i przyłożyła ją do czoła. Tymczasem Livvy okrążyła stół i z grymasem opuściła się na krzesło. Wysłużony, dębowy mebel pamiętał czasy ich dzieciństwa i zaskrzytał ostrzegawczo. Oczy wszystkich zebranych natychmiast spoczęły na Livvy, ale szczęśliwie nie zwróciła uwagi ani na skrzypiące krzesło, ani na zatroskane spojrzenia rodziny. Nicky pomyślała, że kolejny akt dramatu pod tytułem "Jestem za gruba, aby żyć" mógłby okazać się ponad wytrzymałość nerwową obecnych. W każdym razie ona sama nie wytrzymałaby na pewno.

- Gdybym dorwała go na gorącym uczynku, od razu powiedziałabym mu do widzenia. A tak, poczekał, aż zajdę w ciążę, i, świnia, zostawił mnie. - Livvy zaatakowała budyń bananowy, który cichcem wyjęła z lodówki. - Do tego czasu tkwiłam w błogiej nieświadomości.

- Jajecznicza gotowa - oznajmił wuj Ham. - Komu należyć?

- Mnie - odpowiedziała Livvy, kiedy wuj John wstał od stołu, aby pomóc Hamiltonowi rozłożyć talerze.

- Livvy, od dwóch miesięcy bez przerwy masz coś w buzi. W końcu się rozchorujesz. - Leonora spojrzała znacząco na budyń, który zniknął w zastraszającym tempie.

- Chcesz powiedzieć, że będę gruba. No cóż, za późno, mam. Jestem gruba. I wiesz co? Nic mnie to nie obchodzi. Latami w pocie czoła utrzymywałam linię, a ten drań i tak mnie zostawił. Teraz jestem wielka jak stodoła i mam to gdzieś. - Livvy manifestacyjnie wpakowała do ust gigantyczną porcję budyniu, a następnie sięgnęła po jeden z talerzy, które wujek John właśnie postawił na stole. - Dawać mi tu boczek!

- Jeszcze pożałujesz - ostrzegła ją Leonora.

Livvy utkwiła w matce buntownicze spojrzenie niebieskich oczu i pochłonęła wielki kawał bekonu.

- Olivio - powiedziała z naganą Leonora.

- Daj jej spokój, przecież je za dwoje - wtrącił wuj John, siadając przy stole. Wuj Ham wrzasnął do Harry'ego, że śniadanie gotowe, i też usiadł.

- Nie za dwoje. Za sto. Kilo, ma się rozumieć - uściśliła Livvy. - Została mi jeszcze dyszka. Kto chce się założyć, że do niej dobieję?

I z apetytem zajęła się jajecznicą.

Widzę, jak przez mgłę, pomyślała Nicky. Oto jej rodzina siedzi przy stole, gaworząc sobie jak gdyby nigdy nic, podczas gdy zaledwie parę godzin wcześniej ona została zaatakowana, a Karen padła ofiarą brutalnego morderstwa. Groza owych wydarzeń zawisła w powietrzu na podobieństwo lodowatej chmury, a mimo to ... życie toczyło się dalej.

- Jedz - poprosił wujek John, postukując widelcem w brzeg jej talerza.

Odruchowo spojrzała na lśniącą, wysmażoną jajecznicę, dwa paski chrupiącego bekonu oraz fantazyjnie wygięty plasterk pomarańczy, którym był przystrojony talerz. Cóż za sielski obrazek. Powinna być głodna, nie miała nic w ustach od ... śniadania? W samolocie z Chicago podano im byle jaki posiłek; Karen siedziała po drugiej stronie przejścia, dziobiąc niemrawo omlet. Po wylądowaniu mieli iść na lunch, ale nie starczyło czasu. Pozbawiony smaku samolotowy omlet był ostatnim posiłkiem Karen ... Znów wszystko jej się przewróciło w żołądku. Ni stąd, ni zowąd gęsta, tłustawa woń parującego jedzenia stała się nie do wytrzymania.

Nim zdążyła podnieść wzrok znad talerza, nagle pukanie do drzwi. sprawiło, że beztraska pogawędka przy stole ucichła jak ucięta nożem.

Wszyscy obecni spojrzeli w kierunku źródła dźwięku.

Ktoś stukał do tylnych drzwi, lekko uchylonych, aby wpuścić do środka świeże powietrze.

- Coś tutaj ładnie pachnie - zauważył męski głos, którego Nicky nie rozpoznała. Jasne światło w kuchni sprawiło, że dostrzegli tylko zarys sylwetki za moskitierą. _ Możemy w

- To zależy, kim jesteście - odpowiedziała Leonora, a wuj John wstał od stołu i skierował się do drzwi. - I

czego chcecie.

- Tu Dave O'Neil, pani Stuyvescent - rzucił Dave z typowym w okolicy gardłowym akcentem i wkroczył do kuchni.

Nicky zobaczyła, że to mały policjant w towarzystwie swojego szefa, tamtego nieprzyjemnego gliny. Jakkolwiek by na to patrzeć, przyszedł jej z pomocą, wypadałoby zatem zweryfikować swój pogląd. "Barney Fife" raczej też odpadał.

- Chyba nie miałem jeszcze okazji się przedstawić - oznajmił "nie do końca nieprzyjemny" glina, rozglądając się po kuchni.

Jak słusznie zauważyła na początku, wyraźnie nie pochodził stąd. Jankes, pomyślała odruchowo na dźwięk jego głosu, ubolewając przy tym w duchu nad swą małomiałosteczkową mentalnością rdzennej mieszkanki Południa.

- Joe Franconi, komendant policji.

Widziała, że bacznie lustruje otoczenie i na chwilę spojrzała na całą sytuację z jego perspektywy: swojski zapach jajeczniczy, nierówny furkot wiatraka nad głową, staroświecka kuchnia w odcieniu awokado i złota, z ciemnymi szafkami i bezlitosnym oświetleniem, blat zaśmiecony skorupkami jajek, papierowymi ręcznikami oraz różnorodnymi przyborami wuja Hama, wiekowa żeliwna patelnia, czyli jeden z ukochanych rekwizytów pierwszego kucharza rodziny, wciąż dymiąca na jedynym nowoczesnym urządzeniu w kuchni, czyli prawdziwej kuchence gazowej z sześcioma palnikami. Na środku pomieszczenia, dokładnie pod leniwie wirującym wiatrakiem, stał stół wypełniony talerzami z jajecznicą i bekonem, kubkami z czekoladą oraz prawie pustą miseczką po budyniu Livvy. Przy stole siedziała Leonora, która tuż przed wizytą w klinice pozbyła się ciężkiego makijażu oraz fioletowego kaftana i miała teraz na sobie zwyczajną koszulę w błękitną łączkę oraz spodnie pod kolor. Na ustach medium pozostał zaledwie cień czerwonej szminki, a okulary w rogowej oprawie, które nosiła po wyjęciu szkieł kontaktowych, uparcie zjeżdżały jej z nosa. Była tam również Livvy z twarzą w niemal takim samym odcieniu jak bluzka włożona na lewą stronę i dwubarwnymi włosami, które wymykały się z rozwichrzonego koczka, mająca usta pełne bekonu, wuj Ham w turkusowej koszulce Szerszeni* i kraciastych spodniach od piżamy, z kosmykiem przeczczonych włosów na spoconym czole oraz sama Nicky w zbyt obszernej różowej piżamie i szlafroku Livvy, bez cienia makijażu na bladej twarzy, z wilgotnymi włosami związanymi w kucyk nad karkiem ...

I z torebką mrożonego groszku przyciśniętą do czoła. Natychmiast odłożyła nieszczęsny groszek na stół. Oczywiście szef policji spoglądał prosto na nią i na widok plastikowej torebki lekko drgnęły mu usta.

Następnie przeniósł spojrzenie na czoło Nicky i na jego twarzy nie pozostał ani ślad rozbawienia.

- John Nash. - Wujek John, niezmiennie szykowny w czarnym podkoszulku i spodniach khaki, wyciągnął rękę na powitanie, odwracając uwagę policjanta od guza na czole Nicky. Ściskając dłoń Franconiego, wskazał głową na wuja Hama i z lekko kwaśną miną począł wymieniać pozostałych członków rodziny: - Hamilton James (Wuj Ham wstał, przywitał się, po czym znów opadł na krzesło), Leonora James Stuyvescent (Leonora po królewsku skinęła głową) i Olivia Hollis (Livvy przełknęła bekon i pomachała ręką). Nicky już znasz.

- Owszem.

Ponownie wymienili spojrzenia. Jego pociągła twarz była równie nieprzenikniona jak przedtem. Miał wyrazi-

* New Orleans Hornets - drużyna NBA z Nowego Orleanu.

ste rysy, a mocne oświetlenie przydało im jeszcze ostrości, i podkreślając zmarszczki wokół oczu i ust, na które Nicky wcześniej nie zwróciła uwagi. Przekrwione oczy, zacięte lista. Zmienił idiotyczną bluzę od munduru na sprany jłodkoszulek z logo Chicago Bulls, równie wysłużony jak on sam. Uznała to za trochę dziwne, w końcu na pewno linął się służbowo, po czym przyszło jej do głowy, że na hluzie mogły pozostać ślady krwi.

Jej krwi ... albo krwi Karen. I zakręciło jej się w głowie.

- Przecież mnie znacie - rzucił swobodnie Oave. Rzeźliwiście, od tak dawna mieszkała na wyspie, że nawet Nicky, która obecnie rzadko zaglądała w te strony, kojarzyła jego twarz.

Podszedł do stołu i zagapił się na talerze, podczas gdy Nicky uczepliła się krzesła w obawie, że zaraz spadnie, i dyskretnie wzięła kilka głębokich wdechów dla odzyskania równowagi.

- Przepraszamy za to najście i w ogóle, ale ...

- No więc gdzie ta ... och - przerwał mu wchodzący do kuchni Harry. Oderwany od oglądanego właśnie programu, na widok obcych stanął w progu. Fluorescencyjne światło nadawało jego gęstej czuprynie

śnieżnobiały odcień, wysypany z twarzy opalenizną i pogłębiając bruzdy na czole i policzkach. Był ubrany w wygniecione bojówki i błękitną koszulę z krótkim rękawem, miał dość małe oczy, spory, trójkątny nos, wąskie usta i kanciasty podbródek. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i muskularna budowa ciała sprawiały, że wciąż mógł uchodzić za atrakcyjnego mężczyznę.

Nic dziwnego, wszyscy mężowie Leonory byli przyśtojni. Przywiązywała dużą wagę do wyglądu mężczyzny i nie czyniła żadnych odstępstw od tej reguły.

- Harry Stuyvescent - przedstawił go wuj John. - Mąż Leonory. Harry, to jest Joe Franconi. No wiesz, ten, który zastąpił Barry'ego Meada.

- Aha, czyli mam przyjemność z nowym szefem policyjii. - Harry wszedł do kuchni i uściśli sobie rękę. - Witamy na wyspie, panie Franconi. Jest pan u nas od ... Bożego Narodzenia?

- Od stycznia. I proszę mówić do mnie po imieniu. - Z tymi słowami obrzucił znacząco wzrokiem wszystkich obecnych.

- Paskudna sprawa. - Harry potrząsnął głową i skierował się do stołu. - Po prostu w głowie się nie mieści.

- Biedna dziewczyna - wtrąciła ze smutkiem Leonora.

- I pomyśleć, że moją kochaną Nicky mógł spotkać taki sam los ... - Urwała i zacisnęła usta, utkwiała spojrzenie w guzie na czole córki. Napęczała do rozmiarów bezmarna piłki tenisowej. Livvy miała rację, róg mi rośnie, stwierdziła w duchu "Kochana Nicky", kiedy oczy zgromadzonych jak na komendę spoczęły na jej czole.

Powstrzymała się z trudem, żeby nie porwać ze stołu torebki z groszkiem i nie zakryć nią feralnego miejsca.

- I jak stoją sprawy? - Harry usiadł na swym zwykłym miejscu i spojrzał wyczekująco na Joego. -

Wpadliście już na trop tego chorego skurczybyka?

- Jeszcze nie - odpowiedział Joe.

- Harry! - zgromiła męża Leonora. - Nie wyrażaj się przy stole!

A to dobre, pomyślała Nicky. I kto to mówi? Leonora, która nierzadko sama klęła jak szewc. No tak, ale w kuchni przebywał nieznajomy jankes i a kto jak kto, ale matka doskonale umiała zachowywać pozory.

- Och. No tak. Wybacz, skarbie. - Harry stosownie się zawstydził i wbił wzrok w talerz.

Mimo upływu sześciu lat od zawarcia małżeństwa Nicky nie nauczyła się traktować go jak ojczyma.

Słabo się znali, Harry zaś szybko pojął, że najlepszym sposobem na Leonorę jest po prostu pełna uległość. Była żywiołem i nie należało jej się sprzeciwiać. A już na pewno nie bezkarnie.

Nicky czuła, że dziś nikt nie ma już siły i ochoty na kłótnie. W każdym razie ona na pewno nie. Była do cna wyczerpana, a do tego fizycznie i psychicznie obolała, choć wolała o tym nie myśleć. Jeśli zacznie to robić, będzie zmuszona na nowo stawić czoło wszystkiemu, co się wydarzyło.

Karen została zamordowana.

Zadrżała wewnętrznie, w popłochu odsuwając tę myśl.

- Zjecie z nami śniadanie? - Wuj John stanął przy swoim krześle. - Jeszcze tego nie wiesz, Joe, ale Ham jest najlepszym kucharzem w okolicy, a do tego zawsze gotuje jak dla pułku.

Rzeczywiście, zauważyła Nicky, uparcie koncentrując się na bieżącej wymianie zdań, pośrodku stołu stały trzy wolne talerze z jajecznicą oraz jeszcze jeden z bekonem, systematycznie podkradanym przez Livvy.

Na wypadek, jak zaznaczył wuj Ham, gdyby ktoś zażył sobie dodatkę. Albo jeszcze jedną.

- Bardzo dziękujemy - odparł Joe, spoglądając na talerze z Uak (znała Nicky) cieniem żalu w oczach. -

Ale przede wszystkim chciałbym zamienić kilka słów z panną Sullivan, o ile czuje się na siłach.

Nicky poczuła skurcz w żołądku. Nie, panna Sullivan nie czuje się na siłach. Co to, to nie.

- Teraz? - Brwi wuja Hama podjechały do góry. Czyżby wyczytał reakcję z jej twarzy? - Dochodzi wpół do trzeciej, sporo dziś przeszła.

- Wiem. - Joe popatrzył na Nicky. - Ale dowiedziałem się od twoich współpracowników, że wyjeżdżasz z samego rana. W innym wypadku poprosiłbym, żebyś przyszła na posterunek i złożyła zeznanie.

- Wyjeżdżasz? Dzisiaj? Myślałam, że ... po tym, co się stało ... - Leonora umilkła i zmarszczyła lekko brwi, napotykać wzrok córki. - No tak. Może powinnaś.

Być może grozi jej niebezpieczeństwo. Mina matki oraz jej słowa urealniały obawę, której Nicky dotąd nie chciała stawić czoła.

O mało nie zginęła razem z Karen. Gdyby sprawy potoczyły się nieco inaczej, nie siedziałyby teraz przy stole.

A morderca wciąż jest na wolności. Wsiądzie do tego samolotu, choćby nie wiem co.

- Możemy porozmawiać - powiedziała, po czym odsunęła krzesło i wstała. Zdrapane i posiniaczone kolana zabolęły, rana nad biodrem przypominała o swoim istnieniu ostrym bólem, a w głowie zakręciło

się niebezpiecznie. Nicky zachwiała się lekko i przytrzymała krzesła, zgrzytając zębami i przywołując się w duchu do porządku. Rozmowa z policją była nieunikniona i jeśli o wół do jedena-tej ma wsiąść do samolotu, musi jak najszybciej mieć to z głowy. Wiedziała z doświadczenia dziennikarskiego, że zeznania osoby, która znalazła ciało (Boże, to "ciało" to przecież Karen), mają w śledztwie kluczowe znaczenie. Poza tym ona też została zaatakowana, przypuszczalnie przez tego samego sprawcę, przypuszczalnie w tym samym celu.

Czy mogłaby rozpoznać mordercę? Na samą myśl dostała gęsiej skórki.

_ Czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś na osobności? - spytał Joe i straszne obrazy w myślach Nicky rozproszyły się nieco.

_ Idźcie do saloniku - podsunęła Leonora, patrząc na niego znad okularów.

Próbując opanować dygotanie, Nicky rzuciła Harry'emu pytające spojrzenie: salonik był po garażu jego ulubionym schronieniem. Skinął głową.

- Już po meczu - oznajmił. - Idźcie, idźcie.

- Tędy. - Wzięła głęboki oddech, a następnie puściła krzesło i pierwsza wyszła z kuchni. Joe podążył za nią. Kątem oka zobaczyła, że przystaje na chwilę, by jeszcze raz spojrzeć na zebranych.

_ Jeśli nie macie nic przeciwko temu, Dave w tym czasie zada wam kilka pytań. Gdzie byliście piętnaście minut

przed końcem programu, czy coś zwróciło waszą uwagę i tym podobne.

Odpowiedział mu pomruk, ale Nicky była zbyt rozkojarzona, aby rozróżnić poszczególne słowa. Zresztą i tak jej to nie obchodziło. Stawianie nogi za nogą okazało się trudniejsze, niż podejrzewała, i wymagało od niej pełnej koncentracji.

Kiedy dotarła do saloniku, szczękała zębami z zimna. Był to nieduży pokój wyłożony sosnową boazerią, z misternie rzeźbionym kominkiem wbudowanym w jedną ścianę oraz pojedynczym, wysokim oknem wychodzącym na boczne podwórze. Po obu stronach kominka stały na straży dwa wysłużone skórzane fotele, naprzeciw których ustawiono zakardową kanapę. W powietrzu stałe unosił się zapach dymu; dziesięciolecia palenia w kominku zrobiły swoje. Harry był entuzjastą wojny secesyjnej, w związku z czym ściany przystrojono obrazami, na których uwieczniono starcia konfederatów z wojskami Unii.

Adamaszkowe rolety, dawniej złote, obecnie spłowiałe i miejscami wyświecone na wyłot, były zasunięte, i jedyne źródło światła stanowił migający sino telewizor przy komplecie wypoczynkowym, zajmującym prawie całą ścianę przy drzwiach. Wyczulona na hałas Nicky od razu go wyłączyła i niespodziewany mrok, jaki zapadł w pokoju, wyprowadził ją z równowagi.

Weź się w garść, upomniała się w duchu, idąc w kierunku lampy na wielkim biurku Harry'ego, ustawionym pod oknem daleko od drzwi. Gdy wreszcie ją włączyła i ciepłe, żółte światło zalało pokój, zrozumiała, że drogę do biurka przebyła na bezdechu i z ulgą wypuściła powietrze.

Opadła na jeden ze skórzanych foteli przy kominku, krzywiąc się lekko, gdy taśma przytrzymująca plaster na biodrze boleśnie napięła skórę, po czym szczerze otuliła się szlafrokiem Livvy.

Zimno. Tak strasznie zimno ...

- Mogę? - spytał Joe.

Gdy włączyła lampę, zamknął drzwi, i stał teraz przy biurku Harry'ego. Nicky nie rozumiała, o co mu chodzi, ale jej wzrok spoczął na dyktafonie, który trzymał w ręku. Najwidoczniej pytał o pozwolenie nagrania rozmowy, lecz nie czekając na odpowiedź, włączył urządzenie.

Przedstawił siebie, potem Nicky, a następnie podał datę, godzinę oraz miejsce rozmowy.

- Jak się czujesz? - padło pierwsze pytanie.

Stał z założonymi rękami, oparty o biurko. Oprócz wysłużonej koszulki miał na sobie adidas i sfatygowane dżinsy, które podkreślały jego szczupłą, masywną sylwetkę i wąskie biodra.

Przemknęło jej przez myśl, że wyglądał cholernie pociągająco. I niezbyt profesjonalnie.

Tak się jednak składało, że to on poprowadzi śledztwo w sprawie śmierci Karen. Nicky zasznurowała usta.

- Dobrze - skłamała, koncentrując się na przedmiocie rozmowy, po czym dodała "powiedzmy", ponieważ kłamstwo było aż nazbyt oczywiste. Następnie zmieniła temat, pytając o to, co nie dawało jej spokoju, odkąd wyszli z kuchni. - Dlaczego wypytujecie moją rodzinę, co wszyscy robili na kwadrans przed końcem programu? To, co stało się z Karen, nastąpiło już po jego zakończeniu.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- Przecież ... przecież wyszłam za nią do ogrodu, kiedy już było po wszystkim. Wcześniej nie ruszałam się z domu. Minęło co najmniej dziesięć minut.

- Wyszłaś za nią do ogrodu? - Spoglądał na nią uważnie, lekko marszcząc brwi,

- Tak.

- No dobrze. A zanim to się stało, kiedy widziałaś ją po raz ostatni?
Nicky zastanawiała się przez chwilę.
- W holu, zanim poszłam z matką na górę. Byłyśmy na wizji. Karen ... - przełknęła ślinę na samo wspomnienie... stała na dole, przeszłam obok niej.
- O której to mogło być?
- Jakies piętnaście minut przed końcem. Obejrzyj nagranie, tam będzie dokładny czas. To było wtedy, kiedy matka skierowała się na piętro.
- Wezmę to pod uwagę - rzucił niezobowiązująco. - Co robiła Karen? Z kim była?
Nicky spróbowała sobie przypomnieć.
- Patrzyła na Leonorę, tak jak wszyscy. I... uśmiechała się, bo wreszcie dobrze nam szło. Uniosła nawet kciuk. - Serce jej się ścisnęło na samą myśl. - Stała obok. .. o rany, nie pamiętam. Chyba ... chyba z Cassandrą. Wydaje mi się, że Mario też tam był. Stali razem w grupie przy schodach, ale naprawdę nie przyglądałam się uważnie.
Kiwnął głową, jakby chciał pokazać, że rozumie.
- Czyli kiedy zobaczyłem cię w kuchni po programie, nie widziałaś Karen od chwili, gdy poszłaś na górę kwadrans przed końcem programu?
- Zgadza się.
- Po co wyszłaś do ogrodu?
Nicky zmarszczyła brwi. Musiała się zastanowić.
Wreszcie sobie przypomniała: szukała Karen, on wtedy wszedł do kuchni, a ona nie miała ochoty z nim rozmawiać. Dwa dobre powody, ale zdradzi mu tylko jeden.
- Gordon wspomniał, że Karen dostała pilny telefon, podobno dzwonił Sid ... ktoś bardzo ważny ... i chciałam ją wypytać, co mówił. No i poprosić, żeby mnie podrzuciła liodomu.
- Gordon?
- Gordon Davies, jeden z naszych kamerzystów.
Kiwnął głową.
- Rozumiem. Czyli wyszłaś na dwór. Co było potem?
- Przez chwilę stałam na patio. - Nicky mimowolnie napięła mięśnie. Nie chciała o tym pamiętać, lecz dla dobra Karen (i swojego własnego) nie miała innego wyjścia. - Nagle zobaczyłam, jak szła podjazdem. I poszłam za nią.
- Zawołałaś, żeby na ciebie poczekała?
Nicky potrząsnęła głową. Było jej tak zimno, że nie czuła się na siłach odpowiedzieć.
- Nie? - podsunął wyczekująco.
- Nie - odpowiedziała, zdając sobie sprawę, że przecież rozmowa jest nagrywana. - Myślałam, że rozmawia przez telefon. Nie chciałam przeszkadzać.
- Dlaczego uznałaś, że rozmawiała przez telefon? Słyszałaś jej głos?
Nicky zaczęła się namyślać. Odtworzyła w głowie tamtą scenę: Karen idzie w ciemności na wprost niej, podążając ku kępie sosen ...
Zdobyła się na obiektywną ocenę sytuacji.
- Nie - odparła. - Nie słyszałam. Ani razu. Nawet jak znalazłam się blisko niej, kiedy obie szłyśmy. .. pod drzewami. Pamiętam, że uznałam to za trochę dziwne.
- Czyli nie słyszałaś jej głosu. Pozwól, że cię o coś zapytam: czy ty ją w ogóle widziałaś? Jesteś stuprocentowo pewna, że to była Karen?
- Słucham? - Nicky zamrugnęła. - Przecież ci mówiłam: poszłam za nią w kierunku sosen.
- Na pewno? - Nie odrywał od niej baczego spojrzenia. - Czy to aby na pewno była ona?
Nicky wytrzeszczyła na niego JJCzy. Dotąd ani razu nie przyszło jej do głowy, że osoba, za którą poszła, mogła być kimś innym niż Karen. Zmarszczyła brwi. Co tak naprawdę widziała?
- Tak mi się wydaje - odrzekła w końcu. - Zobaczyłam, że ktoś idzie przede mną wolnym krokiem, tak jak to bywa czasem, gdy rozmawiamy przez telefon. Byłam święcie przekonana, że to Karen. Dam głowę, że widziałam kobietę. Była szczupła, szła lekko rozkołysanym krokiem. Ale nie, rzeczywiście masz rację: nie mogę mieć pewności, że widziałam właśnie ją. Było za ciemno.
- Czyli to mógł być ktokolwiek?
- No ... - Nicky ponownie zmarszczyła brwi. - Chyba tak. Chcesz powiedzieć, że to nie była Karen?
Potrząsnęła głową.
- Nie wiem. Próbuję sobie wszystko ułożyć. Jeśli to była Karen, musiała zginąć po tym, jak ją zobaczyłaś, co znacznie zawęży nam ramy czasowe. Jeśli zaś to nie była ona, pojawia się więcej znaków zapytania.

- Któż inny mógłby to być?

- Na razie nie mam pojęcia. - I dodał po chwili wahania: - Czy mogę cię o coś zapytać? Jak dobrze znałaś Karen?

- Byłyśmy koleżankami z pracy. Prywatnie nigdy się nie spotykałyśmy. Wszyscy ... to znaczy ekipa, z którą przyjechałam ... pracujemy ze sobą od sierpnia, gdy "Na tropie tajemnic" weszło na stałe do ramówki. Wcześniej się nie znałyśmy.

- Czyli nie wiedziałabyś, gdyby ktoś z jej najbliższego otoczenia miał wobec niej złe zamiary?

- Raczej nie. Nic nie obito mi się o uszy.

- No dobrze. - Urwał na moment i zerknął na dyktafon, jakby chciał sprawdzić, czy działa. Następnie przełonił wzrok z powrotem na Nicky. - Rozumiem, że to dla ciebie trudne, ale ... Cofnijmy się do chwili, kiedy wyszłaś

z kuchni. Opowiedz mi wszystko po kolei.

Przez chwilę Nicky spoglądała na niego bez słowa.

Wreszcie spróbowała się odezwać, rozchyliła usta, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

- Nie spiesz się. - Omiótł wzrokiem jej twarz. Wciąż lekko marszczył brwi, ale twarz miał kompletnie nieprze-niknioną. - Wyszłaś tylnymi drzwiami na patio i zobaczyłaś osobę, którą wzięłaś za Karen? Co dalej?

- Ruszyłam podjazdem w jej kierunku, nie chciałam jednak wołać, dopóki nie skończy rozmawiać przez telefon. - Z ulgą stwierdziła, że odzyskała głos, ale było jej tak zimno, że schowała dłonie w rękawach szlafroka i poru-szyła zdrętwiałymi palcami stóp. - Wielkie sosny na za-kręcie rzucały cień i gdy znalazłam się w ciemności, świat jakby ... znieruchomiał. Zrobiło się wprost niewiarygodnie ciemno, zupełnie jakbym nagle oślepla, a nawet ogłuchła. Przestałam słyszeć cokolwiek: ptaki, owady, wszystkie od-głosy, które dolatywały wcześniej, po prostu ucichły. Było tak, jakbym wpadła do wielkiej, czarnej dziury. Wtedy zrozumiałam, że nie słyszę Karen.

Napłynęły wspomnienia i Nicky ponownie znalazła się w cieniu sosen, a w głuchoj ciszy.

- Myślałam, że jest tuż przede mną, przecież powinienam ją słyszeć. Ale nie słyszałam. Wtedy ... w sumie nie wiem dlaczego, ogarnął mnie strach. Odwróciłam się i za-częłam biec. - Wzięła głęboki oddech. Serce zabiło jej moc-niej w piersi i dostała gęsiej skórki. - Ktoś skoczył na mnie od tyłu. Jestem prawie pewna, że to był mężczyzna. Nie widziałam go, ale ... tak czy siak, uważam, że to mężczy-zna. Potem chyba wyrzuciłam głowę w asfalt i straciłam przytomność, ponieważ dalej pamiętam tylko to, że obu-dziłam się pod drzewem.

Na samo wspomnienie zakręciło jej się w głowie i przy-mknęła oczy. Próba ułożenia dalszego ciągu w porządku chronologicznym okazała się niemożliwa. To wszystko by-ło zbyt przerażające, zbyt bolesne. Fragmenty zdarzeń migały jej przed oczami jak urywki z horroru.

- Mów dalej. - Niski, głęboki głos Franconiego był jak nić łącząca ją z terażniejszością i Nicky uczepiła się jej kur-czowo.

Czuła na sobie jego spojrzenie, słyszała sporadyczne słowa zachęty w chwilach, gdy język odmawiał jej posłu-szeństwa, lecz uparcie nie otwierała oczu. Urywanymi zdaniem, robiąc pauzy, kiedy pewne szczegóły opowieści okazywały się ponad jej siły, zdała mu dokładną relację z wydarzeń w Old Taylor Place.

Kiedy skończyła, Joe nie odezwał się ani słowem. Nic-ky siedziała nieruchomo o, z głową na gładkim, skórzanym oparciu fotela. Miarowo wdychała i wydychała powietrze, usiłując powrócić do terażniejszości. Kiedy straszne obrazy poczęły wreszcie ustępować, otworzywszy oczy, zobaczyła, że na wprost niej przykucnął Franconi z zatroskanym wyrazem twarzy.

Miał duże, opalone dłonie o długich palcach i krótko przyciętych paznokciach. Były ciepłe i krzepiące, z lekkimi zgrubieniami od środka. Czuła to,bo mocno ścisnęła je palcami, chociaż nie miała pojęcia, jak do tego doszło. Znajdował się tak blisko, że widziała siateczkę zmarszczek wokół jego zmęczonych oczu i każdy włoszek na zaczą-tkach zarostu pokrywającego policzki i brodę. Odgradził Nicky plecami od pokoju, a jego cień otulił ją jak koc. To, że niepostrzeżenie podszedł tak blisko i ujął jej ręce, świadczyło dobitnie, jak daleko odpłynęła myślami. Uświadomiła sobie również, że siedzi z podwiniętymi no-gami na fotelu, zwinęta w kłębek. Miała kropelki potu na czole i szczykała zębami.

- Hej - rzucił kojąco Joe, gdy zetknęli się wzrokiem. Piwne oczy upstrzone plamkami zieleni pociemniały z niepokojem. - Dobrze się czujesz?

8

- Nie. Prawda była zwięzła i brutalna, lecz Nicky nie powiedziała tego głośno. Zaciśnęła tylko zęby i z

trudem przełknęła ślinę, by odzyskać panowanie nad sobą. Ale strach nie dał tak łatwo za wygraną. Kiwnęła głową.

- Na pewno?

Zbyt wyprowadzona z równowagi, żeby się ponownie odezwać, skinęła głową, koncentrując się na oddechu. Przejmujące zimno sprawiało jej niemal fizyczny ból; jedynym ciepłym skrawkiem ciała były koniuszki palców, ogrzewane dłońmi Joego.

- Przepraszam, że cię na to naraziłem - powiedział po chwili.

Zły glina zmienił front i była mu za to wdzięczna, choć owa zmiana sprawiła jej niewielką ulgę. Nicky potrzebowała siły, po nią zaś musiała sięgnąć w głąb samej siebie. Wymagało to sporego wysiłku, ale wreszcie przestała dygotać i mogła rozluźnić obolałe szczęki. Głośno zaczerpnęła tchu i wykrzesła z siebie resztki opanowania, którymi się zasłoniła jak dziurawą tarczą.

Puściła jego ręce, na co Joe pozostanie nie zwrócił uwagi. - Rzecz w tym, że ... on wiedział, jak mam na imię. Powiedział "Nicky" i dotknął moich włosów. - Jej głos zabrzmiał chrapliwie i nieswojo.

- Występujesz w telewizji. Mnóstwo ludzi cię zna. No tak, prawda. Też mi pociecha.

- Rozpoznałaś jego głos? - spytał bez większej nadziei. Potrząsnęła głową. Na samo wspomnienie tamtego

ochryplego "Nicky" przeszły ją ciarki.

- Czy ... czy mogę cię o coś spytać? - rzuciła po chwili. - Jak właściwie zginęła Karen?

Zmierzył ją spokojnym spojrzeniem. Przykucnął na wprost niej, tak blisko, że czuła bijące od niego ciepło. Oparł dłonie na poręczach fotela, lecz Nicky wcale nie czuła się jak w potrzasku, wręcz przeciwnie.

- Jeszcze nie przeprowadzono sekcji, ale z tego, co wiadac na pierwszy rzut oka, wielokrotnie pchnięto ją nożem.

Kiwnęła głową. Naturalnie tak podejrzewała, lecz mimo to poczuła nawrót mdłości.

- Ten dźwięk, który słyszałam, jakby ktoś coś piłował dodała po kilku głębokich wdechach. - Domyślasz się, co to mogło być?

Przez chwilę spoglądał na nią bez słowa, jakby nie był pewien, czy powinien odpowiedzieć na to pytanie.

- Proszę - naciskała. - Chcę wiedzieć.

Skrzywił się lekko.

- Nie mam co do tego absolutnej pewności, ale ... wygląda na to, że odciął jej kosmyk. Na twarzy Karen znaleźliśmy pojedyncze włosy. Pewnie usłyszałaś, jak to robi.

- O Boże. - Nicky wyobraziła sobie tę scenę i pokój raz jeszcze zawirował jej przed oczami. Nie, to zbyt potworne ... naraz przypomniała sobie, że morderca dotykał jej włosów. Znow zaczęła dygotać, świat przechylił się niebezpiecznie i wszystko dookoła niej się zakręciło. Odruchowo przymknęła oczy. Głowa ciążyła jej na karku, jakby zawieszony u szyi kamień młyński nieubłaganie ciągnął ją w dół. Musiała oprzeć się o fotel.

- Parszywa noc, co? - Joe nie mógł sobie darować, że lo z niego wyciągnęła. Dotknął jej policzka; ciepłe palce

musnęły chłodną skórę. Poczuela, jak odgarnia z jej twarzy zabłąkane pasmo włosów. - Ale już po wszystkim, jesteś bezpieczna. Kilka głębokich wdechów i...

Nagła myśl sprawiła, że Nicky musiała się nią podzielić z Joem, zaraz, natychmiast. Otworzyła szeroko oczy. Joe pochylał się nad nią nisko.

Wymienili spojrzenia i dłoń, która odgarnęła niesforny kosmyk, opadła.

- Dokładnie to samo spotkało Tarę Mitchell - powiedziała ze zgrozą Nicky.

- Owszem - odparł, przysiadając z powrotem na piętach. - Wiem.

- On wrócił. - Słowa ledwo wydobywały się przez ściśnięte gardło. - To ten sam człowiek. O Boże.

Joe wstał, po czym wsunął ręce do kieszeni spodni i popatrzył z namysłem na Nicky.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. - Przejęta usiadła prosto i opuściła stopy na podłogę. - Ten sam dom, identyczne okoliczności. Wszystko się zgadza.

- Na pierwszy rzut oka.

- Jak to, na pierwszy rzut oka? Zgadza się, i już. Program ... może obejrzał zapowiedzi, sama nie wiem.

Może przez cały czas czaił się w ciemności, zaglądał w okna, czekał na odpowiednią chwilę ... - Dreszcz nie pozwolił jej mówić dalej.

- To rzeczywiście jedno z możliwych wyjaśnień. Nicky spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

Górował nad nią, musiała wysoko podnieść głowę. Gdyby starczyło jej sił, natychmiast poderwałaby się z fotela, aby zmniejszyć dzielącą ich różnicę wzrostu. Coś w jego głosie ...

- Chcesz powiedzieć, że są inne? Wzruszył ramionami.
- Naśladowca? Naprawdę tak myślisz?
- Wszystko możliwe. - Po chwili dodał: - Niektórzy z twoich współpracowników wspominali coś o tym, że program ma być zdjęty.
- Być może. - Za nic w świecie nie chciała przyznać tego głośno, bez względu na okoliczności. - Jakie to ma ... ? - Nagle zrozumiała, do czego zmierzał. Otworzyła szeroko oczy. - Chyba nie sugerujesz ... nie myślisz ... że ktoś zabił Karen i omal nie zabił mnie, żeby poprawić notowania?

Joe ponownie wzruszył ramionami.

- Pewnie nie. To tylko jedna z hipotez. - Odwrócił się i podszedł z powrotem do biurka. Spojrzał na dyktafon (pewnie znowu sprawdzał, czy działa), po czym przysiadł na krawędzi biurka i kołysząc nogą, przeniósł wzrok na Nicky. - Muszę cię o coś spytać. Te krzyki na końcu programu ... rozumiem, że zostały wygenerowane komputerowo?

Nicky zmarszczyła brwi. Ktoś z ekipy miałby maczać palce w zbrodni i to z tak błahego powodu? Nie mieściło jej się to w głowie.

- Nie. - Czas postawić sprawę jasno. - Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

- Ale były w scenariuszu, tak? Z góry je zaplanowaliście?

- Nie.

Zmierzyli się wzrokiem.

- Twierdzisz, że nic o nich nie wiedziałaś?

- Tak, właśnie to chcę powiedzieć.

- Dajże spokój. - Sceptycyzm w jego głosie nie budził wątpliwości. - Przecież możesz mi powiedzieć. Jestem policjantem, mam w nosie kulisy takich programów. Nie puszczę pary z ust, masz moje słowo. Ale dla dobra śledztwa muszę wiedzieć, dlatego zapytam raz jeszcze: czy te krzyki stanowiły część widowiska?

- Widowiska? - Sens ostatniego słowa sprawił, że Nicky aż zeszytniała. Poczwała, jak wracają jej siły; krew zapulsowała w żyłach, rozgrzewając skórę. Kto by pomyślał, że złość może być tak terapeutyczna?

- No wiesz, mówię o sztuczkach twojej matki.

- Moja matka - odparła jadowicie Nicky - nie jest kuglarzem.

- Ja zwał, tak zwał - zniecierpliwiał się Joe. - Pytam tylko o pochodzenie tamtych odgłosów.

- Czy ani razu nie przyszło ci do głowy, że to mógł być ... duch? - Nicky sama nie miała co do tego pewności, ale tak oczywisty sarkazm Franconiego podziałał jej na nerwy.

- Nie - odparł kategorycznie. - Ani razu.

- Może jednak powinieneś wziąć to pod uwagę.

Załoczył ręce na piersi, a na jego twarzy pojawił się irońniczy grymas.

- Słuchaj, jestem policjantem. Jeśli mam do wyboru duchy albo coś innego, zawsze wybiorę to drugie.

- Twoje prawo - uśmiechnęła się Nicky. Nie był to szczególnie przyjazny uśmiech. Zbyt często musiała wysłuchiwać kąśliwych uwag, kiedy ludzie się dowiadawali, czym trudni się jej matka. Nie miała już do tego cierpliwości. - No więc oświadczam, że krzyków nie było w scenariuszu. Na temat ich pochodzenia wiem tyle samo, co ty. Duch Tary Mitchell to moim zdaniem jedna z opcji.

-Aha.

Znów miała przed sobą złego glinę. I poczuła ponowny przyływ antypatii.

- Jeszcze coś? - spytała, zbierając się w sobie, żeby wstać i skończyć rozmowę. - Jestem bardzo zmęczona.

To była szczerza prawda. Huczało jej w głowie, sińce na całym ciele dawały się we znaki, a biedne, znękanе serce marzyło o odpoczynku. Była tak wykończona, że czuła się niemal kompletnie bezwładna.

Chciała jedynie wpełznąć do łóżka i spać aż do chwili, gdy trzeba będzie wyruszyć na lotnisko. Pytanie tylko, co zobaczy, kiedy zamknie oczy. Dreszcz przeszedł ją na samą myśl. Przypomniała sobie tabletki, które dostała od lekarza. Przy odrobinie szczęścia pomogą jej odpłynąć w niebyt. Perspektywa kompletnej utraty świadomości wydała jej się nagle niezmiernie kusząca.

- Jeszcze jedno - powiedział Joe. Rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Czy po programie ktoś do ciebie dzwonił? Mam na myśli komórkę.

Nicky zmarszczyła brwi.

- Nie wiem. Komórka jest w torebce, wyłączyłam ją, zanim weszliśmy na wizję.

- Mogłabyś teraz sprawdzić?

- Dobrze. - Wstała, zrobiła kroki musiała się przytrzymać fotela. Wyglądało na to, że gwałtowne ruchy chwilowo nie wchodzi w grę.

Franconi wyszedł zza biurka, po czym zastygł niepewnie, obrzucając ją baczny spojrzeniem.

- Miałaś ciężką noc, pamiętasz? Może jednak usiądziesz?

- Torebka została w kuchni. - W zamieszaniu, które nastąpiło po znalezieniu ciała Karen, ktoś znalazł jej torebkę wraz ze znajdującą się w środku kartą ubezpieczeniową i wysłał razem z właścicielką do szpitala. Obecnie wisiała na haczyku przy kuchennych drzwiach.

- Ja przyniosę. Tylko powiedz, gdzie jest.

Powiedziała.

- Siadaj - rzucił rozkazującym tonem Joe, a następnie wyłączył dyktafon i wyszedł.

Nicky, zamiast zastosować się do polecenia, co w jej stanie byłoby najlepszym rozwiązaniem, wzięła kilka głębokich wdechów i odczekała, aż miną zawroty głowy. Wreszcie puściła fotel i podeszła do biurka, gdzie utkwiała wzrok w małym, srebrnym dyktafonie. Tak zastał ją Joe.

- Przecież ci mówiłem, żebyś usiadła. - Podał jej torebkę, dużą, czarną imitację markowej, o niebo tańszą, niż na to wyglądała, i wypełnioną niezbędnymi akcesoriami jej życia.

Zaciskając rękę na skórzanym pasku, napotkała wzrok Joego.

- Czy inni zawsze się stosują do twoich poleceń? - spytała sztucznie zaciekawionym tonem.

- Zazwyczaj. - Oczy mu rozbłyły, jakby tłumił rozbawienie. - O ile mają dość oleju w głowie.

Phi, pomyślała Nicky. Kolana ugięły się pod nią niebezpiecznie i bez słowa odłożyła torebkę na biurko.

Przezornie oparła się o nie biodrem, po czym zanurkowała ręką w bocznej przegródce i wygrzebała telefon. Joe stał blisko, spoglądając na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Zerknął na aparat.

- Możesz sprawdzić, kto dzwonił?

- Po co? - Włączyła telefon: cztery nie odebrane połączenia. Spojrzała na Joego. - Myślisz, że kto mógł dzwonić?

- Znaleźliśmy aparat Karen w zaroślach po drugiej stronie podjazdu. Ostatni telefon odebrała o godzinie dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt dwie, z czego możemy wnioskować, że o tej porze jeszcze żyła.

Dzwonił Sid Levin, z tego, co zrozumiałem, jakaś wielka szucha z telewizji. - Urwał. - Ostatnie połączenie wychodzące było do ciebie.

- Ach. - Nicky z bólem przypomniała sobie, że Karen dzwoniła, aby ją ostrzec przed miejscową grubą rybą; kimś, kto nie chciał dopuścić do zrealizowania programu. Czuła się, jakby od tamtej rozmowy dzieliły ją lata świetlne. - Ale to było wcześniej. Zanim weszliśmy na ...

Umilkła, spoglądając na historię połączeń. Wszystkie osoby (w tym Sid Levin, który - jak odnotowała z przejęciem - dzwonił ze swego prywatnego numeru) próbowały się z nią skontaktować już po zakończeniu programu. Numer Karen znajdował się na końcu listy.

- Karen dzwoniła do mnie o dwudziestej drugiej czterdzieści siedem - powiedziała z wolna Nicky, nie odrywając oczu od wyświetlacza. Świadomość prawdy uderzyła ją jak obuchem: o dwudziestej drugiej czterdzieści siedem Karen już nie żyła, a Nicky jechała z Dave'em do kliniki.

Poczuła, że brakuje jej powietrza. Spojrzała na Joego.

Nie musiała nic mówić. Jego mina świadczyła jasno, że wiedział.

- Chwileczkę.

Zrobił krok naprzód i włączył dyktafon.

- Panna Sullivan potwierdza, że o godzinie dwudziestej drugiej czterdzieści siedem odebrała sygnał z telefonu komórkowego panny Wise. Komórka panny Sullivan była w tym czasie wyłączona. - Z powrotem przeniósł wzrok na Nicky. Stał dosłownie na wyciągnięcie ręki, czuła bijące od niego napięcie. To policjant, upomniała się w duchu. - Są jakieś wiadomości?

Nicky kiwnęła głową. Język dosłownie stanął jej kołkiem w ustach.

- Panna Sullivan potwierdza otrzymanie wiadomości powiedział na użytek dyktafonu. Następnie zwrócił się do Nicky: - Możesz je odsłuchać?

Ponownie skinęła głową, po czym przypomniała sobie o dyktafonie.

- Tak - rzuciła ochryplym szeptem. I wcisnęła odpowiedni przycisk. Pierwsza wiadomość była od Livvy.

- "Nick, właśnie sobie przypomniałam: zabrakło nam lodów. Czy możesz po drodze wskoczyć do sklepu i kupić duże pudełko bakaliowych? Dzięki".

Druga wiadomość pochodziła od Sarah Greenberg, przepracowanej kierowniczką produkcji.

- "Hura! Udało ci się! Odbieramy dziesiątki telefonów i mej li. Widzowie są w siódmym niebie! Przekaż mamie gorące wyrazy wdzięczności od nas wszystkich. Pogadamy później, pa".

Trzecią wiadomość (ucisz się, moje serce) zostawił Sid Levin.

- "Jestem pod wrażeniem, panno Sullivan. Proszę po przyjeździe zajrzeć do mojego biura. Może zrobi

pani dla nas jeszcze coś w tym stylu".

Przyjemny dreszczyk, który towarzyszył jej podczas odsłuchiwania tej wiadomości, minął w jednej chwili, gdy na wyświetlaczu pojawiły się numer i nazwisko Karen. Nicky wyczekująco wstrzymała oddech. Oczywiście wiedziała, że nie usłyszy jej głosu. I miała rację. Nie miała wątpliwości, że to mężczyzna odezwał się głuchym szeptem.

Wypowiedział tylko trzy słowa.

- "Wierzysz w duchy?".

Na dźwięk znajomych, chrapliwych tonów Nicky po prostu dostała zawrotów głowy. Od razu wiedziała, kto to był: morderca Karen, człowiek, który zaatakował również ją, złowroga postać ciemniejąca pod drzewami. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i gdyby nie Joe, upadłaby na podłogę. Ze zdziwionym "ejże" chwycił ją za łokcie i mocno przycisnął do siebie.

Całe szczęście, bo runęłaby na dywan jak długa. Czowała się, jakby jej mięśnie zamieniły się w galaretę, a nogi miałyby lada chwila zgiąć się niczym szczyorki. Pokój zawirował. Nicky mogła tylko zamknąć oczy, oprzeć się o coś całym ciężarem i oddychać.

- Już dobrze - szepnął jej do ucha Joe. - Nie ruszaj się przez chwilę.

- To on - wykrztusiła wreszcie.

Przekrzywiła głowę, opierając policzek w zagłębieniu jego ramienia. Był szczupły, ale znacznie wyższy i potężniejszy od niej. Czowała jego ciepło i otaczający go subtelny zapach ... czego? Papierosów?

Odzyskując jasność myślenia, stwierdziła, że przywiera do niego całym ciałem.

Jej oczy natrafiły na śniadą szyję i zarośnięty podbródek. Joe opuścił nieco głowę, wymienili spojrzenia.

- Domyśliłem się. - Wziął głęboki oddech. Nicky prawie na nim leżała, wczepiona palcami w jego podkoszulę. Dzieliła ich tylko gruba warstwa różowego szlafroka Livvy. - Czy jego głos z kimś ci się kojarzy?

O Boże. Nie chciała o tym myśleć.

- Nie.

Opanowała się wysiłkiem woli i puściwszy koszulkę Joego, wyślizgnęła się z jego objęć. Nie oponował, dla pewności przytrzymał ją tylko za ramiona, na wypadek gdyby znów straciła równowagę. Następnie oboje opuścili ręce i przez jedną niezręczną chwilę stali naprzeciw siebie, wymieniając spojrzenia.

- Dzięki, że mnie podtrzymałeś - powiedziała wreszcie.

- Do usług. - Skrzyżował ręce na piersi.

- To z wrażenia.

- Rozumiem. - Na jego ustach zamajaczył cień uśmiechu. - A tak na marginesie, kiedy następnym razem poproszę, żebyś usiadła, może jednak mnie posłuchaj.

Spojrzała ze zdziwieniem: wyraźnie się z nią droczył.

Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, na progu stanęła Leonora.

- Joe, przyszedł do ciebie jakiś reporterka.

Koniec końców Joe wcale nie zmrużył oka. Skończywszy z Nicky i jej rodziną, wrócił do Old Taylor Place, żeby sprawdzić, jak radzą sobie ze zbieraniem dowodów jego dzielnicy, acz niedoświadczeni w sprawach morderstw podwładni, pomógł umieścić ciało ofiary w samochodzie koronera i rozciągnąć brezent nad miejscem zbrodni, jako że zgodnie z jego oczekiwaniami spadł deszcz. Później dopiłnował jeszcze, by rzeczony miejsce oddzielono laśmą policyjną i postawiono na straży funkcjonariusza, tak aby dowody, które im umknęły w ciemności, dotrwały bezpiecznie do rana - i po tym wszystkim niepostrzeżenie nadszedł świt.

Joe wciąż miał nadzieję, że znajdą narzędzie zbrodni, ale sytuacja nie wyglądała obiecująco.

- Pójdziemy coś zjeść? - spytał z nadzieją Dave, kiedy wreszcie wsiedli do samochodu.

Mieli do wyboru jedynie knajpę Hobsona; była to jedyna jadłodajnia otwarta o tak nie ludzkiej porze.

Joego bolała głowa ze zmęczenia i miał piasek w oczach, pamiętał jednak, że kolacja u Dave' a przeszła im koło nosa. Poza tym jemu też burczało w brzuchu. Jedną z tradycji Południa, która bardzo przypadła mu do gustu, były obfite śniadania. W Jersey, o ile w ogóle brał rano cośkolwiek do ust, zwykle ograniczał się do kawy i papierosa, tutaj jednak solidny posiłek dawał człowiekowi energię na resztę dnia.

- Jasne.

Słońce wschodziło nad oceanem i był to piękny widok.

A jeszcze piękniejsze było to, że mógł się nim cieszyć codziennie, bez względu na ewentualne zawirowanie poprzedniego wieczoru. Po przyjeździe na wyspę początkowo nie sypiał dłużej niż kilka godzin, w związku z czym o brzasku często przesiadywał z kubkiem kawy na małym ganku za domem,

chłonąc feerię barw, która obwieszczała nowy dzień i uspokajała jego znękaną duszę. Teraz, jadąc wąskim odcinkiem autostrady łączącym wyspę ze stałym lądem, machinalnie podniósł wzrok. -Wirujące po lawen-dowym niebie kręgi rodem z technicoloru odbijały się w intensywnym błękicie oceanu :po obu stronach drogi oraz w czarnych wodach rzeki widocznej pod szosą na grobli. Był przypiływ; wody rzeki wezbrały o jakieś trzy metry. Na powierzchni przysiadło stadko gęsi kanadyj-skich, które w tym roku spóźniły się z powrotem na pół-noc. Wśród szarych oparów mgły majaczyły sylwetki czapli i żurawi, co rusz nurkujących pod mostem w poszukiwaniu zdobyczy w spokojnym nurcie. W ciągu ostatnich paru miesięcy Joe nauczył się czerpać z tych widoków swoistą otuchę, ale wciąż pozwalał sobie na moment ironicznej refleksji. Jak to możliwe, że w tym bezmiarze piękna, jakim był świat, leżało się tyle zła? Oto jedna z naj-większych zagadek wszechświata. Kiedyś, gdy upływ czasu da mu odpowiednią perspektywę, na pewno znajdzie odpowiedź na to pytanie.

Ale nie teraz, powiedział sobie w duchu, wjeżdżając na parking przed barem. Teraz zamknie okropieństwa minio-nej nocy w przegródce zarezerwowanej specjalnie na po-dobne okazje i skupi się na wykonaniu pracy, za którą mu płacą•

- Myślisz, że uda nam się wykryć sprawcę? - spytał niepewnie Dave, kiedy złożyli zamówienie. Siedzieli przyoknie, grzejąc ręce o parujące kubki z kawą. Joe obserwował przez szybę zmagania kierowcy osiemnastokolowej ciężarówki, który właśnie usiłował za-parkować. Chodnik wciąż lśnił od deszczu; woda zmieszana z olejem tworzyła połyskliwe tęczę na asfalcie. W barze znajdowały się jeszcze cztery osoby, sami mężczyźni, sądząc po wyglądzie rybacy albo kierowcy. Jak na godzinę szóstą w majowy poniedziałkowy rano, pół tuzi-na klientów to nie tak źle. Wyspa Pawleys, podobnie jak kontynentalny pas wybrzeża, zaczynała tętnić życiem wraz z napływem turystów, co następowało w okolicach pierwszego czerwca. .

Czyli wraz z początkiem sezonu ogórkowego. Podobnie jak każdy przeciętny widz, Joe wiedział, że w pewnych ściśle określonych miesiącach stacje telewizyjne emitowały najlepsze programy, aby przyciągnąć ludzi, a tym samym .większą oglądalność, co pozwalało im na podnoszenie -stawek reklamodawcom. Ubiegłej nocy, podczas rozmów członkami ekipy "Na tropie tajemnic" i przed przesłuchaniem Nicky w domu jej matki, miał okazję spojrzeć na to z nieco innej perspektywy. Z tego, co rozumiał, odpo-wiepnie miejsce w rankingach oglądalności niejednokrot-nie' było dla ekipy kwestią życia lub śmierci. Kto wie, czy w tym wypadku nie należało traktować tego dosłownie. Walka o wyniki nie była może najlepszym motywem zabójstwa, o jakim słyszał, ale w sumie i nie naj gorszym.

- Zrobimy, co się da - odpowiedział, rozważając po-szczególne hipotezy.

Kierowca ciężarówki zgasił światła, wyskoczył z szofer-ki i sadząc susy między tęczowymi kałużami, ruszył w stronę wejścia do baru. Dave prychnął pod nosem, a Joe oderwał wzrok od widoku za qknem i spojrzął na kolegę pytająco. Jego zastępca był błydy i zmarnowany; miał worki pod oczami i plamy na niegdyś białej koszuli, któ-rych pochodzenia Joe wolał nie zgłębiać.

- Prawdę mówiąc nigdy nie brałem udziału w śledz-twie dotyczącym morderstwa. Pozostali chyba też nie -rzucili ściszonym głosem Dave, jakby wyznawał jakiś wstydlivy sekret.

- Domyślam się. - Nie była to również domena Joego, który wprawdzie spędził pierwsze pół roku służby w wy-dziale zabójstw, ale później trafił do kryminalnych, zwią-szając tym samym zakres swoich obowiązków. Widział jednak swoje, a nawet jeszcze więcej, a dochodzenia w sprawach o morderstwo to też dla niego nie pierwszy-zna. Znał podstawowe procedury, których należało się trzymać, i miał tak zwanego nosa. Trafił na wyspę, gdzie w ciągu ostatnich kilkunastu lat odnotowano tylko jedno morderstwo, w związku z cZYfQ doświadczenie w tej dziedzinie nie stanowiło zasadniczego kryterium, na podsta-wie którego rada miasta zatrudniła go jako szefa policji.

Pewnie teraz jej członkowie pluli sobie w brodę. Z per-spektywy czasu wszystko wydaje się oczywiste.

- Czy ty ... ? - zaczął Dave, lecz przeszkodziło mu poja-wienie się kelnerki, która zaczęła hałaśliwie rozstawiać na

stole talerze z grzankami i jajkami na bekonie (dla Joego) oraz z parówkami, naleśnikami i kleksem białego sosu (dla Dave'a). Joe odetchnął z ulgą. Pytanie, które chciał mu za-dać Dave (coś w rodzaju: "Czy ty kiedykolwiek prowadzi-łeś śledztwo w sprawie morderstwa?"), raczej należało po-zostawić bez odpowiedzi. Joe wciąż był tu człowiekiem z zewnątrz, intruzem, obcym w mieście, gdzie większość mieszkańców znała się od urodzenia. Będzie mu łatwiej pracować, jeśli zdobędzie zaufanie podwładnych, o spo-tęczności nie wspominając.

- Przynieść wam coś jeszcze, chłopcy? - spytała kel-nerka.

Była to starsza, nieco przysadzista kobieta pod sześć-dziesiątkę, o krótkich, ciemnobrązowych włosach i zmę-czonych oczach. Jej fartuch też sprawiał wrażenie sflacza-łego i bez życia, jakby miał za sobą o

kilka prań za dużo.

- Nie, proszę pani - odpowiedział Dave, energicznie rzucając się na jedzenie.

Joe potrząsnął głową i sięgnął po widelec. Zapach śniadania nasunął mu wspomnienie kuchni w Twybee Cottage i przed oczami stanęła mu Nicky Sullivan. Za kilka godzin dziennikarka znajdzie się w drodze na lotnisko. I dobrze. Przynajmniej przestanie go rozpraszać, a co najważniejsze, zniknie z oczu mordercy. Będzie bezpieczna, a Joe spokojnie zajmie się śledztwem.

Kierowca osiemnastokołowej ciężarówki usiadł przy pobliskim stoliku i kelnerka podążyła w tamtą stronę z dzbankiem kawy.

- To co robimy? - spytał po paru minutach Dave, kiedy już pochłonął trzy czwarte zawartości talerza.

W oczach Numeru Dwa malowała się bezbrzeżna ufność i Joe mało się nie zachnął. Musisz się do tego przyzwyczaić, upomniał się w duchu. Tak się składa, że to on stoi na czele zespołu i pociąga wszystkie sznurki. Próżno się łudzić, że ktoś go w tym wyręczy.

Chcąc zyskać na czasie, upił łyk wstrętnej kawy.

- Wrócimy na miejsce zbrodni i jeszcze raz przeczesemy teren. - Mówiąc to, odhaczał w głowie kolejne punkty. - Przejrzemy zebrane dowody i prześlemy co trzeba do laboratorium FBI. Zweryfikujemy zeznania świadków. - Mimo żarliwego skupienia, na twarzy Oave' a odmalowało się lekkie oszołomienie, dlatego Joe sprecyzował: - Sprawdzimy, czy rzeczywiście byli tam, gdzie mówią. Ewentualne nieścisłości pomogą nam zawęzić krąg podejrzanych.

- Kawy?

Kelnerka ponownie stanęła przy ich stoliku. Joe potrząsnął głową, kawa była gorzka jak żółć, Oave też nie wyraził ochoty na dolewkę. Joe już miał poprosić o rachunek, gdy kelnerka nieoczekiwanie utkwiała w nim badawczy wzrok.

- Zaraz, czy ty aby nie jesteś tym nowym szefem policji? - I z błyskiem w oku bez ceregieli zmierzyła go spojrzeniem.

- Owszem - odpowiedział, ze złudną nadzieją na darmowy posiłek. Bynajmniej nie zarabiał kroci i wychodził z założenia, że dolar zaoszczędzony dziś da mu większe pole do popisu jutro.

- Jesteś w telewizji, kotku - oznajmiła kelnerka. Musiał zrobić zdumioną minę, bo kobieta cofnęła się o krok, wskazując mały telewizor zamontowany na ścianie za kontuarem. Joe nie zwrócił wcześniej na niego uwagi, pewnie z uwagi na ściszony głos. Nadal nic nie słyszał, ale to, co zobaczył, sprawiło, że włosy zjeżyły mu się na głowie.

Ujrzał siebie, pogrążonego w rozmowie z Vince' em na ciemnym podjeździe Old Taylor Place, a w tle widać było owinięte prześcieradłem ciało Karen Wise, które właśnie pakowano do migającej światłami karetki. Zwłoki zabrano dopiero około wpół do drugiej nad ranem, dlatego bez trudu określił przybliżony czas nagrania. Sosny po lewej stronie oraz wielki dom za jego plecami świadczyły, że ekipa telewizyjna stała gdzieś w pobliżu ulicy. Panowało wówczas ogromne zamieszanie, ludzie kręcili się tam i z powrotem. Joe nie miał pojęcia, że komuś udało się przemycić kamerę.

Oto miał żywy dowód na to, że jednak.

- Hej, jesteśmy w telewizji - powiedział z wyraźnym zadowoleniem Dave. Joe nie zadał sobie trudu, aby go

po- i nformować, że zważywszy na okoliczności, wcale nie ma . się z czego cieszyć. Bez słowa podniósł się od stolika i podszedł do kontuaru. Usłyszał, że Oave i kelnerka idą za nim.

- Czy można zrobić głośniejsze? - spytał grubaska za ladą. Mężczyzna wytarł ręce w fartuch i spełnił jego prośbę. Ni stąd, ni zowąd ładna blondynka, która dotąd bezdźwięcznie poruszała ustami, odzyskała głos.

- ... tragiczny finał opowieści o duchach - mówiła. -Dziś w nocy w niejasnych okolicznościach zamordowano kobietę będącą członkiem ekipy telewizyjnej programu "Na tropie tajemnic", która przyjechała na wyspę w celu zbadania zbrodni sprzed piętnastu lat i rozwiązania zagadki śmierci Tary Mitchell oraz zniknięcia jej dwu koleżanek. Ciało zasztytowanej Karen Wise znaleziono kilka minut po zakończeniu programu, podczas którego podjęto próbę wywołania ducha pierwszej ofiary. Najbardziej przerażające jest to, że okoliczności dzisiejszej zbrodni do złudzenia przypominają wydarzenia sprzed piętnastu lat, co nasuwa pytanie: co się tutaj dzieje? Niebawem porozmawiamy z policją i spróbujemy uzyskać odpowiedź. Tymczasem ...

- Cholera - mruknął ze zgrozą Oave, który właśnie zdał sobie sprawę, że jego niezaprawiony w bojach odział czeka prawdziwy chrzest ogniowy.

Joe wyraziłby to nieco dosadniej. Zdążył już się przygotować psychicznie na artykuł w lokalnej gazecie: reporterka, która zjawiła się nocą w Twybee Cottage, pracowała dla "Porannych Wiadomości" z Savannah. Może to i prawda, że dobre wiadomości szybko się rozchodzą, ale złe rozchodzą się z

prędkością światła.

- Czyli mamy w okolicy mordercę? - Grubasek spojrział na Joego i potrząsnął głową. - To nie wróży dobrze dla interesów.

Złagodzony przez kawę tępy ból w skroniach odezwał się na nowo.

- Zerknij no na stoliki, Frank - poprosiła kelnerka. - Muszę zadzwonić do Pammy. To moja córka - rzuciła wyjaśniająco do policjantów. - Ten idiota jej mąż zawsze zapomina zamknąć drzwi na klucz, kiedy wychodzi rano do pracy. - Skierowała się na zaplecze, po czym przystanąła w pół kroku i położyła rękę na ramieniu Joego. - Macie go szybko złapać, kotku. Słyszysz, co mówię?

- Słyszę - odpowiedział Joe, tłumiąc gorycz. Następnie rzucił pieniądze na ladę i w asyście Dave'a wyszedł z baru, myśląc: diabli nadali.

9

Natępne dni były jednymi z najtrudniejszych w życiu Nicky. W poniedziałek wróciła do Chicago. We wtorek poszła do pracy, gdzie z jednej strony panował nastrój mi-norowy (po śmierci koleżanki), z drugiej zaś pełen radosnego podniecenia (ze względu na rozgłos wokół programu). W środę poleciała do Kansas City, rodzinnego miasta zamordowanej. W czwartek rano, wraz z pełną ekipą "Na tropie tajemnic", wzięła udział w pogrzebie Karen, a wieczorem tego samego dnia znalazła się z powrotem w swym chicagowskim mieszkaniu.

Za dziesięć jedenasta, wyczerpana i wyczuła z emocji, z ulgą wbiła się w stare spodnie od dressu, workowaty podkoszulek oraz szare, grube skarpetki (czyli swój ulubiony strój do spania), upięła włosy byle jak na czubku głowy, a na twarz nałożyła grubą, lśniąca warstwę kremu nawilżającego, którym ratowała skórę przesuszoną zbyt częstymi podróżami samolotem. Następnie usiadła po turecku na łóżku i z laptopem na kolanach wzięła się do przeglądania zaległej korespondencji.

Ale najpierw zapaliła wszystkie światła. Od niedzielnego wieczoru ciemności budziły w niej paniczny strach. Jeśli nie bała się potwora, który czyhał na nią za firanką, to słyszała głosy chóru upiorów.

Wiedziała, że w swoim mieszkaniu jest bezpieczna.

Siedziała za drzwiami z podwójnym zamkiem i łańcuchem, alarm funkcjonował jak należy, a od domu zgrozy, jak nazywała w myślach Old Taylor Place, dzieliło ją pięćset kilometrów.

Tutaj nic jej nie grozi. Nawet wspomnienia dawały się okiełznać, przynajmniej dopóki nie gasiła światła.

Otrzymała setki mejli, głównie od wielbicieli "Na tropie tajemnic", którzy mieli jej adres ze strony internetowej programu. Nicky czytała je jednym okiem, zezując drugim na telewizor, gdzie właśnie nadawano jedno z licznych wcieleń "Nieustraszonych" *. Nie śledziła treści programu, właściwie niezbyt za nim przepadała. Po prostu włączyła telewizor ponieważ była to jedna z nielicznych chwil, kiedy potrzebowała jego brzęczenia oraz złudnego poczucia, że nie jest sama.

Jej mieszkanie składało się z przytulnej, innymi słowy, małej sypialni na dwunastym piętrze (nazbyt drogiego apartamentowca, podobno z widokiem na jezioro Michigan). Czasami, w pogodny dzień, gdy Nicky pojechała na najwyższe piętro do siłowni i odrobinę wyężyła wyobraźnię, wydawało jej się, że widzi w oddali niebieską kreskę wody. Przeważnie jednak nie była pewna. Tak czy inaczej, wynajęła tę umeblowaną kłitkę na dopuszczalne minimum, czyli rok, ponieważ łaska widzów na pstrym koniu jeździ i nim nadejdzie sierpień, ona może znaleźć się bez pracy albo wylądować w innej stacji w innym mieście. W mieszkaniu znajdowało się wszystko, co najniezbędniejsze: wygodne łóżko w nijakiej, białej sypialni, gdzie nie mieściło się już nic więcej, wykafelkowana jasna łazienka oraz pomalowany na biało i wyłożony białym dywanem salon-jadalnia, gdzie można by ugościć około tuzina osób, pod warunkiem że stanęłyby naprawdę bar-

* Amerykański reality show "Fear Factor".

dzo blisko siebie. Nie żeby Nicky kiedykolwiek urządziła przyjęcia. Jeśli nie przebywała na jednym ze swych licznych służbowych wyjazdów, zwykle kładła się późno spać i wstawiała skoro świt.

Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że być może omija ją coś ważnego. W Chicago miała sąsiadów, z którymi wymieniała "dzień dobry" lub "dobry wieczór" w zależności od pory dnia, kiedy wpadali na siebie na korytarzu lub w windzie tudzież przekazywali sobie pocztę omyłkowo doręczoną pod zły adres. Miała też kolegów z pracy, garstkę znajomych oraz kilku facetów, z którymi umówiła się raz czy dwa, po czym doszła do wniosku, że te spotkania do niczego nie prowadzą i są dla niej tylko piątym kołem u wozu. Miała przyjaciół rozproszonych po całym kraju, w miastach, gdzie dawniej mieszkała i pracowała, kilku byłych chłopaków (z niektórymi nawet utrzymywała poprawne stosunki) oraz tylu krewnych, że dla zachowania równowagi psychicznej wolała ograniczyć kontakt z nimi do minimum.

Oto, z czego składało się jej życie. I takie je lubiła. Uporządkowane, nieskomplikowane, bez reszty

skupione na pracy i rozwoju. Pieniądze odłożone na czarną godzinę, przyzwoity dochód (przynajmniej dopóki "Na tropie tajemnic" nie zostanie zdjęte z ekranu), dzięki któremu mogła pozwolić sobie na dostatnie życie, a przy tym co nieco odłożyć.

Innymi słowy, jej życie stanowiło dokładne przeciwieństwo chaosu, pośród którego dorastała. Ojciec zginął, kiedy miała siedem lat. Od tamtej pory sytuacja w domu była równie zmienna jak sama Leonora. "Dar", jak nazywano jej paranormalne zdolności, miał nader kapryśną naturę i zwykle dawał o sobie znać bez uprzedzenia. Kiedy się ujawniał, matka zapomniała o sprawach prozaicznych, takich jak odebranie córek ze szkoły lub przypilnowanie obiadu na kuchence. Drzwi domu się nie zamykały, często też wzywano Leonorę do pomocy w szukaniu tropów. Jako młode dziewczyny Nicky i Livvy dowiadywały się z dnia na dzień, czy będą nocować w domu, czy może u Marisy po drugiej stronie wyspy albo u wuja Hama w Charlestonie. Mężowie i narzeczeni Leonory pojawiali się i znikali, a Nicky i Livvy nauczyły się do nich nie przywiązywać, gdyż często bywało, że budziły się rankiem i stwierdzały, że ostatni mężczyzna w życiu matki ulotnił się bez śladu.

Pieniądze też stawały się problemem. Niestety, bycie medium nie oznaczało stałych dochodów. Czasami, jak na przykład wtedy, gdy Leonora miała swój program, żyły jak pączki w maśle, ale zdarzało się też, że z trudem wiązały koniec z końcem. Gdyby nie Twybee Cottage, który Leonora i Ham odziedziczyli po rodzicach, dokąd zawsze można było uciec, pewnie wielokrotnie nie miałyby nawet dachu nad głową. Leonora była czułą i kochającą matką i Nicky uwielbiała ją nad życie, jednakże zamęt, który towarzyszył im na każdym kroku, nieodmiennie budził w niej instynktowny sprzeciw.

Dlatego postanowiła ułożyć sobie życie według ściśle określonego porządku, który nie przewidywał zbyt częstych wizyt w domu rodzinnym.

Samotność nigdy jej nie dokuczała. Aż do dzisiejszego wieczoru.

Dziś, siedząc na łóżku w swoim schludnym, przytulnym mieszkanku, ni stąd, ni zowąd poczuła się strasznie samotna. Nie mogła zrozumieć, w czym rzecz. Być może przedwczesna śmierć Karen w połączeniu ze świadomością, że jej własne życie też zawisło na włosku, uzmysłowiły jej brutalnie, że nie znamy dnia ani godziny. Może wciąż pamiętała strach, który owładnął nią tamtej nocy. A może po prostu zobaczyła o jednego ducha za dużo. Tak czy siak, czuła się w nietypowy dla siebie sposób rozbita wewnątrz.

Fajnie by było mieć z kim porozmawiać, przyszło jej do głowy. Pogadać o mejlach, podzielić się zgrzytotami minionego tygodnia albo zwyczajnie razem posiedzieć.

Kogoś szczególnego.

Snując powyższe rozmyślenia, doszła do wniosku, że brakuje jej w życiu drugiej połówki. Stałego chłopaka. Końcanka. Po prostu mężczyzny.

I wyobraziła sobie szczupłego, wysokiego, totalnie odłotowego bruneta ...

Jak Joe Franconi.

Skojarzenie nasunęło się samo, ale zaraz przegoniła tę myśl, zła na siebie.

Może powinnam sprawić sobie kotą, pomyślała z gorączką, gorliwie wlepiając wzrok w monitor laptopa.

- "... program był fantastyczny!" - zapewniał nadawca czytanego właśnie mejla.

Z lekkim uśmiechem przeszła do następnej wiadomości. - "... Leonora James jest ekstra. Jak mogłabym się z nią skontaktować?"

Prześle to pod adres matki, a konkretnie do Marisy. Leonora nie odpowiadała na mejle.

- "... pokażecie coś jeszcze? Zjawiska paranormalne są bardzo na czasie".

Miło, że tak uważasz, pomyślała Nicky, klikając kolejną wiadomość.

Do trzech razy sztuka, każdy wie,

Trzy razy śmierć odezwie się.

Troje związanych w życiu doczesnym

Rychło pogrąży się we śnie wiecznym.

Nicky zamrugała i raz jeszcze odczytała wiadomość.

Tym razem powoli.

Żadnego powitania i podpisu. Tylko wierszyk. Spojrzała na adres nadawcy.

"Łazarz508".

I poczuła, jak serce zamiera jej w piersi.

Łazarz, wskrzeszony z martwych. A 508 musiało symbolizować ósmy maja, dzień śmierci Karen.

I uświadomiła sobie ze wstrząsem, że wiadomość pochodzi od mordercy.

Sen uparcie nie przychodził, jak zawsze w chwilach wielkiego zmęczenia. Joe wiedział, że kryje się w tym pewna ironia, ale czuł się zbyt wykończony, aby ją zgłębiać. Był czwartek, a właściwie już piątek, jak pokazywał elektroniczny zegar na dekodерze kabłówki nad telewizorem, wskazujący dwunastą czterdzieści trzy. Joe od niedzieli harował niemalże na dwie zmiany. Wszyscy siedzieli mu na karku, od Vince'a, nalegającego na szybkie załatwienie sprawy, poprzez staruszki, dręczące go pytaniami typu: "Czy powinienem kupić sobie pieska?", po dziennikarzy, którzy rzucili się na morderstwo Karen Wise ze swadą znudzonych gryzi-piórków z syndromem sezonu ogórkowego. Dziś postanowił rzucić wszystko w cholerę i tuż po jedenastej wrócił do domu, gdzie po kolacji złożonej z chili w puszcze oraz hot dogów wziął prysznic i walnął się do łóżka.

Przed kwadransem stwierdził, że ma dość leżenia w ciemności i liczenia morderców zamiast baranów, po czym wstał. Leżał teraz na kanapie i skakał po kanałach, w nadziei że to pozwoli mu uspokoić myśli i zasnąć.

Wieczorny talk-show. .. Letterroan ... powtórka Seinfelda ... CNN (nie, sytuacja na świecie raczej nie działała usypiająco) ... kanał komediowy ...

Zadzwoiła jego komórka: - Zostawił ją w kieszeni spodni, przewieszonych przez krzesło w sypialni, przez co dźwięk dobiegł jakby z oddali. Joe zerwał się z kanapy i pognał boso i w bokserkach po drewnianej podłodze do większej ze swoich dwu sypialni. Po drodze grzmotnął palcem u nogi o framugę i klnąc, pokuśtykał w ciemny róg pokoju, gdzie królował wiekowy szezlong. Następnie porwał spodnie z poręczy, wyłowił z kieszeni telefon i otworzył go z rozmachem.

- Joe Franconi - warknął, wkurzony na bolący palec, bezsenność oraz swoje beznadziejne życie w ostatnim czasie i całkowicie obojętny na wrażenie, jakie ów ton wywrze na rozmówcy.

- Hm, cześć. - W głosie kobiety dało się słyszeć lekkie wahanie. - Obudziłam cię? Przepraszam.

- Nie spałem.

Usiadł na krzesło, po czym oparł kostkę na kolanie, by rozmasować bolący palec. Jeśli nie liczyć sonej poświaty telewizora, w całym domu panowały egipskie ciemności. W sypialni było jak w jaskini.

Nieopodał brzęczało małe urządzenie klimatyzacyjne, które osobiście kupił i zamontował w oknie (mieszkańcy wyspy Pawleys uważali klimatyzację za zbytek, czego kompletnie nie mógł zrozumieć).

- Czym mogę służyć?

- Mówi Nicky Sullivan.

Nicky Sullivan. Od ostatniej wizyty w domu jej matki robił, co mógł, żeby nie myśleć o Nicky.

- Cześć - powiedział.

- Wiem, że pracujesz nad sprawą Karen, więc pomyślałam, że powinnam ci powiedzieć o mejlu, jaki właśnie dostałam.

Próbował jej sobie nie wyobrazić (rude włosy, jedwabista cera, szczupłe ciało), ale gdzie tam. Był środek nocy, pewnie zdążyła się przebrać do snu. W jego myśli wkrał się wizerunek Nicky ubranej w czarną koszulę nocną, z gładkimi, rozpuszczonymi włosami i wydętym kusząco czerwonym dzióbkiem. Pozbycie się tego obrazu wymagało żelaznej samodyscypliny, jakiej nie powstydziliby się mistrz Jedi. Joe przypomniał sobie, że kiedy ostatnio widział ją przed snem, miała na sobie jaskraworóżowy bab-ciny szlafrok, ale to niewiele pomogło.

Najsmutniejsze było, że nawet wtedy wyglądała obezwładniająco.

- Tak? - spytał.

- No. Mam ci go przeczytać?

_ Jasne. - Pal sześć, że jej lekko ochrypli głos nasuwał mu szereg pikantnych skojarzeń.

~ "Do trzech razy sztuka, każdy wie, trzy razy śmierć odezwie się. Troje związanych w życiu doczesnym rychło pograży się we śnie wiecznym".

Joe wyprostował się na krzesło, stopa opadła na podłogę. Szukał sposobu, żeby oderwać myśli od swoich kłopotów, a Nicky właśnie mu go dostarczyła.

- Jeszcze raz.

Powtórnie odczytała tekst. Joe poczuł znajomy przyr-pływ adrenaliny. Zawsze był od niej uzależniony, podnie-cały go ryzyko i świadomość, że jeden niewłaściwy ruch może doprowadzić do śmierci.

Obecnie miał to za sobą, lecz organizm zareagował w typowy dla siebie sposób i nie mógł nic na to poradzić.

_ Nadawca to "Łazarz508" - podjęła Nicky, ewidentnie rozdrażniona jego brakiem reakcji. - No wiesz, ten z Biblii. Umarł, a potem został wskrzeszony. A 508 to pewnie ósmy maja, nie? Dzień, w którym zginęła

Karen.

_ Aha - odpowiedział Joe. - Rozumiem. Wysłałaś odpowiedź?

- N-nie.

_ To dobrze. I nie wysyłaj. Nie rób nic, dopóki tego nie przemyślesz. Zachowaj wiadomość, ale zostaw ją w spokoju. Gdzie jesteś?

_ U siebie w domu. W Chicago. - W jej głosie zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie. - Czy to ma znaczenie?

_ Może mieć. - Joe oparł się wygodnie o śliski zagłówek i przeniósł spojrzenie na okno. Przez zaciągnięte żaluzje prześwitywało rozgwieżdżone niebo. - Jeśli wiadomość rzeczywiście przysłał morderca, co uważam za

wielce prawdopodobne, oznaczałoby to, że skontaktował się z tobą po raz drugi.

Chwila ciszy.

- O czym to świadczy? - W głosie Nicky pojawił się cień niepewności.

- O niczym dobrym - odparł posępnie Joe. - Cieszę się, że jesteś w Chicago. Jakim cudem zdobył twój adres mejlowy?

- Nie wiem. Pewnie ze strony internetowej.

- Ale nie ma tam twojego adresu zamieszkania?

- Pewnie, że nie.

- To dobrze. Kiedy dokładnie otrzymałaś wiadomość?

- Znalazłam ją przed chwilą, ale została wysłana w poniedziałek o trzeciej siedemnaście nad ranem. Nie sprawdziłam poczty od ... - zawahała się na chwilę - ... niedzieli. - W poniedziałek o trzeciej siedemnaście nad ranem powtórzył z namysłem Joe. - Czyli kilka godzin po morderstwie. Byłaś jeszcze wówczas na wyspie, prawda?

- Tak.

- I mieliśmy twoją komórkę. - Zatrzymał jako dowód jej telefon z wiadomością od mordercy, podobnie jak rzeczy, które miała na sobie w chwili ataku. Nicky nie protestowała. Odniósł wrażenie, że po odsłuchaniu wiadomości prędzej schowałaby do torebki węża. Podobnie rzecz się miała z podartym, poplamionym krwią ubraniem. Wygląda na to, że wysłanie mejla było wówczas jedyną formą kontaktu.

- Chyba tak.

- Pytanie tylko, kto wiedział, że zabraliśmy ci telefon.

Cisza.

- A bo ja wiem? Mnóstwo ludzi. Moja rodzina, większość współpracowników, policjanci. Nie robiliśmy z tego tajemnicy.

- Fakt. - Z perspektywy czasu zrozumiał, że najprawdopodobniej należało postąpić inaczej. Za późno. - Masz

nowy telefon, tak? - Z nowym numerem; policja monitorowała stary na wypadek gdyby morderca ponownie nabrał ochoty na pogawędkę. Dotąd na próżno.

- Tak.

- I co? - Pewnie by mu powiedziała, gdyby coś się wydarzyło, ale ...

- I nic.

Joe zastanawiał się przez chwilę, rozważając poszczególne hipotezy.

- Rozumiesz przesłanie tego wierszyka, prawda? - spytała po chwili Nicky. W jej głosie wyraźnie zabrzmiał niepokój. - Planuje zabić trzy powiązane ze sobą osoby, i to w krótkich odstępach czasu. Zupełnie jak wtedy ... jak z Tarą Mitchell i jej przyjaciółkami.

- Rozumiem - rzucił nieco oschle Joe.

- Zabił Karen. To oznacza ... - Umilkła.

- Zostały jeszcze dwie - uzupełnił Joe.

- Tak - odpowiedziała. Usłyszał w słuchawce jej oddech. - Wydaje mi się, że ... to ja miałam być drugą ofiarą. - Na to wygląda.

- Czy dlatego do mnie napisał? - spytała pospiesznie.

- Czy twoim zdaniem znowu spróbuje na mnie napaść?

Trudne pytanie. Była wyraźnie przestraszona. Wiedziony naturalnym instynktem opiekuńczym (sam się zdziwił, że jeszcze go ma) Joe chciał ją zapewnić, że nic z tych rzeczy, że jest bezpieczna i nic jej nie grozi. Niestety, wrodzona szczerowość skutecznie mu to uniemożliwiła. "Troje związanych w życiu doczesnym" sugeruje, że pozostałe dwie ofiary będą znały pierwszą. Tylko jak rozumieć owo "rychło"? Brzmi cokolwiek mgliście. Nicky została zaatakowana w ciągu kilku minut od pierwszego morderstwa ...

Przypadkowo, dlatego że niechcący weszła w pułapkę mordercy, czy może według ściśle określonego planu? Nie wiadomo. Jednego tylko Joe był pewien: jeśli wiadomość istotnie pochodziła od przestępcy (było to bardzo duże "jeśli"), Nicky miała poważne powody do obaw. I drugiej strony nie trzeba utwierdzać jej w tym, co już wie. Będzie ledwie żywa ze strachu.

- Być może - odparł wymijająco. - Nie jestem ekspertem od psychopatycznych morderców.

Nastąpiła chwila ciszy.

- To super - odpowiedziała.

Jej ton sprawił, że Joe uśmiechnął się mimowolnie.

- Wiem tylko, że ten rodzaj przestępców funkcjonuje w obrębie tak zwanej strefy bezpieczeństwa. Zwykle nie zapuszczają się dalej niż parę godzin jazdy samochodem od domu. Jeśli przyjmujemy, że mamy do czynienia z mordercą sprzed piętnastu lat, co na tym etapie jest dość śmiałym założeniem, raczej mogę zaryzykować stwierdzenie,

że to ktoś z okolicy. Innymi słowy, nie musisz się martwić, że w najbliższym czasie zapuści się do Chicago.

- Chyba że jesteś w błędzie.

Znowu ten ton. Niezupełnie sarkazm, ale coś w tym rodzaju.

- No tak, zawsze istnieje takie prawdopodobieństwo.

- Na ustach Joego ponownie zamajaczył uśmiech. - Jesteś sama?

- Tak.

- Proponuję zatem, abyś zamknęła się na cztery spusty.

- Dzięki. Sama bym na to nie wpadła.

Joe roześmiał się w głos.

- Nie, naprawdę myślę, że nic ci nie grozi. Chicago leży daleko stąd, a o ile mi wiadomo, seryjni mordercy rzadko bywają amatorami podróży lotniczych.

Znowu chwila milczenia.

- Czyli uważasz, że to seryjny morderca?

- Na to wygląda.

- Ale po co wydzwania i wypisuje te listy? - W głosie

Nicky ponownie zabrzmiał strach i Joe spowaźniał. Znowu zapragnął dodać jej otuchy, ale nie mógł.

- Nie wiem. Niektórzy lubią się przechwalać, może to ten typ. Może zna cię z telewizji i czuje się z tobą w jakiś sposób związany. Albo czuje się z tobą związany, ponieważ waży mu się wymknąć.

Mówiąc to, Joe zauważył coś kątem oka i odruchowo przeniósł wzrok w róg pokoju. Zamajaczyła tam męska sylwetka, która następnie zniknęła w drzwiach salonu. Joe skrzywił się, po czym wbił wzrok w sufit, rozmyślnie ignorując cienie. Ignorowanie tego, czego nie chciał widzieć, stopniowo weszło mu w nawyk.

- Albo uważa, że mogłabym go rozpoznać.

- Możliwe.

Prychnęła niecierpliwie.

- Czy masz choćby blade pojęcie, kto to może być?

- Statystycznie rzecz biorąc, seryjni mordercy to przeważnie biali mężczyźni między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Poza tym nie sposób wskazać żadnych cech szczególnych.

- Gdzieś ty to wyczytała? - W głosie Nicky pobrzmiewało lekkie oburzenie.

- Wyszukiwarka to świetna sprawa.

- Wrzuciłeś seryjnych morderców do wyszukiwarki? -

Tym razem nie było mowy o lekkim oburzeniu. Nicky była jawnie zgorzonna.

- Od czegoś trzeba zacząć.

- Żartujesz ... prawda? - Niepewnie zawiesiła głos.

Joe nie żartował, przynajmniej nie do końca, w związku z czym postanowił uchylić się od odpowiedzi.

- Może. Czy mogłabyś mi przesłać ten mejl?

- Tak - odrzekła z ulgą, jakby wzięła owo "może" za dobrą monetę. - Jaki masz adres?

Joe podał jej adres, po czym, chcąc przeciągnąć rozmowę, która niechybnie zmierzała już ku końcowi, wystrzelił ni z gruszki, ni z pietruszki:

- Jak twoje siniaki?

- Lepiej. Mam megaśliwkę.

- Wcale się nie dziwię. - Zmarszczył brwi. - A rana od noża?

- Goi się. Śwędzi jak diabli.

- To dobrze.

- Podobno.
- Wróciłaś już do pracy?
- Owszem.

Pytania mu się wyczerpały, zresztą dla własnego dobra powinien jak najszybciej się pożegnać i odłożyć słuchawkę. Nicky była może tym, czego domagało się jego dawne ja, lecz obecne ja powinno obejść się smakiem. Na dodatek mieszkała w Chicago, podczas gdy Joe ugrzązł w rajcu.

I koniec pieśni.

- No cóż, będę oglądał twój program.
- Dzięki.

Gdy cisza przeciągnęła się tak, że pożegnanie wydawało się nieuniknione, Nicky ponownie się odezwała:

- No, a jak tam śledztwo?

Po raz pierwszy miał okazję powiedzieć jej prawdę.

- W porządku.

- Macie do pomocy federalnych czy coś w tym stylu?

"Nadzieja wiecznie w sercu zakwita", pomyślał odruchowo Joe. Po serialach typu "Prawo i porządek" oraz "C SI!" wszyscy naiwnie zakładają, że stada wysoce wyspecjalizowanych detektywów spieszą natychmiast na miejsce zbrodni jak nie przymierzając pszczoły do ula. Akurat.

- Morderstwa zwykle podlegają jurysdykcji miejscowej policji, czyli w tym wypadku mnie i pozostałym. Federalni biorą udział w sprawie o tyle, że przesłaliśmy im kilka próbek do przebadania.

- Jakich próbek?

• Alexander Pope, "An Essay On Man".

- Na ciele ofiary znaleźliśmy parę włosów ewidentnie należących do kogoś innego. Było też coś pod paznokciami. Mam nadzieję, że to fragmenty tkanki, może próbowała go podrapać, uzyskalibyśmy dzięki temu DNA. Możliwe jednak, że to po prostu ziemia. Odciski stóp i takie tam.

- Znaleźliście ślady stóp?

Joe skrzywił się odruchowo. Właściwie to kiedy doszło do zbierania dowodów, odcisków namnożyło się tyle, że szkoda gadać. W ogólnym zamieszaniu, gdy dookoła zaroilo się od sanitariuszy i policjantów, żeby nie wspomnieć o tłumach przypadkowych gapiów, miejsce zbrodni zostało doszczętnie zadeptane. Udało się wszakże wyodrębnić jeden ślad pod sosnami: na oko pochodził od męskiego sportowego buta. Pozostałe tylko sfotografowali, w tym wypadku zrobili również gipsowy odlew, który następnie wysłano do laboratorium FBI wraz z pozostałymi dowodami.

- Kilka.

- Czy ... - Nicky niepewnie zawiesiła głos - ... Karen została wykorzystana seksualnie?

- Nie. - Wyniki sekcji były w tej kwestii jednoznaczne.

- Tak samo jak Tara Mitchell.

- Wiem. - Joe poświęcił kilka godzin na porównanie obu raportów. Istniało sporo podobieństw: liczne rany klute, obcięte włosy, miejsce zbrodni, ale też dostrzegł różnice. Na przykład twarz Tary Mitchell została zmasakrowana, natomiast twarz Karen Pozostała nietknięta, co mogło jednak wynikać z tego, że morderca nie zdążył dokończyć dzieła.

- Ustaliliście, kto krzyczał? - pytała dalej Nicky. - Mam na myśli końcówkę programu.

Joe rozmyślnie przybrał ton udawanego zdziwienia.

- A więc to nie był duch?

- Sęk w tym, że sama nie wiem. - Nie dała się sprowokować i w jej głosie słyszał autentyczną rezygnację.

- Sporo o tym myślałam przez ostatnich kilka dni. Czy nie uważasz, że to mogła być Karen?

Sam się nad tym zastanawiał, właściwie od chwili, kiedy

zobaczył pod sosnami martwą kobietę. Czasowo wszystko do siebie pasowało. Wszyscy przesłuchiwani byli zgodni, że Karen po raz ostatni widziano żywą w kuchni, gdy wychodziła do ogrodu, aby odebrać telefon. Było to jakieś sześć i pół minuty wcześniej, zanim wieczorną ciemną rozdarł krzyk.

Zakończenie rozmowy z Sidem Levi-nem, który potwierdził, że Karen przez cały czas mówiła normalnie, poprzedzało upiorne odgłosy o minutę i pięćdziesiąt osiem sekund. Joe uzyskał te dane na podstawie zapisu z taśm telewizyjnych: wszystko wskazywało na to, że krzyczała Karen. Przeprowadził następnie eksperyment, ustawiając Dave' a w różnych miejscach na terenie Old Taylor Place i każąc mu wrzeszczeć ile sił w płucach, sam natomiast nagrywał to w różnych pomieszczeniach w domu, lecz żaden z wrzasków nie dorównywał mocą mrożącemu krew w żyłach finałowi liNa tropie tajemnic". Należało jednak wziąć pod uwagę, że Dave nie był kobietą znajdującą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

_ A bo ja wiem - odparł. - Nie mamy co do tego pewności. Powiedziała byś mi, gdyby ten krzyk był

częścią programu, prawda?

Usłyszał, jak Nicky z sykiem wciąga powietrze. Irytacja nie pozostawiała wątpliwości.

- Już ci mówiłam ...

_ No wiem, wiem. - Joe wpadł jej w słowo. - Musiałem się upewnić, to wszystko. Naprawdę, nie mam pojęcia, kto to mógł krzyczeć.

_ Może powinienes bardziej się postarać. - Irytacja ustąpiła miejsca zjadliwości.

_ Mam taki zamiar - odrzekł pojednawczo.

_ Jeśli chcesz wiedzieć, moja matka jest prawdziwym medium - oznajmiła po chwili Nicky. Nadal sprawiała

wrażenie nieco zacierzwionej. - Odbiera fluidy nie dostępne dla innych.

- Chcesz powiedzieć, że rozmawia ze zmarłymi. - Jeśli w głosie Joego zabrzmiało powątpiewanie, był to czysty zbieg okoliczności. Robił, co mógł, aby nadać mu obojętny ton.

- Owszem.

- Czy mógłbym wobec tego poprosić cię o przysługę?

- O co chodzi?

- Poproś w moim imieniu, by zagadnęła ducha Karen Wise o nazwisko mordercy, dobrze? Oszczędzi mi to sporo czasu i wysiłku.

Cisza, która wionęła ze słuchawki, była wręcz naszpikowana urazą.

- To nie było śmieszne. - Głos Nicky brzmiał tak, jakby mówiła przez zaciśnięte zęby.

Chcąc nie chcąc, Joe uśmiechnął się szeroko. Może i nie było, ale i tak bawił się wyśmienicie. Prawdę mówiąc, od dawna nie miał takiej frajdy.

- Wybacz.

- Odkładam słuchawkę.

Aż się zdziwił, jak bardzo tego nie chciał.

- Nie zapomnij wysłać mi tego mejla.

- Nie zapomnę. Dobranoc.

- Nicky ...

- Co?

- Ale jeśli twoja matka wejrzy w zaświaty, dasz mi znać, dobrze?

W odpowiedzi usłyszał kolejny syk i głośny trzask. Zakończyła połączenie. Uśmiechnięty Joe zrobił to samo. W dawnych czasach nie mógłby się oprzeć, żeby z nią

nie poflirtować. Ale dawne czasy minęły bezpowrotnie i na szczęście dla dobrych intencji Joego Nicky przebywała w Chicago, a co za tym idzie, poza jego zasięgiem.

Usiłując sobie wmówić, że to się dobrze składa, przeszedł przez salon do kuchni, gdzie stał na stole jego kom-

puter. Blask księżycy wpadał przez nie osłoniętą szybkę w górnej części drzwi, nadając podrapanym blatom i wysłużonym dębowym szafkom niemal reprezentacyjny wygląd. Urządzenia kuchenne były białe i tanie, podłogę wyłożono linoleum imitującym lastryko, a prostokątny, ciemny stół z czterema krzesłami, zajmujący honorowe centralne miejsce w pomieszczeniu kosztował całe dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów na promocji w Wal-Marcie.

Podobnie jak reszta domu, jednego z małych, jedno-piętrowych budynków mieszkalnych wzniesionych pośrodku wyspy, kuchnia prezentowała się najlepiej przy zgaszonym świetle. Ale to nie dlatego Joe nie zadał sobie trudu, by je zapalić: po prostu swobodnie poruszał się po ciemku i światło nie było mu do niczego potrzebne.

Zwłaszcza że jego zapalenie bynajmniej nie eliminowało tego, co w mroku zatruwało mu życie.

Gdzie tam.

Ignorowanie ruchliwych cieni przyczajonych po kątach stało się względnie łatwe, uznał siadając przy stole. Zapalił papierosa, włączył komputer i sprawdził pocztę. Ignorowanie Briana ...

- Kimkolwiek jest, poeta z niego do bani - odezwał się nagle zza jego pleców Brian, który najwyraźniej też czytał wiadomość od Nicky.

... sprawiało mu więcej trudu. Tamten pojawiał się ni z tego, ni z owego w zgoła najmniej spodziewanych momentach, przy czym wyglądał i gadał kropka w kropkę jak za życia. Kiedy Joe z ociąganiem opowiedział lekarzom o tych wizytach, tamci jęli na wyścigi przepisywać mu leki mające ukrócić owe halucynacje, po czym bezradnie rozłożyli ręce i skierowali go do cholernego psychiatry. Joe był wówczas tak rozstrojony nagłym pojawianiem się i znikaniem nowego kumpla, że bez ogródek wyłożył kawę na ławę i wyznał wszystko potakującemu współczująco lekarzowi. Kiedy jednak zrozumiał, dokąd

zmierza

(zaczęto traktować go jak wariata, który wskutek szoku pourazowego kwalifikuje się w najlepszym wypadku do pracy za biurkiem), doznał olśnienia.

Jeśli chciał powrócić do normalności, o służbie nie wspominając, musiał wziąć się w garść i zaakceptować wszystkie aspekty swego obecnego życia, z uwzględnieniem Briana, cieni i tym podobnych atrakcji.

Mając to na uwadze, powiedział psychiatrze, pozostałym lekarzom oraz wszystkim, którym w swej głupocie wyznał prawdę, że Brian i cienie wreszcie dali mu spokój.

Psychiatra okazał wielkie zadowolenie, przypisując to skuteczności obranych metod leczenia. Lekarze również nie szczędzili Joemu słów uznania, biorąc zniknięcie Briana za oznakę niechybnego powrotu do zdrowia. W jego wydziale też zapanowała wielka radość, gdyż zawsze uchodził za dobrego policjanta i wciąż nie brakowało ludzi, którzy mimo zaistniałych okoliczności trzymali jego stronę.

Tym sposobem dochrapał się ciepłej posadki na sennej wysepce. Gdy uzmysłowił sobie własne położenie i zrozumiał, że nie odzyska dawnego stanowiska, parę osób pościągnęło za sznurki i wylądował na Pawleys. I tak w wieku trzydziestu sześciu lat przeszedł na emeryturę.

Nie żeby miał coś przeciwko temu. Przeciwnie, owa relegacja do rajy była mu wówczas bardzo na rękę.

Powolne tempo życia, niezbyt wymagająca praca, słońce, morze i plaża, a na niej skąpo odziane laski w bikini... Żyć nie umierać. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent kumpli z Jersey dałoby się pokroić za taką fuchę. Słyszał to za każdym razem, kiedy z nimi rozmawiał, co ostatnio zdarzało się coraz rzadziej.

Lecz, szczerze powiedziawszy, zaczynał się nudzić jak mops.

Drukując kopię mejla, który przesłała mu Nicky (bez choćby głupiego "cześć" albo "miło było z tobą pogadać",

co świadczyło, że jest naprawdę wkurzona) Joe z ociąganiem spojrzawszy w oczy: raj też może się okazać pojęciem względnym.

Bez względu na Briana (czyli ducha, halucynację albo nie wiadomo co), zaczynał stawać na nogi.

Najpierw Nicky, a potem morderstwo sprawiły, że krew na nowo zaczęła mu krążyć w żyłach. Ponownie zakosztował podniecenia, które niegdyś było mu równie niezbędne jak powietrze, i na nowo odkrył to, co wiedział od lat, a mianowicie że nie

może bez tego żyć.

Czekaj, szukałem czegoś - zaproponował Brian, kiedy Joe przystąpił do wyłączania komputera. Protest ów, wyimaginowany lub nie, lecz naprawdę rzeczowy, uświadomił Joemu, że w chwili gdy czekał na wydruk mejla od Nicky, na monitorze przeskakiwały kolejne wiadomości.

Zgrzytając zębami, wcisnął ostatni guzik i ekran zgasł.

Gdyby nie widział Briana martwego, pomyślał ze złością, wprost nie mógłby uwierzyć, że ten nie stoi przed nim równie namacalny i wkurzający jak za życia.

Ale Joe widział go martwego, co oznaczało, że Brian nie mógł siedzieć teraz wraz z nim w kuchni. Dlatego jak gdyby nigdy nic wstał z krzesła i sięgnął po wydruk.

Dołączy go do akt, które przyniósł z biura, a potem wróci do ...

W tej samej chwili zauważył, że ktoś stoi na jego podwórku.

10

Owrócił raptownie głowę, dostrzegając kątem oka za drzwiami jakiś ruch, błysk światła na metalowym przedmiocie. Może to był fałszywy alarm, ale Joe poczuł kolejny ożywczy przypływ adrenaliny. Zgasił papierosa i cicho jak kot podkradł się do drzwi.

Ostrożnie wyjrzał przez szybkę, omiatając wzrokiem zalane księżycowym blaskiem podwórko wielkości znaczka pocztowego. Otoczone rozchwianym, drewnianym płotem zapewniałoby może nieco

prywatności, gdyby nie brak połowy sztachet; Joe planował się tym zająć, odkąd wprowadził się tu pięć miesięcy wcześniej. A tak mieszkańcy trzech sąsiednich posesji (dwóch po bokach i jednej na tyłach

domu Joego) mieli widok na jego niepozorny spłachetek gruntu, którego jedną piątą zajmował "ganek", czyli podłużny, wąski i niski podest z desek. Tuż za nim był "teren zielony", gdzie trawowodocieniu

banknotu dolarowego walczyła o supremację z gęstwiną wysokich chwastów i niedobitkami bylin

posadzonych przez dawnego właściciela. W północnej części ogrodu rosła dziko kępa wysokich słoneczników, a w rogu kulilo się najeżone kolcami i pozbawione owoców trio jeżyn. Po południowej

stronie podwórza, tuż za gankiem, panoszył się szerniawy kauczukowiec o guzłowatym pniu i niskich, rozłożystych gałęziach, które częściowo zasłoniły Joemu widok.

Ale nie ulegało wątpliwości, że ktoś tam jest. Mężczyzna (szedł o zakład, że ma przed sobą mężczyznę) stał przy krzakach jeżyn i pochylał się nisko, z pewnością knując coś niedobrego. Joe widział w mroku

tylko jego zgarbioną sylwetkę na tle wyszczerbionego ogrodzenia. Pomyślał o pistolecie leżącym na stoliku nocnym przy łóżku oraz o broni służbowej, ukrytej w schowku terenówki. Ale nie było czasu do stracenia: wyprawa do sypialni oznaczałaby utratę cennych sekund, które pozwoliłyby intruzowi. na ucieczkę.

Dlatego nie pozostawało mu nic innego jak otworzyć drzwi i wysunąwszy głowę na zewnątrz wrzasnąć: "Hej, ty tam! Stój!" - z nadzieją, że przeciwnik jest nieuzbrojony.

Mężczyzna podskoczył jak oparzony.

- O w mordę! - wykrztusił, obracając się twarzą do drzwi.

Wykrzyknik okazał się zbyt cichy, gdyż Joe od razu dostrzegł, kto to.

- Jezu, Dave, po cholere łazisz nocą po moim ogrodzie? - spytał z niesmakiem, kiedy Numer Dwa ruszył dziarsko w jego kierunku. - Masz szczęście, że cię nie kropnąłem.

- Zawołałbym, ale nie chciałem cię budzić - rzucił przepaszając Dave. Joe zmrużył oczy i zobaczył, że u boku kolegi, na wysokości jego kolana drepcze coś długiego i okrągłego jak baryłka. - Ale pewnie i tak nie spałeś; co?

- Raczej nie - odparł posępnie Joe, nie spuszczać wzroku z towarzysza Dave' a. - O co chodzi?

- No, ekhem ... w sumie to o Amy. - Dave wszedł na ganek. Jego okrągły przyjaciel uczynił to samo. Deski zaśkrzyptały pod ich ciężarem. - Doszło do pewnego, hm, wypadku i wściekła się nie na żarty.

Powiedziała, że albo ona, albo Cleo. Dlatego przyprowadziłem tu Cleo na dzień lub dwa, dopóki Amy nie ochłonie. Pomyślałem sobie, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

- I tu żeś się, chłopie, pomylił. - Cleo, czyli Cleopatra, ukochana świnia Dave' a. To właśnie ona przydreptała tu u boku swego pana, lecz dzień lub dwa w jej towarzystwie nie wchodziły w rachubę.

Rajski krajobraz i rajski krajobraz ze świnia w tle to dwie różne rzeczy.

- Proszę cię, Joe. Amy powiedziała, że jeśli wrócę do domu z Cleo, wyrzuci mnie na zbity pysk.

Joe wytrzeszczył oczy na swego zastępcę. Dave spoglądał na niego błagalnie, a jego okrągła twarz była niewinna jak u dziecka. Miał na sobie coś, co wyglądało jak bawełniana piżama w bliżej nie określonym ciemnym kolorze, na którą narzucił koszulę. Na nogi wsunął buty, noszone na co dzień do pracy.

Wyglądał tak głupkowato, że aż litość brała.

- Wejdz. - Joe odszedł na bok, po czym twardo zmierzył wzrokiem Cleo. Była szarawo-czarna, miała klapnięte uszy i zakręcony ogonek. Widząc, że w ślad za swoim panem zamierza przekroczyć próg, nieustępliwie zastąpił jej drogę. Popatrzyła na niego oczkami jak czarne paciorki, w których (gotów był przysiąc) błysnęło coś na kształt inteligencji. - Świnia zostaje na zewnątrz. - I zatrzasnął zwierzęciu drzwi przed nosem. - Zaczekaj chwilę - rzucił pod adresem Dave' a i zapalił światło. Jego zastępca zamrugnął, a kuchnia ukazała się w całej swej wątpliwej krasie. - Zaraz wracam.

Pobiegł do sypialni, żeby się ubrać, i odnotował przy okazji z zadowoleniem, że Brian gdzieś zniknął. Oto główna cecha kontaktów z zaświatami: były one całkowicie nieprzewidywalne. Żadnej prawidłowości. Gdyby należał do ludzi, którzy łatwo tracią panowanie nad sobą, owa sytuacja kosztowałaby go sporo nerwów.

Najgorsze zaś było to, że nie miał zielonego pojęcia, co z tym począć. Jakkolwiek by na to spojrzeć, mógł jedynie uciec się do egzorcyzmów.

- Piwko? - spytał posępnie Dave, kiedy Joe ponownie zjawił się w kuchni, ubrany w podkoszulek i dzinsy. Siedział przy wolnej części stołu, tuląc butelkę bud lighta. Rzeczywiście, był ubrany w piżamę z granatowej bawełny, zapinaną na białe guziki. Joe nie miał pojęcia, że coś takiego jeszcze znajduje się w sprzedaży. - W lodówce jest pełno.

- Aha. - Nieważne, że częstowano go jego własnym piwem z jego własnej lodówki. Wyjął sobie butelkę.

- Miłość jest do dupy, nie? - Dave pociągnął łyk piwa. Zawartość jego flaszki zniknęła w zastraszającym tempie, jednakże Numer Dwa sprawiał wrażenie tak przybitego, że Joe poczuł przyływ litości.

- Chcesz o tym pogadać? - Z butelką piwa w ręku oparł się o blat i przygotował na długie wynurzenia.

Rola ojca spowiednika nie bardzo mu odpowiadała, lecz związek Dave' a z Amy przypominał związek płotki z rekinem. Po kilku tygodniach tego mrożącego krew w żyłach spektaklu Joe poczuł, że nie może dłużej się ograniczać do roli biernego obserwatora.

- Amy twierdzi, że Cleo się na nią rzuciła.

Brawa dla świni! - chciał zawołać Joe, ale w porę ugryzł się w język. I tylko ograniczył się do zdawkowego:

- Tak?

Dave pokiwał głową i z miną zbitego psa przełknął potężny haust piwa.

- Amy wróciła późno z pracy i weszła do domu tylnym wejściem, żeby nikogo nie obudzić. Cleo spała w kuchni i chyba wzięła ją za włamywacza, gdyż Amy twierdzi, że została brutalnie zaatakowana.

Owe "późne powroty z pracy" od dawna budziły podejrzenia Joego, toteż twardo trzymał stronę świni.

- Tak? - powtórzył z braku lepszej odpowiedzi. Dave wypił kolejny łyk piwa.

- Spałem jak suseł, gdy nagle obudziły mnie wrzaski i przekleństwa Amy oraz kwiczenie Cleo. Nie uwierzyłbyś, ile hałasu narobiły obie. Wskoczyłem z łóżka, pognąłem do kuchni i patrzę, a tu Amy skacze po stole i drze się

jak opętana, podczas gdy Cleo stoi na tylnych nogach i oparta przednimi o blat usiłuje ją ugryźć.

Potrząsnął głową na samo wspomnienie, a Joe uśmiechnął się mimowolnie.

- Proszę bardzo, możesz się śmiać ile wlezie. Nie krępuj się. - Uśmiech nie uszedł uwagi Dave' a, który w odpowiedzi zdobył się tylko na krzywy grymas. - To dopiero był widok, mówię ci. Dzieci wpadły z krzykiem do kuchni, Amy darła się wniebogłosy, ja też, a biedna Cleo była tak przerażona, że wskoczyła na stół obok Amy.

Joe nie wytrzymał i wyszczerzył zęby z uciechy.

- Amy musiała być w siódmym niebie - skomentował, kiedy Dave pociągał z butelki kolejny krzepiący łyk.

- A jakże. - Dave przewrócił oczami. - Wrzasnęła, jakby ją obdzierali ze skóry i zeskoczyła. Poślizgnęła się, siadła z rozmachem na podłodze i walnęła łokciem o krzesło. To przesądziło sprawę. Cleo musi odejść, powiedziała. Pomyślałem sobie, że jeśli na chwilę wyprowadzę Cleo na zewnątrz, Amy da się udobruchać, ale gdzie tam. Powiedziała, że albo ona, albo świnią.

Joe z trudem zachowywał powagę. - Kto by pomyślał?

- Prawda? - Dave skrzywił się, pociągnął z flaszki i wybuchnął: - No jasne, mogła się wkurzyć, jej prawo. Ale przecież Cleo nie rzuciła się na nią tak po prostu, nie jest taka. Poza tym nie spałaby w kuchni, gdyby bachory ... uhm, dzieci Amy, nie bujały się na' furtce i nie wyrwały jej z zawiasów. Sam wiesz, że zawsze śpi na podwórku. - Spojrzał błagalnie na Joego. - Miałem naprawić tę furtkę zaraz z samego rana. A tu proszę.

Joe potrząsnął głową.

- Typowe, nie?

Dave popatrzył na niego zmrużonymi oczami.

- Pewnie to dla ciebie zabawne, ale mnie tam nie jest do śmiechu. Amy kazała mi wybierać. Co mam robić?

Joe z namysłem pociągnął łyk piwa.

- Jak długo mieszkasz z Cleo? - spytał.

- Jakies osiem lat.

- A jak długo mieszkasz z Amy?

- Jakiś miesiąc.

- No to sprawa jest jasna.

Dave wytrzeszczył na niego oczy.

- Chcesz powiedzieć, że mam się pozbyć Amy? Joe wzruszył ramionami.

- Chyba że chcesz się pozbyć Cleo.

- Nie mogę - jęknął Dave. - Przejdzie jej, potrzebuje tylko trochę czasu. Jeśli przechowasz Cleo dzień lub dwa ...

- Nie - oznajmił kategorycznie Joe. Do czasu przeprowadzki na południe jego jedyną formą kontaktu z wieprzowiną było obmacywanie schludnie owiniętych folią paczek w supermarkecie. I niech tak zostanie.

- Wykluczone. Wybacz, stary, ale świnię to nie moja specjalność.

- Ależ to żadna filozofia - argumentował Dave. - Po-mieszka sobie na twoim podwórku i już. Będę przychodził, karmił ją i sprzątał. Nawet nie zauważysz, że tu jest. - Nie - powtórzył niezłomnie Joe. - Wybij to sobie

z głowy.

- Amy zagroziła, że mnie wyrzuci, jeśli z nią wrócę.

- Przecież to twój dom.

- Wiem, ale przecież jej tego nie powiem. Chyba wskoczyłaby przez sufit.

Joe w milczeniu popatrzył na swego zastępcę.

- Posłuchaj, stary, czy kiedykolwiek przeszło ci przez myśl, że ty i Amy nie zupełnie do siebie pasujecie?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Głupawy - to za mało powiedziane.

- No więc, ona jest... - Joe urwał, szukając taktownego określenia na to, co zamierzał powiedzieć. Zabawa w starszego brata jakoś średnio mu odpowiadała. Nie był w tym dobry) wcale nie chciał być.

- Ekstra? - podpowiedział Dave.

Joe zdecydowanie nie to miał na myśli. Chodziło mu raczej o "zużyta", ale nie chciał być niedelikatny. Niech będzie "doświadczona".

- Bardziej doświadczona niż ty. Dave prychnął.

- A kto nie jest? - Joe musiał zrobić niepewną minę, gdyż Dave po namyśle dodał rozżalonym tonem: - Gdybyś nie zauważył, kobitki raczej się nie palą, żeby mnie przedstawiać mamusi. Mam szczęście, że ktoś taki jak Amy w ogóle się mną zainteresował.

To ona ma szczęście i na bank doskonale o tym wie, miał na końcu języka Joe, ale w porę się powstrzymał. Wolał nie brnąć w zażyłość, jaką narzuciłaby podobna wymiana zdań. - To co, zgodzisz się, żeby Cleo pomieszkała u ciebie dzień lub dwa? - spytał z nadzieją Dave, mylnie interpretując jego wahanie.

- Nie - odpowiedział Joe. - Poproś kogoś innego.

- Kiedy nie ma nikogo innego. No bo kto? Większość kumpli ma żony, dzieci, psy, rodzinę. Rodziny nie bratają się ze świniami.

- To zupełnie tak jak ja.

- Daj spokój, Joe. Jesteś jedynym znanym mi samotnym facetem, który ma ogrodzone podwórko. Zresztą jesteś mi winien przysługę, pamiętasz?

- Że co proszę?

- Pamiętasz te dwie pijane laski przy barze Linneya? Rzygały na parkingu i ktoś musiał odwieźć je do domu radiowozem, tak? Wziąłem to na siebie, a ty powiedziałeś "Jestem ci winien przysługę."

Pamiętasz?

- Tak się tylko mówi, durniu.

- Tylko dzisiaj - błagał Dave. - Żebym mógł wrócić do domu. Jutro czegoś poszukam, dam słowo.

- Na miłość boską, .. no dobrze, tylko dzisiaj. Ale powtarzam, tylko dzisiaj.

- Dzięki, stary. - Dave zerwał się i skoczył w jego stronę. Joe zląkł się, że zgodnie z pradawnym południowym zwyczajem zamknie go w niedźwiedzim uścisku, więc zaryzykował wbrew swojej naturze rzucić się do ucieczki, na wszelki wypadek wyciągnął rękę. Dave potrząsnął nią żarliwie. - Jestem ci do gębki wdzięczny, naprawdę. Gdybyś czegoś potrzebował, daj tylko znać, a masz to jak w banku. Pójdę sprawdzić, czy wszystko u niej gra, a potem spadam. - Naraz zmarszczył brwi, jakby coś sobie przypomniał. - Czy ty aby nie miałeś wcześniej iść spać? Po cichu liczyłem na to, że do rana nic nie zauważysz.

- Tak, miałem - uciął oschle Joe. - Ale coś mi wyskoczyło. Opowiem ci rano.

- W porządku. - Dave ruszył do drzwi, aby jak najszybciej wrócić do domu. Rozwiązanie problemu, a raczej przerzucenie go na Joego, sprawiło mu wyraźną ulgę.

- Jedną chwilkę - powstrzymał go Joe. - Co mam robić, jeśli zgłodnieje czy coś w tym stylu?

- Och, spokojna głowa. Postawiłem jej na podwórku korytko i pojemnik z wodą. Jak już mówiłem, myślałem, że będziesz spał. Chciałem zostawić ci kartkę.

- To dopiero byłaby miła niespodzianka po przebudzeniu.

Ale Dave był już za drzwiami i ta ironiczna uwaga przeszła bez echa.

Zegar na kuchence mikrofalowej wskazywał pierwszą trzydzieści osiem.

To by było na tyle w kwestii wczesnego pójścia spać. Joe nie czuł się zmęczony. Ściśle rzecz biorąc, był zbyt zmęczony i nakręcony, a w głowie miał mętlik, który towarzyszył mu od chwili, gdy sobie uzmystowił, że sprawa morderstwa Karen Wise spoczywa głównie na jego barkach. Metoda plus okazja plus motyw równa się podejrzenie, lecz problem polegał na tym, że po pierwsze nie znaleziono broń, po drugie kupa ludzi miała okazję do popełnienia zbrodni (krąg podejrzanych obejmował właściwie wszystkich mieszkańców wyspy z wykluczeniem tych, którzy przebywali w obrębie Old Taylor Place i których alibi udało się w miarę - zweryfikować), co do motywu zaś mogło chodzić o wszystko. Albo o nic. Psychopata na wolności stanowił najstraszniejszą, aczkolwiek nie jedyną hipotezę.

Zwyrodnialec (o ile rzeczywiście była to sprawka mordercy Karen Wise, co na obecnym etapie stanowiło tylko założenie, założenia zaś bywają niebezpieczne, gdyż często przysłaniają nam prawdę) wysłał mejle do Nicky. Joe i tak już pracował pod presją psychiczną, a teraz jeszcze to. Był pewien, że w Chicago nic jej nie grozi, ale ...

Ale wiadomość niosła groźbę dwóch kolejnych morderstw. I to ściśle ze sobą powiązanych. Cokolwiek to, do cholery, znaczyło, na pewno nie wróżyło nic dobrego. Joe gorączkowo chwycił teczkę, wyjął z niej wydrukowaną wiadomość, zmarszczył brwi i spróbował ją odczytać, po czym zrozumiał, że nie może: wyrazy zlewały mu się przed oczami.

W pierwszej chwili niemal wpadł w panikę, ale zaraz sobie uświadomił, że to zmęczone oczy po prostu

odmawiają mu posłuszeństwa, i strach minął.

W przeciwieństwie do pulsującego bólu w skroniach.

Spójrz prawdzie w oczy, upomniał się w duchu. Po pięciu nocach bez odpoczynku potrzebował choć paru godzin snu, aby móc normalnie funkcjonować. Jeśli nie zaśnie, będzie bezużyteczny.

Wzbraniał się, jakby miał tym samym dać za wygraną i przyznać się do porażki. Ale w przeciwnym razie ...

Idąc boso w stronę łazienki, nie dokończył ostatniej myśli. Łazienka była mała, brzydka i spartańska.

Wszystko, począwszy od pokrytych kafelkami ścian poprzez umywalkę, sedes i wannę, miało zielonkawy odcień wymiocin. W ramach miłego dla oka kontrastu podłogę wyłożono drobną mozaiką szarych, białych i różowych płytek, a fragment wolnej ściany dokoła wiszącej szafki obklejono tapetą w kwiatowy deseń utrzymany w tonacji różu i zieleni. Zamiast tradycyjnej zasłony prysznicowej wokół wanny zamontowano rozsuwane drzwi z oszronionego szkła, ozdobione sporymi, plastikowymi stokrotkami.

Któryś z dawnych właścicieli wyraźnie przedkładał bezpieczeństwo nad doznania estetyczne.

Brzydka czy nie, łazienka stanowiła jego własność i funkcjonowała bez zarzutu, a w końcu o to przecież chodziło. Otworzywszy szafkę, Joe wyjął opakowanie pigułek nasennych, przepisanych mu przez lekarza.

Minęło ponad półtora roku, a pudełeczko wciąż było niemal pełne.

W ciągu kilku pierwszych tygodni po powrocie do domu, kiedy dręczyła go bezsenność, zażywał tabletki sułmiennie, noc w noc. Powtarzał sobie, że potrzebuje snu, bo tylko dzięki niemu jego ciało szybko powróci do zdrowia. Lecz tak naprawdę szukał wyłącznie zapomnienia, owej czarnej dziury, w którą zapadał na kilka godzin, z dala od myśli, wspomnień i wyrzutów sumienia.

Z chwilą gdy to sobie uświadomił, przestał je brać. Co się stało, to się nie odstanie. Nie pozostawało mu nic innego, jak zmierzyć się z prawdą i nauczyć się z nią żyć.

Teraz jednak potrzebował snu, a znał siebie dość dobrze, by wiedzieć, że dziś w nocy zapewnią mu go tylko małe, żółte pigułki.

Koniec autoanalizy, oznajmił twardo w duchu, po czym bez dalszych ceregieli wrzucił tabletkę do ust i popił ją wodą z kranu. Następnie wyłączył światła i telewizor, sprawdził drzwi i zrzuciwszy ubranie, legł na łóżku z otwartymi oczami, rękami pod głową i wzrokiem utkwionym w sufit w oczekiwaniu na sen. Nie chciał, by cokolwiek rozpraszało jego uwagę.

Następnego ranka punktualnie o ósmej Nicky zjawiła się w swoim gabinecie na trzecim piętrze siedziby firmy Santee Productions i z rezygnacją wciągnęła w nozdrza znajomy zaduch. Określenie "gabinet" było pewnym nadużyciem, gdyż jej miejsce pracy raczej zasługiwało na miano izdebki. Beżowa klitka z grafitową wykładziną, biurkiem wbudowanym w trzy ściany i zamontowaną ponad nim na całej długości półką. Na biurku, wykonanym z beżowej płyty pilśniowej, widniał niezbędny do pracy ekwipunek, w skład którego wchodziły komputer, skaner, drukarka, dwa telefony oraz kilka ustawionych w rzędzie segregatorów. Na korkowej tablicy obok komputera widniały ostatnie notowania z jej programem w czerwonym kółku. Na półce, również z beżowej płyty pilśniowej, toczyły się kasety wideo oraz zestaw przenośnych telewizorów, na wypadek gdyby postanowiła oglądać kilka programów jednocześnie, jak miała w zwyczaju gdy, dajmy na to, działa się coś ważnego. Pod biurkiem stał przepiękny kosz na śmieci. W czwartej ścianie, tej z drzwiami, mieściło się również okno. Bardzo ładne, duże okno z zasłonkami w beżowo-grafitowe paski i roletą. Jego jedynym minusem było to, że niestety nie wychodziło na zewnątrz. Ale za to dawało świetny widok na korytarz dzielący jej pokój od pozostałych pomieszczeń. Tych z oknami z prawdziwego zdarzenia.

W Santee Productions, czyli firmie produkującej "Na tropie tajemnic" oraz wiele innych programów telewizyjnych, pokoje rozdzielano według ściśle określonej hierarchii wewnętrznej. Nicky szybko dała sobie sprawę, że jej izdebka wskazuje na jeden z najniższych szczebli. Ekipa "Na tropie tajemnic" dostała do dyspozycji najmniej efektywne pomieszczenie na trzecim piętrze, co miało uzmysłowić członkom, że są nic nieznaczącymi trybikami potężnej maszyny nastawionej na wymierne efekty pracy. Uważne spojrzenie na notowania potwierdziło, że "Na tropie tajemnic" zajmuje siedemdziesiątą ósmą pozycję. Niedobrze, ale i tak lepsze to niż osiemdziesiąte dziewiąte miejsce z ubiegłego tygodnia. Jesienią spadło z pozycji czterdziestej drugiej, ale firma postanowiła nie rezygnować z tego programu, ponieważ (a) jego wyprodukowanie nie wymagało większych nakładów i (b) nie było nic, co można by wcisnąć na to miejsce.

Ale jeśli Nicky nie wymyśli czegoś w krótkim czasie, jej szanse na gabinet z oknem nie będą wyglądały najlepiej.

Na szczęście dla swojej samooceny spędzała w tej klitce niewiele czasu. Przeważnie była w rozjazdach,

zbierając materiały do programu, albo na spotkaniach, albo na dole w studiu, co bardzo jej odpowiadało. Był to najlepszy sposób, by uniknąć depresji lub klaustrofobii.

Zabierz mnie stąd, CBS, westchnęła w duchu.

- Witaj, Nicky. Dobrze się czujesz? - Pytanie padło z ust Carla Glovera. Nawet nie musiała się odwracać: zawsze i wszędzie rozpoznaby ten aksamitny głos. Jako jeden z pozostałej dwójki reporterów i prezenterów (oprócz Heather Haney), Carl był zarazem jej współpracownikiem i największym rywalem. Nicky schowała torebkę do szuflady, gdzie zwykle ją przechowywała, po czym z uśmiechem zwróciła się do Carla który, z niewyruszoną wdziękiem opierał się o framugę. Wysoki i postawny, był mniej więcej jej rówieśnikiem. Jak zawsze prezentował się nienagannie, w granatowym garniturze w prążki, który musiał kosztować fortunę, białej koszuli i błękitnym krawacie, idealnie dobranym pod kolor oczu, które właśnie lustrowały ją uważnie.

I dość pożądliwie zresztą. Nawet nie zadał sobie trudu, by to ukryć.

- Ależ naturalnie - odrzekła niezupełnie zgodnie z prawdą. Lecz mimo swego ujmującego wizerunku Carl był prawdziwym wężem, ba, rekinem, i okazanie mu słabości równałoby się wyrokowi śmierci. - A ty?

- Och, ja czuję się fantastycznie. - Obdarzył ją pro miennym uśmiechem. - Ale ty wyglądasz okropnie.

Może powinnaś wziąć parę dni urlopu? No wiesz, żeby dojść do siebie.

No dobra, pomyślała Nicky, odpowiadając mu chłodnym spojrzeniem. Może i wyglądała okropnie: dokoła lewego oka widniała żółto-fioletowa otoczka, a ładnie skrojony czarny kostium przykrywał inne siniaki i zadrapania. Na dodatek wczoraj nie mogła zasnąć, w związku z czym miała pewnie worki pod oczami i zmarszczki wokół ust. Lecz Carl bynajmniej nie dbał o jej samopoczucie. Gra toczyła się o wysoką stawkę, on zaś nie zamierzał łatwo odpuścić. Czy ten nieznośny egoista naprawdę myśli, że Nicky nie wie, co w trawie piszczy? Jeśli weźmie urlop, Carl rozpanoszy się na całego, podobnie zresztą jak Heather, i razem zawłaszczą sobie cały czas antenowy. Chyba że Carl postanowi wpełznąć tę ostatnią pod samochód.

- Nie masz aby nic do roboty? - zapytała.

- Właściwie to mam. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej i w geście kpiącego pozdrowienia uniósł rękę do czoła. _ Kwadrans po ósmej mam spotkanie z Sidem. Czółko.

Odwrocił się i poszedł. Kosztowało ją wiele wysiłku, by nie okazać mu swojej wściekłości. Przylazł tu tylko po to, żeby jej zmącić błogi nastrój poranka. Wspomniany Sid był Sidem Levinem we własnej osobie, a spotkanie w jego biurze równało się niemalże królewskiej audiencji. Nicky zmrużyła oczy. Carl nigdy nie robił nic bez powodu i jego niby to niewinna wizyta zapewne również miała ukryty cel. Pytanie tylko, jaki? Stała chwilę nieruchomo, po czym uznała, że nie odgadnie tego. Jeśli sprawa rzeczywiście jej dotyczyła, dowie się wszystkiego w swoim czasie.

Usiłując nie myśleć o Carlu, zajęła się zwykłymi obowiązkami, po czym od razu natknęła się na kolejny problem. Zwykle rozpoczynała dzień od wycieczki po kawę i sprawdzenia poczty elektronicznej. Ale dziś było inaczej. Dziś nie czuła się na siłach, żeby to zrobić, ponieważ ekspres do kawy znajdował się w południowej części korytarza i po drodze musiałaby minąć pokój Karen.

Po prostu nie mogła. Jeszcze nie. Wstrząs, jakiego doznała po jej śmierci, począł z wolna ustępować, ale ból i niedowierzanie wciąż dawały o sobie znać. Kiedy w ubiegły piątek Nicky wybrała się po kawę, Karen wyjrzała ze swojej klitki i poszły razem. Rozmawiały o wyjeździe na wyspę Pawleys. Karen była taka podekscytowana ...

Nicky przymknęła oczy, odpędzając tamto wspomnienie. Nieoczekiwanie ogarnęła ją przemożna pokusa, żeby jak najszybciej wyjść z tego budynku. Mogła wykorzystać zaległy urlop i wrócić do domu, aby (używając sformułowania Carla) dojść do siebie. Jednakże myśl o Carlu, Heather i bezwzględnych realiach telewizji kazała jej porzucić ten pomysł. Przyszła do pracy i tu zostanie; nie pozostawało jej nic innego, jak tylko znaleźć sobie jakieś absorbujące zajęcie. Rozpamiętywanie przeszłości nie ma sensu. Co się stało, to się nie odstanie.

I choć ganiła się w duchu za tę myśl, brutalna prawda była taka, że życie (a "Na tropie tajemnic" wraz z nim) płynęło dalej.

Jakby na potwierdzenie owej refleksji zewsząd dobiegały odgłosy porannej krzątania. Rozgadani ludzie szli korytarzem, po drodze nawołując do siebie przez otwarte drzwi. Dzwoniły telefony, mruzczały telewizory. Żarówka nad głową Nicky zaiskrzyła nieco za metalową kratką, jakby się miała zaraz przepalić. Zaszumiął włączony komputer. Myśl o sprawdzeniu poczty budziła w niej instynktowną niechęć (w głowie wciąż kołatała jej wiadomość od Łazarza508), ale Nicky nie miała innego wyjścia. Jak się okazało, jej obawy okazały się bezpodstawne.

Rzuciwszy okiem na spis wiadomości, nie stwierdziła niczego niepokojącego. Jeśli nie liczyć mejla od

niejakiego jfranconi@pawleysisland.gov.

"Dziękuję. Ja też życzę ci dobrej nocy", przeczytała.

Podpisano: "Joe".

Gdy stojąc tyłem do drzwi, czytała list po raz drugi, ktoś wszedł do jej biura.

- Nicky. Nie byłam pewna, czy cię zastanę. Naprawdę, gdybyś nie przyszła dziś do pracy, nikt nie miałby do ciebie pretensji.

Pochłonięta lekturą Nicky o mało nie podskoczyła, ale na szczęście w porę się opanowała. Idiotycznie zakłopotana wiadomością, która nieoczekiwanie przybrała nieco zbyt osobisty charakter, pośpiesznie wyłączyła skrzynkę odbiorczą i z uśmiechem zwróciła się do Sarah Greenberg. Kierowniczką produkcji "Na tropie tajemnic" była rzeczową kobietą tuż po pięćdziesiątce, o krótkich ciemnobrązowych włosach i piwnych oczach. Jako osoba zza kamery nie walczyła na siłę z upływającym czasem, w związku z czym nie robiła problemu ze zmarszczek oraz paru dodatkowych centymetrów w talii i biodrach. Tego dnia miała na sobie czarne spodnie, błękitny sweter i wygodne półbuty na płaskim obcasie.

- Nic mi nie jest - zapewniła ją Nicky. Zaczynała traktować te słowa nieomal jak mantrę. Jeszcze parę powtórzeń i może sama w nie uwierzy.

- Miło mi to słyszeć - odparła dziarskim tonem Sarah.

- Nawiasem mówiąc, niedzielne wydanie specjalne miało najlepsze notowania tej wiosny, więc jeszcze raz przyjmij moje gratulacje. Twoja matka była obłądna. Myślę, że jeszcze nieraz zaprosimy ją do współpracy.

- Dzięki. Na pewno jej to przekażę.

- No cóż, nie będę owijać w bawełnę. Przyszłam, żeby ci coś przekazać: Sid chce cię jak najszybciej widzieć u siebie.

- Serio? - Nicky wykazałaby większy entuzjizm, gdyby nie fakt, że naczelny szef zaprosił na rozmowę również Carla. Poza tym w minie Sarah było coś ...

Zmarszczyła brwi.

- O co chodzi?

Kierowniczką produkcji potrząsnęła głową.

- Sid ci powie.

Tknięta strasznym podejrzeniem Nicky zmartwiła ze strachu.

- Boże, chyba nas nie zdjęli, co?

Na twarzy Sarah pojawił się lekki uśmiech.

- Aż tak źle nie jest, ale nic więcej ze mnie nie wyciągniesz. Idź, idź porozmawiać z Sidem.

Sarah była nieugięta i dalsze wypytywanie jej wydało się Nicky nie na miejscu. Ale bezsprzecznie coś się działo. Rozważając w myślach roz1p.aite hipotezy, pojechała windą na najwyższe piętro, jednak po drodze ani trochę nie rozjaśniło jej się w głowie.

Cokolwiek miało się zdarzyć (Boże, czyżby chcieli ją zwolnić?), przyjmie to z podniesioną głową i ściśniętym żołądkiem.

- Może pani wejść. - Recepcjonistka zaanonsowała Nicky szefowi i łaskawie skinęła głową.

Nicky podziękowała, po czym zerknęła w wiszące za biurkiem lustro w mosiężnej ramie. Włosy w porządku, makijaż też, a kostium spełniał trzy główne wymogi stroju do pracy: wyglądał profesjonalnie, nie rzucał się w oczy, a zarazem podkreślał figurę. Nicky wzięła głęboki oddech, po czym minęła recepcjonistkę, otworzyła drzwi i przestąpiła próg jaskini.

Jeżeli rozmiary gabinetu stanowiły wyznacznik statusu właściciela, Sid był najwyraźniej panem tego konkretnego wszechświata. Rozmiar pomieszczenia zapierał dech w piersi, a umieszczone w trzech ścianach gigantyczne okna wychodziły na drapacze chmur oraz kaniony ulic wielkiego miasta. Na zewnątrz niebo było szare i zachmurzone, lekki deszcz stukał o szyby. Tymczasem wewnątrz jarzeniowe światło stwarzało ciepły, przytulny nastrój. Na

puszystym, kremowym dywanie ustawiono wygodny komplet wypoczynkowy, składający się z dwu olbrzymich kanap z grafitowym obiciem oraz czterech jasnoszarych krzeseł otaczających szklano-mosiężny stół wielkości sporej wanny. Dalej znajdowały się dwa granatowe, skórzane fotele z wygiętymi oparciami, stojące przodem do wielkiego finału, czyli biurka. Był to drewniany klocek z ciemnego, połyskliwego drewna, wielkości stołu bilardowego, i najprawdopodobniej kosztował majątek. Za biurkiem, w ramach kropki nad i, siedział pan tego królestwa we własnej osobie.

- Nicky, jak miło cię widzieć - odezwał się serdecznie Sid, po czym wstał i obszedł biurko, żeby podać jej rękę.

Jego kanciasta twarz o ostrych rysach rozjaśniła się w uśmiechu. Mówił z akcentem ze środkowego

zachodu i sprawiał wrażenie, jakby po drodze z prowincji utknął na południowych przedmieściach Chicago*. Nicky doświadczyła się pocztą pantoflową, że miał pięćdziesiąt cztery lata, obecnie drugą żonę oraz piątkę dzieci, z których najstarsze było dorosłe, a najmłodsze chodziło do przedszkola. Niecały metr osiemdziesiąt wzrostu, średnia budowa ciała, nieco zgarbione ramiona i lekki brzusek, a do tego czarne włosy gęsto przetykane siwizną i łagodne szare oczy za okularami w stalowych oprawkach. W jego twarzy przede wszystkim przykuwały uwagę brwi: czarne i włochate jak gąsienice, prawie stykały się nad nosem. Poza tym miał mocno zarysowaną szczękę, zaczątki łysiny na czole i ziemistą cerę od ciągłego przebywania w zamkniętych pomieszczeniach. W zestawieniu z wymiętym, szarym garniturem wyglądał jak przeciętny urzędnik państwowy.

Nic bardziej mylnego.

* część miasta zamieszkiwana przez biedniejszą, czarnoskórą populację

W Santee Productions uchodził niemalże za króla. Był głównym producentem nie tylko "Na tropie tajemnic", ale również jedenastu innych programów należących do firmy. To oznaczało, że mógł przyjmować i zwalniać pracowników właściwie bez żadnych ograniczeń. Mógł ciąć budżety i podcinać ludziom skrzydła. Mógł też, jeśli przyszła mu na to ochota, wywindować upatrzoną osobę na sam szczyt. Nicky spotkała go cztery razy: pierwszego dnia pracy, kiedy osobiście powitał ją w zespole, na przyjęciu bożonarodzeniowym, na pogrzebie Karen i teraz.

Gdy podawali sobie ręce, z jednego z granatowych foteli wstał Carl. Patrzył na Nicky z uśmiechem, co - jak wiedziała z doświadczenia - nie wróżyło nic dobrego. Powitała go zdawkowym skinieniem głowy, a wtedy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- O co chodzi? - Gdyby nie obecność Carla, dalej świdrującego ją drapieżnym spojrzeniem, rzucone pod adresem Sida pytanie zabrzmiałoby może nieco mniej obcesowo.

- Siadaj, siadaj. - Sid wskazał jej krzesło, po czym ponownie usadowił się za biurkiem. Nicky najchętniej by sobie poszła, ale bez protestów przycupnęła na brzeżku najbliżej stojącego fotela. Carl rozsiadł się na zajmowanym dotychczas sąsiednim krześle.

Nie mogą zobaczyć, że się pocisz.

Mając na uwadze to stare, ale zawsze słuszne porzekadło ludowe, Nicky dyskretnie wciągnęła powietrze w płuca (to miejsce nawet pachniało pieniędzmi, zauważyła mimochodem), po czym usiadła wygodnie na fotelu, oparła ręce na gładkich podłokietnikach i założyła nogę na nogę.

W dziedzinie mowy ciała nie da się pobić Carlowi, o nie. Ha, może nawet zagrać chłodną powściągliwość.

- A więc. - Sid płaśnął dłońmi o biurko i nachyliwszy się do przodu, utknął spojrzenie w Nicky. - Przede wszystkim chciałbym ci pogratulować wydania specjalnego. Naprawdę stanęłaś na wysokości zadania, co widać w rankingach oglądalności.

- Dziękuję. - Mimo dziarskiej miny Nicky czuła, że stąpa po niepewnym gruncie. Niecierpliwie czekała na ciąg dalszy, usiłując nie wbijać przy tym paznokci w skózaną tapicerkę i nie wymachiwać stopą.

- Przykro mi to mówić - podjął Sid - ale śmierć panny Wise wzbudziła olbrzymi rozgłos. Agencja prasowa wykorzystała materiały z lokalnej gazety i puściła je w obieg, przez co trafiły do wielu tytułów. Mówiono o tym w wiadomościach wieczornych oraz paru innych programach informacyjnych, w tym nawet jednym czy dwóch, których nie jesteście właścicielami. - Uśmiechnął się lekko. Biorąc to za przejawy jego poczucia humoru, Nicky blado odwzajemniła uśmiech. - W Internecie roi się od spekulacji. Ludzie dopatrują się powiązań z wcześniejszym morderstwem oraz zniknięciem tamtych nastolatek, do tego seans spirytystyczny ... to była twoja matka, prawda? Zrobiła istną furorę. Na domiar wszystkiego ty, nasza reporterka, też zostałaś zaatakowana i uszłaś z życiem, abyś osobiście zdać nam relację z tego, co się stało ... no po prostu bomba. To ci dopiero temat. Możemy go jakoś rozwinąć. Nasi widzowie błagają o jeszcze. - Urwał i popatrzył na Nicky, jakby oczekiwał odpowiedzi.

Jestem pewna, że Karen byłaby dumna ze swojego wkładu w sukces zespołu, pomyślała Nicky, ale nie byłaby to zbyt dyplomatyczna uwaga. Sid wydawał się kompletnie niezrażony tym, że traktuje śmierć Karen jako okazję do poprawienia notowań.

- To było straszne - powiedziała tylko w nadziei, że tyle wystarczy.

Sid pokiwał głową, jakby wygłosiła Bóg wie jaką mądrość.

- Istotnie. I nie waż się myśleć, że nie zrobimy, co w naszej mocy, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Jednakże biorąc pod uwagę małomiasteczkowe realia i nieporadność prowincjonalnej policji, nie możemy liczyć na znalezienie sprawcy, chyba że sami o to zadamy. Musimy przycisnąć funkcjonariuszy. Patrzeć im, jak to się mówi, na ręce. Chcę, aby "Na tropie tajemnic" śledziło przebieg dochodzenia. Nasz reporter przez całą dobę ma być na miejscu i współpracować z policją, dzięki czemu widzowie zyskają bezpośredni wgląd w śledztwo. W kolejnych dwóch programach poświęcimy temu

piętnasto-minutowe segmenty, maksymalnie nagłośnimy sprawę, dorzucimy wstawki w innych programach, no wiesz, na zasadzie łączonej promocji, a potem walniemy całogodzienne podsumowanie, podczas którego rozwiążemy zagadkę morderstwa. W ostatnim tygodniu przed sezonem ogórkowym. Jezu, co to będzie za promocja. Osiągniemy zawrotne wyniki.

Na samą myśl poróżniali na twarzy, oczy mu rozbłysły. Jeśli człowiek rzeczywiście mógłby puchnąć z dumy, Sid Levin uczyniłby to właśnie w tej chwili.

Nicky nie podzielała jego entuzjazmu. Cel zaproszenia na górę Olimp stał się aż nadto oczywisty. Sid chciał, żeby wróciła na wyspę Pawleys, tam gdzie zginęła Karen, a ona sama cudem uszła z życiem. Chciał, by ponownie naraziła się na niebezpieczeństwo, stawiała czoło strasznym wspomnieniom i naraziła na szwank i tak już poważnie nadwierzona psychikę.

Wszystko po to, żeby zwiększyć oglądalność.

- Trzy tygodnie to chyba za mało, żeby znaleźć mordercę - zauważyła możliwie neutralnym tonem.

Zwilgotniały jej ręce, a żołądek zacisnął się niebezpiecznie.

Nie może tam wrócić. Nie teraz. Może nawet już nigdy. Zrobiło jej się słabo na samą myśl.

Sid niedbale machnął ręką.

- Grunt, żeby ludziom coś rzucić, jakąś teorię, profil sprawcy, może kolejną sesję z twoją matką ... proszę, jaki

świetny pomysł. Nieważne, co im pokazemy. Grunt, żeby włączyli telewizory.

Nie dam rady.

Słowa pojawiły się nie wiadomo skąd. Nicky przełknęła je, zanim wydobyły się z gardła, ale i tak rozbłysły w jej głowie jaskrawym neonem.

Łazarz508 będzie na nią czekał na wyspie. Czują to przez skórę, wiedziała ...

Zacisnęła zęby, tłumiąc gwałtowny przyływ paniki.

- Zbladłaś, Nicky. Dobrze się czujesz? - spytał Carl. Zerknęła w jego stronę. Nachylał się ku niej z niepoko-

jem na twarzy. Ktoś, kto nie znał go zbyt dobrze (na przykład Sid), mógł wziąć takie zachowanie za przejaw prawdziwej troski ..

Ale ona znała Carla na wylot.

- To prowadzi do innej kwestii, którą chciałem poruszyć - podjął gładko Sid, również nie odrywając wzroku od jej twarzy.

Nicky usiłowała zrobić nieprzeniknioną minę. Ostatecznie już osiem lat spędziła w telewizyjnej dżungli, obcując z nieznanymi litości drapieżnikami. W branży wprost się od nich roiło. Byli dosłownie wszędzie, gotowi podgryźć gardło tym, którzy naiwnie dadzą ku temu okazję.

Nie da nic po sobie poznać, nie ma mowy.

- Mianowicie? - zapytała.

- Pomysł był od początku do końca twój i możesz być pewna, że twoje wysiłki zostaną docenione. Lecz biorąc pod uwagę wszystko, przez co musiałaś przejść, nie mogę od ciebie wymagać nic więcej. Dlatego przekazuję to zadanie Carlowi.

11

- Słucham? - Nicky zerwała się z fotela. - Nie! Nie możesz tego zrobić!

- Czuję, że się zdenerwujesz - zaczął Sid, ale zaraz urwał, gdy Nicky oparła się oburącz o biurko i nachyliła w jego stronę.

- Zdenerwuję? Ależ ja nie jestem zdenerwowana. Jestem wściekła! - wrzasnęła, czując przelotną satysfakcję na widok wytrzeszczonych oczu szefa, który cofnął się odruchowo, jakby chciał możliwie zwiększyć dzielący ich dystans. - To mój temat!

- Ale ... rzecz w tym, że ... tak będzie bezpieczniej - tłumaczył Sid, gwałtownie mrugając powiekami, najwyraźniej zaskoczony jej gwałtowną reakcją. - Po ... poza tym Carl ma większe doświadczenie w sprawach kryminalnych ...

Nicky odwróciła głowę i spojrzała na Carla. Patrzył na nią z lekkim niepokojem na twarzy. Taa, gdyby nie błysk satysfakcji w jego bezwzględnych oczach, byłaby prawie skłonna uwierzyć w ten niepokój.

Ów błysk dał jej co nieco do namysłu. Carl wiedział o wszystkim od samego początku. Ba, pewnie robił co mógł, żeby ją wygrać. Urobił Sida jak plastelinę. W sumie można się było tego spodziewać. Knął, intrygował i podkładał świnię, jak to Carl.

No dobrze, może napaść na wielkiego szefa nie była najlepszym wyjściem z sytuacji, zwłaszcza gdy w grę wchodziła jej kariera zawodowa. Podstępny jak wąż Carl nie zawaha się przed niczym, by odpowiednio

wykorzystać śmierć Karen. Jeśli chodziło o Nicky, osobiście uważała, iż żerowanie na tak potwornej tragedii jest nie do pomyślenia. To niegodne i odrażające. Perspektywa powrotu na wyspę Pawleys przyprawiała ją o dreszcze i niósła groźbę traumy psychicznej, o zagrożeniu nie wspominając. Teoretycznie Nicky nie chciała mieć z tym nic wspólnego.

Lecz jeśli się wycofa, Carl chętnie ją zastąpi.

Z trudem hamując gniew, ponownie skierowała spojrzenie na Sida ..

- Dorastałam na wyspie Pawleys - odrzekła z wymuszonym spokojem. - Znam Old Taylor Place, czyli miejsce zbrodni, jak własną kieszeń: w dzieciństwie wielokrotnie bywałam tam z rodzicami. Znam tam niemal wszystkich mieszkańców. Moja matka, czyli medium, z którym chcecie dalej współpracować, ma tam dom. W dodatku jest moją matką - Oparła się pokusie, by łypnąć na Carla. - Czy Carl reprezentuje sobą coś, co może się z tym równać?

- Karen Wise została zamordowana, a ty nieźle obejrwałaś - zauważył nieszczęśliwym tonem Sid. - Nie możemy ryzykować, wysyłając cię tam ponownie.

- Co będzie, jeśli morderca znów cię zaatakuje? - wtrącił Carl. Wychylił się do przodu, zaciskając palce na kolanach, i przeniósł uwagę na Sida. - Jestem nie tylko bardziej doświadczonym reporterem, ale i facetem. Żaden maniackalny morderca kobiet nie odważy się ze mną zadrzeć.

- Mam swoje wpływy. Ty nie - odparowała Nicky, obrzucając go wściekłym spojrzeniem. - Nie myśl sobie, że mieszkańcy wyspy chętnie się przed tobą otworzą. Nit' znasz miejscowych układów, nie wiesz co i jak. A jeśli myślisz, że moja matka urządzi dla ciebie seans, grubo się mylisz. - Przeniósła wzrok na Sida. - Nie robi tego. Już moja w tym głowa.

- Takich jak ona jest na pęczki - burknął Carl. - Albo i jeszcze więcej. A co do "wplywów", wystarczy solidny warsztat dziennikarski. Wiedziałaabyś o tym, gdybyś go miała.

- Czyżby? - Nicky wzięła się pod boki i popatrzyła na niego z uśmiechem. Nie był to przyjazny uśmiech. - Mam swoje źródło w policji, co daje mi dostęp do informacji, o jakich ci się nawet nie śniło. Nikt inny nie będzie miał takiej możliwości.

- Ona łże - zakomunikował Sidowi Carl.

- On bredzi - poinformowała szefa Nicky.

Sid uniósł dłoń zakończoną pulchnymi palcami, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

- Odwaliłaś kawał dobrej roboty - powiedział do Nicky. - Naprawdę nie mam się do czego przyczepić, a wydanie specjalne przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Nie traktuj tego jako karę, nic z tych rzeczy. Chcę, żebyśmy się dobrze zrozumieli. Po prostu chodzi o zapewnienie ci bezpieczeństwa, a zarazem dostarczenie naszym widzom możliwie jak najwięcej informacji.

Na twarzy Carla odmalowała się satysfakcja. Nicky, dla której przemowa Sida oznaczała ostateczne przypieczętowanie jej porażki, poczuła nagły przypływ desperacji.

- Dostałam wiadomość - wypaliła. - Od mordercy.

Obaj wytrzeszczyli na nią oczy.

- Słucham? - powiedział wreszcie Sid. Nicky energicznie pokiwała głową.

- Najpierw do mnie zadzwonił. A potem przysłał mi mejl.

- Kłamiesz - oświadczył Carl.

Nicky potrząsnęła głową.

- A to ci dopiero historia - powiedział Sid. - Możesz nam przybliżyć szczegóły?

Nicky uśmiechnęła się tajemniczo.

- Opowiem o nich w programie ... o ile nie zabierzesz mi tematu. W przeciwnym razie, niestety, będę musiała się ograniczyć do rozmów z policją. Carl oczywiście może spróbować znaleźć sobie informatora, ale ... - Znacząco zawiesiła głos, po czym wzruszyła ramionami. - Na to potrzeba czasu. Mówiłeś, że ile mamy? Trzy tygodnie?

- To szantaż! - wybuchnął Carl. I dorzucił pod adresem Sida: - Chyba nie pozwolisz, żeby jej to uszło na sucho, prawda?

Szef zastanawiał się przez chwilę.

- Skoro Nicky nie chce nam o czymś powiedzieć, chyba nie możemy jej zmusić - zauważył rozsądnie. - Poza tym ma absolutną rację i co do swoich wpływów, i matki, i ograniczeń czasowych. A jeśli na dodatek jest w kontakcie z mordercą ... musisz przyznać, Carl, że odpadasz w przedbiegach. Skoro jej życie niemile ... - Umilkł i wzruszył ramionami. Spojrzał na Nicky, pstryknął palcami i wycelował w nią gruby palec. - Dopięłaś swego. A teraz bierz się do roboty.

Śniadanie pod bacznyim spojrzeniem świni bynajmniej nie wpływa zbawiennie na trawienie, uznał Joe,

siedząc przy kuchennym stole i dziobiąc widelcem jajecznicę na bekonie, podczas gdy kuzynka połowy zawartości talerza gapiała się nań przez szybkę w drzwiach. Diablica musiała go zobaczyć przez żaluzje: cóż, skoro on ją obserwował, nic nie stało na przeszkodzie, aby uczyniła to samo. Stała z ryjem przyciśniętym do szyby i wlepiła w niego paciorkowate ślepią. Najdziwniejsze zaś było to, że zjawiła się dopiero w chwili, gdy bekon zaskwierczał na patelni. Wtedy to Joe poczuł, że świędzi go kark Gak zawsze w chwilach, gdy był obserwowany) i zwrócił się ku drzwiom, trzymając w rękach widelec, którym przewracał mięso. Cholerna świnia stała jak wmurowana i patrzyła tak, jakby wiedziała, co on tam pichci. Joe gotów był przysiąc, że w jej oczkach maluje się nieomy wyrzut.

- Spadaj, świnio - burknął. W ciągu ostatnich pięciu minut powtórzył to chyba ze sto razy w najrozmaitszej formie. Zwierzę ani drgnęło. Albo nie słyszało, albo nie rozumiało, albo planowało następny krok.

Joe poczuł się jak ostatni kretyn. Gada ze świnią, a to dobre. W ramach rekompensaty ostentacyjnie nabił na widelec chrupiący skrawek bekonu i otworzył usta.

eleo zachrzękała. Wyraźnie usłyszał to przez drzwi. Spojrzał na nią groźnie, a następnie przeniósł wzrok na bekon.

Znów zachrzękała.

- Szlag by to jasny trafił - rzucił z goryczą i odłożył widelec.

Świnia nie ruszyła się z miejsca. Odsuwając talerz, Joe czuł na sobie jej spojrzenie. Wypił łyk kawy i zapaliwszy papierosa, skupił uwagę na aktach rozłożonych na stole. Na samym wierzchu leżał wydruk wiadomości od Nicky.

Czytał wierszyk tyle razy, że prawie mógł wyrecytować go z pamięci.

Tylko co on, u diabła, znaczy?

Była ósma czterdzieści siedem, miał za sobą sześć godzin snu. Powinien być rześki jak skowronek i z entuzjazmem rzucić się w wir czekających go zajęć. Ale nic z tego: czuł się jak przekłuty balon. Miał suchość w ustach, piasek w oczach i okrutnie łupało mu w głowie. Połowa śniadania, dwa papierosy i kawa bynajmniej nie poprawiły sytuacji.

Ten cholerny mejl nie dawał mu spokoju. Joe wałkował go w myślach na wszystkie strony, próbując rozmaitych interpretacji, ale żadna nie była przekonująca. Wreszcie usiadł z głową opartą na rękach i rozdrażniony popatrzył na świnie.

Na zewnątrz świeciło słońce. Niebo miało cudowny odcień błękitu i było usiane puchatymi obłokami, które wyglądały jak śpiące owieczki. Wyjawszy niepiękną facjatę świni, kolejny dzień w raju zapowiadał się niezwykle obiecująco. Fioletowawe liście kauczukowca trzepotały jak ptasie skrzydła, trącane dobrze Joemu znanym słonym wietrzykiem, który rano i wieczorem wiał od oceanu. Złocistożółte słoneczniki zdążyły już otrząsnąć się z porannej rosy i wystawiały okrągłe twarze ku słońcu. Nadeszła pora odpływu; mewy krzyczały, a kutry i małe jachty płynęły zapewne Salt Marsh Creek w kierunku oceanu. Z plaży wracali zbieracze małży i amatorzy joggingu, mijając po drodze wielbicieli słońca, którzy cieszyli się na kolejny pogodny dzień.

Tymczasem kuchnia wyglądała ohydnie, cuchnęła kawą, papierosami i smażeniną, a w dodatku brakowało w niej powietrza. Joe pewnie też wyglądał ohydnie, cuchnął kawą, papierosami i smażeniną, no i też brakowało mu powietrza. Na wyraźne polecenia Vince' a włożył marynarkę i krawat, ponieważ o wpół do dziesiątej mieli wygłosić oświadczenie dla dziennikarzy, i teraz pocił się jak szczur. Ożywcze działanie klimatyzacji nie miało wpływu na kuchnię, położoną po przeciwległej stronie domu. Pewnie należałoby tu zamontować drugie urządzenie.

Zazwyczaj w czasie gotowania otwierał drzwi, żeby tu wywietryć.

Zazwyczaj nie było tam świni, która z ryjem przyciśniętym do szyby śledziła każdy jego ruch.

Rozległo się walenie do drzwi (dzwonek od początku nie działał, a Joe jakoś nie mógł się zebrać, żeby go naprawić) i wstał. Dave. Nareszcie.

Otworzył drzwi.

- Masz już dane na temat członków ekipy telewizyjnej? - powitał swego zastępcę.

Wiedział z doświadczenia, że w śledztwie najlepiej stosować metodę koncentryczną, czyli zacząć od ludzi z najbliższego kręgu ofiary, zarówno w sensie fizycznym, jak i emocjonalnym. Nicky znalazła ciało. Pozostali członkowie ekipy również znajdowali się w pobliżu. Z tego, co zdążył ustalić, byli jedynymi osobami na miejscu zbrodni, które znały Karen Wise przed przybyciem na wyspę. Zawsze to jakiś punkt wyjścia.

- Część. Wciąż napływają informacje na temat przebiegu ich kariery zawodowej.

Joe ruszył pierwszy do kuchni.

- Po południu chcę zobaczyć na biurku wszystko, co uda ci się zebrać.

- Nie ma sprawy.

Weszli do kuchni i Joe okrążył stół. Po drodze napotkał baczne spojrzenie czarnych, paciorkowatych oczu.

- Zabierasz tę cholerną świnię, tak?

- No-o ... - zająknął się Dave.

Joe zastygł z ręką wyciągniętą po wydruk mejla. Odwrócił głowę i lodowato spojrział na swojego zastępcę.

- Co znaczy "no"? Nie ma żadnego "no".

- Zabieram, zabieram - rzucił pośpiesznie kolega.

- No ja myślę.

Gdy Joe zajął się papierami, Dave podszedł do drzwi, cmokając obleśnie na świnię, która dosłownie roztańczyła się na jego widok.

I po raz pierwszy w życiu Joe stwierdził, że on i Amy mają jednak ze sobą coś wspólnego.

- Pojawił się nowy aspekt - zaczął, przenosząc wzrok na wierszyk. - Wczoraj wieczorem ...

Świnia zaczęła opętańczo drapać raciczkami o szybę.

Joe urwał i popatrzył na nią zde gustowany.

- Nie będziesz już jadł? - spytał Dave, wskazując talerz z rozgrzebaną jajecznicą na bekonie.

-Nie.

- Mogę? - Nie czekając na odpowiedź, podniósł talerz, po czym otworzywszy drzwi, wyszedł na zewnątrz i ku jawnej ekstazie świni wygarnął resztki jedzenia na ganek.

Oniemiały Joe patrzył, jak zwierzę rzuca się łapczywie na jajecznicę, pożerając wszystko jak leci, bekon i resztę.

- ona uwielbia śniadania - rzucił tonem wyjaśnienia Dave i wszedł z powrotem do kuchni.

Kanibalka, rzucił w duchu pod adresem świni Joe, kiedy jego zastępca zamykał drzwi.

- O czym mówisz? - Dave zaniósł talerz do zlewozmywaka i odkręciwszy kran, splukał resztki pod bieżącą wodą.

Joe otrząsnął się z zamyślenia.

- Wczoraj wieczorem dzwoniła do mnie Nicky Sullivan. Dostała wiadomość i chciała mi ją pokazać. -

Postukał palcem w wydruk. - Mam ją tutaj.

- Tak? - Dave otworzył zmywarkę, włożył do środka talerz, po czym zamknął ją i podszedł do stołu, wycierając ręce w papierowy ręcznik. Sięgnął po kartkę, przeczytał wierszyk i gwizdnął.

- To mi wygląda na naszego gościa.

- Owszem, wygląda.

Dave zmarszczył brwi.

- A co, myślisz, że nie? Moim zdaniem brzmi bardzo przekonująco. Łazarz to postać biblijna, umarł, a następnie został przywrócony do życia. A 508 to przecież dzień, w którym zginęła ta Wise.

- No wiem - rzucił oschle Joe. - Sęk w tym, że gdy wysłano tę wiadomość, wszyscy na wyspie wiedzieli, że Karen Wise zginęła ósmego maja. Nie wspominając o jej znajomych i współpracownikach. I rodzinie. I Bóg jeden wie, o kim jeszcze.

Zapadła chwila ciszy.

- O tym nie pomyślałem - zmartwił się Dave. - Myślisz więc, że wiadomość została wysłana przez kogoś innego? - Mogła zostać wysłana przez kogoś innego. Nie wiem, czy tak było. Chcę tylko powiedzieć, że wcale nie musiał tego napisać morderca.

- Masz rację.

- Czy ktoś z naszych ma doświadczenie z komputerami? Moglibyśmy spróbować ustalić, skąd ją wysłano.

- Czy ja wiem? - Dave spojrział na niego z powątpiewaniem. - Ja na pewno nie. Bill Milton też odpada, nie umie nawet wysłać mejla. Nie licz też na Jeffa Roego, ani George'a Locke'a, ani Andiego Cohena, ani ...

- Rozumiem - przerwał mu Joe. Tylko tego mu trzeba, litanii osób, które nie potrafią zrobić tego, czego od nich oczekiwał. - W porządku, sam też jestem w tym zielony. Zrobiłem już wszystko, na co było mnie stać, czyli skon-taktowałem się z właścicielem serwera, ale dowiedziałem się tylko, że wiadomość wysłano z jednego z darmowych kont. Próbuje ustalić IP nadawcy, ale kiepsko im idzie.

- Wysłała odpowiedź?

Joe potrząsnął głową.

- Może jednak powinna? Może jej odpisze, a myob-myślimy sposób, żeby go przyskrzynić - rozemocjonował się Dave.

Joe nie zdradził mu swojego zdania na ten temat. Nawet gdyby plan wypalił, musieliby użyć Nicky jako przyręty, a tego by nie chciał.

- Już próbowałem odpisać, ale w odpowiedzi dostałem tylko mejl zwrotny z informacją "wiadomość nie może być dostarczona do adresata".

- Kurde - zaklął Dave.

- No właśnie. - Joe sięgnął po wydruk. - Wiem, że to oczywiste, ale nie wspominaj nikomu o tym mejlu. Jeśli sprawa się rozniesie, ta dziennikarka zacznie dostawać takie wiadomości na pęczki, a wówczas istnieje prawdopodobieństwo, że przeoczmy list od prawdziwego mordercy. Tak w ogóle to przekaz naszym, że wszystkie informacje na temat sprawy mają najpierw trafiać do mnie.

- Nie musisz mi o tym przypominać. - Dave spojrzął na niego z wyrzutem. - Wszyscy wiemy, że w czasie śledztwa trzymamy gęby na kłódkę.

- Woląłem się upewnić - skwitował przepraszająco Joe i popatrzył na zegar nad lodówką. - O wpół do dziesiątej muszę być w biurze burmistrza. Chciałbym, żebyś zweryfikował listę miejscowych opryszków. Najważniejsze pytanie brzmi, gdzie byli w niedzielę wieczorem. I chcę wiedzieć o wszystkich, którzy niedawno opuścili więzienie, wyszli z wojska bądź wrócili po długiej nieobecności.

- Jasne.

- Najprawdopodobniej będziemy też musieli sporządzić zestawienie wszystkich morderstw przy użyciu noża, które zostały popełnione w ciągu ostatnich piętnastu lat w promieniu, powiedzmy, trzystu kilometrów.

Dave jęknął.

- Ale zdajesz sobie sprawę, że" mieszkamy w odległości dziewięćdziesięciu kilometrów od Charlestonu? Jest też Kolumbia, rejon Myrtle Beach, Grand Stand i ... - Na podkreślenie swoich słów zatoczył zamaszty łuk ręką.

- Wiem - odpowiedział Joe. - Jeśli jednak mamy do czynienia z seryjnym mordercą, możemy znaleźć jakieś cechy wspólne. Oni nie robią sobie przerwy na piętnaście lat, żeby potem zaczynać od nowa. Chyba że istniały ważne powody, dla których wypadli z obiegu.

- No tak. - Dave skrzywił się niechętnie. - Zajmę się tym. I skierował się w stronę frontowych drzwi.

- Chwila - powstrzymał go Joe, odkładając papiery.

Dave spojrzął na niego z podejrzaną miną. -Czy aby o czymś nie zapomniałeś? o,"

- Ano tak. - Dave pstryknął palcami, jakby dopiero sobie przypomniał. - Cleo. - I zawrócił w kierunku Joego. -Zabiorę ją do domu.

- Świetny pomysł - odparł bezlitośnie Joe. Dave zastygł z ręką na klamce.

- Chyba że mogłaby tu spędzić jeszcze jedną noc ... ?

- Nie - uciął kategorycznie Joe. - N-I-E. Wykluczone.

Dave westchnął.

- Jak sobie życzysz.

I wyszedł tylnymi drzwiami.

Joe odczekał, aż Dave wyprowadzi świnie przez furtkę (dreptała na smyczy jak pies), po czym wyszedł z domu. Kiedy podążył przez trawnik w kierunku krawężnika, przy którym zaparkował samochód, właśnie minęła dziwna. Tropikalny wietrzyk przyjemnie obniżał temperaturę o kilka stopni. Słońce świeciło oślepiająco, odbijając się od zszarzonego asfaltu, chodników i samochodów zaparkowanych wzdłuż ulicy. Dwie kobiety wyprowadzały właśnie psy na spacer, a starszy mężczyzna strzygł trawnik, popychając przed sobą kosiarkę, która była niczym piła łańcuchowa (rozmiary okolicznych trawników nie pozwalały na wymyślne kosiarki ciągnikowe), ale poza tym panował spokój. W tej części dzielnicy niedużych, schludnych domków Ooe zauważył, że tylko jego trawnik wymaga natychmiastowej interwencji) dorośli pracowali, a dzieci chodziły do szkoły. Większość mieszkańców przebywała w ciągu dnia poza domem. Jedna z kobiet, pulchna czterdziestolatka z kaskiem jasnych włosów i w obcisłych, czarnych rybaczkach (ki diabeł?), pomachała do niego ręką, a Joe, nauczony pięćmiesięcznym doświadczeniem, odwzajemnił gest. To samo uczyniła druga kobieta i staruszek z kosiarką; Joe pomauchał do wszystkich, po czym otworzył samochód, usiadł za kierownicą i z ulgą zatrzasnął drzwiczki.

Podobnie jak pozostałe aspekty rajy, nawyk machania do sąsiadów też był dla niego nowością.

W Trenton, gdzie mieszkał wcześniej, pozdrawiał sąsiadów najwyżej nieartykułowanym pomrukiem.

Gdyby zaczął do nich machać, wzięliby go za półgłówka i uni-kali jak ognia. Tkwił może w nieciekawej dzielnicy, ale jego mieszkanie było niczego sobie. W środku nocy często budziły go odgłosy strzelaniny, gołębie gnieździły się pod okapem i paskudziły na szyby, a porozwalane śmieci stanowiły niemal równie powszechny widok jak kudzu na Południu, ale do diabła, miał przynajmniej klimatyzację.

Mafia, ćpuny i zaopatrujący ich handlarze narkotyków, alfonsi i ulicznice, drobne złodziejaski i włamywacze stałowie integralny element krajobrazu dawnego życia. Joe miał z nimi do czynienia, gdy zachodziła taka konieczność, a przez resztę czasu albo ich ignorował, albo wsadzał do pudła, zależnie od sytuacji.

Nigdy nie podejrzewał, że przyjdzie mu za nimi zatęsknić.

A tu proszę.

Jak zawsze bezchmurne niebo, powolne tempo życia, wyluzowani tużycy pokroju rzekomo paranormalnie uzdolnionej matki Nicky oraz pewnego nieszczęśliwie zakochanego świniopasa byli dla niego takim samym dziwem jak pingwiny dla Teksasczyka. To nie jego miasto, nie jego ludzie. Tutejsza mentalność stanowiła dla Joe'go zagadkę, co z góry stawiało go na straconej pozycji.

Gdyby podobna sprawa wydarzyła się w Jersey, od razu wiedziałby, od czego zacząć. Najpierw przycisnąłby lokalnych cwaniaczków i któryś puściłby farbę, kierując go na właściwy trop. Zasadniczą cechą przestępstwa było to, że nigdy nie działo się w próżni. Kryminaliści nie pojawiali się znikąd. Byli zwykłymi ludźmi, mieli pracę, rodziny, sąsiadów, jak wszyscy. To samo dotyczyło ich ofiar.

Innymi słowy, ktoś zawsze coś wiedział. Pytanie tylko, kto i co.

Rozmawiał już przez telefon z rodzicami Karen Wise, z jej dwoma braćmi, przyjaciółmi i współpracownikami. Nikomu nie przychodziło do głowy żadne powody, aby ktoś mógł chcieć pozbawić ją życia. Była to jej pierwsza praca; miała zaledwie dwadzieścia dwa lata i chłopaka, który w momencie zbrodni przebywał w Chicago i przedstawił żelazne alibi.

Nic nie wskazywało na to, że morderstwo miało charakter osobisty.

Jednakże z drugiej strony szereg pewnych czynników, poczynawszy od podobieństwa łączącego śmierć Karen Wise z wcześniejszym zabójstwem Tary Mitchell (i zagadkowym losem pozostałych nastolatek), poprzez miejsce zbrodni i okoliczności zdarzenia, wskazywał na wyraźny związek obu spraw.

A to nasuwało kolejne pytanie: czy skoro morderstwa

były ze sobą powiązane, mieli do czynienia z tym samym sprawcą, czy może z jego naśladowcą?

Jeżeli sprawca był ten sam, to gdzie się, u licha, podziwiał przez ostatnie piętnaście lat?

Na obecnym etapie, gdy raport koronera prowadzącego sprawę Karen Wise wciąż czekał na porównanie z wynikiem sekcji Tary Mitchell, a ewentualny DNA tudzież inne dowody sądowe znajdowały się jeszcze w laboratorium, Joe mógł jedynie snuć domysły.

Miał jednak coś na kształt tropu, a mianowicie list do Nicky, zapowiadający dwa kolejne morderstwa. Dwie ściśle powiązane ze sobą zbrodnie. Zbrodnie, którym Joe musi zapobiec.

Pierwsze zadanie na dziś: ustalić, skąd wyszedł ten cholerny mejl.

Joe uruchomił silnik, włączył klimatyzację i ruszył z miejsca. Po drodze zaczął wybierać numer na swojej komórce.

Owszem, jego znajomość komputerów pozostawiała wiele do życzenia, jego podwładni również nie mieli na ten temat bladego pojęcia, lecz na szczęście Joe znał kogoś, kto mógł go w tym wyręczyć.

Minęło sporo czasu, ale na pewno o nim nie zapomniano. Pora uruchomić dawne kontakty.

Nicky jechała mostem South Causeway, łączącym wyspę Pawleys z lądem. Siedziała za kierownicą wynajętej

srebrnej maximy, a w głowie kołatało jej przysłowie o życzeniach wypowiedzianych nieopatrnie w złą godzinę. Była sobota, dochodziło wpół do siódmej wieczorem. Po wyjściu z gabinetu Sida spędziła resztę piątku, nagrywając materiał do niedzielnego programu, wszystko oprócz wprowadzenia, które nakręcała za parę minut w Old Taylor Place. Koniec dnia upłynął jej na planowaniu podróży i pakowaniu. Dziś od rana była w biegu: najpierw poleciała z Chicago do Atlanty, a potem mniejszym samolotem z Atlanty do Charleston, gdzie przesiadła się do samochodu, który miał ją zawieźć na miejsce. Czowała się głodna, zmęczona i coraz bardziej wystraszona.

Sama się o to prosiła. Ba, walczyła o to jak lew. No i masz babo placek.

Znajdowała się w strefie Łazarza 508.

Nie było to chyba najsmutniejsze z jej życiowych posunięć.

Ale przecież nie mogła odpuścić. To był jej temat, do cholery, nie Carla ani nikogo innego. Jej własny.

Miała nadzieję, że nie przypląci go życiem.

Jednakże na myśl o tym, co może ją czekać na wyspie, serce zabiło jej mocniej w piersi, a potem słyszała w uszach jego głuche dudnienie.

Głupie trzy tygodnie, pocieszyła się skwapliwie. Musi tylko zachować wszelkie środki ostrożności, unikać samotnych eskapad i nocować u rodziny w Twybee Cottage, gdzie chaos i ciągły napływ gości

wo/kluczały jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Planując pobyt na wyspie, przez chwilę rozważała możliwość zatrzymania się w Best Western przy autostradzie numer siedemnaście razem z Gordonem, który jej towarzyszył jako kamerzysta i podążał tuż za nią czerwonym minivanem. Mieli nakręcić wprowadzenie "na żywo" do niedzielnego programu, a następnie wrócić do swoich kwater, by odetchnąć po trudach i znoju całodziennego podróży.

Perspektywa spokoju i prywatności była wprawdzie bardzo kusząca, lecz Nicky bez większego namysłu odrzuciła tę możliwość. Z góry wiedziała, że nie zmużyłaby oka, wyobrażając sobie, jak Łazarz508 zakrada się nocą do jej pokoju. Pozostali członkowie ekipy, wstrząśnięci śmiercią Karen, dostali wolną rękę: to, czy pojedą na wyspę, było tylko i wyłącznie ich decyzją i Nicky miała zamiar ją uszanować. Okazało się jednak, że wszyscy solidarnie zgodzili się przyjechać na wielki finał, który miał się odbyć dokładnie za trzy tygodnie. Tymczasem Nicky sama zadba o swoje włosy i makijaż, w końcu robiła to setki razy. Ale cieszyłaby się, gdyby Tina, Cassandra, Mario i Bob znajdowali się przez cały czas na miejscu z nią i Gordonem. Bardzo ich lubiła, byli świetnymi fachowcami, a poza tym, jak wiadomo, w grupie różniej. I bezpieczniej.

Od czasu ostatniego mejla Łazarz508 milczał jak zakłętą. Mimo to nie mogła się oprzeć wrażeniu, że są ze sobą w jakiś sposób związani. Ilekroć zamykała oczy, czuła w pobliżu jego obecność. A gdy zasypiała, co przychodziło jej z niemałym trudem, czyhał na nią we śnie.

Na szczęście było jeszcze jasno; inaczej denerwowałaby się jak diabli przed zrobieniem dzisiejszego materiału. Ma przecież stanąć przed Old Taylor Place i wskazać widzom miejsce pod sosnami, gdzie zginęła Karen, a ona sama cudem uszła z życiem.

W gardle zasychało jej na samą myśl.

Dlatego odsunęła od siebie tę wizję i skupiła się na prowadzeniu samochodu.

Słońce chyliło się nad horyzontem. Nicky jechała na wschód, toteż wisiało nisko za jej plecami, jaskrawożółta kula bijąca żarem i blaskiem, otaczająca zwichrzone korony drzew fluorescencyjną pomarańczową aureolą. Dotarła na środek mostu, gdzie widoczny po obu stronach spieniony Atlantyk łączył się ze spokojniejszymi wodami Salt Marsh Creek. Wiedziała, że nadchodzi pora przyływu. Poniżej roilo się od łodzi, jachtów i skuterów, sunących pospiesznie w stronę przystani. Popołudniowy błękit nieba z wolna ustępował wieczornemu indygo. Niebawem przejdzie w fiolet, by wreszcie zyskać atramentowy odcień.

I znów zapadnie noc.

Noc przerażała ją najbardziej. Morderca był tworem mroku.

Przecież on nie wie, że wróciłam, uspokajała się w duchu, próbując uciszyć rozkołatane serce. No bo niby skąd ma wiedzieć?

Lecz po niedzielnym programie nie będzie miał żadnych wątpliwości.

Nicky odruchowo zacisnęła palce na kierownicy. Może powinna sobie kupić gaz.

Albo pistolet.

I skrzywiła się na samą myśl. W życiu nie strzelała z broni palnej. Woląca poprzestać na innych środkach, nie stanowiących bezpośredniego zagrożenia dla życia. No i nie kusić losu.

Na moście panował spory ruch, ale większość pojazdów jechała w przeciwną stronę. Okoliczni mieszkańcy spoza wyspy często spędzali sobotnie popołudnia na plaży, po czym wraz z zachodem słońca wracali do swych domów na lądzie. Wyjąwszy kilka podrzędnych barów, restauracji i lokali hotelowych, życie nocne na Pawleys praktycznie nie istniało, co było solą w oku wuja Hama, który planował otworzyć tu restaurację z prawdziwego zdarzenia połączoną z nocnym klubem.

Właśnie to nasunęło matce r.,omysł udziału w programie telewizyjnym, Nicky przypomniała sobie sprawę morderstwa Tary Mitchell i złożyła propozycję szefostwu, co z kolei doprowadziło do nakręcenia niedzielnego programu, a w konsekwencji do śmierci Karen.

Czyżby życie istotnie stanowiło szereg potwornych zbiegów okoliczności?

Zadzwoiła jej komórka: Na dźwięk znajomej melodyjki Nicky mało nie podskoczyła. Wygrzebała telefon i. kieszeni eleganckiego kostiumu (ostatnio czuła się bezpieczniej, nosząc aparat przy sobie zamiast w torebce) i nerwowo zerknęła na wyświetlacz.

Matka.

Mogło być gorzej, dlatego odetchnęła z ulgą.

- Gdzie jesteś? - brzmiały pierwsze słowa Leonory.

- Jadę przez most. Zatrzymamy się na chwilę przy Old Taylor Place, a potem jadę prosto do domu.

- Masz to?

"To" - czyli sweter, który Karen na wszelki wypadek przyniosła w pracy. Pozostałe rzeczy Karen odesłano

jej rodzicom, lecz czarny, niedrogi blezer jakimś cudem uchował się w szafie na korytarzu. Nicky przypomniała sobie o nim tego ranka, kiedy zadzwoniła do matki z informacją o swoim przyjeździe. Leonora poprosiła ją o jakiś drobiazg należący do Karen; ta rzecz miała jej pomóc w nawiązaniu kontaktu z duchem zmarłej. Zwykle nie posługiwała się rekwizytami, jednakże obecna poważna sytuacja skłoniła ją do korzystania z różnych metod, również tych, które określała mianem "prymitywnych".

- Tak - odpowiedziała Nicky. - Mam sweter. Myślisz, że się nadaje?

Prawie widziała, jak matka wzrusza ramionami. - Nie zaszkodzi spróbować.

- No. - Żadna z nich nie przejawiała nadmiernej pewności siebie.

- Nicky - powiedziała zatroskanym tonem Leonora. - Mam złe przeczucia. Chciałabym, żebyś wróciła do Chicago.

- Już to przerabialiśmy, mamo.

- Wiem, ale od samego rana mam potworny ból głowy. Właściwie migrenę, a przecież wiesz, że nie miewam migren. I jeszcze to przeczucie. Zupełnie jakby wisiała nade mną czarna chmura. Jakby miało się wydarzyć coś złego.

Podobne słowa z ust Leonory James to nie przelewki. Nicky dostała gęsiej skórki.

- Widziałas coś?

- No właśnie. Problem w tym, że nie widzę nic, kompletnie. Próbowałam, ale nic z tego. Mam tylko przeczucie. I to mnie martwi. W życiu nie byłam tak zablokowana. Coś tu nie gra, nie wiem co, ale czuję, że to dotyczy naszej rodziny. A jeśli grozi ci niebezpieczeństwo?

Serce Nicky załomotało o żebra. Dłoń zaciśnięta na kierownicy (w drugiej trzymała telefon) aż zbiała. Chwila nieuwagi, a spadnie z mostu w czarną kipieli i przeczucia matki sprawdzą się co do joty.

- Przerażasz mnie - powiedziała.

- No to możemy sobie podać rękę, bo ty robisz ze mną to samo.

Nicky nie wspomniała Leonorze o mej lu, to by tylko pogorszyło sprawę. Kiedy sprawa wyjdzie na jaw, a miało to nastąpić podczas niedzielnego wydania na żywo, matka chyba eksploduje.

- Przrzekam, że będę uważać - zapewniła, siląc się na krzepiący ton.

Cisza.

- Wpędzicie mnie do grobu, ty i twoja siostra - wybuchnęła Leonora. - Jedną uganianiem się za mordercami, a drugą obsesją na punkcie tego gnojka Bena Hollisa. Wiesz, co robi w tej chwili? Szpieguje tego durnia i jego la-dacznice. Oczywiście zaklinała się, że jedzie na zakupy, ale już ja wiem swoje.

Nicky z ulgą przyjęła ów nagły zwrot w rozmowie. - Porozmawiam z nią jak wrócę, dobrze?

- Jeśli dożyjesz - burknęła gorzko Leonora i odłożyła słuchawkę.

Nicky wsunęła telefon z powrotem do kieszeni i wyłączyła klimatyzację. "Przechucia" matki przejęły ją chłodem do szpiku kości.

I zastanowiła się na poważnie, czy aby nie pójść za radą Leonory i nie zawrócić na najbliższym rozjeździe.

Wtedy przypomniała sobie Carla. I Sida. I CBS.

No i Karen. Gdyby nie pomysł wzięcia na tapetę sprawy morderstwa nastolatki, ekipa "Na tropie tajemnic" nie pojechałaby na wyspę Pawleys i dziewczyna wciąż by żyła. Świadomość tej okrutnej prawdy od blisko tygodnia nie dawała Nicky spokoju.

To był pomysł jej, Nicky. Bez dwóch zdań.

Musiała wrócić, choćby przez wzgląd na Karen. Będzie bardzo, bardzo ostrożna. Ale zostanie, aby relacjonować postępy w śledztwie, choćby nie wiem co.

Dla Tary i jej przyjaciółek. Dla Karen. I dla siebie.

Nie miała więcej czasu do namysłu. Kiedy zjechała z mostu i skręciła w lewo, jej oczom ukazał się Old Taylor Place.

12

- Jak widzicie za moimi plecami, miejsce wciąż jest zagrodzone żółtą taśmą policyjną - powiedziała Nicky do kamery.

Teren był istotnie zagrodzony plastikową taśmą, rozpiętą na zielonych, metalowych słupkach wbitych w ziemię, w związku z czym musiała stanąć na ulicy przed domem, co między Bogiem a prawdą bardzo jej odpowiadało. Na wprost siebie miała wysoką ścianę sitowia, a od stromego brzegu Salt Marsh Creek dzieliła ją gęstwina dereni, brzoź, mirtu i tawuły. Za jej plecami, na niewielkim wzniesieniu, w ostatnich złocistych promieniach słońca jaśniał Old Taylor Place. Złuszczona, biała farba na elewacji oraz

rozchwytała weranda świadczyły o dawno przebrzmiałej świetności. Na tle szarzejącego nieba, w otoczeniu strzelistych, omszałych dębów i z długimi cieniami przerzuconymi w poprzek dziedzińca, posiadłość mogła służyć jako podręcznikowy przykład nawiedzonego domu.

Bynajmniej nie było to wymarzone miejsce na spędzenie wieczoru, nadciągającego wielkimi krokami i myśl o pozostaniu tu po zmierzchu przyprawiała Nicky o gęsią skórę. Musiała jednak przyznać, że nawiedzone domy ze zbrodnią w tle to to, co widzowie lubią najbardziej.

Zresztą jeszcze tylko pięć minut i zwijają manatki.

- To właśnie tutaj, pod sosnami, na łuku podjazdu ...

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Gordon miał objąć kamerą podjazd, a następnie zrobić zbliżenie samych sosen, z uwzględnieniem dolnych gałęzi. W obawie przed nawrotem strasznych wspomnień Nicky przezornie wolała nie patrzeć w tamtą stronę. Na szczęście nie musiała. Wystarczyło, że utkwi wzrok w obiektywie kamery, po czym, opanowując łomot serca i ucisk w żołądku zrobi to, co do niej należy.

... ktoś brutalnie zamordował Karen i napadł na mnie. Dziś wieczorem prześledzimy poszczególne etapy zbrodni, sekunda po sekundzie. Pokażemy wam całą historię od podszewki, w sposób, w jaki nikt nigdy przedtem tego nie zrobił, i spróbujemy rozwiązać tajemnicę śmierci naszej nieodżałowanej koleżanki Karen Wise. Jako niedoszła ofiara tego samego mordercy przedstawię wam szczegółową rekonstrukcję wydarzeń i zdradzę tajemnice znane wyłącznie osobom bezpośrednio zaangażowanym w dochodzenie.

Dowiecie się również o działaniach policji, która na obecnym etapie przychyliła się do teorii, że sprawca ostatniej zbrodni, czyli ktoś o pseudonimie Łazarz, może być mordercą sprzed piętnastu lat. Zostańcie z nami, a zaraz po przerwie dowiedziecie się, skąd mam to ... - wiedząc, że kamera ponownie skierowała się w jej stronę Nicky musnęła palcami podbite oko - ... i to.

Na użytek tego ujęcia (i na przekór wrodzonej oszczędności) odbyła podróż w jednym ze swych najlepszych strojów antenowych, drogim kostiumie marki St. John. Uszyty z jedwabistej, przewiewnej tkaniny nigdy się nie gniótł i idealnie się nadawał na długi lot, po którym natychmiast musiała stanąć przed kamerą, krój spodni zaś ułatwiał to, co sobie zaplanowała. Z miną magika wyczarowującego królika z cylindra rozsunała poły zapinanego na jeden guzik żakietu i uniosła trochę białą bluzkę, ukazując górną część spodni wraz z kawałkiem śnieżnobiałego

biodra, oszpeconego jaskrawoczerwoną szramą w miejscu, gdzie nóż napastnika przeciął skórę.

Na sam widok poczuła, że miękła jej kolana. Jednakże każda blizna i zadrapanie stanowiły integralną część historii, która bez nich nie byłaby kompletna.

Grunt to mocne wrażenie, przypomniała sobie w duchu. Musi za wszelką cenę przykuć uwagę widzów, czy jej się to podoba, czy nie.

Gordon nakręcił długie ujęcie biodra, po czym raz jeszcze wycelował kamerę w jej twarz. Nicky opuściła poły żakietu.

- Mówi do was Nicole Sullivan. Zostańcie z nami, a dowiedziecie się znacznie więcej.

Gordon wyłączył kamerę i z uznaniem spojrzął na koleżankę.

- Bomba.

Nicky posłała mu wymuszony uśmiech.

- Dzięki.

Wykazał prawdziwy hart ducha, przyjeżdżając tu wraz z nią, dlatego wolała nie zarażać go swym parszywym nastrojem. Słuszność całego przedsięwzięcia budziła w niej poważne wątpliwości.

Satysfakcja, którą zwykle czuła po dobrze wykonanej pracy, gdzieś się ulotniła, chociaż być może stali o krok od największego hitu w swojej karierze. Zabrakło jednak pozytywnego dreszczyku emocji: Nicky traktowała temat zbyt osobiście. Żadna z dotychczasowych historii nie dotyczyła jej bezpośrednio, a wykorzystywanie teraz śmierci Karen też nie dawało jej spokoju. Nie wspominając o tym, iż najłżejszy szmer sprawiał, że ze strachu mało nie wyskakiwała ze skóry. Po raz pierwszy w życiu czuła się na wyspie nieswojo. Tak dobrze znany ciepły, wonny wietrzyk wydawał się przesiąknięty gnilnym odorem bagien, daleki szmer oceanu przywodził na myśl ostrzegawczy pomruk, a typowe dla Pawleys jaskrawe kolory kłuły w oczy jak czerwona suknia na pogrzebie.

Krzepiące poczucie, że wraca do domu, też gdzieś się zawieruszyło.

Zastąpił je narastający niepokój, od którego truchlało

Herce i krew zastygała w żyłach. Kuląc ramiona i rzucając ostatnie, niemal buntownicze spojrzenie na dom, Nicky poczuła, że trzęsie się ze strachu.

To minie, upomniała się w duchu. Musi minąć.

Czy tego chciała czy nie, Old Taylor Place, podobnie jak sama wyspa, stanowił nieodłączny aspekt

krajobrazu jej życia. Z wyspą wiązały się jej najwcześniejsze wspomnienia. Ona, Livvy i rodzice byli tu kiedyś bardzo szczęśliwi. Wszystkie zachowane fotografie ojca zrobiono właśnie tutaj, a utrwalone w pamięci, cenne chwile spędzone w jego towarzystwie nierozdzielnie spletały się z ciepłem, aromatem i egzotycznymi barwami Pawleys. Nie pozwoli, by ta okrutna i niegodziwa zbrodnia zmąciła jej obraz rodzinnych stron.

W końcu Old Taylor Place to tylko stary dom, zaniedbany relikwiarz przeszłości, który miał pecha stać się polem działania jakiegoś szubrawca. Sam budynek nie ponosił tutaj żadnej winy. Nicky ogarnęła wzrokiem fasadę, reje-strując po drodze swojską kępę oleandrów przy ganku, rząd osiemiu identycznych okien na każdym piętrze, zniszczony czarny gont...

Gdy jej spojrzenie sięgnęło dachu, nieoczekiwanie coś ją tknęło. Coś tutaj nie pasowało. Tylko co? Wreszcie zrozumiała i oddech uwiązł jej w gardle. Wytrzeszczając oczy, utkwiała wzrok w jednym z okien na drugim piętrze.

A dokładnie w narożnym, w oknie sypialni Tary Mitchell.

Jakaś dziewczyna stała przy parapecie i wyglądała przez szybę na zewnątrz.

Odległość była znaczna, gęstniał mrok, lecz Nicky widziała ją jak na dłoni. Jasne włosy sięgające prawie do pasa, błądy owal twarzy o bliżej nieokreślonych rysach, szczupła sylwetka w kremowym podkoszulku i dżinsach. Tara Mitchell.

.. Poczula zawrót głowy i serce podskoczyło jej w piersi.

Patrząc w górę, odniosła wrażenie, że cały świat zamarł bez ruchu. A Tara Mitchell odwróciła głowę i odwzajemniła spojrzenie, jakby poczuła na sobie wzrok Nicky.

Potem znikła.

Tak po prostu. Puf, i już jej nie było. Znikła równie nagle, jak się pojawiła.

Przez ułamek sekundy Nicky stała jak skamieniała ze wzrokiem utkwionym w okno i otwartymi ustami.

Wi-działa tylko jednolitą powierzchnię szyby, lśniąca i pozbawiona wyrazu jak oko owada.

- Gordon! Gordon, widziałeś? - Wyrwana z oszołomienia, cofnęła się o kilka kroków. Nogi miała jak z gumy. Odwróciła się w stronę kamerzysty, bełkotliwie wyrzucając słowa. - Błagam, powiedz, że miałeś włączoną kamerę!

- Co? O czym ty mówisz? - Popatrzył na nią ze zdziwieniem. Właśnie pakował kamerę do torby, co znaczyło, że ów sensacyjny widok nie został uwieczniony, choćby przypadkowo. Ale czy Gordon to widział?

- Właśnie zobaczyłam Tarę Mitchell, o tam, w tamtym oknie. - Nicky pokazała palcem. Ale teraz sama widziała, że tam już nikogo nie było: w szybie widniała tylko ostatnia pomarańczowa smuga zachodzącego słońca. - To znaczy, widziałam dziewczynę. Dziewczynę z długimi blond włosami. Do diaska, jestem pewna, że to była Tara Mitchell.

Gordon popatrzył ze wskazanym kierunku, a naętp-nie z powrotem przeniósł wzrę na Nicky. Na jego twarzy malowało się powątpiewanie.

- Widziałeś coś w tamtym oknie? - spytał. - Coś, co nie było tylko złudzeniem?

- Tak. Tak! Idziemy.

Gnana chęcią uwiecznienia sensacyjnego zjawiska, Nicky popędziła w kierunku domu. Nie powstrzymała jej nawet żółta taśma policyjna. Jeden zwinny skok i już była po drugiej stronie. Chcąc nie chcąc, kamerzysta ruszył za nią.

- Tutaj. - Pokonawszy trzy czwarte zachwaszczonego trawnika wskazała miejsce, skąd można było jej zdaniem nakręcić najlepsze ujęcie. - Opiszę to, co widziałam, a ty celuj w okno. Potem obejmij całą fasadę. Kto wie, może tym razem nam się poszczęści.

Gordon bez szemrania wyjął kamerę.

- Jeśli nakręcimy ducha, przechodzę na emeryturę. Zarobilibyśmy tyle kasy, że przez resztę życia nie musiał-bym kiwnąć palcem.

- Byłoby najlepiej, gdyby ci;wdziło o zbrodnię na tle uczuciowym - oznajmił Vince.

Odprowadzał Joego w stronę wyjścia z dość nowo-czesnego, trój kondygnacyjnego biurowca, gdzie właśnie odbyło się pilne spotkanie rady miasta. Położony opodal turystycznej części wyspy budynek znajdował się naprzeciwko wybudowanego po drugiej stronie autostrady numer siedemnaście centrum handlowego z paroma outletami, gabinetami lekarskimi oraz pizzérią, przed którą stało ze sześć samochodów. Pozostała część parkingu świeciła pustkami. O tej porze roku życie na wyspie toczyło się raczej ospale. Za parę tygodni, wraz z rozpoczęciem sezonu letniego, sklepy będą otwarte do dwudziestej trzeciej.

O ile widmo seryjnego mordercy na wolności skutecznie nie zniechęci turystów.

- Rzeczywiście - zgodził się Joe.

Przed chwilą zapoznał radę starszych z postępami w śledztwie. A jako że właściwie nie było mowy o żadnych postępach, nastroje uczestników zebrania były raczej minorowe. Złożona z samych biznesmenów rada miasta pragnęła jak najszybciej wymazać całą sprawę z pamięci. A przynajmniej zobaczyć mordercę za kratkami i to w trybie natychmiastowym.

- No i? - ponaglił Vince.

Joe zszedł ze schodów i popatrzył na burmistrza, który podążał o krok za nim. Zapadał zmierzch, wiatr dmuchający od oceanu przybrał na sile, łopocząc czerwonym krawatem Joego i jego granatową marynarką.

- Jej chłopak ma żelazne alibi.

- Szlag by to. - Vince wcisnął pięści do kieszeni zgniętych spodni i zakotyła się na piętach. On również miał na sobie marynarkę i krawat. Z powodu nieustannego nagabywania przez dziennikarzy wszyscy zaczęli się jakoś lepiej ubierać. - Jesteś pewien?

- Owszem.

- No to może spiknęła się z jakimś przypadkowym gościem, na przykład w barze. Wiesz, przypadkowa znajomość i takie tam. Byle nie chodziło o jeden z naszych barów.

- Wyobraźnia cię ponosi, Vince.

- Psiakrew, Joe ...

Zadzwoił telefon Franconiego, co ten przyjął nie bez ulgi. Vince, członkowie rady miasta, wszyscy lokalni przedsiębiorcy, z którymi miał kontakt, jego sąsiedzi, ba, wszyscy tutejsi mieszkańcy mieli własne teorie na temat morderstwa i rozgłaszali je wszem wobec. Do tego wszyscy jak jeden mąż utyskiwali na opieszałość policji. Nie żeby obchodził ich los zamordowanej z zimną krwią niešťczęsnej dziewczyny. Grunt, aby życie na wyspie wróciło do normy, a sezon turystyczny mógł się rozpocząć bez przeszkód.

- Zaczekaj chwilę. - Joe uciszył burmistrza ruchem ręki, a następnie rzucił do słuchawki - Joe Franconi.

Wysłuchał, co rozmówca ma do powiedzenia, po czym uśmiecnał się lekko.

- Zaraz tam będę. - I się rozłączył. - Muszę lecieć - powiedział do Vince' a.

Burmistrz zmarszczył brwi.

- Zrozum, Joe, to nie przelewki. Ta sprawa to prawdziwy wrzód na dupie. Trzeba się z nią jak najszybciej uporać.

- Rozumiem. - Joe ruszył w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu. Jasne, że rozumiał. Vince i reszta domagali się czyjeś głowy. Najlepiej, żeby była to głowa mordercy. Ale w ostateczności zadowolą się kozłem ofiarnym.

Byle tylko turyści uwierzyli, że na wyspie nic im nie grozi.

Nicky z obrażoną miną siedziała obok Gordona na tylnym siedzeniu radiowozu zaparkowanego przed wjazdem na teren Old Taylor Place. W lusterku wstecznym zobaczyła reflektory nadjeżdżającego samochodu i zrozumiała, że niepostrzeżenie zapadł zmrok. Rzeczywiście, fioletowe cienie, które otaczały ich wydawałyby się niespełna kilka minut temu, teraz przybrały grafitowy odcień, a za kępą zarosła połyskiwała czarna tafla wody. Jej widok przyprawił Nicky o gęsią skórę.

Tkwiła w potrzasku przed nawiedzonym domem, gdzie niedawno po raz pierwszy w życiu na własne oczy widziała ducha i gdzie tydzień temu zamordowano jej koleżankę, a ją samą brutalnie napadnięto. I żeby tego było mało, nadciągała cholerna noc.

W chwili kiedy to pomyślała, w oddali, prawie nie doślyszalne wśród pobliskich szmerów i chaotycznej wymiańny zdań w samochodzie, rozległo się wycie psa. Słuchała żalobnego crescendo z wytrzeszczonymi oczami i bijącym sercem, gdyż nagle wspomnienie uderzyło ją jak obuńchem: w nocy, kiedy zginęła Karen, też był pies.

No dobrze, nie miała racji. Strach to za mało powieđziane.

- Ja ... - zaczęła, chcąc zwrócić uwagę dwóch tępawych gliniarzy z przodu na ów niepokojący odgłos. Jednakże myśl o wyluszczeniu sprawy ludziom, którzy na wieść o duchu Tary Mitchell popatrzyli na nią jak na idiotkę, delikatnie mówiąc, nie budziła jej entuzjazmu.

- Jedzie - oznajmił funkcjonariusz siedzący za kierownicą, nim zdążyła dokończyć zdanie.

Nie znała ani kierowcy, ani jego partnera, co dodatkowo utrudniło jej wyjaśnienie, dlaczego traktuje duchy poważniej, niż w mniemaniu policji na to zasługiwały. Nie chcąc myśleć o psie, skupiła się na próbach odgadnięcia tożsamości nowo przybyłego. Wiedziała, kogo pragnie ujrzeć, lecz uznała to za pobożne życzenia.

Zamknawszy Nicky i Gordona w samochodzie, kierowca przeprowadził jedną rozmowę telefoniczną. Odbyła się na zewnątrz, toteż nie usłyszeli ani słowa. Jednakże spojrzenia rzucone w ich kierunku nie pozostawiały wątpliwości: wszystko wskazywało na to, że policjant relacjonuje komuś sytuację, logika zaś podpowiadała, że tą osobą powinien być komendant we własnej osobie. Ale w końcu mogło się również zdarzyć, że gliniarz rozmawia z oficerem dyżurnym albo nawet ze swoją żoną, która wydaje mu dyspozycje co do kolacji.

- Najwyższy czas - odburknął jego partner, a Nicky skrycie przyznała mu rację.

Atmosfera w samochodzie tak zgęstniała, że można było ją zamieszać łyżką. Nicky (przy niemrawym wsparciu Gordona, który podczas ich krótkiego wypadu na trawnik zdawał się niemalże trzymać stronę gliniarzy) trajkotała jak karabin maszynowy, aż wreszcie policjanci zagrozili, że jeśli się nie zamknie, zakują ich oboje w kajdanki, aż Gordon wymownie trącił ją łokciem w zębra. Od tamtej pory milczała jak zakłeta, czekając na ... no właśnie, sama nie wiedziała, na co.

Pewnie na to samo, co policjanci, gdyż po skończonej rozmowie kierowca opadł ciężko za kierownicę i siedzieli w czwórce przy wyłączonym silniku.

Nicky odgadła, że odpowiedź na to pytanie kryje się w nadjeżdżającym samochodzie, który wyminął radiowóz i zaparkował tuż za nim. Odwróciła głowę, wytężając wzrok. Z auta wysiadł mężczyzna i zatrasnął drzwi. Serce zabiło jej mocniej, ale tym razem nie ze strachu.

Mrok utrudniał widoczność, a tylne szyby radiowozu były przyciemniane, przez co nie widziała dokładnie twarzy przybyłego, jednakże wysoka, szczupła sylwetka nie pozostawiała najmniej szczypliwości. Pierwszy policjant opuścił szybę. Żwir zachrząścił pod czyimiś butami i jakaś postać minęła tylne drzwi. Joe nachylił się do okna i spojrzał na Nicky przez metalową kratkę, oddzielającą tylne siedzenie od foteli kierowcy i pasażera.

- No nie wierzę - powiedział, kiedy zetknęli się wzrokiem. Było niemal zupełnie ciemno i jego twarz kryła się w mroku, ale Nicky dostrzegła błysk w oczach. - Co ty tu, do licha, robisz?

Bez względu na okoliczności nie podejrzewała, że aż tak się ucieszy na jego widok.

- Pracuję - odparła, wysuwając podbródek.

- Ano tak. - Jego spojrzenie ześlizgnęło się na Gordona, który pomachał ręką i rzucił półgębkiem: "Siemka", a następnie powędrowało w stronę policjantów.

- Łazili po cudzym terenie - oznajmił tonem wyjaśnienia kierowca, machając kciukiem w kierunku Old Taylor Place. - O tam.

Nicky prawie stuknęła nosem w kratkę.

- Czy mógłbyś im z łaski swojej powiedzieć, że jesteśmy nieszkodliwi i mogą nas puścić?

Joe zerknął na nią z ukosa.

- To zależy. - I zwrócił się do kierowcy: - Coś jeszcze?

- Kiedy przyjechaliliśmy, stali z kamerą na ganku i zaglądali do środka.

Joe ponownie spojrzał na Nicky.

- Próbowaliśmy coś sfilmować - usprawiedliwiła się Nicky.

- Ducha - wtrącił pozornie nonszalancko kierowca. Joe podniósł brew.

- Ach tak?

Gdzie się człowiek obejrzy, tam napotyka sceptycyzm.

Nicky miała już tego powyżej uszu. Zmrużyła oczy.

- Owszem, widziałam ducha. No i?

- Kiedy filmowaliśmy wcześniej z ulicy, Nicky zdawało się, że widzi w oknie postać przypominającą Tarę Mitchell. Próbowaliśmy ją nakręcić - uzupełnił pospiesznie Gordon. Jak nie omieszkał poinformować wcześniej Nicky, znał na pamięć metody działania prowincjonalnej policji z Południa: zamykają cię n.ś! weekend, a w poniedziałek stajesz przed stetryczalym sędzią. Dwie noce w areszcie bynajmniej mu się nie uśmiechały i wyraził nadzieję, że Nicky podziela jego zdanie. - Gdyby nam się udało, byłby to wielki hit.

- Ale się nie udało - podsumował domyślnie Joe. Nicky ujrzała kątem oka, jak jeden z policjantów szczyrzy zęby i aż się w niej zagotowało.

- Już ja wiem, co widziałam - burknęła. - Możemy iść?

- Czy możemy poprzestać na ostrzeżeniu? - spytał komendant. Policjanci pokiwali głowami. Joe popatrzył na Nicky. - Jeśli w przyszłości zobaczysz taśmę policyjną, spróbuj nie przechodzić na drugą stronę - poradził, stając prosto. Chwilę potem otworzył tylne drzwi radiowozu.

Nicky i Gordon wysiedli skwapliwie i Joe zatrasnął drzwiczki.

- Dobra robota - rzucił pod adresem podwładnych. - Zaczekajcie na wsparcie, a potem pbejdźcie dom.

- Nie ma sprawy. - Kierowca uśmiechnął się i zniżył głos: - Jedno pytanko, szefie: czy jeśli spotkamy ducha, mamy go aresztować?

Nicky zeszywniała odruchowo, ale Gordon potrząsnął głową i rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Dajcie mi znać - uciął Joe.

- Załatwione.

- Dzięki, że pomogłeś nam się z tego wykaraskać. - Gordon zarzucił na ramię torbę z kamerą i ruszył w stronę samochodów.

Nicky ograniczyła się do wzdornego spojrzenia i też skierowała się ku zaparkowanej nieopodal maximie. Mini-van stał kawałek dalej. Odnotowała mimochodem marynarkę i krawat Joego, uznając w duchu, że aparycja komendanta prawie rekompensuje jego parszywy charakter. Nade wszystko pragnęła jednak znaleźć się jak najdalej od nawiedzonego domu i wyjącego psa (który dziwnym trafem akurat zamilkł), zamiast tracić czas na przepychanki tudzież cielece spojrzenia.

- Nie ma problemu. - Joe dołączył do Nicky. Gordon wyprzedzał ich o kilka kroków. - Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego nie siedzisz bezpiecznie w swoim gniazdku w Chicago?

- Już ci mówiłam. Pracuję. I tak się składa, że naprawdę widziałam w oknie ducha Tary Mitchell. I słyszałam wycie psa.

- Wycie psa? - powtórzył z lekkim rozbawieniem Joe.

- Tak samo jak w niedzielę. Tuż przedtem, zanim zostałam zaatakowana. Przed chwilą usłyszałam je ponownie.

- I co to ma niby znaczyć?

Wyczuła jego spojrzenie, ale uparcie wbijała wzrok przed siebie. Kiedy dotarła do samochodu, bagnista woń przybrała na sile. Było ciemno, żaby skrzyknęły się nieopodal na wieczorną próbę chóru. Dokoła rozbrzmiewało cykanie cykad i świerszczy oraz brzęczenie komarów, z których jeden lub dwa zapędziły się w okolice jej twarzy. Odpędziła je odruchowo. Krwiożercze owady stanowią obecnie najmniejsze z jej zmartwień.

- A skąd mam wiedzieć? Tylko ci mówię - warknęła, łąpiąc za klamkę. Otworzyła drzwi, po czym znieruchomiła, przezornie omiatając wzrokiem wnętrze samochodu.

- Jedziesz na lotnisko? - spytał Joe, przystając tuż obok.

- Nie. - Zatrasnęła drzwi, a następnie je zablokowała.

Charakterystyczne kliknięcie nieznacznie poprawiło jej samopoczucie.

Gordon też stanął obok, żeby zamienić kilka słów z Franconim. Nicky zacisnęła usta i opuściła szybę.

- Rano się dzwoniemy i ustalimy plan na resztę dnia, dobrze? - rzuciła pospiesznie, pragnąc niezwłocznie umieścić kluczyk w stacyjce. Była wkurzona, na Joego, Gordona, policjantów i w ogóle na cały świat, który śmiał powątpiewać w jej słowa, i chciała znaleźć się jak najdalej stąd. Każda kolejna spędzona tu minuta była wprost nie do wytrzymania.

- Dobra, nie ma sprawy - odpowiedział Gordon i poszedł.

- Zatem dokąd się wybierasz? - spytał Joe. - Mam nadzieję, że gdzieś daleko.

- Do domu. Do Twybee Cottage.

- Pojadę za tobą. - Kolejne nieznośne sprzeciwu stwierdzenie z ponurym podtekstem: "żebyś dotarła cała i zdrowa".

Nicky zamartała. Wymienili spojrzenia nad opuszczoną szybą.

Nie trzeba, miała na końcu języka. Poradzę sobie, podpowiadała urażona duma. Lecz nerwy wzięły górę nad ambicją. Spójrz prawdzie w oczy, upomniała się posępnie, od dziś oficjalnie boisz się ciemności. Nie zazna spokoju, dopóki nie znajdzie się w wielkim, hałaśliwym domu wśród licznej, hałaśliwej rodziny.

Eskorta w postaci policjanta to coś, czego jej trzeba, zwłaszcza jeśli tym policjantem był Joe.

Może nie darzyła go sympatią, ale zaufaniem owszem.

- Dzięki - odpowiedziała. Skinął głową.

Kilka minut później minął ich minivan Gordona. Nicky ruszyła jego śladem, a Joe pojechał za nią.

Na pierwszym skrzyżowaniu pożegnali kamerzystę klaksonem i machnięciem ręki; skierował się na zachód w stronę południowej grobli, a Nicky pojechała na wschód w kierunku centrum wyspy. Joe przez cały czas podążał tuż za nią: co pewien czas zerknęła we wsteczne lustro, żeby się upewnić.

Wzbraniała się to przyznać nawet sama przed sobą, ale jego obecność stanowiła dla niej wielką ulgę.

Jazda ciemną autostradą, porośniętą z obu stron gęstą plataniną krzewów i sitowia kosztowała ją wiele wysiłku. Reflektory innych pojazdów z rzadka tylko przecinały tu mrok, a w oknach wielkich, starych domów wzdłuż Atlantic Avenue niemrawo rozbłyskiwały pierwsze światła.

Powoli zaczynało do niej docierać, że powrót na wyspę okazał się trudniejszy, aniżeli zakładała.

Najłżejszy szmer sprawiał, że Nicky podskakiwała jak oparzona.

Prychnęła pod nosem. A cóż w tym dziwnego? W ciągu około dwóch godzin od przyjazdu widziała ducha Tary Mitchell i słyszała wycie psa Baskerville'ów. Do tego nie opuszczało jej poczucie, że zło czai się na każdym kroku.

Dobry Boże. Ostatnia myśl nasunęła jej refleksję, że zaczyna rozumować jak własna matka.

Pochłonięta tą obserwacją prawie nie zauważyła, że dotarła na miejsce. Opony maximy zachrzęściły na zwirowym podjeździe, a reflektory omiotły Leonorę, ubraną w luźne, czarne spodnie oraz bluzkę w kwiatowy deseń; i Livvy w obcisłych, różowych legginsach i biało-różowym namiocie. Obie stały pochylone, z rozwianym włosami, zaglądając do wnętrza czarnego mercedesa-benza, zaparkowanego obok srebrnego jaguara Livvy. Najpierw zobaczyła tylko ich plecy, lecz na dźwięk nadjeżdżającego pojazdu obie wyprostowały się jak na komendę, demonstrując jednakowo rozdziawione usta i oczy jak spodki.

Nicky zmarszczyła brwi. Zaparkowała samochód, po czym wysiadła, wyłączwszy uprzednio silnik i reflektory. Znała na pamięć cały repertuar min matki i siostry, toteż i tę rozpoznała bez trudu. Wyrażała ona bebrzeżn poczucie winy.

- Co jest? - zawołała. Stojąc przy drzwiach samochodu, widziała je tylko od bioder wzwyż.

- Ach, Nicky, chwała Bogu, że to ty. - Leonora aż osłabła z ulgi.

- Mało ducha nie wyzionęliśmy ze strachu - dodała Livvy, spoglądając na siostrę z niesmakiem, po czym wsadziła głowę z powrotem do mercedesa.

- Tylko popatrz, na co mi przyszło - zabrzmiał rozgoryczony głos.

Należał do wuja Johna i dobiegał z pewnej wysokości.

Nicky uniosła głowę i mimowolnie otworzyła usta ze zdumienia. Wuj John tkwił jakieś sześć metrów nad ziemią wśród lśniących liści magnolii rosnącej przy ganku i pełził po jednym z grubych konarów, przytrzymując się jedną ręką mniejszej gałęzi nad głową. Drugą zaciskał na pile, która połyskiwała mętnie w żółtym świetle lampy przy wejściu. Metalowa drabina oparta o pień podsuwała odpowiedź na pytanie, jak się tam znalazł.

- To będzie cud, jeśli nie skręcę karku - dodał.

- Przyniosłem lód. - Wuj Ham wypadł z impetem przez frontowe drzwi, zastygł w bezruchu na widok obcego samochodu, po czym jego wzrok padł na siostrzenicę. - Nicky! Witaj w domu, skarbie!

- To nie moja wina - oznajmiła Livvy. Zdażyła wyjąć głowę z mercedesa i bezsilnie opierała się o zamknięte tylne drzwi, przyciskając rękę do wydatnego brzucha. Leonora nadal zaglądała do środka. Livvy popażyła błagalnie na siostrę. - Nazwał mnie wielorybem.

Oho. Czyżby komuś życie było niemiłe?

Wuj Ham odzyskał władzę w nogach i zbiegł po schodkach, taszcząc ścierkę ewidentnie wypchaną kostkami lodu. Wuj John dalej pełził po gałęzi, z lękiem pytając zgromadzonych, czy ich zdaniem już wystarczy. Leonora wyłoniła się z mercedesa i z dezaprobatą spoglądała na starszą córkę, której broda zatrzęsała się niebezpiecznie.

Nicky mimochodem odnotowała wszystkie szczegóły, ponieważ jej uwagę przykuło coś innego. Na zwirowym podjeździe, tuż obok matki i siostry, dostrzegła dwie nieruchome męskie stopy w czarnych, garniturowych butach. Widoczne ponad butami nogawki w spodniach w prążki prowadziły do zgiętych kolan, a reszta ciała ginęła w oświetlonym wnętrzu samochodu. Obrazek nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, lecz Nicky stanęła jak wryta, nie wierząc własnym oczom. Nagle zrozumiała, że na przednim siedzeniu mercedesa istotnie leży mężczyzna. Zrozumiała też, że widok samochodu bynajmniej nie jest jej obcy: widziała go podczas ubiegłych świąt, kiedy siostra wraz z mężem przyjechali na wyspę.

A zatem osobnik spoczywający w pozycji horyzontalnej mógł być tylko jej wkrótce byłym szwagrem. Który nazywał Livvy wielorybem.

- O Jezu. - Nicky przycisnęła rękę do ust i rzuciła się oceniać rozmiar szkód.

Rzeczywiście, na siedzeniu leżał Ben we własnej osobie. Leonora i Livvy wciąż zasłaniały sobą drzwi, ale udało jej się dostrzec (obecnie biały jak śnieg) męski profil o zdecydowanym zarysie oraz starannie przystrzyżone płowe włosy. Mężczyzna miał zamknięte oczy i leżał bezwładnie z otwartymi ustami. Nicky utkwiała przerażony wzrok w twarzy siostry i opuściła rękę.

- Liv, coś ty narobiła?

- Walnęła go świecznikiem - oświadczył nie bez pewnej satysfakcji wujek Ham, podając Leonorze ścierkę z lodem. - Zawsze wiedziałem, że drzemie w niej temperament Jamesów.

- Kiedy ja nie chciałam zrobić mu krzywdy - zaproponowałam Livvy cienkim głosikiem. - Ja tylko ... wyszłam z siebie. Pojechałam do domu po swoje rzeczy, a on nagle stał w progu i oznajmił, że nie mam prawa niczego zabierać. Pobiegłam do samochodu, który był już prawie pełny, i uciekłam. Przyjechał za mną aż tutaj. Zaczął się wydzierać, jaka to ja jestem niedojrzała, a Alison cudowna i nazwał mnie wie-wielorybem. - Wszyscy wiedzieli, że Alison była ładacznicą, dla której Livvy została porzucona przez męża.

Słuchając drżącego głosu siostry, Nicky miała ochotę kopnąć szwagra w kostkę, ale i tak nic by nie poczuła.

- Wtedy go walnęła. Jedliśmy właśnie kolację i widzieliśmy wszystko przez okno - uzupełnił z zadowoleniem wujek Ham.

- Wynosiłam świeczniki z samochodu. Te po babci wyjaśniła Livvy. - No wiesz, które.

Nicky wiedziała. Dwa okazały srebrne świeczniki sprzed wojny secesyjnej zajmowały honorowe miejsce w jadalni siostry, począwszy od dnia ślubu Livvy i Bena. Miały jakieś siedemdziesiąt pięć centymetrów wysokości każdy i ważyły blisko siedem kilo.

Nicky wytrzeszczyła oczy na siostrę, a następnie przeniosła wzrok na nieruchome kończyny szwagra.

- Czy on ... ? - Chciała powiedzieć "Inne żyje", ale chrzęst opon i snop reflektorów na podjeździe kazał jej podskoczyć w miejscu i obrócić się na pięcie. Wszyscy zebrani (z wyjątkiem unieruchomionego Bena i wuja Johna na drzewie) uczynili to samo i jak na komendę wstrzymali oddech.

- To Joe. - Nicky przypomniała sobie o "obstawie". - Joe Franconi. Jechał za mną.

- Mówisz o komendancie policji? - Leonara przycisnęła rękę do piersi.

- Uwaga, leci! - Wielka gałąź magnolii spadła z łoskotem na ziemię i wszyscy znów podskoczyli.

- Powiemy Benowi, że oberwał w głowę gałęzią - wyjaśnił pospiesznie wujek Ham. - O ile odzyska przytomność, rzecz jasna. - I syknął, łypiąc w górę: - Ucis� się do cholery, John. Nie widziałeś, kto tu właśnie podjechał?

- O w mordę.

Stali jak na arenie, uwięzieni w kręgu reflektorów terenówki, która właśnie parkowała obok maximy.

Musieli tworzyć nader malowniczy widok, kiedy tak trwali bez ruchu z winą wprost wypisaną na twarzy. I to jeszcze zanim Joe dostrzegł wuja Johna na drzewie. Bądź wystające z auta nogi Bena, skoro już o tym mowa.

- Nie pójdę do więzienia, prawda? - spytała płaczkliwie Livvy. - Nazwał mnie wielorybem.

Nicky uprzytomniła sobie, że postępek siostry mógł uchodzić za czynną napaść (bez względu na "wieloryba"), chyba że Ben nie żył, co naturalnie zmieniłoby postać rzeczy.

- Cicho - warknęła kątem ust Leonara. - Nie pójdziesz do żadnego więzienia. - Następnie dźgnęła młodszą córkę palcem w plecy. - Spław go. I to już.

No dobra. Nicky poczuła, że jest na skraju hysterii. Jeszcze tylko odrobina wysiłku ...

- Dobry wieczór wszystkim. - Joe wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwi i ruszył w ich kierunku.

Znajdował się w cieniu, podczas gdy oni (jak sobie uświadomiła ze zgrozą Nicky) stali jak na patelni.

- Cześć, Joe - odpowiedziała chórem rodziny.

Nicky dostrzegła kątem oka, że wszyscy stłoczyli się przy drzwiach mercedesa, bezskutecznie usiłując zasłonić nogi Bena. Wuj Ham i Leonara uśmiechali się promiennie, a Livvy, biała jak ściana i pękata jak dynia, z oczami niczym talerze i zębami wyszczerzonymi w trupim grymasie, oparła się o ramię matki i na powitanie uniosła rękę, przebijając w powietrzu palcami.

Przycajony na drzewie wuj John nie dawał znaku życia. Nicky miała nadzieję, że Joe też go nie widzi.

Pozostali członkowie rodziny sprawiali wrażenie równie swobodnych i naturalnych jak mrożone dorsze.

Zdjęta nagłym lękiem, że Joe lada chwila okrąży samochód, i zobaczy sterzące nogi Bena, Nicky postanowiła za wszelką cenę temu zapobiec.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Znajdował się tak blisko, że Nicky dostrzegła lekką zmarszczkę na jego czole. Najwyraźniej zachowanie zebranych wzbudziło w nim niepokój.

- Jasne.

- No ba.

- Jak w szwajcarskim zegarku.

Odpowiedzi padły niemal jednocześnie i wszystkie zabrzmiały równie fałszywie.

Joe znajdował się prawie na wysokości swojego zde-rzaka.

Nicky podbiegła i zastąpiła mu drogę.

Spojrzał na nią i wyraz jego twarzy uległ raptownej zmianie. Oczy rozblęły niebezpiecznie, usta zacisnęły się w wąską kreskę. Wyglądał jakby lada chwila wybuchnąć. I to z jej powodu.

No i dobrze. Jak się dobrze zastanowić, ona też miała powody do zdenerwowania. I pierwsza da temu wyraz.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła, siląc się na gniewny ton.
- Święta racja. - Rzucona ściszonegłosową odpowiedzi dotarła tylko do uszu Nicky.
- Doskonale. - Po czym w przyplwywie olśnienia dorzuciła: - Na osobności.
- Czytasz w moich myślach, skarbie.

Może i była wściekła, przerażona i pełna obaw, że jej chwilowo niepoczytalna siostra trafi do wariatkowa albo za kratki, ale to "skarbie" wypowiedziane seksownym jankeskim tonem połaskotało ją w brzuchu. Lub gdzieś w jego okolicach.

- Idziemy na spacer po plaży! - zawołała przez ramię, nie oglądając się za siebie. I z echem matczynego "bawcie się dobrze" w uszach złapała Joego za rękę i pociągnęła go za sobą, byle dalej od miejsca przestępstwa, w kierunku rozchwianego chodnika z desek, prowadzącego przez wydmy w kierunku plaży.

To, że piękna kobieta wlecze go za sobą jak krnąbrnego psa, nie było wcale takie złe, lecz jeśli wziąć pod uwagę okoliczności, sytuacja wydawała się ze wszech miar podejrzana.

- O co tam chodziło? - spytał, kiedy minęli dom i ruszyli ścieżką na plażę.

Przy wielu starych domach z widokiem na ocean były właśnie takie drewniane chodniki, które wiodły przez wieczn migrujące wydmy, ułatwiając dostęp do plaży. I podobnie jak same domy większość z tych drózek powstała w zgodzie z "nonszalanckim" trendem domińującym na wyspie, przy czym niektóre były bardziej rozchwiane od innych. Ta, po której stąpali, należała do tej właśnie kategorii: trzeszczała niebezpiecznie pod stopami, a jej wsporniki nasuwały myśl o pajęczych nóżkach.

- Wszystko w normie - odrzekła Nicky, po czym, uzmysłowiwszy sobie, że ciągnie Joego za sobą, zwohila kroku i puściła jego rękę.

On zaś aż się zdziwił, jak bardzo zatęsknił od razu za dotykiem tych ciepłych, jedwabistych palców.

- Zwykły sobotni wieczór w rodzinnym gronie, tak?

Nicky skrzywiła się lekko.

- Najzwyklejszy.

Obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Ale te słowa zabrzmiały szczerze, a on stanowczo bardziej wolał iść na plażę aniżeli mieszać się w cudze sprawy, toteż dał za wygraną.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział, czując, jak napięcie w okolicach ramion i karku powoli ustępuje. Po raz pierwszy od tygodnia coś sprawiało mu bezsprzeczną przyjemność. Po namyśle stwierdził, że tym czymś jest po prostu towarzystwo Nicky. - Czy oni wszyscy mieszkają razem?

Znów się skrzywiła.

- Zazwyczaj nie. Ale przechodzimy coś w rodzaju ... rodzinnego kryzysu i nastąpiło zgrupowanie sił.

Szli teraz obok siebie. Joe celowo zbaczał z tematu, starając się odwlec kłopotliwą wymianę zdań, która, jak wie-dział, była nieunikniona. Poza tym był zaintrygowany.

- Jaki kryzys?

- Chcesz powiedzieć, że nic nie wiesz? Myślałam, że wszyscy na wyspie już wiedzą.

Wzruszył ramionami.

- Ja nietutejszy. Wiele informacji do mnie nie dociera.

- No tak. Cóż ... - Zawiesiła głos.

Dotarli na szczyt wydm i przed nimi rozpostarła się skąpana w księżycowej poświacie, atramentowa i nie-okiełznana przestrzeń oceanu. Nadchodził przyplwy, fale nacierały na brzeg niczym stado galopujących rumaków o białych grzywach. Huk był wprost ogłuszający. Już nie wietrzyk, ale wiatr uderzył Joego prosto w twarz; pachniał i smakował solanką jak ostrygi. Następnie porwał krawat i załopotał nim jak flagą.

Bujne włosy Nicky ulatywały we wszystkie strony, zasłaniając jej twarz i wpadając do ust. Bezskutecznie próbowała nad nimi zapanować. Joe obserwował z przyjemnością, jak dziewczyna odsuwa niesforne kosmyki, po czym unosi rękę i odgarnia włosy. Rzeźbiony blaskiem księżycy profil Nicky był misterny i delikatny jak kamea, tyle że żadna kamea nie miała tak długich rzęs ani równie zmyślowych ust.

Joe z wysiłkiem odwrócił wzrok.

- Livvy ... moja siostra ... rozstała się z mężem. Dopiero po chwili wrócił myślami na właściwy tor.

- Jest w ciąży - uzupełniła Nicky. - A mąż Livvy to prawdziwy gnojek. Ciężko jej się pozbierać, dlatego prze-prowadziła się do mamy i Harry' ego. Harry jest trochę wystraszony sytuacją i woli się nie mieszać,

ale wuj John i wuj Ham pomagają, jak tylko mogą. Mieszkają w Savannah, ostatnio jednak spędzają mnóstwo czasu w Twybee Cottage. Głównie z powodu Livvy, lecz wuj Ham planuje też otworzyć tu restaurację. Jest właścicielem Hamilton House w Savannah, może coś ci się obilo o uszy.

Ostatnie zdanie wypowiedziała z nieskrywaną dumą. - Obilo. - W toku śledztwa ustalił, że Hamilton House była jedną z naj słynniej szych restauracji w całym regionie. Hamilton James cieszył się opinią szanowanego przedsiębiorcy, krewkiego mistrza patelni i południowego arystokraty z krwi i kości. Jego życiowy partner John był zarazem współnikiem w interesach oraz księgowym i uchodził za mniej popędliwego.

- Jak gdyby tego było mało, moja matka też przecho-dzi kryzys. Twierdzi, że jest zablokowana. Tak jakby utraciła swoje zdolności. Jest tym bardzo podenerwowana.

Joe zastanowił się przez chwilę.

- Skoro połączenie z zaświatami wysiadło, jakim cu-dem nawiązała kontakt z Tarą Mitchell? - spytał z nutką triumfu w głosie, jakby chciał przyłapać Nicky na gorącym uczynku.

Najwyraźniej pomyślała to samo, gdyż rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Wiesz co? Ja też dokładnie nie wiem, jak to działa, nie jestem medium. Skoro jednak mama twierdzi, że widziała Tarę Mitchell, nie mam powodu, by jej nie wierzyć. O mojej matce można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest kłamczuchą.

Popędliwość to chyba rodowa cecha Jamesów, pomy-słał Joe, zerkając z ukosa na swą zaciętrzewioną towarzyszkę. Czy się nie mówi, że płomiennie włosy idą w pa-rze z płomiennym usposobieniem (co z jego perspektywy nie było wcale takie złe)?

Sę w tym, że igrając z ogniem, można się poparzyć ... A tego przecież nie chciał.

- Chwileczkę. Nic takiego nie powiedziałem. Zadałem tylko pytanie, które na moim miejscu nasunęłoby się każ-demu.

Kolejne piorunujące spojrzenie.

- To, że ty nie wierzysz w duchy, wcale nie znaczy, że one nie istnieją.

Joe pomyślał o Brianie, który szczęśliwie gdzieś był. - Cóż mogę powiedzieć? Nie wystarczy wierzyć w duchy. Ja potrzebuję dowodu.

Dotarli do końca ścieżki, biała plaża rozciągała się przed nimi niczym jasna autostrada. Księżyc wisiał tuż nad horyzontem, wielki i krągły jak piłka, mlecznobiały na tle atramentowego nieba. Jego odbicie połyskiwało na wodzie niczym glazura na cieście. Zza warstwy poszarpanych chmur wychynęło kilka gwiazd.

- Ostrożnie. - Joe przystanął, aby Nicky mogła pierwsza zejść po schodach. Zawahała się, trzymając jedną rękę na balustradzie, a drugą wciąż odgarniając włosy, a następnie czujnie rozejrzała się po nie całkiem opustoszałej plaży. W oddali spacerowała jakaś para, dostrzegli też uprawiającą jogging kobietę z dużym psem, chyba labradorem, który wbiegał do wody i umykał na brzeg.

W bezpośrednim sąsiedztwie nie było jednak nikogo. W obliczu tej niezwykle kuszącej i obiecującej refleksji Joe odruchowo przywołał się do porządku. Niestety, w obecności Nicky podobne myśli ustawicznie krążyły mu po głowie i nie miał pojęcia, co z nimi począć. Podobała mu się - i to bardzo; ba, pragnął jej. A największy problem pol-gał na tym, że pogoń za pragnieniem była trwale wpisana w jego naturę.

Jednak romans z nią skomplikowałby tylko jego wy-starczająco już skomplikowane życie.

Na wyspie nie brakowało miłych, ładnych kobiet, goto-wych w razie potrzeby uchylić mu drzwi sypialni. Byłoby to bez porównania łatwiejsze rozwiązanie, idące w parze z jego jak dotąd niezłomnym postanowieniem o nowym, spokojnym życiu.

Grunt to nie stracić kontroli i1.ad sytuacją i uśpić w so-bie tę przebrzydłą, awanturniczą żyłkę.

Nicky popatrzyła w jego stronę i jej widok dosłownie zaparł mu dech w piersi. Miała wielkie, ciemne oczy, jej skóra połyskiwała w blasku księżyca. Wiatr przyciskał jej bluzkę do ciała, podkreślając idealną figurę.

W akcie osta-tecznej desperacji Joe przypomniał sobie, że zawsze lubił, kiedy kobieta miała wszystko na swoim miejscu: duże piersi, okrągłą pupę. Tymczasem Nicky zupełnie nie pasowała do tego opisu. Była wprost niewiarygodnie szczupła, piersi miała drobne i na bank naturalne, miseczka najwy-żej B. Wąska talia, niemal chłopiące biodra. A do tego smukłe nogi, długie aż do nieba.

Kiedy na nią patrzył, przypomniały mu się słowa Spencera Tracy'ego na temat Katherine Hepburn, coś w rodzaju: "może nie ma na sobie dużo mięsa, ale to, co jest, jest przedniego gatunku".

I do tego seksowne. Seksownie jak diabli.

- Masz przy sobie broń, tak? - spytała rzeczowo i szlag trafił nastrój.

Odruchowo zmarszczył brwi, a złość, zapomniana w wyniku nieoczekiwanego przyływu słabości,

powróciła ze zdwojoną siłą. No dobrze, uroczyste tete-a-tete oficjalnie dobiegło końca. Pora nakłonić Nicky do opuszczenia wyspy. A przy okazji, jego życia.

Joe nie odzywał się przez chwilę. Stał na tle nocnego nieba, rozkołysanych zarośli oraz spadzistego dachu Twybee Cottage w tyle i w milczeniu świdrował ją wzrokiem. Wreszcie bez słowa odchylił marynarkę, ukazując kaburę: odcinała się na białym tle koszuli. Błysnął fragment kolby. Był to nader krzepiący widok.

- Zadowolona? - spytał z kpina w głosie. Nicky zrozumiała, że nadal jest wkurzony. Jej wścibstwo wyraźnie nie przypadło mu do gustu.

Miała w nosie jego huśtawki nastrojów.

Kiwnęła głową. Dramat rozgrywający się w domu najprawdopodobniej trwał w najlepsze, toteż chcąc nie chcąc odwróciła się i zeszła na plażę. Wiatr nie był tutaj tak porzywisty i gdy stopy Nicky dotknęły piasku, mogła wreszcie przestać walczyć z włosami i założyć je za uszy. Kiedy siłą przyzwyczajenia skierowała się ku skupisku hoteli, barów i sklepów z pamiątkami na północnym krańcu wyspy, Joe ruszył za nią. Odkąd sięgała pamięcią, mieściło się tam małe centrum handlowe; w dzieciństwie często bawiła się z siostrą pod dawno zburzoną arkadą i kupowała lodki w nieistniejącej od dawna małej cukierni. Teraz widoczny z oddali krąg neonów tworzył w ciemności oazę światła.

- Musisz zdawać sobie sprawę, że twój przyjazd był szczytem głupoty, inaczej nie pytałabyś o broń - odezwał się Joe.

Miała rację. Naprawdę był wkurzony.

- Możliwe.

Sęk w tym, że straciła ochotę na kłótnię. Była wykończona i wciąż nieco roztrzęsiona po swym pierwszym spotkaniu z duchem; martwiła się o siostrę, martwiła się o pracę, a także o własne bezpieczeństwo, może nieko-

niecznie w tej kolejności. W dodatku od dawna nie spotkała mężczyzny, który pociągałby ją tak jak Joe, nawet mimo jego piorunujących spojrzeń. Warto przyjrzeć się mu uważniej, stwierdziła. Kiedy ostatnio pozwoliła sobie na odrobinę romantyzmu? Prawdę mówiąc, nie pamiętała.

- Możliwe? Na własne życzenie pakujesz się w ręce mordercy, który już raz nastawał na twoje życie i najwyraźniej na tym nie poprzestanie, a ty mi mówisz "możliwe"? Co cię przekona? Własny pogrzeb? Sarkazm z całą pewnością nie należał do cech, które najbardziej ceniła u mężczyzn. Ba, nie był nawet w pierwszej dekadzie.

- Słuchaj, to chyba nie twoja sprawa, co?

- Nie, no skąd. Jestem szefem policji, pamiętasz? Moim zadaniem jest pilnować, aby ludzie nie ginęli zamordowani. Nawet ci karygodnie bezmyślni. Dlatego grzeczni proszę, żebyś zrobiła nam obojgu przysługę i wróciła do Chicago.

Powiedział to tak, jakby się spodziewał, że Ona położy uszy po sobie i bez szemrania pójdzie do samochodu. A to dobre.

- Nie.

Aż go zatkało. Złość mało go nie rozsadziła; typał groźnie na Nicky kątem oka, lecz dziennikarka uparcie unikała jego wzroku. Patrzyła na ocean: daleko, na horyzoncie, dostrzegła czarny, kanciasty zarys trawlera, a nieco dalej połyskiwały światła prywatnego jachtu albo niewielkiego statku rejsowego. Szli wzdłuż brzegu, o krok od linii wody. Nicky obserwowała jak spienione fale napierają na brzeg, a następnie ustępują, zaledwie parę centymetrów od jej stóp. Piasek był mokry i twardy, prawie jak asfalt. Wiatr ucichł do szeptu, gwiazdy rozbłyskiwały nad głową. Nicky знаła na wylot nastroje wyspy, maj zaś był jednym z jej ulubionych miesięcy. Słoneczne, upalne dni, ciepłonoce, turystów jak na lekarstwo. Trudno sobie wyobrazić bardziej wymarzony czas.

Naturalnie pomijając fakt, że gdzieś w okolicy czaił się psychopatyczny morderca.

- Przecież nie możesz chcieć tu zostać - perswadował usilnie Joe. - Mejl wystraszył cię nie na żarty, że nie wspomnę o twojej reakcji na wiadomość, którą zostawił ci na komórce. Twój mózg wówczas funkcjonował jak należy. Co ci, u diabła, strzeliło do głowy, żeby tu wrócić, skoro go jeszcze nie złapaliśmy?

Nicky nie lubiła, kiedy jej przypomiano o strachu. Dawnym i obecnym.

- Tracisz czas - ucięła. - Nigdzie się stąd nie ruszę. Ani mnie nie przekonasz, ani nie zapakujesz siłą do samolotu, może więc dla odmiany pogadamy o czymś innym?

Cisza. Cóż, prawda wyglądała tak, że skoro ta kobieta nie chciała wyjechać, on mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce. I oboje doskonale o tym wiedzieli.

- Cholera jasna, Nicky ...

Frustracja w jego głosie nie uszła jej uwagi, ale nie to ją uderzyło. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. A owo "Nicky", wypowiedziane seksownym, jankeskim tonem sprawiło, że zmiękła. I postanowiła chociaż jakoś się wytłumaczyć.

- Producent chciał przysłać na moje miejsce innego reportera, rozumiesz? Przekonałam go, żeby tego nie robił, bo to mój temat. W porządku, przyznaję, mam stracha. Ale nie, nie ustąpię. To dla mnie bardzo ważne.

- Nie mam tylu ludzi, żeby ci zapewnić całodobową ochronę - Joe wciąż sprawiał wrażenie rozdrażnionego. - Wcale o to nie proszę.

- Aha, czyli mam robić swoje, podczas gdy ty będziesz trzymać kciuki, żeby morderca zostawił cię w spokoju?

- Zamierzam być bardzo ostrożna.

Joe prychnął.

_ Taa, jasne. Przyjechałaś na wyspę, ile, dwie, dwie i pół godziny temu? A już prawie cię aresztowano za wtargnięcie na cudzy teren i to gdzie? W Old Taylor Place, czyli ostatnim miejscu, w którym powinnaś się znajdować. A teraz spacerujesz sobie jak gdyby nigdy nic po pustej plaży z obcym, uzbrojonym mężczyzną. Skąd wiesz, że to nie ja jestem mordercą?

- Jesteś policjantem.

_ I co z tego? Wierz mi, to naprawdę nic nie znaczy.

_ Przybiegłeś mi na pomoc, kiedy zostałam zaatakowana pod drzewami. To nie mogłeś być ty - oznajmiła z triumfem.

_ Niech ci będzie - przyznał po chwili. - Założmy, że przy mnie jesteś bezpieczna. Czyli zostaje około pięciuset innych mężczyzn na wyspie. Nie wspominając o dziesiątkach tysięcy w całym regionie. W Murrels Inlet, Litchfield albo Savannah.

Spojrzała na niego ukradkiem. Pomimo ciemności dostrzegła jego zaciśnięte szczęki i ostre spojrzenie. Nie uległa wątpliwości, że ten facet naprawdę martwi się o jej bezpieczeństwo. Nicky zmiękła jeszcze bardziej. Szli tak blisko siebie, że otarli się ramionami. Widziała kreskę zaciśniętych ust, zarys rzęs, zmarszczkę na czole.

Serce mocniej zabiło jej w piersi i po raz kolejny spróbowała się wytłumaczyć.

_ Widzisz, w telewizji rządzi prawo dżungli, walczysz albo wypadasz z gry. Tak się składa, że ostatnio jestem jak-by po stronie przegranych. I do tego mam dwadzieścia dziewięć lat.

- Witaj, babciu.

I znów ten sarkazm. Dostrzegła jednak cień uśmiechu i też uśmiechnęła się blado.

_ Wierz mi, w naszym zawodzie to sporo. Jeśli wkrótce mi się nie poszczęści, polegnę jak nic. A gdy "Na tropie tajemnic" wypadnie z ramówki, moje akcje polecą na łeb na szyję. Jeżeli jednak wszystko pójdzie gładko, może nawet zostanę współprowadzącą w wiadomościach porannych.

Ostatnia informacja nie wywarła na nim żadnego wrażenia.

- Pytanie tylko, czy warto za to umrzeć.

- Ależ ja wcale nie zamierzam umierać.

- A kto zamierza?

Coś na kształt goryczy w jego głosie sprawiło, że zerknęła nań pytająco. Wymienili spojrzenia i Joe skrzywił się lekko.

- To prowadzi nas do punktu wyjścia: dopóki go nie złapiemy, powinnaś się trzymać z dala od wyspy.

- Pozwól, że ja też wrócę do punktu wyjścia: nie. Popatrzyl na nią badawczo.

- Zawsze jesteś taka uparta czy po prostu mam szczęście?

- Czy to podchwytliwe pytanie z kategorii "Kiedy przestał pan bić swoją żonę?"

Joe roześmiał się mimowolnie.

- Rozumiem, że odpowiedź brzmi "zawsze".

- Możesz to rozumieć, jak chcesz.

Dotarli niemal do żółtej plamy światła padającego od strony sklepów i lokali. Na plaży zaroilo się od turystów, większość wyglądała na wczesnych urlopowiczów. Tuż na skraju wody przysiadł na plastikowym leżaku starszy mężczyzna. Jakaś para w wyjściowych strojach minęła granicę światła i wolnym krokiem ruszyła wzdłuż plaży.

- Byłaś tu kiedyś? - Joe wskazał głową budynki.

Nicky dostrzegła jeden ze znanych w całym regionie sklepów z hamakami, jubilera, sklep z akcesoriami do nurkowania oraz piekarnię, czyli kompleksową pułapkę na turystów. Zgodnie z jaskrawym neonem

na jednej ze ścian całość nosiła nazwę Nadmorskiego Kurortu ... Spa. Był to naj nowszy kompleks hotelowy, wzniesiony w miejscu dawnego, zburzonego centrum. Trio czterokondygnacyjnych białych budowli ze stiukami miało czerwoną dachówkę, hiszpańskie arkady oraz balkony z kutego żelaza. Wzdłuż alejek, ogródków ze stolikami i dokoła basenu rośły palmy, jukki, hibiskusy oraz jaskrawoniebieskie floksy, tworząc wielobarwną oazę na tle śnieżnobiałego piasku.

Podziwiał i płacł, Kochaniutki ... Nicky potrząsnęła głową.

- W dzieciństwie przychodziliśmy tu z siostrą na lody, ale kiedyś to wszystko wyglądało trochę inaczej.

- Zaryzykujemy?

Zmarszczyła brwi.

- Słucham?

- Mam na myśli kolację - wyjaśnił. - Ja nie jadłem, a ty?

- Też nie.

- Zjemy razem?

- Ja ... - Ku swemu zdumieniu Nicky odkryła, że odpowiedź brzmi "tak". Popatrzyła na swoje ubranie: prezentowało się jak należy (chwała niebiosom za niegniotać tkaniny!), ale wygodne półbuty z kwadratowymi noskami były mocno zapiaszczone, podobnie jak nogawki spodni, choć co do tego ostatniego nie miała pewności. Na wargach nie zostało chyba już ani śladu szminki, a włosy wyglądały, że pożał się Boże.

- Wyglądasz prześlicznie - zapewnił Joe, bezbłędnie odczytując jej wahanie.

Wymienili spojrzenia i widok tych przepastnych, ciemnych oczu sprawił, że serce znów jej zabiło mocniej w piersi. Wraz z nim napłynęły myśli, od których Nicky aż zabrakło tchu.

Gdyby tylko chciała ...

- Dziękuję - odrzekła, udając niezachwiany spokój. - Chętnie.

W odpowiedzi posłał jej czarujący uśmiech, który odwzajemniła. Następnie przecięli kąt światła i weszli do hotelu.

Gdy Joe udał się na poszukiwanie wolnego stolika, Nicky zajrzała do pobliskiego sklepiku i zrobiła użytek z dwudziestodolarówki, którą zawsze nosiła na wszelki wypadek w kieszeni. Uzbrojona w parę drobiazgów schroniła się w toalecie, gdzie wprowadziła naprędce kilka niecierpiących zwłoki poprawek do swego wyglądu. Z jako tako przyglądzonymi włosami, upudrowanym nosem i błyszczkiem na wargach skierowała się w stronę restauracji. Było to urocze, kameralne miejsce z marmurową posadzką, przydymionymi lustrami na ścianach oraz świecami migoczącymi pośrodku każdego stolika.

Porozmieszczane strategicznie palmy w donicach dawały wrażenie prywatności. Szeffową sali była dziewczyna, a właściwie kobieta, z którą Livvy chodziła do podstawówki. Rozpływając się w uśmiechach, zapewniła Nicky, że co tydzień ogląda "Na tropie tajemnic" i nie może się doczekać kolejnego programu. Następnie ściszone głosem wyraziła ubolewanie z powodu "tego strasznego wypadku" (mając na myśli śmierć Karen), po czym zaprowadziła ją do stolika, przy którym czekał Joe. Na ich widok podniósł się z krzesła i Nicky znów nie mogła oprzeć się myśli, że w marynarce i krawacie wyglądał bardzo korzystnie. Odusunął jej krzesło, co dodatkowo ją ujęło: zawsze miała słabość do dżentelmenów. Jeśli zaś dobre maniere szły w parze z atrakcyjnym wyglądem, sprawa wydawała się z góry przesądzona. Kierowniczką sali też była pod wrażeniem: obrzuciła Joego drapieżnym spojrzeniem, które mówiło, że a) wpadł jej w oko i b) wiadomość o ich "randce" obiegnie rano całą wyspę. Następnie posłała Nicky pełne uznania spojrzenie i zostawiła ich pod opieką kelnerki.

- Mam nadzieję, że nie przejmujesz się plotkami na swój temat - powiedziała Nicky, gdy kelnerka przyjęła zamówienie i też odeszła.

Joe wzruszył ramionami.

- To chyba cena za kolację ze sławną kobietą.

Nicky skrzywiła się ironicznie.

- Ależ ja wcale nie jestem sławna, naprawdę. W Chica-go chodzę na zakupy, do restauracji, kina i rzadko kiedy ktoś mnie rozpozna. Tu jest inaczej. Ot, miejscowa, której udało się w wielkim świecie. Myślę, że ona będzie raczej paplać o tobie. Coś w rodzaju: "A wiecie, z kim Franconi jadł wczoraj kolację?"

- Tak to już jest na Południu. - Joe uśmiechnął się lekko. - Wszyscy wsadzają nos w cudze sprawy.

- Hej - zaproponowała Nicky. - Przynajmniej ze sobą rozmawiają.

Joe wyszczerzył zęby.

- I to ma być plus?

Zadzwoił telefon Nicky. Z przepaszającym uśmiechem wyjęła aparat z kieszeni, spojrzała na wyświetlacz i westchnęła.

- Przepraszam - powiedziała. - To moja matka. Jeśli nie odbiorę, zamartwi się na śmierć.
- Bystra kobieta - zauważył oschle Joe.
Nicky popatrzyła na niego zmrużonymi oczami.
- Halo - rzuciła do słuchawki.
- Gdzieś ty przepadła? - zapytała Leonora.
- Jemy kolację w nowym hotelu przy plaży.
- Jecie kolację? - zdumiała się matka. - Ty i Joe Franconi? Chcesz powiedzieć, że masz randkę?
- Coś w tym stylu. - Nicky uśmiechnęła się do kelnerki, która przyniosła napoje i sałatki, po czym znów znikła. Na szczęście pozostałe dwa zajęte stoliki stały w pewnej odległości od nich: znizywszy głos, nie musiała się martwić, że przeszkadza innym gościom.
- Aha. No cóż, to chyba dobrze. To znaczy, robi miłe wrażenie i jest niczego sobie, ale ... - Leonora urwała, po czym dodała poniewczasie: - Siedzi obok? Słyszysz, co mówię?
- Słyszysz, co mówi? - spytała Nicky, zwracając się do Joego.
- Nie pytaj go o to - syknęła matka, a on z uśmiechem pokręcił głową.
- Nie - oznajmiła do telefonu Nicky. - A przynajmniej? Dzwonisz w jakimś konkretnym celu?
- Chciałam ci tylko powiedzieć, że uporaliśmy się z Be-nem. Możesz wracać. - Nastąpiła krótka pauza. - O której będziesz?
- Nie mam zielonego pojęcia.
- Aha. - Leonora przetrwała słowa córki i w jej głos wkradł się cień niepokoju. - Chyba nie jest żonaty, co? W sumie nic o nim nie wiemy, tyle tylko, że przyjechał z północy. Kto wie, może to ...
Nicky bezlitośnie przerwała jej w pół zdania. Joe z nie-winną miną pochłaniał sałatkę; wymienili spojrzenia. Na-rzaz ogarnęły ją podejrzenia, czy aby mówił prawdę, że nie słyszy. A zresztą ...
- Wszystko w porządku, mamo. Nic się nie martw. Muszę kończyć, sałatka czeka. Pa.
Rozłączyła się, schowała telefon i chrupiąc sałatkę, po-grążyła się w głębokim namyśle.
No dobra. Czasami ... ale tylko czasami ... matce zdarzało się mówić do rzeczy.
- A więc - zapytała wprost, patrząc na niego ponad stolikiem - jesteś żonaty?
Usta mu drgnęły.
- Kazała ci zapytać, tak? Odpowiedź brzmi nie, nie je-
stem.
Zważywszy na kierunek, w jakim podążały myśli Nicky, była to zdecydowanie dobra wiadomość.
- A byłeś?
- Nie.
- Zaręczony? Stała dziewczyna? - Nicky uniosła brwi i wzięła do ust kolejny kęs sałaty lodowej, polanej sklepo-
wym winogrem. Przyzwoita, ale nic specjalnego. Przy-najmniej nie aż tak, by rozproszyć jej uwagę.
Joe uśmiechnął się pobłaźliwie.
- Nie.
- To dobrze.
Aluzja zawarta w jej odpowiedzi sprawiła, że pociem-
niały mu oczy, a Nicky wstrzymała oddech ...
Zanim którekolwiek z nich zdążyło coś dodać, zjawiła się kelnerka z talerzami. Trajkocząc postawiła je na stoliku i czar prysł. W karcie dań, jak na nadmorski lokal przysta-
ło, królowały owoce morza, w związku z czym Nicky za-mówiła grillowane krewetki z kaszą, a Joe kraba, na które-go rzucił się z apetytem kogoś, kto ostatnio jada w biegu. Nicky poszła jego śladem, choć, wykazała przy tym nieco mniejszy entuzjazm. Odnotowała z zadowoleniem, że po-dobnie jak sałatka.danie było przyzwoite, acz niezbyt wy-
szukane. Restauracja wuja Hama, której otwarcie nastąpi zapewne w trakcie sezonu, zmasakruje konkurencję.
- Czy od naszej czwartkowej rozmowy pojawiły się nowe wątki w śledztwie? - spytała, delikatnie krojąc kre-
wetkę.
Joe podniósł wzrok znad talerza i rzucił jej badawcze spojrzenie.
- Próbujesz coś ze mnie wyciągnąć?
- Może - odparła z uśmiechem.
- Taa, może. Próbujesz jak nic. Zapomnij. Nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia.
- Za późno. Już puściłeś farbę, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.
- Był środek nocy, zaskoczyłaś mnie. - Brwi zbiegły mu się nad nosem. Chyba sobie przypomniał, jaki ma z nią krzyż pański.
Oho, pomyślała Nicky. Zaczęła rozpoznawać tę srogą minę.
- Z kimkolwiek mamy do czynienia, to kawał skurczy-
byka. Masz niezwłocznie opuścić wyspę. Dla własnego bezpieczeństwa. Bardzo cię o to proszę.

Nicky z westchnieniem odłożyła widelec.

- Przecież już o tym rozmawialiśmy.

- I będziemy rozmawiać, możesz mi uwierzyć na słowo.

- Joe ...

Oczy mu rozbłysły i Nicky zrozumiała, że po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu. Poznała po jego minie, że też to zauważył.

- Nicky ... - odpowiedział, z lekką kpina, przedrzeźniając jej ton. W powietrzu zaiskrzyła nić wzajemnej zażyłości, jakby oboje postąpili krok w stronę drzwi prowadzących do ... no właśnie, dokąd?

Serce podskoczyło jej w piersi. - Mówiłam ci ... - zaczęła.

- Owszem, mówiłaś - przerwał sucho. - Z twoich słów wynika, że przedkładasz karierę nad własne życie.

Nicky zmrużyła oczy.

- O matko, a tu znowu "orzeł czy reszka".

Przez chwilę patrzyli na siebie ze złością, po czym Joe zaśmiał się mimowolnie.

- Niech ci będzie - skwitował. - Opowiedz mi o tych wiadomościach porannych. To ten program z Troyem Haydenem i Angie jakąś tam, tak? Musiałabyś się prze-nieść do Nowego Jorku?

- Tak. O ile dostanę tę robotę. A to stoi pod wielkim znakiem zapytania.

- Niby dlaczego?

Była zdziwiona, trochę wzruszona i więcej niż trochę oczarowana faktem, że tak dokładnie zapamiętał, co mówiła wcześniej. Tylko garstce osób powiedziała, że interesuje ją to zajęcie, a jeszcze mniej ludzi wiedziało, że pojechała na rozmowę kwalifikacyjną. Rzuciła to teraz tylko na zasadzie wzmianki.

Wiedziała z doświadczenia, że kolejne szczeble kariery w mediach należy pokonywać dyskretnie.

Zdradzając kolegom, że stara się o posadę w CBS, Nicky osiągnęłaby tylko tyle, że a) zakwestionowano by jej zaangażowanie w obecną pracę i b) jej akcje spadłyby na łeb na szyję, w razie gdyby została odrzucona, co było więcej niż prawdopodobne. Lecz Joe nie pracował w telewizji i pewnie dlatego w ogóle mu o tym wspomniała. Spoglądał na nią z życzliwym błyskiem w oku i zadał właściwe pytanie, przez co wyśpiewała mu wszystko jak na spowiedzi. Kiedy opowieść dobiegła końca, talerze zostały już uprzątnięte, rachunek uregulowany, a oni siedzieli nad pustymi filiżankami po kawie.

- Gotowa? - spytał Joe. - Tu nie wolno palić, a ja mam ochotę na papierosa.

Nicky kiwnęła głową, odsunęła krzesło i wstała.

- Nie powinieneś palić.

- Wiem. - Wyszedł za nią z restauracji. - To jeden z moich nałogów. .

- Mówisz tak, jakbyś miał ich mnóstwo.

- Powiedzmy, że sporo.

Wyszli na taras. Joe przystanął, żeby zapalić, a Nicky pa-trzyła z dezaprobatą, jak osłania zapalniczkę od wiatru, a następnie zaciąga się dymem, aż koniuszek papierosa rozjarzył się na czerwono. Paczkę z pozostałymi papierosami i zapalniczkę wsunął z powrotem do kieszeni, po czym ruszyli ścieżką między basenem i jacuzzi, kierując się w stronę plaży. Położył rękę na łokciu Nicky, mimochodem, a zarazem władczo, jakby tam było jej miejsce. Nicky nie dała nic po sobie poznać. Domyślała się, że minęła dziesiątka; poza granicami wyznaczonymi przez pochodnie płonące na tarasie mrok był gęsty i chłodny jak czarny aksamit. W jacuzzi siedziały dwie pary, a jakiś samotny pływak pokonywał kolejne długości basenu. W powietrzu unosił się zapach dymu z papierosa Joego i pochodni. Przez śmiech i pluskanie wody przebijał rytmiczny szum oceanu.

- Zastanawiam się - rzuciła pospiesznie, chcąc prze-rwać ciszę i złagodzić napięcie, które narastało, w miarę jak zbliżali się do plaży - jakim cudem wylądowałaś na wyspie, by zostać tu szefem policji. To chyba nie jest praca na miarę twoich oczekiwań, co?

Joe zacisnął dłoń na jej łokciu.

- A czemuż by nie? Słońce, plaża, jak okiem sięgnąć dziewczyny w kostiumach kąpielowych. Przecież to istny raj.

Wkraczali w strefę mroku i Nicky poczuła na plecach dreszcz. Po chwili jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i zobaczyła, że plastikowy leżak jest pusty, a dzieci, które wcześniej bawiły się na brzegu, też już poszły. Jeżeli po plaży spacerowali jeszcze jacyś ludzie (a w taki wieczór nie mogło być inaczej), ona ich nie widziała. Widziała tylko księżyc wysoko na niebie, piasek skąpany w niezmiernym blasku i spienione fale, które lizały brzeg w niezmiennym, hipnotyzującym rytmie starym jak czas.

- No ale ... - rzuciła stłumionym głosem.

Joe przystanął, wyrzucił papierosa i obrócił ją twarzą do siebie.

- Ja też się nad czymś zastanawiałem.

Jego oczy lśniły w ciemności. Czubkiem głowy Nicky ledwie sięgała mu podbródka. Stali tak blisko siebie, że musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć w twarz Joego. Blask księżyca wysrebrał jego czarne włosy oraz mocny zarys nosa i ust. Wyglądał tak pociągająco, że znowu za-brakło jej tchu.

- Nad czym?

Ujął ją oburącz za łokcie, a Nicky oparła mu ręce na przedramionach. Miał marynarkę z cienkiego, przewiewnego materiału, nie z lnu, ale z czegoś gładkiego i chłodnego w dotyku. Syntetyk, stwierdziła w duchu, czując pod palcami napięte mięśnie. I serce zabiło jej mocniej w piersi.

- Nad tym, co miałaś na myśli, mówiąc „to dobrze”.

- To dobrze? - powtórzyła jak echo, spuszczać wzrok.

Wstrząśnięta własną reakcją na jego bliskość początkowo nie zrozumiała, w czym rzecz.

- Powiedziałem, że nie jestem żonaty ani zaręczony i nie mam stałej dziewczyny, na co stwierdziłaś, że "to dobrze".

- Ach. - Nicky doznała olśnienia. - Cóż, pewnie się ucieszyłam, że masz wolny etat.

- Tak? - Uśmiechnął się, a Nicky mimowolnie zagapiła się na jego wargi, czując jak robi jej się gorąco.

Serce rozrzaszało się na całego.

- Uhm - odmruknęła, odwzajemniając jego spojrzenie. Wreszcie, nie mogąc już dłużej znieść tego napięcia, postanowiła tradycyjnie wziąć sprawy w swoje ręce, po czym stanęła na palcach i pocałowała go w usta.

14

Miał ciepłe wargi, które smakowały trochę papiero-sami. Najpierw znieruchomia~, pozwalając się całować. Gdyby nie jego palce, coraz mocniej zaciskające się na jej łokciach, mogłaby pomyśleć, że przeszarżowała. Patrzyli na siebie spod na wpół przymkniętych powiek; wreszcie Joe odwzajemnił pocałunek. Poczula, jak jej ciało się napię-na, a żar rozlewa się w środku, zataczając coraz szersze kręgi, by wreszcie dotrzeć do palców u stóp. Zakręciło jej się w głowie i naparła na Joego, całując coraz mocniej, coraz łapczywiej. Gwałtownie przyciągnął ją do siebie, przejmując inicjatywę. Świat zawirował jej przed oczami, a serce załomotało o żebra. Zacisnęła powieki i jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Joe puścił jej łokcie i otoczył ją ramionami, zatracając się w pocałunku.

O Boże. Już zapomniała, co to znaczy tak się całować. Oplotła dłońmi jego szyję i przywarła do niego całym ciałem. Seks nigdy nie znajdował się na szczycie listy jej priorytetów, lecz oto nagle stało się inaczej: ogarnięta nie-oczekiwanym wybuchem namiętności, mogła myśleć tyl-ko o jednym.

Pragnęła go.

- Nicky. - Uniósł głowę; jego usta delikatnie musnęły policzek dziewczyny, by wreszcie spocząć we wrażliwym zagłębieniu poniżej ucha.

- Joe. - Gładziła ciepłą skórę na jego karku, po czym wsunęła palce w kędzierzawą gęstwinę włosów, czując jak Joe wodzi ustami po jej szyi. Bryza rozwiała jej włosy; Nicky odgarnęła je i przesunęła dłońmi po barkach Joego. Pod marynarką wyczuła twardy kształt pistoletu i aż ugię-ły się pod nią kolana. Po raz pierwszy chciała się kochać z mężczyzną, który nosił przy sobie broń. Z policjantem. Z Joem Franconim. Gdyby jej nie podtrzymywał, nogi od-mówiłyby jej posłuszeństwa.

- Nie wypali? - wykrztusiła z trudem.

- Co? - Podniósł głowę i popatrzył na nią roziskrzonym wzrokiem. Dostrzegła w jego oczach pożądanie, czuła jak Joe napina mięśnie.

- Twój pistolet.

Ich usta dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Obejmo-wał ją mocno; bijący od niego żar przenikał przez cienką tkaninę ubrania.

Za jego głową rozpościerało się rozgwieżdżone niebo. - Ach. Nie. Jest zabezpieczony. - Głos zabrzmiał cicho i ochryple, gorący oddech owiał jej twarz.

- To dobrze - odpowiedziała.

- Mmm. - Omiótł spojrzeniem jej twarz. - Tak na marginesie, masz najcudowniejsze usta, jakie w życiu widziałem.

Chciała się uśmiechnąć, ale znowu ją pocałował, aż za-drżała z rozkoszy. Bezwstydnie odwzajemniła pocałunek, obojętna na to, co Joe sobie pomyśli. Przywarła do niego biodrami, przyciskając uda do jego nóg. Jego podniecenie nie pozostawiało wątpliwości~ czując to, otarła się o niego zmysłowo.

- Pragnę cię - rzucił zachrypniętym szeptem. Otworzywszy oczy, napotkała jego spojrzenie. Ciemne oczy lśniły w napiętej twarzy. Wyglądał obco i Nicky przyszło do głowy, że przecież prawie go nie zna, że może powinna być ostrożniejsza i ...

Wśliznął dłoń pomiędzy nich, jednym ruchem rozpiął guzik jej zakietu i jego palce powędrowały do piersi. Nic-ky poczuła, jakby jej ciało przeszył prąd. Odruchowo na-pięła wszystkie mięśnie i wygięła plecy w łuk, napierając na jego dłoń. Palce musnęły brodawkę; poprzez cienkie warstwy stanika i bluzki odczuła to tak, jakby dotykał na-giej skóry. I ponownie zadrżała od stóp do głów.

W jej oszołomionym mózgu zakolatała jedna spójna myśl: ten facet wie, jak postępować z kobietą.

Wyciągnął jej bluzkę ze spodni i wsunął rękę pod spód.

Gorąca dłoń musnęła chłodną skórę i Nicky jęknęła.

W odpowiedzi przycisnął ją mocniej do siebie i wsunął udo między jej nogi.

Chwila. Zaraz. Wyhamuj.

Lecz choć zrzędlawy głosik w głowie nawoływał do umiaru, ostrzegając, że jeśli nie zwolni, nie będzie mogła rano spojrzeć sobie w oczy w lustrze, Nicky bez reszty da-ła się ponieść chwili. Minęło tyle czasu, odkąd czuła coś podobnego. Zaraz, czy kiedykolwiek coś takiego czuła? Usiłowała sobie przypomnieć ... Galeria byłych chłopaków zawirowała jej przed oczami, po czym rozplynęła się w powietrzu, w chwili kiedy ciszę brutalnie rozdarł dźwięk telefonu.

Sygnał dobiegł znikąd i Nicky o mało nie podskoczyła.

Chwilę trwało, nim zdołała go umiejscowić. Wreszcie uświadomiła sobie, skąd pochodził i zeszytniała na ca-łym ciełe.

Joe odsunął się nieco i spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

- Niech dzwoni - powiedział.

Och, jakże chciała go posłuchać. Lecz bez względu na silną pokusę, by zignorować nagłący sygnał, wiedziała, że nie może tego zrobić. Nie miała najmniej szych wątpliwo-ści, że telefonuje matka, i owa świadomość podziałała na nią jak kubek lodowatej wody. To było idiotyczne i nie do

pomyślenia, ale prawda wyglądała tak, że Nicky nie mo-ła się obściskować z facetem wiedząc, że Leonora usiłuje się do niej dodzwonić.

- Nie mogę.

Kiedy zaczęła się wrywać, sygnał zabrzmiał po raz czwarty.

Joe zeszytniał, ale wypuścił ją z objęć.

- Wybacz - rzuciła z roztargnieniem. Numer na wy-świetlaczu potwierdził jej obawy.

Joe oparł zaciśnięte pięści na biodrach, słyszała jej przyspieszony oddech. W blasku księżyca wydawał się ta-ki wysoki, mroczny i niebezpieczny. Po namyśle uznała tę ostatnią cechę za szczególnie pociągającą.

Zabiję cię, mamó. Posłała tę myśl w stronę Twybee Cot-tage i odebrała telefon, próbując nadać głosowi możliwie neutralny ton.

- Idziesz do domu? - spytała Leonora.

- Tak, mamó. - Hm, chyba jednak niezupełnie zdołała ukryć irytację. W każdym razie Joe, który stał trzy kroki od Nicky i właśnie zapalał papierosa, uśmiechnął się lekko.

- Przeszkadzam? - dopytywała się Leonora. Najwy-rażniej głos córki zdradził jej więcej niż powinien.

- Ależ skąd.

- Aha - odrzekła Leonora. - Cóż, jesteś dorosła, lecz doradzałabym większą powściągliwość ... No ale to twoja decyzja, ma się rozumieć.

- Rozłączam się.

- Czekaj. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jest u nas Marisa. Przyniosła taśmę z nagraniem z niedzieli.

Słysząc na niej głosy, jestem prawie na sto procent pewna, że na-leżą do Tary, Lauren i Becky. Szepczą coś w rodzaju "on wrócił". Pewnie mają na myśli tego, kto je zamordował. Uznałam, że Joe powinien przyjść i sam posłuchać.

Nicky zerknęła na nego. Uśmiech zniknął i Joe spoglą-dał na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, zaciągając się papierosem. Na samą myśl o przekazaniu mu słów matki poczuła ucisk w żołądku.

Tym razem nie z powodu emocji.

Trudno rozmawiać na poważnie o duchach z kimś, kto nie wierzy w ich istnienie.

Matka wciąż nadawała do słuchawki.

- Wiedziałam, że tam są, po prostu ich nie widziałam.

Wyczułam jedynie obecność Tary. Nicky, co ja pocznę, jeśli mi nie przejdzie?

- Przejdzie - rzuciła krzepiąco, po czym dodała po-śpiesznie: - Zaraz będziemy - i się rozłączyła.

- Dzwonkiem ocaleni - zauważył pozornie bez troskim tonem Joe, kiedy chowała telefon z poyvrottem do kieszeni, lecz w jego oczach wciąż malowało się napięcie. Zobaczyła, że przestał palić, w każdym razie

papieros gdzieś zniknął.

- Joe - zaczęła i urwała. Kolana wciąż miała jak z gumy, a rozplomienione policzki paliły żywym ogniem.
- Tak?

Podszedł bliżej, ujął jej rękę i podniósł do ust. Czując jego gorące wargi, odruchowo poruszyła palcami i muśnięta opuszkami policzek. Joe miał rozgrzaną skórę, ostry zarost zakłuł ją w rękę, przyprowadzając o dreszcz. Serce znów zabiło jej mocniej w piersi. Ujrzała w jego oczach, że myśli o tym samym.

- No więc - powiedział, przeciągając głoski. - Co powiesz na seks na plaży?

Nie, no trzymajcie mnie. Nicky zmrużyła oczy.

- A może jesteś trochę zbyt pewny siebie, co?

Ku jej zdziwieniu opuścił rękę i uśmiechnął się znowu.

- Tak myślałem. W takim razie może mi powiesz, czego chciała twoja matka?

Nicky westchnęła. Niebo jaśniało od gwiazd, fale uderzały o brzeg, a plaża była skąpana w księżycowej poświacie. Sam Joe wyglądał jak ucieleśnienie jej fantazji erotycznych, toteż myśli o podjęciu przerwanej wątku wydawała jej się nad wyraz kusząca.

Z drugiej strony znajdowali się na plaży publicznej: czego jak czego, ale nie brakowało tu piasku, który miał przykrą tendencję do wciskania się we wszystkie zakamarki ciała. Poza tym Joe był dla niej właściwie obcym mężczyzną.

Nie miejsce, nie czas. Facet może by się nadał, ale seks na pierwszej randce to kiepski pomysł. I prawie usłyszała w głowie słowa matki: "Uważaj, bo pomyśli, że jesteś łatwa."

O mało nie zgrzytnęła zębami. Powrót na wyspę stałnawczo nie wpływał na nią najlepiej. Zupełnie jakby cofnęła się w czasie.

Żadnego seksu na plaży. Wygląda na to, że zawsze będzie jej się kojarzył wyłącznie z nazwą drinka.

- Marisa, asystentka mojej matki, sporządziła nagranie audio z niedzielnego programu - oznajmiła Nicky, świadoma, że tym samym dobije nastrój. - Słysząc na nim głosy powtarzające "on wrócił". Zdaniem matki chodzi o mordercę Tary Mitchell i pozostałych dziewcząt. Oznaczałoby to, że ich morderca jest zarazem mordercą Karen, ponieważ w niedzielę przebywał w Old Taylor Place.

Dostrzegła kątem oka dwoje starszych ludzi podążających w stronę hotelu. Znajdowali się dosyć daleko, lecz zażadne widzieli ją równie wyraźnie jak ona ich. Rezygnacja z seksu na plaży była ze wszech miar słuszną decyzją.

Joe zmarszczył brwi.

- Zaraz, zaraz. Chwileczkę. O czyich głosach mówimy?

Nicky ponownie westchnęła.

- Tary, Lauren i Becky.

Chwila ciszy.

- O głosach z zaświatów? - Jego ton wyrażał takie niedowierzanie, że Nicky zeszywniała i popatrzyła na niego ze złością.

- Owszem.

Wyrwała rękę, po czym zawróciła w kierunku domu matki, mijając po drodze dwoje starszych ludzi.

Oto podręcznikowy przykład triumfu chuci nad kompletną niezgodnością charakterów.

Nieważne.

- Czekaj. Chwila. - Dogonił ją; zobaczyła kątem oka, że Joe uśmiecha się z niedowierzaniem, co dodatkowo ją rozeźliło. - Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem: asystentka twojej matki utrwaliła na taśmie głosy duchów.

- Kpisz sobie? - Popatrzyła na niego z oburzeniem. Uśmiechnął zniknął i Joe zrobił minę pokerzysty.

- Wcale sobie nie kpię. Widzisz, żebym kpił? - Wskazał palcem własną twarz. Nicky wiedziała, że się droczy.

- To dobrze - odparła tonem niewróżącym nic dobrego. - Bo inaczej musiałabym cię palnąć.

Joe parsknął śmiechem, na co Nicky prychnęła i energicznie pomaszerowała dalej.

- Żartowałem. Tylko mi nie mów, że należysz do dziewczyn ... kobiet... które nie znajdują się na żartach. Do diabła, Nicky, zwolnij z łaski swojej, dobrze? Sama musisz przyznać, że głosy duchów na taśmie to dość naciągana sprawa.

- Wal się - rzuciła słodkim tonem. Fala, która rozbiła się nieopodal, jakby za karę obsypała ją deszczem kropel. Nicky niecierpliwie otarła twarz, ani na chwilę nie zwalniając kroku.

- Nicky, kotku. - Znów ją dogonił. Uparcie wlepiła wzrok przed siebie, kątem oka rejestrując reakcje Joego. Na swoje szczęście sprawiał wrażenie skruszonego. - Skoro twierdzisz, że na taśmie słysząc głosy duchów, jestem absolutnie skłonny w to uwierzyć. - Chwila milczenia. Kącik jego ust zadrżał

niebezpiecznie. - Jakim cudem je sły-chać, skoro nie można ich zobaczyć?

Jak na kogoś, kto nie kpi, pytanie zabrzmiało dość hu-morystycznie.

- Zdarza się - burknęła Nicky, piorunując go wzrokiem.

- Muszę przyznać, że to dla mnie nowość.

- Ale w końcu niewiele wiesz o świecie, prawda?

- Co ja mogę na to poradzić, że duchy to nie moja broszka? - Rzucił jej krzywy uśmieszek. - Znowu się kłó-cimy?

- Na to wygląda.

Ku bezbrzeżnej irytacji Nicky z łatwością dotrzymywał jej kroku, chociaż gnała przed siebie jak torpeda. W zasię-gu wzroku znajdowały się jeszcze jakieś dwie parki, które ze śmiechem pluskały się przy brzegu, powoli zmierzając w kierunku hotelu. Nicky przezornie usunęła się w stronę wydm, aby uniknąć spotkania z tamtymi. Zawsze lubiła nocne spacer-y-po plaży. Mimo wszystko przyjemnie było znów poczuć na twarzy krople wody, wciągnąć słone po-wietrze w płuca i obserwować nacierające fale. Gdyby nie Joe, strach z pewnością uniemożliwiłby jej wieczorną eskapadę. Cokolwiek by powiedzieć, uzbrojony policjant stanowił wprost wymarzoną eskortę. A jeśli do tego poli-cjantem tym był Joe ... Czuła się przy nim bezpieczna. Na-wet jeśli w tej samej chwili miała ochotę go udusić.

- Tak na marginesie - dodała - skoro już się kłócimy, masz pojęcie, jak strasznie mnie wkurza, kiedy przewra-casz oczami na każdą wzmiankę o duchach lub jakichkol-wiek zjawiskach paranormalnych?

- Nie przewracam .

. - Przewracasz. I to dosłownie. Zresztą wiesz, co mam na myśli.

- Masz na myśli, że wykazuję zdrowy sceptycyzm, kiedy ktoś próbuje mi wmówić, że widział ducha?

- Nie "ktoś". - Nicky zmrużyła oczy. - Widzisz, wła-śnie w tym rzecz. Mówimy o mojej matce. Io mnie.

Weź-my wcześniejszą sytuację. Kiedy ci mówiłam, że w okni' sypialni widziałam Tarę Mitchell, nawet nie udawałeś, Ż(' mi wierzysz. Uważasz, że to zmyśliłam?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Nie uważam, że to zmyśliłaś. Ale ...

- Ale co? - burknęła wyzywająco. Joe skrzywił się z niechęcią.

- No dobrze, chcesz usłyszeć prawdę? Możliwe, po-wtarzam, możliwe, że się mylisz. No bo jak to: zmarli tak po prostu wiszą sobie w atmosferze, po czym ni stąd, ni zowąd robią "a kuku", kiedy przyjdzie im ochota?

- To chyba niezupełnie tak.

- A jak? - Joe był szczerze zaciekawiony. - Wyjaśnij mi, z łaski swojej. Powiedzmy sobie otwarcie, że duchy nie ist-nieją. Dlaczego tylko niektórzy mogliby je widzieć? Nie sądzisz, że wołałyby się ukazać całemu światu?

-Powiem tylko, że pewni ludzie są bardziej wrażliwi na zjawiska paranormalne niż inni.

- A ci, którzy nie są wrażliwi? Co, jeśli to oni zobaczą ducha? Na przykład ten koleś z twojego programu. No wiesz, ten, który kosił trawnik w Old Taylor Place i zoba-czył ducha Tary Mitchell. Rozmawiałem z nim parę dni te-mu. Wydawał się całkiem normalny.

- Bo jest normalny - odparła ze złością Nicky. - Nor-malni ludzie wciąż widują duchy. Czasami dzieje się tak przez przypadek i te zdarzenia mają charakter jednorazo-owy. Nazwijmy to chwilowym zaburzeniem atmosfery. By-wa, że duchy próbują im coś przekazać. Widzisz, bywa, że duchy ... tak na marginesie, moja matka używa określenia "zjawy" ... nie wiedzą, że są martwe, zwłaszcza jeśli zginęły w wypadku albo, jak tutaj, zostały zamordowane. Czasem też zostawiły na ziemi jakieś niedokończone sprawy.

- Na przykład?

Nicky popatrzyła na niego z niesmakiem.

- A skąd mam niby wiedzieć? To może być cokolwiek.

- Czyli jesteś pewna, że widziałaś w oknie ducha Tary Mitchell?

- Owszem.

- Nie dopuszczasz możliwości pomyłki?

- Zawsze istnieje możliwość pomyłki - przyznała niechętnie. - Chociaż w tym wypadku raczej nie. Moim zda-niem stała w oknie, a to zły znak. - Podobnie jak wycie psa, miała na końcu języka, ale nie chciała zaostrzać spra-wy. W kwestii duchów rozmowa z Joem musiała sprowa-dzać się do niezbitych faktów.

- A nie sądzisz, że mogło ci się po prostu ... wydawać? Mając taką matkę, jesteś pewnie bardziej podatna na bodźce.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać ...

- Aż do dzisiaj nigdy w-życiu nie widziałam ducha ani mi się nie wydawało, że go widzę. Co zaś do mojej matki, widuje duchy, ponieważ jest medium - uzupełniła kąśli-wie. - Gdybyś zadał sobie trud, żeby ją

sprawdzić, dowiedziałabyś się, że z jej pomocy korzystała policja w całym kraju. Leonora rzadko się myli. Odnajduje zaginionych, pomaga rozwiązywać zagadki kryminalne, ratuje życie. I tak się składa, że owszem, widuje duchy. Jeśli ktoś jest medium - chociaż czasami nawet wcale nie musi nim być - takie sytuacje są na porządku dziennym.

- Gwoli ścisłości, sprawdziłem twoją matkę - sprecyzował niewinnie Joe. - Muszę przyznać, że jej dorobek jest imponujący. Oczywiście ma też na koncie kilka błędów.

- Nikt nie ma stuprocentowej sku ... Sprawdziłeś moją matkę?

- Policyjna zasada numer jeden: sprawdzić wszystkie osoby obecne na miejscu zbrodni. Sprawdziłem wszystkich. Ciebie też.

Nicky ze świstem wciągnęła powietrze.

- Tak? I czego się dowiedziałeś?

Uśmiechnął się wyzywająco.

- Oprócz tego, że jesteś niczego sobie, fantastycznie całujesz i ... ?

- Tak, oprócz tego - ucięła sucho.

- Hm, pomyślny. Twój ojciec zginął, kiedy miałaś siedem lat. Mieszkałaś na wyspie, dopóki matka ponownie nie wyszła za mąż, po czym w wieku dziesięciu lat przeniosła się z rodziną do Atlanty. Kiedy miałaś szesnaście lat, matka rozwiodła się z drugim mężem. W liceum nie rzucałaś się w oczy, ale ukończyła szkołę z wyróżnieniem i poszła na Uniwersytet Emory, gdzie zrobiła specjalizację z dziennikarstwa telewizyjnego. Pierwszą pracę dostała w stacji w Savannah. Od tamtej pory pnieś się w górę telewizyjnego łańcucha pokarmowego. Aha, wtedy też twoja matka wyszła za mąż po raz trzeci. W twoim życiu osobistym obyło się bez fajerwerków, chociaż miałaś kilku chłopaków. Ostatnim był prawnik o nazwisku Greg Johnson. Zerwałaś z nim przed wyjazdem do Chicago w sierpniu ubiegłego roku. Od tamtej pory ...

- Przestań.

Dotarli do chodnika z desek, prowadzącego do Twybee Cottage, lecz zamiast ruszyć w górę po schodkach Nicky odwróciła się i uciszyła Joego rozpostartą dłoń, która zawisała o kilka centymetrów od jego klatki piersiowej. Tuż za ścieżką ciągnęły się pofałdowane wydmy, wokół rozleżał się szelest trącanych wiatrem zarośli. Przez cienką tkaninę nogawki poczuła krawędź najniższego stopnia i oparła drugą rękę na gładkiej, szarej barierce. Joe zasłaniał jej widok, widziała jednak siny skrawek plaży oraz hebanowy połysk oceanu.

- Nie podoba mi się to. Nie wierzę, że szperałeś w moje akta.

Joe omiótł spojrzeniem jej twarz, a potem zrobił krok naprzód i wyciągnięta dłoń Nicky spoczęła na jego piersi. Poczuła ciepło przenikające przez koszulę i mimowolnie wróciła myślami do nurtującej ją kwestii "nazwa pewnego drinka". Ale w tym względzie nic się nie zmieniło, może prócz tego, że teraz była na niego wściekła. I dopisując mu kolejny minus, zacisnęła dłoń w pięść, po czym opuściła rękę. Gest oraz poprzedzające go wahanie nie uszły uwagi Joego. Na jego wargach zamajaczył nieznaczny uśmiech. - Przecież to nasz obowiązek, kotku. Zwłaszcza podczas śledztwa.

No dobra, to "kotku" zabrzmiało całkiem sensownie.

J ten jego uśmiech. 1... nieważne. Zgrzytając zębami, Nicky dokonała w myślach przeglądu ich wcześniejszych rozmów. Jak się dobrze zastanowić, nie zadał jej wielu osobistych pytań. Pewnie już wiedział to, co musiał wiedzieć.

- W porządku - warknęła (żadnych amorów!). - Czyli wszystko o mnie wiesz. W takim razie chyba też mam prawo do garstki informacji na twój temat.

- Nie ma sprawy. - Wsunął ręce do kieszeni i zakłosał się na piętach. - I tak wiesz to, co najważniejsze. Jestem policjantem. Nie jestem żonaty. Podobasz mi się.

Nicky zmrużyła oczy.

- Ile masz lat? - zapytała.

- Trzydzieści sześć.

- Skąd pochodzisz?

- Z Trenton w stanie New Jersey.

- Od jak dawna jesteś policjantem?

- Od dwunastu lat. - Na jego twarzy odbiło się rozbawienie, co bynajmniej nie nastroiło jej bardziej przyjaźnie. Ba, wręcz przeciwnie. - Wiesz co, byłoby łatwiej, gdybym po prostu wysłał ci swoje cv.

Puściła to mimo uszu.

- Rodzice?

Westchnęła.

- Nie żyją.
- Rodzeństwo?
- Też nie żyje. Może zostawisz resztę ze swoich dwudziestu pytań na inną okazję? Czy nie powinniśmy pójść do twojej matki i wysłuchać taśmy?

Ostatnie pytanie też zignorowała.

- Cała twoja rodzina nie żyje?

- Zgadza się. - Ostra nuta w głosie świadczyła, że Nicky uderzyła w czułą strunę. W takiej sytuacji nie pozostało jej nic innego jak iść za swoim reporterskim nosem i drążyć głębiej.

- Czyli ... - zaczęła, lecz przeszkodził jej dźwięk telefonu.

- A nie mówiłem, że powinniśmy wracać? - podsunął skwapliwie Joe, gdy z niezadowoleniem ponownie zanurkowała ręką w kieszeni.

- Mamo ... - rzuciła niecierpliwie do słuchawki.

- Nicky.

Ochrypliły szept sprawił, że głos uwiązł jej w gardle.

Wszystko odpłynęło w dal: widoki, dźwięki, dotknięcie krawędzi schodka łydką, a nawet krzepiąca obecność Joego. Zupełnie jakby zapadła się w bezdenną, czarną dziurę. Strach, lodowaty i paralizujący jak śmierć, w jednej chwili ściął jej krew w żyłach.

- Nicky. - Tym razem głos należał do Joego.

Prawie go nie usłyszała, nie zwracając uwagi ani na ostry ton, ani na baczne spojrzenie i wyciągniętą dłoń. Świat zawirował jej przed oczami i zrozumiała, iż szept ze słuchawki prześladował ją w koszmarach od chwili, gdy po raz pierwszy usłyszała go pod sosnami w zeszłą niedzielę.

- Dobrze się bawicie na plaży? - zapytał.

Słowa zawirowały i rozniosły się echem, jakby dochodziły z dużej odległości. I chociaż Joe złapał ją za ramiona, Nicky upuściła telefon i usiadła z rozmachem na drewnianych schodach.

Nawet w półmroku zobaczył, że zbladła jak płótno.

Najpierw było to niecierpliwe "mamo" do słuchawki, a potem błędny wzrok, rozchylone usta i bezwładne palce, które nie mogły nawet utrzymać telefonu. Kiedy osuwała się na schody, Joe schwycił ją za ramiona, ale na szczęście nie zemdląca. Nogi ugięły się pod nią, jakby kolana nieczekiwanie odmówiły jej posłuszeństwa i klapnęła na stopień, po czym dosłownie zgięła się w pół, opierając głowę na kolanach.

- Co się stało, Nicky? - Przestraszony ukucnął na wprost niej i odgarnął potargane włosy, żeby spojrzeć jej w twarz. Po chwili Nicky otworzyła oczy i Joe odetchnął z ulgą. Upewniwszy się, że nie straciła przytomności i nie doznała żadnych urazów, próbował dociec przyczyn jej dziwnego zachowania, ale nie miał pojęcia, w czym rzecz.

- To on - wykrztusiła wreszcie roztrzęsionym głosem, ledwo słyszalnym na tle szumu wiatru i łoskotu fal. - Ach

Joe, to on.

Odpowiedź nie pozostawiała wątpliwości. "On" - czyli ten drań, który dzwonił do niej tydzień temu.

Morderca. Joe spojrział na telefon, leżący na piasku obok jej stóp, i niewiele myśląc, porwał go z ziemi.

- Halo? - warknął do słuchawki. I nic. Cisza. Jeśli ktoś był po drugiej stronie linii, co wydawało się mało prawdopodobne, nie odezwał się ani słowem. - Halo? Kto tam?

- To on - powtórzyła głuchym tonem Nicky. - Powiedział... powiedział...

Dreszcz nie pozwolił jej dokończyć zdania.

- Co powiedział, kotku? - Joe ponownie odgarnął jej włosy, a jego palce ześlizgnęły się na szyję Nicky, wyczuł puls - serce trzepotało tak, jakby zaraz miało się wyrwać z piersi. Skóra, jeszcze przed chwilą tak ciepła, w jednej chwili stała się chłodna i biała jak ściana. Nicky spazmatycznie chwyciła oddech. Naraz raptownie uniosła głowę i lekko rozejrzała się dookoła.

- Co? - ponaglił.

- On patrzy. - W głosie Nicky czaiła się panika, w oczach był paniczny strach.

Joe silił się na spokój.

- Tak powiedział?

Nicky przeniosła na niego wzrok. Rozszerzone źrenice prawie rozpięły tęczę.

- Powiedział ... powiedział...

Joe nacisnął przycisk. Wyświetlacz rozjarzył się w ciemności, pokazując numer ...

- Zapytał: "Dobrze się bawicie na plaży?" - wyjąkała roztrzęsiona.

- Cholera - mruknął Joe, spoglądając na numer. Następnie łagodnym tonem zwrócił się do Nicky. - Już

dobrze. Wszystko będzie dobrze.

- Joe ...

- Jestem tutaj. Wiesz, że przy mnie jesteś bezpieczna. - Rozglądał się czujnie, lecz napotykał wzrokiem tylko ciemność, pełną cieni oraz zakamarków będących wymarzoną kryjówką dla mordercy. Skoro wiedział, że są na plaży, musiał ich tu widzieć, czyli w którymś momencie znajdował się w pobliżu. Znajdował albo wciąż się znajduje.

Na wspomnienie miłej chwili czułości krew zastygła mu w żyłach. Jak łatwo mógł się wówczas dać podejść, i to nie jednemu, ale całej bandzie potencjalnych morderców!

Kiedy ostatnio pozwolił sobie na podobny brak rozważliwej ostrożności, zginęło parę osób, na których mu zależało. To się więcej nie powtórzy.

Numer aparatu oraz znaczenie tego telefonu będą musiały poczekać. Najpierw trzeba zaprowadzić Nicky w bezpieczne miejsce. Wsunął jej komórkę do kieszeni marynarki i wyjął pistolet. Nicky wytrzeszczyła oczy i głośno wciągnęła powietrze.

- Na wszelki wypadek - wyjaśnił. - Chodź, musimy wyjść z plaży.

W razie konieczności mógłby ją nawet zanieść, lecz ograniczyłoby to jego swobodę ruchów. Wziął pod rękę Nicky w nadziei, że zdoła ustać sama na nogach.

- Możesz wstać?

- Tak - odpowiedziała.

Trzymając ją za ramię wstał, pociągając ją za sobą. Ku jego uldze wbiegła po schodkach i po chwili ruszyli pospiesznie drewnianym chodnikiem w kierunku domu. Echo ich kroków mieszało się z rytmicznym hukiem fal, skutecznie tłumiąc pozostałe odgłosy. Pofalowane wydmy rozciągające się poniżej miały jakieś dwa i pół metra wysokości, a porastająca je trawa kołysała się miarowo i szeleściła. Kto wie, kto mógł się za nią kryć. Dlatego Joe podążał tuż za Nicky, próbując ją osłonić, i przeczesał wzrokiem okolicę, wypatrując śladów obecności tamtego.

Nic. Nie widział kompletnie nic. Przecież to nie snajper, upomniał się w duchu. Strzał w ciemności to nie w jego stylu. On wolął posługiwać się nożem. I siac postrach.

Kiedy dotarli do domu, Joe czuł się, jakby przybyło mu dziesięć lat.

Wielkie okna od frontu były słabo oświetlone, jakby blask padał z pomieszczeń leżących w głębi budynku. Nicky okrążyła dom, Joe podążał za nią jak cień. Wyszli na zapelniony autami parking, lecz nikogo tam nie dostrzegli. Joe zobaczył drugi wóz policyjny i zmarszczył brwi, po czym uświadomił sobie, że oboje stoją w plamie żółtego światła padającego z ganku. Morderca miałby ich jak na patelni.

Tylko tego brakowało.

- Do środka.

Nicky zwolniła kroku i obejrzała się przez ramię.

- Skąd wytrzasnął mój nowy numer?

Było to inteligentne pytanie, na które w owej chwili nie znał odpowiedzi. Trzeba to zbadać, i to niezwłocznie. W niedzielę w nocy zabrał aparat Nicky, w poniedziałek lub wtorek dostała nowy telefon, wraz z nowym numerem. Dziś była sobota. Jakimś cudem morderca w tym czasie zdobył numer.

Pytanie tylko, kto miał do niego dostęp?

- Nie mam pojęcia. Ale wkrótce to ustalimy.

Mówiąc to, dosłownie pchał Nicky w kierunku ganku.

Miał tak wyczulony słuch, że skrzypienie żwiru wydawało się wprost ogłuszające. Od rechotu żab, trzeszczenia cykad i świerszczy oraz brzęczenia innych owadów mało nie popękały mu bębenki. Ciężka Woll mirtu i magnolii atakowała mu nozdrza, w ustach czuł ostry smak soli. Widział wszystko, samochody, garaż, dom, żywopłot, bujne drzewa i przyczajone za nimi ruchliwe cienie, z ostrością, jaka jeszcze pięć minut temu przerastała jego możliwości.

Wiedział, że adrenalina zrobiła swoje.

Po raz pierwszy od długiego czasu czuł się naprawdę sobą.

- Joe ...

- Powiesz mi w środku.

Kiedy wchodzili po schodach, trzymał się blisko niej: strzał w plecy, chociaż mało prawdopodobny, stanowił jedną z możliwości i nie należało tego wykluczać. Przelotne spojrzenie na Nicky utwierdziło Joego w przekonaniu, że prawie doszła do siebie. To dobrze, bo gdy tylko znajdzie się bezpiecznie w domu, będzie musiał ją zostawić.

- Nareszcie - powiedziała z łagodną wymówką Leonora, gdy weszli do rzęsiście oświetlonej kuchni. U sufitu kręcił się niemrawo wentylator, a w powietrzu wisiał aromat kawy i czegoś czekoladowego.

Śmiechy i gwar ucichły w jednej chwili, po czym wszystkie oczy zwróciły się na nich oboje. Leonora siedziała przy stole w towarzystwie "świty"; prócz rodziny w pomieszczeniu przebywały jeszcze dwie inne osoby. Po serii powitalnych okrzyków, kiedy wszyscy obecni znów zaczęli mówić jeden przez drugiego, Joe rozbił grupę na zasadnicze komponenty: matka Nicky, jej wujowie i siostra, trzecia kobieta (po chwili rozpoznał w niej Marisę, asystentkę Leonary) oraz Dave. Powód wizyty Numeru Dwa stano- wił dla niego zagadkę, uznał jednak, że nie będzie musiał długo czekać na jej rozwiązanie.

Na środku stołu pysznił się magnetofon. Joe obrzucił go spojrzeniem: głosy z zaświatów będą musiały zaczekać. Popatrzył na Dave' a, stojącego opodal drzwi.

Przywołał go ruchem głowy.

- Hm, otrzymałem informację o rzekomej napaści - wyjaśnił ściszym głosem jego zastępca. Gwar był taki, że pozostali nie zwróciliby na niego uwagi, nawet gdyby wrzasnął, widocznie uznał jednak informację za poufną. - Mąż Livvy utrzymuje ...

- Mam to gdzieś - przerwał mu bezliźnie Joe. - Idziemy. Mamy problem.

Nie zważając na zdumioną minę Dave' a, spojrzął na Nicky, która tymczasem opadła na krzesło i znalazła się w centrum uwagi najbliższych. Nie miał wątpliwości, że dzieli się z nim tym, co przed chwilą zaszło. To by było na tyle, jeśli chodzi o tajemnicę śledztwa, uznał w myślach.

- Nicky! - odezwał się głośno, żeby przekrzyknąć ha-łas. Rzuciła mu pytające spojrzenie. - Muszę iść. Zostań w domu i pod żadnym pozorem nie wychodź stąd. Rozumiesz?

Zmarszczyła brwi, po czym kiwnęła głową.

- I na miłość boską niech ktoś zamknie drzwi na klucz.

Co za półgłówki siedzą przy otwartych drzwiach, po- myślał ze złością. No tak, przecież jesteśmy w raj. John wstał od stołu, najwyraźniej z zamiarem zastosowania się do jego prośby. Wychodząc z kuchni, Joe odna- laził w kieszeni telefon Nicky. Upewnił się, że drzwi zosta- ły zamknięte na klucz, po 2zym raz jeszcze zerknął na wyświetlacz.

- Zadzwonił do niej - rzucił przez ramię do Dave' a, który deptał mu po piętach. Wyjął własną komórkę i wy- brał numer. - Wiedział, że jest na plaży.

W słuchawce odezwał się głos operatorki. Z zaciśniętym żołądkiem podała jej numer i adres, z którego telefonowano do Nicky.

- Zaraz tam kogoś wyślijcie - dodał.

- Tak jest.

Mimo chłodnego wiatru od morza Joe czuł, że zaczyna się pocić. Zbyt dobrze pamiętał pierwszy telefon mordercy.

Wtedy połączenie było z komórki należącej do jego ofiary.

15

Był to mały bungalow ze stiukami, podobny do tego, w którym mieszkał Joe, tyle że nie błękitny, ale jaskrawo- żółty. Stał w cieniu bujnej asyminy na cichej ulicy pełnej domów różniących się od siebie tylko kolorem. A na pod- jeździe parkowały dwa radiowozy.

Błysk niebieskich stroboskopowych świateł rozpraszał mrok.

Za późno, za późno, za późno. Te słowa kołatały w głó- wie Joego w rytm jego przyspieszonego tętna.

Zatrzymał samochód za radiowozami i wysiadł. Z okolicznych do- mów zaczęli wyglądać sąsiedzi:

niektórzy przystawali na gankach, a co bardziej odważni podchodzili bliżej. Nie zwracając na nich uwagi, Joe podążył w stronę frontowych drzwi, gdzie kręciła się grupka oczekujących funkcjonariuszy. Zobaczył kątem oka, że Dave parkuje przy krawężniku, a następnie wyskakuje z auta i biegnie w je- go stronę.

- Nie otwiera - poinformował George Locke.

Locke, Andy Cohen, Ran'dy Brown oraz Bill Milton w napięciu stali na werandzie. Locke, Cohen i Brown byli biali, a Milton czarny, wszyscy mieli około czterdziestki. Od lat służyli w policji. Człowiek oswajał się z robotą i wc getował tak do emerytury, chyba że po drodze coś burzy- ło mu spokój. Kradzież w sklepie, napaść, rozróbny i jazdę po pijaku, awantury domowe, czasami rabunek - do tego zdążyli się przyzwycząić. Morderstwo wykraczało poza ich umiejętności i kom- pletnie nie byli na coś takiego przygotowani. Lecz oto mu- sieli stawić mu czoło i wcale im się to nie podobało.

- Zamknięte na klucz - dodał Cohen. - Drzwi od tyłu lak samo. Sprawdziłem.

Wewnątrz domu panował mrok. Istniała możliwość, że właścicielka po prostu wyszła, ale ...

Samochód stał na podjeździe. To przesądziło sprawę.

- Wyważyć drzwi - wydał rozkaz Joe.

- Zaraz, chwileczkę. Nie róbcie tego, mam klucz. _ U stóp werandy stanęła starsza siwowłosa kobieta w

kwiecistej podomce. Irzymała w ręku pęk kluczy i szukała właściwego. - Mam. O co chodzi? Czy coś się stało Marshy?

- Wracaj do domu, Greto - powiedział Milton. Inny sąsiad, przygarbiony staruszek w szlafroku narzuconym na piżamę też stanął obok i jął zasypywać ich pytaniami.

- Pilnuj, żeby nie weszli - polecił Miltonowi Joe. Drzwi ustąpiły i stanął na progu ciemnego salonu.

Wewnątrz panowała głucha cisza. - Policja! - krzyknął. - Czy jest ktoś w domu?

Żadnej odpowiedzi. Na jego sygnał funkcjonariusze ostrożnie weszli do środka, trzymając w pogotowiu odbezpieczoną broń. Dla pewności Joe zadał pytanie drugi raz. I znowu nic.

- Nie dotykajcie niczego, czego nie musicie dotykać - pouczył podwładnych. Policjanci rozproszyli się, zmierzając w stronę pozostałych pomieszczeń. Salon urządzono w tradycyjnym stylu: kanapa, dwa fotele, stolik, lampy, telewizor. Uwagę Joe go zwróciło monotonne buczenie. Nie było głośne, ale denerwujące i... znajome. Zmarszczył brwi, usiłując zlokalizować dźwięk, a następnie zapalił światło. I od razu zrozumiał; skąd pochodzi.

Na stoliku po przeciwnej stronie kanapy stał biały aparat telefoniczny. Słuchawka wisiała na kablu tuż nad podłogą, i to stamtąd dobiegał ów uporczywy odgłos.

Czyżby miał przed sobą telefon, z którego dzwoniono do Nicky? Pewnie tak.

- Cholera - mruknął Joe. Niemalże w tej samej chwili usłyszał z korytarza przeraźliwe wołanie Locke' a.

- Tutaj! Tutaj!

W ułamku sekundy stanął na progu łazienki. Drobne, zakrwawione ciało kobiety leżało na szarych kafelkach. Miała jasne włosy i białe stopy, ubrana była w długą błękitną koszulę nocną, podciągniętą nad kolana. Nie-wielkie pomieszczenie wyglądało jak rzeźnia. Krew była wszędzie, na podłodze, ścianach, umywalce, sedesie oraz wannie. Czerwone plamy widniały też na ręcznikach i zasłonach. Kobieta leżała twarzą w dół pomiędzy sedesem i wanną, w powiększającej się szkarłatnej kałuży, która połyskiwała w świetle jak czerwona farba olejna.

Smród aż zapierał dech, przywodząc na myśl gnijące mięso. Joe wciągnął go w płuca, usiłując nadać twarzy wy-

raz obojętności. Znał ten zapach. I szczerze go nienawdził.

- O Chryste! - szepnął ktoś za jego plecami. - To Marsha Browning.

Marsha Browning. Nazwisko, które pojawiło się na wyświetlaczu komórki Nicky. Telefon był z jej domu.

Raz jeszcze morderca posłużył się aparatem swojej ofiary.

Na samą myśl o tym Joe poczuł, jak żołądek mu się zaciska.

- Miałam klucz do jej domu, a ona do mojego, Na wszelki wypadek. Różnie bywa, sama pani wie.

Byłyśmy sąsiadkami od dziewięciu lat. - Greta Frank ze łzami w oczach spojrzała w obiektyw kamery Gordona. - Taka

dobra kobieta, wprost nie mogę uwierzyć ... Jak ktoś mógł coś takiego zrobić?

- Kiedy ostatni raz widziała ją pani żywą? - spytała delikatnie Nicky.

Gorączkowo wyrzucała z myśli obraz wydarzeń, które rozegrały się w domu za jej plecami. Nie, na razie nie może tego roztrząsać. Musi się skupić na swoim zadaniu. Strach czający się na obrzeżach jej świadomości będzie musiał jeszcze chwilę poczekać.

Morderca zadzwonił do niej z telefonu Marshy Browning zapewne tuż po tym, jak ta kobieta zginęła, podobnie jak uczynił za pierwszym razem. Wiedział, że Nicky jest na plaży. Kto wie, może nawet wciąż ją obserwował. Iarki ją przeszły, gdy to sobie uprzytomniła.

Resztkami sił utkwiała wzrok w twarzy pani Frank.

- Około siódmej. Podlewała kwiaty w ogródku. Pomańchałyśmy do siebie, a następnie weszłam do domu. Nie wiem, co potem robiła.

Stały na nie dużym, zadbanym trawniku przed domem Marshy Browning, w odległości kilku metrów od otwartych frontowych drzwi. Przez zamkniętą moskitierę kamera rejestrowała metodyczne działania policjantów, którzy krążyli po salonie, zdejmując odciski palców. Gordon miał już na taśmie felczera, który pojawił się na progu, I.dzierając zakrwawione rękawiczki, i burmistrza, który klnąc na czym świat stoi, wpadł jak burza na miejsce I.brodni. Cały dom jaśniał od światła, odcinając się jaskrawą plamą na tle ciemności, zastygłej niczym przyczajony drapieżnik. Błady, okrągły księżyc wisiał wysoko na atramentowym niebie usianym punkcikami gwiazd. Od oceanu dmuchał słony wiatr, niosąc kokosową woń asyminy. Szarpał włosy Nicky, które powiewały za nią jak sztandar. Od osiemnastu godzin miała na sobie to samo ubranie

czuła, jak zmęczenie powoli zaczyna odbierać jej koncentrację. Z mikrofonem w ręku stanęła tak, aby dać kamerzyście jak najlepszy widok. Dochodziła druga nad ranem, Nicky i Gordon uwijali się właściwie od chwili, kiedy o jedenastej wieczorem policja znalazła ciało. Nakręcili kilka niezłych ujęć i zrobili parę ciekawych wywiadów; należało je zmontować przed wieczornym programem, w związku z czym perspektywa odpoczynku rysowała się nadzwyczaj mgliście. Na szczęście policja chyba już związała majdan. Przed chwilą nadjechała karetka koronera, wyjęto nosze. Z wnętrza domu zaczęli się wyłaniać funkcjonariusze, którzy dotąd przychodzili bez słowa i znikali w jego czeluściach. Na trawniku na skraju podjazdu wciąż tłoczyła się grupka sąsiadów, lecz co mniej wytrwali (lub bardziej zmęczeni) powoli zmiierzali w stronę własnych domów. Opodal stała inna ekipa telewizyjna (WBTZ z lokalnej stacji) oraz paru dziennikarzy prasowych.

Nicky wiedziała, że w miarę jak wieści zaczną się rozchodzić, przyjadą kolejni. Morderstwo trafi na pierwsze strony lokalnych gazet (Gezeli nie nadejdzie jakiś katastrofizm) i sępy zwietrzą żer. Jej własny raport znajdzie się w wieczornym wydaniu "Na tropie tajemnic", dzięki czemu w dużej mierze wyprzedzą konkurencję i trafią do masowego odbiorcy. Niemniej jednak przyjazd innych ekip telewizyjnych był tylko kwestią czasu. Sensacyjne aspekty zbrodni sprawią, że konkurencja zleci się jak muchy do łajna.

— Możemy śmiało przypuszczać, że mamy do czynienia z drugim z trzech morderstw zapowiadanych przez Łazarza508 - powiedziała do kamery. - Marsha Browning, ostatnia ofiara, była reporterką "Głosu Wybrzeża". Miał czterdzieści sześć lat. Niedawno rozwiodła się z mężem, była bezdzietna, mieszkała sama. Podobnie jak Karen Wise została brutalnie zakłuta nożem. Obcięto jej włosy dokoła twarzy. A morderca zadzwonił do mnie z ...

— Co ty, do cholery, wyprawiasz? - Pytanie huknęło za jej plecami jak wystrzał armatni. Nicky podskoczyła, omal nie upuszczając mikrofonu. Głos mężczyzny kipiał tłumionym gniewem i brzmiał znajomo. Bardzo znajomo.

- Cięcie - powiedział z niesmakiem Gordon, opuszczając kamerę.

Nicky odwróciła się, napotykając (też mi niespodzianka) wzrok Joego. Nie widziała go od chwili, kiedy rozstali się w Twybee Cottage. Chyba nawet nie miał pojęcia, że ona tu jest. Cóż, wyglądało na to, że w końcu się dowiedział. Stał, opierając zaciśnięte pięści na biodrach i wprost kipiał agresją. Rzęsisty blask świateł rozmieszczonych dookoła domu podkreślał napięte rysy oraz zmarszczki wokół oczu i ust, na które przedtem Nicky nie zwróciła uwagi. Marynarka i krawat gdzieś znikły, koszulę miał rozpiętą pod szyją, podwinięte rękawy i dziko rozczochrane włosy, jakby ustawicznie przegarniał je palcami. Był wykończony, przybity, a przy tym bardzo pociągający.

- Przestraszyłeś mnie. - Nicky odetchnęła z ulgą. Mimo jego niezachęcającej postawy naprawdę się ucieszyła. Uśmiechnęła się mimowolnie.

- Dobrze wiedzieć, że coś może cię przestraszyć - zauważył pośepnie, mierząc ją niechętnym spojrzeniem.

- Ach, czy domyśla się pan, kto mógł to zrobić? - wtrąciła jękliwie pani Frank, dotykając jego rękawa.

- Pracujemy nad tym - odpowiedział nieco łagodniejszym tonem. - Robimy, co w naszej mocy. Proszę wracać do domu. I powiedzieć sąsiadom, żeby zrobili to samo:

llicz wszyscy idą do domów.

- Kiedy ja się boję ...

Za plecami Joego właśnie wynoszono ciało. Co za paśkudne określenie. Bezduzne i przedmiotowe, dotyczyło osoby, która zaledwie kilka godzin temu podlewała kwiaty, machała do sąsiadki, a potem weszła do domu ... Rozczochrana blondynka w krótkiej spódnicy, która w ostatnią niedzielę gratulowała Leonorze i prosiła o wywiad.

Też dziennikarka. Nicky poczuła, jak ogarnia ją lodowaty chłód.

To mogłam być ja. Odsunęła tę refleksję: nie będzie o niczym myśleć dopóty, dopóki nie upora się z tym, co ma do zrobienia. Dała znak Gordonowi, po czym ostrożnie odsunęła się od Joego, który wciąż rozmawiał z panią Frank. Spoglądając w obiektyw, zaczęła relacjonować to, co działo się za jej plecami: nosze, owinięte białym prześcieradłem ciało, na którym wykwitła czerwona plama, sanitariusze otwierający tylne drzwi karetki ...

- ... sekcja zwłok zostanie przeprowadzona w ponie-działek z samego rana - oznajmiła, kiedy nosze znalazły się w samochodzie i zatrzaśnięto drzwi. - Na podstawie dotychczasowych oględzin policja stwierdziła, iż między dziewiątą a dziesiątą wieczorem pani Browning została napadnięta we własnym domu ...

- Mogę cię prosić na słówko?

Joe ponownie stanął u jej boku i grzecznie, ale stanowczo pociągnął ją za ramię. Jego głos wprost ociekał słodyczą. Nicky rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Na tle oświetlonego domu wydawał się jeszcze wyższy. Czowała bijącą od niego irytację. Phi, też mi coś. Przeszkadzał jej w pracy i bez względu na rodzącą się między nimi zażyłość miała tego powyżej uszu. Była wykończona, zgnębiona i przestraszona. Brakowało jej tylko nadopiekuńczego natręta.

- Jestem trochę zajęta. - Wskazała na Gordona i kamerę.

- Zajmę ci dosłownie minutkę. - Jego spojrzenie przeczyło ugrzecznionym słowom. Stał z zaciśniętymi zębami, bez uśmiechu. Krótko mówiąc, wyglądał jak ktoś kompletnie wyprowadzony z równowagi. Przeniósł wzrok na Gordona. - Bądź łaskaw wyłączyć kamerę.

Korzystając z jego nieuwagi, Nicky pokręciła głową i dyskretnie wskazała na siebie. Gordon posłusznie wycołował kamerę w jej twarz.

- Jest z nami miejscowy komendant policji pan Joe Franconi - powiedziała do obiektywu. Nastąpiło ujęcie ich twarzy. Popatrzyła na Joego, który ze zdziwieniem spojrział na podsunięty mikrofon. - Czy pana zdaniem mamy do czynienia z seryjnym mordercą?

Uśmiech jej rozmówcy nie wróżył nic dobrego. - Bez komentarza - powiedział Joe.

- Podobno nie znaleźliście żadnych śladów włamania. Czy to znaczy, że ofiara знаła mordercę? Uśmiech zbladł.

- Bez komentarza.

- Dowiedzieliśmy się również, że Marsha Browning została wielokrotnie pchnięta nożem, a napastnik obciął jej część włosów, zapewne traktując je jako trofeum. Czy to wystarczy, by doszukiwać się związku nie tylko ze śmiercią Karen Wise, lecz również z zamordowaniem Tary Mitchell przed piętnastu laty?

Joe zacisnął usta. - Bez komentarza.

- Czy na tym etapie ma pan podejrzenia co do osoby sprawcy?

- Do diabła, Nicky ...

- Hola, jesteśmy na wizji. - Nicky uśmiechnęła się wyzywająco.

Poirytowany mężczyzna nie lubi, żeby się z nim droczyć, lecz furia, która błysnęła w oczach Joego, zakrawała na lekką przesadę.

- Dosyć tego. - Popatrzył na Gordona. - Albo wyłączysz to cholerstwo, albo wsadzę ci je w dupę.

Tym razem stanowczo przeholował.

- Kurde, to się nie nadaje do telewizji. Nie możemy tego wykorzystać - rzucił z pretensją Gordon, po czym na widok miny komendanta umilkł jak niepyszny. - Się robi - mruknął i czerwone światelko zgasło.

- Dziękuję - odpowiedział nieco spokojniej Joe, przenosząc wzrok na Nicky. Zacisnął palce na jej ramieniu. - A teraz ...

- Nie masz prawa tak po prostu przeszkadzać mi w pracy - burknęła. - Jestem profesjonalistką. Powierzono mi zadanie i zamierzam je wykonać.

- Jak już mówiłem, proszę tylko o minutę twojego cennego czasu. - Jego głos nie zdradzał żadnych emocji, ale widać było, że Franconi jest u kresu wytrzymałości. Może w innych okolicznościach chętnie popatrzyłaby, jak komendant policji traci panowanie nad sobą, ale teraz oboje byli zmęczeni i postanowili. liższej go nie gnębić.

- Niech ci będzie. Zaraz wracam - powiedziała do Gordona i pozwoliła odciągnąć się w ustronne miejsce, czyli na drugi koniec trawnika. Stanęli w cieniu; byli widoczni, lecz z całą pewnością znajdowali się poza zasięgiem słuchu obecnych. - O co chodzi? - zapytała. Wyrwała rękę i w myśl zasady, że najlepszą obroną jest atak, zdobyła się na zaczepny ton. Oczywiście doskonale zdawała sobie sprawę, w czym rzecz.

- Która część mojej prośby była dla ciebie niezrozumiała? Ta o zamknięciu drzwi na klucz czy o pozostaniu w domu?

Czyli intuicja jej nie myliła. Zmrużyła oczy.

- Ta, w której zaczęłaś mi rozkazywać.

- A więc o to ci chodzi. Czyżbyś należała do ludzi, którzy dla zasady robią innym na przekór?

- Pozwól, że cię oświecę, panie ważniaku: tu nie chodzi o ciebie, tylko o moją pracę.

- Mam gdzieś twoją pracę.

- Wiesz co, tam są inni dziennikarze. Może pójdziesz ich podręczyć?

- Podręczyć ... - Joe aż się zachłusnął, po czym podjął tonem łagodnej perswazji, jakby mówił do dziecka bądź osoby niespełna rozumu. - Na miłość boską, przecież ja próbuję cię chronić. Co mnie obchodzą inni dziennikarze, niech sobie spekulują, ile chcą. Ty też możesz sobie spekulować. Nie o to chodzi. Może byś tak ruszyła tym swoim ptasim mózdzkiem, co?

- Więc o co chodzi?

- O to, że nie wiesz czemu morderca utrzymuje z tobą kontakt. Dzwonił do ciebie po popełnieniu obydwu zbrodni. Dziś wieczorem wiedział, że jesteś na plaży, co znaczy, że cię obserwuje. Jestem gotów się założyć, że w przeciągu kilku godzin dostaniesz od niego mejl bądź inną wiadomość, może nawet już dostałaś. I jeśli to umknęło twojej szanownej uwagi, obie ofiary były związane z mediami, podobnie jak ty. A skoro jeszcze na to nie wpadłaś, pozwól, że powiem prosto z mostu: bardzo możliwe, że jesteś następna na liście.

Nicky głośno wciągnęła powietrze. Naturalnie sama wywniosowała identyczny wniosek. Jednakże w ustach Joe'ego groźba zyskała konkretny, przerażający i nader realny wymiar.

- Wiem. Będę ostrożna.

Jego spojrzenie było niemal naładowane iskrami.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć - zauważył posępnie. - Gdyby rzeczywiście tak było, nie ruszyłabyś tyłka z Chicago.

- Ależ ja jestem ostrożna. Nie widzisz, że cały czas mam obstawę? Gordon przyjechał po mnie do Twybee Cottage, a gdy skończymy, odwiezie mnie prosto do domu.

Joe odszukał wzrokiem kamerzystę, który właśnie filmował odjeżdżający samochód koronera.

- Prawda, zapomniałem o Gordonie. Co za ulga.

I znów ten sarkazm. Nicky miała na końcu języka jakąś ciętą ripostę, lecz zanim zdążyła otworzyć usta, Joe wytrzeszczył oczy.

- Czy to twoja matka?

Nie musiała nawet patrzeć w tamtą stronę. Owszem. Leonora, Livvy oraz wujowie Ham i John uparli się towarzyszyć jej na miejsce zbrodni. Nie oponowała (nie żeby protest mógł cokolwiek wskórać), poza tym ich wsparcie okazało się nieocenione. Ostatnie lata spędziła wprawdzie z dala od rodzinnych stron, ale większość tutejszych mieszkańców należała do grona sąsiadów i znajomych rodziny, w tym również policjanci, oczywiście poza kominantem. Większość informacji, jakie Nicky planowała wykorzystać w programie, pochodziła ze źródeł, które zawdzięczała własnej rodzinie.

- I twoja siostra. To twoja siostra, prawda? Co to ma być, piknik?

No dobrze, obecność rodziny w miejscu pracy ocierała się o brak profesjonalizmu. Cóż, niektórych rzeczy nie przeskoczysz. Postanowili przyjechać i przyjechali. Końiec, kropka. Tak w dużym skrócie wyglądało życie z jej rodziną.

Zadarła podbródek.

- Przecież ci mówiłam, że jestem ostrożna. Przyjechali tu za nami i do domu też wrócimy razem. Wejdę z nimi do środka i noc też spędzimy pod jednym dachem. Co ty na to?

- Jezu. - Joe wziął głęboki oddech, a kiedy znów się odezwał, w jego głosie nie było śladu sarkazmu. - Posłuchaj mnie uważnie, bo mam wrażenie, że nie łapiesz. Ta kobieta została zaszlachtowana. O ile możemy na tym etapie stwierdzić, nie chodziło ani o gwałt, ani o napad rabunkowy. Tego gościa interesuje wyłącznie zabijanie. Kimkolwiek jest sprawca, ma nierówno pod sufitem, stanowi poważne zagrożenie dla otoczenia i najwyraźniej czuje się z tobą w jakiś sposób związany. Kiedy ... jeśli przyjdzie po ciebie, dopadnie cię bez względu na Gordon'a i rodzinę. I zanim zdążysz się połapać, będzie już za późno.

Słyszając to, Nicky poczuła kolejną falę strachu. Powoli zaczynała oswajać się z tym zjawiskiem.

- A więc co twoim zdaniem powinnam zrobić? Uciec do Chicago i zabarykadować się w mieszkaniu?

- Właśnie o tym myślałem, tak.

- Czy możesz zagwarantować, że jeśli to zrobię, facet zostawi mnie w spokoju?

I tu go miała. Przez chwilę Joe spoglądał na nią bez słowa.

- Nie możesz, prawda? - spytała triumfalnie.

- Byłabyś bezpieczniejsza, tyle tylko chciałem powiedzieć - odparł. - Przynajmniej nie miałby cię na wyciągnięcie ręki. Jeśli to naprawdę seryjny morderca, nie lubi opuszczać własnego terytorium.

- A co, jeśli to nie jest seryjny morderca? Może ostatnio nie szperał w Internecie i nie wie, że powinien działać w obrębie własnego terytorium?

Tym razem to Joe zmrużył oczy.

- Bardzo śmieszne. - I dodał po chwili: - Nie musisz wracać do Chicago. Pojedź gdzie indziej. Na przykład weź urlop i poleć na wyspy Bahama, czy coś w tym stylu. I niech nikt nie wie, gdzie jesteś, dopóki go nie złapiemy.

- Nie złapano go od piętnastu lat. Na jakiej podstawie myślisz, że będziesz miał więcej szczęścia?

- Nie wiemy, czy to ten sam człowiek.

- Na jakiej podstawie myślisz, że nie?

Z namysłem zmarszczył brwi i chciał coś dodać, lecz w porę się opamiętał i popatrzył na nią ostro.

- O nie. Myślisz, że ci powiem? Żebyś wygdakała to w telewizji? Nic z tych rzeczy.

- Jak chcesz - skwitowała Nicky. - Nie mów. I tak się dowiem. Nie bez powodu program nosi tytuł "Na tropie tajemnic": my właśnie tropimy tajemnice. Takie jak ostatnie morderstwa. I na tym polega moje zadanie.

- Super - burknął z irytacją Joe. - Skoro już o tym mówią, może jednak powinnaś rozważyć zmianę tytułu. Co powiesz na "Amatorszczyzna"?

Nicky rzuciła mu wściekle spojrzenie. Co za dużo, to niezdrowo.

- Ty. ..

- Joe. - Dave wychynął z ciemności, uniemożliwiając jej soczystą puentę. Joe spojrzał przez ramię. - Mam ci przekazać polecenie burmistrza. Chce, żebyś ... - Dave omiół wzrokiem Nicky - ... uhm, tego ...

- Co? - warknął Joe.

- Wyprosił stąd wszystkich dziennikarzy - uzupełnił z rezygnacją Dave. - I to zaraz.

- No proszę - powiedział Joe, przenosząc oczy na Nicky, która odwzajemniła jego spojrzenie. - To się nazywa mieć plan.

- Nie może nas wyrzucić - odparła natychmiast Nicky.

- Niech tylko spróbuje, a sprawa trafi do sądu i puścimy z torbami całe miasto. Że nie wspomnę o utracie reputacji.

Groźba zawisła w powietrzu.

- Super. Po prostu super. - Doprowadzony do ostateczności Joe spojrzał na oświetlony dom i przecesał palcami włosy. Teraz Nicky sama zobaczyła, dlaczego były w takim stanie. Po chwili z powrotem przeniósł na nią wzrok. - Zrobiłabyś to, prawda?

- Bez mrugnięcia okiem - odrzekła z czarującym uśmiechem.

Zmierzyli się oczami. Wreszcie, zgodnie z przewidywaniami Nicky, Joe dał za wygraną.

- No dobrze - powiedział: przeciągając sylaby. - Nie pozostaje mi nic innego, jak spróbować wyjaśnić

Vince'owi pojęcie wolności słowa. - Popatrzył na Dave'a. - Odwieź naszą Lois Lane do domu i zostań

tam, dopóki nie przyjadę. - Zerknął na Nicky, która nabierała powietrza, żeby zaprotestować. - Jeśli będzie sprawa kłopoty albo spróbuje cię oszukać, masz ją aresztować, wpakować do celi i czekać na dalsze rozkazy. Zrozumiano?

Dave wytrzeszczył oczy, po czym rzucił rozwścieczonej Nicky zaniepokojone spojrzenie.

- Uhm ... jasne, Joe.

- Chwileczkę - zaprotestowała. - Nie możesz ...

- Ależ mogę - zapewnił ją uprzejmie. Jego mina utwierdziła Nicky w przekonaniu, że tym razem nie żartuje. - Wierz mi, kotku, nie tylko mogę, ale naprawdę to zrobię. Albo się podporządkujesz, albo pójdziesz siedzieć. Twój wybór.

Z tymi słowami odwrócił się i ruszył w stronę domu. Kipiąc ze złości, chciała wrzasnąć za nim "wał się!"

albo coś w tym stylu i nieważne, że miał zgrabny tyłek. Na szczęście w porę przywołała się do porządku i przypomniała sobie przysłowie, że muchy łatwiej zwabić na miód aniżeli na ocet. Mając to na uwadze, wzruszyła tylko

ramionami i uśmiechnęła się do Dave'a, który wyraźnie pragnął znaleźć się jak najdalej stąd.

- Wygląda na to, że jesteśmy na siebie skazani - rzuciła rozbijającym tonem. - W sumie dobrze się stało i tak skończyłam. Powiedz mi tylko ...

Wysłał Dave'a razem z Nicky, ponieważ nie mógł jeść sam, jego zastępca zaś był jedyną osobą, którą darzył absolutnym zaufaniem. Jak się dobrze zastanowić, to dość przygnębiający wniosek. Mimo upływu kilku miesięcy nadal uważano go tu za intruza, co z góry stawiało Joe'go na straconej pozycji. Tak jak powiedział Nicky, gliniarz jest tylko gliniarzem, a odznaka wcale nie czyni go lepszym człowiekiem. W ciągu tygodnia pod jego nosem zamordowano dwie kobiety. Postanowił za wszelką cenę nie dopuścić, aby Nicky była trzecią ofiarą.

Skoro ona nie chce na siebie uważać, on weźmie to na siebie.

- Co ty, kurde, udzielałeś wywiadu? - ryknął Vince, kiedy Joe stanął w drzwiach. - Chcemy wyciszyć sprawę, a nie rozdmuchiwać ją na forum publicznym.

W zatłoczonym salonie panował nieznośny zaduch, nadmiar światła mających ułatwiać poszukiwanie dowodów kłuł w oczy, a do tego człowiek czuł się jak w potrzasku. Ulotny zapach śmierci przyprawiał o mdłości. Z chwilą gdy drzwi się zamknęły za jego plecami, Joe zapragnął znaleźć się z powrotem na

świeżym powietrzu. Nie żeby podwiniecie ogona w ogóle wchodziło w grę, ale zawsze.

- Musimy się pogodzić z obecnością dziennikarzy - oznajmił spokojnie, idąc w kierunku Vince' a.

Burmistrz wciąż miał na sobie spodnie khaki i marynarkę, ale krawat gdzieś się zapodział. Stał za kanapą, patrząc, jak Milton pod nadzorem detektywa sądowego z Georgetown County (wezwanego na wyraźną prośbę Joego) mozolnie wycina kwadrat wykładziny, na którym mogły się znajdować krople krwi ofiary. Błysk flesza w łazience świadczył, że inny funkcjonariusz jeszcze się nie uporał ze zdjęciami. Ciało już wywieziono, jednakże Joe wiedział, że plamy i smugi rozprysniętej krwi mogły wiele powiedzieć o przebiegu zbrodni. Na podstawie niebieskiego światła padającego z sypialni wywnioskował, że szukano tam śladów krwi za pomocą specjalnej lampy lu-mina-lite.

- Nie popuszczaj, a my nie możemy ich stąd wygonić. Musimy poniekąd z nimi współpracować, karmiąc ich ochłapami informacji przy zachowaniu najistotniejszych faktów w tajemnicy. W ten sposób zyskamy kontrolę nad sytuacją - tłumaczył burmistrzowi.

- A niech to wszyscy diabli. - Vince dosłownie miał pianę na ustach. Popatrzył na Franconiego ze złością. - A co, nie masz odwagi powiedzieć tej swojej lafiryndzie, żeby spadała na drzewo? A tak, nie myśl sobie, że nie słyszałem o waszym gruchaniu przy kolacji. Bądź łaskaw pamiętać, że to mój hotel. W takiej dziurze wieści szybko się rozchodzą.

Joe znowu poczuł ucisk w żołądku.

- Vince - powiedział. - Pozwól, że dam ci pewną radę: moje życie osobiste to nie twój zasmakany interes. Twardo zmierzili się wzrokiem.

- Nie interesuje mnie twoje życie osobiste - odparł łagodnie burmistrz. - Ale musimy zapanować nad tym całym bałaganem, inaczej po nas. Myślisz, że to ten sam gość, który tydzień temu załatwił tamtą dziewczynę w Old Taylor Place?

Joe wzruszył ramionami.

- Trudno o stuprocentową pewność, ale tak podejrzewam.

- Ten sam, który przed piętnastu laty wykończył tę cholerną nastolatkę?

- Nie wiem. Może. A może nie.

- Myślisz, że nie - odgadł Vince. - Dlaczego?

- Z wielu powodów - odpowiedział Joe. - Po pierwsze, gdzie podziewał się przez piętnaście lat? Po drugie, obcina włosy, ale nie masakruje twarzy. Twarz Tary Mitchell była poszatkowana na strzępy, natomiast twarze Karen Wise i Marshy Browning pozostały nietknięte. Po trzecie, o ile nam wiadomo, morderca sprzed piętnastu lat z nikim się nie kontaktował, a ten facet dwukrotnie dzwonił do Nicky Sullivan, tak jakby pragnął jej o sobie przypomnieć. Tak na marginesie, chciałbym zapewnić Nicky całodobową ochronę. Myślę, że to uzasadniona decyzja.

Vince był wyraźnie wstrząśnięty.

- Masz pojęcie, ile to będzie kosztować?

- Owszem - odparł Joe. - Od cholery i jeszcze trochę. Nic mnie to nie obchodzi. Jak chcesz, to możesz mnie wyłać, ale dopóki jestem tu komendantem, ta kobieta będzie miała ochronę.

Na policzki Vince' a wypęły dwie purpurowe plamy, co oznaczało, że jest bardzo nieszczęśliwy. Joe dobrze o tym wiedział. Wiedział też, że nie ustąpi ani na krok. Od chwili przyjazdu na wyspę tańczył tak, jak mu zagrano, ponieważ miał wszystko w nosie.

Teraz było inaczej.

- Psiakrew - powiedział Vince. - Chcesz jej zapewnić ochronę? Zapewnij. Ale rozwiąż tę sprawę. Tylko tego brałowało, zwłaszcza teraz. No jak na złość.

- O czym ty mówisz?

Vince rzucił mu mordercze spojrzenie.

- Idzie sezon.

Wchodząc do kuchni w Twybee Cottage, Nicky ledwo powłóczyła nogami. Eskorta podążyła jej śladem, oprócz Gordona, który pojechał do hotelu. Ale Dave pozostał. Światła były zapalone, wentylator szumił pod sufitem, a w powietrzu unosił się zapach kawy. Harry stał przy stole i napełniał filiżankę. Na dźwięk kroków podniósł głowę i obdarzył całą siódmkę pytającym spojrzeniem.

- Gdzie się podziewaliście? Zaczynałem się już martwić. Przyszło mi do głowy, że może Olivia ... ale widzę, że brzuszek jeszcze na swoim miejscu.

- Chcesz powiedzieć, że nie słyszałeś ... ? - zaczęła Leonora, a pozostali zawtórowali jej zgodnym chórem, rącząc Harry' ego szczegółami na temat morderstwa Marshy Browning.

Nicky poszła na górę do swojego pokoju, wlokąc za sobą walizkę oraz torbę z laptopem i zapalając po

drodze wszystkie światła. Zajmowała jedną z czterech sypialni no piętrze: od chwili gdy jedenaście lat temu wyjechała na studia, niewiele się tutaj zmieniło. Pokój był duży, jakie, pięć metrów na sześć, z równie wysokim sufitem jak w pozostałych pomieszczeniach. Ściany miały odcień przyjemnej zieleni, a w oknach wisiały białe zasłony. Meble były stare, może nie tak stare, by zasługiwać na miano antyków, ale z pewnością przeżyły już swoje lata. Podwójne łóżko z baldachimem ustawiono między dwoma wysokimi oknami, opodal stały bieliźniarka i biurko z wiśniowego drzewa. Prostokątne lustro nad komodą Nicky właśnie snoręcznie oblepiła kiedyś muszelkami, w kącie wciąż tkwił fotel, na którym niegdyś godzinami przesiadywała z książką, niezmiennie przykryty biało-zieloną kapą w pałotki, taką samą jak narzuta na łóżku. Jedne drzwi prowadziły na korytarz, drugie do łazienki, którą dzieliła z siostrą, zajmującą taki sam pokój (wyjąwszy różowe ściany i białe meble) po drugiej stronie.

Rzuciwszy walizkę na podłogę, Nicky wyjęła komputer i położyła go na biurku, czując, jak serce zaczyna jej mocniej bić. Łączenie z Internetem trwało dłużej niż zwykle: Twybee Cottage miało metalowy dach, co zakłócało pracę wszystkich urządzeń, począwszy od telewizora, na telefonach skończywszy. Ale wreszcie się udało i Nicky otworzyła pocztę.

Na widok wiadomości od Łazarza serce podskoczyło jej w piersi. Czternasty maja. Czyli wczorajsza data, dzień śmierci Marshy Browning.

Przeczuwała, że to nastąpi, ale ... Gdy przyszło co do czego, poczuła, że robi jej się słabo.

Spazmatycznie chwyciła oddech i kliknęła wiadomość.

Nocą słyhać dziś psów wycie

Nocą ktoś postrada życie.

Pod nóż kładzie głowę dziewczyna

Rychło twoja wybije godzina.

Wciąż wpatrywała się w wiadomość, gdy naraz dostrzegła kątem oka czyjąś wysoką sylwetkę•

16

Odwróciła się z piskiem. Pewnie wrzasnęłaby na całą gardło, lecz zanim głos zdążył na dobre wydobyć się z gardła, rozpoznała znajome rysy.

- Joe. - Co za ulga. Mogła być na niego wściekła, ak przynajmniej go się nie bała. Oparła się o biurko, przyciskając rękę do serca, które trzepotało jak szalone. - Co ty tu robisz?

- Pukałem, twoja matka zaprosiła mnie do środka i powiedziała, że jesteś u siebie. Kazała mi wejść na górę, więc wszedłem. Przede wszystkim potrzebna mi lista osób, które miały twój nowy numer. - Jego wzrok spoczął na monitorze komputera. - I co?

Na wspomnienie wiadomości Nicky gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Sam zobacz. - Wskazała na monitor.

Joe podszedł bliżej i stanął bliżej za jej plecami. Strach odsunął złość i Nicky uznała, że oto nadarza się okazja do zażegnania konfliktu. No, powiedzmy w pewnym stopniu. Pokusa, aby oprzeć się o tę szeroką męską pierś okazała się niemalże ponad siły, ale na szczęście się udało. Ona i Joe - nigdy w życiu, powiedziała sobie kategorycznie. Rzeczywiście coś między nimi zaiskrzyło, może nawet w grę wchodziło coś więcej aniżeli zwykła chemia, znajdowali się jednakże po przeciwnych stronach barykady. Ona była dziennikarką, on policjantem, a budowanie prywatnych relacji, w czasie gdy oboje zajmowali się tą samą sprawą, nie miało większego sensu. Konflikt interesów stawał się wręcz nie unikniony, a ona miała dość oleju w głowie, by w porę to sobie uświadomić. Tym bardziej że wizja plaży skąpanej w blasku księżycy odpłynęła w dół. Zatem do rzeczy.

- Wiedziałem - powiedział Joe. Zrozumiała, że czyta wiadomość.

- Mówiłam ci, że słyszałam wycie - odrzekła przerywanym głosem. - W Old Taylor Place, tuż po tym jak zobaczyłam w oknie Tarę Mitchell. I w zeszłą niedzielę też.

Joe nie odpowiedział. Nie mogąc, znieść przedłużającej się ciszy, Nicky odwróciła się w jego stronę. Dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów; musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Wciąż wlepił wzrok w monitor. Marszczył brwi, sprawiając przy tym wrażenie bardziej zmęczonego niż ona. Przekrwione oczy okalała siateczka cienkich zmarszczek, usta były zaciśnięte w wąską kreskę, a na brodzie szarzała zapowiedź zarostu.

Wyglądał na podminowanego, ale nawet w tym stanie przyprawiał ją o przyspieszone bicie serca.

Wymienili spojrzenia.

- Skoro słyszałaś wycie, morderca pewnie też je słyszał, inaczej nie napisałby o tym w wierszyku. Musiał

l'zaić się gdzieś w pobliżu. - Joe mocniej zacisnął usta. - O której to było?

Nicky podała mu godzinę.

- Musimy przyjąć założenie, że wówczas też cię widział. Wiemy, że obserwował cię również na plaży, co oznacza, że pewnie cię śledzi. Jezu, czyli przynajmniej trzy razy miał cię na widelcu. Jeśli nie więcej.

- W Old Taylor Place przez cały czas byłem z Gordonem. - Nicky siła się na spokój, choć na samą myśl o niebezpieczeństwie aż ją ścisnęło w żołądku. - A kiedy usłyszałam wycie, siedziałam bezpieczna w radiowozie pod czujnym okiem dwóch funkcjonariuszy. Na plaży byłeś ty.

Wbrew jej usilnym staraniom ostatnie zdanie zabrzmiało bardzo cicho.

- Nie ma co, dałem plamę - warknął dla kontrastu Joe, Oburącz ujął policzki Nicky i zajrzał jej w oczy. Miał duże, ciepłe i na wskroś męskie dłonie. Gdyby nie gniewne spojrzenie, wzięłaby ów gest za przejaw czułości. - Chciałbym, żebyś poważnie rozważyła wyjazd. Boję się

- Joe. - Nicky odkryła, że twarde rozgrywki mogą się okazać nad wyraz trudne. Marzyła tylko o tym, żeby się do niego przytulić i poczekać, aż pocałunek każe jej zapo mnieć o strachu. Ale na szczęście wciąż jeszcze nad sobą panowała, toteż nie wprowadziła zamiaru w czyn. Oparła tylko ręce na jego ramionach i spojrzała mu w oczy. - Nie rozumiesz, że jestem ogniwem, które łączy cię z tym czło wiekiem? Mógłbyś to wykorzystać.

- Nie chcę. Chcę, żebyś znalazła się daleko stąd i popi jała margeritę na jakiejś egzotycznej plaży.

- W końcu musiałabym wrócić. Tu jest mój dom. - Pró bowała się uśmiechnąć, lecz wypadło to dość blado.

- Będę bezpieczna tylko wtedy, gdy spróbujemy go przyskrzynić wspólnym wysiłkiem.

- Jak to?

- Ty i ja. Jako zespół.

- Wybij to sobie z głowy.

Zmrużyła oczy.

- Jak chcesz. Wobec tego każde z nas działa na własny rachunek, powieła czynności drugiego i traci czas.

Joe opuścił ręce.

- Mam lepszy pomysł. Ja działam na własny rachunek, a ty próbujesz mi nie przeszkadzać.

- Mam wrażenie, że przydałaby ci się pomoc.

- Obejdzie się.

- Co to ma znaczyć, obejdzie się? - zaciętrzewiła się Nicky. - Jeśli chcesz wiedzieć, jestem świetną dziennikarką. Uważaj, żebyś się nie zdziwił. Mam swoje źródła i wiem, jak czerpać z nich informacje. Wiem, gdzie ...

Na ustach Joego pojawił się cień uśmiechu.

- Zaraz, zaraz. No proszę, znowu robisz wiele hałasu o nic. Ależ ja wcale cię nie krytykuję. Mówię tylko, że nie potrzebuję twojej pomocy, głównie dlatego że nie chcę narażać cię na dodatkowe niebezpieczeństwo. Najbardziej przesładuje mnie myśl, że dostanę wiadomość o trzecim morderstwie i wtedy ofiarą będziesz ty.

Ta cała przemowa budziła pewne wątpliwości i Nicky znów zagotowała się w środku. Dostrzegła jednak wyraz jego oczu i poczuła, jak Joe niepostrzeżenie objął ją w pa sie. Serce zabiło jej mocniej w piersi.

- O - westchnęła z braku lepszej odpowiedzi.

- Chcę tylko powiedzieć, że wolę oglądać cię żywą

- To bardzo romantyczne - uznała.

- Prawda?

Opuścił głowę, a Nicky odruchowo wstrzymała oddech. Zaraz ją pocałuje marzyła, żeby ją pocałował.

Jeszcze tylko chwila

- Niiick! - rozległ się z korytarza głos Livvy.

Joe podniósł głowę i opuścił ręce, spoglądając w stronę drzwi.

Przyłapaną w kluczowym momencie Nicky, której nie ziomna postawa legła w gruzach wobec jej zdaniem oczywistych przejawów czułości, rzuciła siostrze miazdzące spojrzenie.

- Wybaczcie. - Livvy zaplotła ręce na wydatnym brzuchu i zrobiła przeproszącą minę. Niestety ani myślała się ulotnić. - Marisa chce wracać do domu i mama proponuje, żeby Joe posłuchał taśmy przed jej odjazdem.

Nie okazał większego zainteresowania, toteż Nicky skarciła go wzrokiem.

- Livvy! Nicky! Schodźcie na dół? - wrzasnął z parturu wujek Ham. - Przyprawdźcie Joego.

- Już idziemy! - odkrzyknęła Livvy i znacząco popatrzyła na siostrę.

- Moja matka mogłaby ci pomóc w rozwiązaniu tej sprawy, musisz jej tylko pozwolić - powiedziała Nicky, godząc się z myślą, że w rodzinnym domu może liczyć na mniej prywatności aniżeli na plaży i porzucając nadzieję, że Livvy raczy się ulotnić, tak aby ona i Joe mogli podjąć przerwany wątek. Pchnęła go w stronę drzwi. - Dalej, idziemy na dół. Zatem nie wierzysz w duchy. A proszę cię bardzo, nie musisz. Możesz jednak przynajmniej wysłuchać taśmy i podejść do niej z otwartym umysłem.

- Szczęściara - mruknęła Livvy, kiedy wyprzedził je o kilka kroków, tym samym znajdując się poza zasięgiem słuchu. - Niezły. - Skrzywiła się mimowolnie. - Jak to się stało? Przecież to ja zawsze zwiјаłam ci sprzed nosa najfajniejszych chłopaków. A teraz popatrz.

- Przechodzisz trudny okres - odpowiedziała pocieszająco Nicky. - To minie. Livvy przewróciła oczami.

- Zupełnie jakbym słyszała matkę. Idziemy!

- On wrócił! Wrócił. To on! Jest tutaj.

Kiedy zrozumiał, czego ma nasłuchiwać, słowa zaczęły docierać do niego bardzo wyraźnie. Ciche kobiece okrzyki pojawiały się w różnych odstępach czasu w ciągu całego nagrania. Głosy w kółko powtarzały to samo. Niestety, przedstawiały znikomą wartość dla śledztwa, gdyż mogły należeć do kogokolwiek. Joe nie mógł pojąć, dlaczego zebrani uparli się, by słyszeć akurat trójkę zamordowanych dziewcząt, jednakże zachował tę myśl dla siebie. Słuchał uprzejmie, starając się podejść do nagrania - z otwartym umysłem (zwłaszcza że Nicky popatrywała na niego znacząco) i walcząc z obezwładniającym znużeniem, które utrudniało mu koncentrację na czymkolwiek, a w szczególności na wiadomościach z zaświatów. Pod koniec nagrania jego wysiłki zostały nagrodzone w sposób, o jakim mu się nawet nie śniło, co potwierdzało stare przysłowie, że lepiej mieć szczęście niż być dobrym. Czasami dużo lepiej. Do diabła z głosami z zaświatów. Z chaotycznego nagrania wyłowił bowiem zapis rozmowy telefonicznej prowadzonej przez osobę z krwi i kości.

Telefon musiał być ustawiony na wibracje, gdyż nie usłyszał sygnału, a jedynie ciche kliknięcie, po czym ... - Halo? - rzuciła ścisłym głosem kobieta. Chwila ciszy.

Powiedziała coś niezrozumiałego. Kolejny moment milczenia:

- Nie słyszę - odrzekła nieco wyraźniej. - Mów głośniej. Pauza.

- Aha. To [jakiś niezrozumiały wyraz]. - Głos wyrażał zdziwienie, a nawet lekkie zdenerwowanie. - Co? Czekaj, roś przerywa ... Nie słyszę.

Pauza.

- Świetnie. To rozumiem. - Wyraźnie odetchnęła i ulgą. - Co? Dobrze, wyjdę do ogrodu. Zobaczmy, czy to coś da.

- Zatrzymać taśmę - polecił Joe, kiedy rozmowa ucichła. Marisa ze zdziwieniem wcisnęła klawisz stop. Zebrana w komplecie rodzina (przy stole zastawionym filiżankami i talerzykami z resztkami wypieków domowej roboty nie zabrakło nikogo) spojrzała pytająco. Joe stłumił westchnienie. W przeszłości, kiedy prowadził dochodzenie, pracował zazwyczaj sam bądź z małą grupą wyspecjalizowanych fachowców. Ośmioro przejętych cywilów z Da-ve'em na dokładkę stanowiło dokładne przeciwieństwo jego drużyny marzeń.

Lecz wyproszenie z kuchni wszystkich oprócz Nicky, której pomocy potrzebował, było ewidentną stratą czasu.

Po pierwsze, wszyscy zdążyli już wcześniej wysłuchać nagrania, gdyż Marisa przyniosła taśmę, kiedy Joe i Nicky chodzili po plaży. Po drugie, na podstawie wcześniejszych obserwacji zachowania Nicky mógł stwierdzić z całą pewnością, że rodzina prędzej czy później wyciągnie z niej każdą informację.

Innymi słowy, próba zachowania w tajemnicy tego konkretnego aspektu śledztwa była z góry skazana na niepowodzenie.

Trzeba wbić sobie do głowy: anioł stróż w rajku nie ma łatwo.

Parę osób jak na komendę otworzyło usta, żeby coś powiedzieć, i kilka "jak to?" oraz "dlaczego?" skrzyżowało się w powietrzu nad stołem. Joe uniósł palec do ust i obrzucił zebranych karzącym spojrzeniem, jak nie przymierzając przedszkolanka.

- Potrzebuję paru minut - powiedział.

Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy, ale posłusznie zamilkli.

- Mogłabyś cofnąć kawałek? - poprosił Marisę, która kiwnęła głową i przewinęła taśmę. Następnie zwrócił się do Nicky: - Chcę, żebyś posłuchała rozmowy w tle i zidentyfikowała głos.

Na jego znak Marisa włączyła magnetofon.

Usłyszeli głównie zbiorowy tupot, przyspieszone oddechy oraz głośne szmery towarzyszące grupie ludzi, która przechodziła z miejsca na miejsce.

Potem w tle zabrzmiała ledwo słyszalna rozmowa, którą Joe wychwycił za pierwszym razem.

- Idziemy na piętro - rozległa się głośna komenda Nicky. Joe ruchem ręki polecił Marisie wyłączyć magnetofon.

Przez cały czas nie spuszczał oka z twarzy Nicky i z góry znał odpowiedź na swoje pytanie. Zresztą nawet nie zdążył go zadać.

- To głos Karen - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

Podziękował jej skinieniem głowy.

- Czy mógłbym dostać tę taśmę? - zapytał Marisę.

Nie potrzebował jej zgody, tak jak nie potrzebował pozwolenia na konfiskatę obu telefonów Nicky. Miał szczerą nadzieję, że drugi aparat dotarł już bez szwanku na poste-runek i leży obok pierwszego.

Podobnie jak telefony, taśma stanowiła dowód w sprawie i mógł ją zabrać bez pytania, ale uprzejmości nigdy za wiele. W Jersey ta metoda nie zawsze się sprawdzała, jednakże w raju zdawała się posiadać magiczną moc.

Jakby na potwierdzenie owej tezy Marisa kiwnęła głową i pchnęła magnetofon w jego stronę.

- Ale o co właściwie chodzi? - wybuchnęła Livvy, przenosząc wzrok z siostry na Joego i z powrotem.

- To dlatego Karen wyszła z domu. - Nicky skwapliwie dała dowód swej słynnej dyskrecji. - Słyszała trzaski w słuchawce. Ktoś do niej zadzwonił, ale nie słyszała, co mówił. Myślała, że na zewnątrz będzie lepszy odbiór.

Joe z rezygnacją skinął głową. Całkowicie podzielał zdanie Nicky. Będzie jeszcze musiał porównać czas nagrania z zapisem wideo, lecz najprawdopodobniej właśnie wysłuchał początku ostatniej rozmowy telefonicznej Karen Wise.

Miało to dla niego większe znaczenie aniżeli głosy całej zgrai duchów.

Żadna z osób, które pamiętnego wieczoru rozmawiały przez telefon z Karen Wise, nie wspomniała nic o zakłóceniach.

Kiedy Joe opuścił Twybee Cottage, wymusiwszy na Nicky solenną obietnicę, że nie ruszy się z domu bez obstawy w postaci jednego z funkcjonariuszy, minęła czwarta. Na miejscu została tylko rodzina. Po kolejnej chaotycznej wymianie zdań wszyscy wreszcie skapitulowali i postanowili pójść spać. Nicky otuliła się kołdrą i zacisnęła powieki, usiłując myśleć o miłych rzeczach. Miała nadzieję, że swojskie otoczenie i rytmiczny łoskot fal dolatujący zza okna pomogą jej zasnąć, ale nic z tego. Makabryczne wizje cisnęły się jedna przez drugą, nasuwając wspomnienie lśniącej kałuży krwi Karen w świetle reflektorów oraz, owiniętej prześcieradłem bezkształtnej postaci, która jeszcze niedawno była Marshą Browning. Wiadomość też niel' pozwalała o sobie zapomnieć.

"Nocą słyhać dziś psów wycie ... "

Robiła, co mogła, by nie myśleć o mejlu, gorączkowo szukając jakiegoś punktu zaczepienia, czegokolwiek co oddaliłoby strach, który oplatał ją lodowatymi mackami. Przed oczami stanęła jej twarz Joego, jego czułe spojrzenie. Niemal poczuła, jak oplata ją ramionami i całuje ...

Stopniowo zaczęła się rozgrzewać. Jeśli tylko nie będzie myśleć o niczym innym ...

- Nicky?

Szept dobiegł z ciemności, przyprawiając ją o wstrząs.

Drgnęła mimowolnie, choć dobrze znała ten głos. Gdyby nie rozstrojone nerwy, od razu by go zidentyfikowała.

- Mamuś?

W dzieciństwie obie mówiły tak do Leonory. Dopiero na studiach Nicky przerzuciła się na bardziej dorosłe "mamo". Livvy wciąż często zwracała się do matki po staremu. Powrót do domu sprawił, że Nicky odgrzewała dawne nawyki, również w relacjach z matką. Traf chciał, że owo "mamuś" pasowało teraz jak ulał.

- Nie spałaś, prawda? ~ Pytanie zabrzmiało raczej w formie stwierdzenia. Leonora stała w progU, prawie niewidoczna na tle ciemnego korytarza. - Dobrze się czujesz?

Nicky przewróciła się na plecy i podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Widziałam dziś ducha Tary Mitchell - powiedziała w sufit.

Leonora milczała. Wreszcie z westchnieniem weszła do pokoju. Nicky usłyszała, jak mama szura kapciami po

drewnianej podłodze. Nawet bez patrzenia wiedziała, że Leonora ma na sobie aksamitną podomkę na

suwak, .I pod spodem koszulę nocną. Po chwili matka przysiadła na łóżku; materac ugiął się z lekka i Nicky poczuła miły zapach balsamu do ciała. Widziała ją kątem oka, ale wciąż uparcie wbijała wzrok w sufit. Ku swemu zdziwieniu zorientowała się, że serce wali jej w piersi jak szalone. Niełałwo rozmawiać z matką o duchach, stwierdziła. Czuła się nieswojo, zupełnie jakby niebacznie zapędziła się na zakazane terytorium ..

- Gdzie? - zapytała mama. Ściszony głos zabrzmiał nałder rzeczowo. No jasne. Dla Leonory James spotkanie z duchami to chleb powszedni.

Dla Nicky wręcz przeciwnie.

Siląc się na obojętny ton, opowiedziała całe zdarzenie. - Wcale mnie to nie dziwi - oznajmiła matka, kiedy opowieść dobiegła końca. - A raczej dziwię się, że dopiero teraz.

- Słucham? - Nicky popatrzyła na jej ledwo widoczną w półmroku twarz. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Naprawdę zapomniałaś? - Coś w głosie Leonory sprawiło, że Nicky zmarszczyła brwi.

- O czym?

- Wiesz, zawsze się zastanawiam, czy zrobiłaś to na umyślnie, czy może był to rodzaj samoobrony. Wreszcie uznałam, że to drugie.

Nicky poczuła lekki dreszcz niepokoju i zadrżała. - O czym ty mówisz?

Leonora zaśmiała się pod nosem.

- Twój ojciec i ja często dokuczaliśmy sobie wzajemnie, że spłodziliśmy dwa klony. Olivia była - jest - wypisz, wymaluj jak on. Jasnowłosey, niebieskooki, przystojny. Złoty chłopak. Wszyscy uwielbiali Neala. Dziewczęta, chłopcy, nie było nikogo, kto by go nie lubił. Zawsze, ale to zawsze był duszą towarzystwa. Wiesz co? Wciąż za nim tęsknię. To on był moim mężem, pozostali to tylko namiastka, którą próbowałam wypełnić pustkę. Ale zaczynam godzić się z myślą, że taką miłość przeżywa się tylko raz w życiu.

Nicky rzadko myślała o ojcu, gdyż wspomnienie rozetrśmianego mężczyzny, który świata za nią nie widział, mimo upływu lat wciąż sprawiało jej wielki ból. Słowa matki przywołały uśpione obrazy i teraz aż zacisnęła zęby.

- No i ty - podjęła cicho Leonora. - Mój mały, kochany rudzielec. Ty byłaś moim klonem. Czasami myślę, że to dlatego nigdy nie mogliśmy się dogadać. Od chwili, kiedy przyszedł na świat, wprost nie mogłam uwierzyć, jak uderzająco jesteśmy do siebie podobne. Nie tylko z wyglądu. Zawsze miałaś bujną wyobraźnię, jak ja, i żywe, gwałtowne usposobienie ... - Leonora zniżyła głos do szeptu. - I w przeciwieństwie do Livvy w dzieciństwie objawiałaś paranormalne zdolności.

- Słucham? - Nicky zacisnęła ręce na kółdrze, nie odrywając wzroku od twarzy matki. Ostatnie zdanie podzięłało na nią jak zimny prysznic. Nie, tego się nie spodziewała. Lecz gdzieś w głębi duszy czuła, że Leonora mówi prawdę.

- Tak było - potwierdziła mama. -- Miałaś dar, ale wyrzekłaś się go po śmierci ojca. Nie mogłaś, nie chciałaś się pogodzić z faktem, że widzisz lub czujesz coś, co nie należy do świata materialnego.

Nicky wciągnęła powietrze. Wspomnienia napierały ze wszystkich stron, podsuwając obraz uśmiechniętego, jasnowłosego mężczyzny na dziobie żaglówki, którą nazywał "Oczekiwanie", gdyż przez cały tydzień pracował w banku i czekał na weekend, który mógł spędzić na łodzi z całą rodziną.

Lecz w tamten pamiętny weekend ona i Livvy były przeziębione; zostały w domu z matką, a ojciec wyruszył sam. Pocałował je na do widzenia i wyszedł. Potem zobaczyła go na pokładzie łodzi pędzącej do brzegu pod baldachimem czarnych chmur. Wzburzone fale miotały żaglówką jak papierowym stateczkiem. Rozległ się głośny trzask, kadłub uderzył o skałę i łódź poszła na dno. Nicky patrzyła, jak osuwa się w ciemną kipieli, a fale zalewają pokład ...

- Tatuś. - Odruchowo ujęła matczyną dłoń i zacisnęła palce. - Widziałam tatusia ...

Głos odmówił jej posłuszeństwa, łzy napłynęły do oczu. - Wiem. - Leonora krzepiąco uścięnęła jej dłoń. - Pamiętam. Nocą, kiedy zginął twój ojciec, zanim jeszcze dołstałyśmy wiadomość, obudziłaś się z krzykiem. Wbiegłam do twojego pokoju, a ty powiedziałaś, że tatuś utonął, po czym dokładnie opisałaś wszystko, łącznie z kolorem jego koszuli. Przebrał się już na łodzi, więc nie mogłaś wcześniej o tym wiedzieć. Wszystko zgadzało się co do joty.

- Była żółta - szepnęła Nicky. Drapało ją w gardle, serce waliło jak młotem, a rozpacz zaciskała żołądek. To się stało tak dawno temu: dlaczego ból wciąż dawał o sobie znać?

- Tak. - Uścisk palców matki przybrał na sile. - Przez kilka dni nie odezwałaś się ani słowem. Wreszcie zaczęłaś powoli wracać do normalnego życia, byłaś zła na siebie, a jeszcze bardziej na mnie. To trwało bardzo długo. Nie pamiętasz? Zupełnie jakbyś winiła siebie, że nie zdołałaś zapobiec temu, co spotkało twojego ojca, chociaż widzięłaś, co się dzieje. Obwinałaś też mnie za przekazanie ci tych zdolności. I za

nic w świecie nie chciałaś rozmawiać o tym, co zobaczyłaś owej nocy. Byłaś taka ... zamknięta, że po pewnym czasie dałam za wygraną, bo sprawiało ci to za dużo bólu. O ile wiem, od tamtej pory nie doświadczyłaś tego ponownie. Zastanawiałam się, czy dar ponownie kiedyś da o sobie znać.

- Nie chcę go - wykrztusiła Nicky.

- Ja czasami też nie - odrzekła Leonora.

W głosie matki słysząc było taki smutek, że pomimo wzbierających w oczach łez Nicky usiadła na łóżku i objęła ją mocno. Leonora z całej siły przytuliła córkę. Siedziały tak długi czas.

- Oto, na czym stoimy - podsumował Joe na zakończenie raportu z postępowania w sprawie Marshy Browning.

Stał przy tablicy w ponurej sali konferencyjnej i szkicował wykresy, na których umieścił poszczególne morderstwa, poczynając od śmierci Tary Mitchell, a skończywszy na Marshy Browning. Piętnastoletni odstęp czasu został oznaczony wielkim znakiem zapytania: zdaniem Joego była to bardzo istotna kwestia. Przemawiał do grupy wszystkich swoich podwładnych prócz Randy'ego Browna, któremu za sprawą żelaznego alibi przypadł zaszczyt opieki nad Nicky. Był niedzielny wieczór około godziny osiemnastej, kiedy to co najmniej dwie trzecie funkcjonariuszy, nie wyłączając szefa policji, byczyło się zwykle przed telewizorem i raczyło browarkiem. Lecz wskutek zaistniałych okoliczności wszyscy zasuwali praktycznie na okrągło. Ze względu na niewielką liczbę rąk do pracy, powagę sytuacji oraz narzuconą przez burmistrza konieczność zachowania dyskrecji obecny stan rzeczy mógł potrwać przynajmniej do chwili ujęcia sprawy.

Policjanci pokiwali głowami, wymiatając z talerzy resztki pizzy, przyslanej gratis z lokalnej pizzerii w ramach poprawienia kondycji stróżów porządku. Joe przyjął do rozdzielania zadań. ...

- Cohen i Locke: wy pracujcie dalej nad listą przestępców na zwolnieniu warunkowym. Znajdźcie ich i sprawdźcie alibi. Milton i Parker: przeczeszcie teren w pobliżu Old Taylor Place i wypytajcie mieszkańców, czy ósmego lub czternastego maja ktoś podejrzany nie zwrócił ich uwagi; rozejrzyjcie się też za psem, który mógł wtedy wyć w okolicy. Helling i Roe: macie obejść sąsiadów Marshy Browning i wypytać, czy w ciągu ostatnich dni w okolicy nie kręcili się jacyś obcy. Krakovsky, sporządź listę samotnych mieszkańek wyspy. Potrzebujemy jej jak najszybciej. O'Neil przygotowuje listę wszystkich rozmów telefonicznych obu ofiar, a pozostali zajmą się swoimi zwykłymi obowiązkami. Jakies pytania? Pojawilo się kilka kwestii i Joe starał się udzielić w miarę wyczerpujących odpowiedzi. Po skończonym zebraniu jego podwładni odsunęli plastikowe krzesła i rozeszli się do swoich zajęć. Niektórzy usiedli z powrotem przy biurkach, a pozostali opuścili budynek.

Joe postanowił jechać do domu. Musiał załatwić parę telefonów i chciał to zrobić dyskretnie. Potem zamierzał wziąć prysznic, a następnie raz jeszcze porównać zabójstwo Marshy Browning ze śmiercią Karen Wise oraz starą sprawą Tary Mitchell. Nie była to ciężka praca, lecz czasochłonna, a do tego człowiek musiał wiedzieć, czego szuka, dlatego Joe zostawił to zadanie dla siebie.

- Uważasz, że powinniśmy pouczyć samotne kobiety, aby zamykały drzwi na klucz? - zapytał Milton, kiedy wychodzili razem tylnymi drzwiami. Zmierzało; liście młodych palm otaczających parking szeleściły na wietrze. Dwa radiowozy wyjeżdżały właśnie na ulicę i w powietrzu zawisła woń spalin.

- Myślę, że to niezły pomysł. - Wbrew woli Joego odpowiedź zabrzmiała nieco oschle. Jego zdaniem każda samotna kobieta, która nie zamyka drzwi domu na klucz, powinna się leczyć na głowę, lecz jeśli wziąć pod uwagę tutejszą nonszalancję, zapewne znajdzie się kilka delikwentek, którym trzeba będzie wyłożyć kawę na ławę.

- Powiemy też, że będziemy regularnie patrolować okolicę - dodał Milton.

- Bez dwóch zdań - odparł Joe, unosząc rękę na pożegnanie.

- Komendancie Franconi!

Słyszając własne nazwisko wypowiedziane podniesionym głosem, Joe obejrzał się gwałtownie. W jego kierunku biegły co najmniej trzy różne grupy ludzi. Wy odrębnił wzrokiem samotną kobietę, która wołała głośno, wymachując ręką, ekipę damską-męską oraz dwóch mężczyzn, z których jeden trzymał na ramieniu kamerę.

Joe stanął jak wryty i wytrzeszczył oczy.

- Czy to prawda, że Łazarz znów zaatakował? - Wy przedziwiony pozostałych, kobieta dopadła go pierwsza, Trzymała w ręku dyktafon, ale i bez niego Joe od razu pojął, z kim ma do czynienia.

Dziennikarze. Ponownie ruszy! naprzód i przyspieszył kroku. Jezu Chryste, jakim cudem dowiedzieli się tak szybko?

- Bez komentarza - odpowiedział.

- Czy to ten sam człowiek, który piętnaście lat temu zamordował trzy nastolatki? - Kolejne pytanie padło z usł jednego z mężczyzn. Joe usłyszał cichy szmer i ujrzał ml wprost siebie obiektyw kamery.

- Bez komentarza.

Na szczęście stał już przy samochodzie. Otworzył drzwi pilotem.

- Czy można powiedzieć, że na wyspie Pawleys grasuje seryjny morderca?

- Bez komentarza - powtórzył po raz trzeci, a następ nie szarpnął klamką i opadł za kierownicę. Kiedy z piskiem opon wyjeżdżał z parkingu, tamci jeszcze coś wykrzyki wali i Joe odetchnął z ulgą, widząc że zostawili samochody na ulicy od frontu.

Vince będzie w siódmym niebie, pomyślał ironicznie, po czym sięgnął po telefon, by uprzedzić burmistrza, co się święci.

- Święta Maryjo i Józefie! - stęknął Vince. - To wszysl ko przez ten cholerny program. Wiedziałem, że powinie nem był ich wyrzucić od razu pierwszego wieczoru, ale gdzie tam, ty mi nie pozwoliłeś. A teraz zobacz, na co nam przyszło. To kompletna katastrofa. Zróbże coś!

I z hukiem odłożył słuchawkę.

Joe bez przeszkód dotarł do domu i zaraz za drzwiami zrzucił krawat i marynarkę. Na wypadek gdyby komuś strzeliło do głowy zrobić mu zdjęcie przez okno, przed za-paleniem światła zasunął zasłony.

Następnie poszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę piwa i usiadł przy stole, żeby zatelefonować.

Kolega, który miał zlokalizować komputer Łazarza508, nie odbierał. Joe zostawił wiadomość, informując, że prze-śle mu kolejny mejl, i odłożył słuchawkę.

Za drugim razem miał więcej szczęścia .

- Chciałbym, żebyś mi oczyścił dźwięk na taśmie ma-gnetofonowej - poprosił innego dawnego kolegę. - To krótkie, niespełna minutowe nagranie. Potrzebuję dokład-nego brzmienia kilku zniekształconych zdań.

- Nie ma sprawy - odpowiedział kolega. - Przyślij taśmę.

- Dzięki. - Rozłączył się i zaczął wykręcać trzeci numer.

Kątem oka zobaczył wślizgującego się do kuchni Briana. Wszystko, począwszy od skrzypienia butów na winy-łowej podłodze poprzez szwy niebieskich dżinsów i jasną, przydługą grzywkę opadającą na czoło, wyglądało real-nie. Brian sprawiał wrażenie człowieka z krwi i kości .

Joe zamarł ze słuchawką w ręku.

-Wypieprzaj z mojego życia - warknął. I bynajmniej nie żartował.

Brian przystanął i uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Nieładnie - odrzekł, grożąc mu palcem.

Było to tak w stylu tego skurczybyka, że Joego aż za-tknęło. Albo gadał z pyskującym duchem, albo miał choler-nej halucynacje. Żadna z opcji nie rokowała najlepiej dla jego równowagi psychicznej.

- Ja zwariowałem - mruknął, nie odrywając wzroku od Briana. - Kompletnie mi, kurde, odbiło.

- Z ust mi to wyjąłeś - odrzekł wesoło tamten i zwawo ruszył w stronę tylnego wyjścia. - Widzę, że robisz post- py. Przynajmniej znów ze sobą rozmawiamy.

- Ty nie żyjesz - zakomunikował mu Joe z dotkliwi, świadomością, że odstępkuje od swej półtorarocznej strate-gii pod tytułem Ilnie zwracaj na niego uwagi, to zniknie". Diabli nadali Nicky i jej zwariowaną rodzinę amatorów spirytyzmu. Najwyraźniej miała na niego większy wpływ, niż przypuszczał.

- I co z tego?

- Jak to, co z tego? Nie żyjesz. Idź do nieba. Albo do piekła, gdzie tam wolisz. Mam to gdzieś. Bylebyś sobie polazł. - Uważaj, bo jeszcze chwila, a zranisz moje uczucia. Joe wytrzeszczył na niego oczy. Brian tytnął zawistnk na piwo. Joe podniósł butelkę i z rozmyślną ostentacją upił łyk.

- Dupek - rzucił pogodnie kumpel, gdy Joe ocierał usta wierzchem dłoni.

"Dupek". Boże, ile razy go tak nazwał, dokładnie tym samym tonem.

- Skoro już tu jesteś - powiedział Joe lekko zachryp-niętym głosem - choć raz bądź użyteczny i gadaj, kto, do cholery, morduje te kobiety.

- Co ja jestem, jasnowidz? Skąd, u licha, mam wie-dzieć?

- Więc co tu robisz?

- Aha. Czekałem, kiedy raczysz mnie o to zapytać.

- Tamten posłał mu jeden ze swoich firmowych, promiennych uśmiechów. - Jestem twoim aniołem stróżem, stary.

Joe miał mętlik w głowie. Brian jego aniołem stróżem?

Wszechświat nie mógł być aż tak popappany.

- Bzdura. - Uderzył dłońmi o stół i zerwał się z krzesła, które z hukiem przewróciło się na podłogę. - Jeden wielki stek bzdur. Mam coś z głową. Tu nikogo nie ma. Jestem sam w tej kuchni.

Ktoś zastukał do tylnych drzwi. Joe urwał w pół słowa i popatrzył ponad ramieniem Briana: na ganku, z nosem dosłownie przyklejonym do szyby, stał Dave. Za jego plecami panowały egipskie ciemności i Joe uświadomił sobie i, e zgrozą, że od dłuższego czasu rozbija się z wrzaskiem po kuchni. Może miał jakiś atak czy coś w tym rodzaju.

Naraz doznał olśnienia: Brian był wynikiem chwilowego zaćmienia mózgu.

- Hej, Joe. - Dave pomachał do niego przez szybę.

Miał nieco zmartwioną minę i Joe domyślił się, że zastępca słyszał jego pokrzykiwania, a może nawet zobaczył, jak wali w stół.

Boże. Joe miał szczerą nadzieję, że nie widział nic więcej. Wiadomość, że szef debatuje z niewidzialną istotą, nie wpłynie pozytywnie na jego opinię. Nie wspominając o samopoczuciu reszty funkcjonariuszy, jeśli wieść się rozejdzie.

Joe otworzył drzwi.

- Rozmawiałem przez telefon - rzucił tonem usprawiedliwienia. Jakiś szelest kazał mu opuścić wzrok w okolicę kolan zastępcy, gdzie napotkał spojrzenie czarnych, okrągłych oczek Cleo.

Może przechodził załamanie nerwowe, ale to nie znaczy, że zgłupiał.

- Nie - oznajmił kategorycznie, nim Dave zdążył choćby otworzyć usta. - Już ci mówiłem, że świnię to nie moja specjalność.

- Tu nie chodzi tylko o Cleo - odparł płaczliwie kolega. - Chodzi o mnie. Amy wyrzuciła nas oboje. Nie mam gdzie przenocować.

Pauza.

Bilans ostatniej doby był wprost imponujący: romanłyiczne tete-ćl-tete z Nicky na plaży, brutalne morderstwo, kilka niemiłych wymian zdań, fura roboty, zasadzka dziennikarska, duch albo załamanie nerwowe (do wyboru),

a teraz jeszcze potencjalny współlokator z inwentarzem żywym w postaci świni. Innymi słowy, Joe miał za sobą -kolejny pełen wydarzeń dzień w raj.

- Dni naszego życia jak ziarenka piasku w klepsydrze- szepnął mu do ucha Brian. Drań stał tuż za jego plecami

i na bank uśmiechał się jak Kot z Cheshire. Oczywiście Dave go nie widział.

- Psiakrew - rzucił z rezygnacją Joe, otwierając szerzej drzwi. - Wejdz. Świnia zostaje na zewnątrz.

17

Podniósł krzesło, a Dave zrobił nalot na lodówkę. Właśnie siadali przy stole z dwiema butelkami zimnego piwa llraz dwiema kanapkami z mielonką, gdy Joe spojrzał na świnię, która stała na tylnych nogach i wpatrywała się w nich jak zahipnotyzowana. Szturchnął Dave' a, a ten wstał i zaniósł jej resztę ledwo napoczętej puszki. Była to mielonka wołowa, toteż Cleo mogła się czuć usprawiedliwiona, przynajmniej w sensie karmicznym. Ale Joe miał co do mielonki zgoła inne plany, toteż otwarcie dał wyraz swemu niezadowoleniu gdy Dave wrócił do kuchni.

- Wisisz mi mielonkę - oznajmił, unosząc wzrok znad kartoteki Marshy Browning, jednej z wielu, jakie przyniósł do domu. Przynajmniej Cleo przestała się na niego gapić przez szybę, co miało swoje dobre strony.

- Jutro pojedę do sklepu - obiecał Dave. - Może kupić coś jeszcze? Mleko? Jajka? Wszystko mamy? Owo "my", w zestawieniu z wizją Dave'a robiącego dla nich obu zakupy, zabrzmiało cokolwiek zbyt poufale. Byli współlokatorami zaledwie od kwadransa, a Joe już miał dość.

Dlatego postanowił nie tracić czasu i niezwłocznie skłonić kolegę do powrotu tam, gdzie jego miejsce.

- Nieważne - powiedział. - Gadaj, co jest grane z Amy. Dave tylko tego potrzebował. Rozsiadł się na krześle i wygłosił tyradę, stanowczo wykraczającą poza zwykłą

koleżeńską rozmowę. Kiedy łzawa opowieść dobiegła kresu, Joe, który słuchał jednym uchem, zdążył skończyć piwo oraz kanapkę i znajdował się w połowie analiz morderstw Karen Wise i Marshy Browning.

Mógł jedno cześnie słuchać Davea i analizować dowody z tej prostej przyczyny, że niemal od samego początku miał niezbitą pewność: sprawcą był ten sam człowiek. Porównanie obli spraw z morderstwem Tary Mitchell wymagało wzmożonej koncentracji: istniało zbyt wiele różnic, a te nasuwały wniosek dokładnie odwrotny, a mianowicie że nastolatku zginęła z ręki innego zabójcy. Akta sprawy Mitchell miały jednak, rzecz jasna, piętnaście lat i sporządził je ktoś inny, Możliwe, że były nie całkiem zgodne z rzeczywistością" i pominięto w njch istotne szczegóły.

Tylko że to samo mogło dotyczyć jego akt.

- Rozumiem jej punkt widzenia - dodał żałośnie Dave.

- Ale Cleo była po prostu głodna. Nic więcej.

Joe oderwał się od swego frapującego, potencjalnie przełomowego zajęcia i napotkał zaszczute spojrzenie Numeru Dwa. Sytuacja wymagała większego zaangażowania. Pora wyciągnąć do kolegi pomocną dłoń.

- Reasumując: Cleo wytrąciła jej z ręki pizzę i ją zjadła, - Piętnastominutową opowieść Davea dało się streścić jednym zdaniem.

- Amy twierdzi, że znów została zaatakowana. Cleo wcale jej nie zaatakowała. Nie jest taką świnią. Ale do Amy nic nie dociera. - Dave sięgnął po swoje piwo i zaraz je odstawił. Widocznie był tak zmartwiony, że nawet tru nek stracił swój zwykły powab. - Zresztą to moja wina. Przyzwyczailem Cleo, że rano i wieczorem dostaje resztki ze stołu. A ostatnio, sam wiesz, harowałem praktycznie dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie zawsze był czas o tym pomyśleć. Miała w korytku swoje żarcie, ale niespełnialnie za nim przepada.

Joe zachodził w głowę, jak by to dyplomatycznie ująć.

- Wiesz co, może nie mam pełnego obrazu sytuacji, myślę jednak, że zanim Amy się do ciebie wprowadziła, byłeś o niebo szczęśliwszy.

Dave zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że może nie jest odpowiednią kobietą dla ciebie.

- W jakim sensie?

Joe westchnął. Dyplomacja nigdy nie była jego najmocniejszą stroną. W każdym razie Dave wyraźnie nie łapał, w czym rzecz.

- Ty lubisz świnię, a ona nie. Może powinieneś rozejrzeć się za kimś, kto podziela twoje zainteresowania.

- Amy i ja bardzo do siebie pasujemy. - Dave spojrzał na Joego z wyrzutem, po czym jeszcze bardziej zmarkotniał. - No, powiedzmy. Strasznie się wkurza, kiedy zostaje po godzinach i pracuję w weekendy. Za to kiedy jestem w domu, ona wraca późnym wieczorem. Do tego dochoǳą jeszcze awantury z byłym mężem i dziećmi. No i hm, jest jeszcze Cleo.

Do diabła z tym, pomyślał Joe. Miał serdecznie dosyć wszystkiego. Chrzanić pomocną dłoń!

- Sam widzisz. Jesteście wprost dla siebie stworzeni. - Zirytowany ponownie wsadził nos w akta. -

Sprawdziłeś billingi?

- W jednej trzeciej. Paskudnie czasochłonne zajęcie. Obie babki lubiły nadawać przez telefon. Czasami, gdy chcę zapytać o przebieg rozmowy, słyszę tylko automatyczną sekretarkę. Że nie wspomnę o telefonach z numerów "prywatnych", to dopiero twardy orzech do zgryzienia.

- Taa - odpowiedział Joe. - Ja ...

Nagły zgiełk dobiegający z salonu sprawił, że obaj podskoczyli na krzesłach.

- Co, u licha? - mruknął Joe. Hałas pochodził z huczącego na cały regulator telewizora.

Przecież był wyłączony. Wchodząc do salonu, ujrzeli jednak, że ryczy w najlepsze. Wzdrygając się, Joe porwał ze stołu pilota i ściszył dźwięk.

- Jak to się stało? - spytał Dave, kiedy ponownie zaczęli słyszeć, co do siebie mówią. Popatrzył na telewizor i zmarszczył brwi. - Dziwne.

Lecz uwagę Joego przykuło to, co działo się na ekranie.

I od razu zrozumiał, w czym rzecz. To pewnie sprawka Briana lub chwilowego zaćmienia mózgu, o czym nie miał pojęcia. Jak zwał, tak zwał.

Tak czy inaczej, spoglądał na Nicky.

- Dobry wieczór. Witajcie w programie "Na tropie tajemnic". Nazywam się Nicole Sullivan - powiedziała do kamery. Jej twarz wypełniła ekran i Joe zagapił się na nią mimowolnie, ponownie oczarowany jej urodą. Lśniące rude włosy, porcelanowa skóra, zmysłowe usta ... ich widok nasunął mu wspomnienie ubiegłego wieczoru. Wiedział już, że są równie miękkie i słodkie, jak na to wyglądają ...

- W domu Marshy Browning znaleźliśmy krwawy odcisk stopy, pasujący do śladów z Old Taylor Place? - zdziwił się Dave. - Nie wiedziałem.

Joe otrząsnął się z zamyślenia i ponownie skupił uwagę na programie. Na ekranie pojawiło owinięte prześcieradłem ciało Marshy Browning.

- Łazarz dwukrotnie dzwonił do mnie z aparatów telefonicznych ofiar. W przypadku Marshy Browning skontaktował się ze mną za pośrednictwem telefonu stacjonarnego w jej domu przed znalezieniem ciała, dzięki czemu policja bez trudu zlokalizowała ofiarę. Nieco później, nad ranem, Łazarz przesłał mi

kolejną zaszyfowaną wiadomość. Brzmiała następująco: - na ekranie pojawił się czteryrowiersz - "Nocą słycać dziś psów wycie" ...

- Cholera - warknął Joe i usiadł z rozmachem na kanapie, patrząc z rosnącym przerażeniem, jak tajne szczegóły śledztwa płyną w eter.

- Ładnie wyglądasz w telewizji - powiedziała Elaine Ferrell, odprowadzając Nicky do drzwi. - Może tylko powinnaś trochę natapirować włosy. Chętnie się tym zajmę, jakby co, daj znać. I koniecznie pozdrow mamę•

- Pozdrowię - obiecała Nicky, stając pod rozgwieżdżonym niebem. - Dziękuję•

Pani Ferrell pomachała jej na pożegnanie i zamknęła drzwi, co znaczyło, że Nicky znalazła się sama na kiepsko oświetlonym ganku. Ciarki przebiegły jej po plecach.

Upewniwszy się, że nic się nie czai za schludnie przystrzyżonym żywopłotem otaczającym budynek od frontu, zbiegła po schodkach i dziarsko ruszyła przez trawnik. Spędziła u pani Ferrell, tlenionej sześćdziesięcioletki, (bli-sko godzil).ę. Właśnie minęła dziesiąta i jeśli nie liczyć rzędu oświetlonych okien wzdłuż ulicy, dokoła panował gęsty mrok. Wietrzyk pieszczotliwie owiewał jej twarz, lecz Nicky, ubrana w białe dżinsy i czarny podkoszulek, czuła się na wskroś przemarnięta. Zewsząd docierały przeróżne dźwięki: brzęczenie owadów, odległe echo muzyki., stłumiony brzęk metalu. Wydawało jej się, że czuje na sobie czyjś wzrok. Była to absurdalna myśl, ale i tak zrobiło jej się nieswojo. Gdyby nie obecność porucznika Randy' ego Browna, stojącego cierpliwie przy radiowozie zaparkowanym zaledwie kilkanaście metrów dalej, przejście do własnego samochodu okazałoby się ponad siły Nicky. Prawie czuła na karku czyjś złowrogi oddech.

To zapewne sprawka wyobraźni, napędzanej strasznymi wydarzeniami minionego tygodnia.

Wspomnienia przywołane wczoraj przez matkę dodatkowo wyostrzyły wrażliwość Nicky, a dręczące ją później koszmary tylko pogorszyły sprawę. Karen Wise i Tara Mitchell odwiedziły ją w snach i szeptały coś do ucha tak cicho, że choć wyę-żała słuch, nie rozumiała ani słowa.

Odniosła jednak nieodparte wrażenie, że chcą ją przed czymś ostrzec.

Oczywiście to tylko sny, w końcu nie było w nich ni dziwnego. Każdy na jej miejscu doświadczyłby tego samego. A duch Tary Mitchell ukazywał się wielu ludziom. To wcale nie musi znaczyć - i nie znaczy - że Nicky obudzila.w sobie głęboko ukryte zdolności paranormalne.

Czy aby na pewno?

To ewentualność przyprawiała ją o dreszcze, dlatego Nicky postanowiła niezwłocznie przestać o tym myśleć. Musi też koniecznie otrząsnąć się z poczucia, że za każdym rogiem czyha na nią niebezpieczeństwo, bo nic dobrego z tego nie wyniknie.

Aby to osiągnąć, musi bez reszty skupić się na pracy i właśnie tak zamierzała zrobić. Program wypadł koncertowo. Odebrała już kilka telefonów z gratulacjami, w tym również od Sida Levina, który nie krył zadowolenia, że zamiast Nicky nie posłał na wyspę Carla.

Potem pani Ferrell, która też oglądała "Na tropie tajemnic", zadzwoniła do Leonory z prośbą o przekazanie córce pewnych bardzo istotnych informacji. Pani Ferrell, od lat fryzjerka mamy, była największą plotkarą na wyspie, która całymi dniami przesiadywała w oknie i wtrącała się w cudze sprawy. A co najważniejsze, mieszkała w domu położonym niemal naprzeciwko domu Marshy Browning. Była prawie na sto procent pewna, że tamtego wieczoru kiedy zamordowano sąsiadkę, jakiś mężczyzna zaciągał zasłony w oknach jej salonu.

Przekazana przez matkę wiadomość skłoniła Nicky do natychmiastowej wizyty u pani Ferrell. Sąsiedzka plotka była tym, na czym zależało jej najbardziej. I nie czekało jej rozczarowanie. Odpowiednio przesiane soczyste wiadomości mogły się stać podstawą paru solidnych tropów. Wystarczy jeden, a zwyrodnialec znajdzie się w potrzasku.

Błysnęły reflektory i Nicky uniosła głowę. Obok niej śmignął biały van, podjechał do domu Marshy Browning

i zatrzymał się przy krawężniku. Tylne drzwi rozsunęły się z metalicznym zgrzytem, ktoś wyskoczył na chodnik i błysk flesza rozświetlił mrok.

Nicky stanęła jak wryta. Znała te światła, pochodziły z profesjonalnego aparatu fotograficznego. Kolejni dziennikarze. Podwórko Marshy Browning otaczała żółta taśma policyjna, a na podjeździe stał radiowóz, lecz Nicky wiedziała z doświadczenia, że dla doświadczonego reportera to pestka.

Wilki zacieśniały krąg•

- Hej, wynocha stąd! - krzyknął Brown i zamachał rękami, jakby chciał odpędzić stado natarczywych ptaków.

Fotograf niezamordowanie pstrykał zdjęcia. Policjant na podjeździe Marshy Browning wysiadł z samochodu

i ciężkim krokiem ruszył w kierunku intruzów. Fotograf wskoczył do vana i tyle go widzieli. Kiedy czerwone światła zniknęły w ciemności, Nicky spostrzegła, że jej ochroniarz patrzy w ślad za odjeżdżającym samochodem, czyli nie tam, gdzie powinien.

Może jestem trochę przewrażliwiona, pomyślała bez przekonania. Pora wracać do domu.

Otworzyła drzwi i właśnie siadała za kierownicą, kiedy nagły szmer z prawej strony kazał jej odwrócić głowę. Ktoś otworzył z rozmachem drzwi od strony pasażera i wsiadł obok.

Nicky wydała cichy okrzyk i mało nie wypadła z samochodu.

- Kiepsko ci idzie zachowywanie ostrożności - zauważył Joe, w porę łapiąc ją za rękę. - W końcu mogłem być ... sam nie wiem ... na przykład Łazarzem.

- Ale nie jesteś.

Opadła bezwładnie na fotel. Serce tłukło jej jak oszalałe i z trudem panowała nad głosem. Minęła dłuższą chwilę, nim na dobre przyszła do siebie. Wreszcie zatrzęsnęła drzwiami i spojrzała na Joego. Widziała w mroku jego profil i błysk ciemnych oczu, gdy zwrócił twarz w jej stronę. Słyszała jego oddech i czuła bijące od niego ciepło. Poczowała przyływ nowych sił.

- Czyli znowu masz szczęście, tak? - Włożył do ust papierosa, błysnęła metalowa zapalniczka. - Jeśli chcesz już jechać, opuszczę szybę.

- Dobrze. - Nicky odetchnęła głęboko i uruchomiła silnik. Joe do połowy opuścił szybę i płomień na chwilę rozproszył ciemność. - Mam nadzieję, że porucznik Brown zdążyłby zareagować. Chyba po to za mną jeździ, prawda?

- Teoretycznie. Ale, jak pewnie sama zauważyłaś, przed chwilą trochę się rozproszył. - Komuszek papierosa rozjarzył się na czerwono, a zapalniczka zniknęła w kieszeni Joego. - Wystarczy chwila nieuwagi i masz w samochodzie mordercę. Gdybyś przeżyła, program miałby stuprocentową oglądalność. Oszolomiona jeszcze Nicky początkowo nie zwróciła uwagi na jego rozdrażniony ton. Joe siedział naburmuszony, jego ruchy wyrażały napięcie, które mówiło samo za siebie. Poznała go na tyle, by wreszcie zrozumieć, że pan komendant znów jest zirytowany.

- Masz sprawę? - spytała. - Czy po prostu mnie straszysz, żeby udowodnić, że miałaś rację?

- Mam sprawę. Jedź, opowiem ci po drodze. Oczywiście mogłaby odmówić albo nawet wyprosić go z samochodu, choć pewnie i tak by nie posłuchał, jednak nie miało to większego sensu. Mógł się wściekać do woli, ale Joe to Joe. Wkurzony czy nie, miał na nią zbawienny wpływ.

Przy nim czuła się naprawdę bezpieczna, a w obecnej sytuacji to nie było co.

- Jadę do domu - rzuciła gwoździem informacji, po czym zapięła pas i wcisnęła gaz.

- Nareszcie ..

Hm. Ktoś tu rzeczywiście jest nie w humorze.

Kiedy kierowali się w stronę Atlantic Avenue, jeśli pominąć jadący za nimi radiowóz, ulice świeciły pustkami. Reflektory samochodu Nicky oświetliły skrzynki pocztowe, pojemniki na śmieci (aha, jutro wywożę) oraz kocura, który chyłkiem przemknął przez jezdnię. Joe rozmawiał z kimś, chyba z Brownem, przez radio policyjne, które musiał mieć w kieszeni albo przy pasku.

- Możesz jechać do domu - powiedział. - Panuję nad sytuacją.

- W porządku. Do zobaczenia jutro - rozległ się przez trzaski głos funkcjonariusza Browna.

Joe wcisnął guzik i zapadła cisza. Nicky zwołniła przed znakiem stopu na końcu ulicy, po czym skręciła w prawo, w stronę domu.

- Kto ci powiedział o kosmyku Karen Wise, znalezionym w domu Marshy Browning? - spytał pozornie obojętnym tonem. - Przyznam, że miałem nadzieję zachować to w tajemnicy.

Nicky spojrzała na niego z ukosa. - Oglądałaś program.

- A jakże. - Wydmuchał dym przez okno. - No więc kto?

- Dziennikarz nie może zdradzać swoich źródeł.

- Musiałaś się dowiedzieć od jakiegoś policjanta. To nie byłam ja.

- Powinieneś już wiedzieć, że na wyspie nic się przed nikim nie ukryje. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

- Sęk w tym, że twój program ma sporą oglądalność i to wśród ludzi spoza wyspy. Masz pojęcie, ile szkody wyrządziłaś, trąbiąc o tym na wizji? Teraz morderca dokładnie zna przebieg śledztwa.

- Gdybym ja o tym nie wspomniała, zrobiłby to ktoś inny. Sprawa zyskuje coraz większe zainteresowanie. Widziałeś tamtego fotografa. Tak czy siak, zrobiłam też trochę dobrego. Wiesz, gdzie byłam?

- No gdzie?

- U Elaine Ferrell. To fryzjerka mojej matki. Oglądała program, a potem zadzwoniła do mnie z pewną

bardzo ważną wskazówką.

- To znaczy?

- Widziała mężczyznę, który w dniu morderstwa zaciągał zasłony w domu Marshy Browning - oznajmiła triumfalnie Nicky.

Zapadła cisza. Nicky poczuła na sobie spojrzenie Joego. Wyjął papierosa z ust.

- Chcesz powiedzieć, że przysłała do ciebie zamiast na policję?

Lekko wzruszyła ramionami, próbując zachować powagę.

- W końcu to dobra znajoma mojej matki. Joe ponownie zaciągnął się papierosem.

- Dobrze mu się przyjrzała?

- Owszem.

- Podasz mi rysopis?

- Biały, jasnowłosy mężczyzna o szczupłej budowie ciała, raczej młody. Miał na sobie białą koszulę.

- Przepraszam na chwilę - powiedział tak, jakby cierpiał na niestrawność. Papieros zniknął, pewnie został wyrzucony przez okno. Joe wyjął komórkę, po czym wybrał numer. - Przesłuchiwałeś już niejaką Elaine Ferrell? Mieszka po drugiej stronie ulicy, w pobliżu domu Marshy Browning.

Nastąpiła krótka przerwa, tak jakby jego rozmówca przeglądał listę nazwisk. ..

- Jeszcze nie - padła niewyraźna odpowiedź. - Mieliśmy zacząć od jutra.

- Właśnie doszły mnie słuchy, że w dniu morderstwa widziała mężczyznę, który zaciągał zasłony w domu Marshy Browning. Poślij tam kogoś, niech spisze jej zeznania - polecił kategorycznym tonem Joe.

- Nie ma sprawy. Ale, hm, dochodzi wpół do jedenastej. Nie lepiej poczekać do jutra?

- Nie - odparł Joe i się rozłączył. Wrzucił telefon do kieszeni i ponownie skierował wzrok na Nicky. -

Dowiedziałas się czegoś jeszcze?

- Plotki, nic więcej. Jeśli okażą się wiarygodne, dam ci znać.

- Trzymam cię za słowo.

- Mówiłam, że możemy współpracować.

Joe prychnął, nie to pogardliwie, nie to z rozbawieniem. - A ty będziesz na bieżąco informować widzów? Wykluczone. Nie rozumiesz, że ukrycie faktu, że z powodu lalkóceń w odbiorze Karen Wise wyszła

dokończyć rozmowę na zewnątrz, mogło nam pomóc w schwytaniu ... jak ty go nazywasz? Łazarz? Tak na marginesie, nie zła ksywka. Założę się, że widzowie są pod wrażeniem. Hej, może nawet dostaniesz Emmy? Ale widzisz, dopóki nie poinformowałaś o tym całego kraju, niewiele osób wie- działo, dlaczego

Karen wyszła. Kilku policjantów, ty, twoja rodzina i ... być może ... sam morderca.

Nicky zerknęła na niego kątem oka. Rozdrażnienie ustąpiło miejsca prawdziwej złości.

- To gorący temat, Joe. Jeśli myślisz, że zdołasz powstrzymać dziennikarzy, jesteś w błędzie. Nie

pozostaje ci nic innego, jak wykorzystać zainteresowanie opinii publicznej dla dobra śledztwa. Weźmy na przykład panią Ferrell. Gdyby nie obejrzała dziś "Na tropie tajemnic", wcale by do mnie nie zadzwoniła .

- Jutro wszystko by nam wyśpiewała.

- Może i tak, ale postaw sobie pytanie, ile jest takich pań Ferrell, do których nie uda ci się dotrzeć?

- Prędzej czy później dotrę do wszystkich, do których powinienem.

- Myślę, że powinieneś położyć nacisk na "później" - skwitowała znacząco Nicky. - Mam dostęp do wielu informacji, o których ty możesz tylko pomarzyć.

- Na przykład?

- Jeśli moja matka nawiąże kontakt z Karen lub Marshą Browning ...

- Jezu Chryste - przerwał jej Joe. - O nie, mam tego powyżej uszu. - Musiał pochwycić spojrzenie Nicky, gdy-

- dodał po chwili: - Dobra, niech ci będzie. Jeśli twoja matka nawiąże kontakt z Karen, Marshą lub

jakaśkolwiek osobą z Krainy Wiecznych Łowów, która je zna i zechce uchylić rąbka tajemnicy, chętnie posłucham. Ale chwilowo raczej się na to nie zanosz, prawda?

Nicky zacisnęła ręce na kierownicy.

- Powinieneś popracować nad nastawieniem.

- Powinieneś cię zmusić, żebyś się nie pchała przed kamerę. Mamy dwie martwe kobiety i groźbę

zabicia następcy. Biorąc pod uwagę tempo ostatnich wydarzeń, facet nie traci czasu. Dzwoni, pisze, obserwuje i pewnie na kręca się rozgłosem, jaki mu zapewniasz. Podałaś jego ksywkę, tak? Tylko na to

czekał. Jeśli to rzeczywiście seryjny morderca, musi być w siódmym niebie. Ośmieliłaś go. Obawiam się,

że to właśnie ty masz być ukoronowaniem jego sukcesu. I robisz wszystko, aby go w tym utwierdzić. Złowróżbne proroctwa Joego nie zawierały niczego, na co Nicky sama by nie wpadła.

- A więc nie mamy czasu do stracenia.

- Kotku, nie ma żadnego "my". Policja prowadzi śledztwo, a ty zapewniasz tanią rozrywkę żadnej krwi

gawiedzi.

- Jak uważasz. - Dotarli do Twybee Cottage i Nicky skręciła na podjazd nieco szybciej niż zwykle. Żwir przysnął spod kół, obsypując boki maximy. W oknach na piętrze paliły się światła, rzucając złociste prostokąty na dach garażu. Zatrzymując samochód, Nicky zobaczyła, że na dole też jest jasno. - Prowadź swoje śledztwo, ja się zajmę swoim.

Zaparkowała obok jaguara Livvy, wyłączyła silnik i wysiadła. Joe również wysiadł. Idąc w stronę drzwi, czuła za plecami jego obecność. U stóp schodów przystanęła i spojrzała na niego ze złością.

- Wróciłam do domu, jestem bezpieczna, możesz iść. Uśmiechnął się tym swoim aroganckim, wzgardliwym uśmiechem, który z miejsca zdegradował go do roli złego gliny.

- Pewnie bym to zrobił, ale tak się niefortunnie składa, że nie mam nikogo, kto by cię pilnował, dlatego przenocuję dziś na twojej kanapie. Obgadałem sprawę z twoją matką. Widzisz, ona też nie chce, żeby ktoś zrobił z ciebie sushi.

Nicky popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Mogła się tego spodziewać. Chcąc nie chcąc odwróciła się i weszła po schodach. Joe podążał za nią jak cień.

Obudził go zapach kawy. Był zamroczony i przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Napotkał wzrokiem malowidła przedstawiające bitwy wojny secesyjnej, złote zasłony, biurko oraz dwa wielkie, skórzane fotele po obu stronach kominka. Leżał na kanapie tuż na wprost nich, z kołdrą podciągniętą pod pachy i zgniecioną poduszką wciśniętą pod głowę. Ach tak: zawdzięczał pościel uprzejmości Leonory, która pozwoliła mu spędzić noc w gabinecie. Spojrzał na zegarek, dochodziła siódma rano. Do czwartej nie mógł zasnąć; porównywał szczegóły obu zbrodni, analizując akta dostarczone przez Dave'a, który chwilowo objął w posiadanie dom swojego szefa. O siódmej miał się zjawić Bill Milton. Joe zdążył już sprawdzić jego alibi i gotów był mu powierzyć całodzienną opiekę nad Nicky.

Tymczasem Joe wróci do siebie, weźmie prysznic, przebierze się, a następnie pojedzie do kostnicy Georgetown County. Sekcja zwłok Marshy Browning była przewidziana na godzinę dziewiątą.

Spał w dżinsach. Teraz wciągnął koszulę, skarpetki oraz buty, po czym jak zwykle umieścił broń na kostce i pod pachą, tak że przeciętny obserwator niczego by się nie domyślił. Narzucił marynarkę i poszedł do kuchni.

Przez uchylone tylne drzwi do środka wpadał lekki poranny wietrzyk, a wentylator leniwie kręcił się pod sufitem, Nicky siedziała przy kuchennym stole i rozmawiała z matką.

Joe stanął na progu.

- Dzień dobry, napijesz się kawy? - Leonora, w jasnozielonym szlafroku zapinanym na suwak, powitała go bladym uśmiechem.

Miała włosy przygniecione z jednej strony, a jej blada twarz nie nosiła śladu makijażu. Mimo tuszy oraz różnicy wieku pokrewieństwo łączące ją z Nicky nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości.

Tymczasem Nicky zdążyła się już ubrać i umalować, a jej ogniste włosy połyskiwały w jasnym świetle wpadającym przez okna. Spojrzała na Joe'a bez uśmiechu, a z jej oczu biła żywa niechęć.

- Chętnie, poproszę - odpowiedział.

- Dzbanek stoi na szafce. Możesz się obsłużyć. - Wyniosły ton dziennikarki świadczył dobitnie, że topór wojenny bynajmniej nie został zakopany.

No cóż. Bez słowa ruszył w stronę ekspresu.

- Nicky. - Leonora spojrzała na córkę z dezaprobatą i zrobiła ruch, żeby wstać. W ciągu paru miesięcy spędzonych na Południu Joe zdążył zauważyć, że uprzejma gospodyni nigdy nie każe gościowi "się obsłużyć".

- Dziękuję, poradzę sobie - zapewnił, a że stał już przy szafce, pani domu opadła z powrotem na krzesło i popatrzyła na Nicky z wymówką.

- Usiłuję przekonać moją upartą córkę, że powinna stąd jak najszybciej wyjechać - powiedziała, kiedy Joe na pełnił kubek, odstawił dzbanek i wypił łyk mocnego, parującego napoju. Świetna kawa, pomyślał z uznaniem, Kofeina to coś, czego mu było trzeba. - Może mnie po przes?

- Już to zrobił, mamó

Joe odwrócił się z kubkiem w dłoni i napotkał spojrzenie Nicky.

- Z marnym skutkiem, prawda? Ale dla pewności powtórzę raz jeszcze: dopóki nie złapiemy tego gościa, powinnaś sobie znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

- Popieram - dodała skwapliwie Leonora.

Nicky przewróciła oczami.

- Nie - odparła. - Oboje myślicie, że jestem w niebezpieczeństwie. Może i macie rację. Lecz jeśli ten człowiek naprawdę chce mnie zabić, nie ma żadnej gwarancji, że za mną nie pojedzie i nie zaatakuje w najmniej spodziewanej chwili. Przynajmniej tu mam stałą ochronę. I mogę pomóc w schwytaniu mordercy. Jedynie to da mi stuprocentową gwarancję bezpieczeństwa.

- Ale, Nicky ... - zaoponowała płacziwie matka.

- Nic mi nie będzie, mamuś. - Nicky wstała i cmoknąwszy matkę w policzek, ruszyła do drzwi. Po drodze obejrzała się na Joego. - Spisałam listę osób, które znały mój nowy numer. Wysłałam ci ją mejlem.

- Chwileczkę. - Joe odstawił kubek na szafkę. - Dokąd się wybierasz?

- Minęła siódma, mój ochroniarz powinien już tu być. Chętnie bym cię podwiozła, ale ... - Uśmiechnęła się złośliwie. - Pamiętaj zasadę: ty prowadzisz swoje śledztwo, ja swoje. I wyszła.

- Cała Nicky - westchnęła z nieskrywaną dumą Leonora. Joe wyjrzał przez okno: rzeczywiście, Bill Milton czekał już w radiowozie. - Jak się uprze, to ani rusz.

Joe patrzył, jak Nicky wita się z Miltonem, a następnie wsiada do samochodu. Ranek był piękny, słońce świeciło na niebie ... W końcu morderca nie zaatakował jeszcze nigdy w biały dzień, a Nicky będzie miała dobrą ochronę.

- Nic jej nie grozi. - Przeniósł wzrok z powrotem na Leonorę. - Przynajmniej nie dziś.

- Sęk w tym, że ... nie dają mi to spokoju. - Na jej twarzy malował się wyraz troski. - Mam złe przeczucia. -w dodatku jestem zablokowana, co w życiu mi się nie zdarzyło. Boję się myśleć, co to może oznaczać. - Spojrzała na Joego. - Bardzo się o nią martwię.

Ja też, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. Be słowa zaniósł kubek na stół i usiadł. Ni stąd, ni zowąd przyszło mu do głowy, że skoro Nicky nabrała wody w usta, może Leonora okaże się nieco bardziej rozmowna.

- Intryguje mnie jedna rzecz - zaczął z wolna, patrząc na nią z uśmiechem. - Zastanawiam się, skąd pochodzą krzyki, które usłyszeliśmy w ubiegłą niedzielę ...

Zgodnie z przewidywaniami Nicky dziennikarze zlecieli się na wyspę jak muchy do łajna. Przed upływem dwóch dni każdy brukowiec przysłał tu swoją ekipę. Z braku ważniejszych doniesień, Łazarz poruszył wyobraźnię masowego odbiorcy. Dziennikarze prasowi, radiowi i telewizyjni walczyli o możliwość relacjonowania postępów śledztwa w sprawie, którą "The National Enquirer" nazwał "horrorem z życia wziętym", a potencjalny związek potrójnego morderstwa sprzed piętnastu lat z dwiema ostatnimi zbrodniami, duchy i poetyckie zapędy sprawcy cieszyły się szczególnym zainteresowaniem wśród reporterów telewizyjnych, którzy podobnie jak Nicky walczyli o pierwsze miejsce w rankingach oglądalności.

Z uwagi na swoje koneksje Nicky i Gordon mieli dostęp dosłownie wszędzie. Sąsiedzkie plotki nasunęły tyle tropów, że przesłedzenie wszystkich wymagałoby kilkutygodniowej pracy, w związku z czym Nicky zajęła się tylko najbardziej obiecującymi. Pozostałe zostały przekazane funkcjonariuszom, którzy ciągnęli resztkami sił, napędzani desperacją i hektolitrami kofeiny. Kolejną przewagą Nicky. stanowił fakt, że żaden z pozostałych dziennikarzy nie miał za matkę słynnego medium. Leonora, której pierwszy występ wciąż pokazywano w zapowiedziach kolejnych odcinków, zyskała miano niekwestionowanej gwiazdy sezonu.

- No po prostu bomba - emocjonowała się w słuchawce Sarah Greenberg. - Oglądalność wciąż rośnie. Dostajemy mnóstwo mejli na temat twojej matki, koniecznie musi wystąpić w ostatnim odcinku. Sid wspominał nawet, że od jesieni powinna mieć własny program.

Była to jedna z tych sytuacji, gdy pozornie dobra wiadomość mogła się okazać nadzwyczaj kłopotliwa. Leonora cieszyła się sukcesem i jak to ujęła intrygowała ją myśl o stałym powrocie na mały ekran, ale wciąż była zablokowana. Mimo to pragnęła za wszelką cenę dopomóc w śledztwie. Z pomocą znajomych i sąsiadów Nicky szukała drobiazgów, które należały do ofiar. Oprócz blezera Karen miała zegarek Marshy Browning, oddany do naprawy u miejscowego jubilera, i dostarczoną przez państwa Schultz bluzkę Lauren. Zadzwoniła do matki Becky Iverson, która po rozstaniu z mężem mieszkała teraz w Kolorado i też zgodziła się przysłać coś z ubrań córki. Brakowało tylko odpowiedzi od bliskich Tary Mitchell. Czas naglił; jeżeli wkrótce się nie odezwą, trudno. Gdy tylko przyjdzie paczka od matki Lauren, Leonora spróbuje za pośrednictwem rzeczy nawiązać kontakt z ofiarami, a Gordon to nakręci. Jeśli się uda, można by ten materiał wykorzystać w programie.

To by dopiero było, gdyby któraś z zamordowanych zidentyfikowała sprawcę przed kamerą!

- Nie liczyłabym na coś takiego - ostrzegła wyniośle Leonora. - Zjawy rzadko bywają równie bezpośrednie, nawet w sprzyjających okolicznościach, o których w tym wypadku nie ma mowy.

Czerwiec zbliżał się wielkimi krokami i robiło się coraz cieplej. Kwitnące kwiaty, drzewa i winorośle podkreślały tropikalną atmosferę wyspy. Baseny kusząco połyskiwały w słońcu; niebo stało się bardziej błękitne, ocean gładszy, a wśród mieszkańców panował nastrój jak w poczekalni u dentysty.

Wszyscy łącznie z Nicky siedzieli jak na szpilkach i czekałi, aż coś się wydarzy. Tymczasem dni mijały spokojnie, a napięcie rosło wprost proporcjonalnie do wilgotności powietrza.

Było równie wszechobecne jak zapach oceanu i z każdym dniem przybierało na sile, jakby ktoś naciągał niewidzialną strunę. Wszyscy chcieli rozmawiać tylko o morderstwach. Gdziekolwiek poszła Nicky - do sklepu, na pocztę lub stację benzynową - ludzie otaczali ją ciasnym wianuszkami, wypytując o najnowsze wieści. Joe przeżywał to samo, z tym że dodatkowo miał na karku dzieńnikarzy.

- Jazda mi stąd! - nakrzyczał na ekipę z Court TV, która w środę po południu zrobiła najazd na komendę. Podobnie jak pozostali widzowie, Nicky miała okazję obejrzeć to w telewizji.

- Lepiej bądź miły - ostrzegła go tego samego wieczoru, kiedy tuż po jedenastej wszedł, powłócząc nogami, do kuchni w Twybee Cottage.

Nocował w gabinecie Harry'ego (choć sądząc po wyglądzie Joego, raczej się nie wysypiał), w związku z czym Nicky widywała go każdego ranka i wieczoru, a czasem i częściej, kiedy wpadali na siebie w ciągu dnia. Ich stosunki wciąż były dość napięte. I raczej miały takie pozostać.

- Już ja im dam! - obiecał Joe. Gdy Leonora weszła do kuchni, proponując mu zupę i kanapkę, o dziwo, uśmiechnął się i grzecznie odmówił. Wychodząc w ślad za Nicky na korytarz, dodał równie nieprzyjemnym tonem jak na początku: - Próbowałem być miły, ale to na nic. Gdzie spojrzeć, wszędzie ich pełno. Prześladują mnie, moich ludzi i całą tutejszą społeczność. Za każdym węglem czyha na mnie facet z kamerą. Oni nie zasługują na uprzejmość.

- Jak chcesz. - Wzruszyła ramionami i ruszyła do siebie, niosąc szklanekę soku, po której przyszła do kuchni. Joe został na łasce Leonory; matka, zdaniem Nicky, zaczynała go darzyć zgoła nie zrozumiałą sympatią. U stóp schodów przystanęła i obejrzała się przez ramię. - Jeśli nie będziesz dla nich miły, nie spoczna, dopóki cię, hm, nie dopadną.

- Zaryzykuję.

Następnym razem zobaczyła go w telewizji. Siedziała właśnie w barze Linneya, rozmawiając z kelnerką o mężczyźnie, który zamówił martini na kwadrans przed tym, jak odebrała na plaży telefon od Łazarza. Mężczyzna był tu po raz pierwszy, wielkie okno zaś dawało niezły widok na cały pas wybrzeża. Kelnerka, właśnie opisywała podejrzane zachowanie nieznanego, gdy naraz jakiś szósty zmysł kazał Nicky spojrzeć na mały telewizor za kontuarem. Na ekranie ukazał się zaspany Joe. Stał bez koszuli na tle małego, niebieskiego bungalowu i z kopiałym talerzem w ręku przemawiał do świni.

18

Ujęcie nakręcono pod wieczór, prawdopodobnie poprzedniego dnia. Rozebrany do pasa Joe wyszedł tylnymi drzwiami na ganek. Kamera ukazała posagowy tors komendanta, jego opaloną skórę, intrygujący pasek czarnych włosów pośrodku klatki piersiowej. Był bardzo szczupły, nie miał na sobie grama zbędnego tłuszczu, a przy tym barczysty i umięśniony. Spodnie wisały nisko na wąskich biodrach, ukazując imponujący "kaloryfer" i ładny pępek.

Mniam, pomyślała z uznaniem Nicky. Można by go jeść łyżkami. Wiele licealistek powiesiłoby sobie nad łóżkiem taki obrazek.

Oczywiście zanim zaczął gadać ze świnią. Kamera odjechała w tył i zwierzę ukazało się w całej okazałości: po-drygiwało na czterech nogach, wpatrzona w talerz. Była to ładna świnka - o ile świnię w ogóle można nazwać ładną; czarna, nieco wyższa i znacznie grubsza od basseta. Miała klapnięte uszy, słodki, okrągły ryjek oraz mały, zakręcony ogonek, którym wywijala jak szalona. Ale jakkolwiek by na to spojrzeć, była świnią.

- Dobrze, już dobrze - burknął z irytacją Joe. - Chcesz? Proszę bardzo, masz. Myślisz, że mogę jeść, kiedy się na mnie gapisz? Akurat. A tak w ogóle, to co za świnka żre wieprzowinę i kanapki z szynką? - Lku nieopisanego radości zwierzęcia postawił talerz na ganku.

Nicky nie mogła się zdecydować, czy wyglądał bardziej seksownie czy kretyńsko.

Pochłonięta tą kwestią zobaczyła, jak Joe prostuje plecy i po raz pierwszy zauważa kamerę, a jego twarz, która do-tąd wyrażała irytację, robi się czerwona z wściekłości.

- Co? Kim wy do ... ? Zabierać mi stąd tę kamerę! Wy-nocha z mojego terenu!

Ruszył żwawo w stronę ekipy i mało się nie przewrócił o świnię. Nicky ze śmiechem złapała się za głowę.

Potem okazało się jednak, że materiał dotyczy nieudolności policji i sytuacja przestała być śmieszna. A już na pewno nie była zabawna z perspektywy Joego.

Kiedy wieczorem jak zwykle mijali się w korytarzu Twybee CoUage, Nicky nie mogła się powstrzymać.

- Widziałam cię dzisiaj w telewizji. Nie wiedziałam, że hodujesz świnię.

Joe skrzywił się ironicznie.

- Jest tyle rzeczy, których o mnie nie wiesz, kotku. Szczerą prawdą, przyznała, siadając przy biurku, przy którym pracowała do późnej nocy, bo tylko wyczerpanie pozwalało jej zapaść w sen bez koszmarów. Ale świadoma obecności Joego w domu czuła się bezpieczna.

A to bardzo dużo.

Na każdym kroku widziała ekipy telewizyjne. Niektórych reporterów znała, innych nie, wszystkich jednak łączyło osobliwe poczucie solidarności, połączone z zaciekłą rywalizacją. Dwa zespoły posunęły się do sprowadzenia własnych jasnowidzów, którzy mimo braku "blokady" podczas prób identyfikacji sprawcy nie mieli więcej szczęścia niż Leonora. Większość dziennikarzy jednak tradycyjnie snuła się za policjantami oraz przedstawicielami miejscowych władz i uprawiała tak zwaną partyzantkę, czyli podglądała ich z kamerą podczas wykonywania rutynowych zajęć. Wszystkie stacje wciąż maglowały to samo, toteż zniecierpliwieni producenci zaczęli się domagać świeżego mięsa. Minął piątek, potem sobota, a wreszcie przyszła niedziela z kolejnym wydaniem "Na tropie tajemnic". Ich notowania znowu skoczyły: zajmowali obecnie trzydzieste drugie miejsce w rankingach oglądalności. Nicky odebrała parę krzepiących telefonów "z góry", a nawet dostała kwiaty. Tymczasem wyspa wstrzymywała oddech. Choć dwa pierwsze morderstwa dzielił niespełna tydzień, od śmierci Marshy Browning minęło już dziesięć dni, a morderca wciąż nie dawał znaku życia. Dlatego gdy rozpoczął się nowy tydzień, dziennikarze skupili się dla odmiany na samej wyspie i sylwetkach policjantów prowadzących śledztwo.

Ekipa CNN postanowiła nakręcić materiał na temat kompetencji śledczych, by wkrótce skupić się wyłącznie na Joem. Usłyszawszy, co ma się znaleźć w tym programie, Nicky była wstrząśnięta i oburzona. I nie mogła w to uwierzyć.

Natychmiast zadzwoniła do Sarah Greenberg i dla pewności poprosiła o weryfikację danych na temat Joego.

Sarah oddzwoniła w środę około siódmej wieczorem, tuż po wywiadzie z bratankiem Marshy Browning, który, ku rozzarowaniu Nicky, okazał się mężczyzną od zasłon. Pod wieczór w dniu morderstwa przywiózł ciotce kilka rodzinnych zdjęć i wyszedł około dziewiętej, co znaczyło, że jeśli nie zamordował Marshy (a Nicky uważała, że tego nie zrobił, chociaż Joe odmówił usunięcia go z listy podejrzanych do czasu uzyskania analizy DNA), to był ostatnią osobą, która widziała kobietę żywą. Może jednak wywiad na coś się przyda.

Lecz rewelacje Sarah Greenberg sprawiły, że z miejsca zapomniała o bratanku.

- To wszystko prawda - powiedziała Sarah. - Od początku do końca.

- Niemożliwe. - Nicky była tak wstrząśnięta, że ledwo mogła wydobyć głos.

- A jednak. - Sarah nie miała najmniejszych wątpliwości. - Masz dobry instynkt, Nicky. Ta sprawa może się okazać żyłą złota. Do dzieła, skarbie.

- W porządku. Dzięki, Sarah. - Rozłączyła się, opanowując mdłości.

Siedziała za kierownicą maximy, wciąż zaparkowanej przed domem bratanka Marshy i przez dłuższą chwilę spoglądała bezmyślnie na szkarłatne smugi zachodzącego słońca. Gordon, który nakręcił wywiad, minął ją swoim samochodem i zatrafił. Miał jeszcze zamiar zrobić parę wieczornych ujęć oceanu i plaży. Wyrwana z zamyślenia Nicky pomachała mu ręką, upewniła się, że widzi radio-wóz, po czym włączyła silnik Lruszyła z miejsca.

Dopiero na końcu ulicy zrozumiała, co powinna zrobić. Musi ostrzec Joego.

Joe wyszedł spod prysznic i stwierdził z pewną satysfakcją, że mimo wszechogarniającego chaosu zdołał wprowadzić w swoje życie pewien ład. Codziennie w porze kolacji przyjeżdżał do domu, załatwiał telefony, przyrządzał sobie naprędce coś do jedzenia i karmił świnię. Ostatnia czynność była w sumie zbyteczna; bo Dave regularnie napełniał jej korytko, wykluczając ryzyko, że pod nieobecność właściciela domu zwierzę padnie z głodu. Chodziło raczej o to, że Joe nie mógł usiąść spokojnie nad talerzem, kiedy Cleo wpatrywała się w niego przez szybę, i czuł się zmuszony uraczyć ją jakimś smakołykiem. Numer Dwa wrócił wprawdzie do domu po tamtej nocy, Cleo jednak chwilowo musiała pozostać w nowym domu. Amy nie życzyła sobie jej powrotu, toteż, nie chcąc zaostreć konfliktu, Joe się nie upierał, aby Dave zabrał ulubienicę ze sobą. A że większość czasu spędzał obecnie poza domem, uznał że obecność świni nie wyrządzi większych szkód.

Rzeczywistość pokazała, jak bardzo się mylił.

Jeśli jego kumple z Jersey obejrzą filmik z nim i Cle o w rolach głównych, pewnie jeszcze dotąd pokładali się ze śmiechu.

Dobra wiadomość była taka, że Brian nie pokazał się od chwili, kiedy Joe kazał mu wypieprzać ze swojego życia. Wprost nie mógł uwierzyć, że poszło tak gładko. Szkoda, że wcześniej na to nie wpadł. Zła wiadomość natomiast polegała na tym, że Brian stanowił najmniejszy z jego obecnych problemów. Joe był dzisiaj tak spocony i skonany, że uzupełnił swój wieczorny harmonogram o prysznic. Właśnie się wycierał, gdy zadzwonił telefon.

Z ręcznikiem na biodrach przeszedł do salonu. W telewizji trwała właśnie archiwalna transmisja sportowa. Telefon leżał ni stoliku.

- Joe?

Wszędzie rozpoznałby ten głos. Nicky.

- Tak. Co tam? - Z miejsca odzyskał czujność: Nicky rzadko miała mu do przekazania dobrą wiadomość.

- Musimy porozmawiać.

- Rozmawiamy.

Cisza. Joe z niepokojem zmarszczył brwi.

- Osobiście - powiedziała. - W cztery oczy.

- Dobrze się czujesz? - Nie ulegało wątpliwości, że coś ją dręczy. Nigdy nie słyszał, żeby mówiła takim tonem. Raczej nie była w niebezpieczeństwie, ale ...

- Nic mi nie jest. Czy moglibyśmy się gdzieś spotkać? Teraz?

- Jestem u siebie. Możemy tu spokojnie rozmawiać. Znasz adres?

- Znam - odparła. - Będę za kilka minut.

Zdażył się ubrać i usłyszał, jak podjechała pod dom.

Otworzył drzwi i wyszedł na ganek. Było prawie ciemno, na ulicy i w niektórych domach zapaliły się światła. Powietrze zgęstniało od nieznanego mu dotąd wilgoci; zapach bujnej roślinności tłumił nawet wszechobecną dotąd słoną woń oceanu, a dokuczające opodal dzieci zagłuszały wszelkie inne odgłosy.

Kiedy Nicky szła przez zarośnięty trawnik, Joe po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo lubi na nią patrzeć. Miała na sobie cienką sukienkę bez rękawów, kończącą się tuż nad kolanami: temperatura oscyłała w granicach dwudziestu pięciu stopni, ale w ciągu dnia było znacznie cieplej. Sukienka miała kanarkowy odcień znośny wyłącznie na rudzielcach, a pod nią błyskały długie, smukłe nogi bez śladu opalenizny. Bill Milton, który zaparkował tuż za samochodem Nicky, został w radio-wozie i pewnie też odprowadzał ją wzrokiem. Joe pozdrowił go ruchem ręki. A kiedy Nicky z zaciętą miną stanęła przed nim na ganku, uśmiechnął się mimowolnie.

Nawet z tą zaciętością było jej do twarzy. Nie odwzajemniła uśmiechu.

- CNN chce wyemitować pewien materiał. Uznałam, że powinieneś o tym wiedzieć - oznajmiła bez ogródek, wchodząc do salonu.

Skoro przyszła go ostrzec, sprawa musi być poważna, pomyślał zamykając drzwi. Poczuł, jak znów ogarnia go śmiertelne znużenie. Kolejny problem, na który nie miał ani czasu, ani energii.

- O czym? - zapytał.

- O tobie.

Był ubrany w ciemnoszary podkoszulek z logo Miami Heat i znoszone dżinsy, miał zwichrzone, lekko wilgotne włosy i bose stopy. W powietrzu unosił się lekki zapach mydła; stali wprawdzie w salonie, lecz w tym niewielkim domku łazienka pewnie znajdowała się w pobliżu.

Nicky nie spodziewała się takiej reakcji Joego. Ku jej zdumieniu uśmiechnął się lekko.

- Jeśli znów chodzi o świnię, Dave zostanie krawężnikiem.

- Nie chodzi o świnię. - Patrzyła, jak krążył po pokoju i zaciągał zasłony, po czym sięgnął po pilota, by wyłączyć telewizor. - Chodzi o ciebie.

- O mnie? - Popatrzył na nią z westchnieniem i wskazał na kanapę. Pokój oświetlała pojedyncza lampa; wnętrze urządzone nad wyraz oszczędnie, panował tu jednak nienaganny porządek. Typowo funkcjonalne meble dobrano raczej przypadkowo. - Może usiądziesz i spokojnie mi o wszystkim opowiesz?

Nicky nie drgnęła. Serce waliło jej w piersi, a żołądek zacisnął się w supeł. Stała z opuszczonymi rękami i dłońmi zwinętymi w pięści, patrząc na Joego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

- Byłeś skorumpowanym gliną - powiedziała. Znieruchomiał. Uśmiechnięta dotąd twarz stężała, spojrzenie pociemniało.

Milczał.

- Pobierałeś haracz w zamian za ochronę handlarzy narkotyków, których rzekomo miałeś rozpracować. Lekko poruszył rękami, ale dalej stał nieruchomo, jakby na coś czekał. Wiedziała, że chodzi mu o ciąg dalszy.

- Miałeś pecha, bo rządowa agencja do walki z narkotykami też badała tę bandę i urządziła zasadzkę. Nagrali, jak bierzesz łapówkę, każdorazowo dziesięć tysięcy dolarów. Złapali cię na gorącym uczynku, razem z trzema innymi policjantami. Wywiązała się strzelanina, zginęło dziewięć osób, w tym tamci policjanci. Zostałeś poważnie ranny w głowę i wszyscy myśleli, że umrzesz. Ale ty przeżyłeś. Zostałeś aresztowany w szpitalu, postawiono ci liczne zarzuty, w tym zarzut o morderstwo, po czym wysłano cię do szpitala więziennego, gdzie miałeś czekać na rozprawę. Zwolniono cię z powodu błędów proceduralnych, ale nie mogłeś wrócić do pracy. Tym sposobem wylądowałeś tutaj.

Wymienili spojrzenia.

- Czyli znasz już moją tajemnicę - rzucił kąpiąco.

Nicky wstrzymała oddech, czując wewnątrz dotkliwy ból. Przecież to Joe, wysoki, smagły, przystojny Joe, który przyprowadził ją o zawrót głowy i któremu bezgranicznie ufała. Ale już wcześniej czuła, że ten mężczyzna ukrywa jakąś mroczną, niebezpieczną tajemnicę, która bez przerwy przypominała o swym istnieniu i której Nicky nie chciała poznać.

- To prawda. - Jej słowa zabrzmiały jak stwierdzenie. Joe ruszył w stronę kuchni.

- Napijesz się czegoś? - spytał. - Bo ja tak. Kiedy przechodził obok, złapała go za rękę.

- Czy to prawda? - Musiała spytać, chociaż z góry znała odpowiedź. CNN chce zrobić o tym program, a Sarah Greenberg rzadko się myli.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się ironicznie samymi wargami.

- Czemu cię to obchodzi? Nicky wejrzała w głąb siebie.

- Obchodzi - odpowiedziała.

Poruszył głową i światło padło na opaloną skroń, gdzie tuż na granicy włosów jaśniały dwie poszarpane blizny.

Nicky utkwiała w nich wzrok i wstrzymała oddech.

- Tutaj cię postrzelili? - Machinalnie uniosła rękę, przesuwając palcami po nierównościach skóry.

Joe mocno chwycił jej dłoń; myślała, że ją odepchnie. Lecz po chwili jego spojrzenie złagodniało, a uścisk zelżał.

- Tak, tutaj mnie postrzelili - potwierdził ochryplym głosem, po czym, nie odrywając wzroku od twarzy Nicky, podniósł jej rękę do ust. Ucałował jej wierzch, a potem palce, jeden po drugim. Pocałunki parzyły jak rozpalone żelazo; Nicky wstrzymała oddech i serce podskoczyło jej w piersi, a gdy odszukał ustami jej wargi, po prostu przytknęła oczy.

Objął ją z całej siły, aż zakręciło jej się w głowie. Opłótła palcami jego kark i stanęła na palcach, uwalniając emocje, które wzbierały w niej od czasu rozmowy z Sarah Greenberg.

Był taki ciepły, pachniał mydłem i lekko smakował papierosami, dzięki czemu zrozumiała, że to on, jej Joe. Pragnęła go tak bardzo, że zabrakło jej tchu.

Gdy uniosł głowę, przerywając pocałunek, Nicky wydała z siebie cichy jęk zawodu i otworzyła oczy.

Spoglądał na nią z bliska; spod uchylonych powiek błysnęły roziskrzony oczy. Ciasno oplatał ją ramionami, słyszała jego przyspieszony oddech.

- Joe - wyszeptła przez zaciśnięte gardło.

- Jestem brudnym gliną, pamiętasz? Powinnaś już iść.

- Ale nie chcę.

Przymknęła oczy i znów go pocałowała. Nie oponował; przez chwilę stał nieruchomo, po czym objął ją ze zdwojoną siłą, całując tak, jak pragnęła być całowana, jak mężczyzna całuje kobietę, która zawróciła mu w głowie. Czule, a zarazem łapczywie i namiętnie, aż dreszcz przeszył jej całe ciało.

Nakrył dłonią jej pierś, pieszcząc ją przez cienki materiał sukienki i stanika. Żar jego dłoni sprawił, że pod Nicky ugięły się kolana. Poczwała, że jeszcze chwila i osunie się na ziemię.

Naraz Joe podniósł głowę.

- Nie jesteśmy na plaży - rzucił ochryplym głosem, przesuwając usta na jej szyję. Jego oddech połaskotał skórę Nicky, wargi musnęły wrażliwe miejsce nad obojczykiem. Zrozumiała, o co mu chodzi, i na samą myśl zakręciło jej się w głowie.

- Wiem - odrzekła po prostu, gdyż nic innego nie przyszło jej do głowy.

Przeniósł dłoń z jej piersi na kark; poczuła delikatne szarpnięcie i usłyszała niebudzący wątpliwości szmer

zamka błyskawicznego. Zadrzała! czując na plecach chłód. Palce Joego musnęły delikatną skórę Nicky tuż nad pośladkami, a następnie przesunęły się po nagich plecach. Oddech uwiązał jej w gardle. Ze względu na upał miała na sobie oprócz bielizny tylko cienką, zapinaną z tyłu sukienkę oraz wsuwane pantofle na niskim obcasie. Usta Joego wciąż muskały jej szyję, a dłoń błądziła po plecach; Nicky cofnęła się o krok i lekko potrząsnęła głową, chcąc odzyskać jasność myślenia i czując w sercu cień niepewności. To był Joe, ale musiała przyznać sama przed sobą, że przecież ten mężczyzna jest jej zupełnie obcy.

- Nicky. - Mówił schrypniętym głosem, twarz miał poćiemniałą z pożądania, ale nie próbował nalegać. Gdyby zechciała teraz odejść, nie kiwnąłby nawet palcem. Kimkolwiek był, zawsze mogła na niego liczyć. Ostatnia myśl wzięła górę nad niepewnością, a serce Nicky stopniało pod jego spojrzeniem. Łączyło ich coś więcej niż pożądanie. Coś, o czym wołała jeszcze nie myśleć.

Zsunęła z ramion sukienkę, która opadła jej do kostek. Joe roziskrzonym wzrokiem ogarnął postać Nicky. Miała na sobie ładną, delikatną bieliznę ozdobioną koronką. Wiądziała, że jemu też się podoba.

- Jesteś piękna - powiedział, wyciągając rękę.

Nicky wyplątała stopy z jaskrawego lnu i wsunęła dłoń pod jego T-shirt. Poczuła pod palcami ciepłą, gładką skórę i napięte mięśnie. Przeniósła rękę wyżej, na jego pierś, a cichy pomruk, który wydobył się z gardła Joego, kazał jej podnieść wzrok.

Joe na chwilę utkwiał w niej wzrok, a potem znów ją pocałował. Zerwał podkoszulek przez głowę i Nicky dostrzegła w przelocie szerokie barki, muskularne ramiona oraz trójkąt ciemnych włosów ginący pod paskiem spodni. Joe chwycił ją na ręce i wyszedł z pokoju.

Niosł ją lekko jak piórko; objęła go i wtuliła mu twarz w szyję. Pantofle spadły jej z nóg i stuknęły o podłogę. Nie zwróciła na to uwagi.

Była tak oszołomiona, że nawet nie zauważyła, kiedy znaleźli się w sypialni. Oprzytomniała dopiero, słysząc trzask zamykanych drzwi.

W przeciwieństwie do salonu panował tu chłód i mrok.

Przez uchylone żaluzje sączył się blask księżyca. Cicho szumił klimatyzator. Nicky dostrzegła w mroku ustawiony w kącie fotel, a kiedy Joe oparł na coś kolano, zrozumiała, że dotarli do łóżka. Było zasłane i przypomniała sobie, że dawno w nim nie spał. Poczuła pod plecami gładką, miękką narzutę. Joe położył się obok, materac ugiął się pod jego ciężarem i Nicky przysunęła się w jego stronę.

Znów ją pocałował gładząc rękami jej piersi, brzuch i uda. Nicky zadrzała i zbliżyła się doń jeszcze bardziej, równie rozgorączkowana i niecierpliwa jak on. Kolejno zdarli z siebie resztę ubrań; poczuła na piersiach wilgotne usta Joego i jęknęła. Wsunął dłoń między jej uda, a gdy Nicky myślała, że już dłużej nie wytrzyma i wygięła się cała w łuk, przewrotnie cofnął palce i znowu ją pocałował, na co przesunęła mu paznokciami po plecach, karcąco drapiąc skórę.

- Jezu - mruknął. Wsunął udo między jej nogi i wreszcie poczuła go w środku. Poruszał się tam i z powrotem, coraz mocniej, coraz głębiej, prowadząc ją w niezbadane dotąd rejony, aż zatraciła się do reszty i świat zawirował jej przed oczami.

- Nicky. - Po raz ostatni napał na rozedrgane ciało, aż wreszcie i jego przeszył dreszcz. - O Boże, Nicky ...

Leżała na gładkim prześcieradle zaspokojona, bez sił, wyzuta z myśli.

Lecz ów stan nie trwał długo. Rzeczywistość ma to do siebie, że nie sposób przed nią uciec, nawet za sprawą me-gaseksu. Pożądanie ostygło i Nicky musiała się zmierzyć z sytuacją, która w dużym skrócie sprowadzała się do tego, że leżała naga w łóżku razem z Joem.

Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, rozproszonej nieco prążkami światła padającego przez żaluzje. Widziała go wyraźnie: pogrążony w myślach, leżał na plecach obok niej, wpatrzony w sufit, z ręką wsuniętą pod głowę. Patrząc na jego zaciętą twarz po raz kolejny doszła do wniosku, że wcale go nie zna. Nie była to specjalnie krzepiąca myśl, zwłaszcza że leżała przytulona do niego, z ręką przerzuconą przez jego klatkę piersiową i nogą wokół jego nogi.

Nie wspominając o tym, że na stoliku przy łóżku wiądziała jego pistolet.

Skorumpowany glina oskarżony o morderstwo i zamieszany w handel narkotykami. Delikatnie mówiąc, niezbyt zachęcający obrazek.

W przeszłości dokonywała mniej kontrowersyjnych wyborów: lekarze, prawnicy, księgowi. Nudno, ale bezpiecznie. W najśmielszych snach nie przypuszczała, że pójdzie do łóżka z człowiekiem, którego nie można jednoznacznie zaliczyć do grona porządnym facetów.

A tu proszę.

Joe zerknął w jej stronę i Nicky mało nie podskoczyła.

- Uważaj, bo oczy ci wypadną - powiedział oschłym tonem.

Odsunął jej rękę i wstał. Dostrzegła zarys jego pośladków i umięśnionych pleców, po czym stanął przodem i mogła go podziwiać w całej okazałości. Oczywiście panował mrok, ale widok i tak był godny uwagi.

Zrozumiała, że Joe również jej się przygląda. Jego twarz wciąż miała zacięty wyraz, ale w oczach ...

Zacięty czy nie, był zdecydowanie pod wrażeniem.

- No więc? - zagaiła. Ktoś musiał pierwszy przerwać CiSZe.

Usiadła, z wdziękiem podciągając nogi pod siebie i odpierając pokusę owinięcia się zmiętym prześcieradłem (narzuta i poduszki od dawna leżały na podłodze). Taka nagła skromność mogła nasunąć wrażenie, że Nicky nić panuje nad nim, nad sobą ani nad sytuacją. Nie panowała, .. ale postanowiła przynajmniej poudawać. Zresztą było ciemno. Dosyć ciemno.

- I co teraz?

Bez słowa nachylił się nad stolikiem nocnym i zapalił lampkę. Miękki krąg światła padł na łóżko i Nicky o mało nie pisnęła. Joe obrzucił ją taksującym spojrzeniem, oczy mu pociemniały. Stał dosłownie na wyciągnięcie ręki, kompletnie nagi. Był szczupły, muskularny i tak pociągający, że poczuła kolejny przypływ pożądania i zrozumiała, że nie zdoła tak po prostu odwrócić się i wyjść.

Wiedziała, że nie chodzi tu wyłącznie o pociąg fizyczny. Pytanie tylko, co dalej.

- I co teraz? - powtórzyła. Zaciśnął usta i zmrużył oczy.

- Ubierzemy się i każde z nas wróci do swoich zajęć"

- Zaczął krążyć po pokoju, zbierając porozrzucane rzeczy,

- Łazienka jest w korytarzu.

- Dobrze wiesz, co miałam na myśli - odpowiedziała, ale był już za drzwiami. Nawet jeśli usłyszał, powstrzymał się od odpowiedzi.

Nicky popatrzyła za nim ze złością, zeszła z łóżka i owinęła się prześcieradłem. Jeszcze jej tu robi fochy.

Przecież to ona może sobie robić wyrzuty, nie on.

Chyba że ...

Nie był winny, ale głupota i upór nie pozwalały mu wyznaczyć prawdy.

Bądź co bądź zawsze budził w niej poczucie bezpieczeństwa.

Nicky stanęła przy łóżku. Spojrzała na swoje figi, wy stające spod skłębionej na podłodze narzuty.

Rozejrzawszy się, dostrzegła stanik leżący obok stolika nocnego. Położenie obu części garderoby świadczyło niezbicie, że zostały zrzucone w wielkim pośpiechu, Ona i Joe dosłownie stracili głowę. Czowała, że jego obecny chłód ma stanowić znak ostrzegawczy. Ale przed czym ją ostrzegał? Pozbierała bieliznę i poszła do łazienki. Przycisnie go do muru, czy mu się to podoba, czy nie. Ale najpierw musi się trochę ogarnąć.

Popatrzyła z niesmakiem na plastikowe stokrotki na szklanych drzwiach kabiny, po czym wzięła rekordowo szybko prysznic, włożyła bieliznę i poprawiła włosy. Następnie wykrzywiła się do swojego odbicia i wyszła z łazienki. Ku swojej uldze nie zastała Joego w salonie, dzięki czemu mogła bez audytorium włożyć sukienkę. Wsunęła ją w pośpiechu i pomaszerowała bosą do jednego pomieszczenia, w którym mógł się znajdować, czyli do kuchni.

Rzeczywiście, stał oparty o szafkę i palił papierosa. Za szybą, tuż obok niego, połyskiwały czarne oczka i Nicky zrozumiała, że ma przed sobą świnkę z telewizji. W tej chwili jednak bardziej interesował ją sam Joe. Miał na sobie tę samą koszulkę i spodnie co wcześniej i też był bosy. Na jego policzkach widniał cień zarostu. Był wyraźnie spięty.

Ale Nicky nie dała się zbić z tropu.

- No dobrze - oznajmiła, podchodząc do stołu, który wyraźnie służył również jako miejsce do pracy. - Musimy porozmawiać.

Joe wyjął papierosa z ust.

- Kurczę, było zarębiście - rzucił sztucznie entuzjastycznym tonem. - A tobie? - Skrzywił się i dodał swoim zwykłym głosem: - To miałaś na myśli?

Ignorując tę jawną prowokację, stanęła na wprost niego i krzyżując ręce na piersi, popatrzyła mu prosto w oczy. - Chcę usłyszeć twoją wersję wydarzeń.

Mocno zaciągnął się papierosem, a następnie otoczył się kłębem dymu.

- Skąd ci przyszło do głowy, że w ogóle jest jakaś moja wersja?

- A nie ma? - Dym połaskotał ją w nos. Zwykle nic znosiła zapachu papierosów, ale dla Joego była gotowa

zrobić wyjątek.

- Nie, Polyanno. Nie ma.

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Czyli to wszystko prawda.

- Tego nie powiedziałem. Odstąpiono od zarzutów, pamiętasz? Na pewno nie mam ochoty przechodzić przez to drugi raz.

- Odstąpiono z powodu błędów proceduralnych. W zruszył ramionami.

- Jak zwał, tak zwał.

- Nie chcesz oczyścić swojego imienia?

- Niekoniecznie.

- CNN rozgłosi, że handlarze narkotyków płacili ci haracz, aby policja zostawiła ich w spokoju.

- Nie mam wpływu na CNN. Niech sobie rozgłasza, co chce.

- Jeśli to nieprawda, możemy ich powstrzymać. A przy najmniej przedstawić twoją wersję zdarzeń.

- Nie ma żadnej mojej wersji. Nie mam nic do powiczenia.

- To bez sensu.

- Tak? A jeśli moja wersja jest taka sama? Jeśli nie ma innej?

Zmrużyła oczy.

- Nie wierzę.

- W co?

- W ani jedno twoje słowo. W to, że brałeś łapówki. Coś mi tu nie gra.

Joe przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, plł czym z westchnieniem zgasił papierosa i ponownie przłł niósł wzrok na Nicky.

- Mąci ci się w głowie. To, że się ze mną przespałaś, wcale nie musi znaczyć, że jestem święty.

Aż się w niej zagotowało. Manifestacyjna arogancja Joego zaczęła jej wreszcie działać na nerwy.

- Jak sobie chcesz. - Odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni. - Nie musisz mi nic mówić. I tak się dowiem.

- Chwileczkę. - Zgodnie z przewidywaniami Nicky ruszył za nią. Odszukała swoje buty. Joe wszedł do salonu i zmarszczył brwi. - Dokąd się wybierasz?

- Mam coś do zrobienia. - Balansując na jednej nodze, wsunęła stopę w pantofel. - A tak w ogóle, mnie też było super.

- Nicky. - Nieoczekiwanie ostry ton kazał jej podnieść wzrok znad drugiego buta. - Zostaw moją przeszłość w spokoju. To nie twoja sprawa.

- Moja, jeśli coś ma nas łączyć.

Łypnął na nią spod oka i oparł ręce na biodrach.

- A kto mówi, że coś ma nas łączyć? Tak dla twojej informacji: związki mnie nie interesują, kotku.

Nicky zacisnęła usta i ruszyła ku drzwiom.

- Łączy, czy ci się to podoba, czy nie. Odrzucasz to, co oczywiste. Zejdź mi z drogi, wychodzę.

- Chwila. - Złapała ją za rękę, obróciła i nim zdążyła za-protestować, dopiął zamek sukienki. - Niczego nie odrzu-cam. To, że poszliśmy ze sobą do łóżka, nie oznacza jesz-cze, że coś nas łączy.

Zabolało. Nicky zesztyniała, po czym wyrwała rękę, otworzyła drzwi i spojrzała na niego ze złością.

- Dobrze wiedzieć - odpowiedziała kąśliwie i wyszła.

19

Joe stał na ganku, patrząc jak Nicky maszeruje (nie znalazł na to innego określenia) przez jego zapuszczony trawnik. O mało za nią nie pobiegł. Ale nie było takiej po-trzeby. Milton czekał cierpliwie w radiowozie (tkwił tam od półtorej godziny); Joe zobaczył, jak wychodzi na chw-ilę i mówi coś do Nicky. Potem dziennikarka otworzyła drzwi, zerknęła przezornie na tylne siedzenie, po czym siadła za kierownicą i odjechała, a Milton za nią.

Była bezpieczna.

Dopiero wtedy wrócił do domu. Czuł się dziwnie po-irytowany. Introspekcja nie była jego najmocniejszą stro-ną - nie lubił zgłębiać swego krajobrazu wewnętrznego, jak to ujął jeden z psychiatrów, do których go skierowano - ale bezbłędnie rozpoznał uczucie dręczącej pustki i sa-motności wynikającej z faktu, że w świecie pełnym ro-dzin, par i złączonych serc on był sam jak palec.

"Łączy", powiedziała Nicky, mając oczwiscie na myśli związki. Joe spanikował. "Związki mnie nie interesują", odparł. Tak długo był sam, że myśl o stworzeniu relacji z drugą osobą napawała go przerażeniem. Innymi słowy, nie lubił się angażować.

Jeśli ci na kimś zależy, stajesz się bezbronny, choćbyś miał trzy metry wzrostu i skórę jak nosorożec. Druga osoba jest twoją piętą achillesową, odsłoniętymi plecami, słabym punktem - i może sprowadzić na ciebie zgnębienie.

Już to przerabiał, drugi raz nie popełni tego samego błędu. Na samą myśl o tym, że znów miałby się tak odsłonić, oblewał go zimny pot.

Co oznaczało, że należy zamknąć kwestię Nicky, nim rozwinie się na dobre i wymknie spod kontroli. Innymi słowy, mądralo, trzymaj się z daleka od jej majtek. Pech chciał, że doszedł do tego smutnego wniosku pięć minut po najwspanialszym seksie, jaki uprawiał od dwóch lat. Hm, gwoli ścisłości był to jedyny seks w ciągu dwóch lat. Tak czy siak, bez względu na posuchę ostatnich miesięcy seks był fenomenalny.

Co więcej, dziewczyna też była ekstra: piękna, mądra i błyskotliwa; umiała go nakręcić jednym spojrzaniem tych wielkich, brązowych oczu. Faceci jego pokroju rzadko spotykali na swojej drodze takie laski.

I do tego naprawdę w niego wierzyła. To go najbardziej ujęło; ba, trafiło w jego biedne, znękaną serce jak pocisk z wygrawerowanym imieniem „Joe”.

Ludzie, z którymi pracował, przyjaciółki, dawne i obecne, sąsiedzi - wszyscy co do jednego uwierzyli w jego winę, ani razu nie zadając sobie pytania, czy aby na pewno popełnił zarzucane mu czyny. Po prostu wszyscy łyknęli oficjalną wersję. Nie żeby go unikali, nikt też go nie podkładał; traktowali go tak, jak zawsze, co w sumie świadczyło raczej o nim niż o nich samych. Był bezczelnym sukkinsynem, twardzielem zawsze i niezmiennie pewnym swego i przekonany, że życie nie może go zaskoczyć niczym, z czym nie dałby sobie rady, bo kto jak kto, ale Joe Franconi daje sobie radę ze wszystkim. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Jakże się mylił. Superman znalazł kryptonit. Nastąpił upadek kolosa.

Joe Franconi również znalazł coś, co przerosło jego siły.

I o mało go nie zabiło. Ale przeżył, a nawet prawie zdołał się poskładać z powrotem do kupy.

I nie ma zamiaru przeżywać tego drugi raz.

Lecz oto teraz, w wyniku zaskakującego splotu okoliczności znalazł się ktoś, kto w niego wierzył, i to nie mając żadnych racjonalnych przesłanek ku temu.

Takiej kobiety nie można wypuścić z rąk. I znów ogarnął go niedorzeczny strach.

- Kobiety - powiedział Brian. - Zawsze znajdą sposób, żeby cię owinać wokół palca.

Joe obejrzał się gwałtownie i zobaczył jak tamten, równie namacalny jak zwykle, wchodzi do kuchni. Psiakrew.

- Przymknij się, ty - warknął za nim. - I wara od mojej sypialni.

- No wiesz - dobiegła z kuchni odpowiedź. - Wiem, co sobie myślisz, ale trochę przesadziłeś. Mam swoje zasady.

Kto by pomyślał... Rozdzwoniła się jego komórka.

- Szeffie, mamy zeznanie - odezwał się w słuchawce głos Cohena, oficera dyżurnego. - Powinieneś tu przyjechać ...

Jakieś półtorej godziny później, wjeżdżając na podjazd do Twybee Cottage, Nicky wciąż kipiała ze złości. Jeśli rzeczywiście, używając sformułowania Joego, mąciło jej się w głowie, dołożył starań, aby przywrócić ją do pionu. Lecz na przekór zdrowemu rozsądkowi towarzyszyło jej niejasne podejrzenie, że Joe rozmyślnie chce ją zrazić, a jego grubiaństwo ma służyć właśnie temu celowi. Inaczej z miejsca postawiłaby na nim krzyżyk.

A najsmutniejsze było to, że bez względu na jego zetchowanie, miała kompletnego bzik na punkcie tego faceta.

Im dłużej o nim myślała, tym coraz bardziej utwierdzała się w pewności, że historia, którą chce rozgłosić CNN, była wyssana z palca. Maniery Joego istotnie pozostawiały co nieco do życzenia, lecz intuicja podpowiadała Nicky, że był absolutnie uczciwym człowiekiem. Sumienny, przyzwoity i pomimo maski twardziela w gruncie rzeczy dość łagodny. Sugestia, że mógłby brać pieniądze w zamian za przykrywanie oczu na handel narkotykami, po prostu nie mieściła jej się w głowie. Dała mu szansę, żeby się oczyścił z zarzutów, a on z niej nie skorzystał, co w sumie też przemawiało na jego korzyść.

Wiedziała z doświadczenia, że winowajcy zawsze podkreślali swoją niewinność, niewinni zaś z różnych powodów dźwigali brzemień oskarżeń. Jedno wiedziała na pewno: prawdziwa wersja zdarzeń wciąż pozostawała tajemnicą. Joe naturalnie nie piśnie ani słowa, toteż ona musi wziąć sprawę w swoje ręce,

do diabła z tym jego "to nie twoja sprawa". Poczyła już nawet pewne kroki. Jeden z plusów bycia dziennikarzem polegał na tym, że znała mnóstwo ludzi i niewiele mogło się przed nią ukryć. Jeśli nie zdoła odkryć prawdy, inni też mogą o tym zapomnieć.

Przede wszystkim Nicky postanowiła poruszyć niebo i ziemię, by nie dopuścić do wyemitowania rewelacji CNN. Już ona dopilnuje, aby wysoko postawione osoby z branży dowiedziały się, że wiarygodność reportażu stoi pod wielkim znakiem zapytania. Co do samego reportera, załatwi go przy użyciu krótkich, acz nader wymownych słów: Dan Rather.

Usłyszy je jutro z samego rana, już jej w tym głowa. Teraz jednak nie mogła przestać myśleć o Tarze Mitchell. Postać, którą zobaczyła w oknie Old Taylor Place, na dobre wryła jej się w pamięć, choć Nicky za wszelką cenę próbowała o niej nie myśleć. To jej ducha widywano najczęściej, to ona nawiązała kontakt z Leonorą i odwiedzała Nicky w snach, to jej morderstwo stało się bezpośrednią przyczyną strasznego losu Karen i Marshy Browning. Nicky coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to właśnie Tara odgrywa tu kluczową rolę. Chcąc zdobyć coś, co należało do zamordowanej dziewczyny, Nicky próbowała skontaktować się z jej rodziną. Dotychczasowe wysiłki spełzły na niczym, tak jakby z chwilą opuszczenia wyspy Mitchellowie przepadli niczym kamień w wodę.

_ Zapewne śmierć córki zaważyła na dalszych losach rodziny. Może rodzice Tary się rozwiedli. Może wyjechali z kraju. Ich zniknięcie można było tłumaczyć na wiele sposobów.

Nie dawało jej to spokoju. Nie spocznie, dopóki nie ustalą, co się z nimi stało. Czują że to pomoże jej wypełnić powiększającą się lukę w śledztwie.

Po wyjściu od Joego pojechała na rozmowę z parą starszych mieszkańców wyspy, którzy znali Mitchellów. Nie uzyskała wielu informacji, lecz pogawędka rzuciła nowe światło na sprawę i dodatkowo wzmogła ciekawość Nicky.

Zaraz usiądzie do komputera i spróbuje jeszcze poszperać.

Z tą myślą tradycyjnie postawiła samochód obok jaguara Livvy i wysiadła, chcąc jak najszybciej przystąpić do pracy. Policjant jechał tuż za nią, lada chwila powinien skręcić na podjazd. Postanowiła na niego nie czekać, w końcu cała rodzina jest w domu, a od drzwi dzieliło ją zaledwie kilka kroków.

Pospiesznie ruszyła w stronę schodów. Obcasy grzęzły w żwirze, słyszała ciche skrzywienie własnych kroków oraz szum morza i niezamordowany chór owadów. W domu jak zwykle paliły się światła (odkąd sięgała pamięcią, zawsze ktoś tam był), lampa na ganeczku też była zapalona. Jej żółta pościła sprawiała, że noc wydawała się jeszcze czarniejsza.

Gdy znalazła się przed samochodem Livvy, przysiadła jej do głowy, że naprawdę jest ciemno. Spojrzała w górę i zrozumiała, dlaczego: zarówno księżyc, jak i gwiazdy skryły się pod grubą warstwą chmur. Wiatr ustał i atmosfera zgęstniała jak w saunie, potęgując nastrój dziwnego wyczekiwania. Burza wisiała w powietrzu.

Kiedy Nicky znalazła się tuż przy schodach, jej uwagę zwrócił przedmiot leżący na skraju plamy światła. Zmarsz-

czyła brwi i wytyżyła oczy: różowy kształt, wielkości pudełka od butów. Livvy musiała upuścić coś po drodze ...

Podeszła bliżej, aby to podnieść. I gdy już wyciągała rękę, zrozumiała, co to takiego. Miała przed sobą torebkę Livvy.

Livvy w życiu nie zostawiłaby swojej torebki ot tak, na podjeździe.

- Liv?

Nicky podniosła torebkę i rozejrzała się niepewnie. Stała opodal rogu domu, na lewo majaczył rozłożysty zarys magnolii obsypanej wonnymi, białymi kwiatami o woskowych płatkach. Nieco dalej, wzdłuż przeciwległej ściany rósł rząd lagerstremii, których charakterystyczny zapach mieszał się z wonią magnolii. Właśnie tam, obok krzewów, w głębi wąskiego podwórka, dostrzegła jakiś ruch.

- Livvy?

Ruch ustał i nastąpiła chwila, dosłownie ułamek sekundy, kiedy obraz wrył się w świadomość Nicky na zasadzie stop-klatki. Oszołomiona wytyżyła wzrok. W korytarzu pomiędzy krzewami a domem panowała ciemność choć oko wykol. Skulony i dziwnie trójkątny kształt oderwał się nagle od ziemi: Nicky odniosła wrażenie, że ma przed sobą człowieka, który zwrócił się w jej kierunku. Wtedy poczuła ten zapach. Był tam przez cały czas, mdły i ziemisty, przebijał przez woń oceanu, lagerstremii i magnolii. Przypomniała sobie, skąd go zna, i w tej samej chwili dostrzegła w mroku błysk metalu.

Olśnienie spadło zniecka, jak cios: zrozumiała, że widzi nóż, a zapach, ten sam, który czuła również wcześniej, owego upiornego wieczoru pod sosnami, był zapachem krwi.

Torebka Livvy leżała porzucona przy schodach ... Nicky ścisnęła ją w rękach.

Serce zamarło jej w piersi.

- Livvy! - krzyknęła i unosząc torebkę jak broń, rzuciła się w stronę skulonej postaci, tknięta potworną myślą,

że siostra, jej własna siostra, została zamordowana na jej oczach. - Nie! Puść ją! Pomocy! Pomocy!

Postać zerwała się i rzuciła do ucieczki. To był mężczyzna, Nicky nie miała co do tego wątpliwości. Biegł zgarbiony, lecz z tego, co widziała, sprawiał wrażenie nie naturalnie rosnącego i barczystego, a przy tym niezwykle zwinnego. Słyszała głuchy tupot jego stóp na trawie.

- Pomocy! Niech ktoś mi pomoże!

- Stać! Policja! - huknął za nią męski głos.

Nicky zrozumiała, że eskortujący ją policjant przybył na odsiecz. Uklękła obok nieruchomego ciała siostry.

- Livvy - powtórzyła błagalnie. Pochylając się nad nią, dostrzegła niewyraźny zarys policzka, rozchylone usta i przymknięte oczy, i poczuła się, jakby czas stanął w miejscu. Serce waliło jej jak młotem, krew zastęła w żyłach. W ustach miała gorzki smak strachu.

O Boże, proszę, proszę, proszę ... Modląc się w duchu, usłyszała za sobą szelest szybkich kroków.

- Stać! - wrzasnęła nad jej głową Milton. Stał nad Nicky z wyciągniętą bronią i przymierzył się do strzału, ale było już za późno: morderca rozplynął się w ciemnościach.

Wydawało jej się, że policjant coś mówi, lecz nie zdołała rozróżnić słów. Pospiesznie chwytając oddech, dotknęła ręki siostry, a potem szyi, próbując wyczuć puls.

- Livvy.

Nawet jeśli bił, nie mogła go wyczuć drżącymi palcami. Jednakże Livvy była jeszcze ciepła. Na pewno żyje.

Boże, spraw, żeby nie umarła...

- Wezwij karetkę! - wrzasnęła przez ramię do policjanta, który wykrzykiwał coś do krótkofalówki.

Od strony domu dobiegł hałas: trzasnęły drzwi, rozległy się okrzyki i nawoływania. Cała rodzina z matką na czele rzuciła się w stronę leżącej na ziemi postaci.

O Boże, dziecko Livvy. ...

- Livvy. - Nicky delikatnie położyła rękę na wydatnym brzuchu siostry, po czym cofnęła ją gwałtownie, czując pod palcami lepką plamę krwi.

Joe gnał przed siebie szybciej niż wóz strażacki do pożaru. Wjechał z impetem na podjazd, przyskajac gradem żwiru spod kół. Stojąca na sygnale karetka blokowała drogę, nieco dalej w głębi ogrodu kręciła się grupa ludzi. Z sercem w gardle, dysząc jak biegacz po maratonie, Joe wyskoczył z samochodu i gnany panicznym lękiem rzucił się w tamtą stronę.

Właśnie przesłuchiwał na komendzie miejscowego półgłówka, który przyznał się do zabicia Karen Wise i Marshy Browning, gdy otrzymał wiadomość, że w Twybee Cottage Łazarz upomniał się o trzecią ofiarę. Myślał, że oszaleje ze strachu. Po drodze pobił lokalne rekordy prędkości: jadący za nim podwładni też nie żałowali samochodów, a i tak wachali jego spaliny.

- Szeffie ... - Znękany Milton rzucił się w jego stronę. Na wprost widniała grupa osób, które płakały, modliły się i gadały jedna przez drugą, stłoczone wokół ciała, które właśnie umieszczano na noszach.

Strach był wręcz namacalny, podobnie jak rozchodząca się w powietrzu intensywna woń krwi.

- Miałaś jej pilnować! - huknął na Milтона, nawet nie zwalniając kroku.

Policjant wybełkotał coś niezrozumiałego. Pozostali zwrócili się w stronę Joego, ktoś coś powiedział. Ale on był głuchy i ślepy na wszystko. Dostrzegł kątem oka Johna, Hama, Leonorę - Boże, szlochała jakby serce miało jej pęknąć. Był tam również Harry, jak zwykle na uboczu ...

- Nicky - rzucił ochryple Joe, przystając obok noszy. Na kocu przykrywającym ofiarę rozkwitła plama krwi, tuż obok spoczywała blada, nieruchoma dłoń. Joe utkwiał w niej wzrok, podczas gdy sanitariusze zapinali pasy zabezpieczające.

Całe życie stanęło mu przed oczami.

Nagle zobaczył, że kobieta na noszach ma jasne, a nie rude włosy.

Oszołomiony i zbyt odrętwiały, nawet by poczuć ulgę, ujrzał, jak wokół nieruchomych palców na kocu zaciska się druga dłoń, smukła, biała, prześliczna ...

Przeniósł wzrok na jej właścicielkę i zobaczył Nicky.

Pochyliła się nad noszami, szepcząc coś do siostry i gładząc ją po ramieniu. Jej usta drżały, a wielkie oczy pociemniały z lęku. Łzy ciurkiem płynęły po policzkach, a twarz zdawała się wyciosana z alabastru.

Na przodzie kanarkowej sukienki widniały plamy krwi.

Wreszcie do niego dotarło: ofiarą była Olivia.

Była to jedna z nielicznych chwil w jego życiu, kiedy Joe myślał, że straci przytomność.

Livvy żyła. W drodze do szpitala, siedząc wraz z Leonorą obok siostry w pędzącej karetce, Nicky raz po raz powtarzała sobie te słowa. Była ciężko ranna, ale żyła.

Worki z kroplówką kołysały się na boki, błyskały monitory, a woń spirytusu i krwi niemal rozsadzała ciasne wnętrze pojazdu. Z zewnątrz dobiegało wycie syreny, a skąpany w mroku świat przelatywał za oknem.

- Nie wierzę, że tego nie widziałam, nie wierzę! Co mi po takich zdolnościach, skoro nie mogę ustrzec przed niebezpieczeństwem własnej córki? - wyszlochała Leonora.

Z twarzą zalaną łzami ścisnęła dłoń rannej, spoglądając na Nicky ponad noszami. Nicky, która trzymała Livvy za drugą rękę, tylko potrząsnęła głową. I w duchu przyznała matce rację.

Livvy, która dotąd leżała na poszach nieruchomo jak manekin, nagle zeszytywniała, a po jej ciele przebiegł dreszcz. Spod maski tlenowej zakrywającej jej twarz dał się słyszeć cichy jęk.

- Co się dzieje? - zwróciła się Nicky do jednego z dwóch sanitariuszy, którzy jechali z nimi w karetce. Głuchy odgłos kół na moście świadczył, że od szpitala w Georgetown County, do którego jechali, dzieliło ich dołbre dziesięć minut drogi. Była to straszna myśl.

Sanitariusz spojrział na monitor i potrząsnął głową. Livvy jęknęła ponownie, rzucając głowę na boki.

- Livvy - powiedziały jednocześnie Nicky i Leonora, pochylając się nad noszami. Nicky ścisnęła dłoń siostry, przekonana, że matka robi to samo.

- Może zacząć rodzić - oznajmił sanitariusz. - Który to miesiąc?

- Ósmy - odpowiedziała Nicky.

- Zaraz będziemy na miejscu, Livvy - zapewniła Leonora, gładząc bezwładną rękę córki. I zaczęła się modlić: - Boże miłosierny, miej ją w swojej opiece ...

Po kilku minutach karetka zatrzymała się z piskiem opon. Otwarto drzwi i wyjęto nosze. Kiedy Nicky pomagała matce wysiąść, otoczona personelem medycznym Livvy wjeżdżała właśnie do izby przyjęć.

Joe nie mógł spędzić wraz z innymi nocy w szpitalu w oczekiwaniu na wiadomość o stanie Livvy. Bądź co bądź był policjantem i musiał kierować akcją. Zarządzono natychmiastową obławę na sprawcę napadu. Na drogach rozstawiono blokady i przeczesano teren wokół Twybee Cottage, tak aby żaden PWO (Podejrzanie Wyglądający Osobnik) nie zdołał się wymknąć. Wiadomość o napaści rozeszła się po wyspie lotem błyskawicy i wokół domu Leonory zebrał się wkrótce wianuszek gapiów. Dziennikarze też nie kazali na siebie długo czekać, ale Joe postanowił nie zwracać na nich uwagi, przynajmniej dopóki nie włązili za taśmę policyjną.

Co, rzecz jasna, ani im było w głowie.

O świcie on i pozostali funkcjonariusze gonili dosłownie resztką sił. Adrenalina zrobiła swoje. Kiedy Joe przyjechał do szpitala, dochodziła ósma rano. Na szczęście dla śledztwa burza przeszła bokiem, dzięki czemu mogli jeszcze raz spokojnie przeszukać teren za dnia. W przypadku Karen Wise deszcz skutecznie zatarł wszystkie ślady.

Livvy leżała na czwartym piętrze, na OIOM-ie. Andy Cohen sumiennie trzymał wartę przed drzwiami, Joe kiwnął mu głową. W poczekalni tłoczyła się grupka krewnych i przyjaciół. Joe wszedł do środka i rozejrzał się dokoła. Ham, równie zmarnowany jak reszta, wstał z krzesła i wyszedł mu na spotkanie.

- Domyślacie się, czyja to sprawka? - spytał cicho, ale Joe na tyle poznał już Nicky, by bezbłędnie rozpoznawać pewne symptomy: jej wuj miał w oczach żądzę krwi.

- Nie. - Joe potrząsnął głową. - Gdzie Nicky?

- W środku, z Leonorą. Przy łóżku może przebywać tylko dwoje odwiedzających.

- Czy mógłbyś ją na chwilę zastąpić? Jest mi potrzebna. Ham kiwnął głową i weszli na oddział.

Z chwilą gdy minęli wahadłowe drzwi, zapach szpitala przybrał na sile. Schemat kolorystyczny pozostał bez zmian: szarość, szarość i jeszcze raz szarość. Nicky siedziała na składanym plastikowym krześle przy łóżku siostry. Leonora zajmowała identyczne krzesło obok niej. Obie wyglądały na skrajnie wyczerpane. Livvy leżała nieruchomo pod szarym kocem. Płyn z kroplówki wolno sączył się do jej żyły, a monitory otaczające łóżko emitowały ciche, brzęczące dźwięki. Joe uznał, że to dobry znak, w przeciwnym razie bowiem Nicky i Leonora nie siedziałyby tak spokojnie. A obie tkwiły w milczeniu na swoich krzesłach, wpatrzona w bladą twarz Livvy.

Pielęgniarka natychmiast ruszyła w jego stronę, ale bez słowa machnęła jej przed nosem odznaką. Nicky się od-

wróciła; jej oczy rozbliły, na ustach zamajaczył cień uśmiechu. Szepnęła coś Leonorze, która też

spojrzała w jego kierunku.

Nicky wstała. Zobaczyła, że wciąż miała na sobie zakrwawioną sukienkę.

W tej samej chwili uświadomił sobie coś, co od dziesięciu godzin nie dawało mu spokoju.

Po raz drugi w życiu miał słaby punkt. Za sprawą Nicky ponownie stał się bezbronny.

- Co zrobiłaś? - wrzasnął, wciskając hamulec nieco mocniej niż należało. Żwir zazgrzytał pod kołami, a Nicky odruchowo przytrzymała się fotela. Samochód stanął i Joe z niedowierzaniem utkwiał w niej wzrokiem. Znajdowali się przed Twybee Cottage. Nicky, która złożyła już oficjalne zeznanie, na prośbę Joego opowiadała o tym, co się wydarzyło po znalezieniu torebki.

- Zaczęłam wołać o pomoc i pobiegłam w ich kierunku. - Rozpięła pas i sięgnęła do klamki.

- Chryste. - Joe przymknął oczy, a następnie znów je otworzył i spiorunował ją wzrokiem. - Czyli tak: zobaczyłaś mordercę, dostrzegłaś narzędzie zbrodni. Wiedziałaś, że on tam jest. I pobiegłaś w jego kierunku? Życie ci niemile?

- Mordowałam moją siostrę.

Nicky otworzyła drzwi i wysiadła. Ze zmęczenia nogi miała jak z waty, dzwoniło jej w uszach, a w głowie łupało niemiłosiernie. Pomimo wczesnej pory było gorąco i bezwietrznie. Z ulgą wystawiła twarz ku słońcu: od momentu znalezienia Livvy dosłownie trzęsła się z zimna.

- Milton był tuż za tobą. Mądrzej byłoby na niego zaczekać. Zwróć uwagę na pewną subtelną różnicę: ty byłaś chudziwą uzbrojoną w torebkę, a Milton to kawał chłopca z pistoletem.

Dogonił ją, kiedy mijała rząd aut policyjnych, których stało tam mnóstwo. Skierowali się w stronę tylnych drzwi.

- Gdybym nie zareagowała natychmiast, ten potwór by ją zabił. Niewiele brakowało.

Na wspomnienie krwi siostry pod palcami ponownie ogarnął ją chłód. Joe musiał coś zauważyć, ponieważ skrzywił się tylko i dał spokój. Tuż za magnolią teren był ogrodzony żółtą taśmą policyjną, krążyli po nim funkcjonariusze.

- Joe! - rozległ się czyjś głos i Nicky zobaczyła Dave'a nurkującego pod taśmą.

- No? - Joe złapał ją za rękę, żeby poczekała, po czym odwrócił się do swojego zastępcy.

- Jak się czuje Livvy? - spytał Dave. Jego okrągła twarz pobiadła pod opalenizną. Miał worki pod oczami. Podobnie jak reszta policjantów obywatel się bez snu.

- Walczy. Lekarze mówią, że jeśli przetrzyma pierwszą dobę, ma duże szanse na przeżycie.

- Wszyscy się za nią modlimy.

Nicky spojrzała na niego z bladym uśmiechem.

- Dziękuję.

- Chciałeś coś? - spytał znacząco Joe.

- Sąsiadka po drugiej stronie ulicy twierdzi, że jadąc ulicą, zobaczyła mężczyznę, który wskoczył do zaparkowanego na poboczu samochodu i odjechał w wielkim pośpiechu. Czas mniej więcej by się zgadzał. To może być nasz morderca.

- Podała rysopis? - spytał Joe, mocno otaczając Nicky ramieniem.

- Nie, było za ciemno. Ale ... - Dave urwał, a jego zmęczoną twarz rozjaśnił triumfalny uśmiech. - Zapamiętała część numeru rejestracyjnego.

- No bomba. - Joe ścisnął rękę Nicky i na jego wargach także pojawiło się coś na kształt uśmiechu. - Zatem do roboty.

- Tak jest. - Dave się oddalił, a Joe wszedł za nią do domu. Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, we wszystkich pomieszczeniach było pusto. Wszyscy zostali w szpitalu. Cisza aż dzwoniła w uszach i Nicky poczuła się nieswojo.

Poszła do pokoju i z duszą na ramieniu włączyła laptop. To właśnie w tym celu Joe zabrał ją ze szpitala. Stał teraz za jej plecami i czekał, aż sprawdzi pocztę.

No i proszę.

Zapamiętaj dobrze to:

Otrzymaś zapłatę swą. Kostucha znów palcem kiwnęła,

Trzecia ofiara oczy zamknęła.

Podpisano Łazarz525".

Dwudziesty piąty maja, czyli wczorajsza data. Dzień, w którym zaatakowano Livvy.

Łzy zapiekły ją pod powiekami, ból głowy przybrał na sile, a żołądek zacisnął się niebezpiecznie.

Uchwyciła się oburącz drewnianego oparcia krzesła i z całej siły zacisnęła palce.

Nie będę płakać, postanowiła w duchu.

- Nicky. - Poruszony reakcją Nicky Joe położył ręce na jej odkrytych ramionach. - Nick.

Dalej ścisnęła dłońmi oparcie krzesła, czując jak ogarnia ją fala ślepej furii. Przed oczami ponownie stanęła jej wizja zakrwawionej Livvy, leżącej nieruchomo na ziemi. Miała ochotę wskoczyć do komputera, dorwać bydlaka, który skrzywdził jej siostrę i udusić go gołymi rękami.

- Znajdę cię - powiedziała cicho do Łazarza525. - Choćby za sto lat i na końcu świata, ale cię znajdę. Słowo honoru.

- Nicky.

Joe mocniej ścisnął ją za ramiona i delikatnie, acz stanowczo odciągnął na bok. Posłusznie puściła krzesło i z dłońmi zwiniętymi w pięści stanęła twarzą do niego.

Wymienili spojrzenia. Joe zacisnął usta i jego oczy pociemniały ze współczucia.

- Tak mi przykro, kotku - powiedział, przytulając ją.

Drżąc z tłumionego gniewu, zeszywniała na całym ciele, po chwili jednak odetchnęła głęboko i rozluźniła mięśnie. Ciepło i obecność Joego podziałały na nią kojąco. Oparła głowę na jego ramieniu i objęła go w pasie, przytymkając oczy.

- Tak mi przykro - powtórzył i Nicky odniosła wrażenie, jakby musnął wargami jej włosy.

- Musimy go złapać - szepnęła.

- Złapiemy - odparł krzepiącym tonem Joe. - To tylko kwestia czasu. Dostanie za swoje.

Drżenie ustało; Nicky pozostała jeszcze chwilę, chłonąc jego ciepło, po czym zaczerpnęła tchu i otworzyła oczy.

- Nie mamy chwili do stracenia - oznajmiła z zaskakującą mocą i opanowaniem. - Bo inaczej znów zniknie. Zwróć uwagę, że napisał: "oczy zamknęła". Ma już swoją trójkę.

- Może. A może nie. Twoja siostra, nie umarła.

- Nie. - I myśl sprawiła Nicky niewymowną ulgę. - Nie umarła.

Dobra, dosyć tego. Folgowanie emocjom nikomu nie przyniesie pożytku, a już na pewno nie Livvy. Nicky wysłizgnęła się z objęć Joego, posyłając mu przelotny uśmiech.

- Wezmę szybki prysznic, przebiorę się i spakuję parę rzeczy dla mamy. Potem ruszę wrócić do szpitala. Poczekaś na mnie?

Usta mu drgnęły; wymienili spojrzenia.

- Masz to jak w banku - odpowiedział.

Kiedy Nicky zniknęła w łazience, Joe na wszelki wypadek obszedł wszystkie pokoje na górze, po czym zrobił to samo na parterze, upewniając się, że prócz nich w domu nie ma nikogo. Wolał dmuchać na zimne, choć dookoła roilo się od funkcjonariuszy. Chwila nieuwagi i Nicky może zginąć. Zmroziło go na samą myśl.

To spadło na niego z zaskoczenia i nim się obejrzał, było już za późno: stary poczciwy Achilles znalazł sobie kolejną piętę, która właśnie brała prysznic na górze. Nie pozostawało mu nic innego jak dopilnować, że włos jej z głowy nie spadnie.

Przez myśl mu nie przeszło, że Livvy może coś grozić.

Kompletnie nie pasowała do profilu: nie była sama, mieszkła z rodziną i nie miała nic wspólnego ze światem mediów. Morderca zaatakował ją w środę wieczorem, podczas gdy dwie pierwsze ofiary zginęły podczas weekendu. Była w zaawansowanej ciąży. Oczywiście nie należało wykluczać, iż sprawcą jest jej wkrótce eksmąż, który zapragnął podszyć się pod Łazarza (cholera, niepostrzeżenie sam też zaczął go tak nazywać). Podobno złożył skargę, że Livvy zaatakowała go w dniu śmierci Marshy Browning. Zarzut oddalono, ponieważ (a) świadkowie, czyli rodzina Livvy, zaklinali się na wszystkie świętości, że oberwał w głowę gałęzią i (b) policja i tak miała pełne ręce roboty. Joe czuł jednak, że eks nie miał z tym napadem nic wspólnego. Atak na Livvy był bez wątpienia dziełem Łazarza, niewykluczone też, że kobieta stanęła mu na drodze przypadkowo, a jego głównym celem miała być Nicky.

Kto wie, może Livvy zobaczyła, jak czał się w mroku, w związku z czym był zmuszony odstąpić od pierwotnego planu.

Wyjaśniałoby to parę szczegółów typu: porzucona torebka, środek tygodnia oraz to, że atak miał charakter swoistej improwizacji, o czym świadczyło chociażby jego niepowodzenie.

Zadzwoił telefon. Joe zerknął na numer i serce zabiło mu mocniej w piersi.

Czekał na ten telefon.

- I co tam? - rzucił do słuchawki.

- Oczyściłem dla ciebie to nagranie.

- Tak?

- Dziewczyna mówi "halo" i nasłuchuje. Odpowiada: "Mówiłam poważnie. I nie ustąpię". Słucha, mówi: "Nic nie słyszę, mów głośniej". Znowu słucha i dodaje: "Miałam nadzieję, że to powiesz. Co? Jakies zakłócenia, nic nie słyszę". I po chwili odpowiada: "Super. To świetnie. Co? Dobrze, wyjdę na dwór, zobaczymy czy to coś da". I tyle.

Niewiele. Na przelom trzeba zatem jeszcze poczekać. Kto mówił, że będzie łatwo?

- Pomogłem?

- Może - odpowiedział Joe. - Prześlesz mi kopię?

- Załatwione.

- Jestem ci wdzięczny za pomoc. Dzięki.

- Nie ma sprawy.

Joe rozłączył się i po chwili namysłu podszedł do tylnych drzwi: telefon zastał go w kuchni. Otworzył je i zawałował Dave'a. Ani myślał ruszyć się z domu choćby na krok. Wykluczone, żeby Nicky została sama.

- Sprawdziłeś już wszystkie billingi? - spytał prosto z mostu, kiedy Numer Dwa zjawił się w kuchni.

- Prawie. A propos, ostatnie trzy osoby, z którymi rozmawiałem, wspomniały o zakłóceniach. Co ciekawe, jedyna z nich jest na liście rozmówców Marshy Browning, a przecież w tym wypadku - nie było mowy o żadnych trzaskach.

Joe poczuł przyływ niesmaku.

- Wcale mnie to nie dziwi. - Wiedział, że to zasługa Nicky i jej programu. Podsunąć ludziom jakiś pomysł, a zaraz go podchwycą. - Dobrze, wiem, że mamy tutaj kupę roboty, ale to sprawa nie cierpiąca zwłoki.

Musimy też sprawdzić każde alibi.

Dave wyglądał na zmartwionego.

- Myślisz, że go złapiemy?

- Taa - odpowiedział Joe. Ponownie rozdzwonił się jego telefon. Joe zerknął na numer, zmarszczył brwi i odebrał.

Nicky weszła do kuchni w chwili, kiedy skończył rozmawiać. Wciąż była blada i spięta, ale wyglądała na odświeżoną. Wyszczotkowała włosy i lekko pociągnęła usta szminką. Miała na sobie czekoladową bluzkę i spodnie pod kolor. Całość prezentowała się nad wyraz apetycznie.

Aż mu się serce ścisnęło.

- Dzwoniła twoja matka - powiedział ze świadomością, że nie sposób tego owijać w bawełnę. - Musimy natychmiast jechać do szpitala. Livvy przechodzi kryzys.

20

Córeczka Livvy urodziła się przez cesarskie cięcie o godzinie siedemnastej osiemnaście. Livvy wciąż walczyła o życie, toteż lekarze uznali także rozwiązanie za najlepsze. Małeństwo zostało natychmiast umieszczone w sali wcześniaków, bardziej na wszelki wypadek niż z rzeczywistej potrzeby, gdyż życiu dziewczynki nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo. Ben, wkrótce były mąż Livvy, który kilka godzin wcześniej zjawił się w szpitalu, zaofiarował się czuwać przy dziecku. Ów przejaw dobrej woli sprawił, że pozostali odnieśli się do Bena pokojowo i dołączyli do niego. Leonora, która z niepokoju wprost wychodziła ze skóry, krążyła między córką a wnuczką, a Nicky siedziała przy Livvy.

Spędziła całą noc przy łóżku siostry, trzymając ją za rękę, nasłuchując szmeru monitorów i modląc się tak, jak nie modliła się jeszcze nigdy w życiu.

Około czwartej nad ranem Livvy drgnęła i wydała jakiś gardłowy odgłos. Zaniepokojona Nicky wstała i po-

chyliła się nad siostrą.

- Liv?

. Ku jej zdumieniu Livvy otworzyła oczy. Wymieniły spojrzenia.

- Dziecko? - Ledwo słyszalny szepet w ogóle nie przypominał głosu siostry.

- Całe i zdrowe. Nie musisz się o nic martwić. Livvy mocniej zacisnęła palce na jej dłoni.

- Trzy palce na sercu?

Nicky poczuła, że coś podchodzi jej do gardła.

- Trzy palce na sercu.

Na ustach Livvy zamajaczył cień uśmiechu. A potem przymknęła oczy.

Druga wiadomość, na którą czekał Joe, nadeszła około ósmej w piątkowy ranek.

- Chcesz usłyszeć dobrą czy złą wiadomość? - spytał jego rozmówca.

Joe chrząknął.

- Chcesz powiedzieć, że jest jakaś dobra wiadomość? Mów, niech cię ozłocę.

- Zlokalizowałem komputer, z którego wysłano mejle.

- Hura. - Wbrew śmiertelnemu zmęczeniu, spowodowanemu dwudniowym brakiem snu, Joe odczuł przyrównany podniecenia.

- I co?

- Wiadomości wyszły z darmowego konta, zostały zakodowane, przez jakiś czas błądziły po Azji, znów zostały zakodowane ...

- Może być tak przeszedł do rzeczy? - zaproponował

Joe. - Grunt pali mi się pod nogami.

- Hm, tu się właśnie zaczyna ta zła wiadomość.

- Psiakrew.

- No właśnie. Oba mejle zostały wysłane z Darmowej Biblioteki Publicznej w Charlestonie, z gmachu głównego. Konto założono na nazwisko pan Kapuściana Głowa. Pewnie mógłbym wskazać konkretny komputer, ale to ci chyba niewiele da. Masz pojęcie, ile osób korzysta tam z komputerów?

- Za dużo - odparł posępnie Joe. - Ale przynajmniej mamy jakiś punkt wyjścia.

Rozłączył się i zadzwonił na policję w Charlestonie.

Nicky, Leonora, wuj Ham, wuj John, Harry, Marisa oraz policjanci wyznaczeni przez Joego zostali w szpitalu mniej więcej do godziny trzeciej piątkowego popołudnia, kiedy to lekarze Livvy uznali, że niebezpieczeństwo najprawdopodobniej minęło. Napięcie ostatnich dni każdemu dało się we znaki.

Leonora nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem. Nicky nalegała, aby matka pojechała do domu odpocząć, na co Leonora przystała pod warunkiem, że wkrótce powróci. Nicky zgodziła się chętnie, po czym wraz z Hamem, Johnem i paroma innymi osobami opracowała luźny grafik, na podstawie którego mieli na zmianę dyżurować przy Livvy i dziecku. Leonora pojechała do domu. Kiedy zjawiała się ponownie w towarzystwie brata i Joego, Nicky ze zmęczenia ledwo trzymała się na nogach.

- Jak się czuje?- spytała Leonora.

- Lepiej - odpowiedziała Nicky. - Dwa razy poprosiła o wodę i raz spytała o małą, czyli jesteśmy chyba na dobrej drodze.

- Podali jej furę środków uspokajających - wyjaśnił wuj Ham. - Lekarz powiedział, że jutro powinna zacząć dochodzić do siebie.

- Idziemy. - Joe stanowczo ujął Nicky pod rękę. - Wyglądasz, jakbyś miała za chwilę upaść. Potrzebujesz snu.

Przyganiał kocioł garnkowi: sam był szary ze zmęczenia, ale Nicky nie miała siły oponować. Poza tym naprawę potrzebowała snu, i to bardzo. Nie była tylko pewna, czy zdoła o własnych siłach dojść do samochodu.

Po drodze do windy minęli oddział noworodków. Pomimo zmęczenia Nicky przystanęła na chwilę, by popatrzeć przez szybę. Hayley Rose (Livvy wybrała imię przed paroma tygodniami) w różowej czapeczce nasuniętej nisko na czoło spała słodko w swoim inkubatorze. Była mała i miała czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę. Livvy jeszcze jej nie widziała. Mamusia bardzo cię kocha, zapewniła Nicky, zwracając się w myślach do siostrzenicy.

A gdy pielęgniarka skarciła ją spojrzeniem, a Joe pociągnął za rękaw, bez protestów poszła dalej.

Powiew ciepłego powietrza, który powitał Nicky po blisko trzydziestu sześciu godzinach spędzonych w szpitalu, podziałał na nią orzeźwiająco. Właśnie minęła jedenaście; poza granicą halogenów oświetlających parking noc była ciemna i nieruchoma. Nicky przezornie trzymała się blisko Joego i pokonała całą drogę do samochodu kurczowo uczepona jego rękawa. Możliwe, że lekarz wypełnił swoją "misję" i usunie się w cień na kolejnych piętnaście lat, ale wolała nie ryzykować. Zresztą, jak zauważył Joe, tamten groził, że zabije trzy osoby, a zginęły tylko dwie. Ciarki ją przechodziły na samą myśl o tym.

Dotarli do samochodu i Joe otworzył drzwi. Kiedy usiadł za kierownicą, Nicky miała już zapięty pas.

Położyła głowę na gładkim oparciu ze skaju i ziewnęła, wdychając zapach kawy, plastiku i dymu papierosowego, którym przesiąknięty był radiowóz.

Dosłownie padała z nóg. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak zmęczona.

- I co, znaleźliście samochód, o którym wspominał Dave? - spytała, gdy silnik zaczął pracować.

Joe skrzywił się niechętnie.

- Był wynajęty. Facet przyjechał tu na wakacje i spieścił się do apteki, żeby odebrać lek na zapalenie ucha dla dzieciaka. Sprawdziliśmy.

- Aha - odrzekła zawiedziona. - A co z ...

- Czekaj. - Joe wyjechał z parkingu. - Basta. Nie będziemy już dzisiaj o tym rozmawiać. Oboje potrzebujemy trochę wytchnienia. Głodna?

- Trochę. Ale przede wszystkim zmęczona.

- Ja też.

Rzeczywiście wyglądał na wykończonego, przyznała w duchu, widząc zmarszczki wokół jego oczu i ust oraz zarost na policzkach. Miał poluzowany krawat i koszulę rozpiętą pod szyją, a granatowa marynarka i spodnie były mocno wygniecione.

- Miałaś okazję pospać zeszłej nocy? - spytała.

~ Trochę. - Zerknął na nią z półuśmiechem. - A ty?

- Trochę. - Miała za sobą serię parominutowych drzemek na krześle, przerywanych nadejściem pielęgniarki, szumem aparatury bądź wizytami krewnych. - Bałam się zasnąć. Wciąż myślałam, że jeśli choć na chwilę spuszczę ją z oka ...

- Lekarze mówią, że wyjdzie z tego.

- Wiem.

- Tak a propos, przez to wszystko zapomniałem ci powiedzieć, że postąpiłaś bardzo odważnie - przyznał Joe. Popatrzył na nią z ukosa. - Głupio, ale odważnie.

Powieki ciążyły jej jakby były z ołowiu. Ukołyszana jazdą zamrugła oczami.

- W końcu to moja siostra. Jeśli to miał być komplement, mógłbyś się bardziej postarać.

Joe uśmiechnął się nieco szerzej.

- Cóż, odwaga jest cnotą, podobnie jak zdrowy rozsądek. Nicky tylko się skrzywiła. Nie miała siły na kłótnie. Jechali teraz przez most i głuchy łoskot pod kołami podziałał na nią dziwnie krzepiąco. Kojarzył jej się z powrotem do domu. Widoczne w dole wody Salt Marsh Creek połyskiwały w świetle księżyca jak pokryte olejem. Usiane gwiazdami niebo miało odcień aksamitnej czerni. Nicky właśnie podziwiała błądzący zarys księżyca, kiedy zrozumiała, że skręcają w złą stronę.

Zmarszczyła brwi.

- A dokąd to?

Popatrzył na nią kątem oka.

- Do mnie. Spędzisz tam dzisiejszą, a może nawet kilka następnych nocy. W Twybee Cottage panuje zbyt duże zamieszanie, uznałem, że tak będzie bezpieczniej.

Nicky zastanawiała się przez chwilę.

- Moje rzeczy zostały w domu.

- Matka spakowała twoją walizkę. Jest w bagażniku.

- Zgodziła się, żebym u ciebie nocowała? - Z niejasnych powodów Nicky uznała to za zabawne i pomimo zmęczenia musiała się uśmiechnąć.

- Uznała, że to dobry pomysł.

- Lubi cię.

- A ja ją. - Zaparkował przy krawężniku i Nicky zobaczyła, że stoją przed jego domem. Wysiedli i poczekała, aż wyjmie z bagażnika jej rzeczy, po czym weszli do środka.

Joe zamknął drzwi, postawił walizkę na podłodze i zapalił światło w salonie.

Nie wiadomo dlaczego Nicky poczuła się trochę niezręcznie. Wiedziała, że w domu są dwie sypialnie.

Chciała spać razem z Joe, ale przypomniała sobie nie miłą rozmowę poprzedzającą napad na Livvy.

Może jednak powinna wybrać pokój gościnny ...

"Związki mnie nie interesują", zadźwięczały jej w uszach słowa Joego.

Była zbyt zmęczona, żeby się wściekać, czy choćby kiwnąć palcem, toteż usiadła na sfatygowanej, sztrukturalnej kanapie. Po jednej stronie leżał granatowy podglówek w kratkę, a po drugiej pomarańczowa poduszka: i jedno, i drugie miało już swoje lata. Joe skierował się do kuchni, zdejmując po drodze marynarkę. Na tle białej koszuli czerniała nylonowa kabura. Dodawała mu powagi i męskości. Nie wspominając o tym, że wyglądał pociągająco. Diabelnie pociągająco.

- Masz ochotę na jajka? - zawołał przez ramię, zapalając po drodze światło w kuchni. - Albo na kanapkę z sosem bolońskim?

- Gotujesz? - Usadowiła się wygodniej na kanapie.

- Tylko wtedy, gdy nachodzi mnie chęćka, aby coś przekąsić - dobiegł z kuchni jego głos. - Lubisz sadzone?

- Brzmi nieźle.

Przyszło jej do głowy, że może powinna mu pomóc, ale nie miała siły się ruszyć. Wpadła na pomysł, aby sięgnąć po pilota leżącego na ławie, ale na to też nie miała siły. Z kuchni dobiegały odgłosy krzątania: Joe otwierał i zamykał lodówkę i brzęczał sztućcami ...

To, co przygotował, zapewne wypadło żałośnie na tle frykasów wuja Hama, do których była przyzwyczajona, ale żarcie to żarcie, a jemu kiszki marsza grały. Kiedy jajka były gotowe (zrobił też grzanki, ale z uwagi na świnię wpatrującą się w niego przez szybę kilka dni temu na dobre zrezygnował z bekonu), zawołał Nicky. Gdy nie odpowiedziała, poszedł po nią do pokoju.

Nicky zasnęła na kanapie. Głowę w płomiennej aureoli włosów położyła na oparciu, rzęsy ocieniały śnieżnobiałe policzki, a pomiędzy rozchylonych warg wydobywało się leciutkie pochrapywanie. Joe uśmiechnął się i podszedł bliżej. Stał przez dłuższą chwilę, napawając się jej widokiem, rozbawiony, a zarazem rozczulony. Następnie zorientował się, że czuje w brzuchu niepokojące łaskotanie, którego przyczyna znajdowała się obok. Spoważniał. Ogarnęło go nieodparte wrażenie, że wpadł po uszy i powinien niezwłocznie wziąć nogi za pas.

Niestety, to ostatnie kompletnie nie wchodziło w grę.

Była w jego domu, spała w jego salonie, a poza tym musiał ją chronić.

Miał do wyboru trzy możliwości: potrząsnąć nią i spytać, czy chce zjeść te jajka, zostawić ją tam, gdzie siedziała, lub po prostu zanieść Nicky do łóżka.

Po namyśle wybrał ostatni wariant i ostrożnie dźwignął ją z kanapy. Nicky spała jak kamień. Bezwładna zdawała się ważyć tonę: Joe przeniósł ją do sypialni i z wysiłkiem położył na łóżku. Miała na sobie białe dżinsy, jasnożółty podkoszulek i sandały. W pokoju było ciemnawo, lecz widział ją wyraźnie w świetle padającym z korytarza. Rozejrzył się pospiesznie - nigdzie nie dostrzegł Briana - i znów popatrzył na Nicky z namysłem.

Mógł ją zostawić w ubraniu, choć na dobrą sprawę bez niego byłoby jej wygodniej.

Zdjął sandały i postawił je przy łóżku. Następnie rozpiął i ściągnął jej dżinsy. Odnotował z zainteresowaniem, że pod spodem miała mikroskopijne, czerwone majteczki, które pięknie podkreślały długie nogi i zarys bioder. Reakcja jego ciała była odruchowa, toteż rzucając spodnie Nicky na fotel skrzywił się z niezadowoleniem. Został jeszcze podkoszulek, z którym poszło nieco trudniej, ale wysiłek został nagrodzony widokiem cudownych piersi w skąnym staniku. Odcień głębokiej czerwieni fantastycznie podkreślał błądliwość skóry. Chłodny powiew klimatyzacji lub też podświadoma reakcja na jego dotyk Goe skłaniał się raczej ku tej drugiej wersji) sprawiła, że pod mgiełką stanika dostrzegł wyraźny zarys brodawek. Nicky uśmiechnęła się lekko przez sen i pokusa stała się wręcz nie do zniesienia.

Pragnął ułożyć się obok, obudzić ją pocałunkiem i...

Ostatnio dużo przeszła i była wykończona. Potrzebowała snu, a nie seksu.

A że był przy tym porządnym facetem i chlubą narodu amerykańskiego, otulił ją kołdrą i wyszedł z sypialni. Musiał jeszcze nakarmić świnię wystygłymi jajkami.

Nicky spała twardym snem bez snów. Obudziło ją muśnięcie ciepłych ust, które delikatnie dotknęły jej warg.

Zesztywniała i raptownie otworzyła oczy.

— Hej skarbie, jest ósma rano. - Joe wyprostował się i stanął przy łóżku.

Przez chwilę wpatrywała się w niego oszołomiona. Był ubrany i właśnie wiązał krawat. Ładnie pachniał, pewnie mydłem i pastą do zębów. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł spod prysznic, był świeżo ogolony i uczesany, miał wyprasowaną koszulę. Jednym słowem sprawiał wrażenie człowieka, który wreszcie porządnie się wyspał. Rozejrzawszy się po pokoju, Nicky stwierdziła, że znajduje się w sypialni Joego, a na dodatek spali w jednym łóżku.

I uświadomiła sobie ze zdumieniem, że kompletnie nic nie pamięta.

Chwileczkę, coś jednak pamiętała. Obiecała matce, że o dziewiątej będzie w szpitalu.

Jęknęła.

Podciągając się na wyżej na poduszkach zrozumiała, że ma na sobie bieliznę, i strategicznie zasłoniła się prześcieradłem. Joe musiał ją rozebrać, ale jak widać przeoczył to i owo.

Czyli był jednak dżentelmenem, prawda? Uśmiechnęła się z triumfem. Mógł sobie stroić fochy, ona i tak wie swoje.

- Muszę iść do pracy. - Joe umocował na koszuli pas z kaburą. - Dave jest w kuchni, zawiezie cię do szpitala i zostanie tam z tobą do trzeciej. Potem zastąpi go Andy Cohen, który zaopiekuje się tobą do jedenastej, czyli do czasu mojego i twojego powrotu. Musisz mi obiecać, że nigdzie się bez nich nie

ruszysz.

- Nie ma obawy - zapewniła Nicky, obserwując z zainteresowaniem, jak Joe sprawdza broń, a następnie chowa ją do kabury.

- Wręcz przeciwnie. Chcę ci przypomnieć, że ten cały Łazarz nie ma jeszcze swojego numeru trzy. - Joe sięgnął

po leżącą na fotelu marynarkę..

Przyjemnie było tak leżeć i patrzeć, jak się ubierał, i Nicky poczuła miły dreszczyk emocji. Następnie przypomniała sobie jego bezlitosne "związki mnie nie interesują" i skarciła się w duchu.

- Dam ci klucz, żebyś mogła swobodnie wchodzić i wychodzić. - Podniósł ze stolika pęk kluczy i wyjął jeden,

po czym położył go obok lampki. - Uważaj na siebie, dobrze? - Spojrzał na nią z czymś na kształt żalu w oczach i już go nie było.

Nicky leżała jeszcze przez chwilę, rozkoszując się miłym porankiem i względnie dobrym samopoczuciem. Na poduszce obok dostrzegła niewielkie wgłębienie i zrozumiała, że spali blisko siebie. Widać nawet przez sen 19nęła do niego jak magnes.

Pospiesznie odsunęła od siebie tę myśl i wstała. Walizka była przy ścianie obok drzwi i Nicky ponownie rozczuliła się na myśl, że Joe postawił ją tutaj, aby miała swoje rzeczy pod ręką, zwłaszcza że po domu kręcił się Dave. Oto kolejny dowód świadczący, że Joe, którego znała, nie miał nic wspólnego z tym mężczyzną opisywanym przez Sarah Greenberg. Podniesiona na duchu Nicky wyjęła z walizki czyste rzeczy i przybory toaletowe, a następnie pobiegła wziąć prysznic. Kwadrans później wyszła z łazienki i podążając za zapachem kawy, ruszyła do kuchni.

Tylne drzwi stały otworem, a Dave w mundurze kłęzczał na ganku, pochłonięty całą rozmową ze świnia. Patrzyli sobie w oczy i Dave był wyraźnie wniebowzięty.

Ciekawość wzięła górę nad kuszącym aromatem i Nicky wyjrzała na zewnątrz. Był piękny, słoneczny poranek, upał nie dawał się jeszcze we znaki. Na niewielkim, ogrodzonym podwórku królował wielki kauczukowiec oraz rząd imponujących słoneczników. Mały ganek, jakieś dwa metry na cztery, mieścił ośmiokątny drewniany stół, dwa leżaki oraz Dave' a i świnia.

- Dzień dobry. - Zastępca Joego uśmiechnął się i wstał.

On też wyglądał na bardziej wypoczętego, niż kiedy widział go ostatni raz. Ostatnia noc musiały przynieść wszystkim upragnioną chwilę wytchnienia.

- Cz-cześć - zająknęła się z lekka, ponieważ świnia zaczęła obwąchiwać jej nogi. Nicky miała na sobie krótką

pomarańczową sukienkę i sandały. Poczuła na skórze ciepły, prawie wilgotny oddech. Przedziwne wrażenie.

Jej doświadczenia ze zwierzętami ograniczały się z grubsza do psów i kotów. Na świnia nie znała się kompletnie.

- Znasz Cleo? - Dave z czułością popatrzył na ulubienicę, która zainteresowała się barwnymi koralikami na sandałach Nicky. Kolorowe paciorki wyraźnie przypadły jej do gustu i Nicky odruchowo skuliła palce u stóp, po czym niezdarnie poklepała świnia po łbie porośniętym miękką szczeciną. Cleo z aprobatą poruszyła uszami i wywinęła młynka spiralnym ogonem.

Pomyśl, że to pies, upomniała się w duchu Nicky. Z raczkami.

- Tylko z widzenia. Widziałam ją przez szybę. I w telewizji. - Pomimo świnia pod nogami uśmiechnęła się na samo wspomnienie.

Dave też wyszczerzył zęby.

- Joe nieźle dostał wtedy po głowie, nie? Miałem wyrzuty sumienia.

- Ty miałeś wyrzuty sumienia?

- No. W sumie wyświadczył mi przysługę, pozwalając jej tu zostać.

Nicky zrozumiała.

- Chcesz powiedzieć, że to twoja świnia?

- Ano moja. Nie przypadły sobie do gustu z moją dziewczyną i Joe zgodził się przygnać Cleo na trochę.

- To ... miło z jego strony. - Nicky pomyślała o gromach, jakie spadły na głowę Joego ze strony mediów, i aż westchnęła. Ani razu nawet nie pisały, że świnia nie należy do niego. Typowe, pomyślała: zero wyjaśnień, zero protestów.

- Równy gość. - Dave sięgnął po coś ze stołu. - Masz, daj jej trochę mielonych. Będzie ci wdzięczna do końca życia.

Podał jej kawałek wędliny, a Nicky wzięła ją z ociąganiem. Raptem poczuła na skórze dotknięcie

włochatego, aksamitnego pyska i zrozumiała, że wyraźnie wniebo-wzięta świnia pałaszuje jej z ręki. I upuściła mielonkę jak oparzona.

- Widzisz, lubi cię - zapewnił Dave, kiedy Cleo trąciła ryjkiem rękę Nicky, wyraźnie mając ochotę na dokładkę.

- Grzeczna świnia - powiedziała Nicky, zwijając dłoń w pięść. Rozczarowana Cleo ponownie zajęła się koralikami. Nicky raz jeszcze poklepała ją po łbie i uciekła do kuchni.

Joe siedział na posterunku. z poczuciem, że tkwi w dy-lizansie otoczonym przez zgraję żądnych krwi Indian. Wieść o ataku na trzecią ofiarę sprawiła, że dziennikarze rozplenili się jak grzyby po deszczu. Przez brudne okna widział białe namioty rozbite na trawniku przed budynkiem sądu po drugiej stronie ulicy. Inne ekipy kryły się przed słońcem pod niebieskimi parasolami, a wzdłuż ulic ustawiono pojazdy z talerzami satelitarnymi. Rano odebrał telefon od jednego z mieszkańców, który zapytywał, czy pobieranie opłat za udzielanie informacji brukowcom nie jest aby karalne, przed chwilą zaś na posterunku zjawił się reporter z "The National Enquirer" i jak gdyby nigdy nic zaczął zadawać pytania. Laura Cramer, początkująca policjantka pełniąca dziś rolę oficera dyżurnego, była tak zaskoczona, że nawet wdała się z nim w rozmowę, po czym poszła po rozum do głowy i wyprowadziła intruza na zewnątrz.

- Nie do wiary - jęknął po drugiej stronie linii Vince. W przeciwiwstwie do Joego nie kwapił się zakończyć rozmowy. - Czatuja przed moim domem, domagają się oświadczenia. Co mam im, kurde, powiedzieć, że błdziemy we mgle?

- Spróbuj "bez komentarza" - poradził Joe. - W moim przypadku działa niezawodnie.

Telefon zastał go przy biurku, gdzie przeglądał nadesłane wyniki laboratoryjne. Obecnie krążył po posterunku i wyglądał przez okna, usiłując obmyślić najlepszą drogę ucieczki, tak by dziennikarze nie zatrzymali go w chwili, gdy wysunie nos za drzwi. Dobra wiadomość była taka, że próbki DNA uzyskane z obydwu miejsc zbrodni pasowały do siebie jak ulał. Niestety, nie pasowały do innych w bazie. Jeśli złapią mordercę, profil DNA nie pozwoli tamtemu się wykręcić. Lecz dopóki to nie nastąpi, wyniki analizy były bezużyteczne.

Co gorsza, nie mieli próbek DNA ze sprawy Tary Mitchell. Ewentualne dowody, na podstawie których mogli by je uzyskać, przepadły dawno temu.

Vince w dalszym ciągu nadawał mu do ucha.

- Pamiętaj, że nikt cię nie wybierał, zostałeś zatrudniony przez radę miasta. A co za tym idzie, w każdej chwili możesz wylecieć na zbity pysk.

- Sugerujesz, że moje stanowisko wisi na włosku, Vince? Burmistrz prychnął.

- Gdybym miał kogoś na twoje miejsce, nie zastanawiałbym się ani chwili. Ale zanim by się wdrożył, byłoby po sezonie.

- Dzięki za zaufanie - skwitował sucho Joe.

- No cóż ...

Pisk w słuchawce oznaczał, że ktoś próbuje się z nim połączyć. Joe zerknął na numer i uznał, że musi odebrać. - Muszę kończyć, Vince, mam drugi telefon. To ważne.

- Joe połączył się z drugim rozmówcą.

Był to detektyw Charlie Bugliosi z wydziału w Charles-tonie.

- Masz szczęście: naprzeciwko biblioteki jest bank z zainstalowanymi od frontu kamerami. I wiesz, co przez nie widać?

- Gadaj. - Joe aż zastygł w oczekiwaniu.

- Główne wejście do biblioteki. Jest też drugie, tylne, ale niewiele osób z niego korzysta. Bank co tydzień kasuje zapis, ale ...

Joe z miejsca zrozumiał, w czym rzecz: na obrazie zarejestrowanym przez kamery bankowe mógł się znajdować morderca, który po ataku na Livvy przyszedł wysłać wiadomość elektroniczną.

Kolejne potwierdzenie tezy, że fart znaczy w życiu więcej aniżeli dobre serce.

- Będę za godzinę - odparł Joe i przerwał połączenie.

Po przybyciu do szpitala, gdy się okazało, że Livvy czuje się znacznie lepiej, Nicky uświadomiła sobie z przerażeniem, że jest sobota, dwudziestego ósmego maja. Ostatnie wydanie "Na tropie tajemnic" przed podsumowaniem wiosennym przypadało na niedzielny wieczór. Pozostali członkowie ekipy - Tina, Cassandra, Mario i Bob - pewnie znajdowali się drodze, nauczeni doświadczeniem, aby nie ryzykować podróży na ostatnią chwilę. Tymczasem Nicky była nie przygotowana jak nigdy. Nagrany fragment programu, stanowiący zaledwie preludeum wystąpienia na żywo, nie zawierał żadnej wzmianki o ataku na Livvy. Wspomniany występ na żywo, będący zarazem podsumowaniem kilkutgodniowego śledztwa

(co z uwagi na ostatnie wydarzenia kompletnie wyleciało jej z głowy), został zaplanowany na godzinę dziewiątą wieczorem i na specjalną prośbę Sida Levina miał zawierać seans z udziałem jej zablokowanej matki.

Wuj Ham trzymał noworodka, podczas gdy wuj John wymachiwał aparatem cyfrowym i pstrykał zdjęcia, a rozanielona Livvy spoglądała czule na córeczkę. Obserwując to z boku, Nicky uświadomiła sobie z całą jasnością, że ma trzydzieści sześć godzin na zrobienie programu będącego punktem kulminacyjnym całego sezonu.

Czy ktoś tu wspomniał o załamaniu nerwowym? Chwała Bogu, Livvy zdążyła już oprzytomnieć na tyle, by móc rozmawiać z policją i rodziną oraz szczebiotać do dziecka. Co do srody, ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, było wyjście z samochodu przed domem. Przynajmniej Nicky nie musiała się zadręczać, czy wykorzystać zeznanie siostry w niedzielnym programie.

Jeden problem etyczny mniej.

Inny dylemat dotyczył tego, jak bardzo wtajemniczać widzów w wydarzenia, które rozegrały się na wyspie. Atak na Livvy zmienił nieco punkt widzenia Nicky: teraz interesowało ją nie tyle zrelacjonowanie wydarzeń, ile schwytywanie łajdaka, który o mało nie pozbawił jej siostry życia. Ze swoich źródeł w policji (Joe oczywiście nabrał wody w usta, ale Dave i jego koledzy byli niepoprawnymi gadułami) wiedziała, że tamci mieli co prawda mnóstwo tropów, lecz dotąd wszystkie prowadziły w ślepy zaułek. Nicky też nie próżnowała. Pewna informacja na temat Tary Mitchell wzbudziła jej wielkie zainteresowanie. Do tego stopnia, że Nicky wymknęła się do szpitalnej toalety dla pań (służącej jej jako tymczasowe biuro) i niezwłocznie zadzwoniła do Joego.

Swoim zwyczajem nie kwapił się zdradzić, czym się akurat zajmuje, ale i tak postanowiła się z nim podzielić swoimi rewelacjami.

- Ojciec Tary Mitchell został zamordowany rok po jej śmierci. Dostał dwie kule z bliskiej odległości. Znalaziono go w samochodzie przed nocnym klubem w Myrtle Beach. Ta sprawa też nigdy nie została wyjaśniona.

- Tak? - odpowiedział z roztargnieniem.

- Nie rozumiesz? - wykrzyknęła niecierpliwie. - To oznacza, że może jednak nie mamy do czynienia z niepojętym seryjnym mordercą. Może za śmiercią Tary Mitchell kryła się jakaś grubsza sprawa. Może jej ojciec zginął z tego samego powodu.

- Mmm - mruknął Joe.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - spytała z oburzeniem Nicky. - To bardzo ważne.

- Słucham. Masz rację, to niezmiernie ważna sprawa. W wolnej chwili na pewno się tym zajmiemy.

- Chcesz powiedzieć, że macie lepszy trop?

- Bynajmniej, niczego nie chcę powiedzieć - roześmiał się Joe. - Tak trzymać, Nancy Drew*. Do zobaczenia wieczorem.

- Nancy Drew?

Za późno. Już się rozłączył. Nicky spojrzała na telefon ze złością i wyszła z toalety.

Gdy Leonora wróciła, aby ją zmienić, Nicky przypomniała matce o udziale w jutrzejszym programie, do którego skłonił ją pokaźny czek i telefon od samego Sida Levina. Po wysłuchaniu piętnastominutowych utyskiwań na temat blokady i ciąży na medium odpowiedzialności, Nicky miała wszystkiego serdecznie dość i nie omieszkała przypomnieć Leonorze o czeku.

Matka oczywiście nie pozostała jej dłużna.

- Słuchajcie, ja tu prawie umarłam - warknęła Livvy, otwierając oczy i mierząc obie pełnym wyrzutu wzrokiem. - Mogłybyście nie wydzierać mi się nad głową?

Jej słowa zabrzmiały tak swojsko, że Nicky i Leonora jak na komendę urwały i wymieniły spojrzenia. Następnie wybuchnęły śmiechem i wyściskały Livvy, która zaczęła jęczeć, że nie dają jej spać, ale też mocno je przytuliły. Kiedy demonstracja uczuć rodzinnych dobiegła końca, Nicky obmyśliła pewien kompromis. Leonora zgodziła się przespacerować na żywo po Old Taylor Place i spróbować nawiązać kontakt z duchami tamtejszych zmarłych (Nicky planowała wykorzystać świeżo uzyskaną informację o ojcu Tary), a przed programem nagrają jeszcze seans z uży-

* Bohaterka popularnej serii detektywistycznej z lat trzydziestych dwudziestego wieku.

ciem rekwizytów: swetra Karen, zegarka Marshy Browning, bluzki Lauren Schultz oraz wdzianka Becky Iverson. Materiał zostanie nadany niby „na żywo”, z tym że wszelkie dłużyzny i zbędne fragmenty zostaną wcześniej usunięte. Stacje telewizyjne stosowały taką praktykę nader często.

Po wyjściu ze szpitala Nicky spotkała się z Gordonem w jego hotelu i spędziła resztę dnia w szalonym pośpiechu. Należało uzupełnić wprowadzenie i dodać wzmiankę o ataku na Livvy. Nicky postanowiła

trzymać widzów w niepewności co do losu siostry aż do końca programu, kiedy to ogłosi krzepiącą wieść o cudownym ocaleniu Livvy i narodzinach jej dziecka. Wspólnie obmyślili przebieg seansu Leonory, po czym objechali z kamerą miejsca, o których bę.a.zie mowa w programie.

Kiedy skończyli, dochodziła dziewiąta wieczór. Pozostali członkowie ekipy zameldowali przez telefon swój przyjazd, po czym ustalono, że wszyscy spotkają się w Twybee Cottage o czternastej następnego dnia i po nagraniu seansu obmyślą ostateczną strategię na wieczór. Nicky miała już początek (ujęcie śosen, pod którymi zgięła Karen) i zakończenie (w którym następowało zbliżenie jej twarzy i padały złowróżbne słowa Ilon wciąż tam jest"). Zaraz na wstępie obejdą z kamerą Old Taylor Place, a następnie puszczą materiał z seansu. Dalsza część programu zależała od kaprysów Leonory, przybyszów z zaświatów oraz nowych wydarzeń.

Nicky pomachała Gordonowi na pożegnanie i pojechała do domu Joego, myśląc po drodze, że może powinna sobie znaleźć mniej stresującą pracę.

W domu panował mrok, toteż Andy Cohen wszedł z nią do środka, sprawdził wszystkie pomieszczenia, a także tylne drzwi, po czym rozsiadł się przed telewizorem. Dostał wyraźne polecenie, by do powrotu szefa nie ruszać się z miejsca. Był to przyjazny, acz dość skryty mężczyzna w średnim wieku, o wąskich ramionach i wielkim tyłku, będącym efektem lat spędzonych w radiowozie. Nicky widziała, że jest zmęczony, więc po zdawkowej wymianie zdań wycofała się do sypialni. Miała za sobą długi dzień i marzyła, by się wykapać i przebrać w coś wygodniejszego (była rozdarta pomiędzy dressem a seksownym neglizem), zanim Joe wróci do domu.

Właśnie zmierzała w stronę łazienki, gdy rozdzwoniła się jej komórka. Telefonowała Lisa Moriarty, dawna koleżanka, pracująca obecnie w New Jersey jako prywatny detektyw.

- Mam dla ciebie pewne informacje - oznajmiła po krótkim powitaniu. - O tym twoim Franconim.

21

Kiedy Joe wrócił do domu, dochodziła północ. Był zmęczony, ale zadowolony, bo miał za sobą owocny dzień. Zapis z kamer bankowych okazał się niewyraźny i ziarnisty, poza tym nie miały one monitorować wejścia do biblioteki. Kilka drobniagów wzbudziło jednak zainteresowanie Joego, toteż wysłał poszczególne klatki do analizy. Obiecano mu przygotować je na poniedziałek: wtedy się okaże, czy podejrzania były uzasadnione. Po powrocie z Charlestonu kontynuował rutynowe zajęcia, czyli wertowanie kartotek i weryfikację danych oraz tropów, gdzie także natrafił na parę ciekawych szczegółów. W drodze do domu przypomniał sobie, że dzień w ogóle zaczął się obiecująco, gdyż obudził się rano z Nicky owiniętą wokół niego jak spaghetti wokół widelca. Była prawie naga, a przy tym taka ciepła i jedwabiście miękka, że podniecił się, jeszcze zanim na dobre otworzył oczy. Pokusa, aby coś z tym zrobić, była prawie nie do odparcia, lecz kwadrans po ósmej miał spotkanie i zwyczajnie nie było czasu. Poza tym powtarzane uprawianie seksu na nowo rozdmuchałoby niepotrzebną dyskusję o związkach. Postanowił o tym pamiętać przez resztę jej pobytu.

Dlaczego kobiety zawsze musiały mieć wszystko poukładane?

Jednakże bez względu na charakter ich znajomości, świadomość, że Nicky czekała na niego w domu, była zaskakująco przyjemna. Na kanapie w salonie zastał niestety tylko Cohena, lecz dookoła widniały niezaprzeczalne ślady obecności kobiety. Seksowne sandały z koralikami tkwiły przy drzwiach, przy czym jeden leżał na boku, jakby zrzuciła je nie dbałe. Na stole spoczywała torebka, w powietrzu zaś unosił się ulotny kwiatowy zapach (trudno powiedzieć, mydła albo szamponu), którego nigdy wcześniej tu nie było. Zapach kobiety.

Wciągając go w nozdrza, Joe po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo za nim tęsknił.

Zamienił parę słów z Cohenem i odprawił go do domu. Następnie udał się na poszukiwanie Nicky.

W kuchni nie zastał nikogo, drzwi do łazienki i pokoju gościnnego były otwarte, czyli pozostawało tylko jedno miejsce, a mianowicie jego sypialnia. Podniecony tą myślą ruszył korytarzem: w pokoju panował mrok, więc Nicky pewnie spała. Rozbierze się i wślizgnie pod kołdrę obok niej ...

Po drodze zdjął krawat i zaczął rozpinać koszulę.

Wszedł na palcach do sypialni i położył broń na stoliku. W świetle sączącym się przez żaluzje dostrzegł szczupłą sylwetkę, skuloną na boku pod kołdrę. Słyszał miarowy oddech Nicky i wyczuwał delikatny kwiatowy zapach, na który zwrócił uwagę tuż po wejściu do domu. Było to niesamowite doznanie.

Rozebrał się do bokserów i usiadł po swojej stronie łóżka.

Chwila moment: przecież to było jego cholerne łóżko.

Od kiedy miał swoją stronę?

Z tą myślą wsunął się pod kołdrę i przesunął nogą po nodze Nicky, na co pewien fragment jego ciała

zareagował zgodnie z przewidywaniami, po czym niechcący muśnął ręką jedwabiste wdianko, które miała na sobie. Następnie z rezygnacją wyciągnął się na plecach i wpatrzył w sufit, walcząc z pokusą, która rosła i przybierała na sile, odbierając mu zdolność racjonalnego myślenia ...

Kto tu kogo oszukiwał? Nie ma mowy, by spał z nią w jednym łóżku, nie biorąc przy tym spraw w swoje ręce.

Odwrocił głowę i spojrzał na Nicky. Ku swemu zdumieniu dostrzegł w ciemności błysk jej oczu: patrzyła na niego spod uchylonych powiek. Uśmiechnął się lekko. Czyli jednak nie spała.

- Hej - rzucił ochryplym szeptem. - Myślałem, że śpisz.

- Joe - zapytała - kim jest Brian?

Znieruchomiał jakby zamienił się w słup soli. Przez chwilę Nicky nie była nawet pewna, czy oddychał. Słyszała, jak wszedł do sypialni, słyszała szelest ubrania, kiedy się rozbierał, patrzyła, jak krążył po pokoju w samych bokserkach, odkładał klucze i broń, a następnie wsuwał się obok niej pod kołdrę. Czowała bijącą od niego energię i bezbłędnie odgadła, co mu chodziło po głowie. Sama też miała kosmate myśli i kiedy indziej niezwłocznie przejęłaby inicjatywę.

Ale najpierw musiała zadać Joemu kilka pytań. Jego reakcja mówiła sama za siebie. Nie ulegało wątpliwości, że dokładnie wiedział o kim mowa.

- Co wiesz o Brianie? - spytał beznamiętnie.

- Widziałam go dzisiaj w kuchni.

- Co? - Usiadł z rozmachem na łóżku i utkwiał w niej wzrok. - Widziałaś ... - I urwał jakby zabrakło mu powietrza.

- Wyjmowałam mleko z lodówki, odwróciłam się i zobaczyłam blondyna, pochylonego nad twoim komputerem. Chyba mnie zatkało to mało nie upuściłam mleka, a on podniósł wzrok. Zapytałam, kim jest, a on odpowiedział: „Jestem Brian”. Spytałam, co tu robi, odpowiedział: „Zapytaj Joego”. I zniknął jakby rozpułnął się w powietrzu.

- Cholera. - Joe opadł z powrotem na poduszkę i przesunął palcami po włosach. - Myślałem, że tylko ja go widzę. Myślałem, że mi odbija.

- Joe, czy Brian ... nie żyje? - spytała ostrożnie Nicky.

Z góry знаła odpowiedź, ale wołała się upewnić.

- Taa. - Opuścił ręce i zerknął na nią z ukosa. - Tak przy okazji, gdzie był wtedy Cohen? Też brał w tym udział?

- Oglądał telewizję. Niczego nie zauważył. Kiedy już ochłonęłam, to w sumie nawet mi ulżyło, że obcy facet w kuchni okazał się duchem, a nie człowiekiem z krwi i kości.

- No tak. - Joe odetchnął głęboko. - Rzeczywiście, masz rację.

Nicky nie spuszczała z niego wzroku. Naraz uderzyła ją pewna myśl i aż zesztyniała.

- Chwileczkę. Czegoś tutaj nie rozumiem: przez cały czas nabijałeś się z mojej matki i sugerowałeś, że oszukuje, nie uwierzyłeś, kiedy opowiadałam o duchu Tary Mitchell a sam zadawałeś się z umarlakiem?

- Nie zadawałem się z umarlakiem. Brian pojawia się i znika, kiedy chce. Myślałem, że mam halucynacje.

Albo że postradałem zmysły. A kiedy twoja matka nie zauważyła go w Old Taylor Place ...

- Był tam? - spytała ze zgrozą Nicky.

- A jak. I bawił się wyśmienicie. Przez większość czasu stał tuż obok niej, a ona go nie widziała. Dlatego uznałem, że w grę wchodzi dwie możliwości: albo twoja matka udaje, albo naprawdę jestem stuknięty.

- Jest zablokowana. Nie widzi zmarłych, przynajmniej nie tak, jak do niedawna. Przecież ci mówiłam.

- Aha. - Joe myślał już o czymś innym. - Czyli ty też go widziałaś. To zupełnie zmienia postać rzeczy.

Chyba że oboje mamy identyczne halucynacje.

- Nie wydaje mi się, aby to były halucynacje.

- Fakt - odparł z nie skrywanym zadowoleniem. Następnie westchnął poprawił poduszkę, po czym otoczył Nicky ramieniem i przyciągnął bliżej. - Jezu. Nie jestem wariatem. Masz pojęcie, jaka to ulga?

- Uhm. - Pochłonięta jego bliskością nie była w stanie nic więcej odpowiedzieć.

Matka zawsze powtarzała, że kobiety z rodu Jamesów zawsze rozkwitają tam, gdzie się je zasadzi, toteż niewiele myśląc, oparła mu głowę na ramieniu i opłótła nogą jego nogę. Wciągnęła w nozdrza znajomy zapach i przytknęła oczy. .

- Zaraz, zaraz. - Joe rzucił jej uważne spojrzenie. - Czy to znaczy, że odziedziczyłaś po matce nie tylko rude włosy?

- Nie - odparła stanowczo. - Jeśli chodzi o duchy, widziałam tylko Tarę Mitchell oraz Briana w kuchni.

- To dobrze - odpowiedział z ulgą. Następnie przełonił wzrok na sufit i pograżył się w namyśle. Nicky

bezwiednie zakręciła na palcu włosy na jego piersi. - Czyli skoro oboje go wiemy, on naprawdę istnieje. Duch uzupełnił w zamyśleniu. Nicky uniosła głowę i napotkała jego spojrzenie. - Jezu, nie mogę w to uwierzyć. Jak myślisz, czego on chce?

- Trudno powiedzieć. Pewnie są między wami jakieś niedokończone sprawy. Pytałeś go? Czy wy w ogóle ze sobą rozmawiacie?

- Czy rozmawiamy? - Joe skrzywił się z niechęcią. - Miałbym gadać z umarlakiem? A skąd. To znaczy, nie bardzo. Próbowałem zachować jakieś pozory normalności. Ale spytałem kiedyś, co go tu sprowadza, a on na to, że jest moim aniołem stróżem. - Zaczepnął tchu i pokręcił głową. - Boże, muszę się przyzwyczaić. Czuję się, jakbym miał nie po kolei w głowie.

Nicky zignorowała ostatnią uwagę. Wielu ludzi potrzebowało trochę czasu, aby się oswoić z myślą, że widziały ducha. Weźmy na przykład ją samą: niby to dla niej nie pierwszozna, lecz widok Tary Mitchell wyrócił jej świat do góry nogami.

- No proszę. Skoro uważa się za twojego anioła stróża, to pewnie nim jest.

Joe parsknął niewesołym śmiechem.

- Gdybyś go znała, dostrzegłabyś ironię sytuacji.

- A kim jest... był? Twoim przyjacielem?

- To on wpakował mi kulki w łeb.

Jej dłoń znieruchomiła. Nicky leżała przez chwilę, spoglądając na Joe'go w ciemnościach. Następnie uniosła rękę i przesunęła palcami po bliznach.

- Chcesz powiedzieć, że to jego sprawka? - spytała, z trudem wydobywając głos.

- Tak jest. - Chwyił jej rękę i przycisnął do ust. Miał ciepłe wargi i kłujący zarost. W innej sytuacji dostałaby gęsiej skórki, ale teraz pochłaniało ją coś innego.

- No dobrze - odrzekła z wolna. - Chciałabym usłyszeć wszystko od początku do końca.

- Uhm. - Zerknął na nią ukradkiem i ponownie musnął ustami jej dłoń, tym razem dotykając skóry językiem. Był ciepły, wilgotny ... Chwila moment. Nic z tych rzeczy. Jeszcze nie.

Nabrała podejrzeń, że Joe nie chce próbować odwrócić jej uwagę.

- I postaraj się mówić prawdę. - Zmrużyła oczy i wyrwała mu rękę, by położyć ją z powrotem na jego piersi. Delikatnie nakrył ją swoją dłonią. Widziała, że ani myśli o czymkolwiek mówić.

Westchnęła.

- Pozwól, że oszczędzę ci wysiłku i zacznę za ciebie. Byłeś policjantem i tajnym agentem wydziału antynarkotykowego, przygotowawaliście obławę na handlarzy. Mieśliście aresztować miejscowego szefa i jego bandę podczas zakupu kokainy wartą pięć milionów dolarów, a przy okazji zdemaskować skorumpowanych gliniarzy (udawałeś jednego z nich) i dostawców. Ale ktoś odkrył, kim jesteś, i plan nie wypalił.

Joe coraz mocniej oplatał Nicky ramieniem, ściskając ręką jej dłoń. Leżał bez ruchu i wpatrywał się w nią spod przymrużonych powiek.

- Jak, do cholery, na to wpadłaś?

- Dobrze wiesz, że to prawda.

- Spoglądał na nią jeszcze przez chwilę.

- Nikt nie wie, nie powinien o tym wiedzieć. Dochodzenie wciąż trwa.

Nie odrywając głowy od jego ramienia, Nicky uniosła brodę i posłała mu triumfujący uśmiešek.

- Przecież ci mówiłam, że jestem dziennikarką. I to dobrać. Odkrywanie sekretów to moja specjalność.

- Tylko mi nie mów, że szperasz w tym całym bałaganie w Jersey.

- Zrobiło to za mnie parę osób. Bez obawy, potrafią zachować dyskrecję.

- Jesteś potworem. - Joe puścił jej zapewnienia mimo uszu. - Tamci są niebezpieczni. Wolalabyś nie mieć z nimi do czynienia, wierz mi.

Nie chcąc wysłuchiwać półgodzinnego kazania na temat swej nieostrożności, bez słowa pociągnęła go za włosy na piersi. Joe krzyknął z bólu i ponownie nakrył ręką jej dłoń. - Skoro uporaliśmy się z bajeczką o skorumpowanym glinie, może wreszcie mi opowiesz o Brianie? Kim był i dlaczego do ciebie strzelał? Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu. Zrozumiała, że myśli o zaufaniu.

- To zostanie między nami - dodała na zachętę. - Nie ma policjanta i dziennikarki, jesteśmy tylko ty i ja.

- Czy mogę spytać, co jeszcze wiesz?

- Nic prócz tego, co ci powiedziałam. A co?

- Bo jeśli masz zrozumieć, kim jest... kim był Brian, muszę ci opowiedzieć historię całego życia, a rzadko pozwalam sobie na zwierzenia. Właściwie to nigdy.

- Zrób dla mnie wyjątek. - Odwróciła głowę i musnęła ustami jego ramię. - Bądź co bądź wiem, że byłeś

tajnym agentem i masz znajomego ducha, który regularnie wpada w odwiedziny. Historia życia to pestka.

- Słuszna uwaga. - Joe uśmiechnął się lekko. Nicky czuła, że udzielił jej kredytu zaufania i zrobiło jej się cieplej na sercu. Westchnął. - No dobrze, było tak - zaczął beznamiętnym tonem. - Ojciec zostawił nas, jak miałem trzy lata. Matka odeszła, kiedy skończyłem sześć. Moja młodsza siostra Gina i ja trafiliśmy do sierocińca i wkrótce nas rozdzielono. Dowiedziałem się, że została adoptowana. Ja nie miałem tyle szczęścia. Pewnie byłem za duży, zbyt niesforny; muszę przyznać, że nie uchodziłem za najgrzeczniejsze dziecko na świecie. W każdym razie tłu-kłem się od jednego domu dziecka do drugiego, by w wieku czternastu lat wylądować w schronisku dla trudnych chłopców, z którymi nikt nie miał czasu ani cierpliwości się użerać. Brian też tam był. Mieszkaliśmy w jednym z dziesięciu domów na terenie ośrodka wraz z czwórką innych rozwydrzonych bachorów i rodzicami zastępczymi, którzy nie mieli bladego pojęcia, co z nami począć. Co rusz pakowaliśmy się w kłopoty, to była nasza specjalność, aż wreszcie obaj z Brianem zostaliśmy aresztowani za wybijanie szyb samochodowych kijem baseballowym i kradzież tego, co znaleźliśmy w środku. W końcu po tygodniu ktoś raczył po nas przyjść. Byłem przerażony i postanowiłem nigdy więcej nie trafić do więzienia. Ale Brian nie potraktował tego jako nauzki. Nicky słuchała w milczeniu, z sercem ściśniętym na myśl o samotnym, zagubionym chłopcu, a potem zadziornym, lecz nie mniej zagubionym nastolatku. Gdy urwał, przytuliła się mocniej i delikatnie pocałowała go w szyję. Bała się, że słowa nie oddadzą tego, co czuła.

Joe chyba zrozumiał, gdyż po chwili podjął swoją opowieść. Wciąż obejmował Nicky, ale utkwiał spojrzenie w suficie.

- Gdy kończysz osiemnaście lat, instytucja umywa ręce. Brian jest... był... rok starszy ode mnie, więc pierwszy pofrunął w świat. Zaraz po swoich urodzinach przepadł jak kamień w wodę. Kiedy przyszła moja kolej, miotałem się przez parę miesięcy, a potem wziąłem się w garść, znalazłem pracę, trochę się zapożyczyłem, ale jakoś przebrnąłem przez college i zostałem policjantem. W Trenton ponownie natknąłem się na Briana. Oczywiście wiedział, że jestem gliną. On też nie próżnował, a że miał na koncie całą masę brudnych interesów, nietrudno zgadnąć, dlaczego nie odnowiliśmy starej przyjaźni. Ale utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Któregoś dnia dostałem propozycję z wydziału antynarkotykowego: miałem im pomóc dorwać paru gliniarzy, którzy w zamian za sówite łapówki przymykali oko na grube transakcje w swoim rejonie. Zgodziłem się. Krótco potem Brian poszedł do paki za posiadanie narkotyków. Groziła mu spora odsiadka, toteż posłał po mnie w nadziei, że pomogę mu się wykaraskać. Bingo. Tym samym przetał mi szlaki. Dobiliśmy targu: wprowadzi mnie w krąg swoich znajomych, przedstawi jako gliniarza, który chce dorobić na boku trochę grosza, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, ja dopilnuję, żeby nie poszedł do paki. Wyobraź sobie, że w tym samym czasie Gina odszukała mnie przez jakąś cholerną internetową grupę wsparcia, która pomaga adoptowanym dzieciakom odnaleźć biologicznych rodziców. Nie mogłem w to uwierzyć. Po tylu latach milczenia, w najgorszym możliwym momencie, spadła jak grom z jasnego nieba, w dodatku z własnym dzieckiem. Była świeżo po rozwodzie i ledwo wiązała koniec z końcem jako kelnerka w Newark.

- Ucieszyłeś się ze spotkania? - spytała Nicky, gdy przedłużające się milczenie na..sunęło jej obawę, że to już koniec opowieści.

- No tak - odparł łagodnym tonem. - Pewnie. W końcu była moją siostrą, nie? Kiedy żyjesz sam jak palec, rodzina jest na wagę złota. Naprawdę cienko przędła, więc trochę jej pomagałem, odwiedzałem ją, bawłem się z Jeffem. Miał dziesięć lat. Wreszcie przyszło mi do głowy, że z uwagi na moje zadanie zbytnia zażyłość może narazić ich na niebezpieczeństwo, więc postanowiłem ograniczyć nasze kontakty, do czasu aż będzie po wszystkim. Ale tak się złożyło, że wpadła do mnie któregoś dnia i poznała Briana. Brian, jak to Brian, od razu wyczuł w tym jakiś interes. Uznał, że robi sobie z Giny kartę przetargową. Zaczął do niej wydzwaniać, zapraszać ją w różne miejsca. I zanim poła-pałem się w sytuacji, zło już się dokonało. Ten cholerny idiota powiedział swoim kumplom, że to moja siostra. Joe umilkł i Nicky poczuła pod palcami przyspieszone bicie jego serca. Minęła dłuższa chwila, nim ponownie zaczął mówić.

- Jak już wiesz, szykowaliśmy wielką akcję. Mieliśmy zdjąć skorumpowanych gliniarzy oraz dostawców, konfi-skując przy tym pięć milionów dolarów i tyle samo wartą kokainę. Sądziliśmy, że wszystko pójdzie gładko. I mogło pójść. Ale ten skurczybyk Brian postanowił mnie wystawić. Powiedział Lee Martinezowi, temu bossowi narkotykowemu, którego zamierzaliśmy wreszcie zgarnąć, że jestem tajnym agentem wydziału antynarkotykowego. Siedzieliśmy wszyscy w magazynie przy ciężarówkach wyladowanych kokainą, czekając na gości z forszą. Agenci ukryli się na zewnątrz i także wypatrywali przyjazdu tamtych, bo miał to być sygnał do rozpoczęcia akcji. Nie znaliśmy wcześniej miejsca transakcji, toteż nie było

czasu na zorganizowanie monitoringu wewnątrz budynku. Sie-dzieliśmy więc w tym magazynie jak na szpilkach, aż tu nagle ktoś woła, że Martinez chce mnie widzieć w swoim kantorku na zapleczu. Kiedy zobaczyłem Briana z tym je-go uśmieszkiem, który zawsze pojawiał się wtedy, gdy myślał, że zrobił kogoś w konia, od razu zrozumiałem, że coś nie gra. I rzeczywiście, ledwo zdążyłem przekroczyć próg, jak dopadli mnie goryle szefa. Sprawdzili, czy nie mam podsłuchu; oczywiście nie miałem, zbyt dobrze zna-łem paranoidalne zwyczaje Martineza, który często ni z tego, ni z owego kazał przeszukiwać ludzi. Kazali mi uklęknąć, skuli ręce kajdankami i przystawili pistolet do . głowy, a potem pokazali Ginę. Była przywiązana do fotela na kółkach i miała usta zalepione taśmą. Płakała bezgło-śnie, widziałem lzy płynące po jej policzkach. Joe urwał. Serce biło mu tak, jakby zaraz miało wysko-rczyć z piersi. Zesztywniał cały i Nicky czuła bijące od niego napięcie. Odetchnął głęboko i opowiadał dalej.

- Muszę przyznać, że Brian wyglądał na zaskoczone-go, jakby nie wiedział, że ją dorwali. Ten idiota miał smy-kałkę do tworzenia sytuacji, które później wymykały mu się spod kontroli. Nie znał \$zczegółów naszej operacji, bo oczywiście mu ich nie zdradziłem. Nie wiedział na przy-kład, że akcja tna się odbyć tego samego wieczoru. Wypa-ptał tylko bossowi, że pracuję dla wydziału antynarkoty-kowego, a Martinez i jego zbiry wpadli na pomysł, by posługując się Giną, wyciągnąć ze mnie informacje na te-mat planów policji. Trzeba przyznać, że trafili w dziesiąt-kę. Zaczęli nacinać nożem jej twarz; Gina rzuciła się z krzykiem na krzesła, a ja wyśpiewałem wszystko jak na spowiedzi. Naturalnie kłamałem jak najęty, modląc się w duchu o jak naj szybsze przybycie gości z forszą, tak aby akcja zaczęła się zgodnie z planem. Niestety, Martinez miał już chyba dosyć mojej gadki albo po prostu było mu szkoda czasu, bo kopnął mnie w żołądek, żebym się za-łknął, a ktoś inny walnął mnie w głowę i upadłem na zie-mię. Jakimś cudem nie stradłem zupełnie przytomności; próbowałem się trzymać, wiedząc, że lada chwiją. zjawia się federalni. Wtedy usłyszałem, jak Martinez mówi do Briana: "Ty go tu sprowadziłeś, kundlu, to sam go załatw", i ktoś przystawił mi pistolet do skroni. Otworzyłem jedno oko i zobaczyłem, że Brian stoi nade mną, gotów w każdej chwili pociągnąć za spust. Widziałem, że się poci, mało się nie zeszczął z.e strachu, a ja pomyślałem wtedy: "ty dup-ku, nie masz jaj". Okazało się jednak, że miał.

Głos załamał mu się z lekka i Joe przymknał oczy. Nic-ky leżała odrętwiała ze zgrozy, zaschło jej w ustach. Po chwili Joe otworzył oczy i podjął ścisłym głosem, aż musiała wyęczać słuch.

_ Powinienem nie żyć. Byłem dosłownie o włos od śmierci. Martinez i reszta pewnie myśleli, że już po mnie. Co naj dziwniejsze, kiedy zjawili się sanitariusze, ja w pewnym sensie odzyskałem świadomość. Widziałem, co się dzieje. Zupełnie jakbym patrzył na wszystko z góry, spod sufitu. Wszyscy nie żyli. Martinez i jego goryle, Brian, Gina.

Zrobił przerwę na oddech i Nicky uświadomiła sobie, że jej serce bije przyspieszonym rytmem.

- Nadal była przywiązana do fotela, cała zakrwawio-na, z dziurą w głowie. - Głos uwiązał mu w gardle. - Do-wiedziałem się później, że przyjechali faceci z forszą i fede-ralni wkroczyli tuż po tym, jak Brian do mnie strzelił. Matinez i jego ludzie odpowiedzieli ogniem, zginęło dzie-więć osób. - Joe ponownie zaczerpnął tchu. - Spośród wszystkich osób w magazynie przeżyłem tylko ja.

Umilkł. Leżał nieruchomo, patrząc w sufit, z jedną ręką pod głowę, a drugą zaciśniętą na ramieniu Nicky. Słyszała jego przyspieszone tętno i wyczuwała emocje kłębiące się pod maską opanowania. Wiedziała, że z trudem panował nad oddechem.

- Z chwilą gdy trochę doszedłem do siebie, poleciałem do Kalifornii, aby odwiedzić Jeffa, który po śmierci Giny zamieszkał z ojcem. Chciałem się upewnić, czy wszystko gra. Zastałem go na podwórku przed dwupiętrowym do-rem z cegły i przeszedłem przez trawnik, żeby się przy-witać. Spojrzał na mnie przestraszony, zaczął krzyczeć, że to ja doprowadziłem do śmierci mamy, i żebym się wyno-sił, po czym wbiegł do domu. Trudno go winić, miał rację. Z domu wybiegł zaniepokojony ojciec, a ja odwró-ciłem się i poszedłem. Wróciłem do Trenton, gdzie będę miał etykietkę "brudnego gliny" do czasu, aż federalni zakończą śledztwo, na co chwilowo się nie zanosi. A po-tem.,dzięki swoim znajomościom wylądowałem tutaj. _ Wziął głęboki oddech. - Tak w dużym skrócie wygląda historia policjanta od narkotyków, który skończył jako ko-mendant w raj.

Lekko szyderczy ton, jakim wypowiedział ostatnie zdanie, miał ukryć ból dający się słyszeć w jego głosie. Nicky rozpoznała go nieomylnie: emanował z każdego skrawka ciała Joego.

Uparcie wbił wzrok w sufit, żeby oczy nie zdradziły targających nim emocji. Nicky zJ;uzumiała, że pod maską chłodu wciąż kryje się samotny, zadziorny chłopiec.

Poczuła, że lzy napływają jej do oczu.

- Joe. - Pochyliła się nad nim i oburącz ujęła jego twarz. Spojrzał jej w oczy, a następnie delikatnie objął ją w pasie. Ich oczy znajdowały się na tej samej wysokości. Zarośnięte policzki Joego lekko klęły ją w dłonie,

czuła pod sobą jego nieruchome ciało.

. Poglaskała go delikatnie. - To nie była twoja wina.

- Owszem - odpowiedział zachrypniętym głosem.

- Była.

Błede światło wpadające przez żaluzje pozwoliło jej zobaczyć to, na co zwróciła uwagę już wcześniej: głębokie długotrwałe cierpienie, którego nie ukoją żadne słowa. Wie-działa, że Joe będzie dźwigał swoją winę do końca życia.

Coś ścisnęło ją w gardle. Świadomość jego bólu raniła ją do głębi.

- Hej - powiedział nagle prawie normalnym głosem. _ Czyżbym widział łzy? Tylko mi nie mów, że płaczesz.

Nicky przełknęła ślinę. Wiedziała, że Joe nie przyjąłby litości. Przecież nie wolno się użalać nad twardym poli-cjantem. Twardy policjant pozbiera się i żyje dalej.

- Oczywiście, że nie!

Przesunęła rękę na jego barki. Woląta nie pociągać no-rem ani nie mrugać powiekami z obawy, że zdradliwe łzy wymkną się na policzki. Zrozumiała jednak, że rozpacz Joego jest dla niej nie do zniesienia, czy mu się to podoba, czy nie.

- Kłamczucha. - Oczy mu rozbłysły, w jego głosie za-brzmiało coś na kształt czułości.

- A jeśli nawet, to co? - odpowiedziała, patrząc na nie-go surowo przez łzy. - Zrobiło mi się smutno, wiesz?

- Rzecz w tym, że ... - Na jego twarzy pojawił się uśmiech, jakiego nigdy przedtem nie widziała. - Chyba nikt jeszcze nade mną nie płakał. I wiesz co? - Przeturlał się nad Nicky, przyciskając ją do materaca. - Nawet mi się to podoba.

I pocałował ją mocno, gorąco, aż dreszcz przeszedł jej całe ciało.

Objęła go z całej siły i odwzajemniła pocałunek. Cien-ka koszula nocna podsunęła się do góry, tak że Nicky po-czuła się prawie naga. Jego ciepło przenikało ją na wskroś . Wsunął nogę pomiędzy jej uda, a następnie przeniósł dłoń na jej pierś. Nicky zadrżała z rozkoszy. Pieścił ją przez delikatną tkaninę, wodząc kciukiem po brodawce, a Nicky wygięła plecy w łuk i zacisnęła palce na jego bar-kach, czując, że cała roztapia się w środku.

Joe pochylał się nad nią, widziała osrebrzony poświatą zarys twarzy i sylwetki oraz błysk w oczach i zmysłową linię ust. Jego dłoń odcinała się ciemniejszą plamą na tle białej koszuli. Nicky poczuła, że drży.

- Pamiętasz, jak powiedziałem, że związki mnie nie in-teresują?

Nicky była bliska omdlenia, a jego głos brzmiał zadzi-wiająco normalnie. Przypomniała sobie, że ma do czynie-nia z kimś, kto umie panować nad emocjami.

- Jak dziś - odpowiedziała, siląc się na lekki ton, choć aż płonęła z pożądania.

- Myliłem się - odparł lekko zachrypniętym głosem i musnął ustami jej szyję, co przyprawiło ją o kolejny dreszcz. - Interesuje mnie związek. Z tobą.

- Na pewno jesteś na to gotowy? - Nadmiar bodźców sprawił, że spokojny ton kosztował ją sporo wysiłku, ale dała radę. A co, niech sobie nie myśli, że tylko z niego taki twardziel. - Przecież "to, że poszliśmy do łóżka, jeszcze nie oznacza, że coś nas łączy".

- Wiedziałem, że jeszcze się dąsasz. To przez te rude włosy. - Joe uniósł głowę i popatrzył na Nicky z uśmie-chem. Gdyby nie wymowny błysk w oku, byłaby skłonna uwierzyć, że naprawdę jest zimny jak kamień. - Poza tym teraz już będą dwa razy.

Opuścił głowę i musnął ustami najpierw jedną, a po-tem drugą jej pierś. Wilgotne wargi parzyły ją przez je-dwab koszuli i Nicky wstrzymała oddech, rytmicznie po-ruszając biodrami.

- A co by było, gdybym to ja nie była zainteresowana? Trudno było jej mówić, w dodatku z sensem, gdy krew pulsowała w żyłach, a całe ciało raz po raz prze-szywał prąd. Przesunęła dłońmi po jego plecach, czując napięte mięśnie, po czym wsunęła palce pod gumkę spodenek.

Przerwał pieszczoty, by na nią spojrzeć.

- Złamałabyś mi serce.

Oczy zdradziły go i tym razem.

- Joe - odpowiedziała tyRó i najwyraźniej odczytał to na swoją korzyść, gdyż znów ją pocałował, najpierw deli-katnie, a potem mocniej. Nicky namiętnie oddała mu po-całunek, czując jak płonie pod dotykiem rąk, które ścia-gnęły z niej koszulę, a potem zaczęły błędzić po całym ciele, przyprawiając ją o kolejne tortury. A że ciepłowość nie była nigdy jej najmocniejszą stroną, wreszcie zsunęła mu bokserki i zrobiła to, co on robił jej.

- Jezu - westchnął i wymówił jej imię: - Nicky.

Wszedł w nią mocno, aż uczepiła się go kurczowo i krzyknęła, raz, a potem drugi. A gdy nadeszło spełnienie, wbiła paznokcie w jego ramiona i ciasno oplótła go nogami w pasie, krzycząc jeszcze głośniej.

W odpowiedzi zastygł nad jej rozedrganym ciałem i jego też przeszył dreszcz.

Potem przytuliła się mocno do niego, wsłuchana w miarowy oddech. Oparła głowę na ramieniu Joego, tak by widzieć jego twarz. Dostrzegła mocno zarysowany podbródek, rzęsy i wydatne kości policzkowe, a na skroni poszarpane blizny po ranach.

A gdy rzęsy powędrowały w górę, odstaniając błyszczące oczy, Nicky dokonała kolejnego ze swych epokowych odkryć.

Kocham cię, Joe Franconi, pomyślała na poły w olśnieniu, na poły ze zgrozą. Ale nie mam najmniejszego zamiaru ci o tym powiedzieć.

22

Koło piątej nad ranem Nicky była tak wykończona, że o dziwo zapadła w kamienny sen, co po serii dwudziesto-minutowych drzemek w przerwach między oszalałym seksem przyniosło upragnione wytchnienie. Do tego czasu "drugi raz" Joego stał się historią, a jeśli brać poważnie tę miarę zaangażowania, ich związek osiągnął etap zaawansowany.

Nie wyznała mu swoich uczuć. Zamierzała zachować je w tajemnicy, dopóki nie zyska pewności, że taka deklaracja nie wzbudzi paniki Joego. I tak zrobił wielkie postępy.

Nie żeby ta sprawa nie dawała jej spokoju. Nicky czuła przez skórę, że Joe boi się bliskości. Postanowiła dać mu trochę czasu, a zresztą sama też go potrzebowała, by móc stwierdzić z całą pewnością, że nie ma do czynienia z bezsensownym zauroczeniem będącym wynikiem stresu.

Ale intuicja jej podpowiadała, że to dużo więcej.

Nie była to jednak krzepiąca myśl, zwłaszcza że Nicky lada chwila przedstawi ostatni odcinek "Na tropie tajemnic" i wkrótce (choć nie od razu, gdyż chciała odczekać przynajmniej, aż Livvy wyjdzie ze szpitala) opuści wyspę. Bez względu na los programu tudzież ewentualną zmianę pracy jej życie toczyło się gdzie indziej. Nie mogła tu zostać.

Oczywiście będzie często przyjeżdżać, gdyż nie spoźnie, dopóki łajdak, który napadł na Livvy, nie dostanie za swoje. Będzie też przyjeżdżać do Joego.

Ciekawe, jak on się zapatruje na związek na odległość.

Wyglądało na to, że wkrótce Nicky się przekona.

Kiedy obudziła się o dziewiątej, jego już nie było. Pořmna obecności Briana czujnie rozejrzała się po sypialni, ale na szczęście nie dostrzegła żadnych duchów. A że nie miała czasu do stracenia, bez chwili wahania zerwała się z łóżka.

Na widok swojego odbicia w lustrze o mało nie krzyknęła. Różana cera, dobre sobie. Miała worki pod oczami z braku snu, poobcierane (o zgrozo!) policzki, a na szyi? Matko święta, przecież tą malinką! Jak w takim stanie pokazać się w telewizji?

Mario, Tina i Cassandra będą mieli pełne ręce roboty, pomyślała, oklepując dolne powieki opuszkami palców. Może w ciągu dnia nastąpi jakaś poprawa, ale na razie nie wyglądało to obiecująco.

Wskoczyła pod zimny prysznic w nadziei, że jej pomoże. Posmarowała policzki cienką warstwą kremu i włożyła brzoskwiniowy podkoszulek pod szyję, by ożywić nieco cerę i ukryć malinkę. Bez pomocy profesjonalistów chwilowo nic więcej nie mogła zrobić.

Łyknie kawę i w drogę. Najpierw szpital i Livvy, a potem chciała jeszcze trochę poszperać w sprawie ojca Tary Mitchell...

Kiedy przeszła przez pokój i sprawdziła przez okno, czy na zewnątrz stoi samochód Joego, uderzyło ją, że wcale nie musiała tego robić. Czuła, że go nie ma, właściwie od momentu gdy otworzyła oczy, jakby skutek jego wyjścia w domu, dotąd pełnym energii, nieoczekiwanie zapanowała dotkliwa pustka. Proszę, jaka jestem wyczułona, pomyślała z lekkim niepokojem, kierując się w stronę kuchni, gdzie zastała Dave'a, który z ołwkiem w ręku ślęczał nad stertą wydruków komputerowych. Obok papierów stała filiżanka kawy. Zgodnie z przewidywaniami Cleo ilagładała przez tylne drzwi, za którymi wstał szary, pochmurny dzień.

No to pięknie.

- Cześć - rzucił Dave na jej wesole pozdrowienie i dołał sobie kawy. - Joe musiał wyjść. Powiedział, że zadzwoni.

Nicky wyglądała źle, ale Numer Dwa przedstawiał sobą żaloszny widok. Miał przekrwione oczy, zarumienione zwykle policzki pobałdy nagle, a twarz sprawiała wrazie dziwnie obwisłej.

Nicky poczuła ukłucie niepokoju.

- Coś się stało? - spytała, nieruchomiejąc z filiżanką w połowie drogi do psst. W pierwszym odruchu pomyślała, że opłakany wygląd jej anioła stróża ma coś wspólnego z Łazarzem.

Dave skrzywił się tylko.

- Amy się wyprowadziła. Zabrała dzieci i wróciła do byłego męża.

- O - powiedziała taktownie. Spędzili, razem tyle czasu, że na pamięć znała historię owego burzliwego związku. Usiadła przy stole i popatrzyła na Dave'a ze współczuciem. - Bardzo mi przykro. Dobrze się czujesz?

- Jasne. Joe zawsze powtarzał, że nie byliśmy sobie pisani.

- Tak mówił?

Dave kiwnął głową.

- Przejrzała ją od samego początku, zresztą Cleo też. Oboje nigdy jej nie lubili. Szkoda, że wcześniej go nie słuchałem.

Nicky sięgnęła przez stół i poklepała biedaka po ręce. - Jeszcze znajdziesz swoją drugą połówkę, Dave, zobaczysz. Jestem tego pewna.

- Może i tak. - Zmarszczył nos i wypił tyk kawy. - Przynajmniej mogę zabrać Cleo do domu, Joe pewnie nie może się już doczekać. Później po nią przyjadę - Do pił kawę i schował wydruki do teczki. - Gotowa?

Nicky skinęła głową i przełknąwszy ostatni tyk, wstała z krzesła.

- Tu się zrobił istny cyrk - warknął Vince, spoglądając przez okno sali konferencyjnej.

Kilkunastu mężczyzn, w mundurach z okresu wojny secesyjnej przemaszerowało przed budynkiem sądu. Byli filmowani przez jadącą na wózku kamerę. Do białych namiotów i niebieskich plażowych parasoli dziennikarzy dołączył rząd straganów wszelkiej maści, na których handlowano wszystkim, począwszy od lemoniady, a skończywszy na koszulkach z napisem "Przeżyłam atak Łazarza".

- Co oni, u licha, wyprawiają?

- To pewnie jakiś festyn historyczny.

Joe obojętnie wyjrzał przez okno, po czym odwrócił się z powrotem do tablicy, gdzie w prawym górnym rogu wisiały zdjęcia Karen Wise, Marshy Browning oraz Livvy Hollis (która też była uważana za ofiarę, chociaż przeżyła), z lewej strony umieszczono fotografie ofiar sprzed piętnastu lat. Pod zdjęciami wypisano to, co łączyło zamordowane kobiety. Wspólni znajomi, miejsca, do których uczęszczały, zainteresowania i tym podobne. Podobieństwa były zaskakujące, tylko Karen Wise odstawała od reszty ofiar. Należało jednak pamiętać, że pozostałe mieszkaly na małej wyspie Pawleys i siłą rzeczy reprezentowały podobny styl życia - nawet pomimo upływu piętnastu lat. Karen łączył z nimi wyłącznie krótki pobyt na wyspie.

Trudno to nazwać punktem zaczepienia.

- Rozwiążesz wreszcie tę sprawę, czy nie? - Vince popatrzył na Joego ze złością. - Pewnie nie, co? Mam ci coś powiedzieć? To sprawka tego cholernego programu twojej dziewczyny, od początku do końca.

Jego dziewczyny. Nicky stanęła mu przed oczami i poczuł ciepło w sercu. Vince już kiedyś tak ją nazwał; Joe pamiętał, jak go to wówczas zdenerwowało. Teraz określenie pasowało jak ulał.

Nie chciał do tego dopuścić, ale jakimś cudem Nicky przebiła grubą skorupę otaczającą jego serce. Tak się nie szczęśliwie składało, że morderca wyraźnie się na nią uwziął, co nie dawało Joemu spokoju i skłaniało go do wzmoczonych wysiłków, by schwytać Łazarza. Czuł instynktownie, że tamten nie spocznie, dopóki nie dopnie swego.

- Pracuję nad tym - rzucił pojednawczo, a następnie wrócił do studiowania tablicy.

Kiedy Nicky weszła do pokoju, przy łóżku siostry zobaczyła Bena Hollisa. Leonora też właśnie przyjechała, a wujek Ham, który czuwał nad siostrzenicą przez noc, akurat zbierał się do wyjścia. Wuj John czekał na niego przy drzwiach, spoglądając wyniośle na męża Livvy. Piełęgniarka zabrała właśnie rozwrzeszczaną Hayley.

Atmosfera była tak napięta, że Nicky, niosąca wazon z ulubionymi stokrotkami Livvy, o mało nie zawróciła od progu.

Z westchnieniem weszła do środka i uśmiechając się przelotnie do siostrzenicy, postawiła wazon na stoliku przy łóżku. Grunt, że Livvy wydobrzała na tyle, by na powrót pogrzyść się w rodzinnym chaosie, pomyślała z rezygnacją.

Ben pozdrowił ją skinieniem głowy. Chłodno odwyżajemniła powitanie: w tym konflikcie twardo trzymała

strońnię siostry.

- Dobrze się zastanów - powiedział do Livvy, po czym, ku zdumieniu Nicky i niemyemu oburzeniu pozostałych, schylił się i musnął wargami jej policzek.

Następnie wyszedł, odprowadzany jadowitymi spojrzzeniami pozostałych.

- Co to miało znaczyć? - Nicky wytrzeszczyła oczy na siostrę.

- Chce wrócić. - Livvy nie okazywała zbytniego entuzjazmu.

- Panienska go rzuciła - wtrącił ze złośliwą uciechą wujek Ham.

- I pewnie poszedł po rozum do głowy, ile może stracić, decydując się na rozwód - uzupełnił pragmatycznie wujek John.

- Moim zdaniem wreszcie do niego dotarło, co zaprzępaścił - powiedziała do Livvy Leonora. - Czasami mężczyzna potrzebuje wstrząsu, aby zrozumieć podstawowe sprawy.

- I co zrobisz? - spytała Nicky siostrę. W idealnym do niedawna życiu Livvy dokonał się zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, decyzja nie była łatwa.

Livvy popatrzyła na nią niepewnie.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Myślę. - Jej czujne spojrzenie powędrowało na szyję Nicky. - Czy to malinka?

- W zależności od punktu widzenia, liczba podejrzanych oscyluje od zera do nieskończoności - oznajmił Joe.

Zwracał się do grupy funkcjonariuszy ochrzczonej przez Vince' a na użytek mediów mianem brygady anty-kryzysowej, działającej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w celu znalezienia mordercy. Prawda wyglądała tak, że na brygadę antykryzysową składał się cały wydział, który rzeczywiście harował praktycznie na okrągło, co jednak ani o krok nie przybliżyło policji do rozwiązania zagadki. Musieli się przekopać przez górę danych, ale Joe nie przestawał wierzyć, że ktoś w końcu wpadnie na trop, który doprowadzi do przełomu.

O ile prędzej się nie zestarzeją.

- Oto nasz punkt wyjścia. - Wskazał listę piętnastu niebezpiecznych przestępców, którzy mieszkali w promieniu

trzystu kilometrów, mieli na koncie poważne wykroczenia i ostatnich dwanaście do piętnastu lat spędzili w więzieniu.

Siedział przy sfatygowanym, beżowym stole konferencyjnym i patrzył na Billa Milтона, George' a Locke' a, Ran-diego Browna i Laurę Cramer, czyli niedzielne wydanie brygady antykryzysowej.

- Do jutra chcę mieć ich zdjęcia i rysopisy.

- Przecież już ich sprawdziłem - zaproponował Milton. - Mają alibi na co najmniej jedno z morderstw.

- Tak, a ja sprawdziłem tę grupę. - Brown spoglądał na listę osób, które telefonowały do Karen Wise w ciągu ostatnich trzydziestu minut jej życia. Informacja o trzaskach nie przyniosła żadnych rezultatów, ale Joe nie odstąpił jeszcze od tego scenariusza. - Wszyscy są kryci. Większość dzwoniła z Chicago, a jeden z Kansas City. Wszyscy znajdowali się setki kilometrów od wyspy.

Tym sposobem jego hipoteza, że Karen Wise została wywabiona z domu pod pretekstem fałszywych zakłóceń, stała pod wielkim znakiem zapytania.

- Ale i tak przygotujcie mi te dane - odparł Joe. - Na jutro.

Jego dawny kolega z wydziału antynarkotykowego miał też przysłać jutro poprawione zdjęcia z kamery bankowej. Będzie można je porównać z rysopisami.

- Chyba nie muszę mówić, że ci też zostali dokładnie sprawdzeni? - Locke podniósł trzecią listę, z nazwiskami osób przebywających w Old Taylor Place w chwili śmierci Karen Wise. - Na wszelki wypadek sprawdziłem też co robili, gdy napadnięto na Olivię Hollis i zamordowano Marshę Browning. Wszyscy mają żelazne alibi.

- Taa - odpowiedział Joe. - Wiem. Pamiętajcie o rysopisach.

Kiedy Nicky przyjechała do Twybee Cottage na seans Leonory, ponury ranek ustąpił miejsca prawdziwej burzy.

Zygzaki błyskawic rozjaśniały niebo, pioruny uderzały z ogłuszającym hukiem, a strugi ulewnego deszczu złobiły w podjeździe prawdziwe potoki. Hałas tłumiał nawet wszechobecny szum oceanu. Nicky wysiadła z samochodu i pobiegła pod parasolką do drzwi, nie czekając na Andiego Cohena, który właśnie parkował samochód. Gordon stał na ganku i celował w niebo kamerą.

- No po prostu bomba - powiedział, gdy otrząsnęła parasolkę z wody i ruszyła w stronę kuchni. Twarz mu

promieniała. - Ale ulewa. To będzie ujęcie jak z klasycznego horroru.

Ucieszona jego dobrym humorem weszła do środka, gdzie natychmiast znalazła się MI objęciach najpierw Tiny, a potem Cassandry i Maria, którzy czekali w kuchni przy stole zagraconym przyborami do makijażu.

- Ależ ty jesteś dzielna - oznajmiła Tina, kiedy powitańnie dobiegło końca. - Wyglądasz cudownie.

- Nieprawda. - Cassandra bacznie taksowała ją spoj-rzeniem. - Masz worki pod oczami. Będę musiała nieźle się namęczyć, żeby to zatuszować. Przepraszam, a to czer-wone na szyi to niby co?

- Malinka - zawyrokowała Tina, patrząc z bliska. Łyp-nęła znacząco na Nicky. - O matko, kim jest ten szczęściarz?

Nicky poczuła, że oblewa się pąsem. Zmora bladolicych ponownie dała znać o sobie.

- Malinka? - powtórzył z namysłem Mario. - A co was tak naszło na owoce?

- No wiesz, miłosne ugryzienie - oświeciła go Cassan-dra. Stuliła wargi w dzióbek. - Cmok, cmok!

- Czy moglibyśmy wreszcie zacząć? - Nicky podniosła ze stołu pędzelek do ust i rzuciła nim w Tinę. - Bo sama się do tego wezmę.

Joe jechał przez most nieco wolniej niż zwykle. Łało tak strasznie, że on i inni kierowcy włączyli światła. Wycieraczki rytmicznie czyściły szybę; w połączeniu ze sto-kotem ulewy ich miarowy szmer działał niemal usypiająco, zwłaszcza że ubiegłej nocy Joe spał wszystkiego może ze dwie godziny. Nie żeby się skarżył. Przeciwnie, noc upły-nęła mu bardzo przyjemnie. Właściwie trudno wyobrazić sobie lepszy sposób spędzania czasu. Seks bił na głowę wszystkie terapie, jakich próbował. Dzięki niemu czuł się dziś jak nowo narodzony, jak Joe Franconi sprzed lat. No, może jego miłsza, łagodniejsza wersja, ale na pewno był to ten sam facet. Świadomość, że jednak jest normalny, też na-turalnie dużo mu dała (to, że Nicky zobaczyła Briana, zdu-rniało go na równi z informacją, że ma swojego osobistego ducha), lecz przede wszystkim była to zasługa Nicky.

Zupełnie jakby go wyleczyła. I poskładała wszystko do kupy.

Na przykład jego serce.

To była dobra wiadomość. Niestety, naszło go straszli-we podejrzenie, że tym samym objęła je w posiadanie, ale odłożył owo zmartwienie na później. Na razie czerpał radość z tego, że stała się częścią jego życia. Miał szczerą nadzieję, że tak zostanie.

Błyskawica rozdarła niebo, oświetlając skłębione chmu-ry i widoczne w dole atramentowe wody Salt Marsh Creek. Joe jechał do szpitala w Georgetown County, aby zadać Livvy parę dodatkowych pytań. Dowiedział się, że ona i jej mąż prawdopodobnie zatrudnili jako ogrodnika jednego z niebezpiecznych przestępców, którzy niedawno wyszli z więzienia.

Jeśli podążał właściwym tropem, mógł mieć sprawcę natychmiast. Vince by go ozłocił.

Ale coś tutaj nie pasowało.

Gdy skręcił z mostu, wjeżdżając na prowadzącą do szpitala drogę numer siedemnaście, uświadomił sobie, że coś od rana nie daje mu spokoju. Kłuje goj uwiera, ani na chwilę nie pozwalając o sobie zapomnieć. Nagle zrozumiał, w czym rzecz. Były to słowa Vince' a. "To sprawka te-go cholernego programu twojej dziewczyny, od początku do końca".

Vince miał całkowitą rację.

Tara Mitchell, Lauren Schultz i Becky Iverson zginęły przed piętnastoma laty. Od tamtej pory nic złego się nie wydarzyło, sprawa ucichła. Większość ludzi o niej zapo-mniała. Do czasu, aż przyjechała Nicky ze swoim programem, a wtedy wszystko ożyło na nowo.

Kolejne morderstwa i cała historia Łazarza wzięły swój początek z programu telewizyjnego.

Rozmyślał nad tym przez chwilę, po czym sięgnął po telefon.

Frontowa bawialnia (czyli w rodzinnym żargonie po prostu salon) w Twybee Cottage była zarezerwowana dla gości tudzież prywatnych klientów Leonory. Domownicy rzadko z niej korzystali. Ściany pociągnięto złotą farbą, podłogę przykrywał wiekowy (czyli stary i wyświecony raczej niż zabytkowy) dywan orientalny, a na umeblowa-nię składały się wiktoriańskie sofy i krzesła, niektóre jeszcze nawet z oryginalną wyściółką z końskiego włosia. Znajdował się tam kominek z przepiękną mahoniową półką i były dwa okna, z których mniejsze wychodziło na miejsce, gdzie napadnięto Livvy, a z większego rozciągał się widok na ocean. Zastłony, uszyte z tego samego broka-tu co zastłony w gabinecie, zostały chwilowo zaciągnięte, aby uzyskać właściwe oświetlenie. Przy takiej pogodzie Gordon i Bob musieli solidnie zakasać rękawy, by światło było odpowiednie.

Leonora, ubrana w swój "służbowy" fioletowy kaftan i mocno umalowana, siedziała na czerwonej aksamitnej sofie, ściskając w ręku sweter Karen. Miała zaciśnięte usta i groźne oczy, które przy każdej

okazji miały błyskawice na Bogu ducha winną Nicky.

- Przecież ci mówię, że nic - syknęła, gdy ogłoszono przerwę. Pięciominutowe nagranie nie przyniosło kompletnie żadnych rezultatów.

Nicky stłumiła westchnienie. Primadonna pokazywała swoje humory, blokada trwała w najlepsze, a czas naglił. Tak pokrótce wyglądało usłane różami życie Nicole Sullivan.

- Nie spiesz się - poprosiła. - My będziemy kręcić, a ty po prostu rób swoje.

Leonora łypnęła na nią z furją.

- A niby jak, kiedy jestem zablokowana? Nicky świadomie podjęła ryzyko.

- Ten człowiek o mało nie zabił Livvy, mamó. Jeśli nam nie pomożesz, być może znów jej zagrozi. Albo zapoluje na mnie.

Leonora znowu utknęła w niej wściekły wzrok, po czym zamknęła oczy i ponownie dotknęła swetra.

Nicky dała znak Gordonowi i Bobowi, którzy kręcili pod różnym kątem, gdyż rozmiary pokoju uniemożliwiały jakiegokolwiek manewry. Włączyli kamery.

Leonora siedziała w milczeniu na sofie, obracając w palcach zegarek Marshy Browning. Dotknęła pozostałych przedmiotów, po czym jej dłonie znów powędrowały do swetra Karen.

- Czuję ... czuję ...

Nicky odruchowo wstrzymała oddech.

Grupa tłocząca się w korytarzu ucichła jak na komendę. Isabelle Copeland, młoda, jasnowłosa asystentka, którą przysłano na miejsce Karen, od początku siedziała na telefonie, relacjonując przebieg programu w szefostwie w Chicago. Obecnie zastygła bez ruchu i patrzyła na Leonorę jak urzęczona (Nicky miała nadzieję, że jej przyciśnięta do piersi komórka jest ustawiona na wibracje). Mario, Tina i Cassandra, którym nieobce były gwiazdorskie humory matki Nicky, siedzieli cichutko jak myszy pod miotłą. Marisa stała tuż poza zasięgiem kamer i nagrywała. Wuj Ham (wuj John został w szpitalu z Livvy) stał z założonymi na piersi rękami i oparty o ścianę śledził przebieg wydarzeń. Harry z rezygnacją snuł się po korytarzu w towarzystwie Andiego Cohena, któremu znudziło się czekać na zewnątrz.

No dalej, mamó, ponagliła ją w duchu Nicky. Matka przesuwiała blezer między palcami.

- Czuję ... coś w kieszeni - dodała grobowym tonem Leonora i otworzyła oczy.

Nicky o mało nie jęknęła. Zza jej pleców dobiegło zbiorowe westchnienie.

I co jeszcze?!

- Zaraz, utknęło pod podszewką. - Leonora wsunęła rękę do kieszeni swetra i poszperała głębiej. Po chwili wyjęła małą taśmę magnetofonową i spojrzała na nią niepewnie. - Czuję ją ... czuję ją ... a potem poczułam to. - Zaciśnęła taśmę w dłoni. - Wybiło mnie z rytmu.

Nicky wiedziała, że gdyby nie kamery i osoby postronne, matka ulżyłaby sobie siarczystym przekleństwem.

- Daj mi ją. - Nicky pospiesznie wyrwała jej z ręki powód całego zajścia.

Leonora ze złością spojrzała na taśmę, a kiedy Nicky cofnęła się o krok, chowając ją do kieszeni własnego swetra, wzięła głęboki oddech i ponownie przytknęła oczy, wodząc rękami po blezerze Karen

...

- Była zdumiona. Nie spodziewała się ataku. Wychylił z mroku i zaatakował z zaskoczenia. - Leonora uniosła rękę do lewej skroni. - Czuję ból w tym miejscu. Uderzył ją w głowę. A potem ... potem ...

Nagle zamarła. Otworzyła szeroko oczy i zawiesiła wzrok gdzieś na wprost.

W pokoju nieoczekiwanie zapanował chłód.

Znając te symptomy, Nicky również zastygła, upewniając się kątem oka, czy są włączone kamery. Były.

- Już dobrze, chcemy ci pomóc. - Leonora zwracała się do osoby, której nie widział nikt prócz niej. - To Karen

- rzuciła cicho pod adresem córki. W jej głosie dało się słyszeć tłumione podniecenie.

Nicky poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła: ona też spoglądała w tamtym kierunku, ale jej wzrok natrafiał na pustkę. Świadomość, że matka widzi Karen, sprawiła, że Nicky z trudem łapała oddech.

Jeszcze trzy tygodnie temu Karen byłaby tu razem z nimi. Żywa.

- Jest tutaj. Widzę ją. - Leonora kiwnęła współczująco głową i dodała: - Tak, wiem. Masz prawo się złościć. - Uciśnęła, lekko przekrzywiając głowę, jakby nasłuchiwała. - Czy możesz nam powiedzieć, kto cię skrzywdził? - Bardziej przekrzywiła głowę. - Posłuchajcie, mówi. Posłuchajcie. Jest zły? Mówi, że jest zły. Kto jest zły, Karen? Kto? Powtarza tylko, "Jest zły, jest zły". Zaczekaj. Zaczekaj, Karen. O nie, odchodzi. Wróć do nas, Karen ... Wróć, proszę cię ... Odeszła.

Leonora zgarbiła się na sofie. Nicky odetchnęła głęboko. Kolejne zbiorowe westchnienie za jej plecami

świadczyło, że pozostali zrobili to samo.

Stała przed kamerami.

- Czy możesz nam opowiedzieć, co się stało, Leonoro? Matka zwróciła na nią przymglone spojrzenie, jak za-

wsze gdy wychodziła z transu. Jej oczy stopniowo odzyskiwały normalny wyraz.

- Była z nami Karen - odrzekła. - Złości się, że odebrała jej życie. Oświadczyła, że chce je odzyskać, że miała dopiero dwadzieścia trzy lata i nie była gotowa na śmierć. Powiedziała, że mamy słuchać i że człowiek, który ją zabił, jest zły. Powtarzała tylko: "zły, zły, zły". A potem umilkła. - Leonora umilkła, po czym dodała tonem wyjaśnienia: - . Umarła niedawno, potrzebuje trochę czasu, aby nauczyć się skupiać energię. I tak nieźle jej idzie.

Nikt nie miał najmniej szczytów wątpliwości, że jest po wszystkim: energia pulsująca dotąd w pokoju ulotniła się bezpowrotnie. Po kilku dalszych bezowocnych próbach dali za wygraną i poszli do kuchni wzmocnić się kawą. Wszyscy, z wyjątkiem Isabelle, która wyszła na ganek odebrać telefon.

_ Mam nadzieję, że nie liczysz na wieczorny cud - mruknęła do Nicky Leonora, tak aby pozostali nie słyszeli.

. _ Będzie dobrze. Mam dość materiału, by zapełnić całą godzinę - uspokoiła ją Nicky. - Seans z Karen był fantastyczny. Naprawdę ją widziałeś! Pokonujesz blokadę, mamuś.

_ Widziałam. - Słowa córki wyraźnie podniosły Leonorę na duchu. - Może naprawdę już będzie lepiej. Mam taką nadzieję.

_ Przepraszam, Nicky, ale pan Levin chciałby zamienić z tobą dwa zdania. - Isabelle wsunęła głowę przez drzwi i gwałtownie kiwnęła ręką na Nicky, stojącą przy szafce obok Leonory, która właśnie dolewała sobie kawy.

Pozostali siedzieli przy stole. Nicky wyszła z kuchni.

Jeszcze trzy tygodnie temu telefon od wielkiego szefa przyprawiłby ją o stan bliski zawału, ale dziś nie wywarł na niej większego wrażenia. Zbyt wiele się wydarzyło, zbyt wiele spraw uzmysłowiło jej dobitnie, że są w życiu rzeczy ważniejsze aniżeli jakiś tam program.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że przyszłym tygodniu w "Entertainment Weekly" ukaże się artykuł o twoim programie, który został tam uznany za największą niespodziankę tego sezonu. Autor twierdzi, że wydania dotyczące Łazarza to telewizyjna lektura obowiązkowa, a ty ... - Sid zawiesił głos, pewnie dla większego efektu - ... jesteś jedną z najciekawszych medialnych osobowości roku.

Dobra, powiedzmy, że przesadziła z tym umniejszaniem znaczenia programu. Cóż, w ogólnym rachunku życiowym może istotnie wypadać błado, ale dla niej, osobiście, plasował się w pierwszej dziesiątce.

Poczuła, że zalewa ją fala zadowolenia. Może nie zaczęła skakać z radości, ale w duchu odtańczyła dziki taniec zwycięstwa. - To dobra wiadomość - odrzekła powściągliwie, jakby dostawała na pęczki takich telefonów. - Dziękuję, że do mnie zadzwoniłeś.

- Wprost nie mogę się doczekać wieczornego podsumowania. Zostały cztery godziny. Do tego czasu zostaniesz u matki?

- Nie, mieszkam gdzie indziej. Muszę jeszcze skoczyć po parę drobiazgów, które przydadzą mi się wieczorem.

Sid roześmiał się domyślnie.

- Proszę, a więc to jest tajemnica twojego sukcesu: bezgraniczne oddanie dla sprawy. Dokonałem właściwego wyboru, wysyłając cię na wyspę. Musisz wiedzieć, że wszyscy są z ciebie strasznie dumni. Wyjeżdżając kwadrans później z Twybee Cottage, Nicky wciąż unosiła się parę centymetrów nad ziemią. Miała cichą nadzieję, iż nie rzuca się to zbyt w oczy. Nawet deszcz nie zdołał popsuć jej humoru. Strugi wody lały się z nieba, utrudniając widoczność, ale na szczęście znała drogę na pamięć. W lusterku wstecznym widziała refleksy samochodu jadącego tuż za nią Cohena.

Zaparkowała przed domem Joego, otworzyła parasolkę i puściła się biegiem do drzwi. W jednej chwili prze-mokła od ramion w dół, a gdy wpadła do środka, pod jej butami utworzyły się smętne, błotniste kałuże.

Cóż, nie była to wymarzona pogoda na podsumowanie programu. W domu panował mrok, jakby na zewnątrz

zapadła noc.

Jedną z najciekawszych osobowości medialnych roku (i nieważne, że pracowała jako dziennikarka od ukończenia college'u). No, no. Kto by pomyślał?

- Jeszcze trochę, a będziemy mieli powódź - mruknął Cohen, wchodząc za nią do domu.

Miał na sobie policyjne ponczo, dzięki któremu nie zdążył przemoknąć. Ale podłoga Joego

przedstawiała opłakany widok. Nicky pobiegła po ręcznik i wytarła kałuże, a funkcjonariusz szybko obszedł dom.

- Więc jaki mamy plan? - spytał, padając na sofę i sięgając po pilota.

- O ósmej muszę być w Gld Taylor Place. - Członkowie ekipy ustalili, że spotkają się godzinę przed rozpoczęciem programu, żeby później nie robić wszystkiego na ostatnią chwilę. - Teraz wezmę prysznic i trochę popracuję. A ty ... - popatrzyła na niego z uśmiechem - ... pooglądaj sobie telewizję.

- To rozumiem - odpowiedział i rozsiadł się wygodnie.

Nicky wykąpała się, po czym włożyła dżinsy i podkoszulek, i poszła do kuchni. Przede wszystkim musi coś przekąsić.

Idąc, dokonywała w myślach przeglądu lodówki, i dopiero gdy znalazła się w połowie ciemnego, jeśli nie liczyć telewizora, salonu, coś ją tknęło.

Cohen leżał pod dziwnym kątem w rogu kanapy, która z każdą chwilą robiła się coraz ciemniejsza. Nicky widziała tylko jego lewą rękę, która trzepotała na poduszce jak zraniony ptak. Miał zamknięte oczy i otwarte usta.

W jego szyi, na podobieństwo makabrycznego uśmiechu, ziała wielka, czarna dziura, z której wypływała połyskliwa substancja.

W powietrzu zawisła gęsta, metaliczna woń. Dopiero wtedy Nicky zrozumiała.

Policjant miał poderżnięte gardło.

23

Nicky poczuła mocne uderzenie w głowę. Krzyknęła i gwiazdy stanęły jej przed oczami; zatoczyła się na kanapę, straciła równowagę i upadła. Rozejrzała się odruchowo.

Co? Kto?

Dzwoniło jej w uszach, a serce biło tak, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Przed oczami wirowały wielobarwne plamy. I choć dezorientowany mózg jeszcze nie pojął się w sytuacji, wiedziała, że jest źle, jej życie jest zagrożone, a czatujący w półmroku zbrodniarz właśnie zabił Cohena. Z jej gardła wyrwał się krzyk, a potem następny i jeszcze jeden. Zerwała się z podłogi; próbowała biec, uciekać, choć ugiwały się pod nią kolana. Zrobiła chwiejny krok naprzód, świat zatańczył jej w oczach, zresztą i tak było już za późno: napastnik znajdował się tuż obok. Kątem oka dostrzegła, jak coś przecina powiekrze i leci w stronę jej głowy; odruchowo uniosła rękę i zrobiła unik.

Przedmiot z głuchym odgłosem odbił się od jej głowy i poczuła metaliczny smak w ustach: krew. Z jękiem upadła na kolana; na jej szyi zacisnęła się czyjaś ręka.

Nie mogła złapać tchu.

- Proszę, nie ... - Ucisk stał się mocniejszy i słowa uwięzły jej w gardle.

Zakrztusiła się, pokój zawirował jej przed oczami. Nicky kurczowo chwyciła palcami dłoń napastnika miazdząc go jej tchawicę.

Długie rękawy, ma długie rękawy ... i rękawiczki. Struchlała, czując lodowate ostrze poniżej ucha. Boże, zmiłuj się nade mną. Podetnie mi gardło ...

- Nie szarp się! - Usłyszała męski głos. Morderca jeszcze mocniej ucisnął jej gardło. Ponownie się zakrztusiła i rżąc wbiła mu palce w ramię. - Powiedziałem, nie szarp się.

Lekko pchnął ostrze ...

Ciepła strużka na szyi była krwią, jej krwią.

Nicky zamarła ze ściśniętym żołądkiem i spazmatycznie nabrała powietrza.

Ja nie chcę umierać ...

- Daj mi taśmę. Gdzie ona jest?

Znajomy głos.

Wciąż dzwoniło jej w uszach, pokój kręcił się jak na karuzeli, a brak powietrza w połączeniu ze strachem całkiem oszołomił Nicky. Nie wiedziała, nie była pewna.

Ucisk na szyi zelżał. Odkaslnęła i zaczerpnęła tchu.

- Chcę taśmę.

- Jaką ... taśmę?

Uderzenie w skroń sprawiło, że znów zobaczyła gwiazdy. Łzy popłynęły jej z oczu, nie mogła myśleć, nie widziała, nie słyszała. Oblała ją fala zimnego potu.

- Taśmę. Chcę mieć taśmę z kieszeni Karen Wise. Gdzie ona jest?

Taśma z kieszeni Karen. Nicky przypomniała sobie słowa powtarzane przez Leonorę. "Posłuchajcie. On jest zły". Karen ukazała się matce tuż po znalezieniu taśmy. Czy chciała im w ten sposób zakomunikować,

że mają ją odsłuchać?

- Gdzie ta cholerna taśma?

Znów ją uderzył, tym razem ręką, w której trzymał nóż; rękojeść trafiła w skroń. Nicky zaszczękała zębami i krzyknęła z bólu.

- W ku ... w kuchni - wyjąkała.

To było kłamstwo, rozpaczliwe kłamstwo, najlepsze, na jakie było stać jej biedny, oszołomiony umysł. Przeszło jej przez myśl, że w kuchni będzie łatwiej walczyć o życie niż w sypialni. Zwłaszcza że były tam tylne drzwi...

- Pokaż.

Nie przestając dusić Nicky, szarpnięciem postawił ją na nogi.

- Gdzie? - wrzasnął jej do ucha.

Serce zatrzepotało jej w piersi. Wskazała kierunek rozdygotaną ręką. Trzęsła się od stóp do głów, aż ją mdliło ze strachu. Kiedy ją popchnął, dostrzegła kątem oka, że dłoń Cohena znieruchomiała.

Był martwy. Zapłakała w duchu, nad nim, nad Karen i Marshą Browning, nad sobą.

Nie chcę umierać ...

Był silny, potężnie zbudowany i co najmniej kilka centymetrów od niej wyższy. Czują bijący od niego wstrętny zapach krwi i potu, jego ciepło, ale nie widziała jego twarzy.

Ten głos ...

Gdzieś zadzwonił telefon, jej telefon. Został w sypialni razem z ubraniem. I taśmą. Napastnik zawahał się i przyśstanął, jakby ten dźwięk wzbudził jego niepokój.

Boże, niech tamten ktoś się zaniepokoi, że nie odebrała, niech zacznie jej szukać. Boże spraw, żeby nie było za późno.

- Przyniosę ci taśmę - wyszlochała. - Tylko nie rób mi krzywdy.

Poskutkowało. Miotając gardłowe przekleństwa, tak jakby zrozumiał, że czas - jej czas - nagli, powlókł ją w stronę kuchni.

- Dawaj.

Plan, plan, myślała gorączkowo. W kuchni panował mrok. Żadnych przyjaznych duchów, żadnej kawy szumiącej w ekspresie. Tylko nie duża, czarna świnka patrząca przez uchylone żaluzje w drzwiach.

Plan. Telefon przestał dzwonić. Czy ktoś będzie jej szukać? Nie miała już czasu ...

Wskazała palcem.

- Tam.

- Przynieś.

Trzymał ją mocno, ostrze wbijało się w skórę pod uchem. Przesuwała się krok po kroku, czując na plecach ciała mordercy. W ustach tak jej zaschło, że nie mogła przełknąć śliny. Serce waliło jak młotem, krew pulsowała w żyłach. Z trudem chwyciła oddech, a strach przyprawił o zawrót głowy i odbierał świadomość.

To, co zamierzała zrobić, najpewniej ściągnie na nią zgubę, ale przecież i tak chciał ją zabić. Jeśli istniał choćby cień szansy, należało go wykorzystać.

- No już - ponaglił.

Spokojnie, powiedziała sobie w duchu. Weź głęboki oddech. Przycisnął ją do szafki całym ciałem, aż poczuła na plecach guziki jego koszuli, żelazne ramię oplatało jej szyję. Sięgnęła ręką do szuflady, gdzie rzekomo ukryła taśmę. Musi działać szybko i bezlitośnie ...

W srebrnej gałce na drzwiczkach górnej szafki zobaczyła odbicie jego twarzy. Kuchnia była pełna cieni, a gałka zniekształciła rysy, ale Nicky nie miała najmniej szych wątpliwości.

- Sid! - jęknęła.

Znieruchomiał, po czym jego oczy też spoczęły na gałce. Wiedziała, bo zetknęli się wzrokiem.

- Witaj, skarbie - rzucił wstrętnym tonem.

_ O mój Boże, dlaczego? -- Pytanie zabrzmiało niemal niedosłyszalnie.

Prychnął śmiechem.

_ To twoja zasługa, złotko. Sama podsunęłaś mi ten pomysł. Ty i twoja stuknięta matka. "Obudźmy duchy seryjnego mordercy" - dodał szyderczym falsetem. - Spadłaś mi jak z nieba, bo musiałem się jakoś pozbyć tej suki Karen Wise. Podałaś mi ją na talerzu. Nieźle to sobie obmyśliłem, co? Obciąłem nawet kosmyk jej włosów. Żeby wszystko trzymało się kupy, musiałem dorobić odpowiednią otoczkę. Jak ci się podobały moje mejle? Fajnie wypadły w telewizji, co? Powinnaś mi podziękować: twoja kariera naprawdę ruszyła z kopyta.

Przecież i tak miał zamiar ją zabić - wymówka wydała jej się nie na miejscu.

- Ale dlaczego Marsha Browning? I Livvy? I ja? - Słyszała w uszach ogłuszające dudnienie własnego serca. Niech mówi, byle jak najdłużej.

- A czemu nie? - spytał cynicznie. - Musiałem zabić jeszcze dwie kobiety; ta dziennikarka sama mi się nawinęła. Zadzwoń do mnie w sprawie pracy; obiecałem, że wpadnę do niej przy najbliższej okazji. - Zarechotał obrzydliwie. - No i wpadłem. Jeszcze jak wpadłem. Co do twojej siostry, ona też była łatwym celem. Uznałem, że osobista tragedia doda twoim relacjom trochę pieprzyku. I miałem rację. Nie planowałem cię zabić. Miałaś u nas świetlaną przyszłość. Ale dwa razy po prostu ci się nie poszczęściło. Najpierw musiałaś się napatoczyć, kiedy załatwiłem tę sukę; myślałem, że mnie zobaczyłaś. Potem okazało się, że nie, lecz mało brakowało, a stałabyś się drugą ofiarą. Wreszcie dziś znalazłaś taśmę. Szukałem jej dosłownie wszędzie. Ta dziwka mnie szantażowała.

- Karen? - Nicky aż się zachłysnęła.

Coś, czy to jej zdumiony głos, czy może świadomość nieubłaganego upływu czasu, kazało mu się opamiętać. Ucisk gwałtownie przybrał na sile i Nicky zrozumiała, że to już koniec gry na zwłokę. Zakrztusiła się i złapała Sida za rękę.

- Dość tej gadki. Dawaj taśmę.

Z wysiłkiem kiwnęła głową.

Ucisk zelżał minimalnie. Nicky szarpnęła się gwałtownie, zaczerpnęła tchu i otworzywszy szarpnięciem szufladę, chwyciła nóż do steków, po czym z całej wbiła go w ramię mordercy.

Wrzasnął i odskoczył. Strach dodał jej skrzydeł i runęła ku drzwiom. Czas jakby stanął w miejscu. Na zewnątrz burza szalała w najlepsze, z nieba leciały potoki deszczu. Błyskawica rozjaśniła niebo. Cleo podrygiwała w miejscu, niemy świadek koszmaru rozgrywającego się wewnątrz kuchni. Nicky widziała ją przez żaluzje, droga ucieczki znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

- Zabiję cię, suko! - zawył Sid, rzucając się w ślad za nią. I kiedy jej palce już, już sięgały do klamki, runął na Nicky całym ciężarem i przewrócił ją na podłogę.

Upadła z krzykiem na bok i przeturlała się na plecy.

Ból był niczym w porównaniu z obezwładniającym strachem przed tym, co miało nastąpić. Dużo wyższy i cięższy od Nicky Sid zwałił się na nią gwałtownie, nadal ściskając w dłoni nóż. Uniosła ręce, bezskutecznie próbując go odepchnąć. Krew lała się z jego ramienia, wykrzywiona w grymasie twarz była wstrętna i ... pełna okrucieństwa.

Z salonu dobiegł szmer, jakby ktoś stanął w drzwiach.

Nicky zaczerpnęła tchu i wrzasnęła wniebogłosy. Wyraz twarzy Sida uległ raptownej zmianie i zrozumiała, że też to usłyszał.

Zrozumiała także, co oznaczał ów szmer: nie ocalenie, ale szybszą śmierć. Sid chciał odzyskać taśmę.

Dopóki jej nie dostał, Nicky była mu potrzebna. Ale teraz nie miał nic do stracenia.

Wiedziała, kim był.

I uświadomiła to sobie z całą jasnością, jakby miał to wypisane na czole: musiała umrzeć.

Kiedy zaczęła się szarpać i kopać, uniosł wysoko rękę z nożem, po czym opuścił ją raptownie. Błyskawica rozdarła niebo, odbijając się na ostrzu. Nicky wrzasnęła i odruchowo zasłaniając się rękami, przekuliła się na bok.

Cleo skoczyła na szybę i oboje drgnęli; zdeorientowany napastnik odwrócił głowę i minimalnie chybił celu. Nicky poczuła piekący ból w miejscu, gdzie ostrze drasnęło jej ramię. Chwyciła Sida za nadgarstek i nie puszczając, morderca przeklinał i miotał się na wszystkie strony, a Cleo ponownie skoczyła na szybę. W salonie rozległ się tupot i gwar podniesionych głosów.

- Policja! Nie ruszać się! - wrzasnął Joe, wbiegając z pistoletem do kuchni.

- Rzuć broń!

Za jego plecami kłębiła się chyba połowa oddziału policji.

Sid, któremu właśnie udało się wyrwać nadgarstek, znieruchomiał z uniesionym nożem.

- Nie ruszaj się! - powtórzył Joe. - Ręce do góry! Twarz mołercy wykrzywiła się w grymasie furii. Sid opuścił nóż, który z brzękiem upadł na podłogę obok głowy Nicky, i podniósł ręce.

Ktoś zabrał nóż. Ktoś inny postawił przestępcę na nogi, założył mu kajdanki i odczytał prawa.

- Nicky? O Boże, Nicky! - Joe ukląkł na podłodze z twarzą pobladłą jak ściana i oczami pociemniałymi ze strachu. Leżała, z trudem łapiąc oddech, a na jej ubraniu widniały liczne ślady krwi, jej i Sida.

- Nic mi nie jest - wykrztusiła ochryplym głosem, roztrzęsiona z emocji. - Nic mi nie jest.

Następnie usiadła i zatonęła w jego ramionach.

Joe uznał, że bardzo nie lubi, kiedy przed oczami staje mu całe życie. Odkrył to przed drzwiami własnego

domu, zza których dolatywał rozpalający krzyk Nicky. Trzęsącymi się rękami przekręcił klucz w zamku i stanął na progu, a na ulicę z piskiem opon zajechała reszta radiowozów. Nicky wrzeszczała jak opętana, toteż gdy wreszcie uporał się z cholernymi drzwiami, był mokry jak szczur i bliski ataku serca. Na czele podwładnych wpadł do salonu, gdzie wykrwawiał się Cohen, świetny policjant i dobry kolega, ale nawet wówczas nie zwolnił kroku, tylko popędził prosto do kuchni, skąd dobiegały krzyki i odgłosy szamotaniny. Widząc Sida Levina, przygniatającego Nicky do podłogi, mało nie oszalał na myśl, że być może przybył ułamek sekundy za późno.

Działo się to nieco ponad godzinę temu. W tym czasie zdołał odzyskać nieco równowagę, a Nicky siedziała w kuchni, składając oficjalne zeznanie. Joe zlecił to Dave'owi, gdyż sam nie czuł się na siłach, by wysłuchać jej opowieści. Świadomość, że cudem uniknęła śmierci, przyprawiała go o gęsią skórę. Gdyby zjawił się choćby parę minut później, byłoby za późno.

Nicky by zginęła, a on tym samym utraciłby sens życia. Jego dom stał się miejscem zbrodni. Wszędzie zaroilo się od funkcjonariuszy, w tym podwładnych Joego oraz ludzi z innych wydziałów, którzy ściągnęli tłumnie, usłyszawszy o zabiciu policjanta. Robili zdjęcia, zbierali dowody, spisywali zeznania. Na wieść o schwyтaniu Łazarza przybyli również dziennikarze koczujący przed budynkiem sądu. Na ulicy zaparkował samochód z łączem satelitarnym i reporterzy gorliwie nagabywali każdego, kto wchodził i wychodził. Sąsiedzi wylegli na trawniki, zaalarmowani wyciem syren i błyskiem stroboskopowych świateł. Na szczęście taśma policyjna trzymała na dystans wszystkie niepowołane osoby. Deszcz zamienił się w mżawkę; gdyby nie to, gapie z pewnością woleliby zostać w domach.

Chociaż kto ich tam wie.

- Jak się czujesz? - Joe spytał Nicky, która siedziała przy stole naprzeciw Dave' a.

- W porządku.

Popatrzyła na niego z uśmiechem i pod wpływem jej ciepłego spojrzenia serce podskoczyło mu w piersi.

Gdy

tak na niego patrzyła, czuł się jak wędrowiec, który po długiej podróży przez pustynię dotarł wreszcie do oazy: pełen niedowierzania, a zarazem nedorzeczenie szczęśliwy. Sanitariusze zabandażowali jej rękę; nóż przeciął wprawdzie tkankę tłuszczową, ale obyło się bez poważniejszych obrażeń. Nicky miała dwa wielkie guzy na głowie i siniaka na policzku. Wizyta w klinice była nieodzowna, jednakże sanitariusz zapewnił, iż żaden uraz nie wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej. Nicky oznajmiła, że nigdzie się nie ruszy bez Joego, a on nie oponował. Nie spuścił jej z oka do końca swoich dni, co to, to nie.

- Właśnie mówiłam Dave'owi, że Cleo to prawdziwy bohater. Uhm, bohaterka. Widząc, co się dzieje, zaczęła hałasować i w kluzowym momencie odwróciła uwagę Sida. Ona ... i wy ... uratowaliście mi życie. No dobra, świnió, Joe zerknął na drzwi, za którymi zgodnie z swoimi przewidywaniami zobaczył Cleo.

Masz u mnie dożywny zapas mielonki.

- Powiedział coś? - spytał Dave.

Joe wiedział, że chodzi mu o Sida, który właśnie został zabrany przez policję stanową. Morderstwo Andiego Cohena wzbudziło na wyspie zbyt wiele emocji, by powierzyć sprawę pieczy lokalnych funkcjonariuszy. Joe wiedział, jak to działa, w związku z czym nie chciał brać odpowiedzialności za życie zabójcy.

- Nam nie. - Joe usiadł, a George Locke podał mu kawę. Zobaczył, że Nicky i Dave marą już przed sobą filiżanki. Podziękował George'owi i wypił łyk. Napój był przyjemnie mocny i gorący. Kofeina to coś, czego było mu trzeba. - Ale złapaliśmy go na gorącym uczynku, a poza tym puścił farbę przed Nicky, czyli mamy jego zeznanie. To podręcznikowy przykład z góry przesądzonej sprawy. - Zerknął na Nicky. - Okno w pokoju gościnnym jest wybite. Musiał stłuc szybę i dostać się tamtędy. Założę się, że kiedy ty i Cohen weszliście do środka, on już tu był. - Na myśl o koledze zasłonił się filiżanką. - Zależało mu na taśmie, którą miał w kieszeni, tak?

Nicky skinęła głową.

- Wobec tego moje pytanie brzmi, skąd wiedział, że tu będziesz?

- Sama mu powiedziałam, przez telefon. Zapytał, czy zostanę u matki, a ja, że nie, bo przyjadę tutaj. My ... myślałam, że dzwoni z Chicago. - Świadomość, że Sid od początku był na wyspie i planował kolejną zbrodnię, przyprawiła ją o ciarki.

- Dokładnie na to liczył - potwierdził Joe. - Widzisz, wydzwaniał do wszystkich z komórki, a ludzie myśleli, że jest w Chicago. Karen Wise też dała się na to nabrać. To on wywabiał ją z domu pod pretekstem trzasków w słuchawce. I czekał na nią pod sosnami. - Joe uśmiechnął się nie bez satysfakcji. - Tak to już jest z komórkami. Sygnał odbija się od najbliższej wieży. I to go zgubiło. Zacząłem podejrzewać, że sprawcą jest ktoś związany z telewizją, a to właśnie Sid dzwonił do Karen ostatni. Poprosiłem kolegę,

żeby to sprawdził i bingo! Sygnał odbił się od tutejszej wieży. Alibi Sida rozwiało się jak dym, a ja zrozumiałem, że kłamał, co uczyniło go podejrzanym numer jeden.

- Wspomniał, że Karen szantażowała go tym nagraniem - powiedziała Nicky.

Joe pokiwał głową.

- Mogła go załatwić z kretelem. Właśnie przesłuchałem taśmę. Paskudna sprawa. Wygląda na to, że groziła mu procesem o molestowanie, jeśli nie zapłaci jej po cichu grubych pieniędzy. Od chwili gdy rozpoczęła w sierpniu pracę w Santee Productions, Sid robił jej nie dwuznaczne propozycje. Kiedy odmówiła, straszył, że ją wyleje. Nagrała jego groźby, a następnie wyłożyła kawę na ławę. Gość musiał ze strachu robić w portki. W najlepszym razie straciłby posadę. To byłby koniec jego kariery, a na dodatek musiałby wypłacić Karen słone odszkodowanie.

- I dlatego ją zabił.

- Tak jest. Potem poszło z górki, sprawa coraz bardziej nabierała tempa. Po grywał z nami, jak chciał. W jego portfelu znaleźliśmy dowody na to, że latał do Charlestonu. Wszystkie daty zgadzają się co do joty. To nasz morderca.

- Hm, a więc myślałam się co do ojca Tary Mitchell i jego związku ze sprawą. - W głosie Nicky zabrzmiało rozczarowanie i Joe przypomniał sobie ich rywalizację. No cóż, wyglądało na to, że zgarnął całą pulę, zwłaszcza że Nicky była cała i zdrowa.

Po raz pierwszy od chwili, gdy nie odebrała telefonu, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Niekoniecznie. Nie znamy przyczyn, dla których zamordowano Tarę, ale jej śmierć nie miała nic wspólnego z Łazarzem. Po prostu Sid zabawił się w naśladowcę, chcąc zatuszować własne ciemne sprawy.

- A więc to już koniec. - Nicky wydała głębokie westchnienie ulgi. - Aż trudno w to uwierzyć.

- Zostało jeszcze tylko podsumowanie.

- Podsumowanie! O mój Boże!

Na myśl o tym, że o dziewiątej ma stanąć przed kamerą, Nicky otworzyła szeroko oczy. Ale zaraz się uspokoiła: ma takie zakończenie, że widzowie padną przed telewizorami. Niestety, tak się nie szczęśliwie składało, że mordercą okazał się główny producent programu we własnej osobie. Czy w takiej sytuacji obowiązywała nieśmiertelna reguła "przedstawienie musi trwać"?

- Która godzina?!

- Za dwadzieścia pięć ósma. - Dave spojrzął na zegarek.

- O rany. Wybaczenie na chwilę, muszę zadzwonić.

Odsunęła krzesło i zerwała się z krzesła. Nie była to najmądrzejsza decyzja, bo od razu zakręciło jej się w głowie i musiała się przyczepić do poręczy. Do tego jeszcze kołana miała jak z waty, a gwałtowny ruch sprawił, że skaleczona ręka zabolęła jak diabli. Poza tym jednak czuła się wyśmienicie.

Na żywo o dziewiątej!

- Czekaj, wolnego. Co ty wyprawiasz? - Joe też wstał i patrzył na Nicky, jakby straciła rozum. - Jesteś ranna, pamiętasz? Siadaj mi tu zaraz.

- Usiądę, jeśli przyniesiesz mi telefon. Jest na stoliku nocnym.

Joe zacisnął usta, ale wyszedł z kuchni, najwyraźniej po to aby spełnić prośbę, toteż Nicky usiadła. Po chwili wrócił i podał jej komórkę.

- Czy powinienem o czymś wiedzieć? - zapytał. Przypomniała mu o programie, a Joe w odpowiedzi tylko potrząsnął głową. Wytęczyła numer Sarah Greenberg. - Wykluczone - oświadczył. - Nie możesz. Przecież ... Uciszyła go ruchem ręki, gdyż w słuchawce odezwał się głos Sarah.

Gdy dobiegła do końca zawiłych wyjaśnień, Sarah była wstrząśnięta informacją o Sidzie, lecz swoim zwyczajem zachowała zimną krew. Pod koniec rozmowy Dave dyskretnie wymknął się z kuchni, a Joe z każdą chwilą robił się coraz bardziej ponury.

Odpowiedź Sarah sprowadzała się do tego, że czas antenowy pomiędzy dziewiątą i dziesiątą wieczorem należał niepodzielnie do "Na tropie tajemnic". Naturalnie mogli puścić gotowe nagranie, ale byłoby lepiej i gdyby Nicky na żywo wprowadziła widzów w szczegóły śledztwa i opowiedziała im o udziale Sida.

Obie przyznały zgodnie, że to dopiero będzie bomba:

Nicky postanowiła wykorzystać również nagranie z popołudniowego seansu, który oczywiście stał się katalizatorem późniejszych wydarzeń. Czy to nie fantastyczne? Mieli wszystko na żywo ... to znaczy, na taśmie.

- Tak właśnie zrobię - powiedziała do słuchawki i zakończyła rozmowę.

- I co? - Joe spoglądał na nią przymrużonymi oczami.

- Muszę lecieć. G dziewiątej będziemy na wizji.

Ponownie zerwała się z krzesła, ale tym razem obyło się bez sensacji. Adrenalina zrobiła swoje i Nicky wiedziała, że podola. Pewnie wszyscy jadą już do Gld Taylor Place. Nie ma czasu organizować innego miejsca, a zresztą po co? Zrobi wszystko tak, jak zaplanowała, a pod koniec opowie o dzisiejszych wydarzeniach i ujawni nazwisko Łazarza.

Tak jest.

- Naprawdę masz zamiar to zrobić? - spytał z niedowierzaniem Joe. - Kotku, ten facet dźgnął cię nożem, o mało nie zginęłaś. Weźże idź po rozum do głowy. Jedyne, co powinnaś zrobić, to pojechać do kliniki, a następnie pójść spać.

- Zamierzam zrobić to, co do mnie należy. - Ruszyła w stronę salonu, ale Joe zastąpił jej drogę.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego ze złością. - Spiesz się, jasne? Przestań się nade mną rozczulać. Dave wrócił do kuchni.

- Przyjechał burmistrz - zakomunikował. - Zaraz tu będzie. Pomyślałem, że was uprzedzę. .

- Psiakrew - mruknął Joe, a następnie pochwycił spojrzenie Nicky i westchnął. - Niech ci będzie. Widzę, że jednak dasz radę. Ale jeśli wyjdiesz frontowymi drzwiami, dziennikarze obleżą cię jak mrówki na pikniku. Lepiej wyjdźmy przez ogród.

- My? - rzuciła przez ramię, gdy bez wahania zastosowała się do jego rady i ruszyła w stronę tylnego wyjścia. - A co, myślisz, że spuszczę cię z oka? Jadę z tobą - odparł z rezygnacją.

- Nie masz nic do roboty?

- Mnóstwo i jeszcze trochę. Ale nic nie jest ważniejsze niż to.

Nicky przystanęła z ręką na klamce. Mimo pośpiechu poczuła miłe łaskotanie w brzuchu i uśmiechnęła się promiennie.

- To bardzo romantyczne - powiedziała.

- W końcu jestem romantycznym facetem - odparł z przekąsem i sam pociągnął za klamkę.

- Joe. - Dave był wyraźnie zaniepokojony. - Co mam powiedzieć Vince' owi?

- Powiedz, że niedługo wrócę.

Z tymi słowami otworzył drzwi i wyszli na ganek. Nicky przystanęła na chwilę, aby pogłaskać Cleo, której aksamiitny ryjek wydawał jej się teraz niemalże cudem świata. Następnie oboje wymknęli się przez furtkę i niezauważeni przez nikogo dotarli do samochodu. Dopiero reflektory zwróciły uwagę gapiów, ale wówczas było już za późno, gdyż Joe ruszył z miejsca.

Gdy przystanęli przed znakiem stopu, z mroku wychynął jakiś mężczyzna i pomachał ręką, żeby zaczekali. Nicky poczuła ukłucie strachu, zaraz jednak przypomniała sobie, że przecież Łazarz jest już w areście. Poza tym zobaczyła, że ma przed sobą policjanta. Jej strach był kompletnie nieuzasadniony.

- Bill Milton - powiedział Joe, opuszczając szybko.

- Podrzucicie mnie, szefie? - zwrócił się zdyszany do Joego, zerkając z ukosa na Nicky. - Zablokowali mi radiowóz, a muszę podjechać na posterunek. Dave wspominał, że jedziecie do Gld Taylor Place, to po drodze.

- Wskakuj - odpowiedział Joe.

Milton usiadł na tylnym siedzeniu i gdy Joe zwolnił na kolejnym skrzyżowaniu, wciąż jeszcze z trudem łapał oddech.

Nagle bez ostrzeżenia wyjął pistolet i grzmotnął nim swojego szefa w tył głowy. Zanim Nicky zdążyła połapać się w sytuacji, nieprzytomny Joe stuknął czołem o kierownicę.

24

Wciąż wpatrywała się w niego oszołomiona, gdy Milton nagle złapał ją z tyłu za włosy. Krzyknęła z bólu i oczy

zaszły jej łzami.

- Zaciągnij ręczny hamulec - warknął. Spojrzała na niego odruchowo, czując na szyi zimny dotyk lufy.

Pozbawiony kontroli samochód potoczył się naprzód. - Zaciągnij hamulec!

Nicky wypełniła polecenie i pojazd znieruchomiał. Potężne uderzenie w tył głowy sprawiło, że ogarnęła ją ciemność.

Ktoś chlusnął mu w twarz zimnym płynem i Joe odzyskał przytomność. Zakrztusił się i otworzył oczy. Milton stał obok z tekturowym kubkiem, którego lepka zawartość spływała właśnie Joemu po hvarzy i

karku, moćząc kołnierzyk białej koszuli. Sprite z McDonalda, pomyślał, czując kwaskowaty smak na języku.

Przeżyje. Ale po chwili dotarło do niego, co się stało, i w sumie nie był już tego taki pewien.

- Co jest, do cholery? - rzucił pod adresem Miltona, stwierdziwszy, że ręce ma skute kajdankami. Leżał na boku na twardej, zimnej podłodze. Była nierówna i lekko wilgotna, pewnie kamienna. Znajdował się w jakimś dziwnym pomieszczeniu, chyba w piwnicy o chropowatych ścianach, przesiąkniętej zapachem wilgoci. Nie było tu okien, a jedyne światło pochodziło z dyndającej u sufitu latarni biwakowej. Jego marynarka zniknęła, podobnie jak ukryta pod nią broń. Poczł mrowienie w nogach i zrozumiał, że związano je w kostkach elastycznym sznurem.

Nie miał pojęcia, co jest grane, ale z pewnością nie wróżyło to nic dobrego.

- Mam go załatwić? - rzucił przez ramię Milton.

- Nie. Najpierw niech gada, gdzie ukrył mój szmal. Bądźmy dla niego mili, to na pewno nie będzie robił trudności.

Joe z miejsca rozpoznał głos Vince'a, jeszcze zanim burmistrz znalazł się w obrębie światła. I zrozumiał, że jest źle.

- Co to ma znaczyć, do cholery? - powtórzył, tym razem zwracając się do Vince'a.

Tamten stanął tuż nad nim; miał na sobie to samo ubranie, w którym Joe widział go rano. Z tą różnicą, że teraz trzymał w ręku pistolet. Wprawdzie celował w podłogę, ale fakt pozostawał faktem.

Kolejny zły znak.

- Żądam swoich pieniędzy, Joe - powiedział.

Joe zaczerpnął tchu, usiłując zrozumieć. Sytuacja wydała mu się kompletnie pozbawiona sensu, wyjąwszy fakt, że jeśli się dobrze nie postara, nie wyjdzie z niej żywy.

- Nie mam pojęcia, o czym, u licha, mówisz - odpowiedział zgodnie z prawdą.

- Moje pięćset tysięcy dolarów - wyjaśnił cierpliwie Vince. - Które zwiątales podczas tej akcji, kiedy oberwales kulkę. Chcę je odzyskać.

Joe wybałuszyl na niego oczy. Coś tu zdecydowanie nie grało.

- Chwileczkę - powiedział. - Maczales palce w tamtej transakcji?

- To ja miałem kupić tę kokę, ja i moja organizacja. Mieliśmy przywieść towar tutaj i rozprowadzić. To był mój szmal. Oczywiście został skonfiskowany razem z koką, ale trzeba trafu, że dowiedziałem się później, że federalni zgarnęli tylko cztery miliony pięćset tysięcy dolarów. Byłem ciekaw, co się stało z resztą pieniędzy. Zasięgnąłem języka i wyszło na jaw, że tuż przed strzelaniną gliniarz o nazwisku Joe Franconi postanowił uszczknąć sobie dzieś procent całej sumki. Cóż, cztery i pół melona przepało, ryzyko wkalkulowane, taka branża. Ale pięćset tysięcy, które zabrales? O nie, kochany. Nic z tych rzeczy. Masz mi je, kurde, oddać.

Głos Vince'a zabrzmiał kategorycznie, a Joe, który z przejęciem chłonał nieznane mu dotąd fakty, w milczeniu wytrzeszczył oczy na tamtego. Vince - burmistrz? Uczestniczył w transakcji? Fakt, istotnie chodziły słuchy, że towar miał pojechać na południe.

No cóż, w końcu Vince był biznesmenem z krwi i kości.

Robienie pieniędzy stanowiło sens jego życia. Firmy deweloperskie, budowanie hoteli, handel narkotykami: biznes to biznes. A gdzie się robi pieniądze, tam zawsze jest miejsce na korupcję. Joe uświadomił sobie z zaskoczeniem, że jeden z jego osobistych podwładnych, Bill Milton, też pracuje dla Vince'a. A skoro jest jeden, znajdą się i następni. Jako były policjant, Vince pewnie też wiedział coś na ten temat.

Serce załomotało mu w piersi.

- Nawet nie dotknąłem twoich pieniędzy - powiedział, starannie akcentując każde słowo.

Nie spuszczał wzroku z burmistrza, usiłował jednocześnie zgadnąć, gdzie się znajduje. Nie znał tego miejsca, ale był na sto procent pewien, że nie opuścili wyspy. Pawleys stała się dla Vince'a istną fortecą.

- Pozwól, że odświeżę ci pamięć - odparł tamten, sięgając do kieszeni. - Poznajesz?

Pochylił się nad nim, trzymając w ręku jakiś przedmiot.

Joe zobaczył, że to srebrna zapalniczka. I szeroko otworzył oczy ze zdumienia ...

- Widzisz grawerunek? - Vince stuknął grubym palcem w biegnący z boku napis.

Tak się składało, że Joe znał go na pamięć. "Dla Joego Franconiego od Holly Alden, z wyrazami miłości". Był to prezent od byłej dziewczyny.

- Czyli mamy jasną sytuację - skwitował Vince. - Do dam tylko, że wypadła ci z kieszeni, kiedy obrabiałes moich chłopaków, ale jakimś cudem hafiła do mnie. Może zatem darujesz sobie te wykrety? Gadaj, gdzie moje pieniądze.

Kiedy Joe widział zapalniczkę po raz ostatni, Brian podrzucał ją w rękę dzień przed akcją. Naraz doznał olśnienia i wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. To dlatego Brian wystawił go Martinezowi: po to, by samemu, za pomocą jego odznaki i dokumentów... tów, oskubać partnerów Martinez na pół miliona dolarów. Gdyby wszystko poszło tak, jak to sobie zaplanował, zanim boss dowiedziałby się o kradzieży, Joe, rzekomy złodziej, już by nie żył.

Zdemaskowany przez Martineza jako tajny agent! A Brian po cichu wzbogaciłby się o pół miliona. Ty sukinsynu, pomyślał Joe, nie bez podziwu dla po-mysłowości dawnego kumpla. Plan był prosty i niemal genialny, poza faktem, że Brian nie żył, a jego najprawdopodobniej czeka to samo.

- Vince, posłuchaj. - Joe uświadomił sobie opłakane położenie i zaczął gorączkowo obmyślać plan ewakuacji. - To nie ja oskubałem twoich ludzi, nie ja przywłaszczyłem sobie pół miliona. Zostałeś źle poinformowany. Tamten facet nazywał się Brian Sawyer. Nabił twoich ludzi w butelkę, podając się za mnie.

Vince odpowiedział mu ciężkim spojrzeniem. Grymas wykrzywił mu twarz, ręka trzymająca pistolet drgnęła i Joe zrozumiał, że tamten nie odpuści. Nawet jeśli da się przekonać, że Joe nie zabrał jego pieniędzy, i tak nie zostanie go przy życiu.

Chyba że Joe zdoła jakoś temu zapobiec.

- Ściągnąłem cię na wyspę, żeby mieć na ciebie oko - podjął Vince. - Czy naprawdę nigdy nie przyszło ci do tej kapuścianej głowy, że z twoją reputacją nie miałeś szansy na powrót do pracy w policji? Myślałeś, że to zasługa starych przyjaciół, co? - Wybuchnął śmiechem. - Mogę cię zapewnić, że nikt nie ma takich przyjaciół. To ja, ja cię tutaj sprowadziłem. Czuję, że prędzej czy później wyciągniesz łapę po szmal, a wtedy łatwo go odzyskamy. Ale okazałeś się bystrzejszy, niż przypuszczaliśmy, muszę ci to oddać. O ile wiem, dotąd nie tknąłeś ani centa.

- Bo nie mam tych pieniędzy. Przecież ci tłumaczę, że to nie ja je zabrałem.

- Ale wówczas nie wiedziałem jeszcze, że pracujesz dla wydziału antynarkotykowego - dodał Vince, a Joe stłumił westchnienie.

Niedobrze, że drań o tym wie. Dilerzy narkotykowi nie znosili uczciwych policjantów oraz nienawidzili i panicznie bali się DEA.

- Gdybym o tym wiedział, rozegrałbym to inaczej, na przykład rozwalił cię w Jersey. Ale tak się złożyło, że jeste-śmy tutaj, toteż nie mam wyjścia.

Odwrocił się i dał komuś znak ręką. Korzystając z chwili jego nieuwagi Joe wsunął palce do tylnej kieszeni spodni.

Przy odrobinie szczęścia...

A jednak. Kiedy ostatni raz widział swoje kajdanki, znajdowały się na nadgarstkach Sida Levina. Ale kluczyk został w kieszeni Joego. Musnął go teraz palcami, dokładnie w chwili gdy Milton i George Locke (I ty też, George, pomyślał z goryczą) wywlekli coś z ciemności i rzucili w sam środek plamy światła. Była to Nicky, skrępowana sznurem i bezwładna jak worek kartofli, z taśmą klejącą na ustach.

Joe oblał się zimnym potem.

Coś mokrego i lodowatego chlusnęło jej w twarz i Nicky powoli odzyskała przytomność. Strasznie bolały ją nogi i ręce. Ach prawda, przecież była związana. Miała zdrętwiałe stopy i coś (taśma?) zaklejało jej usta.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego - usłyszała ostry głos Joego. - To sprawa między tobą a mną. Wypuść ją.

Otworzyła oczy. Jakiś płyn ściekał jej po twarzy, kapiąc na podłogę. Trzęsła się z zimna. Pomieszczenie zakołysało jej się przed oczami, jakby leżała na pokładzie statku, a nie na cuchnącej pleśnią posadzce. Zaraz jednak odzyskała jasność widzenia i zobaczyła, że jest w jakimś podziemiu lub piwnicy z niskim sufitem, krzywymi ścianami i dziwacznym oświetleniem. Joe leżał na boku ze dwa metry dalej i spoglądał na nią zatroskany. Nicky próbowała się uśmiechnąć, ucieszona jego widokiem bez, albo raczej ze względu na okoliczności. Wówczas przypomniała sobie, że ma zaklejone usta i tylko się skrzywiła, co też niespecjalnie jej wyszło. Podążając za wzrokiem Joego, zobaczyła burmish'za, Miltona oraz jeszcze jednego policjanta, którego początkowo nie rozpoznała. Burmistrz trzymał w ręku pistolet, a drugi policjant (chyba nazywał się Locke i jeździł za nią raz albo dwa razy; uważała go za bardzo sympatycznego) ścisnął w dłoni scyzoryk. Otwarty scyzoryk z błyszczącym ostrzem.

Niezbyt duży, ale i tak przeszły ją ciarki. Zaczynała bardzo nie lubić noży.

Burmistrz prychnął.

- Jak to, nie ma? Wsadza nos w nie swoje sprawy, siebie zamęt i tylko denerwuje ludzi w Jersey, bo jej znajomi też zaczynają węszyć. Interes kwitnie, sprawa przycichła i tak ma zostać. Tymczasem pani

dziennikarka drąży jak kret i ludzie robią się niespokojni. Myślisz, że skoro raz wpadła na trop, to sobie odpuści? Zwłaszcza jeśli ty znikniesz? Tylko narobi bałaganu, a tego przecież nie chcemy.

- Jeśli ona zniknie, ludzie zaczną zadawać pytania - odpowiedział chrapliwie Joe. W jego głosie zabrzmiał lęk i Nicky wystraszyła się nie na żarty. - Mnie może nie będą szukać, ale jej ... Popelniasz duży błąd, Vince. Ma rodzinę, przyjaciół i całą zgraję cholernych widzów. Będą jej szukać miliony.

- Nie będą* - Burmistrz popatrzył na niego z triumfującym uśmiechem. - Niedługo ją znajda. Ciebie zresztą też. Jutro, może za parę dni. Widzisz, sporo ludzi widziało, jak wyjeżdżacie razem spod twojego domu. I to podsunęło mi pewien pomysł. W tym momencie twój wóz opada na dno Salt Marsh Creek. Mielicie tragiczny wypadek, zjechaliście z szosy i nie zdążyliście w porę się wydośćać z auta. Wasze ciała wyleciały z samochodu, a gdy zostaną znalezione, będą w stanie takiego rozkładu, że nikt nie odgadnie, co się naprawdę stało.

Nicky zrozumiała, że łoskot w uszach to bicie jej własnego serca.

- To nie wypali - odpowiedział Joe.

Ale widziała po jego minie, że wcale nie jest tego taki pewien. Jego zacięta twarz była bledsza niż kiedykolwiek. Zmienił pozycję i leżał teraz prawie na plecach, spoglądając na burmistrza spod przymrużonych powiek.

- Czyżby? - odparł tamten niewzruszony. - Ależ wypali. Wręcz trudno o lepsze wyjście. Zastanawiałem się, jak rozwiązać ten problem, od chwili, kiedy zaczęła mięsać wjersey. A ty mi dzisiaj pomogłeś. Na tle zamieszania z Łazarzem będziecie tylko smutnym przypisem. "Komendant policji i dziennikarka giną w wypadku po schwytaniu mordercy." Już widzę te nagłówki. - Tracił Nicky czubkiem buta. - To by ci się podobało, co?

Wzdrygnęła się odruchowo, gdy rtaraz jej wzrok padł na mały, różowy przedmiot, błyskający w szparze podłogi. Pierścionek. .. Nie pasował tu do tego stopnia, że aż zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć ...

Burmistrz nachylił się i bez ostrzeżenia zerwał taśmę zaklejającą jej usta. Głowa Nicky aż podskoczyła na kamiennej posadzce i dziewczyna krzyknęła z bólu. Joe zaklął i zaczął się szarpać, po czym znieruchomiał na widok lufy wycelowanej w swoją stronę.

- Do diabła, Vince, jeśli ją skrzywdzisz ... - Gniew aż odebrał mu mowę.

- Wszystko zależy od ciebie. - Spojrzał na Locke' a i wyciągnął rękę, na co tamten podał mu szczyryk. Najwyraźniej w pewnych kwestiach porozumiewali się bez słów. Następnie schował broń i ukląkł obok Nicky.

Wstrzymała oddech i spojrzała na Joego. Nad jego górną wargą perliły się krople potu. Oboje byli jednakowo bezradni. Poczuli bolesny ucisk w żołądku.

Tymczasem pierścionek lśnił i błyszczał, poruszając coś głęboko w jej pamięci ...

- Widzisz, zrobię to tak - ciągnął Vince. - Zacznę od twarzy i będę ją ciął, dopóki nic z niej nie zostanie, chyba że wyśpiewasz wszystko, co chcę wiedzieć.

- Posłuchaj - zaczęła desperacko Nicky' Słowa z trudem przechodziły przez jej wyschnięte gardło. - Jeśli chodzi tylko o pół miliona, może mogłabym ...

Nagle urwała, bo przypomniała sobie, że widziała ten pierścionek na zdjęciu Lauren Schultz. Dziewczyna dostała go od rodziców na urodziny, w dniu gdy zginęła.

Pierścionek Lauren Schultz, pocięta twarz Tary Mitchell, śmierć ojca Tary ...

- O mój Boże! - Nicky uniosła wzrok na Vince' a. - To ty je zabiłeś. Ty zabiłeś Tarę Mitchell, Lauren Schultz i Becky Iverson.

Vince wytrzeszczył na nią oczy, po czym na jego twarz wypełził obleśny uśmiech.

- Bystra jest - rzucił z aprobatą, zerkając na Joego. - Naprawdę bystra. Taa, ojciec małej Mitchell też wystawił mnie do wiatru. Musiałem go upomnieć. A pozostałe ... cóż, miały pecha. Nie były częścią planu, więc sprowadzi-liśmy je tutaj.

Tyle lat, tyle bólu, łez i daremnych poszukiwań skwitowanych jednym wzruszeniem ramion. W przyplwywie bezsilnej furii Nicky uniosła głowę i niewiele myśląc, splunęła mu w twarz.

Czas jakby na chwilę stanął w miejscu. Vince spoglądał na nią w milczeniu wybałuszonymi oczami, a gdy ślina spłynęła mu na brodę, dopiero do niego dotarło, co zrobiła Nicky. Twarz mu się wykrzywiła ze złości, zamachnął się i ...

Huknął strzał, głośny niczym wystrzał armatni. Vince cofnął się z wraskiem.

- Pod ścianę, Nicky! - krzyknął Joe i nagle zobaczyła, że leży na brzuchu i celuje oburącz z pistoletu ...

Wykonała polecenie; zabrzmiały kolejne strzały i bandyci rzucili się do ucieczki.

Nicky z krzykiem przywarła do ściany i z całej siły zacisnęła powieki, czując kwaśną woń prochu i

słyszając świst pocisków, przecinających powietrze nad jej głową i odbijających się rykoszetem od ścian. Joe, który jakimś cudem zdołał się rozwiązać, pochylił się nad nią, raz po raz naciskając spust. Ktoś wrzasnął: "Zamknijcie drzwi! Zostawcie ich tam!"; pomyślała, że to Vince, ale strach nie pozwolił jej otworzyć oczu. Rozległ się ogłuszający zgrzyt metalu, po czym wreszcie zapadła cisza.

Aż zadzwoniło jej w uszach.

- Jesteś cała? - spytał po chwili zdyszany Joe. Majstrował coś przy jej kajdankach. Skinęła głową, słysząc ciche

kliknięcie, i mogła rozprostować ręce.

Od razu otworzyła oczy.

- Jak? - zapytała, siadając i rozcierając obolałe nadgarstki. Popatrzyła na Joego, który właśnie rozwiązywał jej nogi.

- Miałem kluczyk w kieszeni. - Uśmiechnął się z satysfakcją i Nicky pomyślała, że wyglądał równie zawadiacko

jak przedtem. Czują, że jest z siebie bardzo dumny i zrozumiała, że jej dzielny policjant pozostał w głębi duszy

małym chłopcem.

- A broń? - spytała. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

_ Zawsze noszę przy sobie zapasową, na wszelki wypadek. - Uniósł nogawkę, demonstrując futerał, sprytnie zamocowany nad kostką. - Podziękuj swojej szczęśliwej gwiazdce, że nikt nie nauczył tych półgłówków, jak należy przeszukiwać.

Nicky musiała przyznać, że jest pod wrażeniem.

_ Ojejku - powiedziała z podziwem.

_ Później podziękujesz mi, jak należy. - Błysk w oku nie pozostawiał wątpliwości co do sensu jego słów.

Następnie wstał i dodał: - Zabierajmy się stąd.

Byle szybko.

Lecz wkrótce się okazało, że to nie będzie takie proste.

Pomieszczenie wychodziło na wąski korytarz z żelaznymi drzwiami, w których widniał przesłonięty siatką otwór wielkości zeszytu. Kiedy podeszli bliżej, chlusnęła stamtąd woda. Z niewielkiej plamy wkrótce powstała spora kałuża, która powiększała się w zastraszającym tempie.

- O kurde - westchnął Joe. Nicky pociągnęła go za rękę.

_ Spróbujmy z drugiej strony.

Zawrócili i wbiegli z powrotem do piwnicy, będącej rozszerzeniem dziwnego korytarza. Okazało się, że z drugiej strony znajduje się identyczny, też zakończony drzwiami, tym razem bez otworu. Drzwiami zamkniętymi od zewnątrz na klucz.

_ O kurde - powtórzył Joe i kopnął w nie bezsilnie, kiedy próba otwarcia spełzała na niczym.

Nicky ujęłaby to nieco dosadniej.

Odwrociła się i spojrzała w stronę napływającej wody.

Uświadomiła sobie straszliwą prawdę: byli zamknięci w podziemnym przejściu, które błyskawicznie napełniało się wodą.

I tylko resztki godności sprawiły, że nie uczepiła się oburącz Joego, krzycząc wniebogłosy: "Toniemy!".

Wzięła tylko głęboki oddech i zaczęła myśleć.

- Gdzieś tu musi być jakieś wyjście - powiedział Joe.

Jak widać ich myśli podążały podobnym torem. Patrzył na sufit, dotykał ścian ...

Nicky słyszała tylko szum i plusk lejącej się wody. Nie długo strumień dotrze do ich stóp.

Zimna, ciemna woda. Jak w najgorszych koszmarach. Serce kołatało jej w piersi jak szalone, spazmatycznie chwytając oddech. Ręce-zwilgotniały od potu, a panika odbierała zdolność racjonalnego myślenia.

O Boże, proszę, proszę, proszę ... Aż nagle ...

- Chyba wiem, gdzie jesteśmy - oznajmiła, a Joe rzucił jej pytające spojrzenie. Podekscytowana Nicky klasnęła w ręce. - Słyszałam opowieści o tym miejscu ale żadna ze znanych mi osób (może oprócz Vince' a i jego kumpi) nie wierzyła w jego istnienie. Jesteśmy w tunelu będącym dawniej częścią kolejki podziemnej. Podobno prowadzi od Salt Marsh Creek do niektórych starych domów. To jedna z legend Harry' ego, wojna secesyjna to jego konik, nieraz o tym opowiadał. - Zająknęła się z lekka. - Skoro tunel znajduje się pod ziemią, a wejście jest gdzieś na brzegu Salt Marsh Creek, podczas przyływu zostaje zalany wodą.

- No to super. - Joe wyraźnie nie podzielał jej entuzjazmu. - Pozostaje tylko pytanie, jak stąd wyjść? Nicky oklapła jak przekłuty balon: to, że odkryła, gdzie się znajdują, nie oznaczało wcale, że wyjdą z tej przygody żywi.

- Nie mam pojęcia - przyznała. - Ale musi być jakieś wyjście.

Drzwi były zamknięte na głucho. Przestrzelenie ich też nic by nie dało, ponieważ zamek znajdował się po drugiej stronie. Tymczasem strugi wody dosięgły ich stóp.

- Gdzieś musi być jakieś przewód wentylacyjny - mruknął Joe, kiedy Nicky walczyła z kolejnym atakiem paniki. - Inaczej panowałaby tu większa wilgoć. - Chwyć ją za rękę. - Chodź.

Wbiegli do pomieszczenia, gdzie znaleźli się po kostki w zimnej wodzie, która dalej lała się przez drzwi.

- Patrz w górę! - wrzasnął Joe.

Nicky uniosła wzrok: sufit był w oplakany stanie, gdzieniegdzie sterczały z niego korzenie, w innych miejscach brakowało kamieni. Z takim zapalem zadzierając głowę, że gdyby nie to, iż kosmyk włosów zaczepił się o jakąś nierówność, w ogóle nie zauważyłaby napisu na ścianie. Odwróciła głowę, żeby się uwolnić i zobaczyła koślawe litery wyryte głęboko w skale: JOSIAH TAYLOR, 1863.

Woda sięgnęła jej tydek, w głowie kołowały się myśli typu: "Boże spraw, żebym nie umarła w ten sposób" oraz "O mamo, prawie sto pięćdziesiąt lat temu ktoś stał dokładnie w tym samym miejscu co ja".

Naraz zrozumiała, że przecież zna to nazwisko, i w tej samej chwili dostrzegła małą mosiężną rurę, wystającą z ukruszonej zaprawy ponad kamieniem. Ktoś wetknął w nią brudną szmatę. Wyjęła ją i wsunęła palce do środka. Rura rozwidła się na boki, równoległe do przejścia. Nicky uświadomiła sobie jednocześnie kilka rzeczy: po pierwsze, byli chyba w pobliżu lub pod Old Taylor Place, bo korytarz raczej na pewno kończył się w piwnicy domu, po drugie szerokość tunelu odpowiadała szerokości podjazdu, po trzecie zaś, skoro Karen w chwili ataku szła w kierunku ulicy, prawdopodobnie za sprawą tejże rury (w której Nicky rozpoznała telefon tubowy) jej krzyki dotarły do wnętrza domu, zapewniając seansowi Leonory jakże upiorny finał.

Kolejne myśli napłynęły z prędkością błyskawicy: w Old Taylor Place są dzisiaj ludzie, ekipa telewizyjna, która czeka na przyjazd Nicky i pewnie bezskutecznie próbuje się do niej dodzwonić.

Woda zabulgotała na wysokości jej kolan, podnosząc się nieubłaganie. Stopy i łydki zdrętwiały z zimna, dżinsy przemokły aż do kroku i Nicky dosłownie trzęsła się cała. Spojrzała na ciemną powierzchnię wody i ze strachu zakręciło jej się w głowie. Serce waliło w piersi, a oddech rządził w gardle.

- Pomocy! - wrzasnęła w głąb rury, modląc się, aby ktoś ją usłyszał.

- Co u licha? - mruknął zaskoczony Joe, ale nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

- Tu Nicky! Joe i jesteście uwięzieni w tunelu pod podjazdem! Zalewa nas! W piwnicy są drzwi! Zejdźcie do piwnicy i wypuście nas!

- Co ty wyprawiasz? - Joe stanął obok. Na jego twarzy malował się niepokój, jakby pomyślał, że postradała zmysły.

- Przecież to telefon tubowy - wyjaśniła. - Ludzie dawniej używali go do wzywania służby. Musi prowadzić do Old Taylor Place, co tłumaczyłoby krzyki pod koniec programu: drugi koniec znajduje się pewnie w okolicach sosen, tak by ludzie, którzy ukrywali uciekających niewolników, mogli się z nimi komunikować.

- Naraz przyszła jej do głowy pewna myśl. - Sądziś, że burmistrz i jego zbiry jeszcze się tu kręcą?

Myśl, że bandyci mogli usłyszeć jej krzyki i zawrócić, niespecjalnie podniosła ją na duchu.

- Pewnie już dawno pojechali - odparł Joe. - Vince ma o dziewiątej konferencję prasową. Ogłosi schwytanie Łazarza. - Popatrzył na zegarek. - Jest za dwadzieścia pięć.

Program miał się rozpocząć za dwadzieścia pięć minut, a ona wciąż znajdowała się w potrzasku. Martwa dziennikarka to pestka: w telewizji na żywo nie ma nic gorszego od martwej ciszy.

- Czekać, ja spróbuję, mam mocniejszy głos. - Joe odsunął ją na bok, po czym przyłożył usta do wylotu rury i zaczął krzyczeć.

Tymczasem woda podnosiła się coraz bardziej.

- Nie możemy tu zostać - oznajmił, kiedy sięgała już Nicky do pasa. Wiedziała, że miał rację, ale nie chciała odejść od rury, która wydawała się ostatnią deską ratunku. Jednakże korytarz zakręcał ku górze i drzwi bez otworu były położone nieco wyżej. Ściskając mocno rękę Joego i kilkakrotnie tracąc grunt pod nogami, Nicky ruszyła w kierunku przejścia.

Kiedy dotarli do drzwi, woda sięgała im zaledwie po kolana.

- O Boże - westchnęła Nicky. - Jak myślisz, za ile minut do nas dotrze?

Odpowiedź brzmiała, że niedługo. I rzeczywiście, po chwili sięgała im już do ud.

Joe z całej siły szarpał drzwi, które nie drgnęły ani o milimetr.

W miarę upływu czasu lęk ustąpił miejsca przerażeniu.

To, co od zawsze budziło w Nicky największy strach, wreszcie ją zabije. Lada chwila utonie w ciemnej, zimnej wodzie ...

Joe również. Ta myśl była nie do zniesienia. Świadomość, że utoną oboje, czyniła sytuację dziesięć razy gorszą.

Stał zdyszany tuż obok niej i co chwila napierał na drzwi, a potem odpoczywał. Wiedziała, że to próżny wysiłek, ale przynajmniej robił, co mógł, żeby ich ocalić ...

Musiała wyglądać żałośnie, bo Joe nieoczekiwanie objął ją mocno i przytulił. Czując wokół talii lodowatą wodę, zarzuciła mu ręce na szyję i ukryła twarz na jego ramieniu. Musnął ustami jej włosy.

- Kocham cię - powiedziała żarliwie. Niech się o tym dowie, zanim umrą. - Kocham cię, kocham, kocham.

- Ja też cię kocham - odpowiedział chyba, ale nie była pewna, gdyż jego słowa utonęły w szczerku metalu. Nicky zamarła, słysząc, jak ktoś odsuwa rygiel.

Drzwi stanęły otworem; ona i Joe, niesieni potężną falą, która o mało nie zbiła ich z nóg, znaleźli się po drugiej stronie.

- Przepraszamy, że tak długo - powiedział Gordon - ale nie mogliśmy znaleźć tych drzwi.

Za jego plecami Nicky zobaczyła Boba, Tinę, Cassandra, Maria, Isabelle, Dave'a, matkę oraz mnóstwo innych ludzi, którzy tłoczyli się w korytarzu.

Wszyscy rzucili się do ucieczki przed wzbierającą wodą. - Nicky! - zawołała Isabelle, gdy weszli po schodach i znaleźli się w bezpiecznym zaciszu piwnicy. Musiała podnieść głos, aby przekrzyczeć gwar. - Zostało sześć minut!

Drzwi zatrzasnęły się za nimi i zdyszana Nicky oparła się o najbliższą ścianę. Za ten występ "na żywo" będzie dziękować Bogu do końca życia.

- No to do roboty - odpowiedziała.

Epilog

Tydzień później wstał kolejny piękny dzień w maju. Świeciło słońce, szczebiotały ptaki, a mieszkańcy wyspy tłumnie wylegli na świeże powietrze. Właśnie minęła dziewiąta; Joe wyszedł wraz z Nicky przed swój dom i machał do Dave'a, który podjechał do krawężnika czerwonym kabrioletem. Cleo siedziała dumnie na fotelu pasażera. Przyjechali się pożegnać, gdyż był to ostatni dzień Joego na wyspie. Za dwa tygodnie będzie już w Jersey, a dokładniej w Newark, gdzie podejmie pracę agenta DEA.

Niewiarygodne, ile szacunku przysparza człowiekowi rozbicie największej szajki narkotykowej na wschodnim wybrzeżu.

Dave też był zadowolony. Został nowym komendantem policji. Miasto wciąż szukało za to nowego burmistrza.

Ze wszystkich stron przychodziły pomysły wieści.

Nicky twierdziła, że Leonora skutecznie przezwyciężyła blokadę. Z chwilą gdy niebezpieczeństwo minęło, widywała duchy wszędzie. Livvy też była w swoim żywiole. Rozwodziła się ze swoim wiarołomnym mężem i szykowała do roli samotnej matki. Zamierzała również podjąć pracę w restauracji Hama, której wielkie otwarcie zapowiedziano na przyszły miesiąc.

Joe i Nicky planowali przyjechać na tę okazję.

Ano właśnie. To, co ich łączyło, z całą pewnością zasługiwało na miano związku. Co więcej, wracali razem na północ. I to samochodem. Postanowili zrobić sobie podczas tej podróży wakacje. Nicky przenosiła się do Nowego Jorku, ponieważ dostała tam wymarzoną pracę. Szefowie "Wiadomości porannych" zadzwonili do niej z samego rana po ostatnim wydaniu "Na tropie tajemnic" z propozycją współpracy. Podobno byli pod wrażeniem.

Nowy Jork dzieliła od New Jersey tylko rzeka. Zaraz po przyjeździe będą musieli rozejrzeć się za mieszkaniem. Ciekawe, jak im pójdzie.

- Chyba jesteśmy gotowi - powiedziała, kiedy Dave i Cleo odjechali. Zapakowali po brzegi wynajętego lincolna i właśnie stali przy bagażniku.

- Może być. - Joe objął spojrzeniem lśniące w słońcu rude włosy Nicky, jej cudowną twarz i figurę, a przede wszystkim ciepło płynące z oczu i uśmiechu, i pomyślał:

O tak, oto kobieta, z którą warto przejść przez życie. - Kocham cię, wiesz?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Uwważaj - ostrzegła. - Nigdy nic nie wiadomo. Jeszcze sobie pomyślę, że się zaangażowałeś.

Jakoś to przeżyje.

Na dowód tego pochylał głowę i pocałował Nicky w usta. Następnie wrócił do domu i obszedł wszystkie pomieszczenia.

W kuchni oczywiście zastał Briana, który stał oparty o szafkę, nonszalancki jak zwykle.

Albo i nie.

Joe przystanął i popatrzył na niego ze złością.

- No proszę, kogo my tu widzimy! Mój pieprzony anioł stróż.

- Hej - zaoponował tamten. - Uratowałem ci życie.

- Ty uratowałeś mi życie? Postrzeliłeś mnie, pacanie. Wiedziałem, że to zrobisz, ale nie miałem pojęcia, że połasczyłeś się na pół miliona doków, w dodatku pod moim nazwiskiem.

- Zauważ, że jesteś cały i zdrow. - Brian skrzyżował ręce na piersi. - A ja wręcz przeciwnie. Czyli chyba jednak ty jesteś górą. Poza tym specjalnie celowałem tak, żeby się nie za bić. To była część planu.

- Ze co proszę?

- A tak - odpowiedział Brian. - No dobra, trochę narozrabiałem, a tobie się oberwało. Ale pół miliona dolarów, Joe! Jezu, kto by się oparł? Przyznaję, wystawiłem cię Martinezowi. Ale przecież od początku wiedziałem, że każe mi cię kropnąć, bo zawsze tak było. Zawsze zabijał ten, kto cię wprowadził. No więc byłem na to przygotowany i tyl-ko cię drasnąłem. Wiedziałem też, że każe mi się pozbyć ciała, i planowałem wpakować cię do jednego z tych wielkich pojemników na śmieci i wywieźć z miasta. Potem mieliśmy się podzielić forszą.

Joe zmrużył oczy.

- Mam uwierzyć w te bajki? Brian podniósł rękę.

- Hej, to szczerą prawdą. Czy aniołowi stróżowi godzi się kłamać?

Fakt, tu go miał.

- No to ja spadam. - Brian odsunął się od szafki. - Moja rola dobiegła końca. Więcej mnie nie zobaczysz.

- I do-dał po chwili namysłu: - Przynajmniej dopóki żyjesz.

- Chwileczkę. Gdzie ukryłeś forszę?

Brian uśmiechnął się z triumfem.

- Pamiętasz jaskinię w lesie, za chatą, gdzie chowałem towar?

Joe kiwnął głową.

- Pamiętam.

- Właśnie tam. Częstuj się na zdrowie. Miłego życia, stary!

I zniknął, jakby się rozpułnął w powietrzu.

Joe szczególnie z tego powodu nie rozpacział.

Z zewnątrz rozległo się zniecierpliwione trąbienie.

Czas w drogę.

"Miłego życia" - powiedział Brian. Joe o niczym innym nie marzył.

Dla niego miłe życie sprowadzało się do trzech słów:

Nicky, małżeństwo, dzieci.

A pół miliona dolarów? Zajrzy do tej jaskini, a jeśli rzeczywiście znajdzie tamtą forszę, postąpi jak należy i odda ją policji.

Chyba.

Uśmiechając się do siebie; wyszedł z domu i wsiadł do lincolna, w którym czekała na niego Nicky.

Następnie uruchomił silnik i ruszył z miejsca.

Ostatni dzień w raj, witaj Jersey. Była to bardzo krzepiąca myśl.